PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY CZWARTY. — TOM XCVI.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1907.

KRAKOW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1907

TWÓRCZE SIŁY SPOŁECZNE I KULTURALNE CHRYSTYANIZMU.

Fakt to historyczny, że chrystyanizm z niepojętą i nieporównaną chyżością mimo przeszkód i trudności największych rozszerzył się wśród wysoko cywilizowanego świata pogańskiego.

W pierwszem stuleciu chrześcijaństwo już olbrzymie obejmuje obszary wzdłuż morza Śródziemnego: na wschodzie Antyochia i cały pas wybrzeżny Małej Azyi i Grecya, na zachodzie Roma stały się ogniskami wielkiej, światowej propagandy misyjnej. W Rzymie za Nerona mówi Tacyt o olbrzymiej liczbie, *multitudo ingens*, chrześcijan. Z Małej Azyi na początku drugiego stulecia pisze Pliniusz do cesarza Trajana: Nie tylko po miastach ale po wsiach i zagrodach polnych krzewi i szerzy się chrześcijaństwo, jak zaraza jakaś. Świątynie świecą pustkami, kult bogów przerwany, zwierząt ofiarnych nikt nie kupuje.

Pod koniec drugiego stulecia spór paschalny, rozwijający się za papieża Wiktora, ujawnia nam organizacyę, rozciągającą się od Lyonu aż do Edessy, która w Rzymie ma swoje główne ognisko.

W połowie trzeciego stulecia cesarz Decyusz, usiłując w krwi przygasić potężnie rozwijające się chrześcijaństwo, zaklina się gniewliwie, iż ścierpi raczej drugiego cezara w Rzymie, niż chrześcijańskiego biskupa.

Na początku czwartego stulecia ukazuje się krzyż na znakach rzymskich legionów.

Naprawdę wspaniałe to etapy nieporównanego rozwoju i roz-

szerzenia się chrystyanizmu w ciągu dwu stuleci, pełnych najkrwawszych prześladowań.

Razem z rosnącą ekspanzyą chrześcijaństwa idzie odrodzenie człowieka i społeczeństwa. Pod żywotnem działaniem nowej nauki rozwiewają się powoli wiekowe dogmata społeczne świata pogańskiego: znika niewolnictwo i cezaryzm, zacierają się dzikie szorstkości nacyonalizmu, pomniejszają różnice klasowe. Pod ciepłem tchnieniem Chrystusowej miłości zmieniają się ludzie: znika rozwiązłość obyczajów i próżniactwo, umniejsza się nędza. Wzbierająca fala wiary, nadziei i miłości łagodzi wszystkie przeciwieństwa społeczne i napełnia rozwichrzone i bólem duszy zmęczone społeczeństwo nową mocą duchową i energią i jasną ufnością w lepszą przyszłość.

Jak sobie wytłumaczyć ten niepomierny rozwój chrześcijaństwa, tę zmianę człowieka i społeczeństwa? Jakie siły i przyczyny wywołały ten ruch potężny, który świat przeobraził i całą cywilizacyę nową, żywotną i niespożytą natchnął mocą?

Odpowiedź na te pytania niezmiernie doniosłej jest wagi, tak ze względu na przeszłość dziejową, jak przyszłość naszej cywilizacyi. Co sprawiło, że pochód dziejów świata w tym a nie innym potoczył się kierunku, co wpłynęło na to, że rozwój cywilizacyi tę a nie inną obrał drogę? A co się tyczy przyszłości i teraźniejszości rzuca się w oczy ta prawda: że w tytanicznych zapasach z odradzającem się pogaństwem nowożytnem we wszystkich dziedzinach pracy i życia kulturalnego chrześcijaństwo tylko wtedy stanie na wyżynie swego zadania i odniesie palmę zwycięstwa, jeżeli będzie pielęgnować i rozwijać, wydobywać z ukrycia i popierać wszystkie te siły żywotne i czynniki kulturalne, które ongi w początkach chrześcijaństwa torowały drogę do zwycięstw, które prowadziły ludy chrześcijańskie do wolności i postępu, które dziś stały się twórczym zawiązkiem solidarności i braterstwa i jaśniejszego jutra.

W przeobrażeniu świata pogańskiego niewątpliwie główną odgrywały rolę obok zwyczajnych, nadzwyczajne, widome, siły nadprzyrodzone, które, uderzając duszę stygmatem swego pochodzenia Boskiego, torowały chrześcijaństwu drogę do serc ludzkich. Ale to

trwało przez krótki tylko okres czasów apostolskich, dopóki ruch religijny nie wyżłobił sobie naturalnego łożyska w życiu rodzinnem i w organizacyi Kościoła. Od chwili tej wichry i ognie natchnienia Bożego uciszyły się i przygasać poczęły, choć w ciągu historyi Kościoła one od czasu do czasu zawsze jeszcze pojawiać się będą w życiu i czynach świętych Pańskich. Czem były te nadzwyczajne, widne siły i pomoce niebieskie, jaka ich natura i zadanie to rzecz teologii mistycznej, od długich już wieków leżącej zupełnie odłogiem, ale zdaje się, że nadprzyrodzone siły te nadzwyczajne, działające w Kościele, mają swoje drogi empiryczno-psychologiczne, mają swoje łożyska psychologiczno-społeczne, dostępne dla nauki. Działalność ich tkwi w najwnętrzniejszych głębinach duszy i kryje się w tajemniczym mroku czy jasności, gdzie Bóg namacalnie styka się z duszą, ale znane nam są zewnętrzne zjawiska i skutki tych działań. I te zjawiska i działania wraz z podłożem psychologiczno-społecznem staną się zapewne w przyszłości przedmiotem naukowych dociekań i badań. Ponieważ atoli przy dzisiejszych zasobach teologii oraz nauk psychologiczno-społecznych naukowe wyjaśnienie ruchu i dróg religijnych w pierwotnem chrześcijaństwie jest niemożliwe, ograniczymy się w pracy naszej do tych przedewszystkiem czynników społecznych i sił kulturalnych, które wychowały ten świat nowy i nową stworzyły kulturę.

Rzecz dziwna, chrystyanizm świat przekształcił a mimo to nie burzy społecznej ani ekonomicznej budowy świata pogańskiego, nie przynosi gotowego programu ani ideału społeczno-ekonomicznego w najogólniejszych choćby zarysach — to zadanie czasów późniejszych, to rzecz prawników i ekonomistów, etyków i socyologów, polityków i stronnictw socyalnych — on zmienia i uświęca tylko człowieka i daje impuls do odmiany na lepsze, on rzuca tylko twórczy zaczyn w cywilizacyjną ewolucyę ludzkości, a resztę pozostawia polityce społecznej ludów i ludzi, których pozyskał dla Chrystusa.

Zapewne życie społeczne i ustrój ekonomiczny muszą się opierać na niewzruszonych podstawach zasadniczych, których żadna burza rewolucyi nie usunie, żaden szał namiętności nie za-

chwieje, powinny się rozwijać według zasad rozumnych, przez Chrystusa uświęconych, ale te zasadnicze podstawy organizacyi i chrześcijańskiej ewolucyi społecznej niczem innem nie są, jak postulatami społecznymi rozumu i serca. Ogólny zarys i zawiązki niewidzialne społecznej budowli złożone są w sercu i umyśle ludzkim i na tym fundamencie dopiero ustawodawstwo ludzkie buduje sobie gmach społeczny. Kształt i fizyognomia jego zależą od ewolucyi historycznej i od woli ludów, które się silą na to, żeby budowla przetrzymała burze namiętności i bezpieczne dała schronienie zwolna wcielającym się w społeczeństwa ideom z nieba rodem: wolności, równości i braterstwa. Zanim atoli ta ewolucya dziejowa się dokona, chrystyanizm wskazuje swoim wyznawcom inny wewnętrzny świat, w którym od razu ideał ten społeczny doskonale się urzeczywistnia: »Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...«

Chrystusowy ideał ten społeczny, wyrażony w modlitwie Pańskiej, o którego ziszczenie tu na ziemi cały świat chrześcijański codziennie się modli, jest tak wzniosły i niedościgniony, jak ów drugi ideał etyki indywidualnej: Bądźcie doskonałymi, jak Ojciec niebieski doskonały jest. Jak miarą doskonałości indywidualnej jest Bóg sam, tak miarą Chrystusowego ideału społecznego są niepojęte nieba harmonie i piękności. Jeden i drugi ideał tu na ziemi zaledwo w zamglonych zarysach osiągnąć się da, ale tak jednostki jak społeczeństwa mają wspinać się coraz wyżej i wyżej do tej jasnej krainy, kędy swoboda i miłość i szczęście. Ażeby zaś tę ewolucyę Bożą przyśpieszyć, mamy się codziennie modlić i pracować nad jej urzeczywistnieniem. Taka zaś moc i żywotność tkwi w tych ideałach, że choć kto tylko myślą i uczuciem i pragnieniem do nich się dostroi, już staje się lepszym i szlachetniejszym.

Tak tedy ponad wrzawą światową i walką polityczną i interesami ekonomicznymi, ponad warunkami czasu i miejsca ideały te przyświecają każdej pracy uczciwej dla dobra ludzkości i uświęcają miłością i mocą Chrystusową wszelką rozumną ewolucyę społeczną.

Co się tyczy twórczych czynników społecznych dwie przedewszystkiem nowe idee twórcze wnosi chrystyanizm do ewolucyi społecznej, idee tak wielkie i w skutki brzemienne, że one same jedne zdolne były społeczeństwo pogáńskie z gruntu przeobrazić. Czynnikami tymi to idea indywidualnej nieśmiertelności duszy i solidarności społecznej.

Na czem polega najtrudniejszy do rozwiązania problem społeczny? Na sharmonizowaniu wolności z życiem i porządkiem sprężystego i spoistego organizmu państwowego, na pogodzeniu prywaty z dobrem ogółu. Od rozwiązania dwu tych problemów zależy usunięcie najgłówniejszej przyczyny wszelkich wstrząśnień rewolucyjnych w ludzkości. Wytworzyć takie warunki i stosunki życia i zarobkowania, żeby na gruncie szerokiej swobody autonomicznej o ile możności wszystkim dobrze było — oto cel i zadanie wszelkiej budowy polityczno-ekonomicznej w rozwoju wieków. Najbogatszym jest ten kraj — mówi Ruskin — w którym największa żyje liczba szlachetnych i szczęśliwych ludzi. W czasach zaś przedchrześcijańskich jednostka tkwi w żelaznych powijakach życia rodowego i państwowego, a cała budowa społeczna opiera się wyłącznie na krwawym egoizmie wszelkiego rodzaju despotyzmu. Czem była w świecie pogańskim kobieta, dziecko, niewolnik, ubogi? Dopiero chrystyanizm dźwiga z poniżenia i upodlenia to, co słabe i wzgardzone i pomiatane, staje w obronie praw i godności ludzkiej, staje na straży świętego związku rodzinnego i popiera rozwój wszelkiej autonomii społecznej. Cóż za moc wolnościowa, cóż za siła wyzwalająca z wszelkiego rodzaju niewoli wewnętrznej i zewnętrznej, namiętnościowej i państwowej tkwi w tych słowach: »Boga trzeba więcej słuchać, niż ludzi«; »cóż pomoże człowiekowi choćby cały świat zyskał a na duszy szkodę poniósł«; potęgi świata tego co najwyżej ciało nękać i zgubić mogą, ale duszy one zgubić ani splamić niezdolne. Naprawdę, Nietzsche nie zna ani chrześcijaństwa ani historyi, gdy utrzymuje, iż moralność chrystyanizmu wychowuje niewolnicze tylko dusze. Szlachetny humanizm wraz z godnością i wolnością obywatelską dopiero z chrystyanizmem przyszły na świat. *Appuruit humanitas et*

benignitas Salvatoris nostri Dei — pisze Paweł św. w liście do Tytusa (c. 2 i 3).

A prawo solidarności, które, wyrastając z potrzeb ekonomicznych i psychologicznych, łączy ludzi i wiąże w różne grupy społeczne, czyż nie czerpie swojej mocy żywotnej i moralnej li tylko z chrystyanizmu? Cała filozofia solidaryzmu bez podłoża chrześcijańskiego, to kwiat bez korzenia, który nieuchronnie zwiędnąć musi. Niedostaje jej bowiem ani głębi logicznej, ani mocy obowiązującej. Wszystkie te tajemnicze siły i spójnie, które wiążą serca ludzkie i tworzą różne grupy i związki społeczne, dopiero w chrystyanizmie nabierają mocy moralnej i obowiązującej. Oderwane od podłoża chrześcijańskiego są one niczem innem jak elementarnemi siłami przyrody lub konwencyi ludzkiej bez siły etycznej i sankcyi żywotnej. »Ewangelia — powiedziano słusznie — jest głęboko indywidualistyczną i zarazem socyalistyczną. Tkwi w niej twórczy czynnik asocyacyi, objaw nie tylko przypadkowy w jej dziejach, ale jako element istotny i charakterystyczny. Ona uduchownia nieprzezwyciężony popęd, łączący człowieka z człowiekiem i nadaje ponad konwencyę ludzką spójniom społecznym charakter konieczności moralnej. Ona podnosi tem samem wartość człowieka i przekształca obecne społeczeństwo zmieniając socyalizm, polegający na supozycyi walczących ze sobą interesów w socyalizm, który zasadza się na poczuciu jedności duchowej i wspólnego celu« [1].

Co więcej chrystyanizm nie tylko w sferę etyki przenosi wszystkie spójnie społeczne lecz uzupełnia i opromienia je nadto światłem i mocą mistycyzmu religijnego. W ten sposób solidaryzm pojęty staje się mistycznym gmachem kryształowym, w którym się odbija odwieczne światło i życie nieba samego. Nauka Chrystusa taki ideał religijno-społeczny nam stawia: budowa religijno-społeczna podobna jest do ciała z różnych członków złożonego, które wszystkie najściślej między sobą łączą się solidarnie i żywotną jedność stanowią. »W jednym Duchu wszyscy w jedno ciało jesteśmy ochrzczeni, bądź żydowie, bądź poganie, bądź nie-

[1] Harnack: *Die Mission und die Ausbreitung des Christentums.* Str. 108.

wolnicy, bądź wolni«. A w tem społeczeństwie solidarność jest tak wielka i żywotna, że »jeśli co cierpi jeden członek, społem cierpią wszystkie członki; choć bywa uczczon jeden, wespół się radują wszystkie członki« (I Kor. XII, 13, 26). Jeden za wszystkich a wszyscy za jednego: wspólna radość i wspólne cierpienia a nadewszystko dobro ogółu i praca twórcza i żywotna nad rozwojem i utrzymaniem całości. Chrześcijanie, to kamienie pojedyncze w gmachu Chrystusowym tak ściśle ze sobą spojone, że nie tylko oddziaływają na siebie, ale każda korzyść duchowa jednego udziela się wszystkim i odwrotnie każda szkoda duchowa jednego szkodzi wszystkim. Na tem polega obcowanie świętych w Kościele. Świadomość jasna takiej solidarności żywotnej, rzeczywistej i wszystkim immanentnej żyła w sercach starych chrześcijan w całej pełni.

Mamy tu więc najwznioślejszy indywidualizm, pięknie uwydatniający się i w życiu rodzinnem i społecznem i kościelnem a zespolony najściślej z najszczytniejszą solidarnością. Indywidualizm ten nie rodzi anarchii, nie rwie spójni społecznych, nie rozsadza gmachu państwowego ani kościelnego. Przeciwnie, dużo na tem zyskuje społeczność każda, bo im dzielniejsze jednostki tem doskonalsze społeczeństwo, bo wytworzenie samodzielnych charakterów i doskonały rozwój indywidualności to najszczytniejsze zadanie każdego związku społecznego.

Ale coś więcej jeszcze. Oprócz nowych sił i spójni społecznych, które chrystyanizm wnosi do historyi, on nadto potęguje i uświęca swą sankcyą religijną siły kulturalne we wszystkich dziedzinach pracy twórczej i postępu społecznego.

W jaki sposób? Naprzód przez to, że chrystyanizm jeden zdolny jest natchnąć wszystkie warunki i formy społeczne najgłębszą treścią życiową. Narody pogańskie stworzyły wielkie cywilizacye i wielkie instytucye kulturalne, ale kulturę serca i duszy pielęgnuje i krzewi tylko chrześcijaństwo. Zapewne i wśród pogaństwa tworzą się wielkie charaktery, kształci się w twardej szkole życia i historyi serce i dusza ludu, ale czem jest najwznioślejszy ideał życiowy narodów pogańskich w porównaniu do chrześcijańskiego ideału? On jeden tylko, wypływając z naj-

czystszych źródeł i pobudek, mieści w sobie miłość i moc Chrystusową i wieczność całą i niesie ze sobą harmonię i spokój życia. I na tem polega nieporównana moc kulturalna chrześcijaństwa. Wszystko co dobre i słuszne, co rzetelne i wielkie, skądkolwiekby ono pochodziło, i na jakimkolwiek gruncie wyrosło, znajdzie i znaleźć musi sankcyę wieczności w chrześcijaństwie, co więcej w niem jedynie tkwi twórcza potęga miłości, zdolna stworzyć czy odrodzić nową ludzkość i to królestwo Boże z nieba rodem, opierające się na sprawiedliwości i miłości, o które codziennie z takiem utęsknieniem się modlimy. Rzym miał kulturę siły bezwzględnej, na egoizmie opartą, Ateny kulturę piękna, pełną wesołości czarującej i rozkoszy życia. Ale Rzym i Ateny stworzyły też despotyzm cezarów, arystokratyzm sybarytów i tłumy rozprożniaczonej ulicy i niewolników, zatruły duszę ludu goryczą beznadziejną i humorem szubienicznym. Kultura egoizmu i zmysłowości pielęgnują w sobie zarodki śmierci i zgnilizny i zginąć musiały nieuchronnie. Nieprzerodną siłę życiową i warunki rozwoju posiada tylko kultura Ewangelii, która karmi świat miłością i wychowuje dla wieczności, która budzi dusze do zmartwychwstania i rzeźbi wielkie charaktery, która uszczęśliwia ludzi i roznieca w sercach święte ognie wolności i postępu na wszystkich polach i dziedzinach pracy i życia społecznego. Ona rozpala po wszystkich miastach wielkich, kędy idą drogi handlu światowego, wielkie ogniska kulturalne, skąd promienieje wzdłuż i wszerz krajów całych nauka Chrystusa, budząc barbarzyńskie ludy do nowego życia, kładąc fundamenta pod nową sztukę i filozofię chrześcijańską, pod literaturę ludową i nowe życie społeczne. Tak zwolna obok i w miejsce kultury rzymsko-helleńskiej sadowi się kultura chrześcijańska. Przypatrzyć się bliżej tym ogniskom i pracy twórczej kultury chrześcijańskiej, śledzić jej drogi rozwoju i wpływy na życie społeczeństw będzie również przedmiotem pracy niniejszej.

Wpierw jednak w najogólniejszych zarysach naszkicować należy świat, wśród którego chrześcijaństwo wzięło początek i rozszerzać się poczęło, oraz najgłówniejsze momenty przyczyniające się lub utrudniające rozwój wśród państwa rzymsko-helleńskiego.

Zaczniemy od hellenizmu.

W VI stuleciu przed naszą erą Persowie drogą podboju zjednoczyli wszystkie ludy cywilizowane Azyi i Afryki i założyli pierwszą monarchię uniwersalną, rozciągającą się od rzeki Indus aż po Dunaj i morze Egejskie.

W dwa wieki później Aleksander Wielki rozbił luźno związane państwo Persów i zawładnął Azyą. Prorok Daniel na wygnaniu perskiem kilka wieków przedtem odchylając tajemniczy rąbek przyszłości, porównuje państwo macedońskie do spiżu symbolicznego posągu Nabuchodonozora (II, 39), do leoparda skrzydlatego (VII, 6), do jednorożca (VIII, 5—7), groźnego i chyżego, »który przychodził od zachodu na wszystką ziemię a nie dotykał się ziemi«. Co więcej pokazuje na oko nie tylko zwycięski pochód genialnego wodza lecz i przyszłe losy państwa jego: »Powstanie król mocny i będzie panował panowaniem wielkiem a czynić będzie, co mu się podoba. A gdy stanie, będzie skruszone królestwo jego i będzie rozdzielone na cztery wiatry, ale nie między potomki jego...« (XI, 3—6). Proroctwo Daniela spełniło się literalnie, zda się, że to współczesny poeta śmiałymi rysy maluje nam chwałę i upadek Wielkiego Aleksandra.

Dla historyi cywilizacyi i chrześcijaństwa zwycięstwa macedońskie niezmiernie wielkiej były doniosłości.

Górowała w epoce macedońskiej myśl wielka, która się wyrażała w wspólnych festynach narodowo-religijnych i w rosnącym wspólnym dorobku umysłowym, która się hartowała w życiu zarobkowem przez stykanie i ścieranie się codzienne z barbarzyńcami, mianowicie: myśl jedności, mocy i chwały narodowej. Ludy Grecyi powiedziały sobie: Dosyć już tych zawiści i waśni politycznych i partyjnych, które od wojny peloponeskiej przez wiek prawie cały pogrążyły Grecyę całą i pojedyncze miasta w rozterki krwawe i walki bratobójcze — dosyć już tej demokracyi, która po wytworzeniu wspaniałej i wielkiej kultury razem z genialnymi ludźmi wydobyła na widownię motłoch ciemny i nigdy nie nasycony, która stworzyła despotyzm i nigdy nie kończące się krwawe zawiści i niepokoje. W panhellenizmie drzemią olbrzymie siły, które tylko monarchia umiejętnie i energicznie wy-

zyskać i przez świadomą celu politykę konsekwentnie do zwycięstwa poprowadzić zdoła. Tak rozumowało wielu znakomitych Greków i Isokrates, który jeszcze w r. 380 nawoływał Ateny do jedności w imię idei narodowej i do wojny z Persami, ale rozwojem wypadków pouczony, niebawem zwraca się ze swoim programem do Jazona z Phery, Dyonizego, Archidamosa i wreszcie do Filipa, mniemając, że monarchia tylko zdoła połączyć w potęgę rozbite siły helleńskie i wyrwać je z ciągłych rozterek i popchnąć na drogę wielkich przeznaczeń. I ideę tę podjął Filip i zręczną i konsekwentną polityką stworzył potężne państwo a Aleksander rozplenił ją mieczem i potęgą geniuszu wojennego na olbrzymich obszarach Azyi. Potężnych zaś sprzymierzeńców znalazł w Grekach Małej Azyi, którzy, spragnieni pokoju i bezpieczeństwa, powitali radośnie wielkie przedsięwzięcie genialnego wodza.

Rylec historyka świętych ksiąg Machabejskich o zwycięstwach Aleksandra lapidarnymi rysy taki kreśli nam obraz: »I stało się potem, gdy Aleksander Filipów, Macedończyk, który pierwszy królował w Grecyi, wyszedłszy z ziemi Cethyru, poraził Daryusza, króla Persów i Medów.

»Zwiódł wiele bitew i odzierżał wszystkich zamki i pozabijał króle ziemskie i przeszedł aż do granic ziemi i zabrał łupy mnóstwa narodów i umilkła ziemia przed oczyma jego. I zebrał siłę i wojsko bardzo mocne: i wywyższyło się i podniosło serce jego. I odzierżał krainy narodów i króle: i stali mu się hołdownikami. A potem upadł na łoże i poznał, że umrzeć miał. I wezwał zacnych służebników swych, którzy od młodości z nim wychowani byli: i rozdzielił im królestwo swe, jeszcze za żywota. A królował Aleksander przez dwanaście lat i umarł« (I ks. I, 1—8).

Po dwu wiekach panowania Persya ustąpiła z widowni historyi. Cóż po niej pozostało? Chaldea i Egipt zostawiły po sobie bogatą spuściznę cywilizacyjną, Persya tylko szczątki ksiąg religijnych, które kilkakrotnie przerabiane znane są pod nazwą Awesty, oraz kilkanaście pałaców i grobowców i ołtarzy i fragmentów epopei, przechowanych przez Greków.

Jak to sobie wytłumaczyć? Bo młodzieńcze ludy Iranu zetknęły się z ludami dotkniętymi marazmem kulturalnym i przy-

jęły po nich wielką spuściznę historyczną. To też w niewielu latach upajając się przerafinowaną cywilizacyą, już to tracą swoją siłę młodzieńczą, już to zużywają ją na utrzymanie w całości olbrzymiego państwa. Cała historya Achmenidów począwszy od pierwszego Daryusza aż do ostatniego jest niczem innem, jak pasmem prawie nieprzerwanem wojen wewnętrznych z rwącemi się do wolności prowincyami. Tłumiono bunty, ale nie zdołano ani siłą opanować, ani wyższą kulturą omamić i wynarodowić ludów. I w tem ustawicznem zmaganiu się krwawem Persów z ludami podbitymi: z Grekami i Egipcyanami, z Chaldejczykami i Syryjczykami i różnymi szczepami Małej Azyi wyczerpały się i wyniszczyły ich siła i żywotność. To też gdy Aleksander pchnął Macedonię na widownię dziejową, zwycięscy Grecy nie spotkali żywotnego oporu.

Zamknął się okres w historyi. Cywilizacya Wschodu, która w czasach prastarych szerokim prądem ulewała się na zachód, ustępuje cywilizacyi helleńskiej — i to pierwsze następstwo zwycięstw Aleksandra.

Syrya cała wraz z Palestyną już od wieków wystawione były na wpływy dwu państw olbrzymich, dwu cywilizacyi prastarych: babilońsko-asyryjskiej i egipskiej, które od szeregu wieków rywalizowały ze sobą o wpływy i panowanie nad światem.

Na wschodzie za Eufratem w żyznym kraju, poprzerzynanym gęstą siecią kanałów, żył lud może jedyny w historyi, który zakwitnął wysoką kulturą i rozwinął się w potężne państwo, nie opierając swojej potęgi na mieczu. Lud ten, wpatrzony w niebo gwiaździste, dał światu uczonych i naukę: matematykę, astronomię, miary i wagi i podział czasu, którego dziś się trzymamy. Kultura jego i przemysł rozchodziły się szeroko po Syryi, Palestynie i Kappadocyi i wogóle całej Azyi zachodniej. Z łona jego wyszedł lud hebrajski, który dał światu religię prawdziwą. Z łona jego wyszedł lud assyryjski, który pierwszy założył monarchię uniwersalną, despotyczną i zdobywczą i daleko rozniósł zdobycze cywilizacyjne Chaldei w szeroki świat. Polityka bowiem zaborcza Assyryi sprawiła, że ludy, które nigdy przedtem nie stykały się, w ścisłe ze sobą wchodzą stosunki i torują drogę nowym prądom.

Z miasta do miasta, z kraju do kraju posuwa się na zachód prastara kultura babilońska, obejmuje Fenicyę i Syryę, kolonie greckie w Azyi Mniejszej, ludy hetejskie i armeńskie, wyciska charakterystyczne swe piętno na początkach sztuki greckiej i niesie zawiązki wszystkich prawie nauk na Zachód. Swiatowładni zaś królowie assyryjscy, chcąc przekazać chwałę swoją czasom późniejszym, zakładają wielkie biblioteki ceglane, które nam dziś po kilku lat tysiącach opowiadają o dziejach wielkiej cywilizacyi.

Drugie ognisko prastarej cywilizacyi, to Egipt, którego wpływy kulturalne poprzez pustynię Arabii sięgały daleko aż do Małej Azyi. Z listów, pisanych około 1400 r. przed Chrystusem z środkowej i południowej Syryi językiem assyryjskim do królów Egiptu, wiemy, że kraje te były przez 250 lat (1500—1250 przed Chr.) pod panowaniem Egiptu. A więc dwa prądy kulturalne z Egiptu i Babilonii stykają się i rozlewają na obszarach Syryi i wyżłabiają charakterystyczne swe piętno na ludach kanaanejskich, na Fenicyanach i Hetejczykach i ludzie izraelskim.

Otóż podboje Aleksandra i panowanie Greków położyły koniec cywilizacyi wschodniej. Zamieniły się role. Spuściznę i zadanie cywilizacyjne ludów Wschodu i Egiptu podejmują Grecy i Rzymianie.

Następstwem zwycięstw Aleksandra były dalej zmiany polityczno-społeczne na olbrzymich obszarach Azyi wschodniej.

Aleksander Wielki powziął plan wielki i pracował usilnie nad jego urzeczywistnieniem, mianowicie, żeby pojednać Wschód z Zachodem i stworzyć olbrzymie, uniwersalne państwo światowe, zjednoczone nie tylko potęgą miecza, lecz potęgą intellektualną: jednością języka, obyczajów i cywilizacyi. Jego marzeniem było omamić i przepoić helleńską kulturą wszystkie ludy wschodnie i mocą jednoczącą tej kultury stopić je w jedną całość. To też w ślad za jego armią zwycięską ciągnęły tysiące kolonistów greckich w celu zakładania nowych miast lub osad greckich po miastach krajowych. Cała Azya miała się pokryć siecią nowych ognisk kulturalnych, promieniejących wokoło język i obyczaje i cywilizacyę grecką. W tym celu zaczął występować jako pan całej Azyi, w obejściu, stroju i ceremoniale naśladował władców oryentalnych

popierał związki rodzinne pomiędzy Grekami i Azyatami, powoływał na urzędy Azyatów. Polityka i postępowanie to okazały się illuzyą a wśród Greków i Macedończyków wywoływały oburzenie. Nie zgadzało się to z dumą Greka, który hardo wynosił głowę nad każdego obcokrajowca: to barbarzyniec. Nie zgadzało się to z radą, którą swemu wielkiemu uczniowi udzielił Arystoteles (Fragm. 658 Rose): Nad Grekami — mawiał on — trzeba wystąpić w roli hegemona, nad barbarzyńcami w roli despoty; dla tamtych trzeba być przyjacielem i krewnym, barbarzyńców trzeba wyzyskać jak zwierzęta i rośliny. Zresztą, żeby pochłonąć miliony na to potrzeba było nie tylko przewagi cywilizacyjnej i moralnej lecz i liczebnej.

Marzenie się nie ziściło, ale bądź co bądź Aleksander wzniósł się pod tym względem ponad przesądy ciasnego nacyonalizmu i rzucił w świat — mniejsza o to z jakich pobudek — wielkie hasło humanitarne, które zwolna utorować miało drogę chrześcijaństwu. Snać intuicyjną mocą swego geniuszu praktycznego przeczuł, że po zdobyciu nowych światów i otworzeniu się nowych horyzontów trzeba rzucić w świat nową ideę, która w kilka wieków później, natchniona mocą Chrystusową przeobrazić miała świat cały w jedną wielką rodzinę. W sto lat później idea ta znaczący znalazła wyraz u jednego z filozofów greckich Eratosthenesa [1], który odrzuca podział na panów i sługi i nie uznaje wyższości ras, a ludzi dzieli i ocenia według cnoty.

Plan się nie udał, ale bądź co bądź hellenizacya świata, zapoczątkowana przez podboje Aleksandra i kontynuowana pod panowaniem jego następców, olbrzymie robi postępy i to świadczy o czarującym wpływie i wielkiej mocy atrakcyjnej kultury greckiej, która zwolna opanowywa warstwy wyższe wszystkich krajów nad morzem Śródziemnem i wciska się ze wszech stron do Palestyny. Za panowania Rzymian, którzy wykształceni w szkole cywilizacyi greckiej, połączyli Wschód z Zachodem w jedno olbrzymie państwo, hellenizacya osiąga swój punkt kulminacyjny.

Wypracowuje się nowy świat: znikają granice, które dzieliły murem nieprzebytym lud od ludu, szczep od szczepu; rozpadają

[1] Strabo I, p. 66, 67. Cf. Cicero: *De republica* I, 58.

się w gruzy rozliczne państewka, któremi był usiany Wschód i Zachód, tworzą się nowe formacye społeczne. Ludy się ruszają. »Przedewszystkiem na początku epoki hellenistycznej — mówi Schürer — wędrówki te musiały być wielkie bardzo. Dyadochowie i ich następcy popierali o ile możności w interesie skonsolidowania państwa mieszanie się różnych narodowości, a więc wędrówki ludów tam i sam z jednej prowincyi do drugiej. Potrzebowali oni nadto do zakładania nowych miast częstokroć wielkich mas osadników. I w jednym i drugim wypadku udzielano przybyłym wychodźcom w wielu miejscowościach często bez wszystkiego, prawa obywatelstwa albo innych przywilejów« [1].

Razem ze spotęgowanym ruchem ludności dokonują się zmiany i przeobrażenia w świecie myśli i uczuć. Z licznych dyalektów greckich wydziela i wytwarza się na podstawie attyckiego jakby nowy język światowy κοινή. A z językiem wciskają się wszędzie idee nowe, wytwarzają się nowe pojęcia i nowe poglądy. Rosnący krytycyzm filozofii greckiej roztoczył wewnętrzną siłę religii, rozpadające się republiki miejskie poderwały jej korzenie. Dotąd żyły one życiem państwowem i z niego ciągnęły soki żywotne, obecnie oderwane od podłoża życiodajnego więdną jak kwiaty, odcięte od korzenia. To co było w nich dobrego i wiecznego ulatując w górę tworzy religijną atmosferę wieku, elementa zaś ziemskie, zmysłowe, demoniczne przyoblekają się w formy dzikiej i rozwiązłej zmysłowości lub egzotycznej tajemniczości o ponurem zabarwieniu. Epoka hellenizmu, to czas upadku religii narodowych, synkretyzmu różnych religii i różnych bogów, astrologii i czarnej magii i kultu cezarów, ale o tem poniżej.

Szybko zaś po sobie następujące wypadki dziejowe: wielkie przeobrażenia i formacye społeczne i państwowe sprawiły, że uczucie niepewności i niepokój zagnieździły się w umysłach i sercach. Wzrasta i szerzy się kult Fortuny, Τύχη, tej kapryśnej bogini, która dowolnie burzy państwa i nowe tworzy, to co wielkie upokarza a to co nizkie podwyższa, która wiecznie niespokojna i wiecznie spragniona rzeczy wielkich, utrzymuje świat w konwulsyjnych

[1] *Geschichte des jüdischen Volkes.* T. III. str. 2.

drganiach. Mimo świątyń i posągów i ofiar, na jej cześć składanych, ludzkość cała stała się igraszką w jej ręku. Obok zaś kultu Τύχη rozwija się pod rosnącym wpływem stoicyzmu i gwiazdarstwa kult Εἱμαρμένη czyli Ἀνάγκη, kult ponurego determinizmu i przeznaczenia. W miejsce różnych bogów występują potęgi bezimienne, bezosobowe, tajemnicze i bezlitośne, jak wieczność, jak bezbrzeżne fale oceanu. Treść dawnych religii się rozwiała, pozostały tylko pewne ceremonie, pewne formy i ogólna oryentacya duszy ogółu w kierunku monoteizmu. Tak rozkład i upadek religii politeistycznej toruje drogę do przyjęcia chrześcijaństwa. Wszystkie te objawy i skutki atoli wystąpią w całej pełni dopiero za cezarów rzymskich.

Teraz jakie stanowisko wobec hellenizmu zajęli Żydzi, którzy już to kształcąc się w szkole wieku, już to porwani prądem wypadków znaleźli się w pośród rozwoju ogólno-światowego. Najpierw Żydzi wśród i podczas rozproszenia.

Wychodźtwo Żydów rozpoczęło się naprawdę i olbrzymie przybrało rozmiary dopiero od czasu podbojów Aleksandra Wielkiego. Na początku pierwszego stulecia przed Chr. — pisze geograf Strabo — nie było prawie miasta na świecie, gdzieby nie było Żydów. We wszystkich ogniskach rozwijającego się handlu nad morzem Śródziemnem, we wszystkich prawie miastach państwa rzymskiego od Rzymu począwszy aż do odległego królestwa Partów, od Czarnego morza aż do Egiptu były osady żydowskie. Z orędzia wystosowanego w roku 138/139 przed Chr. przez senat rzymski w obronie Żydów do królów Egiptu, Syryi, Pergamu, Kappadocyi i Partów i do licznych prowincyi, miast i wysp morza Śródziemnego, wnioskujemy, że we wszystkich tych krajach i miastach w mniejszej lub większej ilości znajdowali się Żydzi. To też z dumą pisze Księga Sybillińska z tego samego czasu (III, 271): że wszystkie lądy i morza pełne są Żydów[1] — πᾶσα δὲ γαῖα σέθεν πλήρης καὶ πᾶσα θάλασσα.

Ile wtenczas było Żydów na świecie trudno ocenić. Wszelkie w tym kierunku dochodzenia statystyczne tylko cechę jakiegoś

[1] Schürer: *Geschichte des jüdischen Volkes.* Str. 2—38.

prawdopodobieństwa mieć mogą. W Aleksandryi z pięciu dzielnic miejskich dwie były prawie zupełnie żydowskie, Żydów zaś wogóle było tam około 200 tysięcy a w Egipcie według oceny Filona, żyda, milion czyli 7 czy 8 część całej ludności wogóle. W Syryi jeszcze wyższy procent przyjąć należy: na 7 milionów ludności przypadało tam stanowczo więcej niż 1 milion żydów; w Rzymie na 800.000 ludności 10—15.000 żydów. Według obliczeń prof. Harnacka na początku I stulecia po Chr. wypada 4—4½ mil. żydów na 60 mil. ludności w państwie rzymskiem, a więc znaczny stosunkowo procent[1] prawdopodobnie razem z prozelitami.

W miarę zaś jak rośli w liczbę, potęgowały się ich znaczenie i bogactwa w świecie. Wyż pomieniony Strabo pisze, że za czasów Augusta ich znaczenie społeczne i światowe było ogromne. »Oni do wszystkich wcisnęli się państw i nie łatwo znaleźć w świecie całym jakąś miejscowość, w którejby rasa ta nie znalazła przytułku i nie panowała« (Józef, żyd. XIV, 115.). A Filo, żyd, tłumaczy po swojemu, dlaczego żydzi opanowali świat cały. »W żadnym kraju, mówi on, nie zmieszczą się żydzi dla ich bogactwa narodowego. Dlatego też oni zamieszkują przeważnie wszystkie i najbogatsze kraje w Europie i Azyi, wyspy i kontynent, ich miastem zaś stołecznem jest Jerozolima«. (*in Flacc.* 7 M. II, 524).

Ale mimo rozproszenia po wszystkich krajach świata cywilizowanego wszyscy mają żywe poczucie solidarności, utrzymują ścisłą łączność pomiędzy sobą i »mają miasto święte, jak mówi Filo, w którem świątynia Boga najwyższego się znajduje, za swoją metropolię«. Wśród obcych zapomnieli języka rodzinnego a mimo to namiętnie są przywiązani do tradycyi narodowych, przyswoili sobie kulturę obcą i wszystkie jej skarby a nieugięcie trzymają się kultu przodków swoich. Jest jakaś niespożyta siła w tym ludzie, która podziw wzbudza, jakiś czar tajemniczy w tym narodzie, który potężną wywiera siłę attrakcyjną na swoich. Jak sfinks pustynny, wykuty z granitu, przetrwał lat tysiące i tajemniczo patrzy się na wypadki dziejowe, które naokoło niego się dokonywały, tak lud ten, wykuty z żywiołów twardszych od gra-

[1] Harnack: *Mission* 1906. Str. 1—15.

nitu, przetrwał lat tysiące i tajemniczo patrzy się i śledzi rozwój wypadków dziejowych, ażali godzina przeznaczeń nie wybije. On piastunem i stróżem w pochodzie wieków Objawienia Bożego i najczystszego monoteizmu, choć ta religia sprzeciwia się wszystkim instynktom jego, choć się w ciągu wieków ustawicznie przeciwko niej buntuje. On przeżył wielką katastrofę dziejową, największą może, jaką naród przejść może, bo oderwanie się od ojczystej ziemi i zatopienie w obcej a wielkiej kulturze światowej, ale katastrofa ta stała się początkiem odrodzenia jego, stała się powodem, że dopiero na wygnaniu namiętnie się przywiązuje do religii i kultury narodowej. On przeżyje drugą katastrofę dziejową, która zniszczy i pochłonie wszystko, co stanowi podstawę i składa się na wytworzenie i spotęgowanie narodowości: a więc ziemię, świątynię narodową i wszystkie ogniska prastare kultury narodowej, organizacyę polityczną i instytucye religijne i język rodzinny — a jednak zachowa swoje piętno narodowe i mimo zmiennych losów złej i dobrej doli, mimo przystosowania się do obcych cywilizacyi nie zatracił swojej narodowości.

Jak sobie wytłumaczyć tę niespożytą żywotność tego narodu?

I w dobie przedchrześcijańskiej judaizmu, której fizyognomię kreślimy, Żydzi rozproszeni i zanurzeni w oceanie pogaństwa nie tylko, że nie tracą wiary w Jehowę, ale rozwijają żywą propagandę pomiędzy poganami; rozrzuceni pomiędzy wysoko cywilizowanymi ludami i rozmieszczeni w światowych ogniskach wielkiej kultury oni wprawdzie ulegają jej wpływom i przyswajają sobie wszystkie jej dobrodziejstwa, ale na to tylko, by ją opanować, by większe sobie zdobyć wpływy i znaczenie; żyjąc wśród różnych narodowości uczą się ich języka, lub posługują się językiem światowym t. j. greckim, aż do zatracenia własnego, ale w głębi duszy są namiętnie przywiązani do swoich tradycyi narodowych i ścisłą utrzymują łączność z krajem macierzystym. Co więc było przyczyną, że Żyd, żyjąc w rozproszeniu nie przestał być Żydem, że będąc na obczyźnie nie zapomniał o ojczyźnie, że kształcąc się w szkole wieku wśród konającej religii pogańskiej nie zatracił swojej religii?

Pierwsza i najgłówniejsza przyczyna niespożytej żywotności

narodu żydowskiego — to żywe poczucie narodowe, skojarzone z przeświadczeniem wielkich przeznaczeń religijnych.

Narodowość żydowską rzeźbiły wielkie wypadki i katastrofy dziejowe, przez jakie lud ten przechodził; religia żydowska kształciła się i rozwijała na tle ogólnego rozwoju dziejowego i w wirze wypadków dziejowych tak, że każdy Żyd słusznie sobie mógł powiedzieć: Jahwe kieruje pochodem historyi dla dobra i chwały ludu wybranego; lud żydowski jest stróżem i piastunem idei Messyańskiej, która się przewija przez całe dzieje jego, która w psalmach i proroctwach znalazła jasny wyraz, że Messyasz wytworzy nowy lud Boży i stworzy nowy kult Boga i cały świat pogański zamieni w królestwo Messyańskie.

Ale ani religia, spleciona z życiem narodowem ani narodowość, spotęgowana religią, ani świadomość wielkich przeznaczeń religijnych nie byłyby się oparły, zwłaszcza w rozproszeniu, sile asymilacyjnej kulturalnych narodów, nie byłyby przetrwały burzy wieków, gdyby się nie opierały na jędrnem życiu rodzinnem i na żywotnych związkach religijno-ekonomicznych.

Naprzód tedy szańcem obronnym życia narodowego i religijnego Żydów było zdrowe życie rodzinne i wychowanie religijne.

Jest prawo nieodmienne w historyi, które wciąż się sprawdza, że te narody górują nad innymi, które się odznaczają jędrnem życiem rodzinnem i dobrem wychowaniem dzieci. Te jednostki i rasy są najdzielniejsze i najszlachetniejsze, które najlepsze otrzymały wychowanie. W wychowaniu młodego pokolenia leży cała tajemnica postępu i potęgi narodu. Tem też głównie się tłumaczy niespożytość i wytrzymałość i przedsiębiorczość rasy żydowskiej.

Życie rodzinne u żydów miało dziwną żywotność i spoistość i opierało się na tradycyi, jak może w żadnym innym narodzie. Jeszcze za czasów Chrystusa wiedziano doskonale, do jakiej kto należał gałęzi rodowej. Na straży życia rodzinnego stały dekalog i surowe kary publiczne: wszelkie wykroczenia nieobyczajne, rozrywające związki rodzinne, pociągały za sobą karę śmierci [1].

[1] Lev. XVIII 23—30; XX, 15, 16, 23, 10—14; XXI, 9; Deut. XXII, 21 i t. d.

Mieć dużo dzieci i pobożnie i dzielnie je wychować było marzeniem każdego Żyda i nieomylnym znakiem błogosławieństwa Bożego.

Ideałem czystej i dzielnej kobiety wśród bezbrzeżnej rozwiązłości świata pogańskiego to Judyta, która ufając w moc Bożą, zbrojna we wszystkie ponęty czaru kobiecego, podejmuje walkę z Holofernesem i wyswobadza ojczyznę. Scena ta biblijna rzuca dużo światła na stosunki moralne wśród Żydów. Na Wschodzie kobieta trzymana w zamknięciu i poniżeniu, a tu kobieta podtrzymuje odwagę rycerzy, podejmuje się obrony miasta. Zniewieściały wódz przypłacił gardłem swoją rozpustę a ona czysta, zwycięska, jak bohaterka wstępuje w bramy miasta Betulii. Pierwsze jej słowo po powrocie: »A żywie sam Pan, że mię strzegł Anioł Jego«, wracam bez zmazy grzechu. Jaki ideał czystości jaśnieje z tych kart! Związek małżeński w takiej ma cenie, że po śmierci męża odtrąca wszelkie powtórne związki i na ostrościach umartwienia i na pracy dla bliźnich i bohaterskiem poświęceniu się spędza życie. Lud, który wydaje takie kobiety i któremu przyświecają takie ideały czystości, zawsze górować będzie nad innymi które się zadawalają codzienną i zdawkową moralnością świata.

Z ideałem czystej i bohaterskiej kobiety łączy się czystość związku małżeńskiego. Esra i Nehemiasz rozpoczęli pracę nad odrodzeniem narodu od tego, że oddzielili miasto święte murem od świata pogańskiego i dbali o czystość związków małżeńskich. Mieszane małżeństwa były surowo zabronione. Pod grozą klątwy i konfiskaty majątku musieli się rozwieść Żydzi z pogankami. Podobnie w późniejszych czasach, ażeby ludność uchronić przed hellenizacyą i jadem pogaństwa wszędzie wciskającego się, z całą bezwzględną surowością podjęto walkę przeciwko małżeństwom mieszanym: »Kto córkę swoją albo siostrę daje poganinowi, śmiercią pomrze, i to śmiercią kamienną, albowiem popełnił zbrodnię«, postanawiają księgi narodu. (Jubil. 30, 7). Żyd hellenista, Filo, potępia małżeństwo mieszane dlatego, że prowadzi do apostazyi (de spec. leg. I, 5 M. II, 304). Opinia zaś publiczna była pod tym względem tak surowa, że nawet zhellenizowany dom Herodów nie śmiał uchylić się z pod tego prawa.

Wychowanie dzieci było religijne, patryotyczne i praktyczne. Praca ręczna była w wielkiej cenie, próżniactwo w pogardzie. Całe wychowanie zmierzało do tego, żeby wyrabiać i kształcić zmysł samodzielności i przedsiębiorczości. Każdy Żyd miał obowiązek nauczyć syna rzemiosła: »nie wyuczyć syna rzemiosła to znaczy kształcić go na wielkiego łotra«, mówi Talmud. Rabini i genialny Paweł uprawiali rzemiosło, ktorego się wyuczyli za młodu.

Razem z pracą ręczną uczono dzieci Zakonu, historyi i wpajano we wrażliwe serca dziecięce zrozumienie wielkich przeznaczeń narodu. Ledwo dziecko szczebiotać zaczyna, matka kładzie mu do ucha zdania z Zakonu. Gdy umie na pamięć jakiś ustęp, uczy się sylabizować i czytać to, czego się uprzednio nauczyło. Tak biblia staje się elemantarzem. Pod okiem matki i kierunkiem ojca dziecko uczy się czytać Pisma, słucha wykładu Zakonu i historyi narodu swego [1]. Wcześnie też bardzo istniały u Żydów zorganizowane szkoły ludowe przynajmniej dla chłopców: Według Talmudu wielkie położył zasługi na polu szkolnictwa Josua ben Gamla (około 65 r. po Chr.), który pierwszy wprowadził przymus szkolny postanawiając, żeby w każdej prowincyi, w każdem mieście chłopcy od 6 albo 7 roku począwszy uczęszczali do szkoły. W połowie pierwszego wieku tedy, zdaje się, Żydzi już mieli przynajmniej po miastach i w Judei do pewnego stopnia uregulowane szkolnictwo. Szkoły takie według elementarza nazywano domami »Książki«. Wobec takich zarządzeń i starań o oświatę ludową, słowa Józefa, Żyda, szczególniejszego nabierają znaczenia, gdy twierdzi, że Żydzi »największą wagę przywiązują do wychowania dzieci i że zachowanie przykazań oraz pielęgnowanie pobożności, przekazanej przez te przykazania, uważają za rzecz najpotrzebniejszą w życiu całem (Ap. I, 60). A gdyby się spytano kogo z nas o te przykazy, wyrecytowałby je łatwiej niż własne nazwisko. Uczymy się ich bowiem, skoro tylko świadomość się rozbudzi, to też tkwią one jakby rylcem wyryte w duszach naszych. (Ap. II, 178).

---

[1] Bossuet, *Religion des Judentums*. Str. 209.

Chwilą przełomową w życiu Żyda był rok dwunasty, kiedy dorastający chłopiec staje się członkiem społeczeństwa, kiedy zrównany co do praw i obowiązków religijnych z starszymi, pierwszą odbywa pielgrzymkę obowiązkową do Jerozolimy. Czem była chwila taka w życiu dziecka wnosić można ze słów i prześlicznej sceny ewangelicznej dwunastoletniego Jezusa: »Cóż jest, żeście mnie szukali? Nie wiedzieliście, iż w tych rzeczach, które są Ojca mojego potrzeba iżbym był«. Po raz pierwszy odsłania tu Jezus całą wielkość swego zadania, wznosi się świadomie na wyżyny swego posłannictwa, odsuwa na bok wszelkie względy i zrywa wszelkie więzy ziemskie, odsuwa na bok nawet serce matki, trwogą i miłością miotane, i ulega tylko idei i woli wyższej: »potrzeba żebym był«. Ażeby jednak nikt nie przypuszczał, że chwila ta to początek wyzwolenia z pod władzy rodzicielskiej, ewangelista dodaje: *et erat subditus illis* i był im poddany.

Podobne sceny, choć mniej wyraziście, pewnie się zdarzały w rodzinach żydowskich, chociaż nie były otoczone urokiem tajemniczej godności i opromienione jasną świadomością wielkiego posłannictwa Messyańskiego.

Wykształcenie religijne Żyda dopełnia i pogłębia lektura Pisma, nauki i rozmyślania w synagodze i pielgrzymki religijne.

Pisma uczono się z zapałem. Z żarliwością, mówi Józef o rówieśnikach swoich, młodzież uczyła się Zakonu, i on sam, mając lat 14, znał całe Pismo na pamięć. Pergaminowe zwoje Zakonu znajdowały się częstokroć po domach prywatnych, a o Jochanan ben Zakkai pisze Talmud, że ani na długość 4 łokci nie wychylił się poza dom bez Tory i filakteryów. Zresztą Pismo było dla każdego dostępne w synagodze, która w Palestynie znajdowała się w każdej większej wiosce a na rozproszeniu w każdem mieście. Tam schodzili się pobożni Żydzi codziennie rano, w południe i wieczór na modlitwę, tam na żądanie *Hasan* podawał im zwoje pergaminowe Pisma a kto chciał, siadał i zatapiał się w rozmyślaniu przy migotliwym blasku lampki wiecznej, symbolizującej przed zwojami Tory światło Objawienia. Tam główną część nabożeństwa sobotniego stanowiło czytanie i tłumaczenie Pisma. Synagoga — mówi Filo — »to uczelnia«, gdzie

udziela się w pierwszym rzędzie nauka Pisma. A kaznodzieją i wykładaczem Pisma mógł być każdy, kogo wezwał z pośród zebranych na nabożeństwo przewodniczący synagogi, choć pierwszeństwo miała starszyzna i uczeni w Piśmie. Że czytania te, nauki i rozmyślania nad Księgą świata rozniecać musiały w sercu Żyda ognie patryotyzmu i żarliwości religijnej, że musiały go natchnąć potężną mocą duchową i wpoić w duszę jego głębokie rozumienie o szczególnem posłannictwie narodu, któż zaprzeczy?

Szczególnie znamienną pod tym względem rolę w żydowskiem życiu religijno-narodowem odgrywały pielgrzymki do Jerozolimy.

Co roku stosownie do przepisu Zakonu: »Trzykroć do roku ukaże się wszelki mężczyzna twój przed Panem Bogiem twoim« (Exod. XXIII, 17), w czasie Zielonych świąt, Kuczek, a przedewszystkiem w czasie Passa, nieprzejrzane tłumy ludu ze wszystkich stron świata płynęły do miasta świętego. »Tysiące z tysięcy miast, mówi Filo, pielgrzymuje na każde święto do kraju świątyni: jedni lądem, inni morzem z wschodu i zachodu, z południa i północy jak do wspólnej przystani, do spokojnego portu burzliwego i pracowitego życia« (de Mon. I, 1).

Trzy te święta religijno-narodowe przywodziły na pamięć wielkie wypadki z przeszłości dziejowej narodu i ściśle się łączyły z życiem matki, żywicielki — ziemi. W święta Passa obchodzono pamiątkę wyzwolenia narodu z niewoli egipskiej i składano w ofierze, każdy z osobna, pierwociny zbiorów jęczmiennych; w Zielone święta pamiątkę ogłoszenia Zakonu na górze Synai, a na ołtarzach płoną pierwociny zbiorów pszenicznych; w czasie Kuczek święcono pamiątkę zajęcia ziemi obiecanej i uroczystość winobrania. Tak wielkie wypadki dziejowe z przeszłości i przeznaczeń narodu łączą i splatają się ze sprawami życia codziennego i gospodarczego. Każde też z świąt ma właściwą sobie cechę charakterystyczną: w czasie Passa spożywano baranka wielkanocnego; w czasie kuczek budowano namioty z świeżej zieleni i rozważano Pismo; w czasie żęcia zboża składano ofiary i wesołe urządzano biesiady, wspólne zresztą i innym świętom i obchodom uroczystym.

W drodze do Jerozolimy śpiewano psalmy, czytano Pismo, od-

prawiano modlitwy i pobożne rozmyślania. O możnym rzezańcu królowej etyopskiej Kandaki czytamy, iż wracając z pielgrzymki »siedział na wozie swym i czytał Izajasza Proroka (Dz. Ap. VIII, 28). Rozmyślano nad czem? nad wielką przeszłością, nad wielkiem przeznaczeniem narodu — aż tu na tle jasnego nieba zarysowuje się miasto święte z wspaniałemi kopułami, z złocistym dachem świątyni na górze Moriah, z pałacem Heroda i arcykapłana na górze Syon. Wzbiera fala wiary i jasnych nadziei i gorącego patryotyzmu: promienne widzenie miasta świętego zlewa się z potężnymi akordami, psalmu: »Jako miłe przybytki Twoje Panie zastępów« (ps. 84).

Podczas uroczystego pochodu w progi miasta świętego śpiewano psalmy 119—134 t. z. *hammá alot (graduales):* dziękczynne modlitwy i błagalne prośby i suplikacye dobywają się z piersi rozmodlonego ludu, wzbierają falą jakby groźby czy złorzeczenia przeciwko wrogom narodu: »Niech będą zawstydzeni... wszyscy, którzy mają Syon w nienawiści. Niech będą jako trawa na dachu, która pierwej uschła, niżeli ją wyrwą« (Ps. 128, 5, 6); wzbierają falą pokory pokutnej i ufności potężnej: »Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują. Jeśli Pan nie będzie strzegł miasta, próżno czuje, który go strzeże«. (ps. 126, 1, 2). »Z głębokości wołam ku Tobie Panie... jeśli będziesz obaczał nieprawości Panie. Panie któż wydzierży, albowiem u ciebie jest ubłaganie« (ps. 124, 1, 3). Wznoszą się w niebo prośby błagalne uciśnionego ludu, żeby Bóg upokorzył bogatych, żeby spokój zapanował społeczny: »Zmiłuj się nad nami Panie, zmiłuj się nad nami... bo jest bardzo napełniona dusza nasza pośmiewiskiem bogatych i wzgardą pysznych (ps. 122, 3, 4). »Niechaj będzie pokój w mocy Twojej... dla braci mojej i bliźnich moich« pokój i pomyślność. Bo »oto jako dobra a jako wdzięczna rzecz mieszkać braciej społem«. (ps. 132, 1).

A same nabożeństwa i obchody uroczyste i nauki i ofiary i biesiady w Jerozolimie. Święta wielkanocne były *par excellence* świętem Messyańskiem. W ich świętych obrzędach mieścił się cały świat żywej wiary i tęsknoty błagalnej i ufności bez granic. Na ołtarzach płoną ofiary, na krużgankach świątyni odbywają się

wykłady, toczą się żywe i gorące dyskusye, lud rozważa w duszy swoją przeszłość dziejową, snuje wspaniałe obrazy królestwa Messyańskiego i wyzwolenia z niewoli grzechowej. Patryotyzm zlewa się tu z najgorętszem uczuciem religijnem.

Tak pielgrzymki do miasta świętego kształciły i rzeźbiły duszę narodu.

Drugim szańcem obronnym obyczaju narodowego i religii Żydów na obczyźnie były żywotne związki religijno-społeczne. Bez związków tych ani narodowość, ani religia Żydów nie byłaby się oparła burzom wieków i mocom atrakcyjnym wielkich cywilizacyi, bez związków tych wszystkie idealne rysy i pędy tego narodu, jego przewaga ekonomiczna i wpływy przemożne pośród najbardziej cywilizowanych narodów wogóle nie byłyby możliwe. Podziwiano zawsze nieporównaną solidarność Żydów, pogańscy pisarze mówili dużo o ich wytrzymałości rasowej i odludnem wyodrębnieniu się μισοξενία i ἀμιξία, Żydzi sami nieraz dumnie przechwalali się ze swoich bogactw, jak Filo, zawsze hardo wynosili głowę ponad wszystkich, którzy nie byli Żydami. Ale ta solidarność istotnie częstokroć zdumiewająca siłą i sprężystością swoją, ta nieprzełamana kastowość rasowa i górująca zdolność handlowa i przewaga ekonomiczna miały zawsze swoje źródło i podporę w spoistych, karnych i żywotnych organizacyach religijno-ekonomicznych. Żyd musiał wspomagać Żyda, musiał trzymać się z dala od obcych, musiał wychodzić zwycięsko w współzawodnictwie w życiu handlowem i zarobkowem, bo nad nim czuwała zawsze władza, uzbrojona w straszną egzekutywę, bo za nim stała zawsze wielka potęga ekonomiczna, której sprężystość była znana a wpływy sięgały daleko. Wyłamać się z pod tej władzy, uchylić się z pod tych wpływów przemożnych dla Żyda, który nie chciał zaprzeć się wiary i pozbyć najdroższych sercu dóbr idealnych, było zawsze rzeczą niezmiernie trudną a w czasach pogaństwa prawie niepodobną. Na czem polegały te związki, jaka była ich organizacya?

W ramach ustawodawstwa grecko-rzymskiego Żydzi tworzyli już to związki religijne na wzór różnych stowarzyszeń re-

ligijnych, już to związki obcokrajowców, którym na wzór kolonii rzymskich pewne przyznano przywileje. W Aleksandryi i Cyrene Żydzi tworzyli w obrębie gmin miejskich osobne związki prawnopubliczne z etnarchą na czele ἐθνάρχες, który, »ma w ręku rządy i sądownictwo i czuwa nad spełnieniem obowiązków i postanowień jak archon niezależnego miasta« (Strabo). To typ kolonii rzymskich poza Italią, które rozrzucone po miastach kraju podbitego uprzywilejowane miały stanowisko. Koloniści bowiem rzymscy nie płacili podatków miejskich ani nie podlegali zarządom miejskim. Innym typem związków żydowskich były osady kupców wschodnich, którzy choć najczęściej praw obywatelskich nie posiadali w obrębie organizacyi politycznych Grecyi i Italii, jednak odrębne zakładali korporacye, celem popierania wspólnych interesów materyalnych i duchowych, oraz pielęgnowania kultu rodzinnych bogów i języka ojczystego. W Rzymie Żydzi, będąc przeważnie w posiadaniu praw obywatelskich, tworzą prywatne gminy religijne t. zw. synagogi (συναγωγαί), które opierają się na dość szeroko pojętej autonomii. Każda gmina ma swoją synagogę t. j. dom modlitwy, własny zarząd ze starszych wybrany i urzędników gminnych. Związki te różniły się od innych stowarzyszeń kultów religijnych tem, że nie były tylko przez rząd tolerowane, lecz zatwierdzone *collegia licita* i miały niejako charakter instytucyi prawno-publicznych. Wprawdzie Cezar, obawiając się knowań politycznych, zniósł wszystkie stowarzyszenia z wyjątkiem gmin żydowskich, które za panowania Augusta uzyskały aprobatę rządową, i innych związków, od dawna istniejących.

Z aprobatą tą łączyły się niektóre przywileje wielkiej doniosłości: jak prawo najszerszej autonomii t. j. własnego zarządu i sądownictwa, prawo posiadania majątku i nakładania podatków religijnych, zwolnienie od służby wojskowej i od religijnego kultu Cezara. Prawa te i przywileje były tylko konsekwencyą już to szeroko pojętego samorządu, już to wolności religijnej, przyznanej Żydom w granicach Imperyum rzymskiego. Wellhausen[1] rea-

[1] *Israelitische und jüdische Geschichte.* Str. 241.

sumując przegląd dokumentów, omawiających stosunek prawny gmin żydowskich do rządu Imperyum tak pisze:

»Żydzi byli spoiście zorganizowani i mieszkali częstokroć razem w odrębnych dzielnicach; związki ich były uznane przez państwo i również ich kult, na którym się opierały. Posiadali oni wszelkiego rodzaju przywileje i wolności, ażeby spełnić mogli swoje obowiązki religijne; mieli też w pewnych granicach własną jurysdykcyę, albowiem religia żydowska nieodłącznie wiązała się z ustawodawstwem całem; oni mogli ściągać pogłówne, nakazem Mojżesza ustanowione i przeznaczone na utrzymanie świątyni *(didrachmon)*, i wysyłać je do Jerozolimy. Oni byli tedy faktycznie uprzywilejowani, ale właściwego prawa obywatelstwa, prawa do rządów miejskich nie posiadali Żydzi i nie mogli go posiadać dlatego, że sami wyłączyli się z ogólnego społeczeństwa i publicznego kultu« (str. 241). Jak zaś starannie Zydzi unikali i trwożliwie trzymali się z dala od życia towarzyskiego pogan, wiemy to z autorów pogańskich, którzy raz po raz zarzucają im ową μισοξενία i ἀμιξία oraz licznych postanowień Zakonu, mających na celu uniemożliwienie nawiązywania węzłów towarzyskich z poganami. Wiecie przecież — mówi Piotr św. do Korneliusza nawróconego do judaizmu — jak »obrzydła jest Żydowinowi stykać się i przychodzić do cudzoziemca« (Dz. Ap. X, 28). A Zydzi, oskarżający oszczerczo Jezusa, wzbraniają się wejść do pretoryum, aby nie splamić stóp swoich posadzką pogańską.

Ani w zabawach, ani wyścigach, ani przedstawieniach publicznych oni nigdy nie brali udziału, a w ciągu świąt pogańskich już trzy dni przed i po świętach nie było wolno wchodzić w żadne, nawet stosunki zarobkowe z pogany. Tak odosobnione, jakby odludne było ich życie w łonie społeczeństw pogańskich.

Na czele gminy żydowskiej stało kollegium, złożone ze starszych »πρεσβύτεροι« t. j. starszyzna z wydziałem wykonawczym »ἄρχοντες«. Zarząd obsadzał i rozdawał posady gminne: mianował zarządcę synagogi (ἀρχισυνάγωγος), który czuwał nad synagogą i nad porządkiem zebrań; mianował sługę synagogi (ὑπηρέτης), który był organistą, nauczycielem i sługą gminnym w jednej

osobie; ustanawiał skarbnika, który ściągał podatki religijne. W rękach starszyzny nadto spoczywała władza sądownicza, która ściśle łączyła się z Zakonem, obejmującym i normującym nie tylko życie religijne, lecz również życie społeczne. Żydzi rządzili się na mocy przywilejów w najściślejszem znaczeniu swojem prawem »κατὰ τοὺς πατρίους νόμους« (Jos. Antt. XIV, 10, 17).

Co więcej wszystkie te organizacye i republiki żydowskie ściśle były związane węzłami nie tylko duchownymi lecz finansowymi i prawnymi z krajem macierzystym i najwyższym zarządem społeczno-religijnym, Synedrium w Jerozolimie. Cały świat żydowski, rozproszony w państwie rzymskiem, to naprawdę państwo w państwie, to organizacya, mająca odrębną hierarchię i sądownictwo, mająca swój budżet i utrzymująca w rygorze posłuszeństwa całą ludność.

Z całego świata płynęły podatki do Jerozolimy, a po jej zburzeniu do Palestyny, gdzie urzędowała najwyższa władza narodowa t. zw. Patryarchat. Jak długo świat istnieć będzie, — pisze żyd Filo — płynąć będą dochody do Jerozolimy. »Prawo bowiem nakazuje, by wszyscy, którzy 20 lat ukończyli, coroczny płacili podatek... ponieważ zaś lud liczny, to też podatki, jak się spodziewać można było, płyną nader obficie. Prawie w każdem mieście jest kasa święta, do której wpłacają podatki. Pieniądze te wywożą w pewnych terminach mężowie z szlachetnych rodów. Z każdego miasta wybierają najszlachetniejszych, by nadzieję każdego Żyda bez uszczerbku złożyć w świątyni. Na tem legalnem bowiem płaceniu podatków polega nadzieja pobożnych«. Słynną była organizacya ściągania podatków w Babilonii i krajach za Eufratem. Główne urzędy podatkowe były w miastach Nisibis Nehardea. Stąd szły olbrzymie karawany wiozące skarby podatkowe pod eskortą tysięcy Żydów do Jerozolimy. Po zburzeniu miasta świętego podatek świątyniowy »δίδραχμον« zamienił cezar na podatek państwowy i kazał go ściągać z całą bezwzględnością. Ale niebawem w Palestynie nowy powstaje rząd centralny tak zwany Patryarchat i najwyższy trybunał w Jabne — i znowu corocznie nowe tam płyną podatki. Odtąd jednak Patryarchat ściąga je przez swoich pełnomocników t. zw. apostołów, którzy

mieli nadto za zadanie utrzymywać łączność pomiędzy poszczególnemi gminami.

Najwyższą władzę narodowo-religijną dzierży Synedrium a względnie Patryarchat wraz z najwyższym trybunałem w Jabne. Jaki był jej zakres działania, jaka łączność z gminami?

Ponieważ Zakon reguluje i normuje nie tylko życie religijne, lecz również społeczne, a więc władza Synagogi i w wyższej instancyi Synedrium obejmuje wszystkie sprawy religijne, cywilne i karne, o ile na to pozwalały ustawy państwowe. Była to władza prawie nieograniczona, która zapomocą kar cywilnych i duchownych trzymała ludność w rygorze posłuszeństwa. Najstraszliwszą bronią w ręku władzy żydowskiej jest klątwa, czyli wykluczenie z synagogi. Środek ten karny stosowany był nieraz w starym Zakonie, gdzie czytamy, że Esra pod karą klątwy i konfiskaty majątku nakazuje rozwieść się z pogankami. Była to zapewne klątwa wielka, w dzisiejszym kahale zwana »Herem« [1], na której imię drżą Żydzi i której roty niepodobna czytać bez przerażenia. Klątwa druga, czasowa, obecnie zwana »Indui« polega na wykluczeniu na pewien czas skazańca z gminy i zerwania z nim wszelkich stosunków materyalnych i duchowych. Tak bywa w dzisiejszym kahale. Oprócz klątw władza żydowska wymierzała i inne kary: skazywała na rózgi, więzienie, na śmierć. Na mocy tej władzy Szaweł, uzbrojony w dekret Synedrium, ściga chrześcijan i skazuje ich na więzienie i rózgi (Dz. Ap. 22, 19, 26, 11) i to nie tylko w Judei i Palestynie, ale aż w Damaszku; mocą tej władzy później jako chrześcijanin sam kilkakrotnie został oćwiczony rózgami po różnych miastach.

Urzędową łączność z osadami żydowskiemi utrzymywał Patryarchat, jak to wynika z różnych dokumentów, zapomocą okólników i osobnych urzędników t. z. apostołów, którzy ściągali podatki i pełnili kontrolę hierarchiczną nad całym światem żydowskim. O okólnikach takich i delegatach Synedrium pisze jeszcze Euzebiusz, dodając, że oni »dziś jeszcze« nazywają się apostołami.

---

[1] »Herem« to Żyd, współczesny Esry, którego synowie pod grozą klątwy rozłączyli się z pogankami.

Męczennik zaś Justyn w dyalogu z Żydem Trypho opowiada, że za czasów Apostołów Synedrium na wszystkie strony rozesłało agitatorów, którzy przeciwko bezbożnej i depcącej Zakon sekcie Galilejczyków kazać mieli.

Tak synagoga rozrosła się w gmach światowy, który stał się oparciem i w pewnym stopniu wzorem dla Kościoła Chrystusowego.

(C. d. n.)

Ks. Leonard Lipke.

JEDNO Z NIEBEZPIECZEŃSTW W KRÓLESTWIE.

Od pewnego czasu odzywa się znów w Warszawie w prasie, w broszurach, w rozmowach salonowych głos dzwonu alarmowego: niebezpieczeństwo niemieckie! Głos ten odzywał się już niejednokrotnie i przebrzmiewał zawsze bez zapłodnienia jakichś natur śmielszych, ruchliwszych czynem, któryby walczył skutecznie z tem niebezpieczeństwem.

Wiadomo, że Polska, rycerska i rolnicza, nie wytwarzająca ze swojego łona handlu i przemysłu, posługiwała się od czasów najdawniejszych w tych kierunkach obcemi siłami. Głównie sąsiedni Niemcy napływali całymi strumieniami do Polski, zaludniając miasta. Ale ci dawni immigranci przestali być z czasem cudzoziemcami. Zlawszy się ze swoimi gospodarzami, stali się szczerymi Polakami, patryotami. Część ich wsiąkła w szlachtę, część utworzyła zawiązek starego, polskiego mieszczaństwa, wzmocnionego przez przyrost z ludu. Wielu z pomiędzy potomków pierwszych immigrantów niemieckich zasłużyło się przybranej ojczyźnie dobrze w boju i radzie, w sztuce i nauce.

Właściwe »niebezpieczeństwo niemieckie« zaczyna się w Królestwie dopiero po rozbiorze kraju, od czasu rządów pruskich. Niedługo trwały te rządy, a mimo to potrafiły one w przeciągu lat kilkunastu obsadzić Powiśle koloniami niemieckiemi, zbudować całe gminy wyznaniowe niemieckie, zmienić w niektórych miastach, jak w Płocku i Wyszogrodzie, kościoły katolickie na zbory protestanckie. Ci nowi immigranci, siedząc kupą, odcięci od lud-

ności rdzennej odmiennym językiem a głównie protestantyzmem, już się nie zasymilowali — zostali Niemcami. Na pomoc przybyły im nowe legiony niemieckich: przemysłowców, fabrykantów, techników, majstrów, robotników, sprowadzanych i otaczanych szczególną opieką prawa przez Księstwo Warszawskie i Królestwo Polskie. Pewien, bardzo niewielki procent tych najnowszych immigrantów, jeśli go okoliczności odcięły od większych gromad ziomków, spolszczył się, znaczna jednak większość nie uważała za potrzebne zdjąć z siebie skóry niemieckiej. Obecnie mieszka w Królestwie pół miliona Niemców z duszą i z obyczajem niemieckim. Dwudziesta część ludności jest krajowi obca i wroga.

Dr. Aleksander Maciesza opracował temu lat kilka »mapę osiadłości Niemców w Królestwie Polskiem«. Mapa ta wskazuje systematyczne posuwanie się Niemców ku wschodowi. Od Mławy i Rypina począwszy aż do Będzina jest cała zachodnia granica Królestwa pokryta siecią kolonii niemieckich. Od zachodu, od strony pruskiej wsuwają się do Polski forpoczty idei hakatystycznej, wżerają się wolno w nasz pas pograniczny. Powiaty rypiński i lipnowski stały się już prawie w połowie ich łupem. W głębi kraju upodobali sobie Niemcy głównie Chełmszczyznę. A ci wszyscy nowi immigranci czytają gorliwie wrogie nam pisma: *Berliner Tageblatt, Posener Zeitung* i *Schlesische Zeitung,* mają swoje *Turnvereiny, Gesangvereiny,* własne szkoły i są gorliwymi protestantami. Nic nie łączy tych ludzi z krajem, z którego żyją, z narodem, który ich gościnnie przygarnął.

Główną twierdzą niemczyzny w Królestwie są ogniska przemysłowe, jak: Łódź, Zgierz, Pabianice, Zduńska Wola, Konstantynów, Aleksandrów. Rządzone przez fabrykantów i inżynierów niemieckich albo żydowskich, miasta fabryczne tworzą w Królestwie istne państewka w państwie, nie liczące się wcale z tradycyami i potrzebami właściwych gospodarzów kraju. Mają swoje niemieckie: kluby, szkoły, czytelnie, stowarzyszenia gimnastyczne, śpiewacze, strzeleckie, wzajemnej pomocy, swoje własne czasopisma i nie robią sobie do tego stopnia ceremonii z ludnością rdzenną, że przyznają się głośno do polityki hakatystycznej, że wysyłają na wszystkie zjazdy i kongresy berlińskie delegatów.

Szkoły ich nie tylko stoją czujnie na straży dzieci niemieckich, pilnując, aby się nie wynarodowiły, ale niemczą nawet, odrywają od piersi macierzy polskiej dzieci polskich robotników. W miastach fabrycznych spotyka się już między robotnikami Niemców: Pawłowskich, Janowskich, Jankowskich, Malinowskich, Zawadzkich, Zaleskich i t. d. Dzieci to polskich chłopów, którzy przybyli ze wsi okolicznych do miast fabrycznych i zniemczyły się w szkółkach robotniczych. Niktby nie uwierzył, żeby coś podobnego mogło być możliwe, a jednak jest to fakt sprawdzony. Niemcy gospodarują w Królestwie, jak u siebie, i nie spotykają pod tym względem żadnej przeszkody ze strony rządu rosyjskiego. Z dziwnem zaślepieniem nienawiści nacyonalistycznej wielkorządcy rosyjscy nie tylko tolerują, lecz wprost popierają systematyczną germanizacyę Królestwa. Nasze stowarzyszenia gimnastyczne (»Sokół«) zdusiła władza w samym zawiązku, jako »gniazda szkodliwe dla państwowości rosyjskiej«, a na niemieckie *Turnvereiny* i *Schützenvereiny* nie zwraca uwagi. Nasze najniewinniejsze instytucye otacza czułą opieką policyi, śledząc podejrzliwie każdy ich ruch, a Niemcom idzie sama na rękę i ułatwia im stosunki handlowe, nie wymagając opłaty gildyi od komiwojażerów, którzy zasypują Królestwo i Cesarstwo towarami niemieckimi, pozwala wydawać w centrach fabrycznych pisma niemieckie bez żadnej trudności, nie rozciąga żadnego nadzoru nad szkołami niemieckiemi. Znalazł się nawet taki mądry polityk w osobie jednego z dawniejszych gubernatorów płockich, który proponował w Petersburgu w celu osłabienia, stłumienia żywiołu polskiego, wykupić w gubernii płockiej ziemię z rąk polskich i rozparcelować ją pomiędzy niemieckich kolonistów. W swej nienawiści do Polaków nie rozważył ów wielki polityk, że jego projekt był szkodliwszym dla państwowości rosyjskiej od całej »wielkopolskiej agitacyi«, o czem przekonałby się w razie wybuchu wojny między Rosyą a Niemcami. Polacy nie staną nigdy po stronie pruskiej, koloniści zaś niemieccy odwrócą się niewątpliwie tyłem do swoich dobrodziejów rosyjskich. Obeznani z krajem będą doskonałymi informatorami swoich nadciągających z zachodu ziom-

ków. Wiadomo, że kolonie niemieckie w Polsce dostarczają pruskim władzom wojskowym wywiadowców.

Tylko nierozumna nienawiść może zaślepiać do tego stopnia działaczów rosyjskich w Polsce, iż nie widzą skutków swojego zacietrzewienia, iż zapominają, że Polska jest obecnie przedmurzem słowiańskiem przeciw fali germańskiej, która prze na wschód, grożąc zalewem nie tylko Polsce lecz także Rosyi.

Zwrócono znów w Warszawie uwagę na »niebezpieczeństwo niemieckie« metodą warszawską. Metoda ta polega na wymyślaniu Niemcom, Prusakom, hakatystom od Krzyżaków, krwiożerczych rabusiów, bezwzględnych pogwałcicielów prawa i t. d. Roboty tej podejmują się zwykle dziennikarze, goniący za łatwo zdobytą popularnością, za tanim rozgłosem. Najłatwiej przecież wymyślać komuś z daleka, z poza płotu granicznego: złodzieju, zbóju! A skutek tej metody bywa natychmiastowy. Ten i ów dziennikarz, sypnąwszy garść jędrnych słów, staje się od razu znanym patryotą, zasłużonym obywatelem i t. d., pławi się w słońcu rozgłosu. Nikomu z tych gadających patryotów nie przyjdzie na myśl, że taka fajerwerkowa gadanina równa się pokazywaniu języka przez niegrzecznego chłopca, co wywołuje tylko uśmiech pogardy na ustach silnego przeciwnika. Pan patryota, napluwszy się do syta na »Krzyżaków«, pakuje kuferek i jedzie z czystem sumieniem do badów niemieckich, a przybysze niemieccy robią tymczasem swoje.

Nikomu z tych szczekaczów dziennikarskich nie przyjdzie na myśl, że zamiast pluć na mocnego wroga, trzeba szukać przyczyn jego powodzenia. Na ten pomysł prawdziwie patryotyczny zdobył się dopiero Bolesław Koskowski. W broszurze swojej p. t. »Niebezpieczeństwo niemieckie« wskazał on źródła obecnej potęgi niemieckiej i naszej niemocy.

Mówiąc o Niemczech *recte* Prusach, o ich potędze, ma się głównie na myśli ich potęgę militarną, która przeraża i trzyma pod bronią całą Europę. Dopiero w czasach ostatnich odkryli publicyści francuscy i angielscy inne »niebezpieczeństwo niemieckie«, równie groźne, jak nieprzejrzane legiony pruskich pikelhaub. Jest niem potęga ekonomiczna Niemiec.

»Wiek dziewiętnasty był świadkiem wielu ciekawych i epokowych rzeczy — mówi Koskowski — lecz najważniejsza z nich dokonywa się przed naszemi oczami. Jest to rewolucya ekonomiczna, odbywająca się w Niemczech w ciągu ostatnich tych dziesiątków lat. Nic podobnego świat nigdy nie widział. W ciągu trzydziestu lat kraj rolniczy stał się na wskroś przemysłowym, a naród ubogi zalał produktami swymi całą kulę ziemską. Nie tylko produktami, ale i ludźmi. Nowe zastępy Krzyżowców nieprzerwanie ciągną z Niemiec na południe, wschód i zachód i opanowują ziemie nadgraniczne, stwarzają przemysł, dostarczają kolonistów, mężów stanu i pieniędzy, budują koleje, stawiają hotele i zakładają banki; we wszystkich częściach świata, od starych siedlisk kultury do ziem dziewiczych Afryki i Ameryki, wylądowują rokrocznie grupy Niemców i zagospodarowują się tak sprawnie, jak we własnej ojczyźnie. Ten pokojowy najazd niemiecki, przemysłowy i osobowy, jest nieskończenie niebezpieczniejszy od najazdu wojennego«.

W r. 1871 miały Niemcy: ziemię niedbale wyzyskiwaną, środki komunikacyjne pierwotne, rzeki nieuregulowane, porty płytkie i niedogodne, organizacyę ekonomiczną wadliwą, wytwórczość nędzną *(billig aber schlecht)*, wszystkiego 20.000 kilometrów kolei żelaznych i chorowały ciągle na brak kapitału.

A dziś? Dziś przecina ziemie niemieckie przeszło 50.000 kilometrów kolei szerokotorowych i około 2.000 kilometrów wązkotorowych, przepruwają je doskonale uregulowane rzeki spławne, na które rząd i towarzystwa prywatne wydały półtora miliarda marek. A wszystkie te koleje żelazne i drogi wodne są tak doskonale obsługiwane, że budzą sprawnością, porządkiem, szybkością podziw całego świata.

W r. 1870 flota parowcowa Niemiec liczyła 147 statków o pojemności 80.000 ton. Dziś marynarka handlowa niemiecka jest potężniejszą od francuskiej, wynosi około 900.000 ton pojemności. Statki swoje budowali Niemcy pierwotnie w Anglii. Dziś budują nie tylko wszystkie swoje okręty u siebie, lecz zaopatrują nawet swoimi parowcami inne państwa, jak Japonię, Chiny i Chili. Najpotężniejszemi morskiemi towarzystwami transportowemi są

obecnie niemieckie: *Hamburg-America Linie* i *Norddeutscher Lloyd.* Angielska *Cunard Line* zajmuje drugie miejsce.

W r. 1870 nie widziano Niemców w Europie. Dziś spotyka się ich wszędzie. We Włoszech, od Wenecyi począwszy aż do Neapolu i Sycylii, jest większa część hotelów i kawiarni w rękach niemieckich. Tak samo w Serbii. I nie tylko hotele i kawiarnie. Przemysł i handel niemiecki wypychają w północnych Włoszech przemysłowców i kupców francuskich a w południowych angielskich. Niemcy są tam właścicielami handlów win, zboża, nafty, nawozów chemicznych, Niemcy budują w Genui, Florencyi, Bolonii, Aleksandryi, Neapolu, w Palermo tramwaje elektryczne, zaprowadzają oświetlenie elektryczne, biorą w swoje ręce żeglugę morską, zakładają w Lombardyi fabryki cukru, zakupują nad brzegami rzeki Po ziemię i winnice.

W Szwajcaryi podniósł się import niemiecki w przeciągu pięciu lat od r. 1895—1900 z 243 milionów marek do 350 milionów. To samo stało się w Holandyi.

Niemcy zajęli w krajach skandynawskich miejsce Anglików, którzy tam dawniej gospodarowali, wcisnęli się do Hiszpanii, Turcyi i Grecyi. W Hiszpanii wyrabiają mantyle hiszpańskie, hafty dla toreadorów, wyroby papierowe, skórzane i perfumeryjne; w Turcyi i Grecyi budują koleje żelazne, zakładają magazyny — w Rumunii należy trzecia część fabryk do nich. O Rosyi wiadomo, że jest od czasów Piotra Wielkiego drugą ojczyzną Niemców.

A nie tylko Europa idzie powoli w poddaństwo ekonomiczne Niemców. »Cały nasz glob — mówi Koskowski — od Laponii do Patagonii, jest przedmiotem ambicyi kupców niemieckich i poniekąd już przedmiotem ich eksploatacyi«.

Takie niezwykłe powodzenie nie może być owocem głupoty i próżniactwa. Na takie wyniki składają się przyczyny realne, pracują na nie z całą prężnością, z całym wysiłkiem energii ludzkiej państwo niemieckie i naród niemiecki. Państwo obmyśliło szeroki plan ekonomicznego podboju świata, naród wciela ten plan z całą świadomością.

Pracuje dla handlu i przemysłu niemieckiego nauka niemiecka, która, wyrzekłszy się tworzenia wielkich syntez, stała

się sługą praktycznego zastosowania. Pracują dla nich czujnie konsulowie, rozrzuceni po całej kuli ziemskiej, badający wszędzie z wielką uwagą warunki miejscowe, pracują banki ułatwiając tani kredyt, pracuje rząd przychodzący im wszędzie z pomocą, opiekujący się nimi w czasach przesileń, pracuje przedewszystkiem rasowa niemiecka pracowitość, systematyczność i wytrwałość.

Czemże wobec takiej świadomej i rzeczywistą siłą popartej potęgi patryotyczne oburzanie się licznych patryotników, którym się zdaje, że pusta frazeologia, popstrzona wykrzyknikami przerazi olbrzyma? Cwierkanie świerszcza polnego.

Zrozumieli to nareszcie poważniejsi publicyści warszawscy, omijający dotąd w stosunku do Niemiec starannie sąd bezstronny z obawy przed zarzutem nie dość gorącego patryotyzmu. Bolesław Lutosławski mówi w artykule swoim p. t. »Niemcy a My« *(Tygodnik Illustrowany)*: »Na nic nie zdadzą się krzyki i obelgi na Niemców i hakatystów, na nic odgrażania i pełne bezmiernej, tragicznej niestety naiwności nadzieje na Rosyę. W zapasach między nami a Niemcami ziszczają się przeważnie wyroki wieków i ten z zapaśników, przeciwko któremu zwróciło się przeznaczenie, może je tylko powstrzymać przez powolną zmianę samego siebie, przez zmianę środków i taktykę walki«.

Bije nas nie nienawiść Niemców do Polaków — sama bowiem nienawiść jest nieszkodliwa — bije nas wyższa kultura niemiecka »zabójcza dla gadatliwości i ślamazarności polskiej, dla całego wogóle temperamentu słowiańskiego, niejednolitego i rozbieżnego, bez sądów i kryteryów, nieporządnego i zamało skupionego«.

»Wystarczy być na jakiemkolwiek zebraniu publicznem w Warszawie, aby widzieć plastyczny obraz tej naszej rasowej gadatliwości, niejednolitości i rozbieżności, tego braku sądów i kryteryów, tej głowy nieporządnej i mało skupionej«. Kto nauczył się logicznie, zwięźle myśleć, nie może po prostu pojąć, dlaczego nasi działacze gadają tyle *de lana caprina* i dlaczego kręcą się ciągle w kółko i operują głównie tanimi jaskrawymi frazesami. Dopiero gdy widzi, kogo publiczność oklaskuje, kogo uwielbia, do kogo wyciąga ramiona, jako do »ojca ojczyzny«, rozumie cel me-

tody naszych działaczów i trybunów. Frazes, szeroki gest, zdawkowy patryotyzm, blaga, biorą zawsze naszą publiczność.

Ten brak sądów i kryteryów wyrzuca u nas na stanowiska wybitne zwykle takie osobistości, na któreby w innym kraju nikt nie zwrócił uwagi. Krzykacze, miernoty, zręczni karyerowicze, zwykle ambitnicy, cisną się z wielką szkodą dla sprawy publicznej do przodu, a ludzie prawdziwie zdolni, z powołaniem, trzymają się na uboczu.

Warszawa posiada szczególny talent wybierania na stanowiska publiczne ludzi najmniej do tych stanowisk odpowiednich. Dość przejrzeć listę nazwisk redaktorów. Trzy czwarte tych panów kierujących opinią publiczną, nie ma prawa zabierania głosu publicznie, nie śmie go zabierać, niema nic do powiedzenia. Stanowiska swoje zawdzięczają oni nie zasługom obywatelskim i zdolnościom, lecz stosunkom, stosuneczkom i koligacyą z wydawcami. Albo nasi posłowie? Trzy czwarte tych przedstawicielów narodu mogłoby siedzieć spokojnie w domu, bez szkody dla sprawy publicznej.

Slamazarna jest nasza wola, niejednolita i rozbieżna nasza głowa a nasze ręce są próżniakami. Nie lubimy pracować, trudzić się, wysilać, zabiegać, nie lubimy się uczyć od innych narodów ich cnót; wolimy im wymyślać.

»Zderzyły się z sobą dwa sprzeczne żywioły — mówi Lutosławski — dwie różne rasy moralne, dwie różne cywilizacye, dwie na wskróś inne społeczności. Jedna z nich (niemiecka) systematyczna i nieugięta, zarówno w myśleniu jak i w postępowaniu, doprowadziła do wysokiego stopnia potęgi swoją naukę i swoją politykę, które wspierały się wzajemnie i były znów wsparte przez potężną armię; druga (polska) pozbywszy się z bezprzykładną lekkomyślnością instynktu samozachowawczego opierała swoje istnienie już to na dobrej woli sąsiadów, sporadycznych wybuchach patryotyzmu, który zrazu buchał wysokim płomieniem, lecz równie szybko opadał; tamta uzbroiła się w najlepsze narzędzia państwowe, jakie zna Europa, stała się narodem pracowników, uczonych, żołnierzy, nauczycieli, związków, stowarzyszeń przejętych silnem poczuciem solidarności, — ta — z ar-

chaizmami stanowczymi, tkwiącymi w jej ciele na kształt ćwieków, niespójna i niesforna, co przez szczególne nieporozumienie uznawała w sobie za znamię wielkiego indywidualizmu, żyła tylko epizodyczną prasą i improwizowanymi wysiłkami. Niemcy szli od wieków równym krokiem i ten marsz koncentryczny doprodził ich do szczytu potęgi; Polacy stracili swój cel historyczny z oczu, rozbiegli się ekscentrycznie na wszystkie strony, stanęli nad krawędzią przepaści«.

Takie rozumne głowy, jak Bolesława Koskowskiego i Bolesława Lutosławskiego, ważą na szali naszego uświadomienia więcej, od nierozumnego, krzykliwego patryotyzmu dziennikarzów goniących za łatwą popularnością. W chwili, kiedy Niemcy podcięte w swoich interesach i ambicyach w Azyi przez mężną Japonię, a w Europie i Afryce trzymane na wodzy przez zręczne ręce króla angielskiego, Edwarda, szukając rynków zbytu dla swojego handlu i przemysłu, rzucą się niewątpliwie z całą swoją siłą na najbliższy im Wschód, na otwarte ziemie Polski i Rosyi, trzeba zorganizować skuteczną obronę, obrona zaś taka polega nie na dziecinnem wymyślaniu, nie na patryotycznem oburzaniu się na »Krzyżaków«, »hakatystów« i t. d., lecz na przyswojeniu sobie ich środków walki: ich nauki, pracowitości, systematyczności, wytrwałości i solidarności w stosunkach handlowo-przemysłowych. W walce ekonomicznej z nimi chodzi po prostu o nasz byt, o nasze istnienie. Zagrożeni jesteśmy zewsząd, z góry przez urzędowych rusyfikatorów, z dołu przez Żydów i socyalistów, z boków przez Niemców. Tylko skupienie całej siły narodowej, wytężenie całej energii społecznej może pokrzyżować plany naszych licznych wrogów i wydobyć nas z tego tragicznego iście położenia.

Teodor Jeske-Choiński.

JULIUSZ II [1].

FRAGMENT DRAMATYCZNY.

AKT I.

Dzień 15 sierpnia roku 1511. We święto Wniebowzięcia Matki Boskiej. Przedsionek kaplicy sykstyńskiej. W głębi wielka arkada przesłonięta do połowy ciężką, szarą oponą. Za arkadą, w kaplicy widać na wysokiem podium klęczącego Juliusza papieża, w ruchu i postawie takim, jak jest przedstawiony we fresku: »Msza Bolseny«. U podnóża podium klęczy straż przyboczna papieża. Nieco opodal kardynałowie.

Z kaplicy wybiega Raphael Santi i ująwszy dłonią oponę, patrzy chwilę niemałą w postać papieża. Ubrany jest w strój biały z niebieskiemi wypustkami; na jedwabnym sznurze zwisa mu na ramię błękitny beret z przepiętem białem strusiem piórem. Za nim wbiega Fornarina w ubiorze wieśniaczym, tak jak jest wymalowana jako »Madonna della sedia«.

RAPHAEL

O cuda, o cuda. O cuda, o cuda!

(puszcza oponę, zasunąwszy; chwyta Fornarinę za rękę)

FORNARINA

O Matko święta.

Ty szalony?

RAPHAEL

O wielkości poczęta.

Ty widziałaś Boga wielkoluda —!?

---

[1] Czytaj studyum Juliana Klaczki pod tytułem: »Juliusz II«.

FORNARINA
(składa ręce)

Ty, szalony? O Święta Panienko.

RAPHAEL

Ty widziałaś go, z olbrzymią ręką,
jak podźwigał z leżyska Adama?
I tam otworem raj — i rajska brama
i Ewa, matka człowieka,
jak zwolna, schylona, powstała? —
O cuda, olbrzymy, tytany!

FORNARINA

Ty szalony!

RAPHAEL

Ja cudem porwany.
O chwilo blasku, o światłości.
Co we mnie długo, długo utajone,
to się naraz przedemną rozwiło.

FORNARINA

Coś ty widział?

RAPHAEL

Ludem się roiło
sklepienie — strop. Hen u stropów
widziałaś przygiętych chłopów,
jak wieniec plecionej choiny,
chłop mocen podawał chłopu?
Przewalały, — przewalały się ciała.

FORNARINA

Widziałam.

RAPHAEL
(puszcza jej rękę)

Ty nic nie widziała.
Jaką siłą, jaką mocą, jaką siłą
sklepienie ludem ożyło.
I Bóg, który światło stwarza,

Bóg, który ogromem przeraża,
że człowiek w trwodze uklęka.

FORNARINA

Widziałam.

RAPHAEL

Tyś nie poznała.
Tworzenia i siła i męka
zaklęta w tym Świętym olbrzymie.
Pierś skała i ogrom ręka. —
Bóg — a ty go nie poznała.

FORNARINA

Ty, szalony, czego krzyczysz?

RAPHAEL

Ja krzyczę!
Bogam widział, Boga jedynego.
Ten mnie człowiek podeptał i zranił;
tworzenia i siła i męka
zamknięta w tym człowieku olbrzymie.

FORNARINA

Chodź do domu.

RAPHAEL

Nie wołaj, bym wrócił.
Gdzie dom mój. — I cóż mi po domie?
Wszystko, com budował świadomie,
skarlało; czem się cieszyłem,
upadło w nagłym pogromie.
Umarło wszystko, czem żyłem. —
Wszystkie moje rozpierzchły rojenia.
Słabe, — za słabe kolumny.
On jeden, — on jeden dumny.

FORNARINA

Co gadasz? — Masz tyle znaczenia
człowieku!

RAPHAEL

Duch się mój zmienia.
Lecą moje rojenia do trumny,
w gruz się walą za słabe kolumny;
teraz czuję siłę, moc tworzenia.
Teraz — a wszystko zburzyć,
zaniszczyć, — w prochu powalić,
co dotąd wydałem ze siebie;
iść dalej, iść dalej — z tą siłą,
chociażby o suchym chlebie;
ty ze mną, ty będziesz silną?

FORNARINA

Co ty wołasz? Jak ty rozpalony?
Gdzie ty chcesz o żebranym pójść chlebie?
Twe dzieci? — Twój rozum stracony?
Gdzie lecisz?

RAPHAEL

Ty będziesz silną!
Bogam poznał wielkiego na niebie
i potęgę Jego nieomylną.
Widzę Go, olbrzyma, z tą ręką,
jak podźwiga Adama z leżyska.

FORNARINA

Co wołasz? Ty rozpalony.
Jakie koło ciebie zjawiska?

RAPHAEL

Ogromy, koło mnie zjawiska. —
Widzę go: z tą ręką olbrzyma,
jak światy i słońca wstrzyma.
O dalej, o dalej z tą siłą,
potęgą się rodzi potęga.

FORNARINA

Co próżna gadania mitręga?
I co ci się znowu zjawiło,
żeś się rozjudził do tyla?

RAPHAEL

A jaka ty w gniewie Sybila!
Ożyło, co spało ożyło:
potęga, moc, moc tworzenia;
zburzyć, w gruz wszystko, co było.
Wszystkie, wszystkie moje malowidła
zatrzeć, zedrzeć dłutami ze ścian.

FORNARINA

A to pewno w jakieś cudze sidła
ty się dałeś złapać?

RAPHAEL

Ja pan! pan!!
Spokój i miłość mnie zbrzydła.
O potęgo — potęgo!

FORNARINA

Uroki!
Ten cię stary urzekł.

RAPHAEL

Te proroki!
Zadumane, od wieków w zadumie. —
Rozumiesz?

FORNARINA

Nic nie rozumię,
Łamańce.

RAPHAEL

Czar!

FORNARINA

Czyjeś kroki...

MICHAŁ ANIOŁ BUONAROTTI

(wchodzi)

(Ubiór jego barwy fioletowej, spłowiały i wyszarzany; trzyma się przygarbiony; co jakiś czas powolnym ruchem głowę do karku wstecz przechyla; poczem znów wraca do przygarbienia).

RAPHAEL

Oto tryumfator zwycięski.

(przyklęka)

MICHAŁ ANIOŁ

A, to ten pajac z Urbino.

RAPHAEL

(powstaje)

Poznałem Boga w dniu klęski.

MICHAŁ ANIOŁ

Tobie starczą kobiety i wino.

RAPHAEL

Wyszydzać masz święte prawo.

MICHAŁ ANIOŁ

Ześ błahą panoszył się sławą.

RAPHAEL

W mej duszy teraz potęgi.
Otwarłeś oczy: — ja widzę.

MICHAŁ ANIOŁ

Nie tobie sybilskie księgi;
znam niemoc twą — i szydzę.

RAPHAEL

W twych oczach sybilskie księgi.

(Z kaplicy wychodzą uczniowie Raphaela; wśród nich Giulio Romano, Giovanni da Udine, Giovanni Francesco Permi).

MICHAŁ ANIOŁ

Dla cię zamknione mam oczy.
Panoszysz się w pustej sławie,
odbierasz mi ściany i sale;
pełnisz je w pośpiechu, w obawie.
Ja ciebie tą jedną przywalę,
zgniotę. — Otożeś zgnieciony.

RAPHAEL

Zgniecion jestem dziś, dziś powalony.
Ale ty wskrzesiłeś mą duszę.

MICHAŁ ANIOŁ

Wskrzesiłem dziś całe rzesze
i tysiące, tysiące wskrzeszę.

RAPHAEL

Wiedz jedno: że wielu, że wszyscy,
którzy tam w górę patrzyli,
za mali, za mali, za nizcy;
potęgi tej nie rozumieli,
że ja ją najlepiej rozumię.

MICHAŁ ANIOŁ

Więc króluj dalej w tłumie.

RAPHAEL

Nie podasz ręki?

MICHAŁ ANIOŁ

I komu?
Ty, co knowasz na mnie pokryjomu?
Ty, co mię szkalujesz, spotwarzasz?
Ty, co się boisz mnie, — jak pożaru?
Precz — lalko. Ty mnie znieważasz,
że mi zastępujesz drogę.

RAPHAEL

Zazdrośniku, — niesyty zarobku!

MICHAŁ ANIOŁ

Zauszniku papieski, parobku,
zestrojony na barwne zaloty.
Leć na miasto ze zgrają hołoty.

RAPHAEL

Obraza! — Nie wstrzymam ludzi!
Rozsieką cię, na mieczach rozniosą.

MICHAŁ ANIOŁ

Zostaw me życie niebiosom
a sam zmykaj, bo słowem zabiję. —
Ty, co bezemnie byś był, jako glina
bez ducha, — jako larwa niedołężna.
Pustaku. — Teraz dzieła twórz.
Złodzieju duszy.

RAPHAEL

Do broni!

(dobywa rapiera)

MICHAŁ ANIOŁ

Jak wąż się wije.

(rzuca sztylet na ziemię)

Oto nóż. —
A wara kto go ruszy.
Któryż to będzie śmiał we mnie ugodzić?
Chybaby Tartar gdzie musiał go spłodzić.
Niktże nie pójdzie z was mistrza obronić.
Mistrza, co umie nie tworzyć lecz ronić.

RAPHAEL

Przeklęty, nędzny żebraku w swywoli.
Ty podły. Bo tam miasto twe w niewoli
a ty u wroga siedzisz, zapłacony.

MICHAŁ ANIOŁ

Przeklęty ty. — Coś wyrzekł? O skorpiony!
O wy, złodzieje szczęścia i wydzierce!
Ty, który biorąc duszę, godzisz w serce:
Ojczyznę wspomnieć mnie?! Żem zapłacony!?
Do broni! — Składaj się!

(dobywa rapiera)

FORNARINA

Człowiek szalony.
Mojego chłopa kłuć?

MICHAŁ ANIOŁ

Jędzo!

FORNARINA

Niewolniku.

MICHAŁ ANIOŁ

Chłopko
Szlachcicom w oczy chcesz pluć?

FORNARINA

Nędzo, bijcie.

RAPHAEL

Odstąp!

MICHAŁ ANIOŁ

Umiecie truć.

RAPHAEL

Ostąpić go.

MICHAŁ ANIOŁ

Szkolarze, drżyjcie!

(składają się)

A ot, ty swoje bierz!

(rani w ramię Fornarinę, która podbiegła)

FORNARINA

Ah! Ranił — zwierz.

RAPHAEL

Odstąpcie. — Zbójco ty!

MICHAŁ ANIOŁ

Zasłaniasz się babą, — rycerzu?

RAPHAEL

Ot i ty swoje weź.

(rani w dłoń Michała Anioła)

MICHAŁ ANIOŁ

Skonasz w pacierzu!

Ha! —

RAPHAEL

Krew!

Zasłona w kaplicy się rozsuwa na całą szerokość arkady. Dworzanie wnoszą na krześle Juliusza papieża, tak jak to wymalowane na fresku: »Wypędzenie Heliodora ze świątyni«. Za nimi wchodzą kardynałowie; wśród nich Pompeo Colonna; dwór i Paris de Grassis i Francesco Maria della Rovere, książę Urbino, w białym stroju i mały Federigo Gonzaga.

JULIUSZ II DELLA ROVERE

(wznosi ręce wysoko ponad głowę i trzęsie dłońmi w gniewie)

Na Zewsa?! Przy moim boku,

z mieczami u wrót kaplicy?!

RAPHAEL

Ojcze!

JULIUSZ II DELLA ROVERE
Milcz.

MICHAŁ ANIOŁ
Łotr!

JULIUSZ II DELLA ROVERE
(głosem podniesionym)
Ani słowa!
Z mieczami u wrót kaplicy?!
Na Zewsa, przy moim boku?!

FORNARINA
Krew broczy.

RAPHAEL
Napaść.

MICHAŁ ANIOŁ
Zasadzka!
To wy mnie opadli znienacka
Zgrają psów!

JULIUSZ II DELLA ROVERE
Milczeć!

MICHAŁ ANIOŁ
Tyranie!
Rozkazuj sługom, — jak on;
mnie tu krzywda!

JULIUSZ II DELLA ROVERE
Milczeć, na Zewsa, poganie!
Quos ego!! — Ja was!! — Quos ego!
Z mieczami u wrot kaplicy?!
Krew broczy?! — Przy moim boku?!

RAPHAEL
Florentczyk chytry!

FORNARINA
Krzywonos!
Czyś mu aby chciał czynić co złego?

MICHAŁ ANIOŁ

Zły podszept i podły donos.
Pochlebce! Psy!

RAPHAEL

Zazdrośniku!

JULIUSZ II DELLA ROVERE

Milczeć kazałem. Dość krzyku.
Zawiązać im rany. — Niezręczny,
tak że umiesz się złożyć odwecie?
Po cóż u boku miecz? — To mu weźmiecie.

PARIS DE GRASSIS

(przystępuje do Raphaela i odbiera mu rapier)

JULIUSZ II DELLA ROVERE

Per Baccho! — A ty niewdzięczny!
Weźmiecie go pod straż!

(straż otacza Michała Anioła)

FORNARINA

Mnie ranił.

JULIUSZ II DELLA ROVERE

To nie nastawiaj się. — Jemum przyganił,
a on jest u mnie gość.

MICHAŁ ANIOŁ

(głosem stłumionym)

Niewolnik. — Więź mnie tyranie!
Więzienie słodsze, niż dzieła,
które myśl męką poczęła,
by wróg tą myślą miał rość.

JULIUSZ II DELLA ROVERE

Dość, — dość!
Weźmiecie go pod straż!

(błogosławi obecnych)

Quos benedico. —

(zaczyna pacierz)

Ave Maria... — Iść naprzód z lektyką.

(dworzanie wynoszą Juliusza papieża)

Stanisław Wyspiański.

FINLANDYA A KATOLICYZM [1].

Tacyt w swojej *Germanii* wspomina o plemieniu zamieszkałem nad Wisłą, które nazywa *fenni*. Nowsi uczeni są zdania, że byli to przodkowie dzisiejszych Lapończyków, którzy dawniej mieszkali daleko więcej na południu, a pod naporem właściwych Finnów coraz więcej ustępowali na Północ. Język norweski pod nazwą *finner* rozumie Lapończyków, Finnów zaś nazywa *qväner*. Jako rasa Lapończycy znacznie się odróżniają od Finnów, chociaż język bardzo jest podobny do fińskiego. Ogólne jednak jest zdanie, że oni swój język zapożyczyli od Finnów, a poza tem w żadnem z nimi bliższem pokrewieństwie nie stoją. Więcej spokrewnieni z Finnami, chociaż pod względem języka dalej od nich stojący, są Madziarzy, drugi odłam rodziny ugro-fińskiej.

Pod względem rasowym geografia szkolna zalicza szczep ugro-fiński do t. zw. »rasy mongolskiej« i języki narodów ugro-fińskich do języków »mongolskich«. Ta teorya w pewnych sferach podtrzymuje pogardę i nienawiść do Finnów i Węgrów. Okoliczność ta, będąca wiele znaczącym czynnikiem w historyi i polityce ugro-fińskich narodów, nie może dla nas być zupełnie obojętną. Wiadomą jest rzeczą, iż pojęcie r a s y jest bardzo do-

[1] Niniejszemu szkicowi tem chętniej udzielamy miejsca na łamach naszego pisma, że wyszedł on z pod pióra rodowitego Finlandczyka, jednego z niewielu synów dalekiej Północy, posiadających język polski i sympatyzujących z naszym narodem. Nadto autor jest jednym z dwu katolików dzisiejszej Finlandyi. Stąd też znaczenie niniejsze artykułu jest poniekąd programowe. *Redakcya.*

wolnem, i, jak wykazuje antropologistyka europejska, nie może być utożsamione z narodowością, znakiem której jest język. Co do narodów ugro-fińskich, one, jako rasa, mają swoją odrębną bytowość od narodów indo-europejskich; języki zaś ugro-fińskie, tak samo bardzo oryginalne, jednak posiadają dużo cech wspólnych z językami indo-europejskimi do tego stopnia, że z góry nie jest wyłączoną możność wniesienia pierwszych do szeregu ostatnich.

Gdzie była pierwotna kolebka Ugro-finnów, tego z pewnością nie wiemy. M. A. Castrén szukał jej wprawdzie na Ałtaju; dzisiejsi fennologowie widzą ją w europejskiej Rosyi, na pobrzeżach Kaspijskiego morza, albo nieco wyżej na północy.

Do grupy ugorskiej (ugor, ungor, vungor, vǫgъr—>węgier), należą przedewszystkiem Węgrzy, lecz nie są jedynym w tej grupie narodem. Należą bowiem do niej jeszcze Ostyacy i Woguli w Syberyi i na Uralu. Dwa ostatnie narody stoją na najniższym poziomie kultury z pośród wszystkich Ugro-finnów i zajmują się rybołowstwem i myśliwstwem, mieszkając w jurtach. Zewnętrznie wyznają prawosławie. Liczba ich, dzięki kolonizacyi rosyjskiej (wódką i innemi błogosławieństwami »cywilizacyi«), zmalała tak dalece, że dzisiaj — i to nie na długo — mamy ich ledwie 20 tysięcy, rozrzuconych na olbrzymich obszarach.

Najbliżej grupy ugorskiej stoi grupa permska, wśród której wybitniejsze miejsce zajmują Zyrjanie, w liczbie 300 tysięcy, według rządowego spisu ludności z r. 1897, mieszkający w guberniach archangielskiej, permskiej, wołogodzkiej i wiatskiej. Są to dzielni kupcy oraz myśliwcy i rybacy, ze wszystkich swych krewniaków w Rosyi najreligijniejsi, chrześcijanie od roku 1300. Mają nieco literatury i dużo poezyi ludowej. Język zdolny do uwydatnienia pojęć filozoficznych (mnóstwo suffiksów i synonimów); trafne przysłowia i zagadki[1]. Dla sąsiednich Samojedów i Wogułów Zyrjanie są żywiołem kulturalnym, lecz zarazem i — ciemiężycielami ekonomicznymi.

W guberniach wiatskiej, po części permskiej, kazańskiej

[1] Np.: Dwaj śpiewają naczczo — kto? (kogut i pop). — Przysłowie: Złodziej ma jeden grzech, ten, u kogo kradziono, dziesięć (podejrzenia).

i ufimskiej mieszkają Wotjacy (400 tys.), druga gałąź grupy permskiej i język do zyrjańskiego bardzo podobny. Jest to już naród rolniczy.

W gubernii kazańskiej i niżegorodzkiej, a po części i wiatskiej i ufimskiej mamy Czeremisów (300 tys.), naród rolniczy (znane są jabłka czeremiskie), niegdyś waleczny (bunty przeciwko Moskwie), mający jeszcze dzisiaj sporo pogan, wśród których szukają prozelitów muzułmanie. Praktyki pogańskie, ofiary w świętych borach, jeszcze dzisiaj istnieją.

Najliczniejszy i najbardziej cywilizowany z pomiędzy wschodnich narodów fińskich stanowią Mordwini (1 mil. 200 tys.), zamieszkujący w gub. samarskiej, saratowskiej, tambowskiej, penzeńskiej, symbirskiej, niżegorodzkiej, kazańskiej i ufimskiej. Naród od dawna rolniczy. Do XVI wieku Mordwini mieszkali tylko po zachodniej stronie Wołgi, stanowiąc jednolitą całość, byli jednak poganami. Że pokrewni im Zyrjanie, chociaż dalej na północy mieszkający, wcześniej jednak przyjęli chrzest św., to tłumaczy się tem, że ulegali wpływowi Nowogrodu, podczas gdy Mordwini długo pozostawali pod wpływem tatarskim. Kiedy zaś Moskwa posłała do nich misyonarzy, oni, obawiając się utraty wolności politycznej, pouciekali za Wołgę. Miejsca opróżnione zajęli Rosyanie, i odtąd Mordwa stanowi tylko wysepki na oceanie Rosyjskim. I u nich praktyki pogańskie nie całkiem jeszcze znikły. Szczególną zdolność Mordwini a raczej Mordwinki posiadają do wyszywania ubrań. Dlatego też młode Mordwinki są chętnie przyjmowane nawet do klasztorów prawosławnych. Plemię to zasila sobą i narodowość rosyjską, zdarzają się nawet całe wioski zrusyfikowane, gdzie tylko ubiór świadczy o pierwotnem pochodzeniu mieszkańców.

Przejdźmy teraz do plemion zachodnich grupy Ugro-fińskiej.

Jeszcze w IX wieku cały obszar dzisiejszej północnej Rosyi aż po Smoleńsk przedstawiał etnologicznie zwartą jednolitą całość. Z Mordwą, która, jak wiemy, zajmowała zachodni brzeg Wołgi, sąsiadowali i wchodzili w bliższe stosunki Finnowie bałtyccy (Muroma u Nestora). Język mordwiński i do dziś dnia stoi w najbliższem pokrewieństwie z językiem fińskim. Jeszcze przed na-

dejściem Hunnów tak Mordwini, jak i zachodni Finnowie, ulegali berłu gockiemu, czego dowodzą liczne pozostałości gockie w językach mordwińskim i bałtycko-fińskich, odkryte przez prof. W. Thomsena z Kopenhagi. Później wpływ wywierali Litwini, o czem znowu świadczy wielka ilość wyrazów zapożyczonych z języka litewskiego. Następnie sąsiadami Finnów byli Słowianie, którzy też los ich rozstrzygnęli. Państwo Waregów [1] klinem rozdwoiło ich; Słowianie pochłonęli środek, i odtąd lawina słowiańska coraz więcej wzrasta. Odtąd i na tym terenie, szczególnie o Finnów bałtyckich toczy się ustawiczna walka między Wschodem i Zachodem, — światem bizantyńskim i łacińskim.

Wśród Finnów bałtyckich możemy odróżnić dwa główne plemiona: Karelowie na wschodzie, Tawastowie na zachodzie. Oba te plemiona są między sobą w nieprzyjaźni, pozatem dla obydwu jest miłą wolność. Tawastowie rozdzielili się na dwie części, jedna zaludniła południowe pobrzeże zatoki Fińskiej i dała początek narodowi estońskiemu, który liczy dzisiaj około 1 mil. 200 tys. (gub. estlandzka, połowa liflandzkiej część pskowskiej. Naród ten, uległszy pańszczyźnie niemieckich baronów, do początku XIX wieku jęczał w niewoli na własnej ziemi. Estończycy wyznają wyłącznie luteranizm, z wyjątkiem mieszkańców gubernii pskowskiej, którzy są prawosławnymi, i 4.400 zamieszkałych w gubernii witebskiej katolików.

Druga połowa Tawastów zaludniła zachodnią Finlandyę. Finlandyę wschodnią natomiast zajęli Karelowie, którzy oprócz tego rozciągają się aż do Nowogrodu, Oniegi i Białego morza. Lud ten, dziś ciemny i zubożały, miał niegdyś czasy świetniejsze; jeszcze dzisiaj odnajdujemy w jego łonie ślady jakiejś dawnej kultury; Bjarmowie Othera u ujścia Dźwiny (około dzisiejszego Chołmogoru) prawdopodobnie byli to także Karelowie i Zyrjanie (Bjarma perma). U Karelów przechowała się »Kalevala«, epopeja fińska; ciekawą również dla etnografów jest ich architektura i ornamentyka. Pogarszający się stan eko-

[1] W zawezwaniu Waregów brali udział razem ze Słowianami i Finnowie (Czudź).

nomiczny zmusza ich do handlu i życia koczowniczego; ci kupcy wędrowni znani są w Finlandyi, po wioskach, jako »Rosyanie z workiem«. Obecnie na całej północnej przestrzeni Rosyi liczą ich 60 tys. Lecz oprócz tego dalej na południe, w gubernii twerskiej znajduje się ich około 200 tysięcy. Są to t. zw. »dzicy kareli«. Wszyscy Karelowie poza granicami Finlandyi wyznają prawosławie lub są staroobriadcami. Ta część Karelów, która od r. 1323 pozostawała pod berłem szwedzkiem, zlała się z Tawastami, mieszkającymi w Finlandyi zachodniej; i z tych dwóch żywiołów mamy dzisiejszy naród fiński czyli Suomi.

Nazwy »Finnowie« i »Finlandya« nie zawsze miały to obszerne znaczenie, jakie posiadają obecnie. Szwedzi nazywali dawniej Finlandyą tylko dzisiejszą gubernię aboską (obecnie »właściwa Finlandya«) i mieszkańców jej Finnami. Reszta kraju nazywała się krajem wschodnim; mieszkańcy zaś nosili nazwę plemion, do których należeli, a więc Tawastów lub Karelów.

Narody ugro-fińskie, mimo swej bierności w dziejach świata, nie są jednak pozbawione pewnych zalet. Chwalą etnologowie ich zręczność w rzemiosłach, pilność, ochędóstwo (cecha wyróżniająca ich od otaczających Rosyan). Znane są poczciwość i prawdomowność, dotrzymywanie słowa. Szczególnie narody fińskie kochały wolność, t. j. narodowościową niezależność i ziemię ojczystą. Charakterystycznem jest przysłowie fińskie: »raczej człek ziemię sprzeda, niż słowo zje« (nie dotrzyma obietnicy). Nadzwyczaj rzadką jest kradzież; gościnność za to powszechna. O zdolnościach umysłowych świadczy bogata poezya ludowa (epiczna i liryczna na tle mitologicznem), skłonność do spekulacyi filozoficznej i rozmyślania (przysłowia i zagadki); o artyzmie — bogata, barwista ornamentyka, którą Rosyanie sobie przyswoili. W religii główną potęgę ma człowiek mądry; on słowem rozkazuje samym bogom. Stąd w poezyi liczne zamawiania. Wspólnemi cechami są również zachowawczość i niechęć do obcych. Prawda, że i to być może wynikiem warunków historycznych i geograficznych, niekoniecznie zaś płynąć z natury samych ludów. Co się tyczy cech ujemnych, to plemiona fińskie, obok ogólnej łagodności, flegmatyczności, cechuje porywczość, nieoględność, nawet okrucieństwo,

uleganie złym skłonnościom; alkoholizm dosyć jest rozwinięty. Szczególnie trudno tym ludom o zgodę i organizacyę polityczną, o poddanie się zwierzchności; natomiast pod przymusem służą cierpliwie obcym. Jeżeli dodamy jeszcze trochę melancholii acz bez sentymentalizmu i dużo szerokiego humoru, obserwacyi tragikomicznej, będziemy mieli wówczas obraz mniej więcej odpowiadający rzeczywistości.

Po tym przydłuższym geograficznym wstępie rzućmy okiem na historyę już samej Finlandyi.

Rozpoczynamy ją zwykle od r. 1157 t. j. od chrztu tych krain, podczas gdy poprzednia epoka pogańska stanowi zarazem czasy przedhistoryczne, legendarne. Na czas między 1157—1522 przypada epoka panowania katolicyzmu, potem następuje epoka »czystej nauki«, luteranizmu. Czas katolicyzmu dzieli się zwykle na dwie części: 1157—1323 czas krzyżowych wypraw przeciwko pogańskim Finnom, czas nawracania, i 1323—1522 czas panowania katolicyzmu we właściwem znaczeniu. Wypraw ze Szwecyi do Finlandyi było trzy; pierwsza w r. 1157, kiedy pokonano i ochrzczono Finnów i założono zamek aboski, druga w r. 1249, kiedy pokonano i ochrzczono Tawastów i założono zamek tawasthuski, i nakoniec trzecia w r. 1293, kiedy podbito pod panowanie szwedzkie i ochrzczono Karelów; czego pamiątką pozostał zamek wyborgski. Jednocześnie Duńczycy oraz Kawalerowie Mieczowi opanowali kraj Estów i ochrzcili tamecznych mieszkańców. Powodu do tych wypraw dostarczyły, jak wiadomo, ustawiczne napady Finnów na Szwecyę i rabunki, jakich się tam dopuszczano. Finlandya i Estlandya przyjęły katolicyzm rzymski. Jednak są dowody, że chrystyanizm i przedtem nie był dla nich zupełnie obcy, mianowicie dowodzą tego wyrazy od Słowian zapożyczone, jak *pappi* (kapłan), *risti* (krzyż), *raamattu* (książka, biblia), wreszcie imiona apostołów *Pietari* (od *Pëtar*) i *Paavali*. Drugą wschodnią połowę Karelów ochrzcił Nowogród i ta po dziś dzień należy do Cerkwi wschodniej.

Do dziejów katolicyzmu w Finlandyi niewiele mamy miejscowych źródeł. Pożar bowiem aboski w r. 1827 spalił całą bibliotekę akademicką razem z archiwum, tak że dzisiaj musimy

poprzestać prawie na wiadomościach, które nam daje *Chronicon Episcoporum Finlandensium* Pawła Juustena, drugiego biskupa protestanckiego, przez prof. akademii aboskiej H. G. Porthana powtórnie wydany i skomentowany. Jest to katalog 24 katolickich i dwóch protestanckich biskupów, zawierający krótkie ich biografie. Na wstępie katalogu widnieją słowa: *Pontifices isti Finlandenses meruere Ecclesias regere, suffulti dogmate Christi.*

Pierwszym biskupem był św. Henryk, rodem Anglik, apostoł i męczennik. Poezya ludowa zna legendy o nim, w officyum kościelnem potem zawarte. Prócz tego zachowała się w archiwum uniwersyteckiem *Sequentia de sancto Henrico* z nutami — jeden ze znanych nam zabytków muzyki gregoryańskiej w Finlandyi.

Nawracanie kraju, pomimo oporu pogan i ciągłych rozruchów postępuje w XII i XIII wieku pewnym krokiem naprzód. Biskupi, z wyjątkiem czwartego, tragicznego Tomasza, który jest Anglikiem, przybywają ze Szwecyi. Ósmy z rzędu biskup, Jan I (1286—1291), z pochodzenia P o l a k, z zakonu Dominikanów, przez św. Jacka do Szwecyi posłany. Jego następca, Magnus I (1291—1308), jest pierwszym Finnem na stolicy biskupiej. Za niego rezydencyę z gminy Räntämäki czyli parafii Panny Maryi (nazwa i dzisiaj w użyciu), przeniesiono do stolicy Abo w r. 1300. W tymże czasie konsekrowano kościół katedralny aboski pod wezwaniem Najświętszej Panny i św. Henryka, którego relikwie zostały tu przeniesione z kościoła gminy Nousiainen, gdzie św. Henryk poniósł śmierć męczeńską i gdzie też na jego cześć zbudowano pierwszy w Finlandyi kościół katolicki. Następca Magnusa, Ragvaldus z Alandyi, założył w r. 1317 zamek biskupi Kuusisto, nieco na wschód od miasta Abo. W następnym roku *rutheni* spalili miasto z kościołem i zamek Kuusisto. Pomimo tego najścia Kościół katolicki wzrasta, wiara się utrwala, hierarchia się ustala, zwłaszcza za rządów dwunastego biskupa, najwybitniejszej osobistości XIV wieku, drugiego patrona kraju, błog. Hemminga. *Chronicon* o nim wie, że pochodził ze Szwecyi, jako biskup w Abo działał 25 lat, umarł w r. 1367. Darował kościołowi różne sprzęty, drogie książki teologiczne i kanoniczne. Również otrzymał kościół od niego w fundacyę majątki. Beatyfikacya jego

odbyła się w r. 1514, poczem miała nastąpić kanonizacya, gdy raptem reformacya stanęła na przeszkodzie. Porthan w swoich notach nazywa go *homo acer et imperiosus*. W innem miejscu przytacza epizod zaszły między bł. Hemmingem i św. Brygidą, z którą żył w świętej przyjaźni, świadczący o bardzo delikatnem sumieniu i wielkiej pokorze biskupa [1]. Prawda, o karność w Kościele, szczególnie wśród kleru, biskup ten był bardzo gorliwy. Wydał np. zakaz trzymania dzieci duchownych na plebanii. Celem tego zakazu było przeszkodzenie możliwego przejścia majątków kościelnych w ręce świeckich. Z wyrażeń jego można byłoby przypuszczać, że celibat w tym czasie w Skandynawii jeszcze nie był całkiem zachowywany. Inne znane nam rozporządzenia dotyczą rubryk kościelnych, między temi przepis katechizowania w komży oraz wymagania od dzieci znajomości Ojcze nasz, Wierzę i Zdrowaś Maryo. Porthan, jako protestant, nie widzi w nich nic, coby się przyczyniło do oświecenia umysłów lub zamiłowania cnoty. Jednak dzięki temuż Porthanowi wiemy, że bł. Hemming, jak i wszyscy biskupi aboscy, odznaczał się czynną wiarą, szczególnie opieką nad ubogimi i propagowaniem nauki. Za Hemminga istnieje w Abo szkoła, prawdopodobnie t. zw. katedralna, dla wychowania kleru.

Za Hemminga widzimy myśl założenia sufraganatu w Wyborgu; myśl ta jednak została uskutecznioną dopiero po wprowadzeniu protestantyzmu! Niewątpliwie biskup w Karelii byłby miał ogromne znaczenie i wpływ nawet na Karelów, poza krajem żyjących. W zaniechaniu tego zamiaru można, bez obawy popełnienia błędu historycznego, upatrywać politykę szwedzką, która obawiała się tendencyi i knowań separatystycznych, podczas gdy poblizkie Abo łatwiej strzedz się dawało.

Biskup Hemming był człowiekiem nadzwyczaj prawym,

---

[1] Epizod ten, wyjęty z objawień św. Brygidy, opowiada, że święta wdowa pewnego razu obiadowała u biskupa i przytem jadła z delikatnych podanych jej potraw na chwałę Bożą. Biskup to widząc, myślał sobie, że »jakżeż taka święta kobieta, mająca dar Ducha świętego nie powstrzymuje się od łakoci?« Przy modlitwie św. Brygida poznała w duchu o czem biskup myśli. Oznajmiła mu to. Biskup upokorzony błagał o przebaczenie.

zdaje się nawet wpadł w niełaskę u króla (chociaż Porthan chce temu zaprzeczać), był wtrącony do więzienia, ale i tu zachował lojalność. Chociaż Szwed rodem i *homo imperiosus,* nie spotykamy jednak przeciwko niemu narzekań lub niezadowolenia. Kronikarz późniejszy, biograf biskupa Magnusa II Tawasta, mówi, iż w Kościele aboskim, oprócz bł. Hemminga i Magnusa po św. Henryku nigdy nie znajdywano podobnych, którzyby dokonali tylu i takich chwalebnych czynów. Według słów objawień św. Brygidy błog. Hemming był mężem wielkiej wstrzemięźliwości, gorliwości i prawdomówności.

Biskupi aboscy mieli dwór w zamku Kuusisto, jeździli z orszakiem zbrojnym, nawet flota biskupia istniała. Dwór biskupi był zarazem i ogniskiem kultury, tam się wychowywała szlachecka młodzież.

Jeszcze jedna instytucya, która w Finlandyi w średnich wiekach kwitła i posiadała wielką doniosłość, to były zakony. Znani byli w Finlandyi Dominikanie i Franciszkanie, zwykle czarnymi i szarymi braćmi zwani. Pamiątką tego jest jeszcze dzisiaj »Ulica czarnych braci« w Wyborgu. Sami dzisiejsi Finnowie przyznają zakonom wielkie zasługi w dziedzinie cywilizacyi kraju. Z budynków klasztornych reformacya zostawiła tylko kościoły. Dominikanie zasiadali nawet na stolicy biskupiej. Z tego zakonu oprócz wspomnianego Jana, Polaka, i dwóch innych pasterzy, pochodził następnie i Bero II (1385—1412) i zdrajca Martyn Skytte. Żeński klasztor był tylko jeden, mianowicie św. Brygidy w Nadendalu *(Vallis gratiae),* założony przez Magnusa Tavasta w XV wieku.

Jeżeli do charakterystyki wieku XIV-go należy budowanie kościołów, stawianie olbrzymich murów z granitu, to następny XV wiek zajmuje się przeważnie ozdobą tych świątyń dziełami sztuki. Najwybitniejszą osobistością XV wieku jest 17-y biskup, Magnus II Olai Tavast. O nim biografia wie dużo, podajemy tutaj jej streszczenie.

Pochodził ze znakomitej fińskiej rodziny wasalskiej. Nauki pobierał za granicą, był magistrem pragskim. Na biskupa konsekrowany został w Rzymie u św. Katarzyny w r. 1412. Należy pa-

miętać, że są to czasy Skandynawskiej unii, według której Szwecya, Norwegia i Dania miały być rządzone przez jednego króla. Koniec unii położył dopiero Gustaw I Waza, którego Szwedzi przeto uważają za oswobodziciela ojczyzny. Niewątpliwie ujemne skutki tej t. zw. Kalmarskiej unii przyczyniły się i do upadku katolicyzmu w Finlandyi, jak o tem niżej powiemy.

Biskup Magnus Tavast, był to człowiek w swoim czasie potrzebny i pożyteczny. Był zaufanym doradcą króla, wielkim działaczem społeczno-politycznym i kościelnym. Trudna była wtedy pozycya biskupów aboskich. Szwedzi, niezadowoleni z królów duńskich, raz po raz buntowali się, obierali własnych królów albo wielkorządców, a biskup finlandzki musiał zawsze udawać lojalnego. Biskup Magnus Tavast słynie swoimi fundacyami, zbudował bowiem kaplicę Bożego Ciała w kościele katedralnym, darował wielką ilość sprzętów kościelnych, obłożył srebrem czaszkę i ramiona św. Henryka, dał kielich i patenę ze szczerego złota i krzyż wielki srebrny. Na wzór bł. Hemminga darował kościołowi aboskiemu mnóstwo dzieł teologicznych i prawniczych. Jak wyżej wspomnieliśmy, założył na swoim majątku klasztor Nadendalski. Zamek Kuusisto również doznał jego działalności budowniczej. W roku 1429 w oktawę Bożego Ciała, kościół katedralny był zniszczony pożarem, jednak wkrótce, przed końcem życia biskupa, odnowiony do lepszego stanu niż był poprzednio. Pożar zresztą gościł prawie u każdego biskupa. Co do innych prac tego biskupa, wiemy, że liczbę kanonii z sześciu podniósł do dziesięciu. Odtąd w kościele katedralnym odprawiają się msze św. bez przerwy od świtu do południa. Szczególne nabożeństwo miał Magnus Tavast do męki Pańskiej. W podeszłych latach odbył z wielkim kosztem i narażeniem życia pielgrzymkę do Ziemi św. Biograf mówi, że biskup ten u magnatów i radców państwa, jako drugi Józef *magnus re et nomine*, był poważany przez wszystkie trzy państwa północne. Wśród swoich wielkich zajęć nie zapomniał o uczynkach miłosierdzia, utrzymywał wielu ubogich, chorych, ślepych i chromych na wszystkich swoich rezydencyach. Prowadził życie skromne, czyste i powściągliwe. Imię jego słynęło nie tylko w kraju, lecz nawet u »Ruthenów«, daleko i szeroko w odległych stronach.

Na szczęście ten znakomity człowiek długo, bo 38 lat rządził Kościołem i zarazem krajem w Finlandyi. Historyk i poeta fiński Z. Topelius powiada: »był on rzeczywistym królem kraju, chociaż tego imienia nie nosił«. Na dwa lata przed śmiercią Magnus zrzekł się biskupstwa i zamieszkał przy klasztorze Doliny Łaski (Nadendal = Vallis gratiae), gdzie i umarł w r. 1452 9-go marca w wieku 95 lat. Pochowano go w kaplicy Bożego Ciała.

W tym czasie Kościół katolicki w Finlandyi dochodzi do najwyższego rozkwitu. Następcą Magnusa był jego krewny i wychowaniec, Olaus, magister, rektor uniwersytetu, *Lector Ethicorum*, oraz »paedagogista« za czasów studyów w Paryżu. Słynął on i we Francyi, był doradcą szwedzkich królów Chrystofora i Karola. W ósmym roku jego episkopatu miasto spalone zostało od pioruna. Kronikarz powiada o Olafie, że był *in omni facultate doctissimus, in agendis prudentissimus, et Rhetor extitit facundissimus.* Do dobrych rządców należy i następujący, Konrad Bitz (1460—1489), który odbudował kościół katedralny w kształcie bazylikowym. Podobnież mężem wielkiej surowości i stałości, oraz obyczajów zacnością jaśniejący był Magnus III Nicolai de Särkilax; u magnatów państwa wielce ceniony, o rządy Kościoła swego dbały, wiele pracował dla odnowienia kleru, a przeniósł wiele przeciwności w obronie wolności Kościoła; względem ubogich miłosierny. Jego następca Laurentius Michaëlis Suurpää (= wielka głowa), od r. 1500 do 1506, był *homo mitis et mansvetus.* Za jego rządów zaczynają się zatargi między Danią a Szwecyą, ofiarą których była i Finlandya. Prawda, że i za poprzednich biskupów kościół i miasto częstszemu ulegały zniszczeniu bądź od ognia, bądź od miecza nowogrodzkich Russów, lecz nieszczęścia te stały się dotkliwsze, odkąd na stolicy biskupiej zabrakło dzielnych Hemmingów i Magnusów. W r. 1509 duński kapitan, *quidam praedo Otto Ruuth, filius iniquitatis,* w nocy na 2 sierpnia spustoszył Abo, częścią wymordował, częścią zagarnął do niewoli mieszkańców, złupił wszystko, zwłaszcza kościół.

Arwid Kurki (1510—1522), pochodzący ze znakomitej rodziny Kurków (kurki = żóraw), którą nawet ludowe ballady opiewają, był, można powiedzieć, ostatnim z biskupów katolickich w Fin-

landyi. O nim Juusten nic nie wie, opowiada tylko, co za niego się zdarzyło. Zatargi między Danią i Szwecyą zmusiły biskupa nareszcie do ucieczki; płynąc do Szwecyi biskup ten podczas burzy utonął. Po nim katedra wakowała lat sześć. Tymczasem magister Petrus Särkilax opowiadał w Finlandyi naukę Lutra, którego słuchał w Wittembergu. W r. 1522 rządy państwa objął Gustaw Waza; biskupstwo aboskie otrzymał wówczas D. Martinus Skytte w. r. 1528. Był to człowiek wielkiej nauki i sławy, przez długi czas przedtem wikaryusz zakonu dominikańskiego. Juusten oddaje mu najwyższe pochwały, mówiąc o nim, że to mąż *summa pietate, sobrietate, modestia vitae integritate conspicuus,* dodaje przytem: *vere de eo dici posset: Orationes et eleemosynae tuae ascenderunt in memoriam coram Deo.* Wysłał bowiem swoim kosztem za granicę kilku młodzieńców na nauki teologiczne. W ich liczbie byli Michał Agricola i Paweł Juusten. W tym czasie król Gustaw zaczął na rzecz skarbu przywłaszczać majątki kościelne (zowie się to zwykle »reformacyą«). Jednocześnie zanikają kanonikaty i prebendy, bo nowych ani kanoników ani prebendatów na miejsce zmarłych biskup nie mianuje, a dochody eliminowane zabiera król. Powoli podkopuje się katolicyzm. Na sejmie vesteraskim w r. 1527 postanowiono, że »odtąd czyste słowo Boże ma być ogłaszane wszędzie w państwie«, bez bliższego zdefiniowania wyznania. Dopiero na synodzie upsalskim w r. 1593 zostały przyjęte symbole luterskie (za wyjątkiem *Formulae Concordiae*). Wychowańcy biskupa pobierali nauki w Wittenbergu; od Juustena dowiadujemy się, że *huius Episcopi Martini temporibus corruit Papatus in tota Finlandia* zniesione zostały prywatne msze, woda święcona wyszła z używania, również święcenie popiołu i palm, śpiew kościelny został zmieniony i poprawiony. Kustosz D. Laurentius Canuti celebrował w kościele aboskim po raz pierwszy szwedzką mszę; poczem do tegoż samego zmuszono królewskim nakazem wszystkich innych w r. 1538. Olej i chryzma »papistyczne« wyszły z użycia w r. 1540. Jeżeli dodamy, że w r. 1537 spalony został klasztor dominikański, potem już nie odbudowany, zakonnicy domu rozmieszczeni po parafiach, miasto Abo w r. 1546 spaliło się prawie doszczętnie razem z kościołem i kuryą biskupią, to mamy

mniej więcej obraz »oczyszczenia« wiary w Finlandyi. Zamek biskupi Kuusisto z rozporządzenia królewskiego został zburzony i zrównany z ziemią w r. 1528. Po śmierci Skyttego (1550) katedra znowu wakowała półczwarta roku, aż na niej zasiadł pierwszy właściwy biskup protestancki Michał Agricola.

Łatwo da się wytłumaczyć przywiązanie dzisiejszych Finnów do luteranizmu, jeżeli zważymy, że Michał Agricola nosi tytuł »ojca literatury fińskiej«. Ogół przypisuje powstanie fińskiej literatury luteranizmowi. Jednak ośmielamy się przypuścić, że początki piśmiennictwa fińskiego są starsze. Wprowadzeniu protestantyzmu towarzyszyły pożary; zresztą reformacya szła od króla Szweda, zaczęły się odprawiać szwedzkie nabożeństwa — czyż w tem nie należy upatrywać obok *odium religionis* także *odium nationis?* Bardzo możliwem jest, że zabytki piśmiennictwa fińskiego z czasów katolickich zostały z umysłu zniszczone. O Agricoli wiemy, że *assumptus est ad sacros ordines*, później posłany do Wittembergi, gdzie na wzór mistrza Lutra ożenił się. Był przez lat 10 rektorem szkoły aboskiej; w tym czasie wydał abecadło i modlitewnik fiński (w którym po Ojcze nasz następuje Zdrowaś Maryo). Przetłumaczył na język fiński Nowy Testament (wyd. 1542) i Psałterz oraz liturgiczne dzieła, mszał, rytuał, i t. p. Przeznaczone były te wydawnictwa dla kleru. W r. 1554 kapituła aboska przybywa do króla (na jego rozkaz) i słyszy od niego oświadczenie, że już nie trzeba przełożonym kościoła szwedzkiego szukać zatwierdzenia na godność biskupią u kuryi Rzymskiej, ponieważ juryzdykcya jest w domu u Jego królewskiej Mości. Finlandya natychmiast podzieloną została na dwie dyecezye: aboską i wyborgską, co Agricoli, który dostał dyecezyę aboską nie bardzo się podobało. Katedrę wyborgską otrzymał wtedy Paulus Juusten. Czy ci dwaj dygnitarze protestanccy byli prawdziwymi biskupami, o tem nie wiemy; *Chronicon* podaje, że otrzymali włożenie rąk i konfirmacyę od Botvida, biskupa strengneńskiego, albowiem arcybiskup był w królewskiej niełasce. Po powrocie do Finlandyi, Agricola nawiedzał kościoły nadmorskie; w dniu narodzenia Matki Boskiej celebrował, »jak się mówi mszę pontyfikalną« w infule, co królowi nie było bardzo miłem, jako

rzecz przypominająca »papizm«. Bez wątpienia jest to dowodem, jak trudno było rozstać się z katolicyzmem. Rugowano jego resztki powoli. Najpierw z rozkazu króla zaczęły się odprawiać szwedzkie msze. Następnie łacina została formalnie zabronioną. Przejściowo wolno było używać obojga języka naprzemian. Mszał fiński Agricoli od roku 1549 zawiera po łacinie tylko modlitwę, którą kapłan odmawia przed ołtarzem, i absolucyę, którą mu dają ministranci.

Literacka działalność Agricoli, Szweda, tłumaczy się niewątpliwie chęcią zjednania Finnów dla reformacyi, gdyż inaczej byliby się zacięcie trzymali dawnej wiary. Jeden rys jeszcze należy do charakterystyki tego »biskupa«: Agricola pochodził z ludu, ojciec jego był rybakiem Särkilaxów: odtąd już dawne tradycye ustają. I to w oczach dzisiejszych Finnów dodaje blasku aureoli apostoła reformacyi. Umarł Agricola nagle w r. 1557 po drodze z Moskwy, gdzie odbył pertraktacye pokoju z Rosyą; znał bowiem doskonale i język moskiewski.

Po Agricoli zasiada na katedrze aboskiej M. Petrus Follingus, Szwed. Dano mu biskupstwo, jak powiada Juusten, za radą niektórych, *quibus lingua Fennonica invisa erat.* Oskarżają Follinga również o łakomstwo i chciwość. O jego stosunkach z dyecezyą wiemy, iż potrzebował tłumacza tak w prywatnych, jak w publicznych sprawach Finnów. W Abo Folling został do roku 1563; w r. 1565 przez króla Eryka został mianowany na biskupa w Rewlu. Jednocześnie bowiem z Finnami do przyjęcia nowej wiary skłonieni zostali i estończycy; gdy zakon Kawalerów Mieczowych sekularyzował się, przyjął luteranizm, a Estlandyę zawojowała Szwecya.

W r. 1563 biskupem aboskim zostaje Paweł Juusten, przedtem biskup wyborgski. Dla nas ciekawa to postać choćby z tego powodu, że wydał dzieło, któremu jedynie zawdzięczamy dzisiaj swoje wiadomości o dziejach katolicyzmu w Finlandyi. Od tego czasu datuje się na całej linii zwycięstwo protestantyzmu. Promyczek światła katolickiego stanowi czas panowania księcia finlandzkiego Jana w zamku aboskim (1563—65). Wtenczas Finlandya miała dwór książęcy; Katarzyna Jagiellonka przyprowa-

dziła swych ojców duchownych i dworzan polskich, msza św. była odprawiana w kaplicy pałacowej; lecz nagle wszystko ustać musiało. Zazdrosny Eryk zdobył Abo, wtrącił do więzienia Jana z Katarzyną; później, prawda, jego tenże los spotkał. Jan, jako król, starał się o pogodzenie wyznań. Dyecezye aboską i wyborgską połączono, katedrę dano Erykowi Sorolainenowi, któremu historycy zarzucają, że zanadto dogadzał królowi w jego próbach skatoliczenia Kościoła. Po śmierci Katarzyny Jagiellonki Jan zaniechał wszystkiego; druga żona Gunilla Bjelke była protestantką. Dopiero za jego syna Zygmunta zdawało się, że katolicyzm się podniesie. I dziwna to rzecz, że szlachta fińska jednomyślnie i stale brała stronę Zygmunta; marszałek Klaus Fleming nawet jest podejrzany o kryptokatolicyzm. A niewątpliwie ku tej nadzwyczajnej lojalności przyczyniła się pamięć księcia Jana, który szczególnie kochał Finnów; nadał Finlandyi w r. 1589 jej obecny tytuł »Wielkie księstwo«. Znaną jest też miłość Jana do fińskiego języka, co jest rzeczą o tyle dziwniejszą, że był on przecież ulubieńcem swego ojca, Gustawa Wazy, który z przymieszką zabobonnego strachu nienawidził Finnów. Nieszczęśliwe położenie kraju między Wschodem a Zachodem, ustawiczne najazdy Moskali i powodowane tem obciążenie mieszkańców podatkiem na utrzymanie i załogę wojska, po części cudzoziemskiego, wszystko to przygotowało wojnę domową. Z nastroju tego skorzystał stryj Zygmunta, Karol i namówił chłopów fińskich do powstania przeciw swoim panom. Palono i burzono dwory, poczem nastąpiła rzeź, swawola i krwawe stłumienie buntu przez wojsko Fleminga. Kraj został osłabiony, wyniszczony, a naród rozdwojony. Bezwiednie chłopi podkopali własną swą sprawę. Karol nareszcie zwyciężył wojsko Zygmunta, uzurpował tron i skazał na śmierć głównych przedstawicieli szlachty fińskiej, wiernych Zygmuntowi.

(Dok. nast.).

Adolf Karling.

WOBEC RUCHU ROZWODOWEGO.

Refleksye o istocie małżeństwa.

(Dokończenie).

V.

Jakie powody przytaczają lub przytaczaćby mogli zwolennicy rozwodów? Różnica pomiędzy poszczególnymi dekretami a prawami ogólnemi. Trzy główne zarzuty przeciw nierozerwalności małżeńskiej: Prawo to wyrządza zniewagę wolności ludzkiej; pozbawia małżeństwo głównego jego celu; naraża małżonków na pozbawienie szczęścia, do którego mają prawo. Odpowiedź na te zarzuty. Zgubne następstwa rozwodów. Świadectwa historyi. Płonne rekursy zwolenników rozwodu do władzy świeckiej. Prawodawstwo dotyczące małżeństwa tak pod względem istoty małżeństwa, jak istotnych jego właściwości należy do Boga i do Kościoła Chrystusowego. Węzeł małżeński jest rzeczą wnętrzną, instytucyą Boską, sam kontrakt małżeński jest Sakramentem, z tych wszystkich względów uchyla się od władzy cywilnej. Jaki jest zakres władzy świeckiej w sprawach małżeńskich?

Zobaczmy, jakie dowody przytaczają lub przytaczaćby mogli wrogowie nierozerwalnego związku małżeńskiego przeciw Boskiemu, Chrystusowemu małżeńskiemu prawu?

Zanim je przytoczę, zaznaczę z prawnikami, wielkiej doniosłości różnicę, jaka zachodzi pomiędzy poszczególnymi dekretami, postanowieniami a prawami ogólnemi. Tamte odnoszą się do jednostek i są dostosowane do ich miary; te zaś nie noszą tego ścieśnionego znamienia, lecz mają na względzie dobro ogółu, są wydane dla wszystkich. Że ich zastosowanie do jednostki przedstawia niedogodności i nakłada tu i owdzie większy przymus, to bynajmniej nie może być powodem do ich zniesienia,

skoro one kierują społeczeństwami ludzkiemi na drodze postępu i udoskonalenia.

Otóż takiem jest prawo nierozerwalności małżeńskiej! Jest to prawo rasy ludzkiej ustanowione, jakeśmy w poprzednim rozdziale wykazali, dla udoskonalenia naszej natury i dla dobra ogólnego ludzkości. Nic dziwnego, że jakaś jednostka wskutek niego może cierpieć; byłoby jednak niedorzecznością chcieć uchylić ogólne prawo dlatego, że ono pewnym jednostkom staje się niedogodnem. Każde prawo może stać się niewygodnem dla pewnych jednostek — czyż płynie stąd konsekwencya, że należy wszelkie prawo unicestwić? Czyż nie byłoby to zburzeniem wszelkiego ładu i porządku — i czyż dopiero wtedy nie rozpoczęłaby się gehenna ludzkiej nędzy?

Otóż w podobny sposób postępują wrogowie nierozerwalności małżeńskiej, ci nawet, których wprost nie owiewa duch sekciarski. Z cierpkością podnoszą oni niedogodności Boskiego prawa, które łatwo do trzech głównych sprowadzić można.

Prawo nierozerwalności czyni z n i e w a g ę w o l n o ś c i l u d z k i e j, którą niewolniczymi krępuje węzłami.

Prawo nierozerwalności zmierza do p o z b a w i e n i a m a ł ż e ń s t w a g ł ó w n e g o j e g o c e l u.

Prawo nierozerwalności n a r a ż a tych, których jednoczy, n a n i e s p r a w i e d l i w e i b e z n a d z i e j n e p o z b a w i e n i e s z c z ę ś c i a, do którego mają prawo wchodząc w związki małżeńskie, rozjątrza ich i pcha do występku!

Wolność tak wielkiem jest dobrem, iż świadomie nie trzeba się jej zbywać, ani wyrzec prawa do jej odzyskania. Związać się na zawsze, jak się czyni w małżeństwie nierozerwalnem, ukuć sobie w jednej chwili kajdany, których nigdy nie będzie można rozerwać, czyż to nie jest szaleństwem? Czyż człowiek jest panem swego serca, które dziś mówi: »ja cię kocham«? Czyż może przewidzieć wszystkie zdrady swej słabości i niestałości? Jakżesz więc związać się węzłem nierozerwalnym!

Przyznaję, że wolność wielkiem jest dobrem i że jest nierozumem zbyć się jej na zawsze, nie przewidując przyszłości i nie

obmyślając środków zaradczych przeciw wynikom tej delikatnej i trwogą przejmującej ofiary. Ależ jeśli wolność jest dobrem — tedy jest ona mojem dobrem; jestem jej panem, mogę nią rozporządzać, jak chcę, na dziś, na jutro, na zawsze, bylem nią roztropnie rozporządził.

W czynie, w dziele jakiemś, winno się mieć na oku dobro; kiedy to godne jest wielkiej ofiary, trzeba się na nią zdobyć. Bez jakiejś ofiary z naszej strony niczego w życiu nie osiągniemy. Otóż znamy dobra zjednoczenia małżeńskiego utwierdzonego nierozerwalnością: ono zwiększa i potęguje miłość, życie moralne, rodzinę, społeczeństwo; dla tych dóbr warto zobowiązać się w niem na zawsze. Człowiek bojaźliwy i rozmiłowany w swych wygodach chce się tylko rachować z przyszłem złem, możliwem w wspólnem pożyciu; człowiek wspaniałomyślny i roztropny ma na względzie dobra pewne; takiemi są: szlachetna szczerość i stałość, jakiej miłość prawdziwa winna dać dowody, kojarząc się z drugą miłością; święta równość donacyi nakazana sprawiedliwością; niezmierne korzyści wykwitające z trwałego zjednoczenia dwóch serc i dwojga żyć dla wychowania dzieci, dla utrwalenia i zjednoczenia rodziny; honor, jaki spływa na całe społeczeństwo, wchłaniające w siebie chwalebne pierwiastki trwałości, jakie mu ofiarują rodziny, w których tradycye łączą przeszłość z przyszłością, w które nierozerwalność węzła małżeńskiego z uczciwością wprowadza pokój, harmonię. Człowiek roztropny nie przeocza przygód przeciwnych, które mogłyby zrodzić żal dlatego, iż się związał na zawsze; to też usiłuje on, o ile ludzka roztropność na to pozwala, zabezpieczyć się z góry przeciw możliwym ciosom i rozczarowaniom. Ale powziąwszy raz te ostrożności, stawia ponad zło, którego może się obawiać, wielkie dobra, jakich się spodziewa i jakie chce osiągnąć, — i choćby miał walczyć i cierpieć, zobowiązuje się na zawsze. Ktoby twierdził, że takie postępowanie nie jest dopuszczalne, ten potępiałby tem samem wszystkie szlachetne przedsięwzięcia, do których ludzie przykuwają swe życie. Zresztą nierozerwalność małżeńska nie na to jest ustanowiona, by ciążyła jako jarzmo sromotne, lecz by kierowała wolnością, którą ślubnym ściska pierścieniem, na drodze

moralnego postępu. Nakazując dla siebie poszanowanie, ona wymaga od człowieka odważnych wysiłków, które trzymają w karbach jego namiętności, naprawiają jego występki, zmniejszają jego wady, udoskonalają jego przymioty, utwierdzają jego cnoty i rozmnażają jego dobre czyny. Nie poddaniem się i uległością tej Boskiej ustawie, lecz buntowaniem się przeciw niej, człowiek umniejsza się, obniża i upadla.

Ale czyż po zobowiązaniu wolności jest się pewnym, że się osiągnie cel, jaki się przez to zobowiązanie zamierza?

Z pośród dóbr wykwitających z małżeństwa teologia zgodnie z instynktem natury, na czoło wysuwa potomstwo. Mężczyzna i niewiasta zamieniają swe przysięgi z widokiem ich odżycia w dzieciach. Dziecko to korona ich chwały, przez nie bowiem uczestniczą w ojcostwie Boga; dziecko to ich szczęście, bo w niem ich serca się spotykają, by się więcej jeszcze miłowały. Szczęśliwe te ogniska, w których człowiek, wpatrując się okiem tkliwem w drogie odrośla swego życia, może powiedzieć: *Non omnis moriar.*

Ale niestety, napotykamy ogniska opustoszałe, gdzie niemoc i słabości sprzysięgają się przeciw życiu, gdzie małżonkowie napróżno wyczekują upragnionego potomstwa. Gdybyż mogli się opuścić i szukać gdzieindziej płodnego związku! Wszelako nierozerwalność przykuwa ich do dożywotnej bezpłodności. Czyż nie słuszna buntować się przeciw podobnemu prawu?

Tak, zaiste, przeciwnicy nierozerwalności mogliby się łatwiej zrewoltować, gdyby bezpłodność w małżeństwie była regułą, a płodność wyjątkiem. Atoli wiemy, że się rzecz ma wręcz przeciwnie. Musimy tu więc przywieść sobie na pamięć zasadę wyżej wyłożoną: że w zastosowaniu prawa ogólnego, jednostki mogą na tem cierpieć, co atoli nie jest bynajmniej powodem do zniesienia prawa. Od najniższych nizin, aż do szczytu natury żyjącej, wszędzie wielkie prawo odradzania się napotyka wyjątki.

Zresztą dla małżonków chrześcijańskich, umiejących zdać się na wolę Bożą, wspólne pożycie nie jest pozbawione kompensaty. Nie potrzebują oni obawiać się katastrof domowych, wylu-

dniających ogniska, ani straszliwych ciosów, które miażdżą rodzicielskie serca, kiedy widzą jak śmierć pozbawia ich dziatwy ukochanej, w której skupiali całą swą miłość i nadzieję. Nie mogąc rozlewać się na inne życia, przywiązują się więcej do tego, które ich jednoczy: miłują się tem lepiej, im się czują więcej potrzebnymi jedno drugiemu. Jeżeli zaś miłość potrzebuje wylania gdzieindziej, niż w ich zażyłości, umieją oni zrobić sobie rodzinę z tych wszystkich, którzy korzystają z dobrodziejstw ich miłości, jak: nędzarze, nieszczęśliwi, którym chrześcijańską niosą pomoc...

Trzeba jeszcze, by małżonkowie się rozumieli, by ich życie w harmonijną zlewało się całość. Trzeba zgodności charakterów, uprzedzeń słodkich, znoszenia miłosnego, wzajemnego zaufania, niezłomnej wierności, jako nagrody za dozgonne zobowiązania się! Atoli liczyć na to wszystko, jest to zapoznawać dziwactwa, słabości, skłonności zdrożne ludzkiej natury! Jeśli są ludzie szczęśliwi w wspólnem pożyciu, niechaj trwają w zjednoczeniu, nie myślimy zakłócać im spokoju — mówią aranżerowie rozwodów. Ale na kilka par dobranych, ileż jest źle dobranych, wśród których szczęście małżeńskie zaledwie kilka gościło miesięcy! Niemożliwa opisać nieprzeliczonych klęsk, trapiących ogniska domowe, w których mężczyzna i niewiasta na zawsze narzucili na siebie kajdany! Tu wychodzą na jaw wstrętne słabości lub sromota dotąd utajone; tam nagły wybuch namiętności i występku zwyczajnie hamowanych, wady, które się jeżą za najmniejszem przeciwieniem się; tu poniżające nałogi nie dające się już maskować, niekiedy hańby publiczne, które prawo karze; gniewy, jak piorun wybuchające, obelgi, groźby, kłótnie, gwałtowności, grubiaństwa, zdrady, niewierności osłonione podstępem i kłamstwem lub jawnie występujące! Słowem, wszystko, co rozdziela umysły, rozdziera i przywodzi do rozpaczy serca i zabija na zawsze miłość. Czyż to wszystko nie napotyka się w wielu ogniskach domowych? I wy chcecie, by mężczyzna i niewiasta pozostawali przykuci jedno do drugiego, jak skazańcy do robót publicznych, ciągnący razem tęż samą taczkę?! Niekiedy winni oboje, bo nie napotkali jedno w drugiem niczego, prócz zawodów,

a po największej części osoba niewinna do winnej przykuta. Czyż to nie jest wstrętnem i niedorzecznem? Czyż rozum sam nie mówi: zwróćcie tym nieszczęsnym swobodę, miasto przedłużać ich katusze; rozerwijcie węzeł nierozerwalności, który ich skazuje na wieczyste pozbawienie szczęścia, o którem marzyli, do którego mieli prawo wstępując w związki małżeńskie!

Oto najpotężniejszy taran przeciw prawu Bożemu. Atoli ten zarzut bynajmniej nie powinien mieszać nikogo. Odpowiem najpierw przeciwnikom nierozerwalności małżeńskiej, że nadużywają zbyt ciemnych farb, że zbyt uogólniają i zwiększają zło, które ma im służyć za argument do rozwodów. Statystyki nie ukazują nam małżeństwa w tak ciemnych kolorach w krajach, w których nierozerwalność węzła małżeńskiego religijnego doznaje poszanowania. Nie zaprzeczam niedoskonałości biednej ludzkiej natury; kiedy takie niedoskonałości poślubiają się, nic dziwnego, że następują zderzenia. Wszelako zwyczajnie nie przychodzi tu aż do katastrofy, ani nawet do unieszczęśliwienia małżonków.

Sytuacye naprężone i gwałtowne są raczej wyjątkiem. Nie na prawo samo spada za to odpowiedzialność, lecz na tych, którzy je winnie, czy nieroztropnie wytworzyli. Odpowiedzialność za te rozdźwięki w małżeństwie spada na tych, którzy zapoznawają wzajemne względem siebie obowiązki. Jeżeli jarzmo to zbytnim ciężarem przytłacza winowajców, czyż ma się prawo zwać je barbarzyńskiem? Nie, jego surowość — to sprawiedliwość! Prawo zwraca się przeciw tym, którzy mu urągali, ono staje się ich karą. Jeśli się zbuntują przeciw tej karze, jeśli ulegając pokusie zakończą zbrodnią, prawo nierozerwalności za to nie odpowiada, jak prawo wzbraniające kradzieży nie jest odpowiedzialne za morderstwo, jakiego dopuszcza się złodziej, gdy nie może ukraść worka z pieniędzmi bez pozbawienia jego właściciela życia.

Każdy przyznać musi, że wśród małżonków nieszczęśliwych mało znalazłoby się zupełnie niewinnych. A choćby byli niewinnymi, prawo nierozerwalności nie jest zmuszone ugiąć się przed ich nieszczęściem, bo jest prawem ogólnem, prawem przezorności na daleką metę, prawem wyższego interesu, prawem udoskonalenia indywidualnego, domowego i społecznego. Ono wymaga od

niewinnych ofiary z szczęścia, jakiego się spodziewali. Jest to pora dla nich do spełnienia wielkiego aktu zaparcia i poświęcenia, jak dla żołnierza, który umrzeć musi pod kulami nieprzyjaciela, kiedy idzie o zbawienie ojczyzny. Bezsprzecznie jest to nader przykra dla natury ofiara i strona niewinna może się pytać, dlaczego prawo ją poświęca na ofiarę. Atoli jest w tem krytycznem położeniu pierwiastek, na który liczyć trzeba, jest nim łaska, którą Bóg dołącza do swego prawa, dla pokrzepienia omdlewającej natury. Chrześcijanin może znosić jarzmo nierozerwalności; łaska bowiem tem jest żywsza i silniejsza, im się jest więcej nieszczęśliwym. Ona go podtrzymuje, umacnia, pociesza, poucza Boskiej sztuki czynienia cierpień dobroczynnemi na korzyść tych nawet, którzy są ich sprawcami; i na ruinach szczęścia, jakiego biedne serce się spodziewało, łaska daje mu odczuwać szlachetne rozkosze chwalebnej immolacyi dla Boga i pożyteczniejszej dla społeczeństwa aniżeli krwawe ofiary.

Posłuchajmy głośnej literatki opowiadającej swem doświadczonem piórem dobrodziejstwa nierozerwalności małżeńskiej: »Wszystkie inne Sakramenta przynoszą łaskę duszom indywidualnie; Sakrament małżeństwa rozlewa ją na dwie dusze, by je zjednoczyć w Bogu. Jego skutkiem nie jest ogołocenie zmiennego serca z jego kaprysów, namiętności i słabości; lecz zabezpieczenie przeciw ich przeważającemu wpływowi. Serce człowieka jest taką przepaścią niepokoju, ruchliwości, niestałości, ono mieści w sobie takiego ducha przeciwieństwa, że jutro uważać będzie za nieznośne, czego dziś gorąco pożądało i pojutrze poczytywać będzie za coś nieoszacowanego to, co odrzuciło i dobrowolnie straciło przedwczoraj. Atoli węzeł małżeński z natury swej zniewala małżonków do zaparcia, któreby zlało w jedno ich charaktery, zespoliło ściśle ich wole, wprowadziło harmonię w odmienność ich przymiotów. Jakże to serce niespokojne, niestałe wytrzyma tak przykrą walkę przeciw sobie samemu, jeśli wie, że może się przed nią uchylić, jeśli roznamiętnione wyobraża sobie, że pójdzie inaczej w innem małżeństwie? Jakże łatwo się ono oszukuje pod względem prawdziwych swych potrzeb, poczytując za nieuniknioną konieczność to, co jest oczarowaniem chwilowem, za ciężar nie-

znośny to, co po prostu je w czemś ustala! Zródłem, zasadą nierozerwalnego małżeństwa jest to: dwie ludzkie osoby jednoczą się ciałem i duszą, by służyć Bogu, czynić Jego wolę, dostroić się do porządku przez Boga ustanowionego, wzbogacając swą miłością ziemię nowemi ludzkiemi istotami, niebo nowymi wybranymi; zaiste jest to wielkie i wzniosłe posłannictwo. Zasadą przeciwnie rozerwalnego małżeństwa jest to: dwie ludzkie osoby kojarzą się ze sobą na czas, w jakim podobać się im będzie pozostawać razem, co jest rzeczą pospolitą i podłą, bo wtedy najnędzniejsze namiętności są ustanowione sędziami w ich własnej sprawie... Tylko to, co wiekuiste trzeba poczytywać za święte; co zaś jest przejściowe, wedle kaprysu ceni się, przecenia i pogardza się niem! Istota małżeństwa, jako instytucya Boża, nie tylko jest zraniona, ale zniszczona swem rozwiązaniem, bo to, co się podstawia w zamian, to rzecz, która stawia fundament rodziny na ruchomym piasku namiętności! Kobiety są skłonne do upatrywania w rozerwalności małżeństwa ochronę dla słabości ich płci. Atoli ten sposób zapatrywania się jest bardzo powierzchowny. Czegóż się obawiają w małżeństwie? Widzieć los swój zależny może od woli kapryśnej! Otóż w rzeczy samej w małżeństwie nierozerwalnem, biorąc rzeczy z najgorszej strony, są one wydane kaprysowi małżonka, lecz w małżeństwie rozerwalnem zależą one od ich własnego kaprysu: zatem wydane bezbronnie ich najniebezpieczniejszemu nieprzyjacielowi. Bo zło, które się czyni, sprawia duszy większą szkodę, niż zło, które się cierpi i stawia duszę w położenie fałszywe i trudniejsze, niż to, w jakieby ją postawiła najtwardsza tyrania małżeńskiego despoty, bo znosząc je kobieta coraz ściślej trzyma się kierunku, jakiego Bóg od niej wymaga. Ona będzie wiele cierpiała, może ją złamie jarzmo żelazne. Wszelako jarzmo własnej jej namiętności byłoby jeszcze zgubniejsze, bo nieuniknionem jego następstwem jest kara wiekuista, podczas gdy tamto zapewnia jej nagrodę wiekuistą« [1].

Tym, którzy nie chcą liczyć na łaskę, wykażmy: czy jest

[1] Ida Han-Han o Jeruzalem str. 165.

stosownem przyjąć środek rzekomo zaradczy, jaki im za dni naszych podać chcą przeciwnicy prawa Bożego.

Rozwód większem i gorszem jest złem, aniżeli wszystkie nieszczęścia, które stronnicy rozwodu chcieliby włożyć na karb nierozerwalności; rozwód, to źródło najsromotniejszego upadku i poniżenia rodziny i społeczeństwa. Posłuchajmy, co o tem mówi Leon XIII w słynnej swej encyklice o małżeństwie:

»Trudno wyliczyć wielkie nieszczęścia, których rozwód jest źródłem. Kiedy węzeł małżeński traci swą nienaruszalność i nieodmienność, życzliwość i miłość małżonków znika, daje się zachętę do niewierności; piecza i wychowanie dzieci staje się trudniejsze; zarzewie niezgody wprowadza się w rodziny; godność niewiasty jest zapoznana, grozi jej niebezpieczeństwo ujrzenia się opuszczoną kiedy służyła za narzędzie namiętności mężczyzny. A ponieważ nic tak nie zatraca rodzin i nie niszczy najpotężniejszych królestw, jak zepsucie obyczajów, tedy jest rzeczą oczywistą, że rozwód, — płód zepsutych obyczajów, jest najgroźniejszym wrogiem rodzin i państw, że jak uczy doświadczenie, otwiera na oścież bramę najwystępniejszym nałogom w prywatnem i w publicznem życiu« [1].

Tak więc, wedle słów wielkiego papieża, wszystkie klęski wprowadza rozwód, wszystko przezeń cierpi: samo małżeństwo, ci którzy się poślubiają, dzieci, rodziny, społeczeństwo całe.

Kiedy kontrakt małżeński jest rozerwalny, wtedy małżeństwa nie otaczają już rękojmie zapewniające mu pokój i trwałość. Faktycznie nie idzie tu już o założenie czegoś stałego, lecz o spróbowanie losu szczęścia. A tak, otwiera się pole wszelkim lekkomyślnościom i zuchwalstwom. Pocóż te delikatne i roztropne roztrząsania, kiedy tu nie idzie o ustalenie się na zawsze? Pocóż się odwoływać do tego uczucia słodkiego i głębokiego, które jednoczy serca, które szuka i obiecuje wiekuistość; samo pożądanie zmysłowe wystarcza temu, który zamyśla związać się czasowo. Małżeństwo nie jest już więc zbliżeniem dwojga żyć, powierzają-

[1] *Encycl. Arcanum divinae Sapientiae.*

cych się sobie nawzajem, dopełniających się i udoskonalających w trwałem zjednoczeniu, — jest to związek z terminem, w którym nieufność zachowuje wszystkie swe prawa; jest to rodzaj prostytucyi legalnej, w której mężczyzna i niewiasta wydają się, by się zmniejszyć i spodlić!

W rzeczy samej, kiedy nierozerwalność zwiększa życie moralne, zmuszając mężczyznę do szlachetnych wysiłków w celu poprawienia swej natury i znoszenia mężnego przypadków wspólnego życia, — to rozwód obniża go, bo do niczego go nie zniewala i pozostawia egoizmowi i kaprysowi wszelkie swobody. By być miłym, uprzejmym, uprzedzającym, trzeba sobie zadawać przymus niemały. Ale pocóż się wysilać? Nie obawiamy się urażać tych, których pozbyć się możemy. Taka perspektywa dozwala wszystkim wadom zupełną swobodę; następują zderzenia, małżonkowie ranią się, rozdzierają, dopóki sobie nie powiedzą: życie stało się nam nieznośnem, rozejdźmy się!

W zdradzieckim zamiarze będzie się zwiększało przeciwieństwa i złe obchodzenie się, by znużyć tego lub tę, której się już nie chce. Cóż się stanie z świętą wiernością małżeńską w tem środowisku zamąconem ciągłem pragnieniem zerwania małżeństwa? Nierozerwalność chroni ją od pokus, które nęcą miłość do innego przedmiotu. Dręczonemu pokusą cudzołożnej namiętności, ona mówi: »Miej się na baczności, bo już do siebie nie należysz«. Rozwód przeciwnie, zachęca serce niewierne i mówi mu: »Idź tam, gdzie cię ciągnie namiętność, boć możesz siebie znowu odebrać«. Właśnie dlatego, że cudzołostwo jest jedną z większych przyczyn, mogących spowodować zerwanie związku małżeńskiego, ono stanie się przemysłem obmyślanym i spełnianym w tej nadziei, że się przez nie odzyska swobodę. Oto w jaki sposób mężczyzna i niewiasta, którzy pod egidą prawa nierozerwalności mogli się stać wielkimi i szlachetnymi, zmniejszają się i hańbią pod prawem, bezprawiem rozwodowem!

Przedewszystkiem kobieta, którą chrystyanizm z toni upodlenia podźwignął, więcej niż mężczyzna staje się ofiarą poniżeń, jakie rozwód pociąga za sobą. Mężczyzna może wyjść z związku małżeńskiego z wszystkiemi korzyściami swej siły i powagi, by

zawrzeć nowe związki; kobieta zaś nie wychodzi z nich z całą swą godnością. Ona utraciła najlepsze swe dobra: pierwociny swego honoru i wdzięki swej młodości a z trudem tylko — posag, jaki wniosła. Jest to roślina zwiędła. A kiedy młoda jeszcze i tryskająca życiem sama pod wpływem namiętności spowodowała rozerwanie węzła przykuwającego ją do jedynej miłości, czyż w oczach świata, który nią pogardza, może być czem innem, jak nieumiarkowaną samicą, której każdy nowy związek zwiększa hańbę i sromotę?

Gdyby to tylko sami małżonkowie ponosili hańbę rozwodu i dopuszczali się niesprawiedliwości względem siebie samych! Lecz tak nie jest. Rozwód bolesny ma oddźwięk w rodzinach i w społeczeństwie. Rozwód znieważa węzeł krwi, jaki łączy dziecko z rodzicami; a nie mogąc go zerwać, bo go natura zrobiła nierozerwalnym, wyrzeka się świętych jego powinności. Po największej części rozwód przerywa wielką pracę wychowania właśnie w chwili, kiedy powaga i przekonywanie, siła i tkliwość, winny się ściślej kojarzyć, by go dokończyć. Rozwód wyzuwa dzieci z środowiska, w którem się urodziły, przenosi je na ziemię obcą i wystawia je na antypatye odpychania, na złe obchodzenie się nowych ojców czy matek, którzy nic im nie winni! Rozwód rzuca w młode serca, w których rozwijać się winien szacunek i miłość, nasiona wzgardy i nienawiści; ten stać będzie po stronie matki niesprawiedliwie porzuconej, tamten po stronie zdradzonego ojca. Rozwód uzbraja jednę rodzinę przeciw drugim, popierającym sprawę swych krewnych; jedne zwiększają, aż do przesady krzywdy winnego, drugie poszukują krzywd w niewinnym. Rozwód wywołuje skargi, oskażania się, wyrzuty; mnoży niezgody, procesy, zakłóca pokój publiczny, psuje i kazi społeczeństwa!

Rozwód, mówię, psuje społeczeństwo, bo rujnuje w niem zasadę zachowawczą, normującą wszystkie energie społeczne, zasadę p o w a g i. Wydając na sąd dzieci postępowanie ich ojca i matki, niweczy podstawową władzę rodziny, której powaga publiczna jest tylko naśladowaniem, uczestnictwem, zastosowaniem w większych rozmiarach; wytwarza zwolna pokolenia nieznoszące żadnego jarzma, które się nauczyły pogardzać swymi rodzicami,

mając przed oczyma w ognisku domowem przykłady wyuzdanej swawoli. Rozwód niszczy społeczeństwo, bo jest praktycznem zwycięstwem tej zgubnej zasady: że w małżeństwie można mniej liczyć się ze stałością rodzin, niż ze swawolą; mniej z obietnicami miłości, niż z rachubami interesu; mniej z powinnością niż z namiętnością!

Tak więc rozwód odbiera małżeństwu rękojmię delikatności, roztropności i miłości; niweczy wysiłek i postęp w życiu wspólnem; strąca kobietę z wyżyn jej godności, które dziewiętnaście wieków chrześcijaństwa jej zapewniły; rozwód znieważa węzeł krwi i gwałci święte prawa dzieci; rozwód rozprzęga i rozdziela rodziny; zakłóca spokój publiczny i niszczy społeczeństwo: jest więc źródłem przeobfitem upadku i najhaniebniejszego poniżenia ludzkości.

Konkluzyę tę złowieszczymi zgłoskami zapisała mistrzyni życia, historya ludów, które pogwałciły prawo nierozerwalności. Widzimy tam kobietę uciśnioną aż do upodlenia nadmierną władzą, jaką przywłaszcza sobie mężczyzna, mający prawo odprawić żonę. Z zamierzchłej starożytności dochodzi do nas ten jęk żałosny: »Z poniędzy wszystkich istot żyjących my kobiety jesteśmy rasą najnędzniejszą« [1]. U poważnych Rzymian widzimy sześciowiekowy postęp, dopóki trzymają się tej definicyi związku małżeńskiego: »Wspólność prawa Boskiego i ludzkiego«, — nagły zaś ich upadek datuje się od ich edyktów rozwodowych. Rozwód tryumfuje, z nim kończy się szacunek, jaki otaczał poważną matronę rzymską. Matronę zastępują rozwiązłe kobiety, które liczą swe lata nie liczbą konsulów, lecz liczbą odmienianych mężów [2]. Oboja płeć rywalizuje w niestałości i wyuzdanej swawoli: Mężczyzna słucha tylko swych kaprysów i swej namiętności. Odprawia swą żonę, jak się odrzuca trzewik, który rani nogę [3]. Patrycyusze zamieniają między sobą żony. Katon ustępuje swą żonę Hortenzyuszowi: »Jest to zwyczaj wśród ludzi szlachetnie urodzonych«, powiada historyk [4]. Zawiązuje się związki jedynie w na-

---

[1] Medea. Euripid. v. 230. [2] Seneca: *de Beneficii* l. III i XVI.
[3] Paulus Emilius. [4] Juvenal. Sot. VI. r. 142—148.

dziei rozwodu; rozwód jest jakby owocem małżeństwa[1]; to też rozwiązłość i cudzołostwo zajęły miejsce surowej rzymskiej obyczajności. Ludność się zmniejsza; Rzym nie posiada już dość zdrowych żołnierzy, by się obronił przeciw najazdom barbarzyńców. Wypożycza sobie sił od barbarzyńców na żołd zaciągnionych. Płonna przezorność! Ci, którymi się posługuje, sami tracą hart wskutek styczności z jego zepsuciem; ci, którzy świeżo napływają do Rzymu, ujarzmiają go niebawem.

Barbarzyńcy zwyciężyli Rzymian, których rozwód zniszczył. Oto nowy tworzy się świat — świat chrześcijański. Boskie prawo nierozerwalności przenika go, urabia i tworzy społeczności europejskie, pełne życia i siły. Niestety, protestantyzm na nowo otwiera straszliwą szczelinę rozwodu, przez którą ciśnie się zepsucie, przyspieszające upadek. W Anglii od Henryka VIII rozwód mnoży codziennie zbrodnie domowe do tego stopnia, że w zeszłym wieku pewien prałat angielski w pełnym parlamencie powiedział, że dzięki prawu rozwodowemu, cudzołostwo stało się rodzajem przemysłu prowadzonego na korzyść mężów niezadowolonych i zwodzicieli[2].

Niezawodnie, upadek nie uskutecznia się tak szybko w naszych chrześcijańskich społeczeństwach, jak wśród pogańskich; ludy zachowują pewną wstydliwość, która ich zatrzymuje na pochyłości zbyt wyuzdanej rozwiązłości. Nie ich charakterowi zawdzięcza się tę skromność i te zwłoki, lecz świętemu prawu nierozerwalności, które ich chroni i którego nikt znieść nie potrafi, dopóki będą na świecie Kościół i chrześcijańskie rodziny.

Wszelako i my nie jesteśmy zabezpieczeni od katastrof, jakie sprowadza nieomylnie zepsucie obyczajów. Posłuchajmy Leona XIII: »Lepiej poznamy wielkość klęsk, jakie wytwarza rozwód, jeśli zważymy, że skoro raz łatwość rozwodów zostanie dozwoloną, żaden najsilniejszy hamulec nie potrafi jej utrzymać w granicach, jakie rozwodowi z góry nakreślono. Siła przykładów jest wielką, większą jeszcze siła namiętności. Stanie się więc podobnie jak

---

[1] Strabo, geograph. l. VII.

[2] De Bonald. *Du Divorce,* c. XI.

z chorobą, jaką zaraza rozszerza, lub jak z masą wód, które rozerwały tamy i rozlewają się wszędzie: szał rozwodowy będzie się potęgował z dnia na dzień« [1].

Kto chce mieć najświeższy dowód na następstwa rozwodów, niech weźmie do ręki statystykę rozwodów, występków i depopulacyi w dzisiejszej Francyi.

* * *

Gdyby to tylko sami nieszczęśliwi żalili się na surowość prawa Bożego, nakazującego nierozerwalność małżeństwa, łatwiej wyrozumielibyśmy ich skargi. Ale w zakusach rozwodowych o co innego idzie wrogom chrystyanizmu. By odchrześcijanić społeczeństwo, żydowsko-masoński liberalizm w sojuszu z socyalizmem, za dni naszych odwołuje się do władzy świeckiej, by w interesie nie już tylko namiętności, ale i nienawiści do wszystkiego, co nam katolikom święte, władza państwowa naruszyła prawo natury i prawo Boga-Chrystusa, zaprowadzając rzekomo legalne rozwody! Czyż małżeństwo — krzyczą na wszystkie strony — nie jest rzeczą należącą do państwa, zanim staje się rzeczą jakiejś religii i Kościoła?

Ponieważ krzyki te wrogów chrystyanizmu mogłyby obałamucić sąd tych, którzy nie mają dość jasnych pojęć o władzy państwowej pod względem małżeństwa, nie od rzeczy będzie przypomnieć czytelnikom, że prawodawstwo dotyczące małżeństwa, tak pod względem jego istoty, jak i istotnych jego właściwości należy tylko do Boga i do Jego Kościoła.

Przypomnijmy sobie wyżej wyjaśnioną zasadę, że cała siła i istota małżeństwa tkwi w węźle, jaki się wytwarza pomiędzy mężczyzną i kobietą przez danie i przyjęcie wzajemne ich osób. »Węzeł ten — mówi św. Tomasz — jest samem małżeństwem, węzeł ten zawsze czyni Bóg« [2]. Pytam teraz, jakim sposobem władza ludzka może sobie rościć prawo do ujęcia w swe ręce i do normowania tej rzeczy wnętrznej — duchowej — Boskiej!? Może ona o tem

---

[1] *Encycl. Arcanum divinae sapientiae.*

[2] *Et talis relatio est semper a Deo.* Suppl. q. 48a 2 ad 2.

zapomnieć, ale zapomnienie nie daje jej żadnego prawa mieszania się do czynności świętej, w której Bóg występuje jako absolutny i najwyższy Pan osób i żyć, które jedno z drugiem związuje.

Wiem, że chcianoby widzieć w małżeństwie prosty kontrakt, podobny do tych, którymi ludzie zamieniają, przekazują sobie swe dobra, swe usługi, owoce swych prac: są to rzeczy, nad któremi władza świecka ma prawo czuwania i normowania w interesie porządku i dobra publicznego. Inaczej atoli rzecz się ma z kontraktem małżeńskim:

»Jeśli małżeństwo jest kontraktem — mówi Mozer — tedy pomiędzy tym a innymi kontraktami, pod względem natury i substancyi, jest różnica, jak pomiędzy niebem a ziemią. Badajmy jego początek i czem jest sam w sobie, a będziemy zmuszeni przyznać, że ten kontrakt prawdziwie osobliwy, został ustanowiony bezpośrednio od Boga samego, który przepisał mu normy, których żadna władza ludzka ani odmienić, ani rozluźnić nie może. Dlatego św. Tomasz nazywa go »kontraktem duchowym«... z czego wynika, że władza publiczna, która może rozwiązać inne ważne kontrakty, w pewnych warunkach, za zgodą zawierających umowy, nic nie może, ani będzie mogła coś uczynić, kiedy idzie o małżeństwo« [1].

W rzeczy samej władza świecka nie ma żadnego prawa nad tem, co się daje w małżeństwie. Nasze mienie, nasze pola, nasze domy, nasze prace, nasze usługi, graniczą z innymi domami, pracami, usługami; nasze doczesne interesy łączą się z innymi interesami, łatwo zatem zrozumieć, że dla porządku i dobra publicznego te akty zewnętrzne są normowane władzą publiczną. Lecz kiedy mężczyzna i niewiasta podając sobie ręce, mówią jedno do drugiego: »jestem twoim, ty do mnie należysz«, — wtedy oddają sobie nawzajem swą osobę, swe życie, swą wolność, swe serca — dobra święte, związane razem, niewychodzące z słodkiej i świętej ścisłości, w jaką się związali. Na mocy jakiegoż prawa władza ludzka powiedziałaby im: »Wy siebie nie oddacie, lub oddacie się w ten a ten sposób?« — »Dusza moja, ciało moje, osoba moja do

[1] *De imped. matrim.* c. XXIII, 7, 8, 9, 10, 11.

mnie należy; życie moje z twórczą energią, którą Bóg je wyposażył, jest moją własnością; moja wola, którą do drugiej przywiązuję, do mnie należy, moje serce, które przerzucam w drugie serce, moją jest własnością. Tak — moją i Boga! Chcę się poddać najwyższej Jego jurysdykcyi, rozporządzając dobrami, jakie mi dał, ale nie uznaję ani chcę uznać innej jurysdykcyi. Dobra moje święte nie puszczam w obieg w życie społeczne, gdzie rządzi władza publiczna. Te dobra zachowuję dla siebie, bo dając je temu, czy tej, którą kocham, one nie wychodzą poza mnie, gdyż Bóg powiedział, »że my dwoje jednem jesteśmy«.

Władza świecka więc nie ma nic do powiedzenia odnośnie do tego, co człowiek daje, kiedy wstępuje w małżeństwo, ani pod względem tego, co on czyni, kiedy się daje. Cóż człowiek czyni? Węzeł, który związuje jego osobę, życie, wolność, serce z drugą osobą, z drugiem życiem, z drugą wolnością, z drugiem sercem. Otóż węzeł ten jest rzeczą całkiem wewnętrzną, duchową, dotyczącą tylko sumienia; sumienie zaś, to przybytek, którego podwoje zamknięte przed władzą cywilną; do niej należy trybunał sprawiedliwości ludzkiej *(forum exterum)*, nie zaś trybunał wnętrzny sumienia. Zatem płonnie ośmieliłby się uchwycić węzeł duchowy, który się tworzy i który stanowi samą istotę małżeństwa.

Węzeł ten tem mniej jest uchwytny przez władzę ludzką, że nie same wole małżonków go tworzą, że kiedy oni się przyczynili do jego utworzenia, już go sami rozerwać nie mogą. Starożytni, jak wspomniałem w pierwszym rozdziale, przywoływali religię do obrzędów ślubnych, uznając przez to wmieszanie się władzy tajemniczej i nadludzkiej w związek małżeński. Gdzież były władze publiczne, kiedy Bóg ustanawiał małżeństwo i wyrażał na niem znamię najwyższej swej władzy? Określając sam istotę i podstawowe właściwości małżeństwa, Bóg chciał zaznaczyć, że ścisłe zjednoczenie mające przeobrażać zaślubiny Słowa przedwiecznego, i rozmnożenie rasy, która zaludnić miała niebo wybranymi, były rzeczami odnoszącemi się do Boga, które uchylają się od świeckiej władzy. Tę uprzedziła rodzina, utworzona, zjednoczona, utwierdzona przez Boga, zanim ludzie mogli pomyśleć o powierzeniu komuś władzy rządzenia sprawą publiczną

by wszelka władzą publiczna pouczyła się, że małżeństwo, o ile jest zjednoczeniem się, nie potrzebuje jej współudziału; że jego istota jest nieprzystępna i nienaruszalna; że żadna potęga ludzka nie może przeszkodzić wolom mężczyzny i niewiasty przyłączyć się do Boskiej potęgi dla utworzenia węzła małżeńskiego; że skoro węzeł ten raz się nawiązał, żadna potęga ludzka nie może go ująć w szpony swego prowodawstwa.

Z powyższych uwag wynika, że małżeństwo nawet poza chrystyanizmem pod względem swej istoty i essencyonalnych swych właściwości, jako podlegające prawu natury i prawu Bożemu, jest niezależne od wszelkiego prawa cywilnego.

Niekompetencya władzy świeckiej atoli więcej występuje na jaw, kiedy wkraczamy w dziedzinę chrześcijańską; stajemy tu bowiem wobec rzeczy świętej, która od świeckiej jurysdykcyi zależeć nie może. Małżeństwo jest sakramentem, jest nim sam węzeł małżeński, co wykazałem w trzecim rozdziale. Jeżeli niektórzy prawnicy sądzą, że kontrakt zawarunkowany prawami ludzkiemi może się stać materyą Sakramentu, a tak wkracza w dziedzinę praw cywilnych, wtedy odpowiadamy im, że materya Sakramentu jest rzeczą świętą, której warunki sama tylko władza święta określić może.

Ale tej koncesyi zrobić im nie możemy. Rozłączność kontraktu od Sakramentu najgrubszym jest błędem, przeciw któremu protestuje sama natura małżeństwa, instytucya Boża, i stała nauka Kościoła.

Niemożliwa w praktyce rozdzielić dwie rzeczy wychodzące z jednej i tej samej przyczyny, jako jeden i ten sam skutek. Otóż takiemi jest: małżeństwo, kontrakt i sakrament. Chrześcijanie łącząc się z sobą, są, jak wyżej wyjaśniłem, wyposażeni na Chrzcie św. władzą czynienia i dania rzeczy świętej. Ich wzajemne oddanie się, ich wzajemne przyjęcie się, zlewają się jak materya i forma w innych Sakramentach; w tejże samej chwili, w której węzeł się utworzył, łaska tryska, Sakrament jest dopełniony. Niema tam dwóch przyczyn, ale jedna; dwóch aktów, lecz jeden, i na mocy tegoż samego aktu, kontrakt i Sakrament trwają jako rzecz jedna i nierozerwalna. Kontrakt i Sakrament utożsamia

się w małżeństwie chrześcijańskiem. Sam kontrakt podniesiony do godności Sakramentu tak jest niezłomny w swem nadprzyrodzonem dostojeństwie, iż żadna siła ludzka rozerwać go nie może: Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza!

Płonne więc są wszystkie wysiłki prawników, by z małżeństwa chrześcijańskiego oderwać kontrakt, by z niego zrobić rzecz od władzy świeckiej zależną; kiedy kontrakt i Sakrament są identyczne; kiedy przyczyna kontraktu jest przyczyną Sakramentu.

Z tych przesłanek poważne wysnuwają się wnioski:

Małżeństwo chrześcijańskie jest rzeczą świętą: zatem jego istota i podstawowe jego przymioty nie mogą podlegać władzy prawodawczej, mającej powagę czysto ludzką; władza cywilna na próżno czyniłaby wysiłki, by przeszkodzić chrześcijanom ich złączeniu się, ona nicby nie przeszkodziła; zatem napróżnoby mówiła: »Ja was łączę«; w ich sumieniu ona nicby nie złączyła; zatem napróżnoby usiłowała zerwać węzeł święty, który ich przykuwa, skoro się raz złączyli, ona nicby nie rozerwała; zatem wyroki, jakieby wydała w sprawach odnoszących się do istoty i własności małżeństwa, niczegoby nie rozstrzygały; zatem gdyby byli chrześcijanie, którzyby się zadowolili zakazami, przyzwoleniami i wyrokami władzy świeckiej w świętej sprawie małżeństwa, jakiekolwiek zajmowaliby oni stanowisko, nie uchyliliby się od hańby i wyroku płynącego od Boskiego trybunału: »Jesteście wszeteznikami i cudzołożnikami« [1].

Nie odmawiamy bynajmniej władzy cywilnej wszelkiej ingerencyi, wszelkiego aktu odnoszącego się do małżeństwa. Ma ona tutaj pewne powinności do spełniania i pewne prawa do wykonywania.

»Ci, powiada genialny Augustyn św., którzy rządzą, nie mogą służyć Bogu, nie broniąc i nie karząc z religijną surowością wszystkiego, co się czyni przeciw Jego prawu« [2]. Władza pojmująca wysokie swe posłannictwo, nie powinna nigdy tracić

---

[1] Allokucye Piusa IX 27 września 1852 r.

[2] Ep. 185 ad Bonifac. c. x. n. 7.

z oka prawa naturalnego i prawa Boskiego, iżby do nich dostosowała swe prawodawstwo. Wszystkie czcigodne instytucye, pomiędzy niemi i małżeństwo, mogą tylko zyskać na tej zgodności.

»Małżeństwo, naucza św. Tomasz, o ile jest funkcyą natury, zależy od prawa naturalnego; o ile tworzy społeczność, jest rządzone prawem cywilnem; o ile jest rzeczą świętą, należy do prawa Boskiego« [1]. Istota, wnętrzne właściwości i węzeł małżeństwa należą do natury i Sakramentu i są niezależne od władzy cywilnej. Ale społeczność małżeńska wchodząc w społeczeństwo cywilne, gdzie może być czynnikiem rozkładu lub pomyślności, nie może się uchylać od władzy tych, którzy mają za zadanie podtrzymywać porządek i dobro publiczne.

Do władzy cywilnej należy skonstatowanie istnienia związku małżeńskiego, zatem przyjęcie deklaracyi tego aktu; unormowanie skutków cywilnych zależnych od tego aktu i stosunków nim wytworzonych.

By zaradzić zanikom i wyczerpnięciu sił fizycznych narodu, by uniknąć zamieszania w rodzinach, zgorszeń i zgubnych następstw kapryśnych i niemoralnych związków, by zapewnić funkcyonowanie publicznych usług, od których zawisło bezpieczeństwo i zachowanie ludu, może być koniecznem potworzyć możliwości lub niemożliwości zawierania umów, wynikające z pewnych warunków wieku, stanu i zezwolenia. Stąd te kwestye wiarogodności prawnej, posagu, dziedziczenia, sukcesyi, opieki, przypuszczenia do funkcyi publicznych, prawności i nieprawności cywilnej, które mogą być przedmiotem prawodawstwa niesprawiedliwego, tyrańskiego, niezbożnego, ale też i prawodawstwa rozumnego i zbawiennego. Otóż temu rozumnemu i zbawiennemu prawodawstwu chrześcijanin poddać się winien sumiennie.

W sferze, w której obraca się prawodawcza powaga władzy cywilnej, może być tylko mowa o warunku cywilnym i o skutkach cywilnych małżeństwa. Władza cywilna wydaje prawa nie co do samego małżeństwa, lecz prawa obramowujące, że tak powiem, — małżeństwo; nie co do tego, co istotne i główne w mał-

[1] In IV. Sent. Dist. 34 a 2. q. ad 4.

żeństwie, lecz co jest w niem dodatkowe. Istota, wnętrzne właściwości, węzeł małżeński przekształcony i przebóstwiony przez Chrystusa, są rzeczami świętemi, zależnemi tylko od władzy świętej, — jaką jest Kościół Chrystusowy« [1].

Władza cywilna chciała wyzuć Kościół z posiadania tej władzy, dlatego wymarzyła doktrynę o rozdzieleniu kontraktu od Sakramentu. Opanowawszy kontrakt, władza świecka chciała być bezwzględnym jego panem. Otóż wszystkie te zapędy państwowe rozbijają się w puch wobec dowodów wyżej wyłuszczonych. Stoimy tu bowiem wobec rzeczy świętej; zatem wobec jedynej władzy Kościoła. Sam Chrystus Pan wyposażył go tą władzą, bo nie wyłączył małżeństwa od innych Sakramentów, których szafarstwo jemu poruczył. Wszystkie tajemnice Boże przechodzić muszą przez ręce Kościoła; on w nich przedstawia Chrystusa samego.

Jeżeli Kościół nie sprawuje bezpośrednio Sakramentu małżeństwa, jak innych Sakramentów, tedy jest rzeczą pewną, że zawierający małżeńską umowę należą do niego na mocy Chrztu św. i podlegają najwyższej jego powadze. Dzierżąc zawierających kontrakt małżeński, dzierży Kościół Sakrament cały; nic nie może dziać się tu inaczej, jak wedle jego prawa. Kościół zawiązuje, rozwiązuje wolę zawierających umowę. Ich zezwolenia nie mogą się zjednoczyć, jeśli Kościół stawia im przeszkody. Tam gdzie węzeł małżeński jest wątpliwy, jedynie Kościół ma prawo wyrokować o jego ważności. Jeśli Kościół zdecyduje, że wszystko jest dobrze, musi się pozostać złączonym. Jest się wolnym, kiedy Kościół orzecze, że małżeństwo źle było zawarte. Jego powaga może iść aż do samego korzenia zjednoczenia małżeńskiego, zleczyć kanoniczną wadę zezwolenia i przywrócić mu całą jego skuteczność. A kiedy Kościół nie może już nic uczynić pod względem samej substancyi zawartego zobowiązania, może jeszcze złagodzić surowości dla nieszczęśliwych, zawieszając przez separacyę wykonywanie praw i powinności, które nieznośnym stały się dla nich ciężarem. Widzimy więc, że kiedy prawodawstwa

[1] Allocut. Piusa IX. Leon XIII Encyklika.

czysto ludzkie mogą tylko wichrzyć wokoło małżeństwa, to prawodawstwo Kościoła przenika aż do samej jego istoty; bo małżeństwo jest rzeczą świętą, a sam tylko Kościół na świecie świętą posiada władzę.

Płonne są więc wszystkie wysiłki masonii i socyalizmu, by wymódz na władzach państwowych świętokradzkie ustawy przeciw nierozerwalności małżeńskiej, które nie prawem, ale wiecznem pozostałyby bezprawiem!

Ks. St. Adamski.

TWÓRCZOŚĆ BOSSUETA I FENELONA.

(Dokończenie).

IV.

Położenie Kościoła w owej epoce wymagało walki kontrowersyjnej. Bossuet oddaje się jej przez całe życie; od »Refutacyi katechizmu Pawła Ferry'ego« (1655) do »Objaśnienia Izajasza« (1704) widzimy tu cały szereg dzieł, w których wielki kaznodzieja nie pomija żadnego z niebezpieczeństw, grożących jedności Kościoła, czy tó z zewnątrz, czy z wewnątrz pochodzących. Niezwykła uczoność, zwłaszcza głęboka znajomość Pisma św. i Ojców Kościoła zabłysła tu w całej pełni, bo Bossuet jak zawsze tak przedewszystkiem w kontrowersyi czerpie u samego źródła. Jeszcze na rok przed śmiercią tak pisze w przedmowie do *Seconde Instruction sur la version de Trévoux:* »Nie należy nic brać z własnego umysłu, ale przejąć się duchem Ojców i iść za rozumieniem, jakie Kościół od swego początku i po wszystkie czasy przejął przez tradycyę«.

Drugą cechą tych dzieł kontrowersyjnych, to takt, łagodność, dobroć, z jaką autor przemawia do błądzących, bo, jak pięknie i głęboko zauważa, »wykazać ludziom, że nie mają słuszności, i to w sprawie religii: to już wielka przykrość, jaką im się wyrządza. Uczyńmyż im słodką i miłą tę religię, przeciw której widzimy ich zbuntowanych« [1]. A wreszcie zaletą, czyniącą te pisma

[1] *Journal de l'abbé Le Dieu.*

ozdobą literatury, to jasność, przejrzystość, żywość języka, co czyni ich lekturę do dziś przyjemną, zajmującą, niekiedy porywającą, iż wymienię niezrównaną »Obronę tradycyi i Ojców Kościoła«, gdzie głębokość myśliciela, uczoność teologa idą w zawody z podniosłością poety i prostotą, jasnością popularyzatora wiedzy.

Prócz protestantyzmu i kwietyzmu zwalczał Bossuet jeszcze inne doktryny, zdaniem jego błędne, a więc rozluźnioną kazuistykę, jansenizm, za daleko idącą swobodę w egzegezie (Saint-Simon) i i. Dla literatury jednakże do najbardziej charakterystycznych należy wystąpienie przeciw teatrowi, jedyny punkt styczny Bossueta z Russem, którego *Lettre à d'Alembert sur les spectacles* w niejednym szczególe rozumowania, jak i w swym ostatecznym rezultacie jest zdumiewająco podobny do Bossueta: *Maximes et réflexions sur la comédie*[1]. Można się dziwić rygoryzmowi[2] kaznodziei (źródło jego w Ojcach Kościoła, na których się też autor powoływa), ale niemniej dziełko to pozostanie małem arcydziełem, jako analiza psychologiczna. Mówiąc o wrażeniu doznanem przez widza, zauważa, że »staje się on (widz) niebawem ukrytym aktorem tragedyi, gra swą własną namiętność, a fikcya na zewnątrz jest zimna i bez wdzięku, jeśli we wnętrzu (widza) nie znajdzie prawdy, która jej odpowiada«. Lanson słusznie podnosi, że w zdaniu powyższem zawarta jest cała filozofia sztuki dramatycznej.

Koroną dzieł kontrowersyjnych Bossueta jest jego »Historya odmian Kościołów protestanckich«[3]; wychodzi ona daleko poza ramy kontrowersyi, bo łączy w sobie teologię z historyą a odsłania nam w całej pełni pierwszorzędny talent dziejopisarski. Jest to owoc długoletniej, żmudnej pracy i wskazuje dowodnie, że

---

[1] Przed Bossuetem potępił teatr z całą stanowczością jansenista Nicole w swym: *Traité de la comédie* (1658).

[2] Tezę Bossueta zresztą wznowił za dni naszych Brunetière w swem studyum: *L'art et la moralité (Discours de combat).*

[3] Dzieło to jest przedmiotem studyum, będącego chlubą autora i nauki francuskiej, p. t. *Bossuet, historien du Protestantisme. Etude sur l'Histoire des variations et sur la controverse entre les protestants et les catholiques au dix-septième siècle* par Alfred Rébelliau. Przytaczam poniżej wydanie drugie (Paris, Hachette, 1892). Autor zestawia sądy o dziele Bossueta i rezultaty jego badań z rezultatami historyków późniejszych aż do najnowszych.

wielki kaznodzieja był historykiem ponad zwykłą miarę, przerastającym swój wiek. O wartości dzieła mówi najlepiej fakt, że stanowi ono punkt zwrotny w kontrowersyi protestanckiej; przeciwnicy bowiem, którzy przez kilkadziesiąt lat je zbijali, do niego powracali, sami od ukazania się tego właśnie dzieła zmienili taktykę walki, w kilku zasadniczych punktach uznając się za pokonanych.

Ale ma ono jeszcze inne zalety, które czynią zeń jedno z arcydzieł literatury francuskiej. Bossuet ukazuje nam się tu jako godny poprzednik Augustyna Thierry'ego, łączący wielką miłość prawdy — tak że zdaje się jak tamten »kochać historyę dla niej samej« — z talentem epickim, który mu pozwala i epokę i ludzi nie tylko rozumieć, plastycznie przedstawić, ale i odczuć niejako. I to nam tłumaczy, dlaczego ten biskup katolicki nadaje portretom swych przeciwników tyle barwy, życia, tak nie zamyka oczu na dodatnie strony ich charakteru, umysłu, talentu, że zdaje się chwilami — jak to trafnie zauważył Lacordaire [1] — jakby sam sympatyzował z nimi.

Całe dzieło zaś tak obszerne, tak skomplikowane już w samym pomyśle, bo łączy historyę z teologią, jest niemniej jasne, aż do przejrzystości, »równie jasne jak Kartka Woltera, jaśniejsze od *Esprit des Lois* Montesquieu'go« [2].

Co do sumienności badań, to także niejeden z historyków wieku XIX mógłby się wiele od Bossueta nauczyć. Jak w teologii tak i tutaj sięga on do samego źródła, nie zadawalając się nieraz powszechną zgodą katolickich i protestanckich autorów, jak to miało miejsce np. w sprawie Waldenzów, którą on pierwszy wbrew wszystkim poprzednim badaczom na podstawie własnych, źródłowych studyów rozświetlił. Ale bo też korespondencya kaznodziei pokazuje, że do »Historyi odmian« jak do innych dzieł historycznych zasięga rady uczonych francuskich i zagranicznych, prosi o sprawdzenie cytatów i to nie tylko w dziełach ogłoszo-

---

[1] Fréd. Ozanam VI. Odnosi się to zwłaszcza do niezrównanego portretu Melanchtona, na którego Bossuet pierwszy większą zwrócił uwagę.

[2] Faguet: *Etudes littéraires XVII siècle,* str. 416.

nych, ale te same ustępy już ogłoszone sprawdza jeszcze w manuskryptach i znajduje rzeczy, których pierwszy przepisujący nie dostrzegł [1].

Tę sumienność Bossueta, znaną nam już z przygotowania kazań i mów pogrzebowych, podziwia się na każdym kroku; oto jeszcze jeden przykład: żeby dotknąć przygodnie tylko anatomii i fizyologii w dziele p. t. *Connaissance de Dieu et de soi-même,* słucha przez całą zimę wykładów Stenona, sławnego anatoma, to też, jak przyznaje Janet [2], rozdział odnośny jest dokładnem i ścisłem streszczeniem wiedzy swego czasu.

V.

Jeśli kto, to Bossuet miał wszystkie dane do skreślenia rzutu historyograficznego na dzieje ludzkości. Niezwykła sumienność uczonego, w parze idąc z głębokością myśliciela i polotem poety zarazem, mogły zaiste wydać to niezwykłe dzieło, które poprzez kilkanaście wieków nawiązuje tradycyę wielkiego biskupa hippońskiego i pozostanie raz na zawsze zjawiskiem epokowem w dziejach historyografii. Mylą się jednakże ci, co widzą w dziele Bossueta: *Discours sur l'histoire universelle* ślepe naśladownictwo św. Augustyna, dla którego zresztą, jak widzieliśmy, miał uwielbienie bez granic; w błędzie są także ci, którzy nie chcą w Bossuecie widzieć nic więcej jak teozofa. Wielki kaznodzieja sam coprawda mniej obiecuje we wstępie, niż daje w dziele samem. Czytając wstęp i zakończenie poszczególnych rozdziałów, myślałby kto, że Bossuet chce w historyi widzieć ciągłą, bezpośrednią ingredyencyę Stwórcy. Tymczasem w rozdziale drugim części III wyraźnie powiada sam autor: »Bóg chciał, aby bieg rzeczy ludzkich miał swój ciąg i swe proporcye; chcę przez to powiedzieć, że ludzie i narody mieli przymioty zastosowane do wyniesienia, do jakiego byli przeznaczeni, i że z wyjątkiem pewnych nadzwyczajnych wypadków, gdzie Bóg chciał, by jego ręka ukazała

[1] Rébelliau, j. w. str. 139.
[2] Fénelon, str. 157.

się sama, nie było wielkiej zmiany, któraby nie miała swych przyczyn w wiekach poprzednich«, a zatem »prawdziwa wiedza historyi polega na wskazaniu w każdym czasie tych ukrytych dyspozycyi, które przygotowały wielkie zmiany... kto chce zrozumieć do gruntu rzeczy ludzkie, musi badać skłonności i obyczaje, słowem, charakter tak ludów panujących w ogólności jak książąt w szczególności«.

W dziele samem, prócz jednej historyi żydowskiej i napadów barbarzyńskich na Rzym, faktycznie tej ingredyencyi Bożej nie znać wcale; Bossuet, umiejąc wszystko rozumowo wytłumaczyć, czyni to przez cały ciąg dziejów. Nie można było z większym naciskiem wskazać na wpływ filozofii i poezyi w Grecyi, albo na znaczenie patryotycznego wychowania w Rzymie, jak wogóle świat pogański zrozumiany tu został i oceniony świetnie i ze zdumiewającą u biskupa-monarchisty bezstronnością; w tem też przewyższa on bez porównania św. Augustyna, który, będąc sam bliższym świata starożytnego, nie mógł go ocenić tak, jak to było możliwem w kilkanaście wieków potem, zwłaszcza po humanizmie. Bądź co bądź jednak pozostanie faktem, że Bossuet pierwszy (po tylu wiekach!) dał tę świetną charakterystykę Rzymu i przyczyn jego wzrostu i upadku, na której w wieku następnym może się z całem zaufaniem opierać Montesquieu, uzupełniając, ale bynajmniej nie zmieniając poglądów wielkiego kaznodziei, a i Vico bez wahania przyznaje mu pierwszeństwo w historyozofii. Co też szczególnie się podziwia w tem dziele teologa, to ten śmiały sąd indywidualny o całych epokach i narodach, zrozumienie ich ducha, mającego nieraz tak mało wspólnego z duchem epoki Ludwika XIV i pojęciami własnemi autora. Słowem, jeśli byli później więksi od niego, to on, Bossuet, zachowa w historyozofii nowoczesnej stanowisko bardzo ważne, bo on to — po kilkunastowiekowej przerwie podejmuje myśl św. Pawła i Augustyna i z ich teozofii stwarza pierwszy szkic prawdziwej historyozofii, opartej bardzo lekko, prawie że formalnie tylko na dogmacie, a w samej swej podstawie ugruntowany na naturalnej przyczynowości.

Są oczywiście wady i braki [1], te ostatnie widział sam autor i przygotowywał drugą część, mającą uzupełnić pierwszą, a wady były naturalną konsekwencyą faktu, że dzieło to nie powstało, jak rzecz Vicona, samo dla siebie, ale było przygodnie napisaną rekapitulacyą dziejów *ad usum Delphini*. Właśnie fakt ten stanowi zarazem dowód — nie jedyny zresztą — niepospolitej oryginalności i głębi tego potężnego umysłu, który nawet na przygodnie napisanych dziełach umiał wycisnąć własne, indywidualne piętno.

VI.

Fenelon, jak we wszystkiem, tak i tu jest przeciwieństwem swego mistrza. Nie lubi on balastu uczoności w dziełach; wyobraźnia bujna, będąca aż nazbyt często w dysharmonii z rozumem, unosi pisarza dalej, niżby sam może tego pragnął, i sprawia, że żadne z jego dzieł prawdziwej wartości naukowej nie posiada. Nadto, ponieważ niema dzieła, gdzieby »ja« piszącego nie występowało, i to wyraźnie, przeto niema tam i tej objektywności, która zawsze Bossuetowi przyświecała jako ideał, nawet w dziełach kontrowersyjnych. Fenelon też co prawda nie porywał się na rzeczy ściśle naukowe, i w swoim *Traité du ministère des pasteurs* zwraca się nie do uczonych pastorów, ale do ludu protestanckiego, dowodząc, że »ponieważ największa część ludzi nie może sama decydować o szczegółach dogmatów, przeto mądrość Boża nie mogła im przed oczy stawić nic pewniejszego, by ich ustrzedz od wszelkiego zboczenia, jak powagę zewnętrzną, która biorąc swój początek od Apostołów i samego Jezusa Chrystusa, ukazuje im nieprzerwany ciąg pasterzy». Sam temat jest tego rodzaju, że racya logiczna górować musi nad wywodami naukowymi; przypomina więc dzieło to fragmentaryczne *Controverses* św. Franciszka Salezego, także napisane raczej dla ludu niż dla pastorów. Przewyższa jednak biskupa genewskiego Fenelon erudy-

[1] Do głównych błędów należy zestawianie zbyt śmiałe, a nieuzasadnione historyi świeckiej ze świętą: pominięcie znaczenia Fenicyan a także Chin, Indyi, Mahometa, wreszcie niekrytyczny wybór autorów starożytnych np. zbytnie dowierzanie Ksenofontowi.

cyą, która, nierówna bossuetowskiej, była niemniej rozległa; toż lata całe młody Fenelon zajmował stanowisko, które mu pozostawiało dużo czasu wolnego, a częste stosunki z Bossuetem nie mogły pozostać bez wpływu, podczas gdy autor »Filotei« od chwili otrzymania święceń do końca życia był obarczony pracą misyjną i pasterską i do studyów nie miał czasu — a i dzieł, których podostatkiem miał Fenelon w Paryżu i w letniej rezydencyi Bossueta, gdzie spędzał całe tygodnie.

To dzieło kontrowersyjne Fenelona jest też jednem z nielicznych, gdzie wpływ Bossueta da się jeszcze dostrzedz. Podobnie ma się rzecz z dziełem filozoficznem p. t. *Traité de l'existance de Dieu,* odpowiadającem dziełu Bossueta podobnej treści *(De la connaissance de Dieu et de soi-même),* które to dzieło ma Fenelon pod ręką, pisząc swój traktat, opiera się też na niem. Obaj nie są filozofami w ścisłem tego słowa znaczeniu; opierają się na Kartezyuszu; Bossuet, jak zawsze, do pomocy wzywa jeszcze św. Augustyna i Tomasza z Akwinu a także św. Franciszka Salezego (Traktat o miłości Bożej) [1], jest wogóle ostrożny w stawianiu hipotez, jakby się czuł niepewnym na tym gruncie, zwłaszcza że widział u Malebranche'a niebezpieczne konkluzye kartezyanizmu i, jak widzieliśmy, przewidywał wyrosły z kartezyanizmu racyonalizm. Fenelon jest śmielszy, i jeśli w pierwszej części idzie za mistrzem, to w drugiej próbuje być oryginalnym i, jak powiada Janet [2], »nadaje teoryi Bossueta wyraz bardziej mistyczny, bardziej idealistyczny«.

Dzieło to wykazuje też ciekawy rys umysłowości autora: braki w wiadomościach wprost zdumiewające [3], tak, że się ma ochotę przypuszczać, iż Fenelon rozmyślnie je okazuje jako rodzaj tego *air négligé,* które będzie jedną z cech jego umysłu. Czasem znowu wyobraźnia unosi pisarza za daleko i odwodzi od logicznego rozumowania. W obrazie natury — zresztą bardzo pięknym — jest za wiele naiwności. Ale też nie tutaj pole popisu dla

[1] F. Strowski: *St.-François de Sales.*

[2] Paul Janet et Gabriel Séailles: *Histoire de la Philosophie.* Paris 1899, str. 136—137.

[3] Np. obcą autorowi jest teorya Kopernika!

Fenelona. Po listach najświetniej uwidoczniają jego talent pisarski dzieła pisane dla »małego Delfina«. Różnica między oboma biskupami ukazuje się tu w całym ogromie. Z punktu pedagogicznego nie ulega kwestyi, że Fenelon stoi w tych dziełach ponad Bossuetem. Dla leniwego umysłu »wielkiego Delfina« dzieła takie jak *Discours sur l'histoire universelle* były po prostu niedostępne; jest to zdobycz dla literatury i nauki nie tylko Francyi ale Europy: »podręcznikiem« jednakże dla ciężko myślącego księcia taka książka nie była, tak jak Historya Francyi, z taką sumiennością na źródłach opracowana, była zbytkiem dla tak tępego ucznia. Fenelon jakby przeczuł maksymę Herbarta, że »największą zbrodnią pedagoga to być nudnym«, i cnotę przeciwną tej »zbrodni« posiadał też w najwyższym stopniu. Uczeń z wdzięcznością przypominał sobie te lata nauki lekkiej, pociągającej, którą arcybiskup uczynił mu prawdziwą rozkoszą.

Pierwszą lekturą były »Bajki«. Są one pisane prozą: nie dorównują bajkom Lafontaine'a ani nawet Floriana, ale mają swój wdzięk pogodny, swoją poezyę pełną prostoty, a nadewszystko nauka moralna w nich zawarta jest zawsze naprawdę »moralna«, na wskroś chrześcijańska, co, jak wiadomo, bynajmniej nie zawsze bywa u innych bajkopisarzy. Są one wszystkie zastosowane do potrzeb duchowych królewicza, uczą więc przedewszystkiem cnót jemu potrzebnych.

Z temi »Bajkami« łączą się powiastki dziecinne [1], w których nie można nie podziwiać niezwykłego daru zniżania się do poziomu umysłu dziecięcego; są tam i nowelki pełne wdzięku *(Histoire d'Alybée)*, epizody romantyczne *(Aventures de Mélésichton)*, allegorye *(Voyage dans l'île des Plaisirs)*: wszystko to rzeczy, które nie straciły do dziś swego czaru, prostoty, naturalności, lekkości, słowem swej niepospolitej wartości pedagogicznej.

Ta metoda jednak uczynienia uczniowi wszystkiego jak najbardziej zajmującem, łatwem przeciągnęła się za długo. Do samego końca edukacyi chodzi przedewszystkiem o to, by chłopiec

[1] Np. historya o starej królowej i młodej wieśniaczce.

nie potrzebował się zmuszać do wysiłku woli. Zadania pisze z Owidyusza, »przedmiot jest bardzo urozmaicony... bawi go; a że zadania należą do rzeczy najżmudniejszych, więc trzeba w nie włożyć jak najwięcej przyjemności — pisze Fenelon we wskazówkach dla ks. Fleury — to znowu, wymieniwszy kilku autorów, których książę ma czytać, dodaje: »Są oni dość śmieszni *(assez ridicules)*, by go rozerwać«[1]. Oczywiście o powagę naukową źródeł, z których ma uczeń poznać dzieje swego kraju, nie dba mistrz wcale. Jako repetytoryum historyi a zarazem lekcyę zasad politycznych pisze Fenelon dla ucznia swego *Dialogues des morts*. Wzór wzięty z Lukiana, już raz w wieku XVII naśladowany przez Fontenelle'a. Zaczyna się rzecz od rozmów postaci mitologicznych i poprzez Romulusów, Cezarów dochodzi do dziejów Francyi aż do Richelieu'go. Nie brak tam i pierwiastka komicznego (zwłaszcza w pierwszej części); ton lekkiej pogadanki znowu obliczony na »zabawienie« ucznia. Ale są tu już i kwestye polityczne; ściśle biorąc, znajdziemy w tych »Dyalogach« już wszystkie idee poruszane w »Telemachu« a więc całą tak charakterystyczną »politykę« Fenelona; — a ta przecież stanowi główny tytuł do sympatyi, jaką się cieszy arcybiskup z Cambrai w wieku XVIII.

VII.

Przyjrzyjmyż się z kolei temu z jego dzieł, które imię autora już za życia uczyniło sławnem w całej Europie. O treści mówi tytuł: »Przygody Telemacha«; a więc rzecz wzorowana na Odyssei i Eneidzie, a tak pełna reminiscencyi klasycznych, nie tylko tych dwóch autorów, ale Sofoklesa, Juwenala, Horacego, Owidyusza i innych, że w swej narracyjnej części (bądź co bądź największej) »Telemach« jest ślicznym obrazkiem ze starożytności klasycznej i w szacie klasycznej, naśladowanej z wdziękiem nieporównanym. Nie jest to jednak »duch grecki«, ale »modernizacya« jego, i to oryginalna, fenelonowa, nie mająca nic wspólnego z »duchem« wieku XVII, za to zwiastująca bardzo wyraźnie wiek następny.

---

[1] Zastanawia ogromnie fakt, że do tych lektur młodego księcia należały »Wyznania« św. Augustyna.

Bo jeśli wiek XVII jest znamienny swym kultem dla Rzymu (przoduje tu Bossuet, który dla Stolicy świata, jej powagi, urządzeń państwowych i t. d. ma szczery pietyzm), to w wieku XVIII »duch grecki« lekki, indywidualistyczny bierze górę i wpływa decydująco na literaturę i historyę. Pierwszym przedstawicielem tego kierunku jest właśnie Fenelon; widać to już w samym języku, który stanowi wyraźny kontrast do pełnego powagi rzymskiej i biblijnej zarazem języka Bossueta.

Wyobraźnia autora »Telemacha« także odmienna od bossuetowskiej; nie służy ona do rozjaśnienia, uplastycznienia myśli, jak u wielkiego kaznodziei, ale jest raczej ozdobą, i to tylko ozdobą, bez której myśl nicby nie straciła — owszem ona nieraz paczy myśl autora i wiedzie go dalej, niżby sam tego pragnął. Sceny miłosne, kreślone z wdziękiem nieporównanym, ale i nie bez zacięcia zmysłowego, które gorszyło Bossueta, nie odpowiadały absolutnie celowi na wskróś pięknego dzieła.

Ale bo też ten Mentor przy boku Telemacha psuje harmonię artystyczną całego dzieła i mimo klasycznego imienia niema nic wspólnego ze starożytnością a jest po prostu wcieleniem samego wychowawcy »małego Delfina«. Jest to istny »mentor« w dzisiejszem ujemnem tego słowa znaczeniu, który wiecznie prawi morały królewiczowi, by go wychować na przyszłego króla. Rzecz jest przedstawiona tak, że co tylko młody Telemach z własnej inicyatywy pocznie, to prawie zawsze jest błędem albo wprost zdrożnością. Czasem przypomni mu się nie zasada etyczna jako taka, ale rada Mentora i to bywa jego ratunkiem; zazwyczaj jednak królewicz popełnia głupstwo lub coś gorszego, a wtedy Mentor się zjawia, karci go, dowodzi mu jasno jak na dłoni, że jest niemądry, że zatem powinien nabyć mądrości i że tą jedyną mądrością, to uznanie swej słabości i niedoświadczenia a bezbrzeżnej mądrości swego mistrza, że zatem najwyższą cnotą Telemacha ma być ślepe posłuszeństwo Mentorowi. Telemach istotnie do tej mądrości dochodzi, i jak uczeń Fenelona książę burgundzki, tak bohater tej powieści traci formalnie wiarę w siebie i w swój rozum, nie śmie sam nic począć i ogląda się na Mentora lub przypomina, jak lekcye katechizmu, rady ukochanego mistrza.

Obok tej pedagogiki znajdujemy to, co dziś najciekawszem jest w »Telemachu« t. j. zasady polityczne Fenelona i pod tym względem »Dyalogi umarłych« a zwłaszcza »Telemach« są kopalnią, z której wiek XVIII z Russem na czele czerpać będzie pełnemi dłońmi.

Co przedewszystkiem uderza w »polityce« Fenelona, to niechęć do wojny — aż nadto usprawiedliwiona w drugiej połowie rządów Ludwika XIV, kiedy to zwycięskie zrazu wojny zaborcze spustoszyły i zubożyły kraj, a w dodatku pobudziły nieprzyjaciół do utworzenia ligi i zakończyły się ostatecznie upokorzeniem wielkiego zdobywcy. Alluzye w »Telemachu« aż nadto wyraźne, zwłaszcza gdzie mowa o »królu przedsiębiorczym«, który jest »znienawidzony przez wszystkich innych i bezustannie narażony na ich ligi«. Ale Fenelon idzie dalej, znacznie dalej, wyobraźnia unosi go tak daleko, że gdyby dziś żył, przeraziłby się konkluzyi wyciągniętych z jego słów. Stawia on teorye, którym dziwnie mało brakuje do kosmopolityzmu, którego nie był bynajmniej wyznawcą i do antimilitaryzmu, z którym w życiu nie miał ni wspólnego.

Pojęcia społeczne w ogólności nie są u Fenelona konkretnie wypowiedziane; jest zresztą różnica znaczna między teoryą (»Telemach«) a praktyką (listy i »plan rządów«). W Telemachu wyobraźnia autora nie zna granic. Widzimy tam obraz ludu żyjącego w stanie natury, nieznającego wojen, sądów, własności (»wszystkie dobra są wspólne«), a te wszystkie zasady pochodzą u tych ludów — zdaniem autora — »z obserwacyi prostej natury«, »są oni wszyscy wolni, wszyscy równi«. (Ps. VII). Podobnie na Krecie (Ps. V) »wszyscy pracują, a nikt nie myśli o wzbogaceniu się; każdy widzi wystarczającą zapłatę za swoją pracę w życiu łagodnem i umiarkowanem, gdzie używa się w pokoju i obfitości wszystkiego, co prawdziwie jest potrzebnem do życia; nie cierpią tam ani mebli cennych ani szat wspaniałych«...

Ustępy takie mogłyby równie dobrze znaleźć się w dziele Russa, ale bo też sama podstawa filozofii społecznej u obu jest ta sama, jest nią maksyma, że natura jest dobra, a więc »iść za naturą« winno być normą wychowania jednostki (Traktat o wy-

chowaniu dziewcząt) i narodu. Nie jest też Fenelon dalekim od zdania Russa, że cywilizacya psuje prostą naturę i jej niewinność.

O »kontrakcie« między narodem a panującym Fenelon wyraźnie nie mówi, ale do tego pojęcia się zbliża, mówiąc, że »prawa mu (królowi) poruczają ludy jako najcenniejszy zastaw pod warunkiem, że będzie ojcem swoich poddanych; nie dodaje jednakże kto nad spełnieniem tego warunku ma czuwać. Król ma rządzić dobrocią, miłością, »trzyma w ten sposób ludzi węzłem znacznie silniejszym od obawy — węzłem miłości. Nie tylko go słuchają, ale lubią go słuchać; panuje on we wszystkich sercach« (Ps. II).

Zapewne »Telemach« to nie system naukowo rozwinięty, to powieść tylko, ale tę powieść czytał z upodobaniem wiek XVIII, przyzwyczajony do brania na seryo powieści, dyalogów i komedyi, bo wszakże to one są głównymi propagatorami i agitatorami idei: tak były zrozumiane »Listy perskie« Montesquieu'go, »Emil« Russa, »Gil Blas« Lesage'a, »Dyalogi« Fontenelle'a, czemużby i »Telemacha« tak nie pojmować? A więc, czy to było w zamiarze Fenelona, czy nie, w każdym razie dzieło jego stało się obok tamtych narzędziem agitacyi i to w duchu rewolucyjnym; aprobata zaś Woltera i Russa zupełnie wystarczyła do zmazania tej jedynej wobec wieku XVIII winy Fenelona, że był kapłanem i biskupem. Słusznie podnosi Brunetière, że jest to fenomenem niezwykłym, iż ten wiek rozumu, nienawidzący kapłana jako takiego, wyjął z pod tej ogólnej proskrypcyi dwóch i to biskupów: Fenelona i Massillona [1].

A teraz odwróćmy się od marzyciela-kwietysty, a przyjrzyjmy się człowiekowi czynu. Jakim był politykiem Fenelon, gdy do spraw publicznych się mieszał, co, jak wiemy, czynić lubił do końca życia? Najcenniejszym tutaj dokumentem jest list do księcia de Chevreuse, przynoszący prawdziwy zaszczyt wychowawcy »małego Delfina«: »Nasze nieszczęście leży w tem — pisze on — że ta wojna była dotąd tylko sprawą króla, który jest zrujnowany i zdyskredytowany. Trzebaby z niej uczynić prawdziwą sprawę całego ciała narodu... Trzeba, aby się w całym naszym narodzie

[1] *Etudes critiques.* II-ème série. Paris 1904. Str. 64.

rozlało przekonanie wewnętrzne i trwałe, że to naród sam podtrzymuje ciężar tej wojny, tak jak się tłumaczy Anglikom i Holendrom, że się ją prowadzi z ich wyboru i dla ich dobra... To naród sam winien się ratować«.

Widzimy tu więc uznanie wojny za słuszną, nawet jej kontynuowanie, ale na jakiej podstawie — demokratycznej powiedzielibyśmy, gdyby nie to, że Fenelon jest w swej »polityce« idealnej i realnej arystokratą, i to nie w duchu XVIII w., ale gdzieś z samego jądra średniowiecza. I tu *Tables de Chaulnes* (t. j. plan rządów ułożony po śmierci »Wielkiego Delfina«) są identyczne z radami Mentora w Telemachu, gdzie wyraźnie urodzenie stawia ponad zasługę.

Najciekawszy w tych »Tablicach« jest powrót do Stanów Generalnych, do których wybory mają być wolne, »żadnych rekomendacyi króla, któreby wychodziły na rozkaz«. Stany te stoją ponad prowincyonalnymi.

Co do »swobód gallikańskich« to uznaje Fenelon ich słuszność w przeszłości; jednak obecnie widzi w nich tylko rozszerzenie despotyzmu królewskiego. »Rzym — powiada — używał władzy bardzo samowolnej... Lecz jego zamachy są teraz znacznie umniejszone; teraz te zamachy pochodzą od ramienia świeckiego. I stąd, uznając religię państwową, radzi Fenelon uniezależnić te dwie władze. Plan ten przypomina — jak słusznie zauważa Janet (l. c. str. 140) rozdział Kościoła od państwa. »Sułtan turecki — czytamy w »Tablicach« — pozostawia chrześcijanom swobodę w wybieraniu i usuwaniu ich pasterzy. Stawiając Kościół we Francyi w tym samym stanie, miałoby się wolność, której się nie ma, wybierania, rozporządzania«... i na odwrót »Kościół nie ma żadnego prawa ustanawiać, lub detronizować królów«. Jest i projekt zreformowania lub zniesienia klasztorów z rozluźnioną regułą i t. p.

Rozdział o handlu jest zdumiewająco trafny u biskupa, który z nim nie miał nic do czynienia. Idea »traktatów handlowych« jest więcej niż postępowa — w 200 lat przed jej urzeczywistnieniem; myśl, by nie drażnić sąsiadów zbyt wygórowanemi cłami, aby sprowadzić pieniądze obce do kraju, także godna bystrego

ekonomisty; oddanie Stanom Generalnym decyzyi w sprawie wywozu lub przywozu produktów, zakaz lichwy, założenie biur handlowych, a nadto rodzaju »banku miłosierdzia« dla wspomagania chcących się zajmować handlem, a nie mających potrzebnego kapitału: wszystko to świadczy o umyśle niepospolitym. Dodajmy do tego ułatwienie cudzoziemcom osiedlania się we Francyi dla jej zaludnienia i przyciągnięcia obcego handlu: a będziemy mieli obraz reform pewnie że nie doskonałych, zaprawionych trochę marzycielstwem — zwłaszcza co do tak wstecznej arystokratyzacyi — sprzecznej z już dokonywującą się, acz powolną demokratyzacyą Francyi — ale bądź co bądź te reformy zdradzają umysł niepospolity, zdolny do oryentowania się we wszystkich kierunkach, a także dowodzą one patryotyzmu autora w tem usiłowaniu naprawienia ustroju swego narodu. Pod koniec panowania Ludwika XIV wielu umysłom było jasnem, że tak dalej iść nie może, i stawiano teorye mniej lub więcej utopijne w tym kierunku: należą tu Bois-Guilbert, Catinat, Vauban, do pewnego stopnia także Saint-Simon, Boulainvilliers; Fenelon zajmuje wśród nich miejsce prawie że naczelne; a jeśli ich dobra wola i piękne ideały nie zostały spełnione, to wina tu nie tylko tych, którzy ich rad słuchać nie chcieli, ale i tychże samych idealistów, którzy zbyt często byli ideologami — i tu Fenelon im przoduje; wiek XVIII wolał się rozczulać marzeniami o »stanie natury«, o »cnocie, prostocie naturalnej« opiewanej w »Telemachu«, słowem wolał fantazyę od tak w gruncie zdrowych, konkretnych *Tables de Chaulnes*.

Jeżeli »polityka« Fenelona ma swe istotne znaczenie w dziejach Francyi, była omawiana, naśladowana, a nawet realizowana po części, to »polityka« Bossueta wyłożona w dziele: *Politique tirée de l'Ecriture sainte* pozostała jedynie ozdobą literatury. Sam tytuł dzieła wystarczył, by wiek XVIII ze wzgardą się odeń odwrócił — o wpływie więc nie było mowy. Nadto samo dzieło jest raczej »filozofią« lub »etyką polityki«, nie zawiera właściwie ani jednego konkretnego projektu, słowem okazuje dowodnie, że Bossuet był myślicielem, moralistą, teologiem, ale zgoła nie politykiem.

VIII.

Charakterystyka literacka Fenelona byłaby niezupełna bez uwzględnienia dzieła, które sobie odpowiedniego nie ma wśród tylu liczniejszych i świetniejszych dzieł Bossueta; jest to sławny »List do Akademii« [1], w którym sędziwy już arcybiskup z Cambrai wypowiada swe poglądy krytyczno-literackie. Jak zawsze u tego pisarza tak i tu znajdujemy obok zdań banalnych, czasem naiwnych, myśli sięgające daleko poza swoją epokę.

Spora jest liczba zdań godnych uwagi, n. p.: »Piękno, które jest tylko piękne, to znaczy błyszczące, jest pięknem tylko w połowie: ma ono wyrazić namiętności, by niemi przejąć, ma opanować serce«. O teatrze łagodniej się wyraża od Bossueta; zarzuca jednak tragedyi, że za wielką w niej rolę gra miłość światowa; dla komedyi Moliera jest surowszy, zbliża się w swem zdaniu do La Bruyère'a, Russa, a więc i Bossueta, tylko że potępiając jego niemoralność, podnosi talent: »Molière otworzył drogi całkiem nowe: jeszcze raz uważam go za wielkiego«. Prawda że w 40 lat po śmierci genialnego komedyopisarza sąd o nim był tak ustalony, że nie uznać jego talentu, było już niemożliwem.

Najciekawsze są uwagi o historyografii, zwłaszcza że Fenelon, jak widzieliśmy, w praktyce historyi poważnie nie traktował. Wprawdzie przesadza, gdy żąda od historyka, by »nie należał do żadnej epoki ni żadnego kraju«, sądzi źle, gdy, wychwalając Włocha Davile, zapomina o takich kronikarzach jak Villehardouin, Joinville a nawet Commynes, ale za to budzi zachwyt takiem powiedzeniem: »Punktem najważniejszym i najcenniejszym dla historyka jest, by znał dokładnie formę rządu i szczegóły obyczajów narodu, którego dzieje pisze, dla każdego wieku: malarz, który nie zna co się zowie *il costume*, nie maluje nic z prawdą«. A już samego Taine'a zapowiadają wywody Fenelona o wpływie klimatu, gdzie między innemi czytamy, że »pewne klimaty są

[1] W r. 1714 na zaproszenie nowowybranego prezesa akademii Dacier'a Fenelon napisał ów »List«, który wydany został po śmierci autora w r. 1716 p. t.: *Réflexions sur la Grammaire, la Réthorique, la Poétique et l'Histoire, ou Mémoire sur les travaux de l'Académie française à M. Dacier.*

szczęśliwsze od innych dla pewnych talentów jak dla pewnych owoców«. Zastanawia też to rozumienie starożytności, wnikanie w jej istotę, odczucie jej piękna i ten prawdziwy pietyzm dla literatur klasycznych, który w tym tylostronnym umyśle pozwala nam widzieć jeszcze zamiłowanego humanistę.

IX.

Mówiąc o wielkich różnicach między oboma biskupami, nie należy przedewszystkiem zapominać, że Fenelon jest, tak jak Bossuet, wierzącym katolikiem i jako taki literaturę ascetyczną wzbogacił istnemi perłami w postaci niezrównanych Listów duchownych, które (o ile nie są zarażone kwietyzmem) są szczytem twórczości tego rodzaju. W innych dziełach zaś jeśli się na religię nie powoływa, te niemniej pod jej wpływem i to widocznym pozostają, bo nie skądinąd tylko z chrześcijaństwa mógł był wziąć myśl, że »wszystkie narody tak jak wszyscy ludzie są braćmi« i t. p. I tą kulturą na wskróś chrześcijańską swych zasad, etycznych zwłaszcza, jak wogóle swą wiarą niewzruszoną i pracą dla dobra Kościoła Fenelon należy do wieku XVII i stoi z Bossuetem do pewnego stopnia na wspólnym gruncie.

Ale na tem też kończą się cechy wspólne. Zato różnice uderzają na każdym kroku. O ludziach już mówiliśmy; wystarczy przypomnieć najważniejszą pomiędzy nimi różnicę t. j. że Bossuet przedstawia charakter wysoce jednolity, Fenelon natomiast złożony z licznych, nieraz wprost z sobą sprzecznych pierwiastków; dodajmy uwagę, że takimi, jak Bossuet byli ludzie wieku XVII (nie chodzi tu o poszczególne cechy charakteru, ale tegoż jednolitość), a Fenelon (w temże samem rozumieniu) przypomina na każdym kroku ludzi wieku XVIII.

Podobnie ma się z umysłem. Bossuet to umysł poważny, Fenelon lekki, prawie że lekkomyślny. Bossuet głęboki, Fenelon raczej bystry, głębokim prawie nigdy nie bywa. Stąd Bossuet, nim coś za prawdę przyjmie, pierw pogłębi aż do dna; a gdy chodzi o ideę, mającą wejść w życie, to pierw przeniknie wszystkie jej konsekwencye — nie mówiąc, że stale mierzy ją probierzem »tradycyi Kościoła«.

Tymczasem autor »Telemacha« szedł aż nadto często »za wszystkiem, co mu na myśl przyszło«, nie zadając sobie trudu pogłębienia danej idei aż do najdalszych jej konsekwencyi. Stąd poza kwietyzmem nie widział zaprzeczenia woli, poza teoryami Mentora w »Telemachu« rewolucyi, poza całym swoim sposobem rozumowania w teologii i polityce czy pedagogii — najskrajniejszego racyonalizmu.

I Bossuet ma wyobraźnię i ma uczucie, ale obie te władze duszy są zawsze podporządkowane rozumowi. U Fenelona one obie opanowują rozum; zresztą uczucie *(sentiment)* aż nadto często przechodzi u niego w uczuciowość *(sensibilité)*, tak charakterystyczną dla wieku XVIII. Z niej to wyszła idea pacyfizmu — tak jak ona — ta uczuciowość — tłumaczy po części tę odwagę rzucania myśli nowych bez dostatecznego ich pogłębienia.

Prawda, że ten przymiot ma swoją stronę dodatnią: śmiałość rzucania myśli nowych bywa często źródłem prawdziwego postępu, tak jak zbytnia lękliwość przed nowością może się stać przyczyną zacofania. Zbyt delikatna to materya, by ją mimochodem omawiać, ale byłoby niesprawiedliwością nie uznać, że wśród tych tak śmiało rzuconych myśli, między sobą sprzecznych i tak różnorodnych, znajdą się złote ziarna prawdziwego postępu, a więc znowu tak jak w wieku XVIII, któremu przecież ludzkość zawdzięcza nie sam jakobinizm tylko i gilotynę...

Umysł Bossueta jest poważny; objawia się to i wtem, że pisarz nie rozprasza się na liczne przedmioty, którychby nie miał czasu dokładnie poznać; stąd dzieła jego dadzą się sprowadzić do wspólnego mianownika: »obrony Prawdy«. Inaczej u Fenelona: od satyrycznego, dowcipnego liścika do traktatu filozoficznego, cała skala form literackich i przedmiotów — zupełnie jak u Woltera. Bossuet poważny: czyż jest jedno z jego dzieł, któreby niem nie było? Fenelon lekki: najpoważniejsze kwestye lubi omawiać w sposób prawie belletrystyczny — nieraz dowcipny: taka będzie literatura wieku XVIII i temu zawdzięcza ona swój przemożny wpływ na ludzi i na dzieje.

A wreszcie kardynalna różnica: Bossuet opiera się na Ewan-

gelii i Ojcach Kościoła, a jeśli nie wszystko bierze z tego źródła to w każdym razie szuka w niem sankcyi dla swych zasad; Fenelon natomiast nawet gdy czerpie z Ewangelii czy Ojców, podaje to za zdanie własne i wogóle opiera się głównie na rozumie i uczuciu — to znaczy, że jeśli Bossuet jest reprezentantem i to najświetniejszym, a zarazem szermierzem ducha subordynacyi, porządku...[1] (co stanowi samą podstawę Kościoła katolickiego jako instytucyi), to Fenelon jest już w całem tego słowa znaczeniu indywidualistą i to jest chyba najważniejszy tytuł do sympatyi, jaką się cieszy w wieku XVIII.

Z tą różnicą łączy się logicznie druga, bynajmniej nie mniejszej wagi, różnica w samej podstawie »filozofii« obu prałatów. Bossuet jest przekonany, że człowiek jest z natury zły, że natura jest złą; Fenelon zaś wierzy, że człowiek jest z natury dobry, że natura jest dobrą: a to już nie zdania dwóch jednostek — w tych formułkach streszczają się dwie wrogie sobie filozofie — dwie religie — dwa światy. I w tem rozumieniu nie tak dalekiem od prawdy był wiek XVIII, kiedy »religii Bossueta« przeciwstawiał »religię Fenelona«.

Bossuet i Fenelon więc to nie tylko dwaj różni, bardzo różni ludzie, dwa dyametralnie różne umysły; to dwie wrogie sobie epoki, które tu jakby pierwszą z sobą stoczyły walkę.

---

[1] Wyjątek stanowi tu gallikanizm.

M. Paciorkiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Powrót Odysa. *Stanisław Wyspiański.* Kraków. 1907.

Epopeje Homera są jak natura zawsze płodne, zawsze rodzą poezyę w duszach ludzkich.

Lat temu trzy wyłoniła się z Iliady Achilleis Wyspiańskiego, przed kilku miesiącami powstał z Odyssei poczęty dramat: »Powrót Odysa«.

W grupie greckich tragedyi poety stanowi on z Achilleidą samoistną, skończoną całość, jako o całości samoistnej można o nich mówić, pomimo formalnej różnicy obu utworów.

Powrót Odysa z Achilleidą jednoczy to, co je dzieli od pierwowzorów — panująca w obu wszechwładnie nad duszami bohaterów potęga rozbudzonego sumienia, jedności tej rozerwać nie może różnica w budowie zewnętrznej, z istoty pierwowzorów wynikła.

Iliada jest szeregiem pieśni o losach Atrydów pod Troją, pieśni, związanych silniej jednością chwili dziejowej niż postacią Achillesa, w której akcya eposu do tego stopnia się nie koncentruje, by akcyę dramatu stanowić mogła. Wyspiański, snując na tle Iliady Achilleidę a nie znajdując w niej potrzebnych elementów tragedyi, sięga po nie do Cyklików, a postępując wbrew założeniu, obok sprawy gniewu i śmierci Achillesa wprowadza równorzędnie sprawę drugą — upadku Troi. Księgi Iliady, podania Aitiopis i »Zburzenie Ilium« przedstawiają taki zasób treści, że wystarczyło jej na trzy epopeje, ale było absolutnie za dużo na jeden dramat. Jedność dramatyczna prysła, nie powiązał jej swojemi intrygami Odysseusz, wymowy prawdziwej tra-

gedyi nie zastąpiła wrzawa scenek, dyalogów, co niby gwaru pełne gniazda jaskółcze okryły wszystkie gzemsy, framugi i wyłomy ruin utworu.

Inaczej się stało, kiedy ten sam poeta przystąpił do napisania »Powrotu Odysa«. W »Odyssei« zastał gotową prawie fabułę dramatyczną, znalazł przedewszystkiem postać bohatera, który życiem swojem przeżywa całe życie eposu i na tej pewnej podstawie jedności oparł własnej intuicyi dzieło, wstrząsający dramat ducha.

Teren, na którym dramat ten się rozwija, stanowią wypadki ostatnich dziewięciu ksiąg poematu, podzielone na trzy akty.

Akt pierwszy — w podwórzu zagrody Odysseusza. Zapada mrok, z izby biesiadnej idzie pieśń i dzwonienie lutni, pasterz Eumej wprowadza wędrowca, co wczoraj przybył na wyspę. Opowiada mu, jako tam w dworze gachowie odysseuszowej żony pożerają dobytek człowieka, co »taki był, jak oni«, jako sam Bóg ich zesłał na ten dom za karę. »Odys jestem, Itaki pan, twój król rzetelny« — pada odpowiedź z ust żebraka przybysza i teraz na tę królewską głowę, nieszczęściem z władzy odartą, sypią się szyderstwa pasterza trzody chlewnej. W szale cierpienia i gniewu boski tułacz zadaje mu cios śmiertelny i ucieka, bo na krzyk mordowanego wchodzi — Telemach. — »Kto tu był?« rzuca umierającemu pytanie — »Duch mojego pana« szepce pasterz i kona.

Ledwo te tajemnicze słowa zbudziły jakąś niejasną myśl w duszy młodzieńca, ledwo wyniesiono trupa za ogrodzenie, gdy przed Telemachem staje wysłannik korsarskiej drużyny z Tafos i namawia go, by zabrawszy swoje skarby przyłączył się do niej. Zdobędzie pomoc przeciw gachom, ujdzie pewnej śmierci z ich rąk; łódź jutro ze świtaniem rusza w daleki świat, na niej też odpłynie jego ojciec, który dziś z Tofijczykami przybył i jest na wyspie. Ale namawia napróżno, odchodzi z niczem, bo syn Odysseusza nie wierzy pierwszej lepszej wieści, przed śmiercią nie drży, czuje dość sił, by bez cudzej pomocy dać sobie radę z wrogami.

Po wyniesieniu trupa wracają dwaj słudzy. Jednego z nich Telemach przezornie wysyła z wiadomością o zaszłych zdarzeniach do swego dziadka Laertesa, drugi zostaje, a gdy w rozmowie ośmiela się wyrazić nieufność w siły młodego pana, przypłaca to śmiercią. I w tej samej chwili, w której z krwią wylaną przez ojca miesza się krew dłonią syna wytoczona, Telemach uczuwa w sobie dziedzictwo krwi, poznaje, że te dwie zbrodnie są do siebie jak ojciec do syna

podobne, że trup Eumajosa jest tajemniczym znakiem przybycia Laertydy. I w tej samej chwili, w której ta myśl budzi się w duszy młodzieńca — staje przed nim — ojciec.

Przybył na Itakę z drużyną korsarską, jutro »ze dworu zgliszcz jeno zostanie« — po to tu wrócił. Ale Telemach ma gotową na takie zamiary odpowiedź — groźbę, iż choćby mu ojca rodzonego zabić przyszło, dworu, mienia swojego przeciwko niemu bronić będzie. Słowa te łamią wolę Odysseusza, wyrokiem ciążącej na nim za zbrodnie żywota klątwy, bezsilny odstępuje od czynu, wzywając syna by wraz z nim uciekał z tych miejsc przeklętych, jeno życie unosząc i spokój sumienia. Ale nadarmo. Telemach nie ustąpi, uciekać nie umie, spełniona zbrodnia powiedziała mu, że duch ojca w nim żyje, w odpowiedzi na wahanie rodzica padają bezczelne słowa:

— — uczę się od ciebie — iść przekór twej woli
i twoją wolę ojca — wolą moją złamać
— — — — — — — — — — — — — — — —
Jakem rzekł, tu ostanę. — Wy ostańcie razem!
— — — — — — — — — — — — — — — —
Nikt mi nie zrobi nic, wszystkich dostanę!

Zostanie — na jeden dzień. Ogień junaka odmłodził znękaną duszę Odysseusza, na jeden dzień namiętność wyparła głos sumienia. Budzi się »tęsknota do rzezi«, w niepamięć idzie »Los i Złe«, co go przeklęło, w mgnieniu oka staje plan walki z gachami: »Telemach uprzątnie broń z izby biesiadnej, a kiedy na wieczerzę zejdą się do niej zalotnicy, ściągnie na siebie ich drwiny. Wtedy podda im myśl, by zmierzyli się w strzelaniu z łuku Ifibiosa. Kto łuk naciągnąć zdoła »i wyrzucić bełt tak, by trafiło ostrze w bel u pułapu — przez wszystkie pierścienie przebieżawszy« — zostanie ojcem Telemacha, mężem Penelopy. Rozbawieni gachowie odpowiedzą na to szyderstwem: jeśli chce, niech weźmie sobie za ojca włóczęgę, siedzącego u progu. Tak się stanie. U jego stóp Telemach złoży łuk i strzały, włóczęgą tym będzie Odysseusz, »krwi kąpiel zakończy zaloty«.

Bronie wynieść, łuk podać — oto cała rola Telemacha w tym planie. Tak raz jeszcze usiłował Odysseusz odsunąć syna od czaru krwi, od uroku rzezi, za którym idzie klątwa, usiłował na darmo, bo syn go przejrzał. Obrażona duma młodzieńcza wybucha lawą płomiennych słów:

Pomsta mnie należy.
I albo sam podołam dziełu i tej rzezi

sam położę trupem huf witezi,
albo nikt w moje prawa nie będzie się stawiał,
choćby i ojciec mój. Ja jestem panem.
Jakoś ty był tyranem, — ja będę tyranem!
Ja chcę mieć życie: jakie moje czyny.
Zbrodni nie lękam się, — nie lękam winy!
Chcę pomsty! Sam ją wezwę i sam ją mieć muszę.
Chcę w czynach moich obaczyć mą duszę.
Czyli ty ojciec mój, — czylim syn jego
obaczę, — gdy dosięgnę sławą ojca mego!

Teraz jasno widzi »Itaki pan«, jak jego własne dziecię wstępuje w błędne koło zbrodni, w którem on sam szedł przez życie całe, z ust tułacza dobywa się rozpaczliwa spowiedź:

Ja to mojego ojca precz wyzułem
z władzy, — ja psami precz za dwór wyszczułem
chciwy władzy, — pierwszeństwa chciwy i sytości.
Ja to! — co żebrak dziś, — wołam litości,
by mię zabił — — Patrzysz?! — Patrz na męki.
Że śmierć mnie — czeka, synu, — z twojej ręki! —

Przed tem strasznem widmem przeznaczenia Telemach ucieka, Odysseusz, wlokąc za sobą trupa idzie ku dworowi, szydzącem kołem otaczają go zalotnicy, Arneos żebrak przewodzi. Nikt przybysza nie poznał. — Syn króla Itaki przygotowuje biesiadę dla gachów, zdobywca Troi skraca im czas walką z żebrakiem. Wieczór zapadł, nadchodzi noc i rzeź.

Akt drugi, wnętrze izby biesiadnej, noc, kagańce płoną. Pod dozorem Telemacha służebne wyniosły broń do bocznej komory, schodzą się gachowie, idzie Arneos i jego zwycięzca boski tułacz. Ogołocone z broni ściany budzą w tłumie jakieś podejrzenie, nagle na stopniach, które wiodą z górnych izb na wielką świetlicę, zjawia się — Penelope. Gwar milknie, królowa obwieszcza wyrocznię snu i swej woli: »Kto wszystkich siłą rozumu i dłoni pokona, ten otrzyma jej rękę«. Tłum gachów w pas się chyli w pokłonie, Odysseusz poznany przez małżonkę »stoi sam jeden z podniesioną głową i rozpościera ręce jakby łukiem się zamierzał. Penelope pochyla głowę na znak przyzwolenia, zwraca się, wstępuje po wschodach na górę«.

I znowu fala niepokoju napływa do świetlicy. Melantios wykrada się za wrota po broń, Medon wybiegł za nim. Na stopnie schodów wraca Penelope z łukiem Euryta:

Kto łuk przygnie siłą
Założy bełt i grotem pierścienie przerzuci

ten jej mąż:

Wtedy Antimonos uprzedza Eurymachosa, chwyta łuk i mierzy w rywala. Eurymachos rzuca się na niego, gachowie rozdzielają ich łuk pada na ziemię. W tej chwili rozlega się w podworcu krzyk mordowanego Melantiosa, z trzaskiem zamykają się wrota do izby pchnięte od zewnątrz, dziewka Melanto wpada do komory, gdzie broń schowano. Eurymachos wydziera jej miecz z ręki, słychać głos wołający: »Zdrada!«. — To Antinoos rzucił się na uzbrojonego przeciwnika, podejrzywając go o podstęp. Wrzawa zamęt.

— Wysoko na pomoście, wśród krwawo płonących kagańców stoi nad tłumem Odysseusz, łuk dzierży.

— Kwili cięciwa, strzały świszczą, kagańce płoną, gasną życia ludzkie.

— »Wbrew doli« idzie król-tułacz, głosu nie słyszy klątwy, krwią oddycha.

— Skrzypnęły wrota, rozwarły się, we wrotach stanął starzec srebrnowłosy — Laertes, skrzywdzony, wygnany przez syna. Za starcem wszedł głos sumienia, weszła klątwa bogów i ludzi i rzuciła Odysseuszem do stóp ojca a potem pognała go nad fale morza ołowiane, nad brzeg oceanu skalisty.

Akt trzeci. Tam wichr wyje nad głową tułacza, po skałach Harpia się czołga, bogini wichrów, burz i — nagłej śmierci... Na skałach nadbrzeżnych zasiadły rzędem Syreny, w wichrze dzwoni pieśń Syren wabiąca:

»Pieśń żywota twego bohatyrze,
pieśń żywota nucę.
Pieśń wieczystą wydzwaniam na lirze,
w pieśni żywot wrócę«...

tylko zerwij z siebie łachman życia, zerwij okowy tęsknoty za ziemią ojczystą, za cieniem ojczyzny. Ty »idziesz przez świat i światu dajesz kształt

przez twoje czyny.
Spójrz w świat, we świata kształt a ujrzysz twoje winy
— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —
Za tobą goni jęk i klątwa goni, ściga;
tyś mocen jest, jak Bóg, co świat na barkach dźwiga.

Zrzuć go z ramion, strzaskaj, skończysz mękę, nowy byt cię czeka«.

Głosy Syren ucichły — wśród fal łoskotu śni się przeklętemu życie ciche, spokojny skon »w domostwie ojca syna żony«. Wróci, szczęśliwy będzie, tęskni:

Jestem u brzegów moich, brzegi mam przyłowne,
ojczyste moje skały, mój kraj! — Kto się skarży?
Kto się skarży? — I czego chce? — Przeklęta skargo!

Ilium płonące się skarży i przeklina, wgryza się w dusze:

Jakaś prośba okrutna, straszliwa, niezbyta:
Nie zabijaj mych dzieci, nie morduj mych dzieci,

zapada sąd sumienia, rozstrzyga los tułacza.

Ponad skałami lecą duchy pomordowanych gachów, słychać rozkaz: »Do łodzi, do łodzi«.

»Łyskawica rozwiera niebo u kresu wód, widać łódź pełną ludzi i wielką postać ciemną Hermesa stojącego u przodu« ... »Łódź umarłych, — w zaświaty płynie, — w zapomnienie«. Ku niej przez fale oceanu rzuca się Odysseusz, wołając:

»Czekaj! — Stój! — Stójcie! — Stójcie!! — Wybawienie!«

Błyskawica, grom bije, szaleje burza, człowiek umiera, dramat skończony...

Kiedy po raz pierwszy bierze się go do ręki, jako przedmiot porównania, mimowoli staje w myśli Odyssea a w ślad za tem budzi się sceptycyzm i pyta: »Jak ten dramat z takiego porównania wyjdzie?« ... Jednak po przeczytaniu książki sceptycyzm niknie, krytyczna myśl zastępuje jego pytanie innem: »Jak użył poeta od Homera pożyczonych tonów, jak rozporządził wziętym od niego materyałem, czy zaciągnięty dług spłacił pięknem własnego dzieła«. I pytanie to wskazuje właściwy punkt wyjścia, jedyną wspólną miarę w ocenie utworu, tak silnie związanego z poematem Homera swoją genezą, a tak wybitnie różniącego się od pierwowzoru formą dramatu i przeprowadzeniem wewnętrznej akcyi.

Jak widać ze streszczenia, odbiega ona od epopei w ugrupowaniu wypadków i wprowadzeniu nieopisanych tam zdarzeń, w charakterystyce osób a nadewszystko w idei przewodniej.

Przywitanie Telemacha z ojcem, plan rzezi, walka z Arnoiosem, mająca wprowadzić Odysseusza na biesiadę — wszystko to odbywa się w akcie pierwszym dramatu, w podworcu zagrody królew-

skiej, u Homera jest rozłożone na księgi XVI do początku XIX-ej włącznie. W ten sposób obszerne, epiczne przygotowanie rozstrzygających wypadków zmienia się na ekspozycyę dramatu.

Z równą siłą koncentruje Wyspiański w drugim akcie treść ksiąg XIX, XXI i XXIII: usunięcie broni, porozumienie się Odysseusza z Penelopą, próbę łuku, rzeź, spotkanie z Laertesem. Co do zakończenia tego aktu — ucieczki Odysseusza z własnego domu, to może być, iż pomysł jego podsunęło poecie podanie Telegonii, gdzie Odysseusz wytraciwszy zalotników idzie na dalszą tułaczkę. Być może jednak, iż pomysł ten wypłynął z refleksyi nad okropnymi stosunkami, wśród jakich musiałby się znaleźć bohater, którego bogowie i ludzie opuścili, a niedługo otoczą zewsząd pozostali przy życiu, szukający krwawego odwetu gachowie.

Wkońcu na powstanie aktu trzeciego wpłynął silnie początek księgi XIV, odlot dusz zalotników do Hadesu.

Cała akcya wypełnia w Odyssei cztery doby, w dramacie zajmuje zmierzch, wieczór i nieokreśloną część nocy, nie więcej jak godzin dwanaście, posiada ciągłość, jakiej cienia niema w Achilleidzie. Nadto podczas gdy w tej ostatniej luźne sceny (w liczbie kilkudziesięciu) nie zdołały skrystalizować się w większe, logiką utworu uzasadnione części, w »Powrocie Odysa« analogicznie do trzech rozstrzygających chwil dramatu i trzech zmian miejsca występują trzy akty, podział zewnętrzny harmonizuje się z wewnętrzną budową dzieła.

W pierwszym jednak akcie, zajmującym więcej jak połowę utworu, nuży zbytnie natłoczenie wypadków. — Rażą przedewszystkiem te dwa trupy, padające na chwilę przed rzezią, która scenę zawali stosem ciał. Rażą te trupy brakiem dostatecznej »racyi niebytu« a oswajając widza z krwią i gwałtownością bohaterów osłabiają wrażenie aktu drugiego. — Nuży scena z Tofijczykiem, epizodyczna, na rozwój akcyi nie wpływająca niczem, gdyż nawet te rysy charakteru Telemacha, które ma odsłaniać, jak duma, odwaga, męskość tak samo dobrze wystąpią w scenie zabicia sługi, z nieporównanie większą siłą przemówią podczas spotkania się z ojcem.

Powyższe szczegóły osłabiają doraźność wrażenia, są winą poety, gdyż powstały w następstwie wprowadzonych przez niego zdarzeń własnego pomysłu, jednak rzeczywistej wartości utworu zmniejszyć nie mogą.

Na tle zmian materyalnej budowy dramatu występują zmiany ważniejsze, zmiany charakterów, dusz, a z nimi idei przewodniej.

Krótko można powiedzieć, iż ludzie dramatu są gorsi od ludzi epopei. Drastycznie, lecz może niezupełnie fałszywie scharakteryzował ich w swojej chłopskiej filozofii Eumajos:

»Ludzie to świnie,
tak ja mówię, — a zasię znów Melantios ninie
mawia: ludzie są kozły. — Bo on pasie kozły
a ja świnie«. —

On sam, ten miły staruszek w Odyssei tutaj stał się złym parobkiem. O skrajnie demokratycznych uczuciach wobec »pasterzy ludów« wogóle, względem swego pana w szczególności o uczuciu co najmniej szczerej niechęci, korzysta z całą gotowością z jego poniżenia, by mu poniżenie to jeszcze cięższem uczynić:

»Złodzieje twego mienia, — twego mienia ździerce
piją, jedzą dobytek — i zyskali serce
małżonki; — gdy jednego z nich k'sobie wybierze,
toście i niepotrzebni« —

kładzie mu w uszy śmiejąc się z zadowolenia. Ciężkiem natomiast rozczarowaniem brzmi jego powitanie z chlebodawcą:

»A mówiono, żeś pomarł, — królu — miłościwy.
A mówiono żeś pomarł«...

Inaczej odbyło się to w Odyssei. Tam wolarz i pasterz Eumajos poznawszy powracającego pana:

»Z płaczem go w swe ramiona obydwaj porwali,
Witali, a po rękach i w twarz całowali —
I Odys ich nawzajem w twarz, ręce całował...
(Przekład L. Siemieńskiego).

Zmieniły się czasy...

Podobnie obniżył Wyspiański charakter Telemacha. Miłość synowską, tęsknotę za ojcem, cechujące tę szlachetną postać u Homera, w jego dramacie zachwaszczają uczucie samolubstwa i pychy, głuszy żądza władzy i sławy — za wszelką cenę.

Ta postać jest tutaj jakby wielkim, błyszczącym reflektorem, w którego ognisku płonie duch bohatera, płonie jego żądzami, namiętnościami, klątwą i męką serdeczną. A wszystkie promienie odbijają się w tym reflektorze i idą w dal, w przyszłość krwawą smugą strasznego dziedzictwa, krwawem pasmem wad, zbrodni i klątwy.

W ten sposób osiąga Wyspiański pogłębienie perspektywy tragicznej, tworzy jakby piekło psychologiczne, gdzie stalowy łańcuch

wad, win, kar ciągnie się w nieskończoność, wina bohatera a z nią jego postać wyolbrzymia się, panuje wszechwładnie.

Jak widać z powyższej analizy charakterów uczucia sługi do pana nabrały w dramacie cech niewolnictwa, stosunek syna do ojca zmienił się na stosunek pragnącego za wszelką cenę władzy do posiadającego ją.

Teraz nasuwa się pytanie, czy zmiany te stworzyła sama fantazya poety, czy działał tu także jaki inny, zewnętrzny czynnik. Można przypuścić, iż tak.

Czynnikiem tym mogło być wspomniane już podanie, stanowiące treść Telegonii, ostatniego z poematów cyklicznych. Według niego miał Odysseusz po wymordowaniu gachów przechodzić liczne przygody w kraju Tesprotów, aż wreszcie zginął niepoznany z ręki rodzonego syna Telegonosa, który następnie ożenił się z Penelopą, podczas gdy Telemach wziął za żonę matkę jego, czarownicę Kirkę. Kiedy więc poeta każe mówić Odysseuszowi do syna:

Patrzysz?! — Patrz na męki:
Że śmierć mnie — — czeka, synu, — z twojej ręki!

to widocznie identyfikuje go z Telegonosem, każe być w przyszłości winnym zbrodni, o którą legenda tego ostatniego obwinia. Co za tem idzie — przyszły ojcobójca nie mógł już pozostać idealnym synem z Odyssei. Wszystkie te kombinacye są uwarunkowane umyślnem lub przypadkowem opuszczeniem okoliczności, wyrażonej w słowach: »zginął niepoznany«.

Refleksya nad Telegonią nasuwa jeszcze jedno przypuszczenie. Oto łatwy do wyciągnięcia z niej wniosek, iż wieczna tułaczka i okropny koniec Laertydy były chyba karą za wielkie zbrodnie, mógł przyczynić się do wywołania w umyśle Wyspiańskiego metamorfozy »Odysseusza« tryumfującego z epopei na Odysa w okowach — więc, z dramatu.

To ogólne obniżenie charakterów, to etycznie odrażające środowisko zachmurzyło jasny błękit helleńskich dusz, stworzyło posępną atmosferę dla tragicznej postaci bohatera, atmosferę konieczną, bez której byłby anachronizmem, przybłędą z innej epoki.

Niegdyś, w Achilleidzie, on sam był taką ciemną, w materyi pogrążoną duszą. Tam to, pod Troją, wyrzekł do Achillesa dumne, zaślepione słowa:

Wiedz: Bogom dane jest zabijać ludzi.
Wiedz: że kto w sobie żal i litość skruszy
Takiego człowiek opowie za boga.

I skruszył w sobie żal i litość, »krwi swojej zaprzedał swą duszę«, żądzom władania i sławy. Żądze te wyrosły ze świadomości sił nadludzkich, sił, które mu dał Bóg, co przeklina tem, że w złem pomaga. Władzy zapragnął »pierwszeństwa chciwy i sytości«, więc starego ojca z niej wyzuł, więc splątał »w sidła myśli myśl wszelką prześnioną«, czynił sługami »panów swych i władych«, wodzów achajskich pod Troją skrępował siecią intryg, do swoich celów powiódł. Zapragnął sławy i nie spoczął, póki nie ujrzał Troi w płomieniach, nie usłyszał płaczu mordowanych królewiąt Ilionu. Tak szedł do władzy przez mord i zniszczenie, żalu nie znając ni litości, jak helleński bóg, któremu dane jest zabijać ludzi.

Zapomniał tylko o jednem, zapomniał, że jest człowiekiem, że ograniczone są siły śmiertelnych a bogowie zazdrośni są o własność swoją.

Zapomniał o tem, wspiął się nad człowieka, sięgnął po mienie boże. Na Olimp nie wszedł, z człowiekiem zerwał — i został sam, od boga i ludzi przeklęty, opuszczony. W tem osamotnieniu, w obliczu nieszczęścia zapytał: »Kto winien?« i usłyszał budzący się po raz pierwszy głos sumienia: »Ty sam!«

Od tego głosu nie zdołał Odysseusz uciec na bezkresnych szlakach tułaczki, nie zdołał krwią go zalać, on przygnał go tam, gdzie stała kolebka jego życia i win, gdzie dopełnić miał żywota w ostatnim czynie rozpaczy, w ostatniej, rozpaczliwej skardze duszy.

Sumienie, co jasną postać Achillesa wiodło na wyżyny uduchowienia, dla występnej duszy Laertydy stało się wężowym biczem Erynii, pędzącym na zatracenie. A w »Powrocie Odysa« już ono nie jest jak w Achilleidzie rodzajem *deus ex machina*, ale potęgą moralną, na żyznej glebie win bohatera wyrosłą.

Będąc głównym łączącym czynnikiem w obu dziełach, w pierwszem dla braku umotywowania nie tłumaczy się dostatecznie, w drugiem, dzięki pogłębieniu psychologicznemu, jest wielką zaletą, rzeczywiście potężnym motorem akcyi, w silnych, pewnych brzegach formy płynącej żywo strumieniem pięknego słowa.

Dramat ten słusznie możnaby nazwać historyą walki sumienia o swoje prawa, od Stwórcy nadane, zgwałcone przez człowieka. W walce tej człowiek pada pokonany i to jest główna różnica — różnica idei przewodniej między »Powrotem Odysa« a »Odysseą«, wielką pieśnią o silnym, bogów i ludzi niezłomną wolą zwyciężającym człowieku.

Akcye wewnętrzne dramatu i epopei idą zatem we wręcz prze-

ciwnych kierunkach, jednak obie dochodzą do jednego kresu — do piękna.

A piękno jest wszędzie, gdzie jest na wzór natury twórczy duch, gdzie jest prawdziwa poezya.

W. Nawratil.

Pamiątki i wspomnienia z sanockiej ziemi. *Trzecieski Jan.* Zeszyt 1, część 1. Krosno 1907.

»Nie jest to szkic monograficzny. Wydawca jako rolnik nie czuje się powołanym do podjęcia takiej pracy«. Pierwsze rozdziały nie roszczą sobie nawet pretensyi do pracy źródłowej, ale są »powtórzeniem dla przyjaciół, o ile możności wiernem, zasłyszanych opowiadań, zdaniem sprawy z tradycyi miejscowej, podawanej z generacyi w generacye« (Wstęp, str. 7).

Istotnie nie szukać w nich metody naukowej historycznej ani wytwornej formy literackiej. Autor zapiski przeplata własnemi uwagami. Ale bo też cel, jaki sobie wytknął, uwalnia go od zarzutów z tej strony. Zresztą pracę ogłasza jako rękopis. A szkoda. Tyle w tym rękopisie rzeczy cennych, odnoszących się do genealogii rodzin, zapisków wypadków, malujących stosunki dziejowe i kulturalne, zwłaszcza początków wieku ubiegłego, że z żalem zapytać przychodzi, czemu nie możemy mówić o książce, a tylko wskazać na istnienie rękopisu drukowanego.

Zeszyt obecny przynosi nam pamiętnik Romana Kraińskiego. Następne zapowiadają wyjątki pamiętników i notatek Preka-Laskowskiego, Edmunda hr. Krasickiego, Romana i Emila Leszczyńskiego. Z ogłoszeniem notat Preka — oby jak najobszerniejszem — ułatwi się dostęp do spuścizny, którą w swych obrazach z przeszłości uważał Schnür-Pepłowski za źródło pierwszorzędnej wartości (str. 321).

Ks. Wład. Rejowicz.

Kazania i Przemowy pasterskie do ludu wiejskiego. *Ks. Biskupa Karola Józefa Fischera,* sufragana przemyskiego, t. IV. Przemyśl, nakładem księgarni A. Juszyńskiego 1907. Czcionkami druk. »Udziałowej« Jana Łazora. Str. 483, 8-ka większa.

Już w potwierdzeniu tychże kazań ze strony władzy duchownej przez Najprzew. księdza Ordynaryusza znajdujemy ich wspaniałą ocenę »jako kazań odznaczających się doborową treścią, trafnym i praktycznym wykładem, żywym a popularnym stylem«. I rzeczywiście zasłu-

gują one na tak świetne polecenie, a sądzę, że każdy P. T. Duszpasterz, choćby takiej pochwały na czole ich wypisanej nie było, powita ten IV tom Kazań czcigodnego autora z radością, jako swego, dawno znanego przyjaciela. Ten IV tom dzieli się na dwie części: jedna obejmuje niedziele jesienne od XIII niedzieli po Zielonych świętach do XXIV, druga dostarcza Kazań na uroczystości i święta w tym ostatnim kwartale roku kościelnego przypadające. Treść zaleca się przedewszystkiem tem, że łącząc się ściśle z treścią ewangelii przypadającej niedzieli, uwzględnia takie potrzeby duszy a nawet i ciała, jakie właśnie w tym czasie jesiennym u ludności wiejskiej zachodzą. Więc w czasie tym, zbiorów jesiennych, mamy naukę o wdzięczności (N. XIII), przestrogę przed kradzieżą, (na tęż niedzielę Kazanie 3-cie i na N. XXI); przygotowanie młodzieży do stanu małżeńskiego, dalsze (N. XV) o przywarach złych młodzieńców, (N. XVIII) o myślach nieczystych i bezpośrednie (N. XIX) kazania dwa o przygotowaniu się do stanu małżeńskiego i jego przeszkodach. Jedno kazanie poucza po bożemu o zachowaniu zdrowia (XXI) inne mają na celu życie parafian duchowne pouczając ich, jak mają znosić krzyże (XIV), święcić niedziele i święta (XVI), bogacić duszę w odpusty (XVIII), kochać Boga (XVII), kochać bliźnich (XXI) o miłości nieprzyjaciół (XXIII) o szanowaniu sławy bliźniego (XV), o pogrzebie katolickim. Wreszcie kazania o sądzie szczegółowym (XXI) i ostatecznym (XXIV) jak też o Sakramencie Ostatniego Pomazania (XX) dopełniają tych nauk, mających na celu zbawienie dusz parafian przez życie dobre. Materyał, widzimy, bogaty a niektóre niedziele obfitują we dwa i trzy kazania. Drugiej części tego IV tomu kazania, nazwijmy świętalne; same się zalecają ważnością, zwłaszcza, że czcigodny autor uwzględnia Świętych Patronów Polskich i tak bardzo rozgałęziony Zakon III-ci św. Franciszka, czyli tak zwane tercyarstwo, któremu poświęca aż dwa Kazania z okazyi święta jego założyciela. Nadto zasługują na uwagę w tym dziale kazania o wstrzemięźliwości na uroczystość M. B. Bolesnej, jak też o Różańcu.

Zalety tych kazań są znane z poprzednich tomów. Nie znajdzie się w tych kazaniach próżnych słów — jest tylko treść bogata, uzasadniona, jasno wyłożona. Ta jasność w rozkładzie treści jak też i we wyłożeniu jej i udowodnieniu, połączona z prostotą, to chyba największa i zupełnie zasłużona zaleta tych kazań. Każde dziecko bez trudności może powtórzyć całe kazanie, skoro tylko je raz słyszało. Forma rozkładu myśli jasna. Kaznodzieja po wstępie dzieli kazanie

na części wypowiedziane wprost, a w omówieniu tychże wprowadza jeszcze podpodziały jasno zaznaczone. Mimo to nie odczuwa się tego poczłonkowania, nie widać, aby nauki szły podobne do kupy złożonej z kawałków luźnych — one zlewają się w jedną całość. Charakter bowiem tych kazań jest więcej dydaktyczny, pouczający, niż poruszający — stąd liczne podziały i podpodziały logicznie się łączące zupełnie są usprawiedliwione, owszem potrzebne i konieczne.

Wstępy zawsze tłumaczą treść tekstu przytoczonego z ewangelii, niektóre są klasyczne (jak str. 28 na N. XV), innym można zarzucić, że są za długie, niektóre znowu zbyt krótkie jak na N. XXI. Przy rozwinięciu tematu zaznaczyć należy, że czcigodny autor zwraca zawsze pilną uwagę na ścisłe przedmiotu danego określenie. Rzecz uzasadnia zdaniami Pisma św. i bogato przytaczanymi przykładami. Są one doborowe, naturalne, poparte powagą źródła. Bardzo wiele przykładów czerpie czcigodny autor z Pisma św. i żywotów Świętych nie tylko obcych ale i polskich. Spotykamy się też ze wspomnieniami z historyi Polskiej (str. 6, 253).

Forma dowodów jest rozmaita. Najczęściej czcigodny kaznodzieja używa indukcyi jużto z przykładów już też analogicznej z podobieństw. Tak na N. XIV udowadnia, że Pan Bóg krzyżami dotyka za grzechy, obłudę wyświetla w silnem zestawieniu przykładów od Kaina do Judasza (N. XXIII), prześlicznie zaś udowadnia potrzebę wstrzemięźliwości (str. 292) wyliczając wszystkie stany ludności wiejskiej od starca do dziecięcia. Ładnie też wykazuje przez indukcyę analogiczną, że różaniec nie jest monotonny (str. 343). Innym środkiem popularnego przedstawienia rzeczy to obrazy etyczne z życia ludu. W tym względzie czcigodny autor może służyć za wzór, jak się powinno malować życie. Są to obrazki jakby wprost z życia wyjęte. Jakiż rozrzewniający obrazek ludu moralnego (str. 290) a potem cały szereg obrazków męża, matki, młodzieży obojga płci. W tych kazaniach lud żyje, mówi źle i dobrze, pracuje i bawi się, modli się, upada i pokutuje, słowem czuć, że to przemowy dla niego, że on je rozumie, niemi się karmi, w nich widzi opiekę Pasterza, jego dobroć i miłość. Są to prawdziwie przemowy pasterskie do ludu wiejskiego. Nie wspominam przytaczania trafnego wyjątków z pieśni kościelnych, a nawet i z poetów polskich, bo to znana zaleta czcigodnego autora. Zakończenie tych kazań rozmaite, zawsze praktyczne, nigdy banalne.

Treść dogmatyczna bogato się zaznacza, zwłaszcza w pierwszej części, a moralność zyskuje na tem, iż niema moralizowania, krzyków,

ale jest pouczenie, są rozumne pobudki, głównie nadprzyrodzone, ale i doczesne, są i środki wskazane. Styl wprawdzie nie poetyczny, nie oratorski we wyższem rozumieniu, ale dobry, przedewszystkiem jasny i ciepły. Strona techniczna nie pozostawia nic do życzenia, a kilka omyłek drukarskich nie wchodzi w ocenę. Szkoda tylko, że czcigodny kaznodzieja w dwóch kazaniach o św. Franciszku Serafickim, tak pełnych nauk o kwestyi socyalnej nie wyczerpał do dna owych myśli głębokich tu i ówdzie narzuconych, mianowicie, że św. Franciszek rozwiązał w swoim czasie kwestyę socyalną, niemniej za jego czasów, jak za naszych, bardzo piekącą.

Wielce zalecają ten tom niektóre kazania z umysłu rozszerzone w czasie przygotowania do druku, aby dostarczyć więcej treści posługującym się nimi Braciom Kapłanom, jak i dodany spis rzeczy we wszystkich 4 tomach zawartych, a według porządku katechizmu ułożony.

Obietnica, że wkrótce wyjdą »Kazania przygodne« każe być wdzięcznym czcigodnemu autorowi za tak bogaty a wyborowy plon kaznodziejskiej pracy dotychczasowej i przyszłej, a ukazanie się już z druku tomu III w wydaniu drugiem, jak też wyczerpane już prawie wydanie drugie tomów I i II świadczy, iż dodatnia ocena tych kazań odpowiada ze wszech miar wartości ich rzeczywistej.

Ks. Henryk Haduch.

Źródła niektórych komedyi Franciszka Zabłockiego. *Dr. Ludwik Bernacki.* We Lwowie 1908.

Omawiając studyum p. Kielskiego »O wpływie Moliera na rozwój komedyi polskiej«, zaznaczyliśmy niedawno (patrz *Przegl. Powsz.* 1907 lipiec, str. 100—101), że trzeba będzie licznych prac specyalnych, aby skontrolować wyniki, osiągnięte przez autora tego studyum. Z przyjemnością można dzisiaj zanotować pojawienie się jednej z takich prac. Bardzo szczegółowa, dokładna, sumienna, nie jest ona przeznaczoną dla szerszego koła czytelników, mimo to zdajemy tu z niej sprawę. Najpierw choćby dlatego, że wśród autorów polskich z drugiej połowy XVIII wieku Zabłocki należy do więcej znanych, a przynajmniej jego nazwisko. Ze szkolnych już podręczników wiemy i wspominamy, że Zabłocki jest pierwszym prawdziwym i utalentowanym komedyopisarzem polskim, że uzyskał tytuł ojca komedyi polskiej, że bez niego nie byłoby Fredry i t. p. Stąd imię Zabłockiego wśród ogółu ma pewien walor i praca o nim może dla ogółu nie być obojętną. Z drugiej znów strony korzystamy ze sposobności, jaką daje

studyum d-ra Bernackiego, aby zwrócić uwagę na zjawisko bardzo interesujące, na przygotowującą się — pod wpływem studyów najnowszych nad literaturą polską wieku oświeconego — częściową zmianę naszych dzisiejszych poglądów na tę epokę.

Zabłocki dotąd niemało sprawiał kłopotu historykom literatury, mianowicie kwestyą autentyczności niektórych komedyi i kwestyą źródeł przeważnej ich ilości. Badanie tej ostatniej więcej było rozwinięte, doprowadziło też do względnie pokaźnych rezultatów. Wykazano źródła 23 komedyi Zabłockiego (wymienia dr. Bernacki na str. 73—75 swej pracy) komedyi, będących właściwie przekładami (choć zaznaczono to na bardzo niewielu, przez opuszczanie na innych wzbudzając przypuszczenie, jakoby to były oryginalne rzeczy Zabłockiego). Ale pomiędzy temi 23 komedyami nie było tych, które uznano za najlepsze lub najbardziej interesujące (n. p. z powodów historyczno-obyczajowych), »Zabobonnika« na przykład, »Fircyka w zalotach«, »Sarmatyzmu«. Zatem z pewnem zadowoleniem wewnętrznem mówiło się i myślało, że są to wprawdzie utwory, pisane pod wpływem francuskim (t. zn. naśladujące komedyę francuską w kompozycyi, w sposobie kreślenia charakterów, w szczegółach techniki i t. p.), ale oryginalnie przez Zabłockiego stworzone. Honor jakiej takiej samodzielności komedyi naszej przed Fredrą był nienaruszony.

Niestety i to mniemanie dzisiaj upada, a burzy je właśnie rozprawa d-ra Bernackiego. Autor jej wykazuje niezbicie, że do poprzednich 23 komedyi tłumaczonych należy dodać pięć dalszych, także tłumaczonych. A są to właśnie te, do których przywiązywaliśmy dotąd większe znaczenie: »Balik gospodarski« (1780), przekład rozszerzony opery komicznej Favarta; »Doktór lubelski« (1781), przerobione tłumaczenie komedyi Hauteroche'a; »Dziewczyna sędzią« (1781), przekład komedyi Romagnési'ego; »Zabobonnik« (1781), przerobiony przekład z tegoż autora francuskiego; »Fircyk w zalotach« (1781), nieco rozszerzone tłumaczenie komedyi Romagnési'ego. Na domiar jeszcze i pomysł »Sarmatyzmu« ma nie być własnością Zabłockiego, ale został przejęty z francuskiego źródła (co autor wykaże zapewne w drugim zeszycie swej pracy). Wreszcie autor rzuca domysł, że i dalszych dziesięć komedyi Zabłockiego opiera się zapewne na obcych oryginałach — bliżej się jednak niemi nie zajmuje, zaznaczając wyraźnie, że to tylko domysł.

Zatem wynikiem studyum d-ra Bernackiego jest gruntowne wstrząśnięcie naszego poglądu na Zabłockiego — odjętem mu zostało

prawo szczycenia się jedną z najistotniejszych właściwości twórcy, samodzielnością, oryginalnością. Pokazuje się, że Zabłocki sam nie umiał wymyślić i obmyślić komedyi, że kopiował nie pojedyncze sceny, obrazy, zwroty, ale całe dzieła. Sąd o Zabłockim jako poecie musi uledz redukcyi. Natomiast pozostaje jego znaczenie w rozwoju komedyi polskiej: swoimi przekładami (dawniej mówiliśmy: komedyami) wznosi on komedyę polską na stopień wyższy, aniżeli się znajdowała poprzednio (za Bohomolca).

Jakiego rodzaju są przekłady Zabłockiego, na to autor omawianego studyum nie daje odpowiedzi, i oto w jakim kierunku muszą teraz pójść studya nad Zabłockim: najpierw trzeba będzie zbadać jeszcze resztę jego komedyi (po rozwiązaniu kwestyi autentyczności), a następnie zestawić dokładnie z oryginałami przekłady naszego komedyopisarza. Dr. Bernacki zaznacza w odpowiednich miejscach: »tłumaczenie przerobione«, albo »rozszerzone«. Otóż chodzi o te przerobienia i rozszerzenia, one nam pokażą sposób, w jaki Zabłocki tłumaczył, jak n. p. lokalizował, co dodawał, (na korzyść utworom lub nie) i t. d. Już z tych wyjątków, które dr. Bernacki przytoczył, widać dużo interesujących pod tym względem szczegółów — teraz trzeba będzie w ten sposób opracować całość.

Jeszcze na jeden szczegół zwróćmy uwagę: na stosunek tej pracy do studyum p. Kielskiego. Gdzie ten ostatni dopatrywał się wpływu Moliera, tam dr. Bernacki wykazuje przekład z innego autora. A jednak sądzę, że p. Kielski w części będzie mógł utrzymać swoje twierdzenie — z podstawieniem wyrazu »molieryzm« na miejsce Moliera. Owe komedye francuskie które Zabłocki przetłumaczył, są pod tak silnym wpływem Moliera, tak całkowicie trzymają się jego sposobów, że można tem samem mówić i o molieryzmie komedyi Zabłockiego.

Teraz co do owej jakoby przygotowującej się zmiany naszych poglądów na literaturę Stanisławowską, to w ostatnich czasach pojawiło się kilka prac (a między niemi właśnie i rozprawa d-ra Bernackiego), które wykazują, że zależność tej literatury od francuskiej jest daleko większą, silniejszą aniżeliśmy dotąd przypuszczali; ci ludzie myślą po francusku, naśladują autorów francuskich, tłumaczą z nich całe ustępy i wcielają do swoich utworów, tłumaczą całe dzieła i podają za swoje. A dzieje się to we wszelkich rodzajach literackich: w dramacie, w romansie, w satyrze, w bajce, w krytyce literackiej. Jest to na wielką skalę prowadzona adaptacya literatury francuskiej do stosunków polskich. Nie wchodzimy tu na razie w wyjaśnianie

tego faktu, oskarżanie lub uniewinnianie, konstatujemy tylko fakt, że oryginalności literackiej, artystycznej, jest w literaturze polskiej wieku oświeconego bardzo mało. I to nam tłumaczy ten objaw, że ta literatura dla nas dzisiaj jest wogóle niezbyt zajmująca, a mimo swych tendencyi reformatorskich, mimo swego patryotyzmu, w wyrazie swoim wydaje się nam ona jakąś obcą, jakąś mało narodową; nie widzimy w niej wyrazu duszy polskiej, co najwyżej pewnego kierunku myśli.

St. Dobrzycki.

Z piśmiennictw obcych.

Geschichte des Kollegium Germanicum Hungaricum in Rom. Von *Kard. Andreas Steinhuber S. J.* Zweite verbesserte und vermehrte Auflage. I B. mit 25 Bildern auf 12 Tafeln. Str. XVIII, 506. II B. mit 35 Bildern auf 12 Tafeln. Str. X, 617.

Historya wyższych zakładów naukowych wykazuje znaczny przyrost w ostatnich lat dziesiątkach. Ze względu na ogólne zainteresowanie się tym przedmiotem, z radością powitać należy nowe wydanie dzieła kardynała Andrzeja Steinhubera T. J., historyi »Kollegium Germanicum Hungaricum«, zakładu, który zwracał na siebie zawsze uwagę i zainteresowanie się tak przyjaciół jak i nieprzyjaciół umiejących doskonale ocenić jego wielkie znaczenie. Autor, który mimo podeszłego wieku podjął się tak mozolnej pracy, jest doskonale świadomy trudnego zadania, zwłaszcza, iż mógł się opierać tylko na bardzo skąpych danych w tym względzie, a wszystko prawie musiał sam pierwszy opracowywać.

Uczony Genueńczyk O. Girolamo Cattaneo T. J., który z okazyi setnej rocznicy zakładu miał napisać jego historyę, wydał tylko panegiryk: *Panegiricus de institutione Collegii Germanici et Hungarici*, a O. Wilhelm Fusban, który miał dalej poprowadzić jego historyczną pracę, objął na 400 stronicach tylko lata od 1552—81; nigdy wszakże tej pracy nie drukowano. W 1770 roku ogłosił uczony historyograf Towarzystwa Jezusowego ks. Juliusz Cordara swoją *Collegii Germanici et Hungarici Historia libris 4 comprehensa*, która wprawdzie pod względem elegancyi i piękności stylu nie pozostawia nic do życzenia, ale nie sięga ponad r. 1581. Po tej pracy nie ukazała się już żadna

inna, któraby historycznie omawiała dzieje kollegium. Tem więcej zasługuje na uznanie historya napisana przez kardynała Steinhubera, która już 1906 r. ukazała się w drugiem wydaniu. Ta gruntowna praca obejmuje historyę tego kollegium od jego założenia 1552 r. aż do czasów obecnych i zawiera w sobie, jak słusznie zauważa autor, pokaźną część historyi religijnego odrodzenia, które Kościołowi katolickiemu w Niemczech i na Węgrzech, począwszy od drugiej połowy XVI wieku po nieszczęsnem rozdwojeniu we wierze, do pomyślnego rozwoju się przyczyniło. Pierwszy tom obejmuje w trzech rozdziałach okres czasu od r. 1552—1655. W rozdziale pierwszym zapoznaje nas autor z planami i z ciężkiemi przejściami kolegium od początku jego istnienia aż do założenia go na nowo przez Grzegorza XIII 1573 r. Praktyczny zmysł gorliwego o zbawienie dusz św. Ignacego zrozumiał jasno doniosłe znaczenie tego zakładu i dlatego nie uląkł się żadnych trudności, które niekiedy zagrażały całkowitą ruiną jego wielkiemu przedsięwzięciu. »Niechaj na mnie złoży całkowitą troskę o to kolegium ten, kto się chce uchylić przed nią« zwykł był mawiać św. Ignacy, »ja sam je podtrzymam i nie pozwolę mu upaść, chociażbym miał siebie samego zaprzedać«. Ażeby wychowankom tego zakładu zapewnić odpowiednie wykształcenie, przyłączył św. Ignacy do niego fakultet filozoficzny i teologiczny, który uroczyście otwarto r. 1553, a zakład przyjął i nosił odtąd nazwę Collegium Romanum. Nie było jednakowoż dozwolonem świętemu założycielowi oglądać owoców usiłowań, gdyż tylko o cztery lata przeżył przybycie pierwszych wychowanków; ci jednak nie przynieśli mu hańby. Pośród nich znajdował się także Magnus Laurentius, który został później wychowawcą króla polskiego Zygmunta III. Następca świętego Ignacego, generał zakonu O. Laynez zaprowadził z konieczności pewną nowość, która jednak nie wyszła na dobre zakładowi. Zaczęto przyjmować płatnych konwiktorów ze stanu szlacheckiego, zwłaszcza z Włoch, aby z nadwyżki módz utrzymać właściwych wychowanków Germanicum. Ci nie koniecznie wstępować mieli do stanu duchownego. Liczba konwiktorów szybko wzrastała, tak iż r. 1563 wynosiła 200, podczas gdy Germaników nie przekraczała 20, wskutek czego *poveri Tedeschi* uchodzili raczej za dodatkowe przyczepki. Grzegorz XIII przyszedł dopiero z pomocą w tym względzie. Zajmującym jest w tej księdze rozdział poświęcony opisowi życia konwiktorskiego, zwłaszcza podczas karnawału i obszerne dowodzenie, że trydenccy ojcowie podczas sesyi 23, kiedy to obowiązkowe zakładanie seminaryów uchwalali, za wzór mieli Germanicum przed

oczami. Przy końcu pierwszej księgi poświęca autor dwa rozdziały znakomitym konwiktorom i alumnom z czasów od r. 1556—73.

Wśród ostatnich znajdowali się także poleceni przez kardynała Hozyusza, wielkiego przyjaciela kolegium, Fabian Quadrantinus i Fryderyk Bartsch, którzy później jako Jezuici pracowali w Polsce.

Lwia część księgi drugiej mówi o Grzegorzu XIII, który jest nowym założycielem kollegium Germanicum Hungaricum. Szczególniej dokładnie zajmuje się autor darowiznami papieża dla kollegium, pałacem i kościołem św. Apolinarego, kościołem i klasztorem św. Saby, św. Stefanem Rotondo, dostarczając czytelnikowi kościelno-historycznych i ze stanowiska sztuki uwagi godnych materyałów. Również obszernie omawia autor bullę erekcyjną i ważne połączenie kolegium Germanikum z węgierskiem 1580, co pociągnęło za sobą konieczność wydania nowych ustaw, które też Grzegorz r. 1584 bullą *Ex Collegio Germanico* w 74 paragrafach zatwierdził. Są one podstawowemi ustawami dla kolegium Germanicum Hungaricum po dzień dzisiejszy.

Ponieważ kanonicy przy kapitułach i kolegiatach przeważnie z szlachty pochodzili, a gwałtownie reformy potrzebowali, przeto powziął Grzegorz XIII myśl, przyjmowania do kollegium Germanicum samych szlachciców. Ówczesny rektor O. Lauretano opierał się temu zamiarowi, mimo to około roku 1577 wydał Grzegorz XIII rozporządzenie, aby przyjmowano odtąd tylko młodzieńców z rodów szlacheckich, lub odznaczających się wybitnemi zaletami umysłu. O ile uzasadnioną była ta myśl w owych czasach i wśród ówczesnych warunków, to jednak przyniosła ona pewne złe następstwa dla kollegium, a liczba uczniów nieszlacheckich zmalała zwłaszcza w XVIII wieku. Wystarczy jednak przejrzeć pouczający rozdział I 21, o współdziałaniu Germaników w odrodzeniu katolicyzmu w Niemczech, 1575—1600, a wnet pogodzić się możemy z zaprowadzeniem powyższej nowości. W podziw nas wprawia fakt, iż w tak krótkim czasie mógł ów zakład wywrzeć tak wielki wpływ we wszystkich dyecezyach całego państwa niemieckiego. Także i polskie biskupstwa, zwłaszcza Gnieźnieńskie i Poznańskie doznały na sobie dobroczynnego wpływu tego zakładu, aczkolwiek polskich wychowanków dopuszczano tylko wyjątkowo na prośby króla i na wyraźny rozkaz papieża.

Po wspaniałym okresie za czasów Grzegorza XIII nastąpił dla kollegium czas upadku — 1665 r. Na to składało się wiele przyczyn. Wprawdzie nie odmawiali następcy Grzegorza swej życzliwości zakładowi, ale bogato uposażone kollegium nie potrzebowało już tak bardzo

ich pieczołowitości a tem samem pozostawionem było więcej sobie samemu. Kilka wizyt kanonicznych usiłowało zwrócić powszechną uwagę na jego doniosłe znaczenie, a papieże starali się w różnych dekretach podnieść jego wpływy; wielcy i wpływowi mężowie nie odmawiali mu swej życzliwości a rektorowie tacy jak O. Castorius i O. Oliva uczynili dlań bardzo wiele, lecz całe ówczesne stosunki paraliżowały i najlepsze usiłowania. Wojna trzydziestoletnia w Niemczech i walki między cesarskiemi a francuskiemi wojskami dały się kollegium tęgo we znaki. Liczba wychowanków zmalała; w r. 1657 liczono ich tylko 21. Mimo to wszystko pokazuje się z rozdziału III o działalności wychowanków Germanikum od 1600—1655 w ich ojczyźnie, że zakład i wówczas był podporą Kościoła katolickiego w Niemczech.

Trzech elektorów Moguncyi, którzy od r. 1604—47 po sobie następowali, a których wizerunki są do dzieła dołączone, było wychowankami Germanikum; trzej również następcy wielkiego kardynała i prymasa węgierskiego, Piotra Pażmany, wielkiego przyjaciela zakładu, byli wychowankami Germanikum. Najpiękniejszym jednak owocem tego okresu jest niezawodnie kanonik z Granu, Marek Crisinus, umęczony r. 1619 a zaliczony przez Piusa X w poczet błogosławionych. Jeśli Niemcy i Węgrzy mieli po wojnie 30-letniej tęgich biskupów, kanoników i gorliwych kapłanów, to zawdzięczają ich przeważnie kollegium Germanikum i Hungarikum. Z okazyi uroczystego obchodu setnej rocznicy 1657 r., wydał, jak już nadmieniliśmy, O. Girolamo Cattaneo panegiryk *De institutione collegii Germanici et Hungarici* w formie książki, która jednak wkrótce po swem ukazaniu się na indeks się dostała a dopiero r. 1900 wykreśloną z niego została. Jak podniosłą musiała być ta rocznica, wywnioskować można z tego, iż właśnie w owym czasie byli dawni germanikowie prymasami w Niemczech, na Węgrzech, w Czechach i w Belgii.

Na tem kończy się pierwszy tom. Drugi tom obejmuje okres od r. 1655 aż do naszych czasów. Z Aleksandrem VII r. 1655—67, rozpoczął się dla kollegium nowy peryod rozkwitu i pomyślności, który zakład zawdzięczał nie tylko życzliwości papieża, lecz i niemniej zdolnemu zarządcy dóbr zakładowych, O. Girolamo Galeno, piastującemu prawie przez 45 lat urząd prokuratora z nadzwyczajnem powodzeniem. Myśl poddania Germanikum pod władzę Kongregacyi Propagandy, którą udaremnił O. Girolamo, jeszcze więcej nowa formuła przysięgi dla germaników, zwłaszcza dwa jej punkta, tyczące się składania dorocznego sprawozdania Kongregacyi i utrudnienie wstępowania do za-

konu, zaniepokoiły umysły. Po siedmiu latach ciężkiej walki ubito sprawę. Na te czasy przypada nowe, godne wzmianki, zarządzenie; od r. 1700 zawisło przyjęcie kandydatów do Germanikum nie od rektora, lecz od kardynałów-protektorów, którzy, stosownie do potrzeb poszczególnych dyecezyi, wybierali kandydatów. Najbardziej zajmującą częścią rozdziału o działalności Germaników od r. 1655—1700 jest niezawodnie opis kościelnej reformy na Węgrzech, które w tym czasie 118 wychowanków w kollegium posiadały; z nich piąta część doczekała się biskupiej godności.

W księdze piątej oznacza dostojny autor czas od r. 1700—1773 jako peryod nieustannego rozkwitu kollegium. Wszyscy papieże aż do Klemensa XIV byli życzliwymi przyjaciółmi zakładu, zwłaszcza wielki papież Benedykt XIV, za którego czasów przyszło do budowy nowego kościoła i domu św. Apolinarego. Dwa rozdziały poświęcone dokładnemu opisowi studyów, życia i działalności zakładu, dozwalają nam poznać w całej pełni niestrudzoną dążność kollegium do ciągłego postępowania na polu naukowo-religijnem. W tę pełnię życia spada cios druzgocący; Klemens XIV znosi Towarzystwo Jezusowe. Katedry naukowe oddano Dominikanom, rozporządzającym tęgiemi siłami, a kierownictwo zakładu poruczono, o ile się dało, innym. Wnet nastąpił zanik świetności kollegium i całkowity upadek. Józef II dopełnił miary złego. Odjął zakładowi dobra lombardzkie i wzniósł osławione Pseudo-Germanikum w Pawii, które r. 1794 upadło. Położenie stawało się w Rzymie coraz cięższem, aż wreszcie uprowadzenie Piusa VI r. 1798 pociągnęło za sobą zamknięcie Germanikum, które dopiero r. 1818 Pius VII napowrót otworzył. Ostatnia księga obejmuje historyę Germanikum w XIX stuleciu. Chwiejne stanowisko niemieckiego rządu względem papieża, zawieruchy rewolucyjne, zaborcza walka Piemontu i *Kulturkampf* dały się również i Germanikom dobrze we znaki, lecz silne poparcie ze strony papieży pomogło do bezpiecznego wybrnięcia z trudnego położenia. Jak wiele mimo niesprzyjających okoliczności Germanikum nawet w XIX wieku dokazać potrafiło, o tem świadczą nazwiska jego byłych wychowanków, jak np. Augusta Reisacha, Józefa Hergenröthera, Hettingera, Denzingera, Scheebena i autora historyi Germanikum, kardynała Steinhubera.

Przy drugiem wydaniu uwzględnił dostojny autor sumiennie nowo wydane prace, a nawet mniejsze monografie i umieścił mnóstwo ciekawych i pięknych illustracyi, tak, że Germanikum może się słusznie szczycić swą historyą i swym historyografem.

Ks. A. Starker.

Z nowszych powieści angielskich.

Rita: »Queer Lady Judas«. — Maxwell Gray: »The reproach of Annesley«. — John Oliver Hobbes· »The dream and the business«.

Ostatniem dziełem autorki, piszącej pod pseudonimem Rita, nie pozbawionem wartości, są 2 tomy p. t. *Queer Lady Judas* [1]. »Dziwna Lady Judas«. Jest to jaskrawy a bezlitośny obraz »bawiącego się« londyńskiego świata, zawierający obok satyry dużo oryginalności i dużo religijnego uczucia. Wadą kardynalną jest wspólna i naszym »społecznym« powieściom jednostronność, dzięki której chcąc wysmagać jakąś śmieszność lub występek, pisarz napełnia swój utwór winowajcami bez dodania im, choćby dla kontrastu, opisu ludzi nie kwalifikujących się pod tę samą chłostę. Co prawda podobne sądy gremialne ułatwiają bardzo zadanie. »Rita« przyznaje się do tezy, głosząc w przedmowie, że »książka jest pisana przez kobietę dla kobiet i o kobietach«. Wie, że ją znienawidzą, ale że pomimo to będą musiały przyznać jej słuszność. Prosi przytem by »żaden mężczyzna przez wzgląd na siebie samego, lub drogie mu złudzenia czytać jej się nie ważył«. Ostatnie to zdanie brzmi poniekąd jakoby reklama.

Po takich przestrogach czytelniczka, lub nieposłuszny czytelnik spodziewa się wiele i — wiele znajduje. Autorka użyła formy pamiętnika, osobistych wspomnień młodej kobiety, która w narzuconym jej związku z hulaszczym Francuzem, hr. de Marsac, znalazła tylko nieszczęście i zupełną majątkową ruinę. Nakarmiona widokiem nieprawości, upodlenia i hańby, z zabitą wiarą w Boga i w ludzi powraca do Londynu, by pod przybranem mianem zarabiać na chleb powszedni. Zarabiać — ale jak? Wychowana na wielką panią nie posiada znajomości fachowych. Natomiast znalazła w starych papierach rodzinnych przepisy nieznanych już dziś kosmetyków; przeszła jeszcze w Paryżu rok służby szpitalnej pod kierunkiem słynnego lekarza i dziś może śmiało anonsować się w pismach angielskich jako *Madame Beaudelet certificated masseuze from Paris.* Niepotrzebuje dodawać, bo to każda elegantka zrozumie, iż masowanie jej dotyczy nie chorych członków lecz twarzy. Do skromnego mieszkania jej poczynają napływać pacyentki, każda z nich chce być piękną i młodą, chce pod dotknięciem jej rąk i barwiących wonności odzyskać urok swych lat ośmnastu.

[1] Rita: *Queer Lady Judas.* Tauchnitz ed. II vol.

Kobiety te należą mniej więcej do jednego gatunku, a jest nim wyłącznie *le monde où l'on s'amuse*, lekkomyślna, przeważnie niemoralna koterya eleganckiego świata, żyjąca w ustawicznym wirze teatrów, balów, rautów, wizyt, polowań, automobilów, kart, strojów, miłostek i długów. »Któżby dbał o męża!« — woła jedna. »Trzeba się mężowi podobać, by płacił rachunki« — mówi druga, a wszystkie twierdzą, o długach swoich znajomych, że »gdy mąż płacić przestanie zapłacą je inni«. Słowem rojna, gwarna, błyskotliwa maskarada życia na tle praktykowanego lub tolerowanego zepsucia. Zanim jednak młoda »lekarka piękności« zdołała to morze próżności zgłębić aż do dna, zgłasza się do niej niezwykła klientka: kobieta dziwnie brzydka, stara, zeszpecona jeszcze niezręcznem malowaniem i twardym wyrazem przenikliwych oczu: to Lady Judith Vanderbyl, osławiona i znienawidzona pod przezwiskiem »Lady Judas«. Ta już o piękność nie prosi, chce tylko o ile się da »przestać być straszydłem«, a wypróbowawszy zdolności Cecylii, polegające głównie na umiejętnem przywracaniu zgwałconych praw natury — ofiaruje jej układ pieniężny. Za dostarczone przez Lady Judith pieniądze, pani Beaudelet urządza sobie zakład na ogromną skalę, z artyzmem, zbytkiem i wysokością cen starczącą na olśnienie i przyciągnienie lotnego roju rodzaju żeńskiego. Za swoją pracę i firmę, pobierać będzie dobrą płacę i procent z zysków wpływających do kasy prawdziwej właścicielki. Cecylia dziwi się lecz przyjmuje: słyszała już, że pono słynny zakład krawiecki »Judas et C.«, przed którym bledną wszelkie Worth'y i Doucet'y ma podobnie być w rzeczywistości własnością Lady Judyty. Co dla nas dziwniejsza to, że podobne przedsiębiorstwa nie są obecnie rzadkością w Londynie. Czy to wpływ amerykanizmu wniesiony za pomocą małżeństw, czy atawizm kupieckiej rasy anglosaksońskiej, dość że coraz częściej się zdarza, iż wielkie panie angielskie prowadzą pod obcą firmą interesa handlowe. Jest to nowy rys do studyowania dla psychologa natury kobiecej.

U Lady Judyty wszakże celem rozległych przedsiębiorstw jest nie zysk ale — zemsta. Dlatego chcąc mieć z Cecylii powolne narzędzie, trzyma ją nie tylko pieniędzmi, ale, jako panią de Marsac, wciąga do swego domu, w grono swych nielicznych przyjaciół. Pomiędzy tymi Cecylia poznaje wychowanka a dziś sekretarza Lady Judyty, Pawła d'Eyncourt, który wraz ze swą matką ma, z woli autorki, tworzyć szlachetny, acz o wiele za blado nakreślony, kontrast od otaczającej brzydoty świata. Ludzie zubożeli ale wykwintni duszą, umysłem i cia-

łem, czyści wśród brudu, wierzący wśród hipokryzyi lub ateizmu. Kontrastem też jest postać poczciwego aptekarza, Francuza, ratującego się w niedoli poddaniem i wiarą w Opatrzność. Wpływ tych dobrych istot działa potężnie na zgłodniałą dobra duszę Cecylii — wszakże jej rozpaczliwej niewiary nie zwalcza. Próżnem też, choć na chwilę gwałtownem wstrząśnieniem, jest zetknięcie się jej z nowo-protestanckim mnichem, żyjącym tylko miłością Bożą i dla tej miłości: serce na wpół rozwarte, zamyka się znowu — trzeba mu, jak niegdyś Izraelitom, widomego znaku na puszczy.

Po niejakim czasie Lady Judith otwiera przed nią tajniki swojej przeszłości. Nie kochana w życiu, samotna, namiętna, posiadała jeden tylko skarb: syna i w ten jeden skarb pogrążyła całe jestestwo. Zaledwie jednak doszedł lat młodzieńczych, porwał go jej kaprys innej kobiety, porwał, zniszczył i do samobójstwa zapędził. Nad niezawartą jeszcze mogiłą powiedziano jej, że dusza samobójcy jest w piekle... Cios był dla matki śmiertelny; rozpacz zatruła jej duszę i tylko bicz nienawiści zbudził ją napowrót do czynu. Kobieta, która zabiła jej syna, była piękną, bogatą, rozpustną. Lady Judith założyła swój dom krawiecki, aby ją opleść w sieć długów, otoczyła ją przepaścią niebezpieczeństw i pokus. Tych zaś pięknej zalotnicy nie było potrzeba; z zuchwałą zapamiętałością brnęła ze skandalu w skandal znajdując zawsze w czarnej godzinie dogodnego opiekuna, wyrywającego ją z toni. Obecnie jednak nadeszła ostateczna chwila obrachunku: Lady Judith poruszyła sprężynę, za nią rzucili się inni wierzyciele. Jutro słynna Lady Ripley ujrzy się w nędzy wśród hańby, wśród krzyku prasy i naigrawań rywalek. Ale nie dość tej zemsty. Ginąca winowajczyni będzie chciała raz jeszcze wyzyskać swą piękność, raz jeszcze do zakładu Beaudelet się zgłosi. Otóż trzeba, aby Cecylia użyła środka niszczącego jej wdzięki — toż jedyny w tym celu dano jej dobrobyt i sławę... Tu jednak, pierwszy raz od śmierci syna, Lady Judith trafia na opór. Cecylia odmawia stanowczo i wobec wybuchów gniewu i rozpaczy zawiedzionej w zemście wilczycy, odnajduje bezwiednie na ustach imię Boga, który rozkazał sobie jednemu wszelką zemstę zostawić. Wypędzona, odchodzi, słysząc za sobą dziki śmiech a potem bolesne łkanie. Odtąd, co dnia spodziewa się oddalenia z posady — to jednak nie przychodzi. Słyszy, że Lady Judith nie widuje nikogo, że słaba, że wyjechała. Czas płynie, lato mija, ludzie opowiadają sobie, że Lady Ripley po krótkiem zniknięciu, wróciła na powierzchnię świata, odmłodzona, z odnowionym kredytem. Gdzież więc jest sprawiedliwość?...

Od Lady Judith przeciwnie; wiadomości najgorsze: pierwszy chirurg Londynu ma jechać dla dokonania na niej groźnej operacyi.

Cecylia zmartwiona, bo mimo wszystkiego pokochała swą dziwną dobrodziejkę, otrzymuje telegram wzywający ją do łoża chorej. Jedzie i znajduje wręcz inną, złamaną, ale cichą istotę: Lady Judith wdzięczna za jej przywiązanie, wdzięczna zwłaszcza, że ją uchroniła od dokonania zbrodni. Cecylia nie mówi jej, że tymże samym co ona pociągiem zjechała w wesołem towarzystwie Lady Ripley w odwiedziny do sąsiedniego zamku; gorzko jej wszakże myśląc o tryumfie jednej a strasznych cierpieniach drugiej... Operacya wykonana, chirurdzy zadowoleni, chora jednak do sił nie powraca. Cecylia nie opuszcza jej więcej; nawet na życzenie protektorki zrzeka się kierownictwa zakładu, który Lady Judith, podobnie jak dom krawiecki, innym przedsiębiorcom sprzedaje. Mówi o swej rychłej śmierci; majątkiem rozporządziła na korzyść jedynych dwóch istot, które jej trochę serca okazały na ziemi — to jest Cecylii i Pawła d'Eyncourt. Mówi nawet o przyszłem życiu, ale nieśmiało: obu kobietom błyskawicy z góry potrzeba. I Bóg tę błyskawicę im zesłał. Pewnego wieczora Cecylia bardziej, niż kiedykolwiek łaknąca prawdy, modlitwy i Boga, wychodzi z parku. Na gościńcu przed sobą słyszy świst automobilu, potem zgrzyt, huk i jęki. Na skręcie automobil rozbił się o sterczące korzenie, dwoje ludzi rannych, dwoje zabitych, a jedną z tych — Lady Ripley. Ciało jej niosą do dworu i na łóżku składają, a Lady Judith stojąc nad trupem morderczyni syna, korzy się przed zapoznaną tak długo sprawiedliwością Bożą. W tem miejscu powieść się kończy; zostawiając wyobraźni czytelnika uwieńczenie cichej miłości Pawła ku Cecylii. Miłości tej trzeba się domyślać, tak lekko ją naznaczono, dobywając za to na jaw losy dwóch dusz różnemi drogami doprowadzonych do prawdy. Istotnym atoli celem powieści było odsłonienie otchłani do jakiej wiedzie rozkiełznaną próżność kobieca, upodlenia i nędzy, kryjącej się pod szychem światowym. W sprawozdaniu trudno podać co innego, jak szkielet fabuły; tu zaś ciekawszem nad fabułę jest ogólne tło obrazu. Jeżeli jedno skrytykować wolno, to styl dość nierówny, chropowaty i nawet tam, gdzie naśladuje nie umyślnie angielszczyzny Francuzów, trącący cudzoziemczyzną. Ten punkt jednak należałoby do osądzenia zostawić Anglikom. Również tylko dokładna znajomość społeczeństwa angielskiego, takiego, jakiem go uczyniły mnogie, dla pieniędzy lub kaprysu zawierane małżeństwa — pozwoliłaby orzec, o ile rzucone nań ciężkie i rozliczne oskarżenia Rity słuszne są

i sprawiedliwe. Autorka zaś przed żadnem się nie cofa. Widzimy np. Lady Ripley, o której Lady Judith mówi, że »nie wiadomo skąd wyszła« ukazującą się w żywym obrazie jako Wenus u stóp Adonisa; widzimy młodego lorda utrzymującego w pałacu ojców norę dla palaczy opium, nakłuwaczy morfiną i t. p. i to norę podwójną, jedną dla młodzieży płci męskiej, drugą dla płci żeńskiej. Poprzednia powieść Rity p. t. *Souls* gorsze jeszcze oskarżenie zawiera, takie, że niepodobna treści jej powtórzyć. Wierzyć się nie chce i niepodobna czytelników dość ostrzedz przed generalizowaniem, przed potępianiem ogółu dla winy jednostek. Autorka czyni to w całej pełni, pisze bowiem w przedmowie do *Souls*, iż »nie masz słów dość surowych dla napiętnowania dzisiejszego życia towarzyskiego«. Miejmy nadzieję, iż nieco przesadza, jak zwykli czynić ludzie, których los pozostawił na progu a nie dozwolił wstępu do opisywanego świata. Bądź co bądź, niepodobna jej ostatniej powieści odmówić moralnej i literackiej wartości.

Uczciwa powieść angielska jest *Thee reproach of Annesley* [1], nieco staromodna, bo pełna prostoty, bez epileptycznych spazmów duchowych, ani naprężonej tezy społecznej. Takich obecnie bardzo mało, nawet nad Tamizą. Żywiołu dramatycznego tu nie brak a jednak książkę można brać do ręki dla odpoczynku co — prawdę mówiąc — jest jedyną racyą bytu nowel i powieści. *Das ewig weibliche* przedstawia panna Alicya, pełna cnót i uroku wychowanka rodziny Rickmannów, żyjących na wsi, wśród nadmorskich wzgórz północnej krainy. W Alicyi kocha się naraz trzech młodzieńców: Gerwazy Rickman, prowincyonalny prawnik, żyjący dla swej politycznej karyery i gotów poświęcić jej wszystko, Paweł Annesley, ubogi członek możnej rodziny, dobry ale namiętny, zarabiający na życie jako lekarz wiejski w pobliżu starej siedziby praojców, której właściciel kończy smutny żywot w zakładzie obłąkanych. Trzeci konkurent — ten co serce panny zdobywa — to jego brat stryjeczny, piękny Edward Annesley, porucznik artyleryi, wypieszczone dziecko szczęścia od samej kolebki. Tego Gerwazy Rickman przeznaczył w myśli dla swojej siostry, z silnem postanowieniem odsunięcia od Alicyi obu kuzynów. Nie on wszakże ale Edward jest przedmiotem zazdrości Pawła, który, pomimo że śmierć biednego szaleńca wyniosła go na szczyt fortuny, na próżno ofiaruje swą rękę ukochanej dziewczynie. Edward lituje się nad jego boleścią i szlache-

[1] *The reproach of Annesley* by Maxwell Gray. Tauchnitz ed. II vol.

tnie oświadcza, że mu zostawia trzy miesiące czasu do nowej próby szczęścia, poczem on sam w szrankach się stawi. Istotnie trzy miesiące mijają i autor przenosi nas do Szwajcaryi dla dogodniejszego rozegrania dramatu. Edward przybywając tu do letniego pobytu swych krewnych, zastaje Pawła ponurego jak noc, Alicyę smutną i chłodną a Rickmanna zajętego sianiem ziarna niezgody. I siał tak dobrze, że raz podczas wycieczki Paweł w paroksyzmie wściekłej zazdrości rzucił się z tyłu na Edwarda usiłując strącić go w przepaść. Edward atoli był silny i po chwili walki uwolnił się a sam upadając w tył nie widział, że zamiast niego napastnik runął w głąb wezbranego potoku. Widział to Rickmana, widział całą scenę i — skorzystał z niej. Edward przekonany przezeń, iż Alicya kochała Pawła, postanawia nie wyjawić nigdy przyczyny nieszczęścia i wnet nad nim — spadkobiercą Pawła — zaczyna ciężyć posądzenie o zamordowanie kuzyna. Zwłok nie znaleziono, niemniej przeto śmierć jest dowiedzioną a życie Edwarda i Alicyi złamane; gdy bowiem Edward raz jeszcze się oświadcza, straszny cień podejrzenia wzmocniony dwuznacznem a zdradliwem słowem Rickmana, staje murem pomiędzy nimi. Natomiast Alicya — nie z miłości ale z przyjaźni i z wdzięczności dla jego rodziny przyjmuje rękę Rickmana; już dzień naznaczony, suknia ślubna gotowa, Edward zdobył się na kilka słów powinszowania i wyjechał do Francyi. Na tem kończyłaby się historya w życiu — ale nie w powieści. Paweł, strącony w fale, nie zginął; ale wśród walki ze śmiercią dojrzał ogrom swej zbrodni. Wyrzucony na brzeg francuski postanowił nie wracać do swoich, co mu przyjść mogło tem łatwiej, że miał przy sobie znaczną ilość gotówki. Szedł tedy przez góry — kędy go oczy poniosą, aż ciężką dotkniętego chorobą przytulił stary proboszcz ubogiej, wiejskiej parafii. Ksiądz ten, którego niegdyś dramat własną wywołany winą rzucił był do stóp krzyża, odgadł wkrótce ból pokrewny swemu w duszy młodego Anglika. W tej duszy jednak odbywała się zmiana głębsza, niż się można było spodziewać. Wpływ pacierzy odmawianych przy jego łóżku wśród długich godzin nocnego czuwania, a bardziej jeszcze ciągły widok wizerunku ukrzyżowanego Chrystusa, zamieniły jego żal w silne postanowienie: z łoża boleści powstał katolikiem i nowicyuszem dominikańskiego zakonu. Odtąd słynął wśród Braci z świętości i umartwienia; jego wiedza lekarska stała się skarbem dla biednych. I stało się, że Edward odnalazł go w kościele błogosławiącego wiernych monstrancyą. I Paweł go poznał, ale uciekał przed nim, jakby przed marą swej

zbrodni, aż wkońcu musiał się poddać. Śliczną jest scena spotkania obu młodzieńców, z których każdy mieni się być winowajcą.

Zakończenia łatwo domyśleć się można: z rozkazu przełożonych Paweł jedzie do Anglii, aby oczyścić sławę Edwarda, który oczywiście żeni się z Alicyą. Gerwazy Rickman wzrasta w znaczenie i bogactwa: »zyskał świat, ale duszę utracił« — dodaje autor. — W pośród głównej nici fabuły, wiją się pomniejsze postacie stanowiące może największy urok książki. Jedną z nich jest ubogi pasterz obarczony rodziną, na wpół dziki, wszelkiej wiedzy ludzkiej nieświadom ale prostotą niewinnej duszy patrzący aż w głąb niebiosów. Ten jest równie świętym jak Paweł, który ginie od kuli ratując rannych podczas oblężenia Paryża.

Dużo wody upłynęło od czasu, jak mrs. Oliphant kreśliła swoje klerykalne protestanckie powieści; więcej jeszcze od czasu owych przydługich, rodzinnych romansów w rodzaju mrs. Henry Wood, bardzo religijnych, bardzo pobożnych, ale nie uznających innej wiary jak anglikanizm z wtrąceniem, dla ożywienia, kilku postaci sztywnych methodystów. Dziś wystarczy wziąć świeżą powieść do ręki, by się przekonać, o ile katolicyzm zdobył sobie w Anglii prawo obywatelstwa jeżeli jeszcze niezupełną przewagę. Przejście na katolicyzm bywa opisywane nie jako apostazya, ale jako szczera afirmacya zmiany przekonań. Katolicy coraz częściej wmieszani są w ciąg opowiadania, nie jako wyjątki, ale obywatele, których wierzeniom i obrzędom już nikt się nie dziwi. Coraz częściej spotkać się można z powieściami czysto katolickiemi — do tych jednak nie należy *The dream and the business* [1], którego tytuł dałby się dokładnie acz nie harmonijnie przełożyć na: marzenia i praktyka życia. Tu już żywiołu ewangelickiego nieznać prawie wcale — proces odbywa się między katolicyzmem a *nonconformist'ami*, co daje autorowi szerokie pole do roztoczenia różnorodnych myśli i spostrzeżeń. Nie na wszystkie zgodzić się można; ale jest między niemi dużo głębokich i uderzających. Autor byłby może nawet lepiej zrobił, gdyby nie kusząc się o formę powieściową napisał był coś w rodzaju Jerome'a *Idle thoughts;* fabuła jego bowiem jest słaba, a osobistości są zbyt widocznie ucharakteryzowane, każda na odrębny sposób, dla wcielenia osobnego rodzaju sposobu myślenia.

[1] *The dream and the business* by John Oliver Hobbes. II vol. Tauchnitz ed. 1906.

Głównemi są, syn pastora *nonconformisty*, z czasem też pastor i *nonconformista*, różnego od ojca gatunku, człowiek więżący bujną naturę i serce gorące w klatce zasad surowych, acz chwilami sprzecznych; artysta-muzyk piękny, wykwintny, nieokiełznany, lotny umysłem i sercem, wierzący w Boga ale nie uznający stałych form religii, w graniu uroczy samolub, nieświadom swego egoizmu — i po 3-cie młoda katoliczka, kobieta żyjąca tylko głową, żądająca od świata, od ludzi, a przedewszystkiem od poczciwego, a prostodusznego męża, szczytnych porywów, uduchownienia niezgodnego z szarą prozą życia, szerokich widnokręgów i pola działania wzniesionego ponad zwykłą powszedniość. Słowem typ kobiety przypisywany Polkom z połowy XIX wieku, o których dowcipnie pisano, że gdyby Ewa w raju była do nich podobna, byłaby wprawdzie zerwała zakazany owoc, lecz nie byłaby nigdy chciała go skosztować:

Eve aurait bien cueilli la pomme — Mais n'en aurait jamais mangé.

Zaznaczonem jest przytem że owa młoda *femme incomprise*, różni się od reszty katolików, a zwłaszcza katoliczek angielskich, brakiem wyłączności nieznanym nad Tamizą. »Czuła się swobodną wśród katolików zagranicznych, a zwłaszcza czuła się u siebie w Rzymie«, podczas gdy inni katolicy angielscy, mienią się być czemś zupełnie odrębnem od reszty świata. Poczucie religii ratuje ją w chwili gdy spostrzega, że wciąż wrząca fantazya zawiodła ją na sam brzeg przepaści. Walka jednak w duszy nie ustaje i przyprawia ją o przedwczesną śmierć. W powieściach bardzo małej dozy cierpienia potrzeba, aby zabić człowieka. W rzeczywistości człowiek o przeciętnych nerwach przetrzyma wszelkie nieszczęścia, a umiera na żołądek, serce, lub płuca, gdy godzina jego wybije... Mąż owej zmarłej z duchowego udręczenia Lady Marlesford to poczciwy, zwykły Anglik, wcale rozumny i wykształcony, ale bez wymaganych przez żonę wielkich porywów i wysokich ambicyi. Zrazu nie chciał przejść na kotolicyzm, ale wybrawszy się do Włoch już w Wenecyi przekonał się, że być tam protestantem jest brakiem estetyki, w Florencyi, jest piętnem pewnej wulgarności (co najwięcej uchodzi się za turystę); w Rzymie zaś, protestant wydaje się wprost barbarzyńcem, nieukiem, nieokrzesanym... Został więc katolikiem i to bardzo pobożnym, rozczytywał się w pismach Bossueta, a z żoną czuł prawdziwą łączność myśli i serca tylko w czasie Mszy św. Po śmierci jej, Marlesford żeni się z piękną siostrą pastora *nonconformist'y* Zofią. Jest to niby główna, ale najsłabiej nakreślona postać w powieści, choć autor chciał w niej zda się ukazać nam ideał

niewieści. Poświęciwszy swą pierwszą miłość gwoli swym zasadom religijnym, Zofia wyszła za mąż, za człowieka, którego pokochała szczerze, a owdowiawszy wcześnie współ pracuje z Lordem Marlesford w założonym przez niego dzienniku, pociesza go swą przyjaźnią a wkońcu poślubia, przeszedłszy na katolicyzm. Autor nie tłumaczy tej zmiany przekonań, której brat jej, pastor, bynajmniej nie gani. Zostajemy przeto pod wrażeniem, że świat ma słuszność, mniemając, iż Zofia zmieniła wiarę, gwoli świętego związku. Raz jeszcze tedy, powieść sama przez się jest słaba, a książka ciekawa — ma się ochotę co chwila zdanie jakieś zakreślić.

Teresa Wodzicka.

Les Désenchantées. Roman des Harems Turcs contemporains. *Pierre Loti.* Paris. Callmann Lévy. Str. 435.

Treść ostatniego dzieła Loti'ego jest pod osłoną poezyi zupełnie rzeczowa a cel — z pewnością będzie osiągniętym, wprawdzie nie za pomocą powieści, ale siłą prądów życiowych. Główny rys tajemniczości Wschodu, odosobnienie żeńskiej połowy rodzaju ludzkiego, zniknie, wyparte siłą przyrodzenia. Niepodobieństwem jest, aby rzecz przeciwna naturze trwała bez końca, zwłaszcza, gdy jest oparta na tradycyach obyczajowych tylko a nie religijnych. Ktokolwiek zaś zadał sobie trud przeczytania Koranu, ten musi dojść do konkluzyi, której zresztą każdy światlejszy Turek jest świadom, że żaden przepis proroka nie nakazuje kobietom zasłaniać twarzy i żyć w haremowych więzieniach. Są to obyczaje, których zarody zastali Turcy w zdobytem Bizancyum: co prawda, to tylko cesarzowe i bardzo znamienite damy zasłaniały twarz na ulicy a datujące z czasów helleńskich *gineceum* było miejscem częstokroć nazbyt mało zamkniętem, ale zawsze istniało jako część domu osobna, przeznaczona dla niewiast. Zwycięzcy zwyczaje te pochwycili w lot, kierowani zapewne w tem jak i w innych czynnościach przez zręcznych amanuensów greckich, usiłujących wykorzystać nieświadomość swych nowych panów. Tylko, że to, co u lekkomyślnych a wesołych Bizantyńców było niemal wyłącznie formą towarzyską, stało się wnet pod ponurem tchnieniem Islamu ciężką niewolą. Przyczyniło się do tej zmiany wielożeństwo: mąż kilkoma obarczony żonami nie byłby miał ani chwili spokoju, gdyby im wolno było o każdej porze nagabywać go w jego mieszkaniu lub gdyby musiał śledzić za każdą z nich uganiającą się po mieście w wesołej kompanii. A zatem zamknięto je w haremach, zakratowano im podwójnie okna tak, że ledwie promień

z Bożego świata dostać się może, zabroniono posiadania klucza lub zasówki w wewnętrznych pokojach, tak, aby żadna na chwilę nawet zamknąć się osobno nie mogła; na ulicę zaś obwieszono je płaszczami i welonami i oddano pod straż rzezańcom. Trwało to lat z górą czterysta, w ciągu których niewiasta turecka tak zgnuśniała, iż jej zaczęto zaprzeczać nawet pierwiastka duszy. A tej Koran nie zaprzecza, boć przecie modlitwy za umarłych bywają odmawiane tak za kobiety, jak i za mężczyzn, proszą nawet o nie napisy na kamieniach grobowych. Nadszedł jednak wiek XIX, którego prądy wolnościowe i do Turcyi dosięgły. Pod łaskawymi rządami Abd-ul-Arisa kobiety zaczęły uczyć się obcych języków, nosić przejrzyste jaszmaki, zasłaniające twarz, nie więcej od zwykłej woalki, zaczęły nosić (zrazu ohydne) stroje europejskie i mieszkania po europejsku meblować. Co więcej wielożeństwo jęło zanikać, głównie pono z powodów ekonomicznych: niejeden ma za co płacić paryskie stroje i angielski ekwipaż jednej żony, ale nie czterech. Stare babunie gderały na te nowości, mówiąc, że córki na to tylko po francusku się uczą, aby czytać najgorsze powieści; prąd jednak nie dał się powstrzymać. Poczęto sprowadzać guwernantki z Europy: Angielki, Francuzki, Niemki; młode Turczynki wchłaniały chciwie potrzebną i niepotrzebną wiedzę, przyswajały sobie obce języki, kształciły zdolności do muzyki i do malarstwa — to wszystko jednak ku swemu nieszczęściu. Obecny sułtan wydał ustawy ścieśniające wolność kobiet w nigdy nie bywałym stopniu; stróże haremowi musieli podwoić czujności, u kobiet mniej zamożnych przejrzysty jaszmak zgęstniał i zasłonił całe, prócz oczu, oblicze; u wielkich pań został zastąpiony przez czarny jedwabny *czarszaf*, rodzaj »domina«, zasłaniającego całą osobę wraz z twarzą, na której wisi potrójny welon gazowy. Przybrana tak kobieta wygląda pono jak upiór, tem dziwniejszy, gdy się wie, że pod tą skorupą kryje się całkowity strój europejski i umysł przesycony europejską kulturą. Im zaś kultura większa, tem sroższe męki w takowej niewoli. »Proszę sobie wystawić — mówiła pewna Polka wracająca z Egiptu — czem jest życie biednej istoty, jak ta, którą poznałam: córka egipskiego księcia, wychowana po części w Europie przez ochmistrzynię Angielkę z całą swobodą i uprawą sportu zwykłą Anglikom a potem wydana za baszę, który ją zamknął w haremie. To okrucieństwo!«

Otóż tematem książki Loti'ego jest właśnie ów smutny los dzisiejszej kobiety tureckiej, ów rozpaczliwy rozdźwięk między jej przebudzonym umysłem a życiem z konieczności bezczynnem, wlokącem się

wśród nudów i marzeń wybujałej wyobraźni. Przedstawił wielkiego powieściopisarza, sławnego André Lhéry (czytaj: Pierre Loti) odbierającego we Francyi list z Konstantynopola od tajemniczej wielbicielki jego talentu. List podpisany imieniem wschodniem, ale Lhéry, sądząc z udatnej formy i treści, mniema zrazu, że to żart jakiejś Francuzki lub Lewantynki i dopiero po przyjeździe nad Bosfor przekonywa się, że autorką listu jest istotnie Turczynka a raczej trzy młodziutkie Turczynki bogate, nieszczęśliwe i nad wyraz znudzone. Brak tu miejsca na opowiedzenie, jakiemi drogami i wśród jakich niebezpieczeństw te trzy młode damy dochodzą do widywania go w tajemnicy, w początkach surowo zakwefione, potem ukazując mu po trosze swoje twarzyczki. André Lhéry nie jest młodym i sądzi, że nie może marzyć o żadnym romansie miłosnym, ale zajmuje się gorąco opowiadaniami przyjaciółek, które odsłaniają mu swoje życie, by mógł książką wstrząsającą sumieniem świata ująć się za losem muzułmańskich kobiet. Mówią mu, że nie pragną »emancypacyi«, tak, jak ją rozumieją na Zachodzie, ale się czują »ludźmi« i chciałyby, aby się z niemi obchodzono, jak z ludźmi, aby im wolno było poznać przyszłego męża przed ślubem i nie wychodzić za mąż poniewolnie, aby wolno było czasem rozmawiać choćby pod welonem z jakim intelligentnym mężczyzną, choćby ten nie był ich ojcem, mężem, bratem, stryjem lub bratem stryjecznym, aby, co najważniejsza, nie zakazywano im pracy. Toż niektóre kobiety w Turcyi chciały wziąć w ręce opiekę nad ubogimi, ale im nawet miłosierdzia wzbroniono... Owe trzy znajome Lhéry'ego przemawiają doń z wiedzą wielu innych młodych kobiet tureckich, bezpieczne, że ich żadna nie zdradzi, że owszem każda przyłoży starań, by ich przed ciekawością dozorców osłonić. Powieść, jeśli ją można nazwać powieścią, kończy się tragicznie, bo każda z trzech »bohaterek« umiera, nie mogąc znieść swego losu; czytelnik jednak spodziewa się takiego końca i nawet smucić się nim nie może, bo bez niego André Lhéry czyli Pierre Loti nie mógłby był swojej książki napisać. Kto zna talent Loti'ego ten może się domyślić, wiele obok tych szczegółów »rzeczowych« wlał w opowiadanie swoje poezyi, wiele kolorytu wschodniego i cudnych opisów Stambułu. Można przyznać, że to jedno z jego najlepszych dzieł, najjędrniejsze i najczystsze pod względem moralnym. Przykrem tylko jest widzieć chrześcijanina bez wiary, dotykającego kwestyi religijnych u mahometan. Oni modlą się za umarłych, on w życie przyszłe nie wierzy, to też oni patrzą w dal spokojnie a on z każdym zachodem słońca mniema, że chyli się do wiecz-

nej nicości. Trzeba jednak blizko patrzeć, aby dostrzedz te smutne odcienia. Całość nieco za długa, ale świetlana i wonna, kołysze myśl pewną rytmiczną monotonnością nie pozbawioną uroku. Czy zawarta w niej teza dopomoże doraźnie do zerwania więzów milionowego tłumu niewiast tureckich — wątpić wypada. Ale zapewne przeczyta ją wielu »młodych« Turków i myśl utkwiona w ich duszy stanie się jedną falą więcej podmulającą posady zmurszałego gmachu. Dopóki obecny sułtan żyje – nie będzie zmiany, ale potem?.... Ciekawym będzie wtedy nawał literatury, jaki się sypnie o kobiecie tureckiej; jest to pole zupełnie nowe, na którem Loti pierwszą wyorał skibę, nadając dziełu swemu nazwę *Les Désenchantées,* to jest, jak sam tłumaczy: o d c z a r o w a n e. W jego myśli kobieta turecka leżała pogrążona we śnie, jak zaczarowana księżniczka w bajce — bodaj kiedyś, gdy się spotka z trudami i troskami czynnego życia, nie przyszło jej pożałować, że ją ze snu zbudzono!

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Novum Testamentum graece et latine cura Friderici Brandscheid. Tertia editio critica recognita. Pars prior: Evangelia (str. XXIV, 652); pars altera: Apostolicum (str. VIII, 803). Friburgi. 1906. Herder.

Krytyczne wydanie grecko-łacińskie Nowego Testamentu przez Brandscheida sporządzone, zjednało sobie wielu przyjaciół, zwłaszcza w kołach kształcących się teologów. Tekst łaciński jest dokładnym przedrukiem Wulgaty według typowego wydania kard. Vercelloni'ego; grecki zaś tekst jest recensowany przez samego autora według krytycznych zasad św. Hieronima i Lachmanna. Na czele każdego rozdziału umieścił Brandscheid krótkie streszczenie tekstu, które ułatwia umiejętne czytanie, utrudnione zwyczajnie z powodu podziału na wiersze. Teksty podobne, powtarzające się u rozmaitych hagiografów lub w rozmaitych miejscach księgi tego samego natchnionego pisarza zostały na marginesie zaznaczone. Zmiany greckiego tekstu w wydaniu trzeciem są nieliczne. Pochodzą one jeszcze od samego Brandscheida, który przed śmiercią swoją w r. 1902 ponownie przejrzał wydanie drugie.

Uwagi krytyczne, umieszczone na końcu każdego tomu, odnoszą się wyłącznie do tych miejsc biblijnego tekstu, w których recenzya grecka jeszcze zdaje się być odmienną od tekstu Wulgaty. Brandscheid bowiem opiera się w swojej recenzyi wyłącznie na tekscie Wulgaty, który uważa za najpewniejszą normę we wszystkich zagadnieniach tekstualnych. Zaiste metoda ta ma swoje słabe strony. Z wydania Brandscheida nie można się dowiedzieć o odmianach tekstu w rozmaitych kodeksach, ilekroć nie zgadzają się one z Wulgatą. W polemice zatem z uczonymi niekatolic-

kimi, którzy nie przyznają Wulgacie tej powagi, bezskutecznie odwołałby się ktoś do tekstu według Brandscheida. Ale i w naukowych, choć nie polemicznych celach, nie opłaci się dla zawodowego teologa posługiwać się recenzyą Brandscheida, bo jakkolwiek Wulgata jest autentyczną redakcyą tekstu, oraz uświęconą tradycyą kościelną, to jednak nie mamy prawa twierdzić, że najbardziej się zbliża do pierwotnego tekstu, a zatem, że jest zasadniczą normą w krytyce tekstu. Wydanie krytyczne Holzenauera odda tu lepsze usługi. Zewnętrzna forma teologiczna nie pozostawia nic do życzenia.

M.

Cursus brevis philosophiae. Auctore *Gustavo Pécsi*, philosophiae professore in seminario episcopali Strigoniensi. Volumen I. Logica metaphisica. Esztergom (Hungaria) 1906. (8-ka, str. XVI, 311).

Dzieło kompletne ma objąć trzy tomy: dotąd wyszedł tom pierwszy, zawierający logikę i ontologię. Mamy tu do czynienia z podręcznikiem szkolnym, jędrnym zarazem i przystępnym. Autor tak jasno przedstawia trudne zagadnienia tej części filozofii, że chyba większej przejrzystości domagać się już nie można. Zdania są krótkie, a stąd pod względem językowym łatwo zrozumiałe dla początkujących filozofów. Przytem sposób pisania odznacza się wielką żywością. Forma sylogistyczna jak najściślej została zachowaną. Co się tyczy poglądów autora, to, ogółem mówiąc, nie różnią się one od powszechnie w podręcznikach filozofii scholastycznej przyjętych tez z tym może wyjątkiem, że autor jest zwolennikiem rozmaitych modalnych dystynkcyi. Widać, że książka ta w pierwszym rzędzie zwraca się do kandydatów teologii, skoro czasem dowody zaczerpnięte są z t. zw. *ratio theologica*. Nie można tego żadną miarą pochwalić, zwłaszcza tam, gdzie autor chce pewne ukuć dowody, na podstawie teologicznych hipotez.

Co się tyczy uwzględnienia nowszej filozofii i postępu naukowego wogóle, to szumna przedmowa zdaje się obiecywać za wiele. By wymienić choć jeden przykład, teorya Kanta stanowczo jest zbyt powierzchownie traktowaną. Czy autor sam czytał Kanta, o tem możnaby mocno powątpiewać. W każdym razie zastanawia to, że autor cytuje logikę Fricka, kiedy powiada, że właściwie istnieje według Kanta 12 kategoryi. Zresztą widoczny jest w całej książce wpływ podręczników szkolnych ks. Fricka, przedewszystkiem w układzie. Czasami razi jakiś argument *ad hominem*, dość namacalnie przedstawiony.

Zaletę książki stanowią łatwość stylu, jędrność w treści i filozoficzna ścisłość, ilekroć autor obraca się w spekulacyi na podstawie scholastycznej.

M.

Carycia Maja, Marya. 31 nauk na miesiąc maj ułożyw świaszcz. *Julian Dzerowicz*, katecheta w Brodach. Druk OO. Bazylianów w Żółkwi. 1906. Str. 284.

Ulubione przez lud majowe nabożeństwo rozszerza się coraz bardziej i wśród wiernych greckiego obrządku. Brakowi ruskich majowych kazań chciał zaradzić ks. Dzerowicz. I pięknie zaradził. W 31 naukach głosi bardzo systematycznie godność Maryi, jej cnoty, opiekę nad nami i sposoby oddawania należnej jej czci. Strona dogmatyczna wszędzie gruntownie traktowana, zastosowania mo-

ralne praktyczne; ton poważny, spokojny i równy. Do zalet tych nauk zaliczyć trzeba i mnóstwo przykładów, czerpanych nie tylko z martyrologii zachodniej, ale i z rodzimego źródła, historyi Rusi. Mowy swoje przeplata autor niekiedy i wierszami, które, jak wyraża się w przedmowie, można na kazalnicy i swemi słowami, prozą opowiedzieć. Jedną uwagę ośmielam się uczynić. Wyliczając na str. 156 ruskich kaznodziejów, czcicieli Maryi, należało zaznaczyć, że byli to dyzunici, nie wyjmując »naszego złotoustego« Galatowskiego. Rzecz na tem nicby nie ucierpiała, owszem silniejby uwydatniła się cześć narodu ruskiego ku Bogarodzicy, skoro i w odszczepieństwie przetrwała niezachwiana — a nie byłoby niebezpieczeństwa, że ktoś owych kaznodziejów zaliczy w poczet katolików, podczas gdy oni zaciekłe toczyli polemiki z katolicyzmem. Coś podobnego należało uwzględnić i przy wzmiance o opiece Maryi nad zaporozką Siczą (str. 152). Zewnętrzna strona książki, druk, papier, czynią zaszczyt drukarni OO. Bazylianów. Nauki ks. Dzerowicza są cennym nabytkiem dla duchowieństwa, a zarazem mogą stanowić pożyteczną lekturę i dla wiernych.

J. U.

Cechy rękodzielnicze w Krakowie. *Dr. Kaz. Wł. Kumaniecki.* Kraków 1906. Osobne odbicie z zeszytu IX statystyki m. Krakowa.

Zaznaczywszy we wstępie trudności połączone z zestawieniem krótkiego studyum o cechach krakowskich z powodu braku dat statystycznych i odpowiednich publikacyi, przechodzi autor pokrótce ich historyę i stanowisko, zaczynając od wieków średnich, w których były one sprężyną życia przemysłowego i handlowego stolicy. Wegetując przez następne wieki istnienia państwa polskiego w nową fazę rozwoju weszły za czasów rzeczypospolitej krakowskiej i wolnego miasta. Cel ich i zadanie uległo z postępem wieków pewnym nieznacznym zmianom, koniecznym z powodu przystosowania się do ducha czasu i okoliczności. Dzisiejsze ich przeznaczenie i stanowisko określa bardzo dokładnie § 114 ustawy przemysłowej w ten sposób: »Celem stowarzyszenia (cechu) jest wyrabiać ducha łączności, utrzymywać i kształcić poszanowanie swego zawodu i zamiłowanie jego dobrej sławy pomiędzy członkami i uczestnikami stowarzyszenia, jak niemniej mnożyć i podnosić wspólne korzyści humanitarne członków i uczestników przez zakładanie kas chorych, zapomogowych, a względnie funduszów zapomogowych dla członków i uczestników i t. p., nadto pomnażać wspólne korzyści przemysłowe przez zakładanie kas zaliczkowych, składów materyałów surowych, domów sprzedaży, przez zaprowadzenie wspólnego używania machin i innych metod wyrobu i t. d.«

Niestety jednak z powodu braku funduszów i nieprzejęcia się ideą asocyacyi w przemysłowych sferach krakowskich, gdzie większość drobnych rękodzielników żyje i pracuje poza korporacyą (niektóre z nich liczą zaledwie około dziesięciu członków), nie mogą one jeszcze w doskonałym stopniu spełniać naznaczonych im ustawą zadań. Winić o to samych cechów nie można, gdyż część odpowiedzialności ponoszą wadliwe podstawy samej asocyacyi, część leży w tem, że niektóre z zadań i atrybucyi cechów rozwijają się odrębnie od nich, niezależnie, np. ubezpieczenie na wypadek choroby. Cały szereg dat statystycznych skrzętnie i z niemałym trudem zebranych

a opracowanych przeważnie w dwu językach, polskim i francuskim, przejrzyście uwidacznia obecny stan cechów. Warto też zwrócić uwagę na przypiski do części historycznej, które obejmują prawie wyczerpująco literaturę cechów rękodzielniczych.

A. N. Z.

Kościół św. Idziego w Krakowie. *Zygmunt Hendel* i *Feliks Kopera.* Kraków 1905. Bibl. krakowska.

Na pięknym papierze, treściwie a przystępnie opracowane, z licznemi, dokładnie wykonanemi illustracyami w tekście, zyskują sobie wydawnictwa »Towarzystwa miłośników historyi i zabytków miasta Krakowa« coraz większy rozgłos. Tomik dwudziesty dziewiąty przynosi bardzo szczegółowy opis starożytnego, bo jeszcze przez Władysława Hermana, a więc w końcu XI wieku zbudowanego kościółka św. Idziego, który się dzisiaj kryje u stóp Wawelu śród kilku starych, obszarpanych budowli. Budowle te, na co słusznie autorowie zwracają uwagę, tworzą wraz z pełnym zabytków i dzieł sztuki kościółkiem bardzo malowniczą grupę, to też nie bez racyi na końcu dziełka umieszczone są odezwy wybitnych osób, zajmujących się upiększeniem miasta, do Rady miejskiej, by zamiast burzyć, odnowiła te stylowe domy i ochroniła w ten sposób jedno z piękniejszych miejsc Krakowa od zeszpecenia. Przeważnie autorowie zajmują się historyą zabytku, a więc po oznaczeniu daty założenia, opowiadają jego rozwój za Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, jego dzieje jako kolegiaty za Władysława Łokietka, jego odmurowanie przez Kazimierza Wielkiego. Dalej przytaczają współczesny opis »majątku i dochodów kościoła św. Idziego, sporządzony głównie staraniem kardynała Radziwiłła, którego zaniedbanie kościoła w wysokim stopniu raziło. Część ostatnia traktuje o losach kościoła pod zarządem OO. Dominikanów i szerzej zajmuje się dziełami sztuki, które przeważnie z tego czasu, t. j. z końca XVI i XVII wieku pochodzą, jak portal i dwa relikwiarze czyli hermy. Ciekawą jest ostatnia illustracya, przedstawiająca »projekt Zygmunta Hendla i Romana Bandurskiego uporządkowania stoków Wawelu pod Kurzą stopą«.

N. Z.

Nauka instrumentacyi. Przez *Ebenezera Prouta.* Spolszczył Gustaw Roguski. Warszawa - Kraków. Nakład Gebethnera i Sp. 1906. (8-ka, str. VIII, 174).

Jakkolwiek ten podręcznik pod żadnym względem nie dorównywuje analogicznym dziełom nowożytnym np. Gevaërta, Widora lub Berlioza-Straussa, to jednak ze względu na to, że dotychczas nie mieliśmy ani jednego polskiego, względnie w polskim języku napisanego podręcznika nauki instrumentacyi, należy przekład pana Roguskiego powitać jako prognostyk przyszłego, lepszego podręcznika instrumentacyi. Oddać może przysługi początkującym uczniom wyższej kompozycyi, amatorom i krytykom muzycznym. Rzetelny muzyk nie poprzestanie na nim, lecz — o ile posiada zmysł orkiestrowy — sięgnie do partytur dzieł symfonicznych, jako najlepszych nauczycieli, bo uczących na żywych przykładach. A przykłady są niestety piętą Achillesową książki pp. Prouta-Roguskiego, ponieważ czerpane są z partytur należących do epoki, w której technika orkiestrowania i pojęcia orkiestry bynajmniej nie stały na wyżynie (przykłady z dzieł... Aubera, Cherubiniego, Gounoda, Men-

delssohna, Meyerbeera, Rossiniego, Spohra i t. d.). Sześć (tylko!) przykładów z Wagnera oraz brak Berlioza, Liszta, Czajkowskiego, C. Franck-a, R. Straussa, Brucknera i innych mistrzów instrumentacyi, wpływa niekorzystnie na wartość książki. Posiadamy kompozytorów uznanych przez obcych i mogących napisać o wiele gruntowniejszy i lepszy podręcznik niż p. Prout. Nie było więc koniecznem tłumaczyć na język polski dzieła nie przedstawiającego rzetelnej wartości.

A. Ch.

Kirchenmusikalisches Jahrbuch (Zwanzigster Jahrgang), herausgegeben von *Dr. Fr. X. Haberl.* Druck u. Verlag von Fr. Pustet in Regensburg 1907. (8-ka, str. 266).

Pożyteczna publikacya ks. Haberla, znanego znawcy epoki Palestriny, zawiera między innemi pracę O. G. Gietmanna T. J. p. t. *Choralia,* dającą wyczerpujący pogląd na rytmikę, akcentuacyę i metrykę gregoryańskiego śpiewu, opartą na dość gruntownej krytyce poglądów Dom Mocquereau, Riemanna, P. Wagnera, Houdarda, O. Andoyera O. S. B., O. Dechevrensa T. J., O. Vivella O. S. B. i t. d. Wiele bystrych uwag towarzyszy rozprawie O. Gietmanna. Bibliograficznie cenne są prace d-ra K. Weinmanna o kompozytorze kościelnym L. Pamingerze (1495—1567) oraz ks. Haberla o »Orpheo Vecchi'm« (1540—1604). Pożyteczną jest publikacya traktatu Gobelina Persona (1358—1421) przez H. Müllera. Ściśle z pracą O. Gietmanna łączy się rozprawa J. Quadfliega p. t. *Über Textunterlage und Textbehandlung in kirchlichen Werken.* Z literacko-historycznych względów cenną jest praca p. Hildegundy Tepe o wpływie Klopstocka i jego szkoły na katolicką pieśń kościelną. Reszty bogatego w materyał wydawnictwa dopełniają krytyki praktycznych i teoretycznych dzieł przez ks. Haberla.

A. Ch.

O gruźlicy. *Prof. dr. Stanisław Domański.* Lwów 1906. Nakładem Macierzy Polskiej.

Wydana przez człowieka fachowego, od wielu lat pracującego w tym przedmiocie. ma książeczka między innemi tę ważną zaletę, że jest opracowana bardzo przystępnie, przeznaczona dla szerokich mas społeczeństwa, nie obeznanych bliżej z hygieną i przez to co krok narażonych na chorobę. Przedstawiwszy szeroko i szczegółowo zmiany w ustroju wywołane przez gruźlicę, podaje autor jej przyczynę, laseczniki, trzymając się w tem twierdzeniu najwybitniejszych powag lekarskich, zwłaszcza Kocha, i najnowszych badań na tem polu dokonanych. W następnych częściach przechodzi autor po kolei rozszerzanie się gruźlicy i rozpowszechnienie tej choroby u zwierząt zwłaszcza domowych, skąd najłatwiej może się przedostać do organizmu ludzkiego. Idąc dalej konsekwentnie rozważa »bramy dla gruźlicy«, t. j. przewody, którymi choroba ta najczęściej przechodzi w człowieka. Są to przedewszystkiem drogi oddechowe, przewód pokarmowy i pory skórne. Wreszcie w najdłuższej i najważniejszej części czytamy o środkach do ustrzeżenia się od niszczącej choroby, a w ostatnim rozdziale o sposobach jej leczenia Co do zapobiegania zarażeniu się podaje autor mnóstwo szczegółowych przepisów, zwracając częstokroć uwagę na drobne fakta i najzwyklejsze ostrożności, nieraz zupełnie zaniedbywane przez ludzi nawet wykształconych i pojmujących do-

niosłość niebezpieczeństwa. Z całego dziełka widać cel wyłącznie praktyczny, co jest niemałą zasługą autora.

A. N.

Posłaniec Noworoczny Apostolstwa Serca Jezusowego 1908.

Już nie tylko pożółkłe i mrozem zwarzone liście, lub szronem przysypane dachy ostrzegają nas, że rok, w którym żyjemy, pomarszczył się już i postarzał — ale i na półkach księgarskich zaczynają się pojawiać zwiastuny roku nowego, wołające do naszego czerstwego zresztą jeszcze staruszka: *memento mori!* Są to kalendarze, owe wydawnictwa, lekceważone nieco, a przecież lubiane, a nawet niezbędne. Oto leży jeden przed nami, pod napisem »Posłaniec noworoczny«. Nie może on się wprawdzie poszczycić długim szeregiem poprzedników, bo dopiero drugi rocznik wychodzi, jednak w tego rodzaju wydawnictwach należy mu się bezsprzecznie poczesne miejsce.

Pominąwszy stosunkowo niesłychanie nizką cenę, 250 wielkich stron za 60 centów, nie mówiąc o jego bardzo powabnym wyglądzie i o licznych, a nieraz prawdziwie artystycznych illustracyach, zdobiących obficie każdą niemal kartę, podnieść należy przedewszystkiem jego wartość wewnętrzną. Treść tego kalendarza, mającego na względzie sprawy kościelno-społeczne, przejęta na wskroś głębokiem a światłem zrozumieniem sprawy katolickiej i gorącym patryotyzmem, odznacza się tą tak rzadką, bo trudną do przeprowadzenia właściwością, że jest prawdziwie interesującą dla wszystkich stanów i ludzi, różniących się znacznie między sobą wykształceniem. Zwykłą, informacyjną część kalendarzową, przeplata również bogaty, jak i wartościowy dział literacki. I tak obok kalendarza książkowego i dodatku ściennego spotykamy głębokie, a prawdziwą chrześcijańską prostotą tchnące »Rady dla wszystkich stanów« niewygasłej pamięci O. Antoniewicza. Na innem znów miejscu zebrane są krótkie, rzewne obrazki z życia ludu z przed laty 60, spisane ręką tegoż misyonarza-poety. Z innych ustępów podnieść należy chór męski, ułożony do wiersza Konopnickiej »Na flisa«. Melodya ta, która wartością swą artystyczną niewątpliwie zasługuje na to, by wejść w skład naszych najpopularniejszych pieśni narodowych, illustruje przedziwnie treść i muzykę samego wiersza, to też rozpowszechnienie jej tą drogą zasługuje na prawdziwe uznanie. Raptularz czyli zapiski i rachunki na wszystkie dni roku, przepisy pocztowe i telegraficzne, tabele zamiany monet, rozmaite tablice i zestawienia, w życiu codziennem każdemu niemal potrzebne, a w dziale literackim udatne opowiadania, kilka poezyi, opisy Rzymu, wreszcie obszerne wyjątki z listów pasterskich ks. arcybiskupa Bilczewskiego, ks. biskupa Pelczara i ks. biskupa Wałęgi, odnoszące się do spraw społecznych, oto tytuły niektórych rozdziałów tej prawdziwie wartościowej i ze wszechmiar pożytecznej książki. Wogóle życzyć jej trzeba, ażeby znalazła się ona na stołach wszystkich polskich, katolickich rodzin, jako cenna i miła towarzyszka na rok cały.

H.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

List pasterski arcybiskupa warszawskiego

W tych niewymownie ciężkich chwilach, które obecnie przechodzi Królestwo, skąpane w potokach bratniej krwi, rozdwojone namiętnością i nienawiścią, rzadko do nas stamtąd dolatuje wesoła wiadomość, podtrzymująca siły i krzepiąca ducha. Taką rzadką, wesołą nowiną jest list pasterski najprzewielebniejszego księdza arcybiskupa warszawskiego, odczytany z ambon archidyecezyi. Jeżeli w szeregach kalających polskie imię znajdują się chwilowo zbłąkani, a jest ich wielu, ufać wolno, że słowa te dla niejednego będą nie tylko wezwaniem, ale i zachętą do zawrócenia z niebezpiecznej drogi.

»Z sercem zbolałem odzywam się do was, dzieci moje. To, co dzisiaj mówić wam pragnę, od dawna cisnęło się do ust moich, bo dolatujące mnie coraz echo dokonywanych w kraju mordów i zbrodni wstrząsało do głębi mojem pasterskiem sercem, mniemałem wszakże, iż one potworne zamachy na życie i mienie ludzkie — to owoce jakiegoś dzikiego szału, po którym przyjdzie opamiętanie i ludzie zbłąkani przypomną sobie przykazania Boskie. Niestety, nadzieje moje nie ziściły się; zbrodnicze zastępy mnożą się, a łzy wdów i sierot, oraz krzywda ludzka i dymiąca krew nieszczęsnych wołają o ratunek.

»Taki zanik bojaźni Pańskiej u tych, którzy wyszli z pośród nas i dzisiaj z kainowem piętnem na czole plugawią imię polskie, nakazuje mi podnieść wreszcie głos upomnienia, abyście kiedyś, na strasznym sądzie Pańskim, gdy przyjdzie zdać sprawę z każdego przestępstwa i krzywdy, bliźniemu wyrządzonej, nie powiedzieli: »Prawda! źleśmy czynili, ale nikt nas nie upomniał. Ludzie uciekali przed nami, ale groźba Pańska zamarła w ustach, które powinny się były odezwać«.

»Więc, ludu mój kochany, wykarmiony mlekiem nauki Matki naszej, Kościoła Katolickiego, tak dawniej w ciężkich chwilach przywiązany do wiary świętej, któremu pobożność ojców świeciła przykładem, jak w bojaźni Bożej trzeba się chować i z cierpliwością znosić różne dolegliwości, ludu, wypiastowany w tradycyi umiłowania wszystkiego, co szlachetne i podniosłe, w ciężkich i męczeńskich dziejach twoich nie splamiony krwią skrytobójczą, wołam do ciebie z głębi serca: Opamiętaj niegodnych imienia polskich synów i braci swoich! Czyż nie widzisz, jak ręka karzącego Pana, który z góry Synai woła ku tobie: Nie zabijaj! Nie kradnij! wyciąga się nad tobą, jak poczynają spadać klęski, które niszczą pracę twoją, a nędza i niedostatek obejmuje cię w swoje straszne ramiona?! Wszak o tobie to mówi mędrzec Pański: »I przetoż te, którzy występują, po kęsu karzesz i w czem grzeszą upominasz i mówisz do nich, aby, opuściwszy złość, wierzyli w Cię, Panie« (Sap. 12, 2.) Odtrąć od serca twego bodaj dziecię rodzone, jeżeli na ręku jego ujrzysz plamę krwi bliźniego, a w skruszeniu i pokajaniu pokutuj przed Panem za niego i za siebie, iżeś w sercu jego bojaźni Bożej nie wszczepił, bo Bóg i od ciebie rachunku z jego zbrodni żądać będzie. O, nie usprawiedliwiaj go potęgą pokuszenia lub złym wpływem, boś widocznie nie uzbroił go w puklerz wiary i cnoty, skoro pierwszy lepszy kusiciel oderwał go od ciebie, a rzucił w paszczę występku i zbrodni.

»Przeżyłem wiele lat i dużo oglądałem niedoli ludzkiej, patrzyłem na płynące łzy i łamane nadzieje, ale skołatane serce moje krzepiła zawsze niezłomna wiara w potęgę ducha Bożego, złożonego w piersi ludu polskiego. Mamże, kończąc mój żywot,

patrzeć z przerażeniem i rozpaczą, jak ten duch Boży odbiega od ciebie, ludu mój ukochany? Mamże przed tron sprawiedliwego Boga zanieść rozdzierającą skargę na ciebie, zamiast modlitwy o pomyślność i błogosławieństwo? »Wszystko, co się dzieje, przywiedzie Bóg na sąd« — jak mówi Eklezjasta (12, 14), bo »Najwyższy nienawidzi złośników i bezbożnym odda pomstę« (Eccl. 12, 7).

»Wiem, że wiele złego nagromadziło się w tej chwili, wiem, że krążą wśród was wilki drapieżne, przybrane w skóry jagnięce, którzy wam po zbrodniach i występkach wiele zapowiadają pomyślności; ale czyżby padło na was tak wielkie zaślepienie, iż nie rozpoznajecie syku zdradzieckiego węża, który jak niegdyś uwiódł naszych prarodziców w raju, tak dzisiaj usiłuje was strącić w otchłań niedoli doczesnej i wiekuistej? Czy nie zadrga sumienie wasze na to bluźniercze kłamstwo, które piętnuje was przed Bogiem i ludźmi? Uciekajcie od tych potwornych kusicieli, jak się uciekać winno od niosącego zarazę. »Ze świętym, świętym będziesz, z przewrotnym, przewrotnym się staniesz,« ostrzega Pismo św. (Ps. 15, 26—27).

»Dziś gdy nam się odsłania zaledwie przedbłysk jutrzenki lepszej przyszłości, zamiast zjednoczyć się w pracy około poprawy doli naszej ojczyzny ukochanej, zamiast służyć jej całkowicie i niepodzielnie, pod osłoną praw Bożych, myśmy podzielili się na różne partye i stronnictwa, ziejące gniewem i nienawiścią ku sobie, gotowe w zapamiętaniu deptać wszystko, co najświętsze i najdroższe, byleby zaspokoić swoje ambicye lub osiągnąć przewrotne cele. Niema bluźnierstw i zniewag, którychby w tych smutnych czasach nie wymówiły usta polskie, niema potwornych haseł, któreby nie wydzierały się z piersi polskiej, a wśród tego podnoszą się jęki konających ofiar, łzy sierot i wdów, skargi pokrzywdzonych, które płyną ku Niebu potężnem łkaniem boleści i na nieszczęsny kraj sprowadzają pomstę Boga sprawiedliwego i pogardę ludzi uczciwych.

»Nie usprawiedliwiajmy się, że wobec tych potwornych przejawów jesteśmy bezbronni, bo bronią naszą nie miecz ostry, ani twarda pięść, lecz niezmierzona potęga wiary i umiłowania, przed

któremi ustępują zbrodnie i występki, jak opary nocne pierzchają przed ciepłem promieniejącego słońca.

»Spieszmy więc na ratunek nieszczęsnej ojczyźnie, którą przygniotła największa niedola, bo srom i hańba jej synów; spieszmy jak na prawdziwych wyznawców Ukrzyżowanego przystało, bez gniewu i zemsty, ale z mocą oburzenia na widok podeptanych praw Boskich. Nie wahajmy się zbrodni nazwać jej właściwem mianem: mordu, rabunku, kradzieży, bez względu na to, od kogo pochodzą i w jakim spełnione zostały celu.

»Stawajmy mężnie oko w oko przeciwko wyrodnym synom naszej ziemi i z całą mocą zbolałej piersi wołajmy: Nie zabijaj! Nie kradnij! Wy zwłaszcza, ojcowie i matki, pomnijcie na ciężką odpowiedzialność waszą przed Bogiem za winy waszych dzieci; więc opamiętywajcie zbłąkanych, a szczepcie wiarę i cnotę w serca młodszego pokolenia, aby nie dało się uwieść kusicielom, a stało niezachwianie przy sztandarze i obowiązku.

»O Panie! dotychczas prosiliśmy, abyś nas ratował od nieprzyjaciół naszych, dziś błagamy, abyś nas bronił od zbrodniczej ręki własnych braci. Panie, któryś za wszystkich cierpiał i krew przelał, zmiłuj się nad nami! Wlej skruchę w serca wiernych, aby porzucili tajemne drogi i zaniechali zmowisk, a pilnując swej pracy i chleba, jaki nam dałeś, kroczyli po drodze, którą Ty wytknąłeś do wiecznych przeznaczeń. Natchnij serca miłością jednych ku drugim, jakiej nas uczy wiara święta, której przykłady dawali święci Patronowie nasi, miłując nawet nieprzyjaciół i prześladowców swoich, a za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Matki Jezusa Chrystusa, Syna Twego, daj pokój za dni naszych, »bo niemasz innego Boga, prócz Ciebie, który masz staranie o wszystkich«. (Sap. 12, 13).

»Na tej drodze ku miłosierdziu Bożemu łączę się z Tobą, ludu ukochany, modlitwą i pasterskiem błogosławieństwem«.

List ten z niezwykłą jednomyślnością przez polską prasę przyjęty został, co wróżyć pozwala, że dodatnie elementy w społeczeństwie do usilnej a wydatniejszej pracy się połączą.

Z różnych stron i tematów

Smutne wiadomości o rozpaczliwym stanie religii na Kubie przynosi *Amerika* z 21 lipca: »Że religijna obojętność powszechnie tu panuje, może się każdy bez trudności przekonać. Na uroczystość Bożego Ciała znalazłem się w przeszło cztery tysiące dusz liczącej parafii Nuevitas. Dzień ten jest na Kubie świętem uroczystem. Na rannej mszy św. naliczyłem mniej więcej dwanaście kobiet, samych prawie murzynek; na sumie było do sześćdziesięciu osób, między niemi trzech mężczyzn, a parafia liczy, jak powiedziałem, przeszło cztery tysiące dusz. W następną niedzielę udałem się do Camaguey i odwiedziłem dwa największe kościoły parafialne. Na sumie, jedynej mszy odprawianej w kościele, do którego należy około ośmiu tysięcy wiernych, było może sześćdziesiąt osób, między niemi sześciu mężczyzn; w drugim kościele parafialnym spotkałem do pięćdziesięciu kobiet i kilku starych negrów. W pewnym zakonnym domu, w którym się informowałem, powiedziano mi, że tak samo ma się rzecz i w innych czterech parafiach miasta i wogóle na całej Kubie... Niedawno zwróciłem się do prezydenta jednego katolickiego uniwersytetu w Stanach z prośbą, by zechciał poufnie zapytać studentów kubańskich, czy w czasie wakacyi uczęszczają na mszę św. niedzielną. Otrzymałem następującą odpowiedź: »Stosunki religijne na Kubie nie są nam nieznane; studentów stamtąd pochodzących nie możemy nigdy do tego nakłonić, żeby przed swym wyjazdem złożyli nam przyrzeczenie, że w czasie wakacyi pójdą w niedzielę na mszę świętą«. Kiedym niedawno w pewnej katolickiej gazecie wyczytał artykuł przeora Dominikanów z Cienfuegos o religijnem położeniu Kuby, zwróciłem się listownie do niego z prośbą o radę, co czynić, aby tych ludzi do spowiedzi nakłonić (sam miałem w tym roku jedną jedyną spowiedź wielkanocną). Odpowiedział na to: »Dużo jeszcze czasu upłynie, nim będziemy mogli pomyśleć o poważnej, skutecznej misyjnej pracy. Na dzisiejsze pokolenie nie wywieramy wogóle żadnego wpływu. Największe trudności spotykamy u tych właśnie, którzy nas winni wspomagać i naród do praktycznego chrześcijaństwa prowadzić«.

W różnych za to kościołach kolonii angielskich pojawia się silny ruch religijny, mający na celu połączyć rozdwojone wyznania

anglikańskiego Kościoła. W Kanadzie objawia się ten prąd między presbyteryanami, metodystami i kongregacyonalistami a entuzyastycznie popiera go prasa świecka. Kościół anglikański, wezwany oficyalnie do unii, trzyma się na uboczu a wyznawcy tego Kościoła nie bardzo do zjednoczenia się kwapią, i choć uznają za słuszną zasadę, to jednak, jak donosi *Revue catholique des Eglises*, odstraszają ich najrozmaitsze trudności. Ponieważ między trzema wyżej wymienionemi wyznaniami powstały w ostatnich czasach pewne nieporozumienia, przypuszczają pisma nie bez racyi, że najlepiej na całym tym ruchu wyjdzie Kościół anglikański.

Podobny objaw spotykamy także w Australii. Na porządku dziennym znajduje się tam dzisiaj kwestya połączenia presbiteryanów szkockich z anglikańskim Kościołem. Pewne trudności sprawia rezolucya komitetu, domagająca się ponownych, warunkowych święceń kapłańskich dla dawnych pastorów presbyteryańskich. Ruch australski jest tak silny, że według d-ra Cloustona, zajmującego stanowisko kierownika *of australian Presbyterianism*, w przeciągu dwudziestu lat rozdwojone wyznania połączą się między sobą, zbliżą do anglikanów i, co najważniejsze — do Rzymu.

W Rzymie tymczasem i wogóle we Włoszech sztucznie wywołany i przez szumowiny społeczne podsycany ruch antyreligijny powoli się uspokaja a skompromitowanym z niego wychodzi nie kler ale rząd i wszyscy, grupujący się koło *Avanti, Asino, Vita, Messagero di Roma* i im podobnych postępowych dzienników i pism. W ostatnich dniach zawiązała się w Rzymie »Liga Ojców rodziny«, która w imię świętości rodziny, w imię praw i obowiązków rodziców, w imię wreszcie sprawiedliwości i moralności publicznej ogłosiła stanowczy protest przeciwko niecnym knowaniom, oszczerstwom i potwarzom, przeciw »antyklerykalnej prasie, stojącej na żołdzie ateuszów, wolnomularzy, socyalistów i nieprzyjaciół wszelkiej religii« i wreszcie przeciwko postępowaniu władz rządowych, które swym nietaktem przyczyniły się do tego, że podobnie barbarzyńskie objawy wogóle miejsce mieć mogły. Silniejszy jeszcze protest pod hasłem *Viva l'Italia cristiana e civile* ogłosił największy włoski katolicki związek

L'Unione popolare i — rzecz znamienna — rząd lękając się obrazić antyklerykalne szeregi, częścią nie pozwolił go drukować, częścią kazał go zmienić. W tym samym jednak czasie zgodził się rząd na to, że anarchiści z Viareggio porozlepiali afisze, w których zapowiadają walkę przeciwko królowi i »fantastycznemu Bogu«, przeciwko tym *fantasmi stupidi quanto infami*, przeciw prostytucyi religijnej i politycznej i zapewniają, że poprowadzą tę walkę tak długo, »jak długo b ó g i państwo nie runą pod potężnymi ciosami naszych maczug«.

W tym doborowym szeregu nie mogło, rozumie się, zabraknąć i socyalistów, którzy, jak ów Eggi z poematu *Dreizehnlinden*, we dnie i w nocy *war er nirgend, war er überall zu finden* — nigdzie tam, gdzie chodzi o dobrą sprawę, wszędzie, gdzie chodzi o rozdwojenie, szerzenie niezgody i nienawiści dla Boga i religii. Puścili oni w kurs cyrkularz zawierający następujące postulaty: dozór rządowy nad wszystkiemi dobroczynnemi instytucyami, prowadzonemi przez kler świecki lub zakonny — zniesienie nauki religii w szkołach ludowych — zeświecczenie wszelkich instytucyi, które pośrednio czy bezpośrednio od gmin, zarządów prowincyi lub od państwa zależą — rozwiązanie zakonów i religijnych stowarzyszeń — absolutny rozdział Kościoła i państwa.

Żeby nie zabrakło i humorystycznej nuty w komunikacie, można w nim znaleźć także zdanie o przeciwnym naturze ludzkiej celibacie, co jasno świadczy, że autorzy takiego zapatrywania z celibatem a raczej z tem, co się z celibatem łączy, nie chcą mieć nic do czynienia; i tacy ludzie chcą reformować ludzkość i dawać lekcye moralności.

I jedna jeszcze sprawa. Oryginalny przyczynek do historyi cywilizacyi niemieckiej Afryki znaleźć można w drukowanych w *Allgemeine evangelisch-lutherische Kirchenzeitung* artykułach d-ra Schwartza, kierownika protestanckiej misyi w Afryce; wspominamy o nich, gdyż łączą się one ściśle ze sprawą religii. Rządowe sfery niemieckie zajmują wobec protestanckich misyi stanowisko nieprzychylne, dlatego że misye nie są podatnem narzędziem rządu. Szczególniej daleko idzie pod tym względem Z w i ą z e k k o l o n i a l n y, który prawie że wymaga nadzoru policyjnego

nad misyonarzami a jego organ *Koloniale Zeitschrift* porównuje misye z malaryą, szarańczą i t. d. Przyczyn tego zjawiska dopatruje się Schwartz w tem, że, zdaniem organów rządowych, misyonarze obchodzą się za uczciwie z krajowcami i że ganią występne i rozpustne życie Europejczyków. Rząd krajowców wyzyskuje, wywłaszcza, ciemięży i pcha do powstania; misya zaś na to pozwolić nie może, tak samo jak nie może pozwolić na ów system szkolny, który *par force* kafrów chce przemienić na Niemców i napycha głowy dzieciaków nauką języka niemieckiego; misya, która ma dobro krajowców na celu, podobnej polityki szkolnej uprawiać nie może, ale dlatego właśnie rząd odmawia jej wszelkiej pomocy i dokucza, gdzie tylko się da. W bardzo ponurych barwach przedstawia Schwartz obraz moralnej wartości kolonistów i urzędników niemieckich. Przyznaje, że pewien procent prowadzi się uczciwie, większość jednak jest zgangrenowaną; z tymi misya stosunków utrzymywać nie może, bo nie zna podwójnej moralności: innej dla Europy i innej dla Afryki. Człowiek, przed którym w kraju dla jego rozpusty zamykają wszystkie uczciwe domy, i w Afryce do nich przystępu znaleźć nie może, ale to jest przyczyną nienawiści i powoduje prześladowanie. Ostatnia szczególniej myśl zasługuje na uwagę, gdyż wykazuje, że wszystko, co jest brudem i zgnilizną, dlatego właśnie, że nią jest, i dlatego tylko, wszędzie i zawsze po całej ziemi religię zwalcza.

Z praskiego kongresu »wolnej myśli«.

W początkach września odbył się w Pradze 14 międzynarodowy kongres zwolenników »wolnej myśli«. Uroczysty nastrój zjazdu zakłócił niefortunny występ namiestnika Czech, który podobno w poufnym okólniku nazwał wolnomyślnych wrogami społecznego porządku i anarchistami. Ponieważ zwykle nikt tak się nie uniewinnia, jak sam winowajca, poczuli się i wolnomyślni do obowiązku zaprotestowania przeciwko tej niegodnej insynuacyi i starali się wykazać, że są najlepszemi dziećmi kraju i monarchii. Dziwne figle płata czasami krótka pamięć. Bo oto np. na kongresie rzymskim wywodził Domela iNeuwenhuis, że ideałem każdego wolnomyślnego ma być po

usunięciu Kościoła i państwa »wolny człowiek w wolnem społeczeństwie« i że walka przeciwko państwu jest ważniejsza nawet od walki przeciwko Kościołowi. Prezes ówczesnego kongresu, hiszpański delegat Fernando Lozano, donosił, że Hiszpania »jest zdecydowaną załatwić się raz z kapłańskimi i królewskimi rządami i zaprowadzi republikę, choćby niebo się zapaść i ziemia zatrząść miała«, a Stackelberg wzywał wprost do socyalizmu, ateizmu, komunizmu i wyzwalającej rewolucyi, »do społeczeństwa bez Bogów i bez rządzących«.

Przystąpmy jednak do rzeczy. Zebrał się więc w Pradze ten »kwiat ludzkości«, jak radca państwowy Filip wolnomyślnych nazwał. Przypomniało nam się wprawdzie, gdyśmy to czytali, nasze polskie przysłowie o Filipie, ale ostatecznie przeciwko nazwie nic nie mamy. Istnieje pewien rodzaj kwiatów, które rosną tylko na bagnach, ze zgnilizny swe soki czerpią i wszystko dokoła siebie zatruwają. Może być, że między wolnomyślnymi będą jacyś ludzie skądinąd wykształceni, choć ze spisu nazwisk uczestników zjazdu nie jest to wcale widoczne; pod względem religii i moralności są oni analfabetami. Religii nie znają, każdy ich niefortunny, humorystyczny prawie występ, aż za jasno to stwierdza; o moralności w jej absolutnem, a więc ścisłem i moralnem znaczeniu, bez Boga i wiary można wprawdzie po profesorsku dyskutować, nie można jej jednak w życie wprowadzić. To też nie zadziwi, że telegram Gorkiego [1], wymierzony przeciwko Syllabusowi, przyjęto z entuzyazmem. Znane nam wielkie literackie zasługi Gorkiego; o jego głębokiej nauce, któraby mu pozwoliła o takiej sprawie, jak Syllabus, zdrowy sąd wydać, dotychczas jeszcześmy nie słyszeli. Wiemy tylko, że Gorkiego w Ameryce żaden hotel nie chciał na mieszkanie przyjąć, ponieważ legalną żonę zostawił w Europie a awanturował się z jakąś aktorką i tę za żonę swoją podawał. Mijanie się z prawdą należy też chyba do istoty »wolnej myśli«. I taki człowiek staje

[1] Kazimierz Tetmajer, wysyłając również telegram powitalny, znajdował się widocznie w stanie poetyckiego podniecenia i nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co robi.

w obronie zagrożonej przez chrześcijaństwo moralności! Winszujemy tego nabytku, ale z pewnością go nie zazdrościmy.

Myśli nowych, stwierdziła to prasa, kongres nie przyniósł. Dominującą nutą wszystkich przemówień była nienawiść Boga i Kościoła, świadoma lub nieświadoma ignorancya wiary, blaga i frazes. To, co było nowem, nadaje się jedynie do pism humorystycznych, jak np. niezwykle głębokie twierdzenie Niemojewskiego, że szrapnele japońskie na polach mandżurskich Polakom gmach wiary zburzyły.

Jak kongres »wolną myśl« rozumie, okazała chwila, w której do jaskini lwa odważyli się wejść księża katoliccy i wziąć udział w dyskusyi. Spokojne i rzeczowe ich słowa denerwowały niesłychanie mowców z przeciwnego obozu; bluźnierstwo padało po bluźnierstwie i zastępowało odpowiedź, aż po dwudziestem piątem upomnieniu komisarz rozwiązał posiedzenie. To też było celem wolnomyślnych panów, gdyż było najlepszem wycofaniem się z kwestyi; kwestyi jednak samej nie rozwiązało. Wykazało tylko, że nie chodzi tu o naukę i zdrowy rozum, ale o coś całkiem innego. Co? każdy czytelnik sobie w duszy dośpiewa, a każdy zwolennik »wolnej myśli« także zrozumie.

Nowa encyklika

W ostatniej chwili dochodzi nas nowa encyklika *Pascendi dominici gregis*. Zapóźno już, żeby z niej zdać sprawę, zresztą *Przegląd* zamieści o niej w następnych zeszytach obszerniejszą pracę. Dla informacyi wystarczy zauważyć, że zajmuje się ona modernistycznym kierunkiem, pojawiającym się obecnie w katolicyzmie, a reprezentowanym np. w Anglii przez Thyrella, we Francyi przez Loisy'ego i Laberthonnière'a. Zwalcza więc i potępia modernizm w teologii, filozofii, historyi, egzegezie, apologetyce i reformatorskiej praktyce, i przepisuje stanowcze środki zaradcze. W obozie liberalno-żydowskim, a więc tym, który z Kościołem nie ma nic wspólnego, ale najwięcej Kościołem się zajmuje, encyklika wywołała ataki furyi, co najlepszym dowodem, że utrafiła w gniazdo szerszeni. Prasa katolicka omawiała ją z godnością i powagą i z zadowoleniem powitała fakt, że raz przecież w tak piekącej a niebez-

piecznej sprawie odezwał się jedynie kompetentny głos. Zadziwiło nas namiętne wystąpienie przeciw encyklice ze strony ruskiego *Diła*, ucieszyło za to katolickie stanowisko poważnej polskiej prasy, które to stanowisko jest jedynie uzasadnione. Ojciec św. chciał zapobiedz nadużyciom, nie chce bynajmniej tamować wiedzy samej, jak to wynika z ogłoszonego co dopiero statutu międzynarodowego, katolickiego stowarzyszenia, na którego czele mają stanąć trzej znakomici kardynałowie: Rampolla, Mercier, Maffi, a którego zadaniem będzie popieranie wiedzy we wszystkich jej gałęziach.

Z kursów społecznych w Przemyślu

Czynny komitet dyecezyalny Związku katolicko-społecznego w Przemyślu, biorąc impuls tak z zachęty, jak i z żywej a zbawiennej działalności swego Arcypasterza, ogłosił na dzień 24 i 25 września kursy społeczne. O ile nam z gazet wiadomo, uczestnicy kursów nie doznali rozczarowania, przeciwnie kursy przewyższyły ich oczekiwania i nadzieje. Było to zasługą organizatorów zjazdu, że w krótkim czasie podano słuchaczom dużo ważnego materyału. Szerzenie pożytecznej oświaty wśród ludu (ks. dr. Schmyd), praca katolicko-społeczna duchowieństwa w Księstwie Poznańskiem (ks. dr. Zimmermann) i z niej wypływający przykład i zachęta, Kółka rolnicze i spółki gospodarcze (dr. Wasung), przedstawienia teatralne i zabawy ludowe (ks. Czencz T. J.), organizacya stowarzyszeń zawodowych katolickich (pp. Horowicz i Zgórniak), zbliżający się jubileusz Ojca św. (ks. dr. Tomorka) — te tematy trzymały uwagę słuchaczy na uwięzi a silne postanowienie natychmiastowego zawiązania stowarzyszeń katolicko-zawòdowych, to chyba wcale obfity plon tych dwóch dni.

Ks. Wiktor Wiecki.

Ze świata akcyi społecznej.

Jednym z najwięcej obecnie znanych pracowników na polu katolicko-społecznem we Francyi jest pan Max Turmann, profesor *Collège*

libre des sciences sociales w Paryżu. Cały szereg jego prac pozyskał uznanie. Trzy z nich zostały odznaczone przez Akademię, mianowicie: *Au sortir de l'Ecole des Patronages, L'education populaire: les Oeuvres complementaires de l'Ecole, Initiatives feminines.* Oprócz tego cały szereg broszur wydanych przez *Action Populaire.* Zaś podstawową rozprawę o katolicyzmie społecznym: *Le developpement du catholicisme social depuis l'Encyclique Rerum novarum* — wydała firma wydawnictw filozoficznych Alcan.

Jak widzimy z tego wyliczenia literackiej twórczości p. Turmanna, jest on bardzo ruchliwym i pełnym inicyatywy pisarzem. Wielkie powodzenie zawdzięcza nie tylko aktualności idei, którą porusza, ale i wielkiej zdolności publicysty. Pisze bardzo przystępnie i zajmująco, teoryę dokumentuje życiem, nie używa frazesów a jednak podkreśla fakta poglądami ogólnymi, które szerokie horyzonty otwierają. Przytem ma dar budzenia w czytelniku obok zainteresowania i chęci naśladownictwa — powinien to być jeden właśnie bardzo ważny rezultat takiej działalności pisarskiej, ażeby była zarazem propagandą. Zwykle monografie i rozprawy zostają tylko zdobyczą umysłową: przeciwnie ma się z dziełami p. Turmanna: wywołują one pragnienie czynu osobistego.

Książka, którą mamy dziś przed sobą p. t. *Activités sociales,*[1] obejmuje działalność katolików w świecie przemysłowym, w świecie rolniczym, dalej omawia organizacye propagandy społecznej — i wreszcie dział czwarty: »Wobec praw i faktów społecznych«.

Książka poprzedzona jest przedmową bardzo piękną, wykazuje ona, że działalność katolików musi być przedewszystkiem pokojową i wyrównującą przepaści społeczne — a przytem bezinteresowną i postępową. Niemniej od razu uderza tu charakterystyczny pogląd francuskich katolików, który zrobił tak wiele złego Francyi — mianowicie to podkreślenie żądania, aby działanie katolików było wolne od wszelkiej myśli i żądań wyborczych i politycznych. Ten pogląd bardzo sam w sobie szlachetny — ażeby z działalności swej wyłączać wszelkie interesa polityki — okazał się niepraktycznym. Rząd jest takim, jakimi są ci, którzy go wybrali; katolicy za mało uświadomieni politycznie we Francyi, dali się ubiedz swym wrogom na polu polityki. I tak rzeczywistość bardzo smutna każe się zastanowić nad tem, czy tak

[1] *Activités sociales.* Max Turmann. Paris. Victor Lecoffre. 1907. (Str. 393).

we Francyi jak i w całym świecie nie należy iść za przykładem Niemiec, które działalność społeczną katolików ściśle zespoliły z polityczną ich potęgą?

Trudny jest wybór dla sprawozdawcy wśród bogatego materyału książki p. Turmanna. Każdy prawie rozdział zawiera w sobie »lekcyę energii«, *une leçon d'energie,* która jakby siły nowe budzi w duszy czytelnika, często upadającego na siłach wobec tych smutnych doświadczeń, jakie przechodzi każdy, kto czuje w sobie obowiązek brania udziału w pracy społecznej. Więc pokrótce tylko zaznaczyć można ważniejsze rzeczy: ciekawe rezultaty osiągnięte przez właściciela fabryki, przez inżyniera w świecie przemysłowym. Polegają one na umiejętnem skombinowaniu interesów robotnika i pracodawcy, wytworzenie między nimi spójni przez zetknięcie na terenie zawodu. *Les qualités d'un dirigeant* — ten rozdział daje dużo do myślenia każdemu, kto ma podwładnych, tem więcej, że jest oparty na osobistych doświadczeniach p. Rivière i przedsiębiorstwach Leona Harmel; spotykamy w przędzalniach p. Harmela jakby urzeczywistnienie programu *Rerum novarum,* które umie godzić interesa właściciela i robotnika: charakterystyczną cechą przędzalni w Val-des-Bois i Varmeriville koło Reims są t. zw. *Conseils d'usine,* gdzie sprawy fabryki, udoskonalenia techniczne są omawiane przez kierujących i robotników; jako jeden z praktycznych sukcesów można zanotować to, że zredukowano liczbę godzin pracy bez zredukowania płacy; jako zaś najważniejszy rezultat tego uważać należy, że produkcya się nie umniejszyła, choć zamiast na 12 godzinach na 11 została oparta. Dzięki dłuższej, bo $1^1/_2$ godzinnej pauzie obiadowej, robotnik mógł udać się do domu na obiad i wskutek tego nie wstępował do szynku, tak że ich liczba znacznie się umniejszyła.

Zmiany systemu gospodarczego sprowadziły przewroty w świecie rolnictwa: w większej ilości miejsc praca rolnicza zbliżyła się do pracy przemysłowej przez wprowadzenie maszyn rolniczych, zmianę transportów, zakładanie wielkich cukrowni, dystylarni, mleczarni kooperatywnych. Socyaliści zauważyli szybko ten roztwierający się dla nich nowy zakres działania na masy ludu rolniczego. Uznanie małej własności rolniczej a zniesienie wielkiej, to są teorye, które w kontraście do Marxa głosi Jaurès, Deville, Lafargue. Kongres w Marsylii z r. 1892 postawił tutaj decydujące i znamienne rezolucye. W ślad za teoryą poszła praktyka: socyaliści zaczęli z sukcesem działać na Południu wśród ludności zajętej uprawą winnic i w środkowej Francyi wśród

cieśli i robotników leśnych. Agitacya rośnie, rozszerza się i prosperuje, gwałtowne strejki i syndykaty, robotnicze kongresy objęły swą działalnością głównie południe Francyi. Wobec destruktywnego rezultatu tej socyalistycznej walki, zaczęto myśleć o przeciwdziałaniu. Właściciele więksi i mniejsi winnic, robotnicy stale osiadli w danej miejscowości rozumieją konieczność oparcia się tym konwulsyom wstrząsającym daną okolicą co czas jakiś: przystąpiono do tworzenia syndykatów mieszanych. Pierwszy zarys tej organizacyi ułożył p. Feliks Bouffet a jako przykład może służyć syndykat w Tourouzelle który pierwszy zaczął funkcyonować. Próby podjęte wykazały możliwość porozumienia się pracodawcy i robotnika i już w pewnych wypadkach szczęśliwie zapobiegły strejkom przez syndykaty czerwone planowanym.

Kwestya, która nas blizko dotyczy — to kwestya emigracyi. Jest ona prawie wszędzie objawem społecznym, nieprzepartym dowodem, że »wędrówki ludów« istnieją ciągle a objawiają się zwłaszcza wtedy, gdy niespokojne pożądania poprawy losu łączą się z osłabieniem więzów społecznych i rodzinnych. Emigracya nie jest tylko objawem chęci materyalnej poprawy losu, ale nadto daje niejako świadectwo żądzy nowości i odmiany. Francya wyludnia prowincyę na korzyść miast, środowiska fabryczne ściągają ludność rolniczą. Bardzo charakterystyczną jest rozmowa przytoczona przez p. Vandervelde (autora książki *Exode rural*), która świadczy, że rozsądniejsi żałują za tem, co dawała wieś w formie tańszego życia i prawa używania wspólności gminnej, jak pastwisko i las. Ważna przyczyna tej emigracyi, to brak zarobku w zimie, spowodowany po części użyciem lokomobili do wymłotu zboża i zanikiem przemysłu domowego.

Emigracya grasuje tak we Francyi i Belgii jak i we Włoszech; dzieli się na emigracyę stałą i sezonową. W Belgii (w okolicach Liège) ogromne znaczenie wywiera taniość komunikacyi: osobne pociągi robotnicze codziennie ułatwiają ludności mieszkającej o dwadzieścia kilometrów dostęp do fabryk i kopalń. Jest to sposób utrzymania rodzin robotniczych we wsi ojczystej, z której codzień mężczyzni wyjeżdżają do fabryk dalszych koleją na to, by wieczór wrócić do swego domu we wsi. W południe odpoczywają zwykle po domach gościnnych przy fabrykach, *hotelleries*, utrzymywanych przez osobne stowarzyszenia zakonne, gdzie obok restauracyi znajdują się też i łazienki.

W Belgii też spotykamy najpierw opiekę zorganizowaną nad sezonowymi wychodźcami; federacya w Hacnaut np. założona za ini-

cyatywą ks. Douberlunge, ubezpiecza emigrantów od wypadku, daje pomoc w razie sporów z pracodawcami i utrzymuje łączność z ojczyzną za pomocą tygodniowego pisma, którego w jednej tylko Flandryi zachodniej zostało rozesłanych 51.000 numerów w ciągu sezonu. Za przykładem Belgii idzie północna Francya — tam również tworzą się komitety dyecezyalne, rozciągające opiekę materyalną i moralną nad sezonowymi emigrantami, mianowicie Cambrai może tu służyć za wzór: i tutaj pisma grają rolę bardzo ważną, bo przynoszą emigrantowi szczegóły o wsi rodzinnej, o drobnych zdarzeniach, nie dają mu zapomnieć o ojczyźnie.

Ale najważniejszą sprawą jest emigracya dla Włoch. Na 33 miliony mieszkańców, 3 miliony wychodźców! — to cyfra, która ciągle wzrasta. W kontraście z Belgijczykami i Francuzami Włoch bardzo szybko się wynaradawia, demoralizuje, traci wiarę i pada łupem socyalizmu i anarchizmu, jednocząc kapitalistów i pracodawców z pojęciem wiary, która ich jakoby protęguje. Zresztą... wszędzie jest to samo, że wobec bezczelnych ataków niedowiarków katolicy milczą z braku wyrobienia w przemawianiu i łatwości argumentucyi. Włoski robotnik tem więcej jest bezbronnym, że jest ciemnym, to też tem łatwiej go oszukać. Pierwsza zasługa zorganizowanej opieki nad emigrantami przypada w udziale biskupowi Cremony, mgr. Bonomelli. W r. 1900 założył dzieło *Assistance des ouvriers italiens,* które się zajmuje wskazywaniem miejsc zarobku wychodźcom, opieką w drodze, dostarczaniem książek i dzienników. Sekretaryaty osobne dają wskazówki i ułatwiają kontakt ze światem. Równocześnie zorganizowana opieka duchowna daje pociechę i pomoc religijną a dziennik *Patria* utrzymuje łączność z ojczyzną.

Bardzo ważną sprawą jest również rozszerzenie pojęć społecznych katolickich. Propaganda myśli: to jest sprawa, którą dość silnie nie można zalecać. Ileż to razy kontakt z jakąś osobą, przeczytanie jakiejś książki stało się jakby punktem zwrotnym w życiu! Zresztą przez wzajemne informowanie się i udzielanie doświadczeń przyspiesza się dojrzewanie każdej myśli lub też jej zaniechanie; płynne dobre chęci nabierają wyrazistej rzeczywistej formy, jeżeli spotkają się z kimś, kto niemi pokierować potrafi. W Niemczech, gdzie organizacya katolicka najwyżej stoi, właśnie taką przygotowawczą pracę spełniały kursa w München-Gladbach, kursa praktyczne społeczne i kursa ekonomii politycznej; we Francyi urządzać zaczęto »Tygodnie społeczne« najpierw w Lyon, potem w Dijon. Te zebrania mają tę ogromną wagę,

że zaznajamiają ludzi ze sobą, dają zaczerpnąć u źródła zapas informacyi, popularyzują pojęcia. U nas w r. 1906 taki kurs społeczny urządził we Lwowie ks. arcyb. Bilczewski; ożywił on niejedną dobrą chęć i rozsiał idee. Miejmy nadzieję, że za tym pierwszym kursem pójdą inne, pociągając większą liczbę osób nie tylko duchownych ale i świeckich.

Książka p. Turmanna nie da się wyczerpać tak prędko; dostarcza ona niezwykle cennych wiadomości a zarazem może być wzorem, jak należy pisać książki dla spełnienia podwójnego celu: dokumentu objektywnego i propagandy osobistego wpływu autora na czytelnika.

Marya Harsdorf.

Ze stosunków polsko-słoweńskich.

Pod styryjskiem niebem w parafii Rybnica urodził się w r. 1859 literat słoweński, wieśniak, Piotr Miklavec. Ponieważ od wczesnej młodości szczególniej ukochał język polski, czego dowodem są liczne jego tłumaczenia dzieł polskich na język słoweński, nadto w ciągłej nieomal pozostawał styczności z autorami i redakcyami polskiemi, dlatego, sądzimy, że losy i działalność tego pisarza zainteresują czytelników *Przeglądu.*

Pobudki, jakie skłoniły 18-letniego młodzieńca do pracy na polu literackiem, wyłuszczył sam autor w powieści swojej: *Pod slamnato streho* (»Pod słomianą strzechą«). Pierwszą zaś jego poważniejszą pracą był przekład noweli H. Sienkiewicza »Za chlebem«, o którym krytyka słoweńska nader pochlebny wydała sąd, a oryginału do tego dostarczyła mu redakcya *Przeglądu Powszechnego* wraz z załączonym listem:

Kraków, ul. Kopernika 26, 25 sierpnia 1884.

Wielmożny Panie!

Przesyłam Panu przy niniejszem kilka egzemplarzy listu naszego (po francusku), któryśmy rozesłali po różnych krajach. Z tego listu dowiesz się Pan, czego wymagamy od naszych korespondentów. Jeżeli łaska, tobym prosił, aby Pan zechciał je rozesłać do swych znajomych Słoweńców, Chorwatów, Serbów, może który z nich zechciałby zostać korespondentem *Przeglądu.* W jakim języku mają pisać? Niekoniecznie po polsku. Mogą pisać po francusku, po niemiecku, my to sobie przetłumaczymy. Czy mogliby pisać po słoweńsku? Rzecz się ma tak: my

te języki mniej więcej znamy, ale niedobrze, od dawna żyjemy zdala od siebie, stąd oprócz wyrazów starych, które są nam wspólne, i my i wy przybraliśmy wiele nowych, które nie są dla nas zrozumiałymi.

Co się tyczy Pana, to niech Pan pisze tym językiem, jakiego Pan używa w liście do nas pisanym; jest on dla nas zupełnie zrozumiałym, a przerobić go na całkiem polski — rzecz łatwa.

O czem ma Pan pisać do *Przeglądu?*

1. Stan polityczny dzisiejszy Słoweńców. Do jakich należą krajów, jaka jest ich liczba, gdzie zasiadają na sejmach, wielu jest w każdym sejmie posłów słoweńskich, wielu wysyłają do Wiednia (Rada państwa), do jakiego stronnictwa tam należą, jakie są wybitne osobistości (przywódcy w partyi słoweńskiej).

2. Stan szkół, czy uczą i gdzie po słoweńsku.

3. Jakie są stowarzyszenia słoweńskie (Matice — i inne), kiedy i przez kogo założone, wielu liczą członków, znaczniejsze książki, jakie wydają.

4. Jakie są czasopisma słoweńskie, gdzie wychodzą, do jakiej partyi należą.

5. Stan duchowieństwa słoweńskiego.

Te i tym podobne rzeczy, które koniec końców łatwo byłoby Panu zebrać, dla nas byłyby ciekawe; c z a s j e s t w i e l k i, aby Polacy zaznajomili się ze swymi Braćmi.

Pozostaję z poważaniem

uniżony sługa

Ks. Wł. Zaborski.

Niemal równocześnie z otrzymaniem tego listu, bo 5 listopada t. r., umarł Miklavcowi ojciec i starsza siostra, co tak oddziałało na kochającego syna i brata, iż z wielkiego za niemi żalu, w ciężką zapadł chorobę, która przez rok prawie cały nie pozwoliła mu zabrać się do żadnej pracy. Ojcowizną podzielili się bracia, jemu zaś, ponieważ już zwątpili o jego zdrowiu, zostawili tylko pustą chatę po ojcu.

Z powrotem do zdrowia, pierwszą troską jego było urządzenie gospodarstwa jakiegoś, do czego pośpieszyli mu z pomocą bratnią Polacy, a przedewszystkiem ówczesny współredaktor *Przeglądu Powszechnego* ks. Wł. Zaborski.

Skoro już na tyle odzyskał nadwątlone całoroczną chorobą siły, że mógł się oddać pracy pisarskiej, nadesłał do *Przeglądu* artykuł

»O słoweńskiem stowarzyszeniu św. Hermagora w Celowcu«, który widocznie z przychylnem spotkał się uznaniem, kiedy autor jego otrzymał wkrótce od redakcyi honoraryum. Było to pierwsze wynagrodzenie, jakie do tego czasu otrzymał Miklavec za swoje prace. Zachęcony tem zabrał się zaraz do drugiej pracy »O położeniu Słoweńców«, która lepiej się mu od pierwszej udała, jak o tem świadczy załączony list od redaktora *Przeglądu*.

5 marca 1886.

Wielmożny Panie!

Jeszcze pierwsza korespondencya Pańska nie wydrukowana, jednak jest już przetłumaczona; wiele z niej trzeba będzie wyrzucić.

Druga korespondencya jest o wiele ciekawsza od pierwszej. Posyłamy Panu za nią honoraryum w kwocie 20 fl. (dwudziestu florenów austr.) załączonych w tym liście.

Pozostajemy z prawdziwem poważaniem

w imieniu Redakcyi

Ks. W. Zaborski.

Powiększywszy w ten sposób nader skromne finansowe swoje fundusze, mógł się już swobodniej oddać literackiej pracy. To też widzimy cały szereg prac, jakie odtąd w różnych czasach wyszły z pod jego pióra, pod pseudonimem »Podrawski«, drukowanych już to oddzielnie, już to w różnych czasopismach słoweńskich i innych.

I tak w r. 1889 wydał księgarz I. Giontiny w Lublanie jego przekład romansu L. N. Tołstoja *Rodbinska sreča*, gdzie po raz pierwszy użył Miklavec pseudonimu »Podrawski«. W r. 1890 zabrał się do przekładu poważniejszych dzieł H. Sienkiewicza, jak: »Ogniem i mieczem«, »Potopu«, »Chodźmy za Nim«, na co już dawniej otrzymał listowne pozwolenie od autora tej treści.

Warszawa 7 stycznia 1887.

Szanowny Panie!

Wróciłem przed paru dniami z półrocznej podróży i oto przyczyna, dla której opóźniam się z odpowiedzią. Daję panu pozwolenie przekładania na język słoweński wszystkich prac moich, które się panu wybrać spodoba, bez żadnej pretensyi do jakiegokolwiek wynagrodze-

nia. Owszem przyjemnie mi będzie, jeśli w ten sposób będę się mógł przysłużyć tyle dla mnie i dla nas wszystkich sympatycznym pobratymcom.

Zostaję z szacunkiem

H. Sienkiewicz.

Zachęcony tem pismem i przychylnością, z jaką krytyka słoweńska przyjmowała te przekłady, tłumaczy dalej »Krzyżaków«, »Bez dogmatu«, »Quo vadis«, »Szkice węglem«, »Ta trzecia«, »Komedya z pomyłek«, »Lux in tenebris lucet«, »Na jasnym brzegu«, »Opis podróży po Ameryce«, »Pana Wołodyjowskiego», »Rodzinę Połanieckich«, »Listy z Afryki«, »Na jedną kartę«, »Hanię«, »Sielankę«.

Nie poprzestaje wszakże tylko na tym najsławniejszym powieściopisarzu naszym, tłumaczy i inne prace autorów naszych, jak Bałuckiego: »Stara piastunka«, B. Prusa: »Placówka«, Kraszewskiego: »Pomywaczka«, E. Orzeszkowej: »Szkice z głodnych lat«, »Z wojen krzyżackich w Polsce«, Anczyca: »Perły«, M. Konopnickiej: »W pośród Indyan«, »Jak słońce w Gorycyi wschodzi«, »Jak słońce w Gorycyi zachodzi«, L. Ostoi: »Wróg«, W. Kosiakiewicza: »Majowe nabożeństwo«, M. Parczewskiej: »Ksiądz dusza narodu«, A. Krechowieckiego: »Szary wilk«, M. Gawalewicza: »Ćma«, M. Rodziewiczówny: »Dewajtis«, »Za kratą«. Inne przekłady dzieł Konopnickiej, Bielawskiego, Łozińskiego, St. Żeromskiego pozostają w rękopisach.

Z tych wszystkich prac Miklavca bije wielkie zainteresowanie się jego i rozmiłowanie w literaturze naszej, jego mrówcza iście pilność i wytrwała praca przy słabem zdrowiu i ciągłej nędzy, w jakiej zostawał. Dziś w podeszłym już wieku i podupadły na siłach, nadto obarczony liczną rodziną, w wielkiej znajduje się biedzie, zmuszony jest wyciągać błagalną dłoń do swoich współbraci, jak się o tem dowiadujemy z czeskiego *Času*, który dla przyjaciół pisarza załącza jego adres: Petr Miklavec-Podrawski, Rybnica (Reifnigg) Styrya.

X.

Druk ukończono dnia 2 października 1907 r.

GENUEŃCZYK W POZNANIU.

Poczta przyniosła mi list niepowszedni. Signor Amedeo T., właściciel dużych zakładów przemysłowych pod Genuą, w którego willi doznałem przed dwoma laty najmilszej gościnności, zapowiadał mi swój przyjazd do Poznania.

Pisał, że, jadąc dla interesów do Rosyi, pragnie spełnić daną obietnicę i odwiedzić mnie w przejeździe *nella casa sua.*

Istotnie! Obietnica była dana, ale tak sobie, przy pożegnaniu, na dworcu kolei. Nie przywiązywałem wówczas do niej znaczenia.

Tem milszą była niespodzianka. Syn pięknej Italii na smutnej północy wielkopolskiej, to gość rzadki. Ciekawość, jak się w jego łacińskiem oku odbiją ludzie nasi i rzeczy i sprawy.

Nazajutrz przyjechał pociągiem berlińskim. Poznałem go z daleka, gdy wyskoczył z wagonu pierwszej klasy, ale nie poznałem, gdy po wstępnych powitaniach wybuchnął całym szeregiem ognistych pochwał na cześć wielkich, potężnych, znakomitych Prus.

— Przepraszam Pana — zawołał, siadając do samochodu, mającego nas odwieźć do miasta — wiem, że wam tu nie wesoło i że niejedno wam dokucza, ale to, co teraz przez miesiąc oglądałem, tak mnie po prostu upoiło, że muszę się panu koniecznie wyspowiadać.

I spowiadał się przez cały wieczór z istnie południową żywością.

Był rzeczywiście upojonym. Przemawiał, jak w zachwycie.

Roztaczał przedemną barwne obrazy dzieł pruskich pokoleń, od wielkiego Elektora i Starego Fritza do Steina, Bismarcka i Wilhelma II. Chwalił energię rządzących, karność rządzonych, porządki administracyi, rozwój handlu, przemysłu, sławił moc i dzielność i rozmach światowy pruskiego geniusza, chwalił wszystko i wszystkich nawet socyalistów w przeciwieństwie do czerwonych braci w innych krajach, nad Sprewą spokojnych, roztropnych ludzi do rzeczy i do rady.

A gdy tak mówił, wspominałem pewien wieczór po dniu upalnym, na rozkosznem wybrzeżu Liguryi. U stóp marmurowej terasy łagodnie tuliły się ciche fale, a niebo i morze i białe posągi i krasne powoje wiszących ogrodów, promieniały w czerwonozłotym blasku, ginącego w ametystowej toni słońca. Wtedy pan tego cudnego zakątka świata, wyciągnął rękę ku wodom śródziemnym i marzył głośno przedemną, o zmartwychstaniu łacińskiej przeszłości, o skupieniu znowu, jak dawniej, w około tego lustra Amfitryty wielkich środowisk ludzkiej pracy i myśli.

— Tu — mówił wówczas — było serce świata i znów być powinno, stąd niech czerpie podnietę kultura przyszłych pokoleń, tu święcić się będzie drugie odrodzenie, po wiekowym pomroku germańskich tryumfów, po brutalnem władaniu ducha północnych barbarzyńców.

Polskę nazwał wtedy *la dolce sorella* Boskiej Italii, siostrą wiecznie stęsknioną ze swych śnieżnych krain, ku słodyczom Południa.

A teraz! przysłuchiwałem się peanom nuconym z tych samych ust o kraju *pikelhauby* i *leberwurstu.* Odmieniono mi mojego Włocha, jakby zaklęciem czarodziejskiem.

Więc postanowiłem się trochę zemścić i zauważyłem od niechcenia — poszlij pan sprawozdanie ze swych wrażeń medyolańskiemu *Pensiero latino.* Wiem, że jako wybitny członek ligi łacińskiej, jesteś przyjacielem tego pisma.

Signor Amedeo uśmiechnął się i odrzekł wesoło:

— Przyznaję, że fantazya uniosła mnie za daleko, obetnijmy jej więc skrzydła.

I zaczął się rozwodzić nad wrażeniami ujemnemi, jakich mu również dostarczył pobyt w Prusiech.

— Odniosłem ich dużo — zapewniał — a wszystkie one dotyczą braku estetyki w tym dziwnym narodzie. Bo Prusacy są stanowczo osobnym narodem w wielkiej rodzinie germańskiej. Najdzielniejszym, ale też najmniej pięknym. Co za typy, jakie ciężkie, niezgrabne postacie snują się po ulicach ogromnego Berlina. A budynki, a posągi! Prawdziwa rozpacz! Przytem widać dużo dobrej woli. Ci ludzie pragną sztuki, wydają na nią dużo pieniędzy. Cesarz zagrzewa, jest na swój sposób równocześnie Augustem i Mecenatem. A jednak, cóż za marne wyniki. Widocznie piaski brandenburskie nie są glebą urodzajną dla dążeń artystycznych. Postawili nam w Giardino Borghese Goethego. Otóż myśl grzeczna i Goethe wielki, ale pomnik taki niełady. Pokolenia wyrosłe na piwie i *sauerkraucie*, lepiejby porzuciły to niewdzięczne dla nich pole sztuki, pozostając w dziedzinie im właściwej, rozwoju, potęgi i mocy. W niej ich przyszłość, w niej tryumfy, dla nas łacinników niebezpieczne, ale tak rzetelne i prawdziwe, że nie mogę im szczędzić swego uznania.

To mówiąc wydobył notatnik z kieszeni i zaczął określać na podstawie cyfr ogromne postępy przemysłu i handlu niemieckiego w ostatnich latach:

— Sama Francya straciła w roku ubiegłym przez współzawodnictwo niemieckie trzysta milionów obrotu handlowego. To, panie, ubytek kilkadziesiąt milionów czystego zysku! My w Genui dobrze wiemy z własnego doświadczenia, jak rośnie wywóz niemiecki. A u nas przecież także odrodzenie ekonomiczne. Ileż gorszem położenie takiej Rosyi wobec przemożnego sąsiada.

Sięgnął znów do kieszeni i wydobył fotografię.

Oto najdoskonalszy statek pasażerski na świecie, *Kronprincessin Cecilie*. Stanowi on rekord w swej dziedzinie. Zbudowali go Prusacy, a pozawczoraj widziałem go jak odpływał po raz pierwszy do Ameryki. To powodzenie na morzu jest środkiem do nowej wielkości, ale jest zarazem wynikiem ogromnego zasobu pracy i energii na polu wewnętrznego rozwoju kraju. Jedno

z drugiego wykwita, łączy się powodzenie z powodzeniem, owoce rozumu i wytrwałości stają się coraz obfitszymi.

— Czy nie zechcesz pan ocenić ich u nas — przerwałem.

— I owszem — brzmiała odpowiedź — nadzwyczaj zaciekawia mnie spór polsko-niemiecki. Wiem o nim coś nie coś od pana, a słyszałem także niejedno od Niemców berlińskich. Ale nic nie zastąpi naocznego zbadania. Mam przed sobą trzy dni wolne. Poświęcę je najchętniej na małą wycieczkę w Poznańskie, pod pańskiem przewodnictwem.

Stanęło na tem, że następne przedpołudnie poświęcimy przechadzce po mieście, a potem wyruszymy na wieś.

Zanim jednak udaliśmy się na spoczynek zapytałem go jeszcze, z jakimi to Niemcami rozmawiał o Księstwie. Pokazało się, że byli to panowie z berlińskiej *haute finance.* Wśród wyliczonych mi nazwisk stwierdziłem dwa o brzmieniu mocno hakatystycznem.

— Nie macie w nich przyjaciół — zapewniał Signor Amedeo — postanowili zniemczyć was za każdą cenę. Szkoda, szkoda biednego, nieszczęśliwego narodu. Podobno teraz kwestya Polska w Prusiech ma zostać ostatecznie załatwioną. Wasza bohaterska garstka będzie niezadługo tylko wspomnieniem.

To mówiąc westchnął, widocznie szczerze zmartwiony.

Było późno, więc nie próbowałem już prostować pojęć, nabytych przez mego gościa w tak podejrzanem źródle. Wręczyłem mu tylko do poduszki krótkie liczbowe zestawienie najważniejszych danych, dotyczących polskiego stanu posiadania w Prusiech. Zestawienie to przygotowałem na wszelki wypadek po odebraniu jego listu. Nie grzeszyło ono zresztą optymizmem, boć doprawdy, trudno Polakowi w Prusiech dziś być optymistą. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy nazajutrz rano, mój Włoch sam przyszedł mnie zbudzić i, trzymając moją kartkę w ręku, zawołał wesoło:

— A to figlarz z pana. Ja śpiewałem cały wieczór *requiem!* Polakom, a pan słuchałeś cierpliwie, dając mi odprawę dopiero tym oto memoryałem. Ależ to zupełnie inna sprawa, niż myślałem. *Evviva la Polonia invincibile!*

Tę nagłą zmianę swych zapatrywań wytłumaczył mi mój gość natychmiast.

Najpierw oświadczył, że nie miał pojęcia o rzeczywistej liczbie Polaków w Prusiech.

— Prawie cztery miliony, to poważny zastęp. Teraz przypominam sobie, że tę samą liczbę słyszałem z ust pańskich w swoim czasie w Genui, ale wyznaję, że pomięszałem wtedy dane, udzielone mi o Polakach w Prusiech z tem, co mi pan mówiłeś o swych ziomkach z innych zaborów. W Berlinie zaś nie wymieniono mi cyfr żadnych, powiedziano tylko ogólnikowo, że większa część waszego ludu jest już zniemczoną i że tylko agitatorowie wzbudzają sztucznie w pozostałej resztce poczucie polskie.

Tak mówił Signor Amedeo, ja zaś stwierdziłem ponownie głęboką znajomość duszy pruskiej, okazaną przez wielkiego ironistę parlamentarnego Eugeniusza Richtera, gdy nazwał wymowę pruskich narodowców podwójnem lustrem. W domu dla swoich odkrywa się stronę smutną. Straszne obrazy ukazują się oczom patrzących. Wojna nadciąga, trzeba pieniędzy na wojsko. Polacy są groźną potęgą, trzeba pieniędzy przeciw Polakom. Chwieją się podwaliny państwa, trzeba praw społecznych coraz ostrzejszych i surowszych. Za to dla obcych przeznaczona jest odwrotna strona lustra. W niej same obrazy różowe, jasne, jak poranek wiosenny. Wojsko zapewnia pokój wieczny, Polakom potrzeba już tylko trochę ojcowskiego skarcenia, by przejęli się ostatecznie pruską kulturą. Wszystko piękne, wszędzie dobrze, na pogodnem niebie, znikają ostatnie chmurki.

To porównanie Richtera można jeszcze uzupełnić. Uczy nas bowiem doświadczenie, że niekiedy zwykły porządek bywa zmienianym, wesołe lustro oglądają swoi, a ponure obcy. Zazwyczaj jednak domowe kłopoty, zachowane są dla oczu domowników.

I tak było tym razem. Włochowi nie podawano w Berlinie cyfr wprost fałszywych, lecz zaopatrzono go na drogę ogólnikami, dającymi fałszywy obraz położenia w dzielnicach pruskopolskich. Stąd jego zdziwienie, gdy się dowiedział, jak liczną jest nasza ludność, ile jeszcze posiada ziemi, jakie związki zarobkowe i społeczne, ile gazet, ilu przedstawicieli w trzech izbach

berlińskich. Czytał te wszystkie dane z moich zapisków ciągle zaznaczając, że wcale nie spodziewał się tak poważnego zasobu sił polskich w Prusiech.

A potem dodał. — Swiat jest duży i sprawy na nim z daleka maleją. U nas wszyscy czytali o sporach polsko-niemieckich. Pisano o dzieciach z Wrześni, a niedawno, o bezrobociu szkolnem. Ale te wieści i wrażenia przelotne, giną wśród innych. Nie ustala ich świadomość istotnego stanu rzeczy. Szkoda! Bo jak już widzę to sprawa ciekawsza i ważniejsza od tylu innych znanych nam lepiej np. alzackiej, duńskiej, lub katalońskiej. Lecz *per Bacco* idźmy teraz obejrzeć ją z blizka.

Wyszliśmy na miasto. Signor Amedeo pilnie zważał na końcówki nazwisk firm kupieckich. Kończące się na *ski* zaliczał do polskich, inne do niemieckich. Nie próbowałem rozszerzyć jego językoznawstwa objaśnieniem, że końcówki nazwisk polskich są wielce rozmaite. Znalazł się bowiem lepszy sposób pokazania cudzoziemcowi, jak często właśnie na polu językowem mylą u nas pozory.

Gość objawił zamiar załatwienia sprawunków. Zaprowadziłem go więc do kilku naszych kupców o nazwiskach czysto niemieckich, a potem pokazałem mu szereg firm germańskich o brzmieniu polskiem, opatrzonych typową dla obcych końcówką ski, dodałem, że w całej wschodniej połowie państwa, nie wyłączając Berlina, polskie nazwiska u szczerych Niemców są bardzo częste.

Signor Amedeo kiwał głową i zaczął ubolewać nad temi zamianami, jako dla nas z pewnością niekorzystnemi pod względem liczebnym. Przyznałem mu słuszność. Cóż znaczy nabytek paru tysięcy spolszczonych Niemców wobec całych dzielnic niepowrotnie dla nas straconych, jak Pomorze lub Dolny Śląsk!

— A teraz oczywiście niemczą się Polacy jeszcze o wiele szybciej niż poprzednio — wnioskował dalej.

Odpowiedziałem zgodnie z rzeczywistością t. j. przecząco. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu dowiedział się Włoch, że olbrzymie postępy dobrowolnej germanizacyi, najniebezpieczniejszej, zmniejszyły się bardzo w ostatnich dziesięcioleciach, że w Księstwie samem już chyba nikt się nie niemczy.

— A starania germanizacyjne rządu — zapytał żywo.

— Ten właśnie przynoszą owoc — odparłem.

Włoch się zamyślił i coś sobie zapisał w notatniku.

Tak rozmawiając doszliśmy do bramy wchodowej Bazaru.

W głównym hotelu poznańskim nigdy nie brak znajomych. To matematyczny środek miasta, a potrochu i dzielnicy. Jakoż, gdy stojąc w bramie, spoglądaliśmy na przeciwległy pomnik, nieszczęśliwego cesarza Fryderyka III, zjawił się niebawem przyjaciel z sąsiedniego powiatu, dobrze obeznany z gospodarczemi i społecznemi stosunkami kraju. Dowiedziawszy się, kim jest mój towarzysz, ułożył najchętniej plan wspólnej wycieczki na wieś. A ponieważ nie rozporządzał dniem następnym, więc stanęło na tem, że w drogę puścimy się zaraz, dalsze zwiedzanie Poznania odkładając na później.

Chwilę potem pędziliśmy w doróżce samochodowej za miasto. Włoch ciekaw był szczególniej dwóch rzeczy, wsi polskiej, w której się objawiło bezrobocie szkolne i osady kolonizacyjnej. O typowe okazy jednej i drugiej nie trudno w okolicy Poznania. Niebawem też zajaśniały na niebieskiem tle nieba czerwone dachy domków kolonizacyjnych, rozrzuconych pstrą gromadą wśród pól i łanów. Przed jedną z zagród, najbliższą drogi publicznej, orał młody Niemiec z fajką w ustach. Wyglądał porządnie, nawet sympatycznie. Mój przyjaciel, bawiący się trochę w fizyologię, odkrył w nim zaraz typ zachodniego Niemca, bez porównania szlachetniejszy i wytworniejszy od ponurych, a ciężkich postaci, rasy pruskiej.

Gdy samochód zatrzymał się, Niemiec porzucił swą robotę, zbliżył się do nas i zdjąwszy czapkę, zaczął prosić »szanownych panów«, by raczyli wyjednać mu zapomogę na rozmaite melioracye gospodarcze, jak twierdził, niemiernie mu potrzebne. Widocznie brał nas za urzędników Komisyi. Chciałem wyprowadzić go z błędu, lecz nie dopuścił mnie do słowa, wyliczając całą litanię swych potrzeb i niedostatków.

Signor Amedeo, władający dobrze językiem niemieckim słuchał tych wywodów z wielkiem zajęciem i skrzętnie je zapisywał.

To podnieciło jeszcze bardziej skarżącego się Niemca, który wreszcie zawołał:

— Spytajcie się panowie moich sąsiadów. Tu nikt z nas chętnie nie siedzi. Znęciły nas spodziewane ogromne zyski, a te najczęściej zawodzą. Pracujemy tak samo jak w domu, w Niemczech, a za to mamy przyjemność mieszkania w obcym kraju, w Polsce. Doprawdy nie warto było przenosić się tak daleko.

Pożegnaliśmy Niemca, który wrócił do swej roboty i samochód ruszył wolno dalej. Tuż za polem kolonisty zaczynała się długa ulica wsi polskiej. Mój przyjaciel znał w niej niemal każdego chłopa i opowiadał ciekawe szczegóły o sąsiedzkich stosunkach włościan obu narodowości. Nie są one tak złe, jak możnaby przypuszczać. Przyjaźni oczywiście niema, ale jest spokojne współpożycie na tej samej ziemi żywicielce. Koloniści rzadko tylko bywają butni, owszem najczęściej sami uważają się za obcych naszemu krajowi. Chcieliby zarobić jak najprędzej i jak najwięcej, ale w duszy ich drzemie pragnienie powrotu do ojczystych stron. Gdyby im była dozwoloną sprzedaż swych udziałów, niewielu z nich pozostałoby w Polsce. Tak bowiem nazywają krainę, do której ich przesiedlono. Gniewają się o to miano urzędnicy, ucząc przesiedleńców, że znajdują się *in der deutschen Ostmark,* ale poczucia narodowego nikt nie zmoże. Kresy są dla kolonistów obczyzną, Polską, i zostają nią mimo wszelkich nawoływań urzędowych.

Wogóle mają władze wiele kłopotu z kolonistami. Pominąwszy już brak zapału patryotycznego, nie okazują również koloniści zapału ekonomicznego. Urzędowa swada administracyi spotyka się tu z najpowszedniejszą prozą. Chłop niemiecki, jak każdy chłop na świecie, jest wielkim realistą. Nie marzy wiele, ale ocenia rzeczy i sprawy według ich obliczalnego zysku. Otóż obliczenia przesiedleńców często zawodzą. Opuścili odwieczną ojcowiznę znęceni świadomością, że idą na kresy, pod skrzydłami wszechpotężnego, złotodajnego rządu, że są tam potrzebni, i że za to będą sowicie wynagrodzeni. Kiedy rząd cesarski sam prosi, nęci i obiecuje, to musi to być doskonały, wyjątkowy interes. I jest nim rzeczywiście. Ale przecież nie takim, jakim go sobie

wyobrażano. Trzeba płacić daniny, kredyt jest ograniczony, udziały w ziemi wcale nie nadmierne, a ostatecznie tytuł własności bardzo wątpliwy. Nie wolno ani sprzedać, ani odłużyć, a nie zachowując się, jak należy, i nie spełniając przepisanych zobowiązań można ziemię nabytą utracić. Z tej różnicy pomiędzy spodziewanym olbrzymim, a osiągniętym skąpo i od twardej pracy zależnym zyskiem wynika źródło nieustających kwasów. Koloniści daleko więcej zajęci są myślą uzyskania od rządu coraz to nowych dobrodziejstw, niż chęcią odgrywania wobec Polaków roli zwycięzców.

Włoch słuchał pilnie nie przerywając wywodów swego informatora. Dotarliśmy do środka wsi, przed karczmę. Wokoło zatrzymanego samochodu zebrało się dużo ludzi, przeważnie kobiet i dzieci. Nagle gość nasz wysiadł z pojazdu i wchodząc w tłum, zaczął przemawiać po niemiecku. Gromada rozstąpiła się a głuche milczenie było odpowiedzią na zadane pytania. Spoglądano nieufnie na obcego przybysza. Wtedy Signor Amedeo odwrócił się ku nam i poprosił:

— A teraz, panowie, raczcie do nich przemówić po polsku.

I oczywiście na pierwsze słowa z naszej strony rozwiązały się języki całej gromady. Zarzucono nas pytaniami, a gdy powiedzieliśmy, że gość przyjechał aż z Włoch, by zobaczyć, co się u nas dzieje, powstał zapał nie do opisania. Kobiety przyciągały swoje dzieci i pokazywały ślady na rękach i plecach z przepraw szkolnych, wyrażając przytem swe uczucia w sposób nader wymowny. Jakaś młoda matka, trzymająca niemowlę na ręku, przybliżyła się do cudzoziemca i zaczęła mu tłumaczyć najrodowitszą wielkopolską gwarą, że swego Janka nigdy nie pozwoli zrobić Niemcem. Inna pocałowała go w rękę, prosząc, by opisał, jak to źle w tym kraju.

Wreszcie uciszyliśmy głośną wrzawę oświadczeniem, że gość nie rozumie ani słowa po polsku i że my sami już mu wszystko opowiemy, jak należy. Samochód ruszył dalej.

Zaledwie minęliśmy wieś, Signor Amedeo zaczął nam tłumaczyć, dlaczego przemówił do ludu po niemiecku.

— Chciałem się przekonać, czy chętnie będą mnie słuchać.

A stwierdziłem, że mnie zapewne nikt z otaczających nawet nie rozumiał. Tak to wygląda ów zachwalany mi w Berlinie duch niemiecki waszego ludu.

— Po stu latach panowania pruskiego — dodałem.

A Włoch na to:

— Żeby taki lud zniemczyć trzebaby pięćset lat.

Zaczem mówiliśmy mu o Śląsku i jego sześciowiekowem odłączeniu od Korony polskiej. On zaś zacierał ręce i powtarzał ciągle:

— *Che popolo Perseverante!*

Lecz korciło go jeszcze owe sąsiedztwo naszych chłopów z kolonistami, więc zapytał, czy ci ostatni przechodząc przez wieś polską, nie są narażeni na nieprzyjemności, a dowiedziawszy się, że owszem mogą spokojnie, choćby o północy krążyć wśród osad polskich, zawołał:

— To może i nauczyciele podczas dramatycznych chwil bezrobocia mogli bezbronni ukazywać się we wsi!

I zaręczał, że we Włoszech nie obeszłoby się w takich razach bez sztyletu lub noża.

Z tego wywiązała się rozmowa o sposobach samoobrony odpowiednich dla narodów uciśnionych. Signor Amedeo godził się najzupełniej na zdanie nasze, że najgorszem lekarstwem na ucisk i bezprawie z góry, jest bezprawie z dołu.

— Rozumiem — prawił — waszą dzielną odporność. Opiera się ona na prawie ludzkiem i Bożem. W tem jej dziwna, zdumiewająca siła. Nawet dla cudzoziemca, to co się tu dzieje nie graniczy z cudem. Kto poznał i ocenił ogrom potęgi pruskiej i potem widzi jej wyniki na własnych kresach, temu doprawdy nie trudno za pomocą wywodów logiki skojarzyć przyczynę ze skutkiem, rozwój mocy z jej wydatnością. Wy tu bronicie pierwiastku moralnego nie tylko dla siebie, lecz jako dobra ogólno-ludzkiego, a więc także dla Niemców. I oni tego nie mogą nie czuć. To nie osłabia ich ciosów, lecz czyni je mniej trafnymi a przez to samo mniej skutecznymi, zmusza ich do ciągłych wykrętów, do bezustannej hypokryzyi, by zachować choć trochę pozorów.

Przerwało swadę wymownemu synowi Italii głośne ode-

zwanie się naszej trąby sygnałowej. Samochód skręcił z gościńca i chwilę potem wysiadaliśmy przed siedzibą mego przyjaciela.

Czytałem w ostatnich dniach jedną z powieści Conana Doylego o dziełach i czynach Sherlocka Holmesa. I gdybym nie był znał od dawna naszego włoskiego przybysza, byłbym zdolny uwierzyć, że to genialny angielski detektyw składa nam odwiedziny pod jedną z rozmaitych postaci, jakie zwykł przybierać. Wprowadzony do pokojów, Signor Amedeo objawiał nadzwyczajne zajęcie się urządzeniem domowem. Mówił, że pragnie poznać, jak mieszkają ziemianie polscy. Gdy mu jednak wobec tego ofiarowano zwiedzenie całego domu i zabudowań gospodarskich, oświadczył, że najpierw prosi o pokazanie biblioteki i gabinetu pana domu. Tam zrobił istny przegląd gazet i czasopism, leżących na stołach, a chodząc wzdłuż szaf bibliotecznych, pilnie zważał na tytuły książek.

Podczas obiadu wytłumaczył nam swą ciekawość.

— Obcemu, szczególniej gdy nie zna języka miejscowego, trudno jest badać rzeczywiste usposobienie mieszkańców zwiedzanego kraju. Zależnym jest od tłumaczów i przewodników. Ja tu jestem szczęśliwszy, rozporządzając łaskawością dwóch tak uprzejmych znajomych. Ale darujcie panowie! Ułożyłem sobie w głowie małą *combinazione*. Rozumowałem tak: Zapiski wręczone mi wczoraj wieczorem są ścisłe. Tam same cyfry a przy każdej z nich podane źródło, z którego zaczerpnięte, przeważnie niemieckie. Ale ja, prócz cyfr, pragnę poznać duszę tego kraju, o ile to jest możliwem w przelotnym pobycie. Więc rozmawiam z wami, panowie, i widzę waszą wolę i waszą myśl, nie widzę waszej duszy. Co chcecie, wiem; jak myślicie, słyszę; co czujecie na prawdę, tego z waszych słów dociec nie mogę. Jesteście patryotami, mówicie o doli swego kraju! Któż wtedy potrafi być zupełnie przedmiotowym, któż trochę nie zabarwi i swych uczuć i swych nadziei. Ja sam wiem dobrze, że o sprawach włoskich mówię nieco inaczej, cieplej, serdeczniej, niż o innych. Dlatego, gdy mi zaręczaliście, że wasz lud jest dalekim od zgermanizowania, wierzyłem wam wprawdzie, lecz swoją drogą pozwoliłem sobie na małą próbę w owej wsi sąsiadującej z kolonizacyą.

A następnie, gdy zapewnialiście, że zagrożona wywłaszczeniem szlachta stanowi czynnik legalny, spokojny i w niczem Niemcom nie dokuczający, wierzyłem wam także, ale powiedziałem sobie, zobaczymy, czy zastanę choć jaki druk niemiecki w tej staropolskiej siedzibie. I zastałem nie jedną, lecz setki niemieckich książek i czasopismo naukowe i gazety codzienne i broszur politycznych cały stos. Na półce ujrzałem piękne wydanie Goethego, a na stole wśród książek polskich i francuskich otwarty tom Szyllera.

— Zauważ pan — oświadczył na to nasz gospodarz — że jestem bardzo źle zapisany u Niemców tutejszych. W urzędzie powiedzianoby panu z pewnością, że w danym razie podległbym jako jeden z pierwszych prawu wywłaszczenia.

Włoch aż skoczył w górę.

— Jak to, więc pana, spokojnego obywatela, wyrugowanoby z tego domu przemocą! Ja sądziłem, że Prusom chodzi o zniesienie jakichś gniazd fanatycznych spiskowców, polskiej *irredenty!* A tymczasem widzę, że owymi fanatykami są ludzie czytający Szyllera. Cóż więc panu zarzucają szowiniści państwowi?

— Dwie rzeczy — odrzekł pan domu. — Po pierwsze, głosuję przy wyborach na kandydatów polskich i to samo czynią moi ludzie. Ale to jest najmniejsza zbrodnia w oczach naszych przeciwników.

— Ciekawym, jaką będzie ta większa — wtrącił Signor Amedeo.

Nasz gospodarz ciągnął dalej:

— Właściwa, główna moja zbrodnia w oczach pruskich, nie leży wcale na polu politycznem, lecz na polu ekonomicznem. Nie tracę majątku, owszem dorabiam grosza i mam go trochę więcej od moich sąsiadów Niemców. To jest grzech kardynalny, na który niema odpuszczenia. Dawniej tu politykowano w rozmaity sposób, lecz na prawdę, dziś dla Niemców polityka jest tylko pozorem nieraz wygodnym a jedynem prawdziwem uczuciem jest pożądliwość ekonomiczna. Mają już wszystkie posady rządowe, mają kolonizacyę, ale i to im nie wystarcza. Chcą więcej i coraz więcej. Dlatego też Polak bankrut, choć najgorętszy narodowiec, jest im

w gruncie rzeczy milszym od najspokojniejszego lecz bogatego. Oni się boją pracy polskiej i pieniędzy polskich a zresztą niczego.

Signor Amedeo jął zaprzeczać:

— Jakże to wszystko połączyć z całokształtem polityki pruskiej — zawołał. — Czyż nie opiera się ona na ogólnym wzroście i popieraniu dobrobytu w całem państwie, którego wielki rozkwit dopiero co miałem sposobność podziwiać. Rugowanie zdrowych ekonomicznie czynników w jednej dzielnicy zaprzeczałoby popieraniu ich w reszcie monarchii. Ze strony rządu trudno przypuszczać takie burzenie własnych zasad, obalanie podstaw własności w chwili, gdy na wschodzie ta sama teorya już tak zgubne i niebezpieczne przybrała formy. Prywatnym zaś Niemcom na kresach, wywłaszczanie niemniej zdawać się musi szkodliwem, bo *hodie mihi cras tibi*, a zresztą nie czekając jutra, tak radykalny eksperyment ekonomiczny musiałby od razu wywrzeć złe skutki, nawet na niedotkniętych nim bezpośrednio.

— A zatem — przerwałem.

— A zatem, nie rozumiem — kończył Genueńczyk — bo widzę niedorzeczność wywłaszczania, a jednak liczą się z niem i tu i w mądrym, daleko widzącym Berlinie. Dziwna zagadka!

Pan domu powstał i poprosił nas do swej pracowni.

— Tam, jak na zawołanie, posiadam klucz do zagadki, tak tajemniczej dla każdego obcego.

I gdy zasiedliśmy przy dużym stole, zasłanym papierami, uprzątnął je wszystkie, a natomiast wydobył z szafy potężną plikę listów i rachunków, które roztoczył przed nami.

— Oto moje archiwum w sprawie wywłaszczania — objaśnił. — A że składa się przeważnie z dokumentów o treści niemieckiej, więc będzie ono tem przystępniejszem dla naszego miłego gościa. Oto zaraz koperta o zawartości nader pouczającej.

I wyjąwszy z niej trzy ćwiartki papieru, złożone razem, zaczął jedną z nich głośno nam czytać.

Był to list od barona niemieckiego, do jednego z ajentów polskich. Baron pisał, że gotów jest pośredniczyć w sprzedaży Polakowi wsi rycerskiej swego kuzyna, a mianowicie w ten sposób,

że on, baron, wieś kupi na swoje imię, potem zaś zaraz odsprzeda nabywcy, któregoby wskazał ajent. Dla siebie żądał baron okrągłej kwoty dwudziestu tysięcy marek. Po tem zaofiarowaniu swych usług uzasadniał piszący ich wartość.

Zaznaczał, że kuzyn zbyt jest skrępowany swymi stosunkami ze światem urzędowym, by mógł się odważyć na jawną sprzedaż Polakowi. Ale uczyni to bardzo chętnie, o ile będzie mógł zwalić odpowiedzialność na kogoś innego, a mianowicie na niego, barona, członka, starego niemieckiego rodu, byłego oficera, w jednym z najświetniejszych pułków kawaleryi. »Mną kuzyn będzie zakryty — pisał szlachetny baron — a znów mnie zupełnie będzie obojętnym gniew sfer urzędowych. W wojsku już nie służę, więc nie mogą mnie ukarać, a zarobić trochę grosza pragnę usilnie«.

Do tego listu dołączoną była kopia odpowiedzi ajenta, zaznaczająca, że zanim przystąpi do rozpatrzenia się w interesie, pragnie mieć dowód na piśmie, że ów kuzyn istotnie pokłada swe zaufanie w jaśnie wielmożnym panu baronie. O ten dowód widocznie baronowi nie było trudno, gdyż odwrotną pocztą posyłał ajentowi list, otrzymany od swego kuzyna.

Pismo to, niezmiernie charakterystyczne, przepisał sobie w całości signor Amedeo do swego notatnika. Oto treść dosłowna tych rodzinnych wynurzeń:

»Kochany Karolu! — pisze kuzyn. — Powracam do rozmowy, którą mieliśmy przed paru tygodniami w sprawie sprzedaży mej wsi rycerskiej. Godzę się najzupełniej na twoją propozycyę służenia mi za pośrednika. Wprost sprzedawać Polakowi nie mogę, bo to zaszkodziłoby karyerze mojego Fritza. Tobie zaś nic zrobić nie mogą, a trochę zarobku z pewnością będzie ci pożądanem. Więc śmiało naprzód. *Noch ist Polen nicht verloren!* Kiedy płacą lepiej od Niemców, trzeba brać. Ale powiedz im, że kolonizacya daje 350 marek za morgę. Może oni dadzą 400. Taniej nie sprzedam. Niech zarobię coś za kłopoty, które jednak potem na mnie spadną ze strony hakatystycznych donkiszotów. Ale trzeba się śpieszyć, nim dotknie nas katastrofa wywłaszczenia. My tu wszyscy drżymy przed nią bardziej, niż Polacy. Im przy-

najmniej dobrze zapłacą za ziemię. Ale my co zrobimy! Zostaniemy z długami na roli bez kupców a tem samem bez kredytu, boć kredyt zależny jest od pokupu. Kolonizacya zacznie potem płacić coraz taniej, słowem krach na całej linii, dla niemieckich właścicieli. Przymawiałem się wczoraj landratowi, by za jego protekcyą kupił moją wieś zarząd domen królewskich. Na to, odpowiedział mi, że obowiązkiem Niemca na Wschodzie jest wytrwać na stanowisku. Niech się da wypchać ze swojem stanowiskiem sławetna głowa powiatu. Ci ludzie zwaryowali. Zapominają o istocie rzeczy, tem, że Niemiec idący na ten zakazany Wschód, idzie dla spekulacyi, a nie dla czego innego. Ta spekulacya jest prawdziwym patryotyzmem, wzbogaca przedsiębiorcze jednostki. Zresztą niech rząd robi sobie co chce, ja żadną miarą nie myślę się krępować. Oczekuję wiadomości od ciebie i przesyłam ci najlepsze pozdrowienie«.

Treść tych trzech listów wywarła na Włochu silne wrażenie.

— Zmieniłem od wczoraj — odpowiedział — już wiele ze swoich dawniejszych poglądów na sprawę polsko-niemiecką, ale tego, co tu widzę, jednak się nie spodziewałem. Ten arystokrata germański ofiarowujący prosto z mostu swe usługi polskiemu ajentowi, dalej widoczne przekonanie tego ostatniego, że można bez obrazy zażądać od szlachetnego barona dowodu prawdy na jego słowa, a wreszcie ten odwrotną pocztą nadesłany, a zdumiewający swym cynizmem dowód, wszystko to odsłania mi praktykę życiową w waszym kraju. Na Polaków rzuca ta korespondencya osobne światło. Widać, że oni dla idei chętnie drogo płacą.

Pan domu przerwał mu:

— Dla idei, to prawda, ale także dlatego, że nauczywszy się dobrze gospodarować umieją ciągnąć z ziemi poważne dochody. Dla nich ziemia ma istotnie większą wartość, niż dla Niemców, bo ją uważają nie jako przedmiot spekulacyi, lecz jako trwały warsztat, w którym ulepszenia i nakłady opłacają się z czasem sowicie.

— Znak wyższej kultury — rzekł signor Amedeo.

Na biurku zabrzmiał dzwonek telefonu. Nasz gospodarz przyłożył słuchawkę do ucha a potem odpowiadał po niemiecku:

— *Nicht in der Lage,* panie sąsiedzie. Nie mogę żadną miarą. Spuść pan 10 talarów na mordze, to pomówimy.

— — — — — — — — — — — — — — —

— Zgodzę się, ale pod warunkami, wyrażonemi w ostatnim moim liście.

Znów odezwał się dzwonek. Rozmowa była skończona.

Pan domu zawołał wesoło:

Moje archiwum wzbogaci się nowym dokumentem. Jutro przyszle mi swe ostateczne warunki sąsiad, Niemiec z krwi i kości, siedzący mi pod bokiem od kilkunastu lat. Nieodrodny to kolega barona i jego kuzyna, a nawet ich przewyższa, bo należy sam do bractwa trzech liter. Od miesiąca urządza na mnie istną obławę, w nadziei, że znęci mnie jego ładna wioska, granicząca ze mną o miedzę. Ja zaś kupiłbym chętnie, bo to wyborny kawał ziemi, i daję mu wysoką cenę. Ale on żąda jeszcze wyższej, za wysokiej. Więc pewnie rozbije się interes.

— Widzę, że podaż wsi niemieckich, to u was teraz chleb powszedni — zauważył Włoch.

— Istotnie — brzmiała odpowiedź — żyjemy w atmosferze gorączkowej. Zapowiedź wywłaszczenia wytrąciła naszych Niemców z resztek równowagi, jaką posiadali. Kilkuset fanatyków szaleje po prostu, dmąc coraz zajadlej w surmę bojową, a cały liczny zastęp ludzi posiadających, zarówno Niemców jak Żydów, ogarnięty został rzeczywistą paniką wobec prawdopodobnego spadku cen i niebezpiecznych przewrotów ekonomicznych. Nie mają dość śmiałości by skutecznie wystąpić przeciw dzikim zamysłom hakatyzmu, ale kto może usiłuje na własną rękę zabezpieczyć się przeciw ich może już blizkim skutkom. Dlatego też zamożniejsi Polacy są teraz oblegani przez niemieckich sprzedawców.

— Przepraszam pana — wtrącił Genueńczyk — znów nie rozumiem logiki tych rachub. Jakim sposobem groźba wywłaszczenia ma zachęcać Polaków do kupna, lub choćby wzbudzać tego rodzaju nadzieje u spekulantów niemieckich?

I zatrzymawszy się chwilę, jakby szukając odpowiednich

słów, wyraził ostrożnie przypuszczenie, że chyba obie strony liczą na bardzo drogie ceny wykupna.

Zamiast odpowiedzi wręczyliśmy Włochowi numer niemieckiej gazety, zawierający spis majątków sprzedanych Polakom w ostatnich miesiącach wprost lub przez ajentów. Spis obejmował zaledwie kilkanaście nazwisk. Sama zaś gazeta dodawała od siebie, że nabywcami byli wyłącznie Polacy zamożni, posiadający odpowiednie kapitały.

Gość zastanowił się.

— To znaczy, że Polacy jeszcze dziś, w sierpniu, tak urządzają swe sprawy, jak gdyby w zimie nie groziły im z Berlina uchwały wywłaszczające.

— Tu pana czekałem — zawołał pan domu. — Już spostrzegłeś, że ocena spraw naszych wymaga bystrego oka i subtelnego sądu. Utartemi formułkami określać jej nie można, a niestety niemi właśnie posługują się nasi nieprzyjaciele, ku naszej a także ku własnej szkodzie. Jesteś tu pan od 24 godzin, a już stwierdzasz mnóstwo pozornych sprzeczności. Mówię pozornych, boć w rzeczywistości przy bliższem wniknięciu w istotę rzeczy ukazują się te sprzeczności, jako logicznie złączone ogniwa jednego łańcucha przyczyn i skutków. Z dwóch czynników przeciwnych sobie w tym kraju, jeden niemiecki, wciąż spekuluje, urządza najrozmaitsze próby, przedstawia obraz ciągłej zmiany w swej taktyce, coraz to nowych pomysłów, gdy poprzednie zawodzą. Drugi zaś, polski, jest zachowawczym na wskroś, rozwija się na podstawach naturalnych, nie ryzykuje, nie gra na zwyżkę lub zniżkę w politycznej giełdzie. Jak inne objawy, tak samo zachowanie się Polaków wobec grożącego wywłaszczenia są wymownym dowodem polskiego realizmu w narzuconej walce. Polacy siedzą na swoich majątkach i liczą się z tym, na razie niezaprzeczonym faktem, gospodarując tak, jakby na nich mieli wiecznie siedzieć. Wkoło nich huczy burza, ale wiadomo, że nie wszystkie pioruny trafiają w dom. Może przyjdzie wywłaszczenie, może też nie przyjdzie. Dosyć jest przeciwnych mu Niemców. A jeżeli nawet przyjdzie, to i wtedy zobaczymy dopiero, czy się powiedzie.

— Jeżeli dobrze pana rozumiem — zagadnął signor Amedeo —

to i na ten ostatni smutny wypadek, obmyślacie już różne środki obrony.

— Mylisz się znowu, szanowny przyjacielu, — odpowiedział nasz gospodarz. — Rzeczywistych środków czynnej obrony nie obmyślamy, bo ich mieć nie możemy. Ale sama natura rzeczy sprawia, że najczęściej zamachy niemieckie nie osiągają swego celu, nieraz nawet wywołują wynik wprost przeciwny od zamierzonego. Tak było np. z ostatniem prawem krępującem swobodę parcelacyi ziemi. Uniemożliwiono nawet polskim bankom zakładanie nowych gospodarstw chłopskich, nie wolno dziś budować domu mieszkalnego na odłączonej parceli i oto zamiast zabić działalność parcelacyjną, wprowadziła ją nowa ustawa na tory wprawdzie ciasne, ale bezpieczniejsze i pewniejsze. Sprzedaje się dziś ziemię wyłącznie tylko tym chłopom, którzy sąsiadując z nią, mają w pobliżu własne zabudowanie gospodarskie. Tacy zaś nabywcy są najpewniejszymi klientami instytucyi parcelacyjnej.

Włochowi aż oczy się zaświeciły.

— *Bravo, bravissimo!* — zawołał z zapałem. — Można się u was doprawdy wiele nauczyć. Lecz pragnąłbym jeszcze wiedzieć, jakie trudności napotka w swym niszczącym pochodzie prawo wywłaszczenia. Zapłacą, a potem usuną was i kwita.

Wyznaję, że usłyszawszy to zapytanie włoskiego gościa byłem nieco zakłopotany. Widziałem, że Signor Amedeo bardzo sumiennie prowadzi swoje badanie i że głównie dba o dane ścisłe, oparte na cyfrach. Otóż, choć archiwum mego przyjaciela dotąd służyło nam doskonale dokumentami z teraźniejszości, sądziłem, że nie posiada ich w stosunku do przyszłości. Czułem zaś, że ogólnikowe twierdzenia nie trafią gościowi do przekonania.

Lecz niebawem pan domu wybawił mnię z kłopotu. Jego archiwum okazało się rzeczywiście na wysokości swego zadania. Posiadało także materyały, dotyczące rzeczy przyszłych.

Po krótkiem szperaniu wśród papierów, wręczonym został Włochowi spis całego szeregu majątków wielkopolskich, obejmujący zestawienie szczegółowe ich produkcyi i dochodów. Wynikało z niego, że wskutek wzorowej administracyi, poczynionych wkładów, a także dobrych klimatycznych warunków ostatnich lat,

czysty dochód i tem samem wartość ziemi wzmogła się ogromnie, dochodząc do dwóch, trzech, a nawet pięciu tysięcy marek za hektar. Kolonizacya zaś płacąc, jak dotąd, poniżej 1500 marek za hektar, już od dawna robi złe interesa, traci ogromne sumy, co zresztą nie jest wcale dziwnem, bo wszędzie na świecie przedsiębiorstwa rządowe, wkraczające w dziedzinę wytwórczości prywatnej, pracują nader kosztownie i ze stratą. Ten niekorzystny stan rzeczy wzmógłby się jeszcze potężniej, gdyby przyszło wywłaszczać majątki najlepiej zagospodarowane, zamiast, jak dotąd, kupować ziemię od ludzi na wpół lub zupełnie zrujnowanych.

Włoch słuchał pilnie, co chwila powracał do już przeczytanych kartek wykazu i zapisywał sobie z nich całe ustępy i szeregi liczb. Z wielkiem uznaniem stwierdził, że bilanse pochodziły przeważnie od *Deutsche Landwirthschaftsgesellschaft,* prowadzącej rachunkowość wielu majętności polskich.

— Dla zagranicznego badacza — zapewniał — jest ta okoliczność po prostu nieocenioną. Tym cyfrom, choćbym nie chciał, muszę wierzyć. Z pewnością nie skreśliła ich szczególniejsza życzliwość dla sprawy polskiej.

A potem rozpatrywał naszą uwagę, że przy wykupnie przymusowem wchodzi w grę oprócz wartości materyalnej danego przedmiotu, także jego wartość moralna, stanowisko społeczne, wynikające z posiadania starej rodowej siedziby i mniej lub więcej wspaniały wygląd tej ostatniej. Tego wszystkiego pozbawionym byłby właściciel przez wywłaszczenie przymusowe i za to wszystko ma prawo żądać odszkodowania. Jakże tu cenić majątki, jakaż różnorodność w szacowaniu poszczególnych przedmiotów wywłaszczenia. A już dziś kolonizacya jest kulą u nogi budżetu pruskiego.

Pokazało się, że nasz gość niedarmo był z zawodu finansistą. Do naszych bowiem informacyi zaczął teraz dołączać swoje.

— Wiecie równie dobrze, jak ja, że pieniądz dziś w Niemczech drogi, a nawet bardzo drogi. Przyczyna tego w nadmiernej rzutkości handlu i przemysłu niemieckiego, w śmiałości jego wielkich finansistów a także i to znacznie w nieoględności finansowej rządu. To wszystko znanem wam jest, panowie. Ale szkoda, że patrząc na rzeczy te z wewnątrz, nie możecie równocześnie stać za kulisami

świata finansowego zagranicznego i przypatrywać się sprawom niemieckim z zewnątrz. Zaprawdę, tak oglądane, przedstawiają Niemcy nadzwyczaj niespodziewany widok.

Pieniądz we Francyi jest tani, za tani. Tak samo w Belgii i Holandyi. Niedrogi też w Anglii a nawet i u nas we Włoszech tanieje z roku na rok. Więc czemuż nie płynie do Niemiec, gdzie jest drogi, coraz droższy, lecz raczej do Rosyi, Portugalii, Południowej Ameryki, słowem do firm niepewnych, dłużników lichych, płacących odsetki co prawda wysokie, lecz słabo zagwarantowane. Czyż Niemcy nie dają zabezpieczeń bez porównania lepszych i czyż nie byłoby wprost świetnym interesem otworzyć tak potężnej firmie drogi kredyt?

— Istotnie trudno dziś o lepszego dłużnika — wtrąciłem.

— Tak i nie — odrzekł Signor Amedeo. — Materyalna podstawa niemieckiego kredytu jest rzeczywiście doskonałą. Nie prędko powtórzy się takie położenie, jak obecne, społeczeństwo w pełnym rozwoju ekonomicznym kraju świetnie zagospodarowanego, a jednak chorującego na brak kredytu. Ale z drugiej strony ekonomiści zagraniczni, choć wiedzą dobrze ile warta firma niemiecka, muszą patrzeć w dal. A dal ta napełniona jest chmurami. Podmuchy burzy wioną przez Europę, a wszystkie one ciągną od Berlina. Rok temu przed konferencyą marokańską w Algericas, już grzmiało i błyskało Teraz, dzięki mądrej inicyatywie króla Edwarda i taktowi gabinetów europejskich, pohamowano cokolwiek wojownicze zapędy berlińskich potentatów. Ale właśnie to odosobnienie polityczne Niemiec wpływa bardzo niekorzystnie na ich położenie finansowe. W Niemczech nie tyle brak pieniędzy, ile raczej widocznym jest fakt, że posiadacze ich stali się nader ostrożnymi. A to wielka niewygoda dla handlu i przemysłu, będącego w pełnym ruchu ekspanzywnym. Zagranica zaś boi się po prostu korzystać z tego stanu rzeczy i pchać swoje kapitały w niemieckie ręce. Bo kłopoty pieniężne Niemców są jednym z najlepszych hamulców dla ich zbytniej krewkości w stosunkach międzynarodowych. Istnieją jeszcze hamulce inne, ale takiej potęgi jak dzisiejsze Niemcy nigdy nie można dostatecznie skrępować.

— O tem wszystkiem wiemy wybornie — rzekł pan domu —

i nie wątpimy, że w każdym razie niewesołem będzie usposobienie izb pruskich, gdy im przyjdzie uchwalać na nieproduktywne cele polityki antypolskiej nowe setki milionów.

— Może nawet miliardy — dodał Signor Amedeo — bo jeżeli wywłaszczenie ma być skutecznem, toć trzeba będzie usunąć z ziemi także polskiego chłopa.

I zaczął się rozwodzić nad niepraktycznością polityki ekonomicznej rządu pruskiego na Wschodzie.

— Przykrości mają wam zrobić jeszcze dużo, bardzo dużo. Zniszczą niejeden owoc pracy polskiej i obniżą tem samem ogólny poziom kraju; z dziedzicznych pałaców mogą usunąć właścicieli i dzieci szkolne zmusić do odpowiadania po niemiecku. Ale całego kraju nie wywłaszczą, ani ludności nie zniemczą. Owszem stworzą sobie tylko jątrzącą się ranę w własnym organizmie państwowym. Że też mądrzy panowie berlińscy nie zdają sobie z tego sprawy?! A może też wiedzą co czynią, lecz nie mają odwagi opuścić fałszywej drogi.

— Tak jest — podchwycił pan domu. — Dziś znam więcej Niemców potępiających szowinizm pruski na wschodnich kresach, niż takich, którzy w tym szowinizmie widzą objaw miłości niemieckiej i ojczyzny.

— Ale cofnąć się trudno, przyznać się do błędu jeszcze trudniej — dokończył z uśmiechem Genueńczyk.

Gwarzyliśmy w ten sposób jeszcze długo, wreszcie zrobiło się późno. Wypadało wracać do Poznania. Wyjechaliśmy znów we trójkę, gdyż mój przyjaciel miał zamiar nocnym pociągiem udać się w dalsze strony.

Dwie godziny później siedzieliśmy przy wieczerzy w Bazarze. Włoch reasumował swoje wrażenia.

— Kto wierzy w sprawiedliwość dziejową — mówił — ten nie zaprzeczy, że Prusacy sami ją sobie gotują tu na wschodzie. Ich rozum, dzielność i praca, świetne i znakomite odnoszą zdobycze na innych polach. Za swoje cnoty państwowe i społeczne nagradzani są różnorodnie i wielce. Ale obok tej cnoty i tych zalet, mają następcy Krzyżaków swoje grzechy: bezwzględność dla wrogów i pychę, pychę bez granic i miary. Ona tu w waszym

kraju objawia się najstraszniej, najbrutalniej, i tutaj też już jest karaną i będzie jeszcze bardziej. Wobec sąsiadów swych są dotąd jeszcze organizmem zdrowym, więc nad nimi górują. Wobec was uciśnionych są siłą moralnie niższą, społecznie gorszą i dlatego was nie mogą pokonać.

— Jakiż stąd wniosek — zapytałem.

Signor Amedeo chwycił mnie za rękę i odrzekł:

— Jesteś pan zdrowym, lecz przypuścić na chwilę, że utworzył się panu na dłoni bolesny wrzód. Zamiast go leczyć maścią gojącą, drażnisz go ciągle, rozrywasz i jątrzysz. Jakiż będzie skutek. Ten chyba, że wrzód się zaogni, powoli zapalenie wzrośnie, i cała ręka zacznie gorączkować. A właśnie wypada panu spełniać czynność, do której obie ręce są panu potrzebne. Cóż wtedy! Jesteś słabszym, odporność twoja zmniejszona, cały organizm mniej zdolnym do walki z życiem, tem bardziej do walki o życie. Tak przedstawia mi się sprawa polska w Prusiech. Jest bolączką w ciele państwowem. Nie leczona jątrzy się, stanowi słabą stronę w potężnym organizmie pruskim. A że ten organizm wśród nieżyczliwości europejskiej żyje jedynie wielkiem naprężeniem swych sił żywotnych i ciągłem objawianiem swej dzielności, przeto taka rana jest mu dziś już niewygodną, a w razie większych trudności życiowych stanie się zabójczą.

Te słowa naszego gościa nasunęły nam myśl, że może mniema on, że Polacy zrozpaczeni uciskiem, chwycą za broń w razie zawikłania się Prus w wojnę zagraniczną. Zaczęliśmy więc zaręczać mu, że tego rodzaju mrzonki nie istnieją u nas nawet w głowach najmniej dowarzonych.

Ale pokazało się, że Signor Amedeo podczas swego krótkiego u nas pobytu już był dostatecznie zrozumiał ducha kraju. Zawołał bowiem stanowczo:

— Ani mi przez myśl nie przechodzi taki obrót rzeczy. Rana polska zupełnie inaczej da się we znaki tym, którzy ją wciąż zaogniają.

I wyjaśnił nam, jak sobie przedstawia przyszły rozwój sporu polsko-pruskiego i jego wpływu na losy monarchii. Zdaniem jego, Prusy się nie opamiętają, lecz rozwścieklone niepowo-

dzeniem swych dotychczasowych zakusów, będą próbować wciąż nowych. Najbliższym z kolei będzie wywłaszczenie szlachty wielkopolskiej. To zerwie ostatnie mosty pomiędzy Niemcami, a Polakami, przepaść stanie się nie do przebycia, jedyny czynnik zdolny do pośredniczenia pomiędzy rządem, a ludnością będzie usuniętym. Od tej chwili kwestya polska stanie się z czysto narodowej, narodowo-społeczną, podwójnie groźną. Ze względów politycznych przejdą całe polskie kresy do obozu socyalistycznego, złączą się z protestem proletaryatu niemieckiego i wzmocnią go olbrzymio. Los wyższych warstw niemieckich na wschodzie, stanie się nieznośnym. A rząd i hakatyzm będą brnąć dalej na fałszywej drodze. Zaczną wywłaszczać chłopów, ale to się nie powiedzie. Ten i ów stanie przed progiem swego domu z siekierą w ręku. Po kilku takich próbach, rząd ograniczy się na karach pieniężnych i upośledzaniu gmin opornych. Powstaną strejki szkolne i rolnicze, czyli znów kary, więzienia i rozjątrzenie stosunków. Prusy wytworzą sobie w swojem łonie drugą Irlandyę, ale większą i groźniejszą od tamtej. A tymczasem Europa coraz pilniej przypatrywać się będzie słabej stronie pruskiej. Ta ostatnia zacznie odgrywać rolę w kombinacyach międzynarodowych, tem większą, im znaczniejszym będzie jej wpływ na wewnętrzne stosunki w Niemczech. Bo, jak powodzenie, tak i niepowodzenie, idzie seryami. Widząc kłopoty rządu pruskiego na wschodniem skrzydle, ośmielą się wszystkie inne czynniki niezadowolone w państwie. Rozognią się na nowo inne, także obce kresy. W niezdobytej warowni germańskiej, zaczną się tworzyć szczeliny i wyłomy. Separatyzm południowców znów zacznie nurtować w sercach Bawarów i Wirtemberczyków. Zmniejszy się odporność siły pruskiej, a ta odporność, właśnie dla Prus jest najpotrzebniejszą, dla tego państwa, którego znaczenie w świecie polega głównie na tem, że dziś, boją go się wszyscy. Zle mu będzie, gdy zmniejszy się ta obawa.

Włocha unosiła widocznie wyobraźnia. Żartobliwie rzekłem półgłosem — *si non vero e bene trovato.*

Ale on się zaperzył.

— Ja nie zmyślam panowie i nie stawiam horoskopu przy-

szłości, bez opierania się na przesłankach teraźniejszości. Wszystkie te objawy, prądy i uczucia istnieją już dziś, żadnego z tych zarodków nie brak w nowożytnych Niemczech. Ale są to tylko iskry tlejące. Nie mogą wybuchnąć jasnym płomieniem, bo przydusza je ciężar pancerza pruskiego. Nie patrzmy na historyę z punktu widzenia dziennikarskiego. Nie zaślepiajmy się pozorami, lub nawet rzeczywistością chwili, lecz oceniajmy rzeczy i sprawy z wyżyn światopoglądu dziejowego. Ten zaś uczy nas, jak zmienny jest los wszystkich sztucznych tworów politycznych. Porównajmy Austryę z przed czterdziestu laty, z Austryą dzisiejszą. To inne państwo, w swej istocie i swojem ukształtowaniu. Niemcy dzisiejsze, jakże niepodobne do wczorajszych, dlaczego nie mamy przypuszczać, że są także odmiennemi od jutrzejszych. Wszystko płynie powiedział Heraklit, odpłynie też suggestya, a z nią skutki pruskiej siły.

Po wygłoszeniu tych proroctw, Signor Amedeo zawołał:

— Czy jeszcze przypiszecie mi panowie zbytek wyobraźni?

— Powiem raczej, że masz jej pan za mało — odparł mój przyjaciel.

— A to dlaczego — zapytał Włoch, wielce zdziwiony.

— Bo widzisz tylko jedną drogę rozwoju naszych spraw w przyszłości — brzmiała odpowiedź. A tych dróg jest więcej.

— Nie zaprzeczam, że może hakatyzmowi powiedzie się walkę rozognić do ostateczności i że wtedy spustoszenie tutejsze będzie dobrą podnietą dla niezadowolenia tlejącego w innych czynnikach cesarstwa. Ale może być też przeciwnie. Mogą się sprawy wewnętrzne i zewnętrzne Niemiec, tak obrócić, że obecny system w Prusiech nie znajdzie już dostatecznej ilości popleczników w izbach i kraju. Na powodzeniu łatwo oprzeć jakikolwiek kierunek rządów. Ale niepowodzenie, rozwiązuje języki i wzbudza krytykę. Patrzmy, jak wybucha ona przy każdem choćby przejściowem zaćmieniu na słonecznej tarczy rządowych tryumfów, jak na włosku aż siada, niedawno przyszłość niemieckich kolonii wskutek nadmiernych na nie wydatków i poniesionych strat, pamiętajmy, jak cierpkie uwagi od swoich znieść musiały koła miarodajne berlińskie, z powodu odosobnienia Niemiec w polityce

ogólno-światowej. Takich sposobności do niezadowolenia coraz więcej, a mnożą się one właśnie dlatego, że naród niemiecki jest zepsuty powodzeniem, zwyczajny, że mu cały świat ulega, że cokolwiek się dzieje, dzieje się na jego korzyść. Tacy wygodni panowie, jak obecni Niemcy grymaszą łatwo. Więc wolno przypuszczać, że te wszystkie kwasy, tak się z czasem powiększą, iż staną się niebezpiecznymi dla obecnego systemu junkrowskiej bezwzględności, do którego arsenału należy również radykalna i niszcząca polityka antypolska. Stąd wniosek blizki, że znów może w Prusiech, a tem samem w Niemczech zawitać nowy kurs, niekoniecznie nam korzystny, ale przecież nie tak dręczący, jak obecny.

— Zgadzam się z panem zupełnie — zawołał Genueńczyk.

— Kto sam dla siebie pragnie większej swobody, ten choć nie dba o nią dla drugich, nie może jej tak jaskrawo zaprzeczać, jak godzący się na własne jarzmo.

Na stole leżał numer *Münchener Allgemeine Zeitung*, organu, jak wiadomo, mocno liberalnego, a zarazem wrogiego Polakom. Zawierał on zjadliwy, antypolski artykuł o sprawach poznańskich i zdał mi się najlepszą odpowiedzią na wyrażoną poprzednio nadzieję polepszenia się naszych stosunków. Przeczytałem go więc głośno, a potem przypomniałem, że kłopoty nasze w Prusiech, wzmogły się niepomiernie, właśnie od czasu względnego zwycięstwa liberalizmu i zapoczątkowania ery konstytucyjnej, tak że obca demokracya gorszą nam się staje od obcego absolutyzmu.

Włoch zafrasował się:

— Doprawdy zawiłemi są wasze zagadnienia — rzekł, wskazując na gazetę — czy sama wyrocznia Delficka nie mogłaby mniej jasno o przyszłości wróżyć, niż rozważający o losach jakie was czekają. Oto bowiem dowód, że i liberalizm nie jest dla was kluczem do świątyni szczęścia.

Mój przyjaciel odezwał się znowu.

— Jesteś pan na najlepszej drodze zrozumienia, dlaczego my oględni jesteśmy w naszych sądach i przedstawiamy sobie przyszłość jako wiązankę różnych hypotez. Oto już dwie z nich omówiliśmy, mianowicie bezwzględne trwanie obecnego kursu

i zwycięstwo postępowców w Niemczech, a już widzimy, że trzeba nam szukać jeszcze innych.

Włoch potakiwał: — *Va beme va bene!* Proszę mnie prowadzić dalej w tym labiryncie przypuszczeń i wniosków. Zaciekawia mnie on w wysokim stopniu, zwłaszcza, że przewodnikiem moim jest Polak i to Polak o umyśle nader spokojnym.

Więc Polak prawił w dalszym ciągu.

— Przystąpny do hypotezy trzeciej, wcale nie fantastyczniejszej od obu pierwszych, mianowicie, że rząd sam, inaczej wówiąc korona, własnowolnie zmieni swą taktykę wobec Polaków.

— To niemożliwe — przerwał gość.

— Przepraszam — odpowiedziano mu z naciskiem. — Gdybym twierdził to jako pewnik, pański wykrzyknik byłby usprawiedliwiony. Ale ja przedkładam tylko hypotezę, jednę z wielu. Pamiętajmy, że polityka jest sztuką rzeczy możliwych, ale nie zapominajmy, że obok powyższego istnieje drugie przysłowie: w polityce wszystko jest możliwem. Kto już dwa razy zmienił u nas kurs? Rząd, z koroną na czele. Kto może go zmienić po raz trzeci? Dlaczegóż znowu nie rząd i znowu korona? Bywa na świecie, że zmieniają się poglądy, szczególniej po odbytych doświadczeniach. Te zaś na kresach naszych, chyba nie przedstawiają się dla rządu dodatnio. Więc może dosyć ruin, dosyć roboty niszczycielskiej, dosyć radykalizmu z góry. Czyż takie myśli nie mogą zaświtać tam, gdzie należy?

Signor Amedeo jął przeczyć.

— Ile wiem, taka zorza ukazała się już raz na waszem niebie!

— To było zupełnie co innego — brzmiała odpowiedź. — Chwilowa przynęta na wypadek wojny z Rosyą. O prawdziwem uzdrowieniu stosunków na kresach nikt wtedy nie myślał w Berlinie. Wygrano nas w polityce zagranicznej, jak się wygrywa atut w kartach, ale gdy się zmieniła gra polityczna, rzucono niepotrzebną kartę pod stół.

— Nie powróci już taki zbieg okoliczności — rzekł Włoch.

Polak zaś odparł. — Choćby i powrócił, nie byłby dla nas więcej wart. Moja zaś hypoteza, przypuszcza zwrot w usposobieniu rządzących, oparty na przekonaniu, że prześladowanie Pola-

ków w Prusiech jest szkodliwym objawem w wewnętrznym ustroju państwa, że przynosi uszczerbek nie tylko Polakom, ale i Niemcom, że naraża znaczną część monarchii na olbrzymie straty materyalne i moralne.

Tak mówił Polak, przedstawiciel większej własności ziemskiej, t. j. tej właśnie grupy społecznej, która dziś przez zamachy niemieckie najbardziej jest zagrożoną. Ta okoliczność podpadła widocznie Włochowi, który zapytał, czy hypoteza wytworzenia się jakiegoś *modus vivendi* na naszych kresach uwzględnianą jest przez wielu z naszych rodaków. Odpowiedziano mu, że określonych przypuszczeń, nikt zapewne dziś w tej mierze nie żywi, ale hypotezy samej w sobie odrzucać nie wolno, gdy Polacy swem ściśle legalnem postępowaniem zawsze ją Niemcom czynnie stawiali przed oczy.

— Co za umiarkowanie, jaka cierpliwość polityczna — podziwiał Signor Amedeo i rzekł potem: — Blask pruskiej potęgi jaśnieje dziś wobec zagranicy, a ogromny dorobek sił od lat trzydziestu pozwala wywierać następcom rycerzy krzyżowych suggestyę niezaprzeczoną i zresztą usprawiedliwioną na Europę. Ale kto pragnie zbadać do głębi istotę nowopowstałej potęgi, powinien także poznać jej słabe strony. Tych nie brak co prawda w Niemczech samych, ale nigdzie nie objawiają się one tak jaskrawo i dobitnie, jak właśnie tu na polskich kresach germańskiego imperium.

I dokończył: — Wcale nie z litości dla Polaków, ale dlatego, by słuszną miarą oceniać mądrość rządu pruskiego, warto nam cudzoziemcom, poznawać wasze kresy.

Rozprawialiśmy jeszcze długo i północ już była dawno wybiła, gdy niestrudzony gość udał się wreszcie na spoczynek, ciesząc się z góry na obiecane zwiedzenie miasta Poznania.

Ale nazajutrz rano, gdy o umówionej godzinie stawiłem się u niego, Signor Amedeo powitał mnie okrzykiem prawdziwej desperacyi.

— Patrz pan — zawołał, podając mi depeszę — oto wezwanie, bym najbliższym pociągiem wyjeżdżał do Petersburga. Na-

zwisko podpisane pod wezwaniem wystarcza, by zrozumieć, że nie wypada mi zwlekać. O te interesa, te nieznośne interesa!

W godzinę później *Nordexpress* unosił południowego gościa ku północnym strefom, ja zaś wracając do domu wspominałem jego ostatnie słowa, wyrzeczone w wagonie.

— Xerxes chłostał morze, a morze dało się chłostać. Dziś Xerxesa nie ma, a Hellespont jest Hellespontem.

Franciszek Morawski.

JEDEN Z PLANÓW ODBUDOWANIA POLSKI.

I.

...Żeby wyjść z honorem
I żeby niepodległość ocalić, zachować —
Ja widzę tylko jeden środek: ofiarować
Po śmierci Stanisława koronę wnukowi
Katarzyny — jeżeli nie Aleksandrowi,
To Konstantemu; byle mieć na polskim tronie
Wnuka tej, co dostała losy świata w dłonie.
Król tak myśli; tak myślą pierwsze nasze głowy.
Interes dynastyczny Imperatorowej
Rozkaże mieć nad nami opiekuńcze skrzydła;
My pod temi skrzydłami nie wpadniemy w sidła
Ponastawiane na nas; możem się naprawić,
Kraj zreorganizować i — synom zostawić
Albo wnukom dość mocy, rozumu i woli,
Do odzyskania dawnej potęgi i roli...

Taki testament pozostawiła »jedna Polska« pokoleniom porozbiorowym[1] ta, której smutna pamięć przeszła do potomności z przekleństwem Targowicy, ze złowrogiem wspomnieniem wileńskich i warszawskich szubienic 94-go roku. Testament »drugiej Polski« — to Konstytucya 3-go maja, tradycya Wielkiego Sejmu, Kościuszko i Legiony.

[1] Słowa biskupa inflanckiego z II sceny fragmentu tragedyi Mickiewicza »Jakób Jasiński, albo Dwie Polski«, w przekładzie Olizarowskiego. Ta trzecia scena fragmentu, dyalog Biskupa z Referendarzem, »jest to dyalog historycznie i społecznie najważniejszy, jaki Mickiewicz kiedykolwiek na-

Ten sam senator, w którego usta Mickiewicz włożył testament »jednej Polski«, biskup inflancki, nie zawahał się nawet bronić wstrętnego piętna hańby, kalającego stronników Rosyi jawnym, oczywistym dla wszystkich dowodem zdrady:

Hetman wziął rosyjskiego tytuł jenerała,
Ażeby rosyjskiemi wojskami dowodzić,
Które bez tej komendy, do góry nogami
Przewróciłyby Litwę; widzimy to sami.
Hetmana za postępek tak roztropny winić,
Nie jestże to, co zbrodni zarzuty mi czynić,
Że mnie pensyę przysyła Imperatorowa?...
Przyjąłem, tak, przyjąłem ten jej żołd mizerny
I kazałem po świecie o tem wieść rozrzucić,
Żeby przeciwko sobie opinią obrócić;
Żeby takim sposobem pokazać, żem wierny
Jej — Imperatorowej. Ona przekonana,
Że mnie Rosya kupiła...
Jam kupił jej protekcyą...

---

pisał, porusza bowiem jednę z najżywotniejszych kwestyi. Tak rozmawiały z sobą *mutatis mutandis* w r. 1830 i 1863 stronnictwa nasze polityczne, i pomimo, że wiek już minął od tej domyślnej rozmowy Kossakowskiego z Referendarzem, dyalog ten jeszcze się nie zakończył«. Pisze to o tym dyalogu prof. Kallenbach (Adam Mickiewicz II, 230): w ogólności nie skłonny do zachwytu wobec pozostałych fragmentów francuskiej twórczości dramatycznej Mickiewicza, zaznacza, że ten »dyalog jest po mistrzowsku przeprowadzony i godzien bliższego ocenienia«. Podzielając najzupełniej to zdanie, nie wahałbym się twierdzić, że nigdzie może intuicya historyczna Mickiewicza nie odniosła tak świetnego tryumfu, jak w tym fragmencie dramatu p. t.: »Dwie Polski«, i wogóle — o ile ze szczupłych szczątków i z tytułu samego można sądzić — w całym pomyśle i w założeniu tragedyi. Intuicyę poety zasilała tu jeszcze żywa, świeża tradycya; nikt jednak tak jej nie odczuł, nikt nie wniósł w nią tyle światła, nikt z taką głębokością myśli nie sięgnął w jej treść: nikt z współczesnych ani z późniejszych pisarzy, nie wyjmując Kalinki. Dyalog Biskupa z Referendarzem wydaje nam się nie tylko dojrzałym owocem długoletnich rozmyślań poety nad najżywotniejszym problematem współczesnego i poprzedniego pokolenia w narodzie, ale także mistrzowskim odgłosem niezliczonych dyalogów i sporów, którym Mickiewicz przysłuchiwał się od dzieciństwa. Nasłuchał się ich mnóstwo, to pewne, z rozległą skalą akcentów i poziomu: może jeszcze i w rodzicielskim domu i w Tuchanowiczach; w Wilnie, w Moskwie i w Petersburgu, gdy tworzył Wallenroda; w Florencyi, przed powstaniem, i w Rzymie, na wieść o wybuchu powstania — najmniej zapewne na emigracyi. Patrząc pod tym kątem na dyalog Biskupa z Referendarzem, historyk ma poniekąd i prawo i obowiązek, uważać go za pewnego rodzaju dokument historyczny.

Nie tu miejsce rozsądzać, jakim był historyczny biskup inflancki, on i jego stronnicy. Biskup — kreacya poety — to nie płatny zausznik Imperatorowej, to prototyp długiego szeregu polityków, przed rozbiorem i po rozbiorze, wybitnych i tuzinkowych: pierwsze wcielenie politycznej mądrości w rozpoznaniu »systemu«, który mógł stać się deską ratunku, a także inkarnacya strasznych pomyłek w doborze środków, pomyłek rozumu i sumienia. Intuicya poety odgadła takich ludzi w plugawej rzeszy zdrajców i sprzedawczyków; Mickiewicz rósł, dojrzewał wśród pokolenia, które działało na obu sejmach, na Wielkim i Grodzieńskim; odczuł, że wielka część winowajców dźwigała na sumieniu klątwę — nie zdrady lecz tragedyi pomyłek. Na Litwie »jedna« i »druga Polska« stały przez długie lata naprzeciw siebie, oko w oko, dwa nieprzyjacielskie obozy, na sejmikach »guberskich« i powiatowych, w zaciętych walkach wyborczych; tradycya polityczna rozdzielała litewską szlachtę, ludzi, rodziny, gdy już nie było o co się spierać; dolewała oliwy do jarzącego ognia zaściankowych ambicyi i nieprzyjaźni. Epigonowie Wielkiego Sejmu gardzili Targowicą, w górę wznosili czoła, uniósłszy z katastrofy niezmącone sumienie, pośród Targowiczan zaś mało kto bił się w piersi, przyznawał się do winy; gdyby nie tamci, gdyby nie podrażniono Imperatorowej, ostałaby się Polska, w najgorszym razie z królem Konstantym na tronie Jagiellonów. Ani ci ani tamci nie gardzili rangami i orderami; »Aktualny Konsyliarz Stanu«, »Włodzimierz«, krzyż maltański, wszystko łechtało próżność ludzką po jednej i po drugiej stronie. Naraz ponad bagniskiem jałowych swarów i niesmacznych ambicyi stanął na widnokręgu ten sam dylemat, co przed dziesięciu, przed kilkunastu laty: z Rosyą czy przeciw Rosyi?

Po Jenie, podczas pruskiej kampanii, gdy Wołyń zrywał się do powstania, na Litwie zakiełkowała myśl odzyskania bytu politycznego pod berłem Aleksandra, i to nie w kołach dawnych Targowiczan, ale w przeciwnym, patryotycznym obozie. Najczynniejszym rzecznikiem tej akcyi był Stanisław Ursyn Niemcewicz, za Rzeczypospolitej deputat na Trybunał Litewski, poseł na sejmy r. 1782, 1786 i na Sejm czteroletni, członek Rady Nieustającej

w ostatnim składzie tej najwyższej magistratury, a po rozbiorze, po przywróceniu urzędników z wyboru, zaszczycony wyborem na pierwszego marszałka gubernialnego. Tomasz Wawrzecki, dzielny obrońca Konstytucyi 3-maja, po wzięciu Kościuszki do niewoli ostatni wódz, Naczelnik niepodległej Polski, więzień stanu za Katarzyny, wychylił się z ukrycia, by podać w tej robocie rękę Niemcewiczowi. Ledwie wyszedł manifest o wojnie z Napoleonem, Niemcewicz pospieszył do Petersburga i doręczył Czartoryskiemu swe »Myśli względem urządzenia ziem litewskich i ruskich« (28 listopada st. st. 1806): plan autonomii ziem polskich pod rosyjskim zaborem na gruncie przywróconej Konstytucyi 3-go maja, z widokami skupienia wszystkich Polaków »pod chorągwią monarchy słowiańskiego«, przeciw zaborcy, który ich wywiódł w pole, zdeptał, zgubił Legiony. Takie akcenta rozbrzmiewają w odezwie, którą Niemcewicz wespół z ks. Adamem rozsyłali podczas pruskiej kampanii do wybitniejszych obywateli kraju. Przestrzegali przed złudzeniami: Cokolwiek zdarzyć się może, jest rzeczą pewną, że Rosya, chociażby wznowić miała Europie przykład trzydziestoletniej wojny, chociażby natężyć miała ostatnich sił swoich, nie dopuści nigdy, ażeby Polska padła ofiarą obcej przemocy...« W tej akcyi politycznej, kierowanej przez Niemcewicza, po raz pierwszy podobno pojawiła się ulubiona w następnych latach zwrotka następcy Pawła: analogia z Węgrami, z ich stosunkiem do dynastyi Habsburgów — perspektywa wskrzeszonej Polski, jako ekwiwalentu Węgier dla domu Romanowów. Na tle tych planów Aleksander powołał do siebie Kniaziewicza, wodza oszukanych Legionów, chciał mu powierzyć organizacyę narodowych szeregów— i spotkał się z odmową.

Ten zwrot opinii na Litwie dokonał się pod wpływem przeszłorocznych, niedoszłych planów Aleksandra, jego olśniewających »puławskich intencyi« w r. 1805; był jednak już od dawna przygotowany trzeźwem porównaniem stosunków rosyjskiego zaboru ze stanem rzeczy pod austryackiem i pruskiem panowaniem; i los Legionów zresztą i San Domingo nie były bez znaczenia. Ostrożny Litwin nie wierzył mocarzowi, który Polaków wycisnął jak cytrynę i żółtej febrze rzucił na pastwę, poświęcił politycznej ra-

chubie, żeby mu nie zawadzali. Gdy przyszło wybrać między pewniejszą rzeczywistością a zawodnem marzeniem, był to wielki znak czasu, że program łączności z Rosyą odrodził się nie w szeregach szambelańskich natur, ale wśród epigonów Wielkiego Sejmu, wytrysnął z doświadczeń życia; tam, między czcicielami konstytucyi 3-go maja zabrzmiał przychylny odzew na pierwsze hasło odbudowania Polski pod berłem Romanowów. Niebawem jednak Tylża zmroziła rozbudzone nadzieje [1], przyszła pora represyi, sekwestrów i konfiskat, jenerałowie i czynownicy przypominali rok 1794. Sam widok Księstwa po tamtej stronie Niemna podzielonem uczuciem przejmował Litwę. Gorętsi, młodsi, przekradali się do narodowych szeregów, rzucali ojcowiznę na pastwę konfi-

[1] Pouczające są przyczynki do historyi wahania się ówczesnej opinii politycznej na Litwie, w korespondencyi Ludwika Platera z Czartoryskim (Arch. Czart. Nr. 5511). L. Plater (ur. 1775), syn Kazimierza, podkanclerzego lit., konsyliarza konfederacyi targowickiej, bez wątpienia jeden z najinteligentniejszych przedstawicieli ówczesnego młodszego pokolenia na Litwie, należał w pierwszych latach Aleksandra I do szczupłego grona współpracowników ks. Adama, najściślej z nim związany. Był pomocnikiem Czartoryskiego w zarządzie kuratoryi wileńskiej; w latach 1803 i 1804 powierzono mu dość zagadkową misyę za granicę, do Niemiec i do Paryża. Podróż ta miała niezawodnie na celu zapoznanie się z racyonalnem gospodarstwem leśnem i z administracyą domen; z pewnością jednak ten oficyalny cel naukowej wycieczki Platera służył za pokrywkę tajnej, nieznanej dokładnie misyi, którą podkanclerzyc litewski spełniał za granicą. Dla formy posyłał rzadkie raporty do kanclerza Imperyum i do ministra Skarbu — częstsze, wprost do Cesarza, na ręce Czartoryskiego. Trudno przypuścić, żeby Aleksander właśnie w r. 1804 interesował się tak żywo postępami na polu gospodarstwa leśnego; wiadomo jednak, że wówczas w swym antynapoleońskim zapędzie niezmiernie żywo zajmował się nastrojem umysłów w Niemczech, wśród przymusowych sprzymierzeńców Pierwszego Konsula; Plater zaś pisał do Cesarza tajne raporty z Drezna, ze Sztutgardu, z Karlsruhe. Na liście osób, które Stanisław Niemcewicz zamierzał wciągnąć do zamierzonej akcyi, znajduje się także »rodzina Platerów«; nazwisko to pojawia się jednak właśnie wśród przedstawicieli przeciwnego, Napoleońskiego obozu, którzy podczas pruskiej kampanii 1806/7 przygotowali powstanie na Litwie i porozumiewali się z główną kwaterą francuską. Co do Ludwika Platera, pomimo rozczarowań tylżyckiego traktatu, Księstwo Warszawskie oszołomiło zupełnie tak wybitnego nawet zwolennika rusofilskiego programu, który trzy lata temu, podczas swej niemieckiej podróży, przesyłał zawsze za pośrednictwem Czartoryskiego najserdeczniejsze pozdrowienia dla petersbur-

skaty, w nadziei, że ją odzyszczą razem z ojczyzną, gdy powrócą na Litwę pod zwycięskim sztandarem; rzucali się na oślep w odmęt wojaczki, bez jakiejkolwiek politycznej rachuby, ale też i bez wiary w trwałość aliansu Rosyi z Napoleonem, który ich nie obronił od konfiskaty majątku. Programowi łączności z Rosyą zabrakło realnego oparcia, rzeczywistość tłumiła jego zawiązki; wspomnienie Targowicy wstrząsało sumieniami, mroziło wątłą myśl polityczną, zwróconą ku drugiemu biegunowi dążności, przeciwległemu lśniącym nadziejom, które zatliły na lewym brzegu Niemna. »Jak widmo dawnej Polski — mówił ks. Adam Aleksandrowi — Księstwo Warszawskie wywiera niewypowiedziany urok: jakby po stracie drogiej osoby cień jej stanął przed nami i zapo-

---

skich wrogów Napoleona, dla Stroganowa, Nowosilcowa; i z nimi był widocznie blizko związany przez ks. Adama. W kilka dni po tylżyckim traktacie Plater był już zdecydowanym Bonapartystą. Z Mitawy, 9/21 lipca 1807 pisał do Czartoryskiego: *Cette paix doit nécessairement amener des changements qui nous regardent particulièrement. Il faut vous retirer entièrement et notoirement. Votre rôle est joué. C'est à postérité de vous juger. Vous ne pouvez pas la redouter. Mais vous devez aux contemporains et à vous même de vous délier de tout devoir vis-à-vis l'Empereur et même la Russie. Il paraît certain que la Pologne sera rétablie, mais elle ne le sera pas par la Russie; au contraire, ce sera en sa défaveur. Le changement ne doit pas être fait avec votre participation, mais il ne doit pas non plus vous trouver attaché à la Russie et par conséquent d'un côté opposé. Retraite et nullité absolue doit, en consequence, à ce que je crois au moins, devenir votre palladium pour tous les événements possibles.* W tym samym jeszcze sensie odzywa się w rok później, w lipcu 1808, wyrażając nadzieję, że półroczny urlop, za którym Czartoryski wyjechał z Petersburga, będzie wieczystym urlopem. Napoleon zdusi niebawem Austryę i stanie się rzeczywiście panem kontynentu: *il prescrira de sa propre sagesse profonde des limites à la Russie, conformes au plan qu'il couve, de séparer l'Europe de l'Asie, en créant un royaume sur le Bosphore, en rétablissant celui de la Pologne et en donnant à la Suède... une nouvelle existence sur les bords de la Baltique aux dépens des côtes russes et prussiennes...* Z następnego roku znamy tylko dwa listy Platera w prywatnych interesach, bez żadnej wzmianki o sprawach politycznych; z roku 1810 nie znamy żadnego listu. W r. 1811 Ludwik Plater znów z wielką siłą przekonania przemawia za dawnym programem Czartoryskiego, za unią Polski z Rosyą, i wysila się na wymowne argumenta, żeby ks. Adama nawrócić na tę drogę, wyrwać go z bezczynności. Nie było to osobiste tylko »nawrócenie« Platera; z nim wielu innych przeszło tę ewolucyę w r. 1809 i 1810.

wiadał rychłe zmartwychwstanie...« Ale idea ks. Adama, zaszczepiona przez Niemcewicza, zmrożona w Tylży, wegetowała utajonem życiem pod skorupą represyi i opłakanych stosunków ekonomicznych, jedynego owocu, jakim Litwę obdarzył traktat tylżycki. Pokolenie Wielkiego Sejmu, wierne zarówno hasłu niepodległości jak rodzimej, swojskiej tradycyi, z sercem zwróconem zawsze ku Konstytucyi 3-go maja, nie mogło zdobyć się na zachwyty dla francuskich porządków w Księstwie Warszawskiem. Odzyskać pod berłem Aleksandra utracone palladium odrodzenia narodu, Konstytucyę 3-go maja — związać zbawcze tradycye Wielkiego Sejmu z ostrożną dyplomacyą, której zabrakło Sejmującym Stanom, z tą przezornością przeszłego pokolenia, co zmierzała do celów Czteroletniego Sejmu bez niebacznego zrywania z Rosyą: to nowa, litewska ewolucya patryotycznej myśli w epoce Napoleona. Litwin czuł więcej rodzimego powietrza, więcej polskości w swoich guberniach, pod obuchem gubernatora i ruskich garnizonów, ze swym Statutem, z sądownictwem starego autoramentu, z sejmikami, z wyborem marszałków, podkomorzych, chorążych, deputatów — więcej, niż gdy go urok narodowych sztandarów zwabił za Niemen, pod wielkorządy pana de Serra. Tu źle i tam niedobrze; tu bieda, tam ruina; tu Moskal a tam Francuz. Tymczasem, z roku na rok bladły nadzieje rozbudowania Księstwa w przedrozbiorową Polskę; mimo strzeżonych granic, zamkniętych hermetycznie, żeby na Litwę nie przedostał się zapał dla sprawy Napoleona, rosnące w Księstwie rozgoryczenie przeciskało się poza Niemen. I Litwa — nie Litwa kamerjunkrów i kawalerów św. Włodzimierza — Litwa Wawrzeckich i Niemcewiczów stawała się z roku na rok coraz wdzięczniejszą glebą dla posiewu idei księcia Adama, jedynego, jak dotąd, wpływowego u góry rzecznika unii Polski z cesarstwem na gruncie Konstytucyi 3-go maja. Po tylżyckim pokoju, Stanisław Niemcewicz ułożył memoryał p. n.: »Uwagi względem ducha, jaki panował dotychczas w prowincyach przyłączonych od Polski i jakieby Rządowi należało przedsięwziąć miary dla utworzenia w nich teraz pożytecznej dla siebie opinii«.

Był wybór: z Rosyą, czy przeciw Rosyi? Kto »nie wierzył w Napoleona«, wiedział też, że b e z n i e g o próżnem marzeniem

byłoby »wierzyć« w »intencye« Aleksandra, »słowiańskiego monarchy«: i ci, co wyglądali napoleońskich orłów po prawym brzegu Niemna, i ci, którzy pragnęli odbudowania Polski w łączności z Rosyą, jedni i drudzy przewidywali rychły koniec przymierza Rosyi z Napoleonem; w tem żadnej między nimi nie było różnicy. Dziś — jutro, przyjdzie wybrać. Zwolennicy idei ks. Adama pojmowali doniosłość chwili, czuli dobrze odpowiedzialność, jaką na siebie wezmą, jeżeli w epokowym momencie staną przy Aleksandrze. Czuli, że dzięki okolicznościom mogą zaważyć na szali dziejów, więcej niźli za czasów Wielkiego Sejmu ważyła cała niepodległa Polska, rozległa ale słaba, bezbronna i wciśnięta między rozbiorowe mocarstwa. Wówczas nikt nie pożądał na seryo przymierza z Polską — teraz można niem było kupić byt polityczny, stając przy jednym z dwóch zapaśników.

Gdy tak idea ks. Adama na Litwie głębsze zapuszczała korzenie, i w Petersburgu, w Zimowym Dworcu, zawiał dla niej wiatr pomyślniejszy, niż kiedykolwiek dotąd, z większą rękojmią trwałości, mocy, niż przed laty w Puławach, przed Austerlitzem. Ubył jej tylko jeden zwolennik, i to w momencie, gdy był potrzebny, jak nigdy przedtem: sam książę Adam.

Po Tylży Czartoryski nie słuchał rady przyjaciół, gdy go wzywali, żeby usunął się z Petersburga; nie chciał dość długo uznać, że »rola jego skończona«. Cały rok został na placu; wyjechał dopiero w lecie r. 1808, gdy widział, że dłużej nie może zostać. *Nultité absolue* — to był los niedawnego ministra Spraw zewnętrznych z minionych czasów trzeciej koalicyi, los twardy, nieubłagany, gdy Aleksander wybierał się do Erfurtu. Pozostał senatorem, członkiem Przybocznej Rady — *in partibus*, za granicą, na urlopie bezterminowym. Z Puław, z Sieniawy, z Wiednia, rządził wileńskim okręgiem naukowym i od czasu do czasu pisywał do Aleksandra, wyglądając daremnie listów od »nieprzyjaciela młodości«, który trzy lata temu, w tychże samych Puławach, z rozrzewnieniem, z emfazą dziękował Czartoryskim za skarb najdroższy, za syna przyjaciela. Znosił cierpliwie brzemię niełaski, nie dawał za wygraną; to widać z jego listów. Dopiero po całym roku, podczas kampanii 1809, zjawił się znowu za ro-

syjską granicą, w podolskich dobrach. Stamtąd podążył wczesną jesienią do Petersburga, nieśmiało, w niepewności, co go tam czeka. W towarzystwie stołecznem doznał nadspodziewanie uprzejmego przyjęcia; po wojnie roku 1809 termometr nieprzyjaznego względem Francyi nastroju podniósł się tak wysoko, że w petersburskich salonach, choćby dla demonstracyi, wyróżniano zaszczytnie upadłego przedstawiciela polityki antynapoleońskiej. I cesarz w pierwszej chwili wydał mu się tym samym, dawnym Aleksandrem z epoki Puław, z r. 1805. Sam rozpoczął rozmowę o kwesyi polskiej: *il en parla avec plus d'intérêt qu'il ne l'avait fait jamais; il prouva lui-même par les raisonnements les plus forts l'utilité de ce projet.* Ks. Adam widział jedyną trudność w Napoleonie: jak złamać jego opór przeciw odbudowaniu Polski pod berłem Aleksandra? *L'Empereur parut ne pas être sans espoir d'y parvenir.* Było to — p r z e d schönbrunńskim pokojem. Wkrótce, w sam dzień przyjazdu wiedeńskiego kuryera, który przywiózł wiadomość o warunkach pokoju, cesarz wezwał Czartoryskiego. »Jakby dziesieć lat upłynęło od ostatniej rozmowy, *tellement ce qu'il dit alors était différent de ce qu'il avait dit lors de l'entrevue précédente;* rzekł tylko sucho: *que la chose était impraticable, vu que la France connaissait trop bien ses intérêts pour vouloir jamais y consentir, car il en résulterait trop d'avantages pour la Russie...* To samo, z większym jeszcze naciskiem powtórzył po miesiącu, na ponurej audyencyi 24 listopada 1809 r., gdy Czartoryski wstawiał się za rodakami, którym skonfiskowano dobra za służbę w »sprzymierzonych« szeregach Księstwa Warszawskiego. Szorstko zamknął mu usta dwoma argumentami, które spowodowały ukaz o konfiskatach: racya stanu i jednomyślna uchwała ministrów. Przyznawał, że rozbiór Polski był źródłem wszystkich klęsk Europy, *mais ce n'était plus réparable... la chose n'étant plus exécutable, il avait fallu suivre une autre ligne de conduite.* I po raz pierwszy nadmienił zlekka o projekcie »odrębnej organizacyi« polskich gubernii, o czemś — jakby dziś powiedziano — w rodzaju autonomii tych samych terytoryów, przeciw którym srożył się ukaz o konfiskatach; *mais*

en cela même — dodał — *il y aurait beaucoup à dire et on trouverait surtout une grande opposition à ce projet ici...*

Minęło siedem tygodni; w drugi dzień świąt, 7 stycznia (n. st.) 1810 Aleksander znów zaprosił Czartoryskiego. Był inny niż w listopadzie, inny niż w październiku, *toujors fermé et crispé... plongé dans ses reflexions*, choć widocznie chciał być uprzejmym — taki mistrz w podbijaniu serc. Nie umiał zapanować nad sobą, nad niepokojem, z którym zdradzał się w każdem słowie. Wspominał o reformie Przybocznej Rady, o jej przeobrażeniu w nową Radę Państwa; nie bez pewnego żalu przyjął wyznanie ks. Adama, że nie zamierza osiąść na dłużej w Petersburgu. Rad byłby go zatrzymał; *il avait pensé qu'il me conviendrait peut-être d'être employé plus activement.* Po całorocznem przeszło senatorstwie *in partibus*, po przymusowem oddaleniu z stolicy — było to niewątpliwie przywrócenie łaski; w położeniu Czartoryskiego, który »służył« bezinteresownie — perspektywa rychłego zwrotu w kierunku jego przekonań i dążności. Cesarz nie ukrywał wskazówek, że przed ks. Adamem otworzy się niebawem szersze pole działania, dla którego warto pozostać, na nowo osiedlić się w Petersburgu. Zapewniał go, że odwoła wszelkie środki represyi w polskich guberniach. Wznowił wreszcie dyskusyę o kwestyi polskiej, w innym zupełnie tonie, niż w listopadzie, z takimi akcentami, jak za pierwszem spotkaniem po przyjeździe ks. Adama. »Jedynem wyjściem — oświadczył bez omówień — może być tylko powrót do naszych dawnych planów: dać Królestwu Polskiemu konstytucyę i odrębny byt polityczny, łącząc tytuł królewski z carską koroną«. I dodał: *Il faut attendre que l'Autriche fasse une bêtise et provoque une nouvelle rupture avec la France; alors on pourra trouver un moyen de s'entendre avec Napoléon et de donner des compensations au roi de Saxe...* Nie trzeba jednak czekać z założonemi rękoma. »Tymczasem dobrzeby było — *il aurait été bon* — coś zrobić w tym rodzaju z polskiemi prowincyami pod panowaniem Rosyi — i przyjąć na razie tytuł Wielkiego Księcia Litwy«. Z tak zręcznym jednak jak Napoleon przeciwnikiem, trudno pozbyć się obaw, żeby tem nie obudzić jego podejrzliwości, nie

wyzwać go niebacznie do zaskoczenia Rosyi takim samym manewrem; *vu l'habileté de l'homme, on courait risque de rester en arrière...*

Był to drugi z rzędu *ballon d'essai* w tym samym, nowym dla Czartoryskiego kierunku; mniej nieśmiało puszczony, niż w listopadzie, nie z takiemi, jak wówczas zastrzeżeniami, lecz nie bez zaznaczenia wielkich trudności. Wówczas Cesarz kładł silny nacisk na opozycyę w Rosyi; teraz obawiał się Napoleona, a raczej licytacyi: kto da więcej Polakom. W listopadzie mgławica litewskiej autonomii zarysowała się blado na posępnem tle beznadziejnej politycznej konfiguracyi, pod znakiem wyroku śmierci dla rozszarpanej Polski — *la chose est irréparable...* W styczniu z tej niewyraźnej autonomicznej mgławicy wyłaniał się uchwytniejszy projekt Wielkiego Księstwa Litewskiego, i to już jako pomost, wiodący do utworzenia nowej Polski pod berłem Romanowów, odsłaniając te widnokręgi przyjacielowi młodości, Aleksander oczekiwał podobno czegoś innego jak — prośby o dalszy urlop, pod pozorem nadwątlonego zdrowia i podeszłego wieku rodziców; Czartoryski oblał go zimną wodą frazesów o niezachwianem zawsze przywiązaniu do osoby Cesarza i zarazem o gotowości do wszelkich ofiar, mienia, krwi, życia — dla Polski.

Zerwała się nić ufności; Cesarz i ks. Adam przestali sobie wzajemnie wierzyć.

Aleksander powrócił wówczas przed kilku dniami z Moskwy. Był pod wrażeniem niekłamanego zapału, z jakim lud starożytnej stolicy Carów witał niewidzianego od dawna Samowładcę. Ks. Adam, przywykły do chwiejności Cesarza, do jego zależności od obaw o bezpieczeństwo własnej osoby, przypisał ten nowy zwrot w polskiej kwestyi świeżym wrażeniom Moskwy: większej pewności siebie, z jaką Monarcha wrócił do Petersburga. Oto słowa Czartoryskiego: »Może to pobyt w Moskwie wpłynął korzystnie na stanowisko Aleksandra w tej sprawie; przekonał się, że opinia publiczna nie jest tak nieprzyjazna odbudowaniu Polski, jak sobie wyobrażał. Zadziwiły go bez wątpienia poglądy, które o tym przedmiocie usłyszał z ust starego kanclerza lub hr. Markowa, *surtout de la part de ce dernier qui jusqu'ici était d'une opi-*

nion toute opposée... Osobiste zapatrywanie Cesarza na sprawę polską jest ustalone; o tem nie można wątpić... To jednak rzeczy nie posunie naprzód... lada przeszkoda może znowu sprowadzić porzucenie gotowego już planu, choćby się wydawało, że zapadła nieodwołalna decyzya... *Ce qui rend tout scabreux et dangereux, c'est le peu de fond qu'il y a à faire sur celui qui serait appelé à jouer le rôle principal*...«

Ks. Adam postradał wiarę w swoją własną »ideę«, utracił ją w wyjątkowym momencie, kiedy więcej niż kiedykolwiek otwierało się dla niej widoków. Mylił się w r. 1805, budując na ślizkim gruncie »szlachetnych uczuć« Cara. Napróżno przed Austerlitzem kruszył kopię w obronie istotnego p o ż y t k u swojej idei dla interesów Rosyi; Aleksander przyświadczał Czartoryskiemu, bez rzetelnego, silnego przekonania. Po pięciu latach odmieniły się role. Cesarz utwierdzał się w przeświadczeniu, że interes dynastyi, interes Rosyi domaga się istotnie odbudowania Polski; dyplomata-romantyk utracił wiarę w Aleksandra, w charakter przyjaciela młodości, w jego »szlachetność«, i uciekał do Puław. Odzyska ją po niewczasie, a raczej wmówi w siebie, że wierzy w Aleksandra — po bitwie pod Berezyną.

Mylił się ks. Adam, że pobyt w Moskwie pod koniec r. 1809 nawrócił Aleksandra. Zwrot był wcześniejszy. W owych pozornych skokach usposobienia podczas układów Napoleona z Austryą i po zawarciu schönbruńskiego pokoju nie było zgoła kapryśnej niekonsekwencyi. Była to tylko nowa ewolucya, co wprowadziła nieustalone zamysły Aleksandra na tor realnej, świadomej celu taktyki w kwestyi polskiej. Im niebezpieczniej było w Petersburgu, tem ponętniej przemawiała mu do wyobraźni perspektywa drugiej stolicy, bezpiecznej rezydencyi — nie w strarożytnym Kremlu — ale tam, gdzie dotychczas nie był: nad Wisłą, albo tymczasem choćby nad Wilią... Słyszał, że naród polski, mimo swej »niestałości«, w długiem pasmie historyi nigdy nie splamił się — królobójstwem. W ubiegłych latach ks. Adam wystawiał mu tyle razy w czarownych, olśniewających barwach przywiązanie narodu, który po ciężkich doświadczeniach niewoli stanąłby z entuzyazmem przy tronie wskrzesiciela, nie szczędząc ostatniej

kropli krwi w obronie polskiego króla. Przypominał nieraz analogię z niedawnej przeszłości: *Marie-Therèse fut sauvée par les Hongrois*... Suggestya skutkowała, w miarę, jak rosło niebezpieczeństwo. Syn Pawła zatęsknił wreszcie do przyszłych Węgier swojej dynastyi; rola niezłomnych Węgrów, przeznaczona dla Polski pod berłem Romanowów, mimowoli wyrywa mu się czasami z ust i z pod pióra. Z czasem będzie to tylko dalszym rozwojem tej samej myśli, gdy po dziesięciu latach, w zniecierpliwieniu, zawoła śmiało: »Jeśli rosyjska szlachta stawi mi opór, pojadę z całą rodziną do Warszawy i stamtąd wydam ukaz o uwłaszczeniu chłopów«...

Wspomnienie Węgier wiązało się z czemś innem, co po kampanii dziewiątego roku pchnęło też »ulubioną ideę« Aleksandra na realniejsze tory. Wnukowie Maryi Teresy nie zaskarbili sobie podczas tej wojny szczególnych sympatyi Cara; jeśli nie życzył szczęścia nowemu sprzymierzeńcowi, to nie modlił się także o powodzenie dawnego sprzymierzeńca z pod Austerlitz. Arcyksiążę Ferdynand zajął Warszawę, umizgał się do Polaków, prowadził wojnę w niebywały sposób, w rękawiczkach, jakby chodziło więcej o pozyskanie przyjaznych uczuć kraju, niż o ubezpieczenie strategicznych pozycyi. I Aleksander umiał — co prawda — Polaków głaskać, jeśli to w danej chwili było potrzebne. Postawa Austryi przybrała podczas wojny niepokojącą postać, zakrawała na poważniejszą akcyę, obliczoną na coś większego, niż chwilowa dywersya, jakby Habsburgom zachciało się drugich Węgier — nad Wisłą i nad Wartą. Obie Galicye, złączone z Księstwem Warszawskiem, z obszarem mało co mniejszym od rosyjskiego zaboru — jeśli potrącić nabytki Rosyi z r. 1772 — z prastarą i nowożytną stolicą Polski, z Krakowem i Warszawą: to więcej niż Korona, to Polska, *nastojaszczaja Polsza*, bez Litwy tylko, Wołynia i Podola. Na krwawym widnokręgu dziewiątego roku ukazało się naraz coś groźniejszego dla interesów Rosyi od mizernego embryonu Polski, który sam Aleksander niebacznie utworzył w Tylży. Krążyły przecież niepokojące wieści jakoby Maksymilian, stryjeczny brat Cesarza, był już desygnowany na króla tej przyszłej Polski.

Przed trzecią koalicyą nalegano na Cara, żeby ubiegł Napoleona w odbudowaniu Polski. Nie zdobył się na tę śmiałość; Napoleon go nie uprzedził. Po wojnie 1809 roku odsłaniała się coraz wyraźniej perspektywa rozprawy z tylżyckim sprzymierzeńcem: *il n'y a pas pour nous deux de place en Europe!* Przed czwartą koalicyą, przed likwidacyą Napoleońskiej potęgi, wypadało — po doświadczeniach roku 1809 — ubiedz trzeciego partnera: Austryę; niedoszły rozbiór ottomańskiego państwa obudził czujność Habsburgów.

Uczniowie Katarzyny wierzyli w stary aksyomat, że cała Polska ma należeć do Rosyi, a młodsze pokolenie rosyjskich jenerałów mniej byłaby drażniła korona Jagiellonów na głowie Cara, niż Polska pod rządami przeklętych sprzymierzeńców z austerlickiej kampanii. Pod koniec roku, Golicynowie, stary Rumiancow, Markow, Moskwa — wszystko to jeszcze bardziej podziałało na Aleksandra, zachęcało do zamierzonej akcyi. Spadał mu kamień z serca: »ulubiona idea« nie pchnie *tiełochranitieli* do carobójstwa — byle ich nie popchnęło rozgoryczenie wskutek aliansu z Napoleonem.

Ks. Adam nie mylił się podobno, 7 stycznia 1810, gdy po rozmowie o kwestyi polskiej zapisał w pamiętniku: *à vrai dire, il n'y a rien à ajouter aux conversations de l'Empereur sur cette question et sur ce qu'il y aurait d'avantageux pour la Russie dans l'arrangement des affaires de Polgne; sous ce rapport la conviction de Sa Majesté est complète...* A trzy dni przedtem Aleksander ratyfikował traktat o Polsce, podpisany 4 stycznia przez Rumiancowa i francuskiego ambasadora. Był to ów słynny, niedoszły traktat, któremu Napoleon odmówił zatwierdzenia, domagając się zmiany w stylizacyi zasadniczego »pierwszego artykułu« o niesłychanem w aktach dyplomatycznych, delfinickiem brzmieniu: *le Royaume de Pologne ne sera jamais rétabli.*

Niema w tem żadnej »zagadki Sfinxa«, niema nawet niekonsekwencyi, mimo wszelkich pozorów. Rosyjska stylizacya traktatu miała wiązać Napoleona, zachowując dla Aleksandra wszelką swobodę ruchów; zabiłaby tylko nad Wisłą embryon przyszłego

państwa Jagiellonów. Przystając na rosyjską redakcyę, Napoleon byłby dał poręczenie, że nie tylko sam tego państwa nie odbuduje, ale siłą oręża sprzeciwi się każdemu, kto zechce wskrzesić Królestwo Polskie, *le Royaume de Pologne*, czyby sami Polacy o to się pokusili, czy Habsburgowie albo kto inny. Natomiast traktat z 4 stycznia nie krępował nikogo co do wewnętrznej organizacyi obu Imperyów. Cesarzowi Francuzów wolno było np., bez naruszenia styczniowego traktatu, prowincye iliryjskie przeobrazić w osobne państwo i ogłosić się jego królem, siebie samego czy też którego z braci lub szwagrów. Tak samo Car mógł oddzielić kilka gubernii swojego państwa — sześć, siedem, osiem, jakby wypadło — i utworzyć z nich Wielkie Księstwo Litewskie, pod berłem Cesarza Rosyi, pod rządem Namiestnika, brata, W. Ks. Konstantego, albo szwagra, małżonka W. Ks. Katarzyny. Nie darmo Aleksander oparł się wszelkiej zmianie redakcyi w tym osobliwym akcie dyplomatycznym; nie był to kaprys, spór o wyrazy, *autour d'une phrase*[1]. Żądał ratyfikacyi styczniowego układu, *pure et simple*, w takiej samej osnowie, w jakiej go podpisali dwaj dyplomaci, rosyjski i francuski, w gołębiej naiwności, nie wiedząc, o co chodzi. *Vu l'habileté de l'homme* — to własne Aleksandra słowa, wyrzeczone 7 stycznia — chciał mieć pewność, że zręczny partner go nie uprzedzi w odbudowaniu Polski, sam czy przez kogokolwiek. Z takim traktatem w ręku, nie lękałby się współzawodnictwa. Mógłby Napoleona przelicytować: wolno mu było przeciw niepokaźnemu ołtarzykowi w Warszawie postawić za Niemnem wielki ołtarz polskich nadziei, na fundamentach Konstytucyi 3-go maja. Nikt nie miał prawa mieszać się w takie załatwienie jednej z wielu »wewnętrznych spraw rosyjskiego państwa«, jak nikt nie podniósł przeciw odrębnej organizacyi Księstwa Finlandzkiego. Wreszcie, jeśliby nawet Wielkie Księstwo Litewskie poruszyło lawinę nieporozumień, pod którą sojusz z Francyą wyzionąłby ostatnie tchnienie: do tej mety zmierzał już Aleksander w styczniu 1810 z silną determinacyą, a w arse-

[1] Tytuł rozdziału w dziele Vandal'a *Napoléon et Alexandre I* (II, 354—393) o rokowaniach w przedmiocie stylizacyi 1-go artykułu niedoszłego traktatu z r. 1810.

nale środków, jakie przygotowywał do starcia z Napoleonem, na pierwszym planie stało pozyskanie Polaków.

Styczniowy traktat miał być ślubnym prezentem rozwiedzionego Napoleona dla przyszłej oblubienicy, Wielkiej Księżniczki Anny; ambasador francuski podpisał bez wahania preliminarz traktatu w kilka dni po dyskretnej rozmowie z Aleksandrem, w której prosił o rękę cesarskiej siostry dla swojego monarchy[1]. Na tle tej sytuacyi, w styczniu 1810, rozwinęła się zręczna gra »przebiegłego Greka«, godna niezrównanego Talmy, którego Car

[1] Po pokoju schönbruńskim Napoleon nie szczędził wszelkich wysiłków, żeby dać Aleksandrowi rzetelne rękojmie, że nie chce odbudowania Polski, że powiększenie terytoryum Księstwa Warszawskiego nie może niepokoić Rosyi. Nim jeszcze Montalivet miał w Ciele Prawodawczem słynną mowę 13 grudnia, która zmierzała do uspokojenia Rosyi, Napoleon upoważnił francuskiego ambasadora w Petersburgu, Coulaincourt'a, do podpisania wszelkich piśmiennych zobowiązań, jakichby Aleksander wymagał w kwestyi polskiej, *d'une manière franche et ouverte qui éloigne tout soupçon et toute arrièrepensée, en prouvant que nous n'en avons aucune.* Równocześnie z tą instrukcyą, pod datą 22 listopada, Caulaincourt otrzymał polecenie oświadczyć się w imieniu Napoleona o rękę W. Ks. Anny; wskutek wyjazdu Aleksandra do Moskwy, mógł to spełnić dopiero 26 grudnia 1809 r. Podpisując zatem po tygodniu preliminarz układu o Polsce, uważał, że otrzymał pod tym względem *carte blanche,* bez jakichkolwiek zastrzeżeń. Napoleon wyczekiwał stanowczej odpowiedzi w sprawie małżeństwa z W. Księżniczką, na razie zatem powstrzymał się od decyzyi w przedmiocie traktatu; w kilka zaś dni po podpisaniu umowy o małżeństwo z arcyksiężniczką Maryą Ludwiką, przesłał do Petersburga kontr-projekt traktatu o Polskę, następującej osnowy: *L'Empereur Napoleéon s'engage à ne jamais donner aucun secours ni assistance à quelque Puissance ou à quelque soulèvement intérieur que ce que puisse être qui tendrait à rétablir le Royaume de Pologne.* Tę zmianę stylistyczną motywował w ten sposób: *Je ne puis pas dire que le Royaume de Pologne ne sera jamais rétabli, car ce serait dire: si un jour les Lithuaniens ou toute autre circonstance allaient le rétablir, je serais obligé d'envoyer des troupes pour m'y opposer.* W tym samym duchu polecił zmienić stylizacyę innych, szczegółowych artykułów traktatu: *Partout où l'ambassadeur a promis notre intervention, le ministre devra se borner à stipuler notre abstention.* Wzmianka o Litwinach jest w każdym razie charakterystyczna, choć trudno z niej wnosić, jakoby Napoleon przejrzał misterną grę Aleksandra. Jeśli jednak Coulaincourt reprodukował tę wzmiankę i w ten sposób motywował wobec Aleksandra francuską kontr-propozycyę, łatwo pojąć, że to Cara zaniepokoiło i skłoniło do upartego obstawania przy rosyjskiej stylizacyi traktatu. Ob. *Correspondance de Napoleéon I,* Nr 16.178, oraz Vandal. l. c. II, 184, 282 n.

podziwiał w Erfurcie, komedya serdecznych uczuć, z doskonale udanem pragnieniem związku, któryby ugruntował trwałość sojuszu; *des bons offices* wobec Carowej-Matki, do której należało ostatnie słowo w decyzyi o losach córki; jej wahanie się, opór ze względu na wątłe zdrowie młodej księżniczki; wreszcie odmowa pod pozorem dwuletniej zwłoki — misternie odwleczona do pierwszych dni lutego, gdy Aleksander liczył, że zatwierdzenie styczniowego traktatu jest już w drodze z Paryża do Petersburga. Kunsztowna gra zawiodła. Ocukrzona odmowa, datowana 4 lutego 1810, skrzyżowała się z depeszami, które jak piorun spadły na głowę Cara, pod migocącym nad nią mieczem Damoklesa. Napoleon odmówił ratyfikacyi traktatu, w tem brzmieniu, do którego syn Pawła nie bez powodu tak wielką przywiązywał wagę; żądał zmian stylizacyi a zarazem donosił niedoszłemu szwagrowi, że nie mogąc doczekać się odpowiedzi w oznaczonym terminie, żeni się z córką austryackiego cesarza. Wszystko poszło piorunem: 2 kwietnia 1810 orszak europejskich królów asystował w Notre Dame ślubowi Napoleona z arcyksiężniczką Maryą Ludwiką.

Pod koniec marca, kiedy arcyksiężniczka w tryumfalnym pochodzie zdążała do Paryża, Czartoryski męczył się w Petersburgu nad memoryałem o projekcie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Znów wezwał go był Cesarz i jasno już tym razem postawił kwestyę: pytał, co ks. Adam sądzi o zamierzonym planie, czy można liczyć na wierność »mieszkańców ośmiu gubernii«, które miały się przeobrazić w odrębne państwo, złączone unią dynastyczną z Cesarstwem. Chłodna odpowiedź ks. Adama nie mogła zbudować Cara; przyjaciel młodości odrzekł, że bez namysłu nie może odpowiedzieć, musi się zastanowić. Przyobiecał wyczerpujący elaborat o tym przedmiocie. *Ce n'était vraiment pas facile... c'était élever autel contre autel et risquer la guerre civile de notre pays* — zapisał w pamiętniku. »A trzeba odpowiedzieć, *soit par convenance, soit parceque en présence d'un avenir toujours douteux*, nie można stargać zupełnie nitki, która w danych okolicznościach, ze zmianą położenia, może nabrać wartości, nieocenionej wartości« — *un fil qui, dans de circonstances différentes, pouvait devenir encore précieux...*

Memoryał Czartoryskiego, który znalazł się w tajnych papierach Aleksandra, nie świadczy o przezorności księcia, żeby tę »nić« utrzymać, ustrzedz od potargania. Trzeba to przyznać. Otwarcie, szczerze, oświadczył się przeciw projektowi Wielkiego Księstwa Litewskiego. Albo — albo! Jedynym środkiem pozyskania Polaków może być tylko przywrócenie ojczyzny w granicach przedrozbiorowych, złączenie wszystkich dzielnic. »Litwa« będzie półśrodkiem, od którego potomek Giedymina starał się odwieść przyjaciela młodości. Co więcej, nie wahał się wypowiedzieć wyroku śmierci na samą nawet »ideę księcia Adama« — *idée favorite* Aleksandra. Oto ostatni ustęp memoryału z 5/17-go kwietnia 1810: »Dodam jeszcze nakoniec jedną uwagę: wszystko ma swoją porę. Pomyślna chwila dla idei naszej minęła. Nie pora jąć się jakiegokolwiek dzieła w ostatniej chwili, gdy niepodobna zapobiedz niekorzystnemu wrażeniu, że robi się to pod przymusem. W takich okolicznościach trudno liczyć na powodzenie, zwłaszcza, że nieprzyjaciel może Waszą Cesarską Mość ubiedz. Zawsze lepiej brać się do rzeczy w stosownej porze, dopóki wielkie masy narodu nie widzą konieczności takiego działania. Jeśli dzisiejsze przesilenie zakończy się szczęśliwie dla Waszej Cesarskiej Mości, i ja naówczas śmielej będę doradzał przystąpić do wykonania teraźniejszych zamiarów, bo dobrowolna, nieprzymuszona wspaniałomyślność daje zawsze pewniejszą rękojmię korzyści, zwłaszcza w takim momencie, gdy przewaga jest po stronie wspaniałomyślnych. Nawet największe szczęście, sprzyjające jakiemuś rządowi, nie zapewni mu bezpieczeństwa na przyszłość, a zamiast niezadowolonej i nieżyczliwej ludności w nadgranicznych prowincyach, lepiej mieć tam szczęśliwych, wiernych poddanych, którzy będą przedmurzem Rosyi«. Na razie zatem: *nic* — nic oprócz powściągnięcia represyi w polskich guberniach, prócz ścisłego wymiaru sprawiedliwości, zrównania podatkowych ciężarów, ubezpieczenia funduszów edukacyjnych i t. p.; wreszcie możnaby w Wilnie utworzyć najwyższy trybunał apelacyjny dla tych ośmiu gubernii, z pominięciem petersburskich instancyi, to sprawiłoby dobry efekt. A jeśli Aleksander zwycięży Napoleona, wtedy będzie pora pomyśleć — choćby i o Wielkiem Księstwie Litewskiem...

Po odczytaniu tego memoryału, wspomina Czartoryski, *l'Empereur avait un regard sevère et fixe qui rappelait les yeux hagards qu'il avait à l'époque d'Austerlitz; sacontenance était pleine d'abattement et de découragement.* Miał podobno wrażenie, że »przyjaciel młodości« ucieka z tonącego okrętu. Właśnie kuryer paryski przywiózł wiadomość, że córka sprzymierzeńca z pod Austerlitz przybyła do Paryża i jest już Cesarzową Francuzów; pod niezwietrzałem wrażeniem przeszłorocznych pogłosek, może Carowi ukazało się widmo, którego z arcyksiążąt w koronie Jagiellonów.

Z czem zatem ks. Adam przybył do Petersburga po wojnie 1809 roku, jeśli tym memoryałem miał zakończyć pobyt w stolicy? Pocóż w jesieni wznawiał dyskusyę o swej »idei«, aby na wiosnę doradzać jej odroczenie *ad calendas graecas* — aż do pogromu Napoleona? Nie darmo tyle miesięcy bywał w petersburskich salonach. Wówczas pod koniec 1809 roku, stary Rumiancow w poufałej rozmowie z francuskim ambasadorem tłumaczył mu tajemnicę Samodzierżawia. *C'est à tort que l'on suppose à l'autocrate la pleine et parfaite indépendance de ses décisions* — mówił rosyjski kanclerz — *illimité en droit, son pouvoir doit en fait tenir compte de l'opinion mondaine, et, dans une certaine mesure, gouverner avec elle; il en résulte pour la Russie une forme de gouvernement très particulière: c'est le despotisme tempéré par les salons.* Ks. Adam wywiózł z tych salonów wrażenie, że Aleksander musi stanąć do walki z Napoleonem, albo, w razie dłuższego jeszcze wahania, będzie zmieciony, zniknie z widowni. Nie chciał stawiać »ołtarza przeciw ołtarzowi«, kiedy przed twórcą zamierzonej budowy tak niepewny, posępny otwierał się horoskop. Przed trzema laty sam książę Adam zapłodnił myśl Aleksandra ideą Niemcewicza, planem autonomicznej organizacyi ośmiu polskich gubernii; sam zamknął wówczas własną myśl polityczną w tych ciaśniejszych granicach, zastosowanych do położenia podczas pruskiej kampanii. Nie wahał się budować tego ołtarza, choć równocześnie Dąbrowski z niedobitkami Legionów ofiarowali do wzniesienia przeciwnego ołtarza polski oręż na kielnie, polską krew jako cement; nie odstraszał go skru-

puł: przeciwko Dąbrowskiemu postawić Kniaziewicza; sam przywoływał go do Taurogów. Nie mówił, że za późno; krew lała się pod Czarnowem, pod Pułtuskiem, pod Eylau — on nie ostrzegał przed »niekorzystnem wrażeniem spóźnionej akcyi«, sam do niej najżarliwiej przykładał rękę, nie szczędząc najosobliwszych pomysłów, jakby Litwinów i Wołyniaków skupić przy Aleksandrze przeciw »Bonapartemu«. A miał za sobą wówczas gorzki zawód przeszłego roku, lekkomyślne rozbicie puławskich planów. Teraz, gdy Aleksander sam podejmował plan Niemcewicza — Czartoryski odradzał. Zachwiała się widocznie wiara w Cesarza; nie tyle może nawet w jego osobisty charakter, w wartość jego słów, postanowień — pod tym względem do tylu dawniejszych rozczarowań nic chyba nie przybyło nowego; stracił poprostu wiarę w Aleksandra, w jego gwiazdę i przyszłość. A zarazem urosło w księciu Adamie poczucie odpowiedzialności, odkąd Puławy znalazły się w granicach Księstwa Warszawskiego. Po roku 1809, w przededniu nowej wojny, nie potrafił zdobyć się na odwagę, żeby wznowić i rzucić w naród własne, dawniejsze hasło: »z Rosyą!«. Nie darmo odgłos niedalekiej tradycyi odezwał się w fragmencie dramatu Mickiewicza:

Książęta Czartoryscy, żeby zaprowadzić
Reformy i siostrzeńca na tronie posadzić,
Zawezwali pomocy Imperatorowej...
To też sąd potomności spadł na nich surowy...

(Dok. nast.).

Stanisław Smolka.

„OD SZATANA DO BOGA".

Poczet głośnych *grands convertis* z francuskiego literackiego świata, w którego skład wchodzą takie postacie, jak Huysmans, Coppeé, Brunetière, Fr. Jammes, Bourget i inni, powiększył w ostatnich miesiącach poeta Adolf Retté.

Nie jest to objawem niezwykłym, że człowiek poważnie myślący, u którego na dnie pod zarzewiem namiętności i upadków, tliło trochę dobrej woli, naturalnej szlachetności i tęsknota za prawdą, wszedł na tę drogę, na której się często stykają najgłębsze umysły ludzkości, co przedtem może lata całe po manowcach błądziły — pod wpływem naturalnych przymiotów duszy, wspomożonych działaniem łaski w sercu, nie może inaczej być. To jednak w tej sprawie miłe wywołuje zdumienie, że książka, w której autor opisuje cały proces, co go »od szatana do Boga«[1] zaprowadził, w przeciągu czterech miesięcy doczekała się kilkunastu wydań.

Nie można tego faktu przypisać wyłącznie literackiej wartości dzieła, bo utwór tego rodzaju z natury rzeczy tworzy lekturę poważną, a więc znowu z natury swej ograniczoną do pewnego tylko kółka czytelników. Przyczyna tego zjawiska głębiej leży. Jest nią odwieczna dążność do prawdy, uwidaczniająca się w naszych czasach silniej może, jak kiedykolwiek, dążność, która

[1] Adolphe Retté: *Du diable à Dieu. Histoire d'une conversion.* Préface de Fr. Coppée. Paris 1907.

według słów św. Augustyna nie prędzej zaspokojoną zostanie, aż w Bogu spocznie. Dowodem tej dążności to nie tylko cały szereg prawdziwie wielkich konwertytów, ale, ograniczając się do samej tylko Francyi, i głośna ankieta: *Assitons nous à une dissolution ou à une évolution de l'ideé religieuse et du sentiment religieux?* ogłoszona w zeszytach *Mercure de France*, książki dra Rifaux'a: *Les conditions du retour au catholicisme, enquête philosophique et religieuse*, lub *L'agonie du catholicisme*... Broglie'go: *Le présent et l'avenir du catholicisme* i dziesiątki innych dzieł i prac. Raz jeszcze stwierdza to poszukiwanie prawdy, że nauka i sztuka i jakikolwiek twór ducha ludzkiego nie wystarczają do zapełnienia przepastnych głębin serca.

Skonstatowanie tego faktu podyktowało Franciszkowi Coppée następujące słowa: »W burzy niewiary, szalejącej nad Francyą, kiedy zbrodniarze, którzy nią rządzą, usiłują wyrwać z duszy narodu ostatnie resztki uczucia religijnego, mamy przynajmniej jedną pociechę: szczery i stanowczy powrót do prawdy chrześcijańskiej ludzi wybranych, dusz z wielu względów bardzo znamiennych. Jednych zawraca potęga myśli, innych dar wyobraźni. Przyszli historycy naszej literatury z końca dziewiętnastego wieku będą zmuszeni uznać, że Brunetière naprzykład, wielki krytyk i potężny dyalektyk, że Bourget, do głębi duszy wnikający powieściopisarz i doskonały malarz współczesnego świata, że Huysmans, rzadki i wytworny artysta stylu, że Verlaine, rozkosznie naiwny poeta, byli mimo swych błędów, katolikami, i to katolikami, którzy wrócili do wiary po jej utracie albo przynajmniej po jej zapomnieniu« [1].

Liczbę tego doborowego grona powiększył, jak już zaznaczyliśmy, poeta Retté, fakt tem więcej znamienny, że słuszną jest uwaga Coppée'go: »Konwertyci, o których przed chwilą wspomniałem, zachowywali się latami obojętnie wobec Boskiego krzyża. Niektórzy z nich — i ja do nich należę, *mea culpa* — opłakują gorzko niedorzeczną lekkomyślność i niebezpieczną zuchwałość, z jaką odzywali się czasami o rzeczach świętych, wsty-

[1] L. c. str. V.

dzą się niejednej karty z swych dawnych dzieł i potępiają je. Ale w tym wypadku wina — nieszczęście raczej — była gorsza«. Dlaczego?

Na najmilsze w życiu lata dziecinne poety padł cień niezgody i rozdwojenia, które trawiło jego rodzinę. O wychowaniu, nie już katolickiem, ale jakkolwiek religijnem, nikt nigdy nie myślał. »Byłem sam — tak! zawsze sam — od zarania mego dzieciństwa, w które rzucono ziarno niewiary. Od jedenastego do ośmnastego roku życia nie znałem bynajmniej tego ogniska, z którego mógłbym był zaczerpnąć poszanowania dla zasadniczych obowiązków moralnych. Rodzina moja rozdzielona wzajemnemi waśniami, mało zwracała uwagi na uczuciowe i skłonne do marzeń dziecko. Jeżeli dorywczo mną się zajmowano, czyniono to w tym celu, aby mi zaszczepić nienawiść i doświadczyć na mnie sprzecznych metod wychowania. Dziwiono się naiwnie, że jestem niepojętnym, upartym i raczej skłonnym do marzeń w cieniu drzew, jak do interesowania się waśniami rodzinnemi. Zaczęto mnie karać. Powiedziano mi, że dobrze jest pozostawić dzieci na łasce losu i że sama przyroda nauczy ich dobrego i złego... Korzystałem z tej okazyi, aby się błąkać po polach i układać nieudolne jeszcze wiersze. Duch poezyi objął mnie już w posiadanie« [1].

Dla uzupełnienia tak rozpoczętego wychowania, oddano go do protestanckiego zakładu, gdzie musiał »przeżuwać niestrawny pokarm, jakim go żywili zrzędzący pedanci, znudzeni swojem rzemiosłem« i gdzie praktykował zasady wyznania augsburskiego, choć nie odczuł ich głębszego wpływu na siebie; pozostała mu tylko jakaś mglista, niewyraźna wiara w istnienie Boga i wstręt do tej suchej religi, gdzie prawo panowało nad »królestwem łaski«.

Lata spędzone na ochotniczej służbie wojskowej płynęły w rozpuście, niszczącej ciało i gaszącej resztki wiary; zawód literacki, któremu się później poświęcił, służył do stwarzania poezyi i prac literackich, gdzie erotyzm szedł na przemian z bluźnierstwem i ze zohydzaniem wiary. Walka z księdzem, Kościołem,

[1] L. c. str. 91.

Bogiem i z »poczciwym człowiekiem, Galilejczykiem, któremu jednak brakło praktycznego zmysłu« [1], to hasło owych czasów. Żonę, kobietę niepojętego wprost poświęcenia i nie sprzeniewierzającej się na chwilę wierności, wybryki jego przedwcześnie do grobu wtrąciły; jej miejsce zajęła często wspominana w książce *dame aux yeux noirs,* a ten nielegalny stosunek cztery lata ciężył przekleństwem na jego życiu, na które ta kobieta bez żadnej moralnej wartości wywierała fatalny i suggestyonujący wpływ, z pod którego żadną miarą uchylić się nie mógł.

W tych warunkach łatwo zrozumieć, że Retté znalazł się kolejno »pod skażoną trykolorą radykalizmu, pod czarnym sztandarem anarchii i czerwoną chorągwią politykującego socyalizmu« [2]. Z Bogiem nic go pozornie więcej nie łączyło.

Mimo to wszystko na dnie duszy tliła iskra szlachetności. Miłość pracy, sztuki i samotnego życia na łonie przyrody [3] zachowywały go od zupełnego zwyrodnienia a naturalne przymioty serca i umysłu pokazywały mu w prawdziwem świetle, przystrojone w błyskotliwe frazesy, czyny i zapatrywania. Walka pod zwodniczem hasłem kongregacyom wydana oburzała go [4], praktyki radykałów go odstręczały [5]. Niespokojne serce tęskniło i szukało.

»Nie, wołałem, nie *nunc est bibendum et pede libero pulsanda tellus,* nie cieszmy się i radujmy bez trosk z naszego życia, bo jutro pomrzemy — to nie wystarcza do mego zadowolenia. Potrzeba mi szlachetniejszego ideału« [6]. »Wszedłem wówczas w stan krańcowych fluktuacyi. Z wiedzy przerzucałem się we wiedzę, szukając wszędzie wiary, któraby ukoiła niepokój mego serca, i — rozumie się — nie znalazłem jej« [7].

Pogrążył się najpierw w poganizmie: »Ponieważ nie chcę ani nie mogę przyłączyć się do chrześcijaństwa, ponieważ Natura, równocześnie rozkoszna i dzika namiętnie mnie pociąga, będę uwielbiał ślepy los i nieznane siły, które z człowieka zabawkę so-

---

[1] L. c. str. 51. [2] L. c. str. 41. [3] L. c. str. 92.
[4] L. c. str. 43. [5] L. c. str. 41. [6] L. c. str. 50. [7] L. c. str. 19.

bie robią. Chcę ubóstwiać moje skłonności; wykorzenię z siebie wszelką myśl altruistyczną, któraby mnie odwodziła od wydania mych pięciu zmysłów na łup rozkoszy. Zacząłem więc służyć Pan'owi i zdradliwej Afrodycie. W te wybryki mieszały się jednak wewnętrzne wyrzuty, które mnie bardzo nieszczęśliwym robiły w chwilach, gdy po zaspokojeniu zmysłów, zaglądałem do głębin duszy i znajdowałem ją tak brudną, jak ujście odpływu, które zaniedbano oczyścić« [1].

Szukał więc dalej. »Krążyłem około szkieletu, który nazywa się Kant... Kategoryczny imperatyw sofisty z Królewca nie przypadł mi do smaku... Jego r o z u m w y s t a r c z a j ą c y wydawał mi się tak suchym, jak piszczel Kalwina. I znowu szedłem gdzieindziej. Próbowałem panteizmu, co mnie więcej, jak zwykle, zbliżyło do drzew. Zdawało mi się wówczas, że znajduję mych Bogów, cząstki nieograniczonej substancyi, pod korą dębów i w listowiu buków. Modliłem się do brzóz. Rosa na złotych kwiatach janowca wydawała mi się wodą oczyszczającą z win. Ten obłęd był przynajmniej czystszy, jak rozpustny poganizm... Wkrótce i panteizm był dla mnie za mglistym i nieuchwytnym« [2].

Przerzucił się wreszcie w budyzm, ale temu ciemnemu ascetyzmowi stała na przeszkodzie jego duma i rozpusta a posępny Nirwana go przerażał. »Walka wewnętrzna rosła. Odtąd począłem żyć mieszaniną mych wszystkich urojeń. Raz pchał mnie do czynu socyalizm i jego utopia w postępie; to znowu Afrodyta i Dionysios, podając mi swe złote czary, nieprzeparcie rozkoszą do siebie wabiły, a ja powolny, składałem ofiary u ich ołtarzy. Później aromat posępnych kwiatów, jakie panteistyczna Izyda swoim zwolennikom obficie rzuca, drażnił me nozdrza; następnego dnia wzywałem Sakya Muni i jego idyotyczny uśmiech. Potem nagle zmienne mrzonki wiedzy wzięły nad wszystkiem górę. Przychodziły na mnie i zachcianki chrześcijańskie; odrzucałem je z oburzeniem, gdyż wydawały mi się urojeniem dziecinnem wobec mamideł, które mnie zajmowały... Czy choć raz w życiu błądziłeś po płaszczyźnie o wybujałej, dzikiej roślinno-

[1] L. c. str. 50. [2] L. c. str. 51 nast.

ści? Było to może pod wieczór, kiedy jesienne zrównanie dnia z nocą sprowadza zmianę pogody a wiatry również bez ustanku kierunki zmieniają. Zewsząd napływa utrapienie. Wichura wyje z prawa, z lewa, z przodu, z tyłu; wiatry północne i zachodnie wszystkie się zerwały. Mroźne i suche podmuchy nacierają na ciebie, sieką w twarz, palą i mrożą równocześnie; nie wiesz, czego się po tych wichrach rozkiełznanych spodziewać; stajesz w osłupieniu: oczekujesz ciszy, która skądinąd nie nadchodzi. — Oto stan mej duszy w owej epoce« [1]. Podkład pod przyszłe rozważne działanie rozumu i pod wpływ łaski był więc przygotowany.

Głębszy wyłom w jego życiu moralnem, jak powyższe bezcelowe błąkania się po polu ludzkich systematów, wyżłobiło rozpadanie się w gruzy tych ideałów, które, jak się mu zdawało, świeciły zawsze nieskalanym blaskiem.

Stracił najpierw zaufanie do wiedzy a powód był pozornie dość błahy. Po płomiennej, z wielkim aplauzem słuchaczy przeciwko Bogu, klerowi i kapitalizmowi wygłoszonej mowie, zapytał go jeden z uczestników socyalistycznego zebrania: »wierzymy już, obywatelu, że P. Bóg nie istnieje — ta sprawa dla nas załatwiona. Ale ponieważ świat przez nikogo stworzonym nie został, chcielibyśmy wiedzieć, jaki był początek wszystkiego. Wiedza stoi z pewnością na wysokości swego zadania; powiedz więc nam jasno, co ona o tem sądzi?« [2] Odpowiedź na to, tak zresztą naturalne pytanie, brzmiała inaczej, jak zgromadzeni sobie wyobrażali: »wiedza nie może wytłumaczyć początku świata... jest za słabą, żeby rozwiązała zagadkę bytu« [3]. Jakto? »wszystkie dzienniki i broszury, które czytamy, powtarzają bez końca, że wiedza tłumaczy wszystko i wszystko wyjaśnia; poza tem istnieje tylko blaga księży i bogaczy, pragnących wyzyskiwać robotników. Sam przed chwilą przekonywałeś nas, że człowiek wolny tylko we wiedzę wierzyć powinien. Teraz, gdy cię zapytujemy o najważniejszą sprawę, tę mianowicie, jak my istniejemy, odpowiadasz nam, że nikt o tem nic nie wie... to szkandał«. Mimo tego oburzenia odpowiedź brzmi jeszcze bardziej stanowczo: »ani ja,

[1] L. c. str. 53. [2] L. c. str. 10. [3] L. c. str. 11 nast.

ani nikt inny tego wytłumaczyć nie może. Ci, którzy w tym względzie pewne twierdzenia stawiają, drwią sobie z was«. Równocześnie z tą odpowiedzią zrodziła się w sercu walka i powstał niepokój, który koncentrował się w ciągle powracającej i natrętnie nasuwającej się myśli: »a jednak, jeżeli istnieje Bóg?... Przeszło trzy lata upłynęły już od tego wieczoru, który mnie wykoleił. Dziś, kiedy niewymowna światłość raczyła mnie oświecić wierzę, że Pan Bóg użył mojego przemówienia jako okazyi, by mnie Sobie zdobyć. Dzięki Mu za to na wieki« [1].

Niebawem rozwiała się druga iluzya: »Uczyniłem nowy krok naprzód w dniu, kiedy niezadługo po owej wieczornej konferencyi zrozumiałem, że nasz reklamowany postęp... jest tylko złudzeniem... Postęp jest podobny do wiewiórki, która szalona goni w okrągłej i ruchomej klatce a nigdy do brzegu nie przybija. Klatka jest mniej lub więcej złoconą, ale ostatecznie tylko klatką. Gdy tak wiara w wiedzę się zachwiała, czułem, jak rozpada się w mym umyśle jej owoc: postęp. Cóż jeszcze pozostało we mnie z wiary w chwalebną przyszłość ludzkości, która po drodze swego pozornego rozwoju miała się rzekomo zbliżać do absolutnego dobrobytu i do pełnych garnków? Nie wiele« [2].

Przyszło nareszcie jedno jeszcze rozczarowanie. Poznał niesłychanie małą moralną wartość osób, w których towarzystwie dotychczas przebywał. Jedni z nich wpadali w szał na sam widok krzyża; najmilszem ich zajęciem było bluźnierstwo, a jednak, kiedy zbliżyła się ostatnia godzina, gwałtem wzywali księdza i prosili o sakramenta [3]; uczeni, w olbrzymiej części blagierzy, szarlatani, zarozumiali, nie biorący rzeczy na seryo, szukający okazyi do wypełnienia kieszeni: »nienawidzą wszystkiego, co czyste, wzniosłe, zbawienne; demoniczną rozkosz znajdują w miotaniu się na wszystko, co Boskie« [4]; anarchiści, jakkolwiek między nimi najrozmaitsze znajdują się charaktery, nacechowani niepojętą dumą i lekceważeniem innych, a »gdy na usta lub pod pióro nawinie im się słowo: B ó g, w i a r a zaczynają bluźnić i bryzgać

[1] L. c. str. 13—18. [2] L. c. str. 22 nast. [3] L. c. str. 14.
[4] L. c. str. 21 nast.

jadem jak dzikie koty« [1], przytem ich krwiożerczość nie może do nich przychylnie usposobić; u socyalistów, którym słowem i czynem służył, spotkał się z podejrzeniem, zazdrością, oszczerstwem, intrygami i potwarzami a zerwał z nimi ostatecznie, gdy chcąc udowodnić swe wyzwolenie z pod wszelkich przesądów, we Wielki Piątek urządzili bankiet mięsny i przeplatali go idyotycznemi wycieczkami przeciwko chrześcijaństwu [2]; w radykalizmie teraz dopiero zrozumiał i spostrzegł sprzeczność, tę mianowicie, że chcąc uwolnić człowieka od dawnych wierzeń, oddał go w niewolę państwu; w Jaurès'ie, w Clemenceau i innych poznał ludzi, których niewymowna duma idzie w parze z duchem sekciarstwa i lichotą moralną, ludzi »opętanych wolnomularstwem« [3]. Ta właśnie moralna nędza ludzi, którzy pod pozorem uwolnienia człowieka z więzów wiary, zwalczali Boga i religię, i swych zwolenników szukali i znajdowali wyłącznie wśród mętów i wyrzutków społeczeństwa, nasuwała mu myśl, że jednak ta religia musi być groźną, wielką i świętą potęgą, skoro wszystko, co jest występkiem i brudem, tak namiętnie ją zwalcza.

Był to rzeczywiście krok naprzód na drodze »od szatana do Boga«, »a jednak, im więcej sobie zdawałem z tych rzeczy sprawę, z tem większą zaciętością nurzałem się cały w bluźnierstwie... Ach! jak niesłychanie podłym staje się ten, kto zapoznaje Boga, aby iść za szatanem... Jaka przepaść sprzeczności! Jaki bolesny zawrót głowy wśród tylu grzechów! Błądziłem bez kompasu w labiryncie ciemnych podziemi. Nie wiedziałem już, dokąd idę.

»Ale Tyś to wiedziała, czysta Dziewico! Zbliżał się świt, w którym zajaśniałaś w moich ciemnościach, cicha Gwiazdo zaranna. Niezadługo miała uderzyć godzina, w której biorąc w Twą czystą rękę mą rękę skalaną, poprowadziłaś mnie do stóp Bożego tronu.

»Chwała Tobie, o łaskawa, o najświętsza, o najsłodsza Matko Zbawiciela« [4].

* * *

[1] L. c. str. 25 nast. [2] L. c. str. 28 nast. [3] L. c. str. 34 nast. [4] L. c. str. 44 nast.

I świt rzeczywiście się zbliżał a przyspieszył go znowu pozornie błahy powód. Namiętny miłośnik przyrody spędzał dnie całe na rozmyślaniach i marzeniach w ulubionym lesie w Fontainebleau; to wprowadzało jakieś ukojenie do jego duszy. Domu unikał, gdyż tam mieszkała ta, która była klątwą jego życia i największą przeszkodą nawrócenia, *dame aux yeux noirs* — i literatura zaczęła go nawet nudzić, choć mu przedtem dała tyle chwil rozkoszy.

W początkach czerwca 1905 r. błądził w umiłowanym lesie z Boską Komedyą Danta i wzrok jego zatrzymał się dłużej na onym ustępie z drugiej pieśni, gdzie Dante i Wirgili opuszczają piekło.

Tak mi się zjawił — bodaj jeszcze zjawi
Blask, co po zwodnej ścieżce w szybkim gonie
Leciał, jak żaden lot ziemskich żórawi.
A ledwo, że się ku Wodzowi skłonię,
By spytać co to, już on na topieli
Rośnie i coraz ogromniejszy płonie.
Wtem po dwu bokach zjawienia wystrzeli
Jakowaś białość, a dołem dokoła
Drugi się jakiś płat śnieżny zabieli.
Mistrz jeszcze słowa nie wymówił zgoła,
Gdy błysła skrzydeł para białopiana,
Aż wtem żeglarza pozna i zawoła:
»Prędzej, o prędzej, padaj na kolana!
Anioł to Boży: złóż ręce, skłoń lice,
Wnet ujrzysz więcej takich rabów Pana.
Patrz, jak on sztuki ludzkie ma za nice:
O żaglach nie dba, ani dba o sterze,
Na skrzydłach mierząc tak wielkie granice.
Patrz, jak powietrze niemi pod się bierze,
Parą wieczystych żagli strzygąc z góry,
Co nie padają, jak to ziemskie pierze«.
Potem, gdy bliżej ptak z boskiemi pióry
Podleciał, takim pożarem zapłonął,
Że znieść nie mogąc, mój ziemskiej natury
Wzrok szukał ziemi; on zaś dalej wionął
Do brzegu czółnem tak lekkiem, że w wodzie
Nawet rąbeczek jego dna nie tonął.
Sternik na tyłach stał — w takiej urodzie,
Że mi wyglądał, jak osoba święta;
Więcej sta duchów siadło w głębi łodzie.

»Egipskie Izrael kiedy rzucał pęta«...
I to co dalej stoi w księdze, społem
Śpiewały zgodnie duchy niebożęta.
Anioł krzyż kreślił, więc padają czołem
I na wybrzeżnym piasku się pokładą,
A on jak przybył, tak i pierzchł sokołem [1].

Ten i następne obrazy pokutujących i wyzwolonych dusz czyścowych wstrząsnęły do głębi całem jestestwem poety. »Czułem, jak mi dreszcz przebiegał po żyłach i całe ciało wstrząsało się. Książka wypadła mi z rąk. Oparłem się o pień buku. Byłem jakby olśniony wewnętrznem światłem. Zdawało mi się, że czarne chmury, które rzucały ponure cienie na moją duszę, rozpływały się. Jakaś światłość, bolesna raczej jak silna, odsłoniła mi moje grzechy, rozpierające się jak ropuchy w błocie mego serca. Trawiły mnie równocześnie wyrzut i niewymowna jakaś radość... Jakto, pytałem, tak wzniosłe natchnienie możeż ono być rzeczywiście świadectwem prawdy? Czyż ta przezemnie tak sponiewierana religia katolicka nie myli się, gdy twierdzi, że grzesznik, który żałuje i chętnie za swe występki pokutę przyjmie, staje się przez to samo godnym nieba? Przebóg! jeżeli w tych wierszach znajduje się coś więcej, jak prześliczne marzenie wieszcze, mógłbym się oczyścić z mych brudów i zbawić?... Lecz wówczas... Bóg chyba istnieje? — Stałem kilka minut skamieniały; i znowu zacząłem: O! jeżeli istnieje Bóg, jakie widoki otwierają się przedemną... Przedłużałem mój spacer, lecz w zamieszaniu większem, jak to wyrazić mogę. Pytałem się nieustannie: czyż On istnieje? czy na prawdę istnieje?« [2]

Te walki i wątpliwości wydały na razie nieoczekiwany rezultat: nowy wybuch fanatyzmu antyreligijnego, bluźnierstwa, artykuł przeciw Kościołowi i radę daną przyjacielowi, błąkającemu się jak i Retté, by wszystkie wątpliwości odrzucił między rupiecie: *vive Aphrodite!* [3]

Bóg jednak nie chciał już utracić tej duszy. Następnej nocy ma dziwny sen: przedstawia mu się scena wyczytana w Dancie,

[1] W tłumaczeniu E. Porębowicza.
[2] L. c. str. 59 nast. [3] L. c. str. 64 nast.

jakby ją widział w rzeczywistości; »dwaj poeci utopili we mnie oczy pełne nieopisanego smutku a równocześnie brzmiały ciche melodye, podobne szumowi wiatru w szczytach sosen« [1]. Rozstrojony na nowo tem dziwnem zdarzeniem przechodzi raz jeszcze swoje życie, swe walki i błądzenia i — »padłem na kolana na omszałej skale i poraz pierwszy od mego piętnastego roku począłem się modlić: Panie, który istniejesz, przyjdź mi z pomocą. Ty widzisz: jestem człowiekiem dobrej woli, który tylko Ciebie słuchać pragnie. Wspieraj mnie, ucz mnie, oświeć mnie... To wszystko: lecz to wystarczyło, gdyż od owego poranku przekonanie o istnieniu Boga nie opuściło mej duszy« [2].

I znowu pozornie dziwnym trafem na samotnej przechadzce w lesie spotyka kapłana, odmawiającego pacierze i wymawiającego: A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami; odtąd te słowa brzmiały mu nieustannie w uszach, ale odtąd też rozpoczęło się wewnętrzne szamotanie, o jakiem nie miał dotąd pojęcia.

Czuł, że Bóg od niego wymaga duszy i że trzeba szukać ratunku w Kościele i u kapłana; wzgląd ludzki i obawa, jak będzie przyjęty, nie pozwoliła mu na ten krok. Nie liczył się wprawdzie nigdy ze względem ludzkim, nie mógł mu się jednak oprzeć w tym najważniejszym wypadku. Myśl, że gdy raz z przeszłością zerwie, wypadnie z nią już zerwać na zawsze, trzeba będzie wytrwać do końca, przerażała go; budziło się często pragnienie, żeby ten wewnętrzny głos sumienia, który każdą chwilę życia mu zatruwał, raz wreszcie się uciszył; rzucał się bez rozwagi i namysłu w wir uciech światowych, i wynosił stamtąd nową gorycz, przesyt i nudę; modlił się gorąco a równocześnie unikał kościoła. »Miałbym klęknąć pod temi sklepieniami brzemiennemi od modlitw, ja, którym tylu bluźnierstw, podłości i nieczystości się dopuścił! toby było rodzajem świętokradztwa. Nigdy się na to nie odważę« [3]. Gdy mimo to raz się odważył na przestąpienie progów świątyni, nie wytrzymał, uciekł, ale jakaś wewnętrzna

[1] L. c. str. 67. [2] L. c. str. 81. [3] L. c. str. 110.

siła na nowo go do kościoła zawiodła; znajdował się jednak na najgorszej drodze, bo na drodze zupełnego zwątpienia o miłosierdziu Bożem.

W tych ciężkich przejściach krzepił go i ufnością napełniał Franciszek Coppée i jakiś bliżej niewymieniony przyjaciel, którego listy niesłychanie kojąco na znękaną duszę działały. Pod ich wpływem zerwał z antyreligijnemi gazetami a po wyzdrowieniu z ciężkiej choroby pierwszą jego czynnością było — napisać gwałtowny artykuł przeciwko dziełu Huysmanna: *Les foules de Lourdes*, artykuł pełen sarkazmu i nawet bluźnierstw przeciwko N. Pannie[1]. A jednak N. Panna miała zadecydować jego los, ale dopiero po bardziej jeszcze zaciętych walkach, które się powiększały w miarę jego zbliżania się do prawdy.

Prześliczne są obrazy, malujące ówczesny stan jego duszy.

»Szatan: Ponieważ nasunęła ci się myśl, żeby potępić rozwiązłość duszy i ciała, w której tyle lat trwałeś, czyż myślisz może, że odzyskasz od razu czystą duszę ochrzczonego dziecięcia?

Ja: Bynajmniej tak nie sądzę. Wiem tylko, że tak dalej żyć nie mogę. I ponieważ Bóg pozwala mi za grzechy żałować, ufam, że nie czyni tego w tym celu, by mnie następnie opuścił.

Demon: Mylisz się. Jeżeli Bóg nawiedza cię takiem utrapieniem, czyni to dlatego tylko, aby ci pokazać, że nie masz się niczego więcej od Niego spodziewać.

Anioł: Kłamie. Miłosierdzie Boże dla pokutujących jest nieskończone. Ufaj i módl się.

Ja: Ach! takbym się chciał modlić. Ale od kilku dni, ilekroć to czynić pragnę, zdaje mi się, jak gdyby jakiś ciężar opadał mi na piersi. Mogę tylko skłonić głowę i łamać ręce.

Demon: Rozumiesz teraz? To nowy dowód, że nie masz się niczego więcej tam z góry spodziewać. Im bardziej pragniesz korzyć się przed tym Bogiem, który tobą gardzi, tem prędzej będziesz odrzucony. Dla grzeszników twego pokroju niema ratunku. Zdobądź się na odwagę; uznaj, że wszystko dla ciebie

[1] L. c. str. 119

się skończyło; odejdź dobrowolnie w tę ciemnię, gdzie się już więcej nie cierpi.

Ja: Tak! toby było może jeszcze najrozumniejszem, czuję się tak złamanym.

Anioł: Nie! ufaj i próbuj się modlić. Ból oczyszcza...

Ja: To prawda! Boże, padam w proch przed Tobą. Ojcze nasz, który jesteś w niebie, odpuść mi winy moje..

Demon: Aha! dotąd zdążasz? Przypomnę ci więc kilka z tych występków, o których sądziłeś, że są w zapomnieniu pogrzebane.

Ja: Na miłość Bożą, niech ten głos zamilknie. Wiem dobrze, że jestem śmieciem.

Anioł: Odwagi! Poddaj się mężnie temu rachunkowi sumienia, on ci jest konieczny.

Ja: Nie mogę; za wiele cierpię. Nie chciałbym słyszeć tego głosu«.

Przed oczami pokutującego przesuwają się teraz grzechy życia, rozpacz go bierze, ale znowu Anioł idzie z pomocą; przypomina walkę, którą prowadzi, błędy, których się wyrzekł, życie, od którego się odwrócił, wiarę, która jego serce ożywia. »Ufaj i módl się«.

»Ja: Ojcze Nasz, który jesteś w niebie, odpuść mi winy moje... Żałuję. Ale pocóż tych tortur?

Anioł: Są potrzebne. Odwagi!

Demon: Odwagi? Będzie jej miał niezadługo więcej! Nie napróżno przecież od tygodnia stawiam mu bez ustanku widmo jego grzechów przed oczy.

Ja: Tak, jestem bardzo zmęczony.

Demon: Chcesz odzyskać spokój? Wyrzuć z duszy to urojenie pokuty. Wróć się do dawnych przyzwyczajeń. A aby dobrze rozpocząć, umórz to widmo, które nazywasz Bogiem.

Ja: Nie, nigdy! Wierzę w Boga z całego serca.

Anioł: *Alleluja!*

Demon: A więc cierpienie twoje się nie skończy, tembardziej, że na dnie twej duszy rozróżniam zawsze pragnienie samobójstwa.

Ja: Niech Bóg mnie wspomoże. Wierzę w Niego«...[1]

Następstwem tych ciągłych utrapień było wydalenie z domu kobiety, z którą cztery lata grzechu go łączyły i nowa rozpacz, wywołana ustawicznem przypominaniem się dawnych grzechów a przedewszystkiem zgorszeniem sianem przez prace literackie. »Jak w oślepiającej jasności stanęła cała moja przeszłość przed oczami, podobna do kloaki o czarnych murach, skąd się sączyła cuchnąca wilgoć i którą pokrywała ślizga roślinność. Na błotnistem dnie roił się, pełzał, krążył nieczysty kłąb ropuch, żmij i salamandrów«[2]. Wyrzuty były tak silne, ciemności, które na duszę spadły tak wielkie, że od dawna już w sercu rodząca się myśl samobójstwa, ożyła na nowo. Postanowił ją wprowadzić w czyn i dopiero, gdy w ręku trzymał narzędzie, które mu śmieć zadać miało, jakiś głos wewnętrzny odwiódł go od strasznego zamiaru a gorąca modlitwa zaniesiona do N. Panny, zrodziła wreszcie silne postanowienie zawezwania pomocy kapłana. Franciszek Coppée, do którego w tej sprawie się zwrócił, poradził mu udać się do jednego z świątobliwych księży u św. Sulpicyusza — niepokój, wyrzuty, wstyd wróciły na nowo, lecz już im nie uległ. Łagodność i roztropność kapłana, jego szczera pobożność wielkie na nim zrobiły wrażenie a słowa pełne ufności lały spokój do skołatanego serca. Zaczął sobie przypominać prawdy katechizmowe, uczyć się znaku krzyża świętego i innych modlitw i przygotowywać do spowiedzi. Łaska opromieniała jego serce.

»Niewymowna słodyczy łaski, gdy w promienistych falach wracasz do duszy, która ciebie utraciła! Zdaje się, jak gdyby lekki głos dzwonka na Anioł Pański leciał po polach przez mglisty poranek pod koniec kwietnia. Czujesz, że dzień się zbliża pogodny; odgadujesz jasny błękit pod przeźroczystymi oparami, które płyną ponad powiewnem kwieciem jabłoni. Dzwonek śle swe ostre dźwięki przez śnieżyste kłęby mgły, przesycone różowem światłem... Powoli łaska potężnieje. Dzwonek na Anioł Pański milczy: natura się modli. Wschodzące słońce podnosi się szybko na horyzoncie i świeżą zieleń swem światłem zalewa.

---

[1] L. c. str. 150 nast. [2] L. c. str. 165.

Chłonie w siebie mgły, rozprasza nocne widziadła, które po kątach w cieniach jeszcze się błąkają, a od pełnych podmuchów wiatru, przepełnionych zapachem fiołków, szumi lekkie listowie topoli i brzóz... hymn wiosenny płynie w świeżem, rannem powietrzu... Podobnie dzieje się z pokutującą duszą, której łaska nie skąpi swych tajemniczych blasków... O święty Kościele katolicki, szafarzu prawd Bożych, jak podziwu jesteś godnym, kiedy pełen litości przytulasz do siebie marnotrawne dziecię, które łaską pokonane, korzy się przed ołtarzami twymi« [1].

I tak zbliżyła się chwila spowiedzi: »Wesoło biegłem po ulicy. Powtarzałem sobie: znalazłem przebaczenie, znalazłem przebaczenie, jakie to szczęście! Sto A l l e l u j a dzwoniło mi w duszy« [2]; komunia święta upoiła go: »wchłaniałem w siebie promienny pokój, który we mnie panował. Ach! czemuż nie można zatrzymać czasu w tej uroczystej godzinie ukojenia i niewinności?... W ciągu następnych dni żyłem w pewnym rodzaju świetlanego snu. Moje myśli zwracały się do Boga; zdawało mi się, że wszystkie przedmioty przybrały strój odświętny... Najświętszy Sakramencie, jak trzeba żałować tych nieoświeconych i zabłąkanych, którzy zapoznają potęgę Twoją! Wiem, że dla mnie jesteś źródłem wszelkiego dobra, źródłem nadziei i siły, skąd w dniach smutku i zniechęcenia dusza czerpie męstwo i pociechę. Spraw, Boże, żebym nigdy o tem nie zapomniał. Daj siły, bym do tego świętego stołu zbliżał się zawsze z temi samemi uczuciami, jakie mnie ożywiały w dniu mojej pierwszej komunii« [3].

Dzieło było więc dokonane, łaska zwyciężyła a działała ona wewnętrznym głosem, wyrzutami sumienia, rozwiewaniem illuzyi. Szczerość, z jaką poeta opisuje swe wątpliwości, walki i upadki, plamiące jego życie do ostatniej prawie chwili, każe też czytelnikowi uwierzyć w szczerość nawrócenia i każe zakończyć razem z pokutującym:

»Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata i codziennie ofiarujesz się na wszystkich ołtarzach, aby nam dać grzechów przebaczenie, przebacz biednym konwertytom.

---

[1] L. c. str. 187 nast. [2] L. c. str. 195. [3] L. c. str. 198.

»Baranku Boży, który mieszkałeś między nami, aby zmyć nasze winy, wysłuchaj biednych konwertytów.

»Baranku Boży spraw, aby za przyczyną Zwierciadła Sprawiedliwości spłynęły na nas na zawsze promienie Twej łaski i ulituj się nad biednymi konwertytami« [1].

Ks. Wiktor Wiecki.

---

[1] L. c. str. 206.

TWÓRCZE SIŁY SPOŁECZNE I KULTURALNE CHRYSTYANIZMU.

(Ciąg dalszy).

W połowie drugiego wieku przed Chrystusem hellenizm na Wschodzie wzdłuż wybrzeży morza Śródziemnego już głębokie i silne zapuścił korzenie. Rzym i Italia, Egipt, Syrya i Fenicya, Mała Azya i Armenia, Assyrya i Kartagina ulegają niepokonalnemu czarowi kultury helleńskiej, jedna Palestyna tylko, otoczona wieńcem miast helleńskich (Pella, Dion, Ptolemais, Philadelphia, Dekapolis, t. j. związek 10 miast greckich), zalewana kolejno potężną falą hellenizmu już to z Egiptu, już to z Antyochii i Syryi żywotny stawia opór możnym wpływom propagandy helleńskiej.

Aż do roku 174, t. j. do chwili, kiedy objął rządy Antyoch IV, wpływy te były tylko zewnętrzne; odkąd atoli na stolicę arcykapłańską wdarł się zagorzały hellenista Jazon, w łonie narodu i kołach panujących wyrobił się potężny prąd hellenistyczny, który, gdyby król Antyoch nie był w hellenizacyi posunął się aż do dzikich okrucieństw, byłby niechybnie doprowadził Żydów do zatracenia i zatopienia narodowości w odmętach wszechwładnego prądu helleńskiego.

Jak się odbywała ta hellenizacya?

Życie greckie i grecka kultura rozwijała i ogniskowała się w okazałych gimnazyach i uczelniach i śpiewnych igrzyskach publicznych: w ἐφηβεῖον uczyła się młodzież szkolna; dla kultu ciała i piękna były gimnazya, łazienki, place wyścigowe i igrzyskowe; dla spraw publicznych i pielęgnowania sztuki był teatr,

gdzie przedstawiano utwory muzyczne i dramatyczne, które stanowiły punkt kulminacyjny wszystkich zabaw świątecznych. Kult piękna życiowego, to istota pedagogii i ideał żywotny Grecyi.

Od budowy też gimnazyum i ἐφηβεῖον, pod osłoną zamku obronnego rozpoczął Jazon »niecną« swą robotę, usiłując w młodzieży przedewszystkiem zaszczepić grecki obyczaj — εὐθέως ἐπὶ τὸν ἑλληνικὸν χαρακτῆρα τοὺς ὁμοφύγους μετῆγε (II, Mach. IV, 10). »A to było nie początkiem, ale rozkrzewieniem niejakiem i pomnożeniem pogańskich i cudzoziemskich obyczajów«, dodaje współczesny historyk. Z językiem zaś i obyczajem greckim szło w parze skażenie obyczajów. Doszło do tego, »iż już kapłani nie około posługi ołtarza bawili: ale wzgardziwszy Kościół i zaniedbawszy ofiar, kwapili się na to, aby byli uczestnikami szermierstwa i niezbożnego widania igrzyskiego, i ćwiczenia w ciskaniu kamieniem. A mając sobie nizacz ojczystej poczciwości, chwałę grecką za rzecz najlepszą sobie rozumieli... i na wszystkim chcieli być tym podobni, których za nieprzyjaciół i morderców mieli« (II, Mach. IV, 12, 15). Tak prąd hellenizmu spokojnie coraz szersze i głębsze żłobił sobie łożysko w życiu narodu — reakcyę wywołał dopiero sam król Antyoch IV, który zadufany w moc asymilacyjną kultury helleńskiej, celem umocnienia i ujednostajnienia budowy państwowej skasował w obrębie państwa swego wszystkie religie narodowe i posunął się aż do krwawych okrucieństw (I, Mach. 1, 43). Nastały dni straszne dla narodu żydowskiego. Świątynia Jerozolimska, zamieniona na świątynię Jowisza, »pełna była zbytków i obżarstwa pogańskiego« i nierządnic..., szabatów nie święcono, ani dni uroczystych ojczystych zachowano; ani się zgoła żaden Żydem być nie wyznawał« (II, Mach. VI, 4—6). I tu dopiero naród się ocknął i srogim zawrzał gniewem.

Bohaterskie walki Machabeuszów przyniosły wolność religijną i zatamowały prąd hellenizmu, ale czy zupełnie? Nie, zaczyn helleński pozostał w Jerozolimie. Ażeby złamać wpływ potężnej arystokracyi, sympatyzującej z hellenizmem, na to byli Machabeusze za słabi. Zresztą wobec światowładnego prądu oni nie mogli zająć stanowiska nieprzejednanego, jeżeli chcieli się utrzymać przy rządach. Trzeba było liczyć się z konstellacyą

polityczną, trzeba było liczyć się z Rzymem, który, choć jeszcze nie był zagarnął Syryi wraz z Judeą pod swoje panowanie, faktycznie był jednak już był panem świata, trzeba było oprzeć się na stronnictwie o przemagającym wpływie politycznym. Takiem zaś stronnictwem była tylko dawna arystokracya kapłańska, sympatyzująca z Rzymem i kulturą helleńską.

Naród cały rozdzielił się na dwa obozy, które w ciągu panowania Machabeuszów raz po raz z nieprzejednaną zwalczały się zaciętością. Z jednej strony Assydejczycy t. zw. »pobożni«, którzy, namiętnie przywiązani do Zakonu i dawnych tradycyi, z szczególną żarliwością zwalczali hellenizm i grecki obyczaj. Oni to, ażeby odgrodzić się i uchronić murem nieprzebytym od pogaństwa nie tylko że z nadzwyczajną ścisłością zachowywali wszystkie przepisy Zakonu, lecz w dodatku, nadmiernie rozszerzając sieć ustaw uciążliwych, podawali je za tradycyę Bożą. Przedewszystkiem święcenia sabatu i różnego rodzaju obmyć przestrzegali z nadzwyczajną drobiazgowością i posuwali ostrożność i obawę w tym kierunku aż do dzieciństwa i nierozumu. Są to późniejsi faryzeusze, którzy, mnożąc zewnętrzne przepisy, wtłoczyli ducha w ciężkie jarzmo martwego formalizmu. Po ich stronie stał lud cały.

Odcień drugi stanowili zwolennicy hellenizmu, którzy, owiani prądem wieku, usiłowali swoje wierzenia i zwyczaje narodowe przystosować do wymagań kultury helleńskiej. Należy tu przedewszystkiem szlachta kapłańska i te klasy, które już to swoją przewagą majątkową, już to swoją pozycyą hierarchiczną wybitne w życiu społecznem zajmowali stanowisko. Oni już nie sympatyzują z hellenizmem tak, jak dawniej za króla Antyocha, aż do zatracenia obyczaju żydowskiego, aż do odstępstwa religijnego, ale rozmiłowani w wytwornej kulturze helleńskiej, a może więcej jeszcze w wygodnej pozycyi społecznej, mniemają, iż pielęgnowanie ideałów narodowych i mesyańskich nadziei nie zgadza się z dobrem narodu i niebezpieczne na kraj cały sprowadzić może klęski. Dlatego zawsze bezpieczniej trzymać się rządu i wielkich potęg światowych, by zapewnić sobie wpływ i znaczenie w życiu

i rozwoju społecznym. Byli to w ścisłem znaczeniu ugodowcy, z których wyłoniła się niebawem partya saduceuszów.

Bezustanne walki dwu tych stronnictw, na których, stosownie do wymagań chwili, opierała się kolejno dynastya, wypełniały czas panowania Machabeuszów. One też spowodowały ich upadek. Gdy zaginął w bratobójczych walkach ród Asmonejczyków powtarzali sobie »pobożni«: sąd Boży dotknął uzurpatorów tronu Dawidowego.

Za panowania Herodów przemagający wpływ odzyskuje znowu hellenizm. Miasta coraz więcej grecką przybierają fizyognomię i wszędzie grecki szerzy się obyczaj. Dwór i wychowanie wyższych warstw w społeczeństwie jest greckie, język w wojsku i urzędach jest grecki, w teatrach i amfiteatrach i na placach wyścigowych w Jerycho, Jerozolimie i Cezarei grecki panuje obyczaj i grecką pielęgnują sztukę.

Obok powyższych wpływów helleńskich dodać tu należy liczne pielgrzymki, które, płynąc ustawicznie z shellenizowanej diaspory, stwarzają w Jerozolimie helleńską synagogę i dadzą później początek pierwszej gminie chrześcijańskiej. Wszędzie na obczyźnie, w Aleksandryi, w Syryi, Babilonii i Małej Azyi od dawna już istniały helleńskie kolonie, które grecką posiadały literaturę i greckie miały nabożeństwo po synagogach. Prawda, był to tylko błyszczący na zewnątrz pokost helleński, z pod którego przeświecała dusza żydowska, przywiązana namiętnie do świątyni jerozolimskiej i pielęgnująca ideały żydowskie. Ale bądź co bądź helleniści ci tylko po grecku mówili i grecki szerzyli obyczaj. A wśród tych pielgrzymów wielu było Greków, już to prozelitów, już to sympatyzujących z kultem Jehowy. Wielu też z Żydów hellenistów osiadło na stałe w mieście świętem, ażeby być blizko świątyni i złożyć kości swoje w ziemi ojczystej. Dwie też były greckie synagogi w Jerozolimie, jedna dla Żydów hellenistów z Aleksandryi, Cyrene i Rzymu; druga dla hellenistów z Małej Azyi, Cylicyi i Azyi (Dz. Ap. 6, 9, 8).

Tak ze wszystkich stron wciska się hellenizm do Jerozolimy i zalewa kraj cały. Cały współczesny świat cywilizowany się hellenizuje a lud żydowski w swoim kraiku maleńkim mimo moż-

nych wpływów warstw rządzących, mimo całego aparatu helleńskiej administracyi krajowej i rzymskiej, nie ginie w odmęcie światowładnego prądu helleńskiego, nie zatracił swojej narodowości, nie zginął bez śladu w pochodzie historyi, jak tyle innych ludów. Żydzi żyjący na obczyźnie, choć shellenizowani, trzymają się Zakonu i utrzymują najściślejszą łączność z miastem świętem i to podtrzymuje ich odporność duchową i pomnaża ich żywotność hartowną. A w Palestynie co przyczyniło się do wyrobienia takiej niespożytej wytrzymałości narodowej, jakie czynniki rzeźbiły tu i hartowały duszę ludu?

Chcąc zrozumieć charakter Żyda i poznać fizyognomię duchową epoki Chrystusowej, trzeba zdać sobie sprawę z tego pytania, bo to pewna, że narodowość żydowska, wyrobiła się nie na diasporze, lecz w Palestynie na gruncie rodzinnym i w ciągu własnych dziejów.

Czynnikami tymi są Zakon Mojżesza i piśmiennicy.

Zakon Mojżesza był tą wielką siłą twórczą, która w ciągu wieków rzeźbiła bezustannie duszę narodu i na niej swe charakterystyczne wycisnęła piętno, był tą mocą atrakcyjną, która łączyła miliony Żydów, rozproszonych po całym świecie w jeden olbrzymi organizm spoisty, był tą siłą żywotną, która zawsze zwycięski stawiała opór wszystkim wrogim w pochodzie historyi wpływom i potęgom. Zakon Mojżesza, którego przepisy »są mocne, trwałe, nieporuszone, jakby potęgą przyrody przypieczętowane i trwają niezmiennie od chwili, kiedy zostały spisane aż dotąd«, którego przepisy »nieśmiertelne pozostaną na przyszłość całą, jak długo słońce i księżyc i niebo całe i świat stać będzie« (Filo) wycisnął swe znamię odwieczne i niezatarte na dziwnym tym ludzie.

Tłumaczami zaś Zakonu z urzędu i powołania byli piśmiennicy, którzy, obok kapłanów, namiestniczy jakby dzierżyli urząd po prorokach i razem z faryzeuszami w ręku swoim niepodzielne trzymali przewodnictwo nad ludem. Oni też są właściwymi twórcami i piastunami duszy narodu i zarazem najgłówniejszą przyczyną wszystkich nieszczęść narodowych. Oni bowiem wykrzywili myśl i wypaczyli charakter Zakonu, z ich rąk wyszedł Żyd taki, jakim był za czasów Chrystusa, jakim po dziś dzień pozostał,

pełen niesłychanej pychy narodowej i religijnej, pełen pogardy największej dla innych narodów, pełen zawziętości straszliwej przeciwko Chrystusowi i jego dziełu. Ażeby należycie zrozumieć ich zgubną robotę, przypatrzmy się bliżej czem był Zakon dla Żydów a co z niego zrobili piśmiennicy. Wpierw jednak słów kilka o samych piśmiennikach.

Piśmiennicy jako nauczyciele i kierownicy ludu datują się dopiero od czasu Pompejusza i Heroda. Wtenczas występują na widownię uczeni jak Sameas i Pollio, Hillel i Schammai, oraz szkoły całe, nawzajem się zwalczające. Początek ich sięga czasów dużo wcześniejszych, owej epoki przełomowej, kiedy prorocy, którzy przez wieki stali na straży monoteizmu zamilkli, a ich miejsce zajęli uczeni w Piśmie. Obok i wśród kapłanów stanowili oni jakby odrębny cech, który w epoce sympatyi helleńskich namiętnie zwalczał kulturę pogańską i rozżarzał wśród ludu świętą miłość do Zakonu. Za dni Chrystusa Pana »Doktorowie zakonni« już odrębny stanowią stan, jakby urzędniczy z łaski ludu, który wyniósł się ponad stan kapłański i niepodzielnie dzierży w ręku przewodnictwo nad ludem. W Judei i Galilei było ich pełno i na diasporze i w Rzymie za cezarów napotykamy raz po raz nagrobki z napisem γραμματεῖς.

Jakie było ich zadanie?

Piśmiennicy byli przedewszystkiem teologami. Ich zadanie to znajomość Zakonu νομικοί, ale, ponieważ Zakon zawiera również ustawy społeczne, byli oni równocześnie prawnikami. Ogólne i nieodmienne zasady Zakonu trzeba było stosować kazuistycznie do wciąż wyłaniających się nowych potrzeb życia codziennego. Niejedno też trzeba było dopiero na nowo według prawa zwyczajowego lub podobnych przepisów obowiązujących unormować i ustalić. Tak zwolna powstała rozległa i skomplikowana umiejętność prawnicza, która miała być tylko tłumaczeniem i zastosowaniem litery prawa, interpretacyą Zakonu według ściśle oznaczonych reguł, a w rzeczy samej stała się jego rozszerzeniem wbrew myśli i ducha Zakonodawcy. Namnożyło się mnóstwo nowych przepisów, odnoszących się przedewszystkiem do obrządku

religijnego: do ofiar i obmywań legalnych, do święcenia szabatu i świąt, do kapłanów i obsługi świątyni.

Prawo, w ten sposób rozwijające się, istniało przez długi czas tylko w uczelniach mistrzów i opierało się na ustnej tradycyi. W uczelniach każda konkluzya dalsza, każde zastosowanie Zakonu musiało zwyczajnie wpierw przejść przez ogień dyskusyi najznamienitszych mistrzów, zanim stało się normą życiową. Stąd też twórcza praca ustawodawcza odbywała się tylko w niektórych wielkich ogniskach życia umysłowego, gdzie były szkoły znakomitych rabinów, jak w Jerozolimie, później w Tiberias i Jabne. Była to wprawdzie tylko praca teoretyczna, ale normy życiowe raz ustalone i przez różne szkoły przyjęte, wchodziły już tem samem w życie i obowiązywały w sumieniu. Faktycznie więc piśmiennicy mieli w ręku swoim władzę ustawodawczą. »Przed forum uczonych« też celem ostatecznej decyzyi zanoszono wszystkie kwestye wątpliwe.

Oprócz władzy ustawodawczej mieli piśmiennicy, jako fachowi prawnicy, przeważnie całe sądownictwo w ręku. Wprawdzie sędzią mógł być każdy, kto posiadał zaufanie współobywateli, bo sądownictwo u Żydów spoczywało w rękach ludu. Ale piśmiennicy, jako znawcy prawa zwyczajowego i Zakonu, siłą rzeczy i z woli ludu sprawowali władzę sądowniczą i to nie tylko w sądach zwyczajnych, lecz i w sądzie najwyższym. W ewangeliach raz po raz czytamy, że w Synedryum obok arcykapłana i kapłanów zasiadali piśmiennicy γραμματεῖς. Po zburzeniu Jerozolimy powaga rabinów w tym kierunku jeszcze się więcej umocniła. Odtąd oni jedni byli ustawodawcami zarazem i sędziami a lud dobrowolnie poddawał się ich wyrokom. Ale wpływ piśmienników sięgał jeszcze dalej: w ich rękach było nauczanie ludu i młodzieży.

Ideałem pobożnego Żyda była gruntowna i fachowa o ile możności znajomość Zakonu. Znajomość Zakonu i oświata religijna, to najpopularniejsze hasła ruchu religijnego i narodowego w epoce helleńskiej. W jaki sposób szerzyć tę oświatę? W uczelniach uczonych, mistrzom Zakonu niech lud »dostarczy dużo uczniów«, mówi wielka Synagoga, a oświata rozleje się jasnym pro-

mieniem po całym narodzie. To też w uczelniach wybitniejszych piśmienników zawsze liczna kształciła się młodzież.

Na czem polegała ta nauka? Na ciągłem ćwiczeniu pamięciowem, na ścisłem, dosłownem przyswajaniu sobie nauki i zwrotów mistrza. »W nauczaniu każdy powinien się trzymać słów mistrza swego«, a uczeń powinien być podobny do »cysterny wapnem wyłożonej, która żadnej nie uroni kropli«, mówi mischna. A o sławnym rabinie Jochanan ben Zakkai czytamy w talmudzie, że »zawsze pierwszy przychodził do uczelni i nigdy w niej nie zasnął ani rozmyślnie, ani przypadkiem... i ostatni z niej wychodził; nikt go też nie widział, żeby siedział i milczał zamiast siedzieć i powtarzać... on żadnego nie wypowiedział słowa, któreby z ust mistrza nie pochodziło; on też nigdy nie mówił: »już czas skończyć szkołę«. Dosłowne więc powtórki, to łożysko, którem płynęło z pokolenia na pokolenie żywe podanie.

Powtórki te wszelako nie odbywały się w ten sposób, że mistrz tylko wykładał i pytał. Prześliczna scena biblijna dwunastoletniego Jezusa siedzącego w pośrodku doktorów w kolumnadzie świątyni Jerozolimskiej, stawia nam przed oczy metodę nauczania rabinów: »I stało się, po trzech dniach naleźli go w kościele siedzącego w pośrodku Doktorów, a on słucha i pyta ich. A zdumiewali się wszyscy, którzy go słuchali, rozumowi i odpowiedziom jego« (Łuk. II, 46—47). Mistrz więc przedkłada uczniom różne zagadnienia do rozwiązania, każe im odpowiadać albo sam je rozwiązuje. Z drugiej zaś strony i uczniowie stawiają pytania i zarzuty do rozwiązania mistrzowi. Uczniowie siedzą na ziemi a mistrz na podwyższeniu. Tak w scenie powyższej, tak też opowiada o sobie św. Paweł, że był »wychowan w tem mieście u nóg Gamalielowych, παρὰ τοὺς πόδας Γαμαλιήλ, wyćwiczony według prawdy Zakonu ojczystego: gorącym będąc miłośnikiem Zakonu, jako wy wszyscy dziś jesteście« (Dz. Ap. 22, 3).

Lud uczono po synagogach i podczas świąt w krużgankach świątyni jerozolimskiej. Synagoga, to »uczelnia«, mówi Filo, gdzie wykłada się przedewszystkiem nauka Zakonu. I tu siłą rzeczy pierwszeństwo mają zawsze »doktorowie Zakonu«, bo oni żyją tradycyą i znają Zakon. Scenę taką przedstawia nam ten sam

ewangelista, kiedy Chrystus Pan, jako »syn Józefów«, ale już owiany rozgłosem proroka, po raz pierwszy zgłasza się w synagodze miasta rodzinnego do wykładu Pisma. »I przyszedł do Nazaret, czytamy tam, gdzie był wychowan: i wszedł według zwyczaju swego w dzień sobotni do bóżnicy: i wstał czytać. I podano mu księgi Izajasza proroka«. Czytanie Pisma poprzedziła modlitwa ludu, poczem na znak przewodniczącego synagogi »hasan« podaje Jezusowi zwoje pergaminowe. »A otworzywszy księgi, nalazł miejsce, gdzie było napisano: Duch Pański nademną... A zamknąwszy księgi, oddał słudze i siadł. A oczy wszystkich w bóżnicy były weń wlepione. I począł do nich mówić: iż się dziś spełniło to pismo w uszach waszych. A wszyscy dawali mu świadectwo: i dziwowali się wdzięcznym słowom, które pochodziły z ust jego: i mówili: izaż ten nie jest syn Józefów?« Rzecz niezwykła, »syn Józefów«, który nie siedział u stóp żadnego z »doktorów zakonnych« poważył się zabrać głos w synagodze. Lud się dziwi a małomiasteczkowi piśmiennicy surowo zapewne obruszyli się na taką śmiałość. Bo jeżeli nie z urzędu to z zwyczaju oni nauczali lud i tłumaczyli Zakon. Przecież ich głównem zadaniem było: kształcić i rzeźbić duszę narodu według Zakonu. W tym celu lud im powierzył urząd nauczycielski i sędziowski. Czy sprostali swemu zadaniu? Przypatrzmy się tylko, czem był ten Zakon dla narodu i ludzkości a co z niego piśmiennicy zrobili.

Trzy przedewszystkiem wielkie, ogromnej doniosłości prawdy religijne zawdzięczają Żydzi i ludzkość Zakonowi: pojęcie Boga żywego i osobistego, ideał etyczny, pełen majestatu Bożego i brzemienny szczęściem wiecznem oraz zapowiedź przyjścia Mesyasza i królestwa Bożego, objawiającego się w miłościwym związku Boga z człowiekiem i ludzkością.

Bóg, Zakon i królestwo Boże: to są te trzy wielkie tajemnice Objawienia, pełne wieczności i mocy Bożej, jaśniejące na kartach Pisma św. nieporównanym blaskiem wśród wszystkich religii i systemów filozoficznych świata pogańskiego.

Najpierw tedy religia Zakonu rzuca się w oczy majestatycznem i głębokiem pojęciem Boga żywego i osobistego, który rządzi światem i kieruje historyą. Czem był Bóg Zarathustry, Platona,

Arystotelesa, którzy mocą metafizycznego geniuszu tak wysoko się wznieśli na wyżyny prawd religijnych i tak blizko byli monoteizmu w porównaniu do Boga Zakonu?

Arystoteles, który pierwszy głęboko i umiejętnie począł rozmyślać nad światem, drogą bystrej analizy dochodzi wprawdzie do pojęcia pierwszego motoru wszelkiego ruchu i życia, *motor immobilis*, który jest wieczny, niepodzielny i pogrążony w kontemplacyi prawdy, ale jak ułomne i niedostateczne jest to pojęcie?

W poglądzie Arystotelesa Bóg i świat istnieją obok siebie od wieków: świat w odwiecznym ruchu i ewolucyi, Bóg, pogrążony w kontemplacyjnej zadumie odwiecznych doskonałości. Mamy tu więc niejako dwa oblicza jednego Bytu: skupiającego się w kontemplacyi i rozprężającego się w bogactwie niepojętem przeobrażeń, bezustannie się odnawiających. Wyżej geniusz Arystotelesa się nie wzniósł. To też nic dziwnego, że ułomny ten dualizm pogrążył się niebawem u jego uczniów w odwiecznym odmęcie monizmu.

Podobny kierunek wzięła religia Zarathustry i szkoła neoplatońska. Tam bowiem, gdzie wszechbyt składa się z pramateryi i kierownej intelligencyi, gdzie Bóg, jako najwnętrzniejsza przyczyna bytu i władca najwyższy świata, skuty jest odwiecznym splotem czy związkiem z pramateryą a świat stanowi treść żywotną jego życia wewnętrznego — tam wyziera i panuje niepodzielnie Bóg monizmu, który w religii egipskiej tak wspaniale się określił: »Jam wszystkiem co było i jest i będzie. Nikt nie uchylił zasłony, która mnie pokrywa. Owoc wnętrzności moich stał się słońcem«. Jam wszechbyt — tłumaczy się Bóg monizmu — istotę moją pokrywa nieprzenikniona tajemnica. Niech nikt nie pyta dlaczego i po co istnieje, bo tajemniczej zasłony, która istotę moją pokrywa, nikt nie zdołał uchylić. Z wnętrzności moich wybłysło słońce świadomości.

Oto istota i myśl zasadnicza monizmu. Ponad myśl tę nie wzniosła się żadna religia, żadna filozofia świata pogańskiego: ani Plato, ani Arystoteles, ani stoicy, ani neoplatonicy, ani synkretyzm religijno-filozoficzny. Monoteizm dopiero tam się zaczyna, gdzie Bóstwo niezawisłe od świata i rządzące światem

w wnętrznościach własnej istoty znajduje źródło bezbrzeżnej żywotności i najdoskonalszego szczęścia.

Co więcej, ażeby pociągnąć serca ludzkie i królować w nich, ażeby zapoczątkować potężny ruch religijny w ludzkości i popchnąć naród cały na drogę wielkich przeznaczeń, Bóg ten musi być żywy, potężny, zdolny wstrząsnąć harde serca ludzkie i miłością je zdobyć, lub zmiażdżyć w straszliwej potędze. I to druga cecha charakterystyczna monoteizmu.

Bóg w rozumieniu Arystotelesa, Bóg filozofów nie stałby się nigdy Bogiem serca ludzkiego, ani Bogiem ludzkości. Tylko Bóg, o którym nasz wielki poeta mówi: »kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu na wielkim stepie, albo na Golgocie; ani śród kolumn, które zamiast dachu mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie, ani też w uczuć młodości zapachu uczuł, że jesteś«... Tylko Jehowa, którego »oblicze błyskawicowe jest ogromnej miary! Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę i widzę kości, co jak sztandary wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety leżą... i świadczą o Bogu« — tylko Bóg żywy i rzeczywisty, wielki w wszechbycie swoim i działaniu, wyzwolony z wszelkich obsłon abstrakcyjnych i antropomorficznych, miłościwie pochylający się nad ludzkością, zdolny jest poruszyć serca ludzkie i popchnąć ludzkość na wyżyny wielkich przeznaczeń religijnych.

I takim Bogiem jest Jehowa Zakonu Mojżeszowego, Jehowa prawdy objawionej. Wśród prastarych ludów semickich idea Boga jedynego, któremu na imię El przybiera wśród ludu izraelskiego postać Jehowy czyli Jahwy, postać Istoty tajemniczej i istniejącej *par excellence*, świadomej swojej potęgi, pełnej światła i ognia i majestatu, Istoty widomie usymbolizowanej przéz ogień krza płonącego, który »gorzał, a nie zgorzał«. Tak bowiem się określił Jehowa, gdy przemówił do Mojżesza: »Jam jest, którym jest: rzekł: tak powiesz synom izraelowym: który jest posłał mnie do was. I rzekł zasię Bóg do Mojżesza: To powiesz synom izraelowym: Pan, Bóg ojców waszych, Bóg Abrahamów, i Bóg Izaaków, i Bóg Jakóbów, posłał mię do was: To jest imię moje na wieki, i to pamiętne moje na rodzaj i rodzaj«. (II Mojż. 3, 14—15).

Dwie cechy jasne rzucają się tu w tem potrójnem określeniu w oczy: najpierw, że Bóg jest czystym Bytem, nie abstrakcyj-

nym, lecz Bytem tajemniczym *par excellence*, Bytem absolutnym, oceanem Bytu rzeczywistego: to bowiem oznacza słowo »Jehowa«, według tłumaczenia wulgaty »*Dominus*«, a polskiego »Pan«. »Alfa i Omega, początek i koniec... który jest i który był i który przyjdzie, Wszechmogący« (Apok. I, 8). Powtóre, że Jehowa, ten Bóg żywy i rzeczywiście istniejący nie ukrywa się tam gdzieś poza tajemniczemi siłami przyrody, nie jest tylko Panem zastępów niebieskich tam gdzieś na wyżynach idealnych poza gwiazdami, ale Bogiem ojców ludu izraelskiego, wszechwładnym Panem ludów: On rządzi światem, ponad rozgwarem i zamętem ludzkim króluje Jehowa i kieruje losami »Abrahamów« ludzi i ludzkości całej. Otoczony majestatem królewskim, On idzie poprzez dzieje świata, błogosławiąc i karząc. Cała historya to Passach! to wyzwolenie z »Egiptu« ciemności barbaryi i niewoli, ku jasnym wyżynom szczęścia i swobody.

Któż podobny Jehowie, mówi z nieporównaną siłą prorok Jeremiasz, wielki On i wielkie imię Jego w mocarnej potędze. »Któż się lękać nie będzie Ciebie, o królu narodów? bo Twoja jest cześć... Jehowa jest prawdziwym Bogiem: On Bóg żywiący i król wieczny! Od gniewu jego zadrży ziemia, a groźby jego nie wytrzymają narody. Przetoż tak im powiedzcie: Bogowie, którzy nieba i ziemi nie stworzyli, zginą z ziemi i z tego, co jest pod niebem. On stworzył ziemię potęgą swoją, sprawuje świat mądrością swoją, a rozumem swym rozciąga niebiosa. On na głos grzmotu daje mnóstwo wód na niebie i podnosi mgły z krańców ziemi, błyskawice w deszcz obraca i wyprowadza wiatr z skarbnicy swojej... Pan zastępów imię jego«[1]. Dlatego jego objawienie i Zakon, jego cuda i proroctwa, jego obietnice i miłość i groźby

[1] »Quis non timebit te, o Rex gentium? tuum est enim decus... Dominus autem Deus verus est, ipse Deus vivens, et Rex sempiternus. Ab indignatione eius commovebitur terra, et non sustinebunt gentes comminationem eius. Sic ergo dicetis eis: Dii qui coelos et terram non fecerunt, pereant de terra et de his quae sub coelo sunt! Qui facit terram in fortitudine sua, praeparat orbem in sapientia sua, et prudentia sua extendit coelos. Ad vocem suam dat multitudinem aquarum in coelo, et elevat nebulas ab extremitatibus terrae; fulgura in pluviam facit, et educit ventum de thesauris suis... Dominus exercituum nomen illi«. (Jer. X, 7—16).

trzeba wziąć na seryo, bo On chce i umie przeprowadzić swoje odwieczne zamysły i plany i wbrew woli Izraela i ludzkości całej.

Jehowa »stworzył ziemię potęgą swoją«: »Na początku, czytamy na pierwszej karcie Zakonu, stworzył Bóg niebo i ziemię. A ziemia była pusta i próżna: i ciemności były nad głębokością, a Duch Boży unaszał się nad wodami. I rzekł Bóg. Niech się stanie światłość: i stała się światłość«.

Co za przedziwna jasność w krótkich tych słowach.

Z kosmogonii pogańskich wyziera już to system filozoficzny już to cudaczna legenda, w innych religiach prastarych, znać fantazyę poety, lub myt utajony: tu uderza w oczy przedziwna prostota i geniusz wielkiego proroka, któremu natchnienie jasno ukazało tajemnicę kreacyi.

Jehowa łączy pod wodzą Mojżesza różne plemiona w jeden lud, potężny wiarą w obiecane mu posłannictwo. Czy jest jakiś lud na świecie, do któregoby wypowiedziano podobne słowa, jakie usłyszał lud izraelski? »Wyście sami widzieli, com uczynił Egipcyanom, i jakom was nosił na skrzydłach orłowych i wziął sobie. Jeśli słuchać będziecie głosu mego, i strzedz mowy mojej, będziecie mi własnością, ze wszech narodów: albowiem moja jest wszystka ziemia. A wy będziecie mi królestwem kapłańskiem i narodem świętym«. I Mojżesz »wezwawszy starsze ludu przełożył im wszystkie słowa, które Pan rozkazał. I odpowiedział wszystek lud pospołu: Wszystko, co Pan rzekł, uczynimy« (II, Mojż. XIX, 4—9).

Z pośród ludów semickich, żyjących w jarzmie despotyzmu, z masy niewolniczej ma wyjść lud, który potężny wiarą w Jehowę, jak orlę, niesiony na jego »skrzydłach orłowych«, przez twardą pracę nad sobą w życiu prywatnem i publicznem ma wznieść się na wyżyny posłannictwa kapłańskiego i godności królewskiej wolnych synów Bożych, ma stać się piastunem i zapaśnikiem wielkiej prawdy religijnej i apostołem królestwa Bożego wśród ludzkości.

»Królestwem kapłańskiem i narodem świętych« ma być lud żydowski. Ten jest cel najwyższy Zakonu, ten jest ideał etyczno-religijny tak jednostek, jak narodu całego. Świętym ma być Izrael tak, jak Jehowa świętym jest. Świętość Jehowy ma być modłą

i wzorem jego życia tak w jednostkach, jak w rodzinach i społeczeństwie całem, świętość rzucająca odblaski nieba na ludy pogańskie. »Rzekł Pan do Mojżesza mówiąc: Mów do wszego zgromadzenia synów Izraelowych i rzeczesz do nich: Świętymi bądźcie, bom ja święty jest Pan Bóg wasz«. (Ler. XIX, 2).

»Narodem świętych« ma zostać Izrael, rządzonym, nie jak inne ludy oryentalne przez twardy despotyzm, lecz na zasadzie wolności obywatelskiej i autonomii, według nieodmiennych praw Zakonu.

»Narodem kapłańskim«, jak kapłan jest piastunem prawdy religijnej i pośrednikiem pomiędzy Bogiem a ludem, tak Izrael ma być piastunem religii objawionej i naczyniem wybranem. Z jego łona ma wyjść Messyasz, arcykapłan i pośrednik pomiędzy niebem a ludzkością całą. Taki program, taki ideał życiowy przedstawił Jehowa ludowi swemu przez Mojżesza.

Ażeby zaś dążył do osiągnięcia tego celu i pracował nad spełnieniem tego ideału, zdala od rozgwaru światowego wielkich ludów kulturalnych i nie poddawał się mocom asymilacyjnym wielkich cywilizacyi pogańskich, Jehowa otoczył lud ten murem różnych przepisów życiowych i praktyk rytualnych, jak np. »strzeż się, abyś nigdy z obywatelami ziemi onej nie miał przyjacielstwa, któreby tobie było ku upadku... Nie czyń przymierza z ludźmi onych krajów, by... nie wezwał cię który, abyś jadł z rzeczy ofiarowanych. Ani żony z córek ich weźmiesz synom twoim, aby gdy one będą cudzołożyć, nieprzywiedli synów twoich ku cudzołóstwu z bogi swymi« i t. d. (II, Mojż. 34, 12—16).

Do tego celu zmierzają po części wszystkie obrzędy święte i ceremonie.

Ceremonie razem z dogmatami i przykazaniami odgradzały murem nieprzebytym Żydów od pogan. Wskazuje już na to Tacyt: »Mojżesz, mówi on, ażeby zapewnić sobie odwieczne rządy nad ludem, narzucił mu obrzędy religijne przeciwne zwyczajom innych ludów. To co u nas święte, u Żydów w poniewierce; i przeciwnie, wolno im czynić to, czem my się brzydzimy«. I drwi sobie z ofiar żydowskich, z postów, ze święcenia szabatu i obrzędów

świętych. Ale bo też życie religijne i ceremonie Żydów w jaskrawem były przeciwieństwie do religii pogańskich.

Poważne i okazałe, mają one uderzyć umysł i zająć żywą i bogatą imaginacyę ludu, który tak skwapliwie lgnie i żywo ma w pamięci wesołe pląsy i pełne przepychu jaskrawego obrzędy pogańskie (złoty cielec). Przecież pamięć na wspaniałość kultu religijnego na Syonie podtrzymuje i krzepi ducha narodu na wygnaniu w Babilonie: »nad rzekami babilońskiej ziemi, mówi poeta Pański, tameśmy siedzieli i płakali, gdyśmy wspominali na Syon... jeśli cię zapomnę Jeruzalem, niech zapomniana będzie prawica moja. Niechaj przyschnie język mój do podniebienia mego, jeślibym na cię nie pomniał«.

W przeciwstawieniu do pogańskiego, kult żydowski zawsze czysty i okazały. Niema tam ani wyuzdania zmysłowego, ani zabobonu, ani cudactw dziecinnych, lecz wszystko dostrojone jest do wysokości idei Bożej, wszystko napełnia duszę żywem poczuciem majestatu Bożego, budząc w sercu uczucie adoracyi, trwogi, wdzięczności i ufności ku Bogu, bo przedmiotem ich Jehowa odwieczny i niewidzialny, a celem ich: »Świętymi bądźcie, bom ja Święty jest Pan Bóg wasz«. To też Mojżesz mówi z entuzyazmem: »Któryż inszy naród jest tak zacny, żeby miał ceremonie i sądy sprawiedliwe i wszystek zakon, który ja dziś przedłożę przed oczy wasze«.

Ale tu już doszliśmy do ideału etyczno-religijnego Żydów, który razem z pojęciem Boga żywego i osobistego, stanowi najjaśniejszą cechę Zakonu, wyróżniającą go od wszystkich innych religii pogańskich i uderzającą umysł stygmatem Boskiego pochodzenia.

W przeciwieństwie do religii pogańskiej ideał etyczno-religijny Zakonu ściśle się łączy z zewnętrznym kultem religijnym. Jak obrzędy religijne pielęgnują zewnętrzne, tak moralność wewnętrzne życie człowieka z Bogiem przez naśladowanie Boskich jego doskonałości. W rozumieniu zaś pogan religia polega na obopólnej ugodzie milczącej pomiędzy bóstwem a człowiekiem, mocą której bóstwo zobowiązuje się roztoczyć opiekę nad swoim klientem i nie nękać go prześladowaniem, a człowiek ma mieć

staranie o świątynię, o ofiary i obrzędy religijne. Kult religijny oderwany od idei moralności i życia moralnego opiera się tu na martwym formalizmie zewnętrznym, na idei, że ryt zewnętrzny sam przez się jest skuteczny. Ta jest idea zasadnicza wszystkich religii pogańskich, może nie religii filozofów, ale religii, które żyją w fantazyi i sercu ludów. I u Żydów pod wpływem zgubnej roboty piśmienników religia przybierze cechy martwego formalizmu prawnego bez treści i ducha, ale pod skamieniałymi formami Zakonu drgać będzie zawsze dusza religijna ludu.

Ideał etyczno-religijny Zakonu pozornie nie różni się od ideału, jaki przedstawia nam idealistyczna np. filozofia Platona, albo uszlachetniona świeżym powiewem chrystyanizmu, etyka stoików. Zawiązki i przymglony zarys tego ideału nosimy wszyscy w sercach naszych. Wszystko to, co dobre, szlachetne i wielkie, wszystkie piękne zawiązki i popędy w sercu ludzkiem w etyce Zakonu znajdują najistotniejszą podnietę i pewną drogę do pełnego rozwoju według pierwowzoru odwiecznej Prawdy i twórczej Potęgi i żywotnej Wolności i żarliwej Świętości i odwiecznego Piękna. »Świętymi bądźcie, bom ja Święty jest Pan Bóg wasz«.

W przeciwieństwie do etyki świata pogańskiego raz po raz Zakon z naciskiem powtarza, że przykazania moralne mają tylko na oku doskonały rozwój i dobro człowieka. Zakazanem jest tylko to, co szkodzi, co poniża, co unieszczęśliwia, co tłumi w sercu wielkie i idealne zapędy, a nakazanem to, co pielęgnuje i rozwija w duszy zamglony obraz Boży, ażeby się uzdolnić do współżycia z Bogiem. »Wzywam świadków dziś nieba i ziemi — mówi Pan — żem położył przed was żywot i śmierć, błogosławieństwo i przekleństwo. Obierajże tedy żywot, abyś i ty żył i nasienie twoje« (Deut. 30). I to główna cecha ideału etyczno-religijnego Zakonu.

Pierwsze dwa przykazania dekalogu stoją na straży monoteizmu, trzecie kojarzy niebo z ziemią, inne odnoszą się do porządku społecznego i szczęścia osobistego. Wielkie podstawowe prawo życia i kultury mieści się w trzeciem przykazaniu: »Pamiętaj, abyś dzień sobotni święcił. Sześć dni robić będziesz i będziesz czynił wszystkie dzieła twoje. Ale dnia siódmego szabat Pana Boga twego jest: nie będziesz czynił żadnej roboty weń,

ty i syn twój, i córka twoja, sługa twój i służebnica twoja, bydlę twoje, i gość, który jest między bronami twemi. Przez sześć dni bowiem czynił Pan niebo i ziemię i morze i wszystko, co w nich jest, i odpoczął dnia siódmego, i przetoż błogosławił Pan dniowi sobotniemu i poświęcił ji«.

Po raz pierwszy ogłoszono tu światu wielkie prawo kultury, polegające na codziennej, zawodowej pracy, połączonej ze spoczynkiem szabatowym na wzór twórczej pracy Boga, gdy stwarzał wszechświat. Każdy bez wyjątku ma pracować, bo gdzie pasorzytnie krzewi się próżniactwo czy to wśród tłumu ulicznego, czy warstw wyższych, tam przygotowują się krwawe wstrząśnienia, które nieuchronnie przywiodą najpotężniejsze państwa do ruiny. Spoczynek Boży ma uświęcać i urozmaicać pracę tygodniową, żeby nienasycona żądza złota i duch grubego materyalizmu nie ogarnął społeczeństwa, żeby służba i ciężką pracą codzienną przytłoczony robotnik sobie przypomniał, iż po znojnej pracy życia czeka go błogi spokój wiecznego szabatu. Pracować ma każdy i to z natężeniem »w pocie czoła« i zawodowo czy w służbie publicznej czy w kółku życia prywatnego, bo tylko praca jest nieodzownym warunkiem, żeby utrzymać się na wyżynie ideału etycznego, żeby pomnożyć swój talent duchowy, żeby zmusić siły przyrody do służby człowieka i przeobrazić świat i rozjaśnić odblaskami odwiecznego życia Bożego.

To też ażeby wielkie to prawo kulturalne silniej wpoić w serce ludu, natchniony ustawodawca dodaje tu słowo, jakiego nie użył przy żadnem innem przykazaniu: »pamiętaj Izraelu« i wskazuje na Boga, który w swojej pracy twórczej dał wielki przykład i wielkie prawo ludowi swemu. Opowieść kreacyi przybiera tu charakter symbolicznego tygodnia, ażeby ludowi żydowskiemu pokazać na oko wielki obowiązek święcenia szabatu.

Dalsze przykazania odnoszą się do szczęścia osobistego i społecznego: czwarte umacnia i uświęca związek rodziny, piąte chroni życie, szóste ciało od skażenia, siódme mienie, ósme sławę bliźniego od naruszenia, dziewiąte i dziesiąte ściga wszystkie złe popędy i pragnienia tam, gdzie biorą początek, t. j. w sercu, i żąda, aby nie tylko czyny lecz i myśli i intencye były godne Boga.

A więc przykazania stoją na straży tych dóbr, które są koniecznym warunkiem i podstawą rozwoju i szczęścia osobistego i społecznego. Ale nie na tem polega główna siła i cecha charakterystyczna etycznego ideału Żydów. Koroną i dopełnieniem jego, to wielkie przykazanie miłości, z którem się łączy ufność i bojaźń Boża. Dopiero ożywione duchem miłości prawo moralne prowadzi na wyżyny doskonałości, do anielstwa natury i przyjacielskiego współżycia z Bogiem. »Słuchaj Izraelu, Pan Bóg nasz, Pan jeden jest. Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej siły twojej. I będą te słowa, które ja dziś przykazuję tobie, w sercu twojem«. A z miłością tą ma się łączyć bojaźń Boża: »Pana Boga twego bać się będziesz i jemu samemu służyć i przez imię jego przysięgać będziesz. Nie pójdziesz za bogi cudzymi wszystkich narodów, które są wokoło was: Albowiem Bóg zawistny, Pan Bóg twój w pośrodku ciebie: by się kiedy nie rozgniewała zapalczywość Pana Boga twego przeciw tobie, a nie zniósł cię z wierzchu ziemi«. I ufność wielka, wolna od wciskającej się niewiary, »Jestli Pan między nami czyli nie« (Exod. 17, 7), nie splamiona żadnym zabobonem, »Nie będziesz kusił Pana Boga twego«.

Trzy te wielkie przykazania, przedłożone w rozdziale szóstym Deuteronomium, stanowią duszę ideału etycznego Zakonu i w jaskrawem są przeciwieństwie do religii pogańskich, które polegają na bezdusznym mechanizmie i rozwiewają się w gusłach.

(C. d. n.)

Ks. Leonard Lipke.

FINLANDYA A KATOLICYZM.

(Dokończenie).

Mniemamy, że gdyby nie uzurpacya tronu przez Karola IX, katolicyzm przy rządach Zygmunta Wazy byłby na nowo ożył. Katolicy bowiem podjęli żywą akcyę i około 20 młodych Finnów kształciło się na misyonarzy kraju w zagranicznych jezuickich kolegiach. Niestety, skrajna nietolerancya protestancka uniemożliwiła im powrót do kraju.

Dzisiejsi Finnowie przypisują powstanie narodowego piśmiennictwa protestantyzmowi, który jakoby swoje powodzenie zawdzięczał wprowadzeniu ludowego języka do literatury. Że jest jednak w tem twierdzeniu dużo przesady i jednostronności, wskazuje choćby ten fakt, że pierwszą gramatykę fińską napisał nie protestant, lecz pewien Jezuita za panowania katolika Zygmunta.

Następca Karola IX, Gustaw Adolf, wojował ustawicznie. Po pomyślnym traktacie z Rosyą w Stołbowie r. 1617, Szwecya uzyskała dzielnicę Käkisalmską i Ingermanlandyę. Ludność jednak tych prowincyi prawosławna z czasem zupełnie wyemigrowała do Rosyi, by ujść przed religijnymi zamachami szwedzkiego, luterskiego rządu. Na miejsce owych emigrantów przybyli nowi koloniści z luterskiej Finlandyi i odtąd datuje się protestantyzm fiński w dzisiejszej gubernii petersburskiej. Następnie wojowano z Polską, wreszcie duma króla wplątała go w 30-letnią wojnę. Oczywiście wszędzie udział brać muszą Finnowie, odznaczając się męstwem na polu walki. Skutki owej, w oczach protestantów,

świętej wojny, dały się we znaki Finlandyi. Dawna bowiem szlachta utraciła znaczenie, a miejsce jej zajęli ulubieńcy królewscy, którym omal nie cały kraj oddano w dzierżawę. Naród zmarnował za granicą najlepsze swe siły; powracający zaś żołnierze razem z dzikością przynieśli do domu zaraźliwe choroby, lud w czasie tryumfu »wolności ewangelicznej« uległ pańszczyźnie.

Za rządów królowej Krystyny kraj przez lat kilka posiadał humanitarnego generalnego gubernatora Piotra Brahe, któremu oprócz wielu społecznych reform zawdzięcza i założenie akademii w Abo. Głównem zadaniem tej uczelni miało być kształcenie duchowieństwa i prawników; pierwszymi profesorami byli Szwedzi, jak np. Eskil Petraeus, który też pracował w komitecie do przekładu biblii na język fiński. Pomimo jednak założenia akademii, ogólny stan umysłowy owej epoki nie bardzo był pocieszający. Są to mianowicie czasy luterskiego ortodoksyzmu, który wszędzie wietrzył herezyę. Władze świeckie i kościelne, uczeni i biskupi, są poważnie zajęci paleniem czarownic; odszukiwano je przez cały wiek XVII i karano, jako rzekomo winne klęsk krajowych. Taż gorliwość luterska niszczy również wszelkie ślady »papizmu« i ażeby lud nie popadł w bałwochwalstwo pokrywa religijne malowidła z czasów katolickich grubą warstwą białego wapna. Jedyną rzetelną zasługą, jaką Finlandya ma do zawdzięczenia XVII-mu stuleciu była działalność dwóch Gezeliusów, ojca i syna, biskupów aboskich na polu oświaty ludowej. Dzięki ich niezmordowanej pracy Finlandya od 200 lat, można powiedzieć, nie zna wcale analfabetów.

Za Karola Gustawa X naród musiał wziąć udział w wojnach polskich; czasy spokojniejsze następują dopiero za rządów Karola XI. Król ten był przyjacielem ludu i dobrym gospodarzem. Przeprowadził redukcyę dóbr szlacheckich, przez co wzbogacił skarb i uwolnił naród od pańszczyzny. Jemu też stany przyznały nieograniczoną władzę i tym sposobem powstał absolutyzm w Szwecyi, który ją wreszcie doprowadził do zguby. W ostatnich latach tegoż panowania państwo doznało strasznych klęsk głodowych, tak, iż w Finlandyi np. wymarła połowa ludności.

Z ogromem obszarów, pełnym skarbem i nieograniczoną królewską władzą objął rządy Karol XII, ulubieniec i narodowy bohater po wszystkie czasy Szwedów, szaleniec w polityce, a w prywatnem życiu pobożny pietysta. Po Gustawie I król ten najwięcej szkody wyrządził Finlandyi. W r. 1703 Piotr Wielki na fińskiej ziemi, jeszcze pozostającej pod berłem szwedzkiem, zakłada nową stolicę Rosyi. Wkrótce cała Finlandya doznała jego najazdów, której ludność w większej części wymordowano i uprowadzono do niewoli, a kraj ogniem spustoszono. Na domiar klęski kraj pozbawiony został swego patrona, bo relikwie św. Henryka, do tego czasu jeszcze w katedrze aboskiej przechowywane, zabrano do Rosyi, gdzie bez śladu znikły.

Zasnęło życie umysłowe, akademia podupadła, intelligencya wyniosła się do Szwecyi. Ta jej część, co później powróciła do kraju, przyniosła ze sobą już język szwedzki i dała początek mieszczaństwu szwedzkiemu. Fiński naród, liczebnie uszczuplony, już nie był tem, co przedtem; słaby wobec przewagi żywiołu szwedzkiego, rozdzielony wewnątrz; język jego stał się gwarą pospólstwa. Rozdziałowi językowemu towarzyszył i rozdział kraju: pokojem nysztadzkim Szwecya musiała odstąpić Rosyi Wyborg czyli Starą Finlandyę, nadto Ingermanlandyę i Estonię. Widzimy więc, że swoje niepowodzenia Szwecya opłacała przedewszystkiem kosztem Finlandyi.

Po tylu smutnych doświadczeniach stany szwedzkie zniosły absolutyzm królewski, miejsce którego zajął nie lepszy absolutny parlamentaryzm z królem-manekinem na czele. Otwarło się pole do walki różnych stronnictw, z których znane są stronnictwa zwolenników pokoju, przezwanych c z e p c a m i, złożone przeważnie z Finnów, i partya postępowców, pod nazwą k a p e l u s z ó w, dążących do odzyskania utraconych prowincyi. Do najznakomitszych czepców należał kanclerz państwa Horn, Finlandczyk rodem, długoletni faktyczny rządca Szwecyi; k a p e l u s z o m jednak udało się go usunąć, i wtedy wydano wojnę Rosyi (1741—1743), zakończoną utratą kraju na wschód od rzeki Kymi, poczem Finlandya przestała prawie istnieć.

Straty i upokorzenia materyalne wyszły poniekąd krajowi

na dobre. Pod przewodem stronnictwa czepców zabrano się do pracy w wewnątrz, najpierw nad podniesieniem ekonomicznych stosunków przez mądrą eksploatacyę bogactw kraju, a niebawem i w dziedzinie umysłowej. Pod wpływem szlachetnego patryotyzmu powstaje żywy ruch fennofilski, którego najznakomitszym przedstawicielem jest H. G. Porthan. Był to człowiek wielkiej i wszechstronnej nauki, klasyk, filozof, archeolog, etnolog, historyk. On i jego szkoła odznaczają się mrówczą pilnością w poszukiwaniu historycznych źródeł i zbieraniu folklorystycznego materyału. Nie doszło jednak jeszcze wtedy do używania w naukowem piśmiennictwie języka fińskiego, lecz posługiwano się bądź łaciną, bądź też językiem szwedzkim. Jednak wiek XVIII dał początek prasie fińskiej, albowiem w r. 1776 wyszła pierwsza fińska gazeta.

Odpadnięcie Finlandyi od Szwecyi dojrzewało powoli. Gustaw III, ów północny Ludwik XIV, wzmacniając władzę królewską, zbliżył formę rządu do rosyjskiej, a z drugiej strony zniechęcił do siebie między innymi i magnatów finlandzkich. Ta okoliczność i pragnienie zjednoczenia rozerwanej Finlandyi pod jakiembądź, choćby rosyjskiem berłem, wywołują tajne konszachty Finnów z Katarzyną II, która Finlandyi obiecuje samorząd pod protektoratem Rosyi. Zabiegi te jednak na razie skończyły się ucieczką do Rosyi niektórych finlandzkich patryotów.

Nastaje wiek XIX, wiek »amerykański«, wiek gorączkowego pośpiechu, wielkich zmian politycznych i wielkich wynalazków. I Finlandya została wciągniętą w wir dziejowych wypadków. Napoleon podarował ją Aleksandrowi; ten pośpieszył zabrać swoje, a napotkał na wojnę. Szwecya osłabiona i po części zobojętniała, zaborowi zapobiedz nie zdołała. Finnowie musieli sami mierzyć siły z potężnym nieprzyjacielem, czem ocalili swój honor i wywiązali się z obowiązku względem Szwecyi. Aleksander na sejmie, zwołanym w Borgo w 1809 roku, ogłosił, że »Finlandya odtąd jest wyniesioną do szeregu narodów«, wspaniałomyślnie zostawiając jej dawną konstytucyę i odrębność administracyjną. Nadto w r. 1811 zwrócił »Starą Finlandyę« t. j. gubernię wyborgską, która przez 90 lat należała do Rosyi. Ktoby to wówczas mógł

przewidzieć, co przyszłość z sobą przyniesie? Naród, który prawie nie istniał, który spał głębokim snem, uzyskał właśnie teraz to, czego mu zawsze tak dotkliwie brakowało: polityczną autonomię i zapewniony spokój.

Czasy są nowe, czują to ludzie. Centrum administracyi przenosi się więcej na wschód, bliżej do stolicy cesarstwa; Abo starodawne ustępuje Helsingforsowi. Tylko uniwersytet jakiś czas pozostaje jeszcze na brzegach Aury, skupiając w sobie życie duchowe i budzący się ruch narodowy. Duch Porthana działa. Młody Adolf Ivar Arvidsson wypowiedział słowa, które później przybrały znaczenie hasła: »Szwedami nie jesteśmy, Rosyanami nie będziemy, jesteśmy Finnami«. Rząd jednak krajowy pozostaje w tym czasie bardziej niż kiedykolwiek obcym sprawie narodowej. I dawna wzajemność między rządem i nauką, senatem i uniwersytetem została przerwaną. Jednak miało się stać inaczej. Kiedy Abo w r. 1827 uległo strasznemu pożarowi, który w zgliszcza obrócił wszystko, nowa stolica Helsingfors mogła zawezwać r. 1832 uniwersytet do nowego wspaniałego gmachu w stylu neogreckim, łącząc tym sposobem na nowo środowisko nauki i rządu. Plac senatu w Helsingforsie dobrze symbolizuje teraźniejszy ustrój społeczeństwa fińskiego. Ze strony północnej wznosi się na wysokich granitowych schodach główna świątynia z kopułą i korynckiemi kolumnami, gdzie się odbywają nabożeństwa towarzyszące otwarciu sejmu i roku uniwersyteckiego. Na prawo od kirchy stoi uniwersytet, na lewo senat. Tylko kurya biskupia została w Abo, przy katedrze św. Henryka. Dygnitarz luterskiego kościoła używa tytułu arcybiskupa. Wszystkich dyecezyi kraj liczy obecnie cztery. W senacie zasiada naczelnik departamentu kościelnego, coś w rodzaju »nadprokuratora«, urzędnik świecki, który pośredniczy między prymasem i świecką głową kościoła — wielkim księciem i sejmem. Najżywiej obchodzi wszystkich uniwersytet, »serce narodu«. Młodzież akademicka nazywa się ogólnie »nadzieją kraju«; np. dom korporacyi studenckiej przez naród podarowany, posiada napis: *Spei suae Patria dedit.* I w rzeczywistości uniwersytet w XIX wieku jest sercem, z którego soki płyną we wszystkie członki społeczeństwa, jest on ogniskiem,

z którego wychodzą wszystkie pobudki działania na polu czy to umysłowem, czy politycznem. Sam nawet senat uległ temu wpływowi. Lata dwudzieste do czterdziestych ubiegłego stulecia stanowią zaranie odrodzenia narodu, zaranie urocze i różowe. Prąd romantyczny w literaturze europejskiej w połączeniu z klasycznem wykształceniem akademickiem wywołał w Finlandyi piękną poezyę, której najwybitniejszymi przedstawicielami byli J. L. Runeberg i Z. Topelius. Młode umysły zapaliły się miłością własnego kraju i narodu. Nieznanym za to był byronowski *Weltschmerz;* młodzież była zbyt niewinną i religijną.

Lata te obdarzyły Finlandyę mężami, którzy stanowią jej chlubę i duchową wielkość. W r. 1802 urodził się Elias Lönnrot, syn ubogiego wiejskiego krawca, wydawca epopei narodowej »Kalevala«, zbioru lirycznej poezyi ludowej »Kanteletar«, autor wielkiego słownika fińskiego. Z zawodu był lekarzem; powołanie jego jednak miało być inne, został później profesorem fińskiego języka na uniwersytecie. W odbudowaniu fińskości na polu literackiem Lönnrot położył największe zasługi. »Kalewala« istniała w ustach rosyjskich Karelów; on zebrał te ułamki i stworzył genialną całość. »Kanteletar« znowu zawiera dużo pięknych ballad z czasów katolickich. W różnych formułkach zamawiania, jeszcze dotąd śpiewanych w Karelii i Ingermanlandyi, żyją reminiscencye katolickie, jak np. wstawiennictwo Matki Boskiej i t. p. Elias Lönnrot może nam służyć jako wzór wykształconego Finna z ludu.

W r. 1804 urodził się w Sztokholmie człowiek, który dla nas będzie wzorem wykształconego Finna z intelligencyi. Był to Jan Wilhelm Snellmann, syn morskiego kapitana, ze starej kupieckiej rodziny fińskiej. O dwa lata później ujrzał pierwsze światło Mickiewicz Finlandyi, Jan Ludwik Runeberg. Ci trzej, do których się przyłączyli jeszcze estetyk i historyk Fredrik Cygnaeus oraz historyk i poeta Zachris Topelius, są duszą młodzieży akademickiej w pierwszej połowie XIX wieku. Pochodzili, z wyjątkiem Cygnaeusa i Lönnrota, z Österbotnii; rodziny Snellmannów i Topeliuszów wydały sporo pastorów. Ponieważ duchowieństwo najbliżej obcowało z ludem, stąd też ci młodzieńcy odznaczali się miłością ludu. Poezya ludowa, folklorystyka, popularne wydaw-

nictwa, motywy ludowe w utworach sztuki — około tych rzeczy krzątają się młode umysły. Wszyscy kochają fiński naród, fińską ojczyznę, jej przeszłość. Romantycy, jak Topelius i Cygnaeus obracają się chętnie w średnich wiekach i w epoce księcia Jana. Cygnaeus w uniesieniu poetycznem ubolewa nawet nad zanikiem katolicyzmu, zwłaszcza życia zakonnego, zaznaczając, że chwila przyniesienia katolickiej wiary pogańskim Finnom stanowiła dla kraju początek cywilizacyi — *Ergo plebs Fennonica, gaude de hoc dono, quod facta es Catholica verbi Dei sono.*

Wśród tych młodzieńczych niewinnych zabaw i różowych marzeń wyszczególnia się energiczna, surowa postać Snellmanna. I on jest przejęty miłością ojczyzny, lecz w odmienny sposób. Tamci więcej bezpośrednio obcowali z ludem, znali jego język, a charakter ich działalności był przeważnie literacko-estetyczny. Snellmann był realistą; w patryotyzmie zimno konsekwentny, rozumujący, języka fińskiego w dzieciństwie nie znał, nigdy nim dobrze nie władał, ani miał do niego szczególnej sympatyi. Pod wpływem filozofii Hegla doszedł do wniosku, że przyszłość Finlandyi zabezpieczyć można tylko przez odrodzenie fińskości. Pobudki zaczerpnął podczas swego pobytu w latach czterdziestych w Niemczech. Skoro Finlandya za Aleksandra I uzyskała pewną polityczną niezależność, stanowi *civitas,* jest już tem samem uosobieniem bóstwa. Jako takie ma ona swe zadanie w dziejach świata. Państwo jako uosobienie najwyższej etyki ma prawo wymagać od obywateli całkowitego poświęcenia się jego interesom. Społeczeństwo żyje życiem polityczno-kulturalnem, w którem udział bierze każda jednostka według swej możności. Niezbędną jest solidarność i harmonia w ruchu społecznej machiny; warunkiem do tego to silna centralna władza. Wolność jednostki polega na podporządkowaniu własnej woli powadze, którą rozum uznaje być tego godną. Tak samo wolność obywatelska polega na dobrowolnem uleganiu prawom państwa. Społeczeństwo składa się z rodzin; jednak interesa państwa są wyższe nad interesy rodziny. Środkiem porozumiewania się w rodzinie jest język; tak samo społeczeństwo nie może obejść się bez języka. A jak łatwo się przekonać, najwyższa instancya administracyjna i naukowa dla

prostoty i lepszego załatwienia spraw zna tylko jeden język. Ten zaś przy demokratycznym ustroju państwa musi być dla wszystkich zrozumiałym, a zatem precz z językiem szwedzkim lub rosyjskim w urzędowaniu, szkole, kościele. Finlandya społeczna, urzędowa winna myśleć i mówić po fińsku. Hasła wprawdzie śmiałe i niełatwe do przeprowadzenia. Fińszczyzna była wówczas zupełnie usuniętą z urzędów, funkcyonaryusze państwowi nie posiadali tego języka. Literatura fińska ograniczała się do religijnych utworów protestanckich, wydawnictw ludowych; istniała również gazeta fińska, lecz zadanie prasy fińskiej zamykało się w obrębie filantropii. Zważywszy jednak na literacką spuściznę fińską, posiadającą taką np. »Kalevalę«, nie jest rzeczą niemożliwą uczynić język fiński tłumaczem wszystkich objawów społecznego życia.

Jest to zadanie intelligencyi krajowej. Ona pochodzi z tego fińskiego narodu; jeżeli czuje swą jedność z nim, musi to i czynem wykazać. I Snellmann zostaje publicystą, pisze — naturalnie po szwedzku — do tej intelligencyi i upomina ją o zaniedbanie obowiązku. Przykład i wpływ takich ludzi jak Lönnrot, Runeberg, Topelius i Cygnaeus, do tego ogólny nastrój patryotyczny, ogromnie ułatwiały urzeczywistnienie ideałów Snellmanna. Nadto nie znano jeszcze dzisiejszych partyi, fennomanów i szwedomanów; naród był jeden, fiński. Intelligencya, chociaż mówiła i pisała po szwedzku, czuła i myślała po fińsku. Na katedrze filozofii Snellmann zapalił młodzież akademicką; młodzi ludzie, jak Georg Forsmann, postanowili nauczyć się po fińsku i w tym języku zacząć pisać; wielu miało dość energii, aby przeprowadzić program. Forsmann, późniejszy senator Yrjö-Koskinen napisał po fińsku pierwszą pragmatyczną historyę Finlandyi, która jeszcze dzisiaj służy jako podręcznik uniwersytecki. Lönnrot ustalił język literacki w jego obecnej formie; przedtem chwiano się między narzeczem zachodniem i wschodniem. Ponieważ Agricola używał zachodniego narzecza, ono miało już tradycyę za sobą; nadto było prawidłowsze. Za to wschodnie narzecze, język »Kalevali«, nadało się dobrze do wzbogacenia słownika i prostowania, gdzie zachodni język stracił pierwotną czystość. W r. 1831 zakłada się Towarzystwo fińskiej literatury — akademia umiejętności dla Fin-

landyi. Runeberg był tłumaczem najwznioślejszych uczuć patryotycznych, uwiecznił śpiewem wojnę 1808—1809 r., w r. 1848 skomponował hymn narodowy »Nasza ziemia«. Tematy jego były przeważnie fińskie, z życia ludu i wiejskiej intelligencyi, a forma klasyczna, grecka. Jeszcze więcej fińskim był Topelius. Że obaj poeci pisali po szwedzku, było rzeczą nadzwyczaj doniosłą dla samej fińskości, tym bowiem sposobem utrwalili intelligencyę w zapatrywaniach fińskich. Dosyć, jeżeli powiemy, że utwory obydwu w przekładzie fińskim są najdroższym skarbem każdego fińskiego dziecka.

Jednocześnie z tym ruchem nad odrodzeniem fińskości zawisła nad krajem czarna chmura obskurantyzmu politycznego. Od r. 1809 do r. 1863 sejmu ani razu nie zwołano. Gdy jednak wyłączne prawodawcze organy stanowią wielki książę (cesarz Rosyi) i sejm, a znowu konstytucya nie została zniesioną, możemy pojąć, jak głębokim snem organizm prawodawczy spał; poprzestano tylko na administracyjnych zarządzeniach. Język kraju nie znajdował w konstytucyi opieki, owszem r. 1850 biurokracya miejscowa w porozumieniu z rządem rosyjskim wydała zakaz drukowania w języku fińskim innej literatury oprócz religijnej i gospodarczej! Prasa, jeżeli chciała istnieć, musiała napełniać szpalty przedrukowywaniem biblii i książek do nabożeństwa! Nawet takie rzeczy, jak pewnego razu artykuł o świątkowaniu niedzieli w Anglii, uważano za niebezpieczne! Zakaz ten, dzięki Bogu, istniał tylko rok, i odtąd prasa fińska przybiera charakter coraz wyraźniejszy.

Nie można zamilczeć o jednym, bardzo ważnym czynniku w odrodzeniu narodowem, mianowicie o ruchu pietystycznym. Naród z gruntu religijny a podstępem zlutrzony, ciągle porywa się do głębszej i żywszej religijności. Najsłynniejszym z tych »obudzonych«, jak pietyści w Finlandyi siebie nazywają, był Paweł Ruotsalainen, włościanin z prowincyi Savo, ojciec duchowy całego ruchu. Dzisiejsi pietyści mają go za świętego i odbywają do jego grobu pielgrzymki. Chata i sprzęty Pawła zachowują się dla potomnych jako relikwie. Pietyzm polegał na gruntownem poznaniu stanu duszy, na bojaźni piekła za grzechy, na skrusze

oraz dostąpieniu przebaczenia przez zasługi Zbawiciela. Następnie każdy odrodzony, obudzony, musiał życiem stwierdzić swą wiarę. Usprawiedliwienie zawdzięczali jedynie łasce, lecz zadaniem wierzącego była ustawiczna walka z namiętnościami i światem. Z tym ostatnim dzieci Boże nie chciały mieć nic wspólnego, nawet mody świeckie, jako grzeszne, odrzucono i przyjęto własny krój ubioru z niebieskiego sukna. Zbierano się po domach prywatnych, gdzie czytano biblię i śpiewano pobożne pieśni własnego utworu. Jako wzór przytaczamy następujące zwrotki:

O dzieci Syonu, spieszcie się wszystkie,
Jezusa serdecznie szukajcie.
Czas rychło nastąpi, i śmierć nawiedzi:
Proście o olej dla lamp waszych.

Albo:

O ta sala weselna,
Gdzie dziatki śpiewają:
Złota na głowie korona,
Palmy w ręku świecą.

Szczególne nabożeństwo »obudzeni« mają do męki Pańskiej. Czytanie ulubione stanowi Pieśń nad Pieśniami. Z natury rzeczy wypływa, że pietyzm, wyrosły na gruncie protestanckim nie mógł uchronić się od usterek i jednostronności. Za grzech nieraz uważano wszystko, co zdradzało światowość i to bardzo skrupulatnie i wprost dziwacznie. Z tej pobudki pastor Lars Stenbäck, z natury nadzwyczajny poeta, przestał pisać i ograniczył się wyłącznie do pieśni pobożnych. Często zdarzały się wypadki szału, co brano za zachwyt mistyczny.

Ten ruch jednak, jakeśmy już wspomnieli, przyczynił się do odrodzenia narodowego. Bo na wsi przejęło się nim, oprócz ludu, po części i duchowieństwo i klasa urzędnicza. Zwłaszcza damy z intelligencyi, nie mające rodziny, poświęcały wolne chwile uczęszczaniu na zebrania oraz kierowaniu niemi. To niezmiernie przybliżyło intelligencyę do ludu i zmusiło ją do posługiwania się fińszczyzną.

Takie to były czasy, może szczęśliwsze niż późniejsze, kiedy odrodziło się i życie parlamentarne. Naturalnie postęp zawsze był,

powstała szkoła fińska ludowa, której ojcem jest Uno Cygnaeus, później średnia, aż nareszcie z katedr uniwersyteckich usłyszano wykład w krajowym języku; wszystko nabywa się kosztem zaciekłej walki.

Rok 1863 jakże odmienne uczucia wzbudza w sercu Polaka a Finna! Dla ostatniego on jest radosnym zwiastunem lepszych czasów, odrodzenia parlamentaryzmu! W tym zakresie przypada działalność Snellmanna, jako polityka, bo był już w senacie, gdzie stał się inicyatorem reformy finansowej obok innych ekonomicznych reform. Filozof, do zgonu swym zasadom wierny, nie zdradził ideałów wcześniejszych lat, nie zobojętniał dla idei. Wrogów miał wszędzie i zawsze, poważnił się nawet z kolegą i przyjacielem młodości Runebergiem, który nie mógł zrozumieć, dlaczego język fiński ma być do szkoły wprowadzony.

Duch liberalizmu, który w Europie owładnął umysłami, i Finlandyi nie zostawił w spokoju. Wywołał on tu przewrót ekonomiczny i umysłowy. Sposobności jego manipulacyom dostarczyło życie parlamentarne. Dawny system cechowy w rzemiosłach zniesiono, wprowadzono natomiast »wolność rzemiosł«, wskutek czego płaca robotnika spadła, a z nią obniżyła się jakość produkcyi. Droga została otwartą dla różnego rodzaju spekulacyi, które w tak biednym w kapitały kraju, jak Finlandya, bardzo złe wydały wyniki. Włościanie zaczęli pieniężyć lasy, z czego korzystali bezsumienni spekulanci zagraniczni. Wielu zbankrutowało nie tylko ekonomicznie ale zarazem i moralnie, bo łatwy zarobek łatwo się trwoni. Jeżeli dzisiaj kwestya socyalna jest palącą, to wiele temu winien liberalizm.

W dziedzinie umysłowej liberalizm również zostawił ślady. Nieprzyjaciele »fennomanii«, oraz zobojętniali, pochopnie ubierali się w płaszcz »szlachetnego« liberalizmu. Wkrótce jednak liberalizm zdemaskował się a pozostała zeń spuścizna wcieliła się w dzisiejszych szwedomanów. Dzięki temuż liberalizmowi intelligencya jest dziś rozdwojoną; często członki jednej rodziny należą do wrogich między sobą partyi. Parlamentaryzm, ten cenny dar, niestety ulegał nadużyciom, służąc za narzędzie do płonnych walk partyjnych. Wskutek egoizmu partyjnego i źle zrozumianego pa-

tryotyzmu do dziś dnia nie uregulowano drogą parlamentarną kwestyi językowej i cenzuralnej; są one dotąd zależne od zachcianki monarchy; cenzura nawet nie jest krajową instytucyą. Jakie pole dla Rosyi dla zastosowania zasady *divide et impera!*

Najlepsza ku temu sposobność nadarzyła się, gdy rząd rosyjski 9 lat temu rozpoczął politykę rusyfikacyjną. Powstał rozłam partyjny tak fatalny, jakiego jeszcze nigdy przedtem nie widziano. Czasy te przypominają ogromnie 1830 rok w Polsce. Wykryły one wszystkie najniższe namiętności i instynkta polityczne. Najrozmaitsze pogłoski, plotki, oszczerstwa i kłamstwa robiły dobre interesy. »Cywilizacya zachodnia«, tak często wspominana, okazała się bardzo płytką i pozbawioną moralnej treści. Szczególnym przedmiotem wściekłości stali się szermierze idei Snellmannowskich, t. zw. »starofennomanowie« za realną swą politykę. W bobrikowskich latach wyłonił się i socyalizm, przedtem prawie nieznany. Ponieważ obecny sejm finlandzki, do którego dopuszczono nawet kobiety, zwraca na siebie uwagę nawet zagranicznej prasy, będzie tu może miejsce dać ogólną charakterystykę stronnictw na nim reprezentowanych.

Każde z nich rości sobie prawo do nadawania tonu krajowi; najwięcej jednak partya szwedzka. Jej wrogów »starofennomanów« już znamy z charakterystyki Snellmanna i jego uczniów. Partya szwedzka, jakeśmy widzieli, stanowi klasę wyodrębnioną, jest głównym przedstawicielem biurokracyi i kapitalizmu — słowa te niekoniecznie muszą mieć znaczenie ujemne, tylko w Finlandyi przypadkowo znaczą to samo, co zawada do zdrowego rozwoju. Gorszem jest to, że szwedomani, chociaż nie chcą być osobnym narodem, rozdmuchują nienawiść do swych braci, mówiących po fińsku, których pogardliwie, tak samo jak Szwedzi za morzem, nazywają »azyatami«, »mongołami«. Teorya fałszywa »o wyższości rasy germańskiej« i języka szwedzkiego, o wyłącznym charakterze »kulturalnym« szwedzkości, w połączeniu z grupowaniem się kapitału, przyczem decyduje nie sprawiedliwość ani rozum, ale wprost pieniądz, przyprawia kraj i żywioł fiński o bardzo wielkie straty. Żywioł szwedzki miejski (o ludzie szwedzkim wiejskim będzie wzmianka później), »intelligencya« czerpie nowe za-

soby z »macierzyńskiego kraju«, Szwecyi. Przybywają stamtąd na łatwy zarobek przeważnie ludzie z klasy miejskiej niższej, o bardzo nizkim poziomie wykształcenia i wątpliwej moralności. Jedyną ich zaletą jest: znana stokholmska ogłada i szwedzka mowa. Są to szynkarze, »kellermeisterowie«, kelnerowie, golarze, kelnerki o ciemnej sławie oraz artyści i artystki operetki. Tacy ludzie bez dalszych ceremonii zarobiwszy nieco grosza i uzyskawszy obywatelstwo finlandzkie, stają się »intelligencyą«, posyłają dzieci do tanich rządowych szkół szwedzkich, liczba których jest stosunkowo większą niż liczba szkół fińskich, i traktują z góry swoich nieraz wykształceńszych chlebodawców, »azyatów«. To jest rana, na którą z boleścią wskazują »nacyonaliści«. Tymczasem tego jeszcze mało. Pod pretekstem humanitarności i podniesienia handlu i przemysłu, szwedomani wspierani przez młodofennomanów i socyalistów dążą do równouprawnienia Żydów, od których kraj dotychczas był wolnym, posiadając ich zaledwie kilka setek. Faktem jest, że Żydzi dotychczasowe swe prawa zawdzięczają władzom niekrajowym, mimo to są »konstytucyonalistami« i lgną, tak samo jak w Polsce, do żywiołu »germańskiego«. Taka lekkomyślność tłumaczy się tylko liberalizmem. Nie inaczej można też wytłumaczyć przyjaźń szwedomanów i młodofennomanów; ci ostatni pierwotnie chcieli uchodzić za radykalniejszych, niż »starzy«. Do »młodych« należą przeważnie artyści i literaci, wychowańcy szkół fińskich przez starych fennomanów wywalczonych. Kształcili się w naturalistycznej Francyi, »użyźnili« literaturę fińską kontaktem z »wielkim światem«; Tołstoj, Nietzsche, Brandes, Ibsen — to są prorocy młodych. Nawet jeden z nich, pisarz bardzo zdolny i uczeń Tołstoja, skomponował dziełko »Maria, według starej legendy«, w którem w ohydny sposób uwłacza Matce Bożej. Jeżeli nie inaczej, to legendami usiłują wytępić resztki wiary. Z tego widać o ile »młodzi« kwalifikują się na działaczów politycznych. Lata bobrikowskie oraz bałamucenie umysłów hasłem »konstytucyonalizmu« ze strony szwedomańskiej i wytykanie »zdrady« fennomańskiej, skłoniło wielu z obozu »starych« do przeniesienia się do »młodych«.

O socyalistach dosyć powiedzieć, że długotrwałym ich tryumf nie będzie. Dotychczas ukrywali swój »paragraf« niedowiarstwa;

w dodatku już wykryta ich znana agitacya wyborcza. Tymczasem powstał już »Związek robotników chrześcijańskich« protestancki, który otwarcie przyznaje religii charakter społeczny [1].

W pokrewieństwie ducha z ostatnimi jest ogół fińskiego narodu na wsi, przytem bardzo świadomy siebie — skutek skandynawskiej wolności i tradycyi sejmowych. Te przymioty przy ogólnej religijności najbardziej na jaw występują w Österbotnii, najmniej w gubernii wyborgskiej. Zapatrywania w rzeczach religijnych lud zachował katolickie, »klerykalne«; najlepszego sprzymierzeńca w nim ma duchowieństwo protestanckie. Chociaż jeszcze dość daleko do ideału »szkoła w każdej wsi« — miejscami nawet lud dla oświaty szkolnej jest wprost niechętnym, przekładając nad nią dzieła pobożne, jak np. wspieranie misyi protestanckiej w Afryce i Chinach, jednak włościanin fiński stoi na wysokim poziomie umysłowym. W XVIII wieku znano poetów ludowych nawet łacińskich; dzisiaj liczymy sporo pisarzy wiejskich autodydaktów, odznaczających się jędrnym językiem, zdrowym humorem i zwartym światopoglądem. Nie możemy nie przytoczyć tu kilku słów jednego z tych pisarzy, Santeri Alkio. »Wadą wielką u nas jest, że zbyt wiernie idziemy szlakiem Lutra. Należałoby wyzbyć się błędu, ogłaszającego zbawienie z wiary bez dobrych uczynków. Inaczej nie podniesie się moralność«. Poglądy jego o małżeństwie i celibacie są również nieluterskie. Czy taki człowiek nie zostałby i formalnym katolikiem, gdyby się z prawdami wiary św. zaznajomił? W każdym razie większe widoki dla siebie u ludu ma katolicyzm, niż protestantyzm, którego w zupełności nie zna. Prawa swego języka włościanin fiński bardzo bierze do serca; dlatego też najwięcej sympatyzuje ze starofennomanami. Nieodłączną towarzyszką jego jest gazeta. Naturalnie i w tym obrazie nie brakuje cieni. I wiejska ludność zna swoją arystokracyę, coś w rodzaju drobnej szlachty i proletaryat. Z rolnictwa żyje 70% mieszkańców, z tych na własnym gruncie pracuje 23%, 34% na lennym, a 43% stanowi służbę. Zamożniejsza ludność

[1] W ostatniej chwili powstał nowy »Związek robotniczy« antysocyalistyczny, z łona partyi fińskiej.

wiejska i duchowieństwo jest na wsi główną podporą stronnictwa »starofińskiego«. Magnatów wiejskich stosunkowo niewiele.

Ludność wiejska szwedzka, zamieszkująca wybrzeże morza w gub. nylandzkiej i wazańskiej, oraz całą Alandyę w liczbie 300 tys., siłą polityczną nie była, ani ucisku żadnego nie doznawała. Dopiero w ostatnich latach, powstała partya ludowa szwedzka, w obronie interesów narodowościowych. Program Snellmanna, jeszcze nie urzeczywistniony, uwzględnia i jej interesa i język szwedzki w miejscowej niższej i średniej szkole i w sądzie. Daremnie Szwedzi, jak w ostatnich czasach Niemcy w Galicyi, krzyczą na ucisk. »Nacyonaliści« fińscy nie myślą nawet iść za przykładem Szwedów, którzy w dolinie Torneoskiej, zastosowują względem Finnów system pruski katechizowania. Podobny system nauczania religii, panuje naturalnie i wśród prawosławnych Karelów poza granicami Finlandyi, którzy obecnie również się budzą do życia narodowego. Rosyjska prasa Gringmutowska krzyczy na agitacyę separatystyczną i luterską, jednak niesłusznie. Karelowie, którzy za język literacki przyjmują ogólno-fiński, domagają się tylko szkoły i nabożeństwa w swoim języku, wcale nie myśląc o odrzuceniu prawosławia, tem mniej o jakimś politycznym związku z Finlandyą! Duchowieństwo rosyjskie nie chce zrozumieć swego zadania, ani stara się o nauczanie ludu. Lud karelski jeszcze dzisiaj, pomimo swej gorliwości w postach i znaków krzyża św. przed ikonami, w gruncie jest tem, czem był przed 1000 lat: pełnym zabobonów.

Teraz kilka słów o ogólnym stanie zdrowia organizmu społecznego. Przedewszystkiem na uwagę zasługuje, ogólna dążność do postępu i oświaty. Za wielką już jest liczba studentów, w tym roku nowych przybyło z 800, wzrost większy niż w Skandynawii i Niemczech. Słuszna rodzi się stąd obawa, że powstanie uczony proletaryat.

Przytem rozwój był zbyt jednostronny, czysto intellektualny; nie szło z nim w parze umoralnienie, przeciwnie obyczaje ulegają coraz szybszemu i szerszemu zepsuciu. Podziela je razem z niedowiarstwem po części klasa robotnicza i młodzież szkolna; o akademickiej niema co mówić. Trzy lata temu, kilku studentów »konsty-

tucyonalistów« i »postępowców« założyło stowarzyszenie »wolności religii« dla propagowania monizmu Haeckla i Kalthoffa. Należy jednak zaznaczyć, że złemu starają się zaradzić; bardzo rozwiniętą jest akcya antyalkoholiczna o dość ostrym programie: zupełny zakaz produkowania i sprzedaży alkoholu dla celów innych oprócz aptecznych i przemysłowych. Obcą temu ruchowi jest ty ko partya szwedzka. Zakładają się spółki spożywcze, starania się robią o podniesienie rolnictwa, i polepszenie doli ludności bezrolnej. Na ogół dają się zauważać reformy i projekty radykalne, dopuszczono kobiety do sejmu, oczekują rozdziału kościoła od państwa. Ostatni projekt liczy zwolenników nawet wśród duchowieństwa protestanckiego. Zaprojektowano urządzenie spraw wyznaniowych na wzór Danii. Jednak musimy się obawiać, że krok taki, — od państwa jako tako chrześcijańskiego, do zupełnie ateistycznego, byłby zbyt nagły i nierozważny, co więcej, nie odpowiadałby stanowi religijnemu ogółu. Szkoła posiada dotąd charakter religijny, wykład religii obowiązkowy. Prasa socyalistyczna jednak, podkopuje religię w warstwach niższych; w wyższych klasach nad tem samem, pracują różne czasopisma »naukowe« i »estetyczne«.

Ogólny zarzut jakiby można postawić przeciw publicystom, to jest ich zła wiara i płytkość; logika należy do rzadkości. Wogóle najwięcej zaniedbanem jest pole filozofii. Szkoła coraz więcej się wyzwala ze starego kursu, nauk klasycznych i logicznych. Zato żywy interes okazuje się dla sztuk pięknych. Ludzie nauczyli się cenić zabytki średniowiecznej sztuki; rząd wspiera restauracye starych kościołów, z pod wapna wydobywają się religijne obrazy katolickich czasów.

To wszystko razem wzięte przywodzi na myśl pewną analogię. Przypominają się czasy porthanowskie i jego działalność, która była bezwiednem przygotowaniem do odrodzenia narodowego. Dlaczegoby obecny gorączkowy, chociaż często bezradny ruch nie miał być przygotowaniem, pierwszą fazą do wielkiej akcyi katolickiej? Brakuje tylko takiego nowego Snellmanna, któryby obudził naród ze snu religijnego. Zasobów i środków do odrodzenia narodowego Snellmannowi dostarczył Lönnrot i jemu podobni;

również dla odrodzenia katolicyzmu, zasoby są przygotowane. Kodeks szwedzki, który pozostał obowiązującym w Finlandyi i po przyłączeniu jej do Rosyi, tchnie wprawdzie skrajną nietolerancyą. Lecz wyłomy w nim już poczyniono znaczne i to dzięki Rosyi. Musiano najpierw uznać prawa Cerkwi prawosławnej. Potem do potrzeb katolików służących w wojsku, Polaków i Litwinów, eryguje rząd rosyjski w r. 1791 w Wyborgu i w r. 1859 w Helsingforsie kościoły katolickie. Znowu jak w XVI wieku do odrodzenia katolicyzmu przyczynia się przeważnie, chociaż biernie, społeczeństwo polskie. Jednak owoce tego wyłomu w XIX wieku zbyt długo każą na siebie czekać. Katolicy zostawali wyodrębnieni, obojętni dla spraw kraju, jak i jego mieszkańcy, dla katolików. Niektórzy katolicy osiedlali się stale, zawierali małżeństwa mieszane (czysto katolickich rodziu prawie niema) i wychowywali potomstwo, zapominające już ojczystej swej mowy. Otoczenie innowiercze, utożsamianie u protestantów interesów narodowych i wyznaniowych, uczęszczanie do szkół miejscowych, w dodatku rozproszenie katolików po całym kraju i zupełny brak u nich żywiołu intelligentnego, kierującego, wszystko to wprost uniemożliwiało skuteczne duszpasterstwo. Powołań kapłańskich na miejscu nie było, katolików z Finlandczyków rdzennych ani jednej duszy, kapłani przy całej gorliwości o kościół dla interesów miejscowych obojętni, nie znający miejscowych języków; co wszystko zresztą jest rzeczą bardzo zrozumiałą. Te warunki sprawiają, że młodzież katolicka najbardziej się demoralizuje i ustępuje nawet protestanckiej.

Objawem pewnej zmiany ku lepszemu, była pierwsza po reformacyi wizytacya arcybiskupia ś. p. metropolity Szembeka w r. 1904. Tymczasem bliższe widoki dla katolicyzmu nie są wielkie. Liczba stałych katolików, t. j. zapisanych w księgach parafialnych, wynosi zaledwie 1000 dusz w całym kraju. W wojsku służy około 2000. Wszyscy katolicy podzieleni są między dwie parafie, wyborgską i helsingforską.

Pierwszym obowiązkiem Kościoła względem tych katolików, Polaków i Litwinów, byłoby ratowanie ich wiary przez misye i rekolekcye. Nadto trzeba wybrać jedno z dwojga, albo zapobiedz

wynarodawianiu się młodego pokolenia, albo też nauczać go religii w miejscowym języku. W ostatnich czasach i do katolików wciska się rozdział partyjny. »Fennomani« odrzucają nawet polskie nazwiska, a przyjmują fińskie. Częste są i wypadki przejścia na »fińską wiarę« z powodu nieznajomości polskiego języka używanego w kościele. Ratować tę garstkę katolików, jacy są w Finlandyi, to oczywiście najpierwszy obowiązek katolicyzmu. Ma on jednak i inne zadanie, przed sobą. Do zlutrzonej bezwiednie ludności fińskiej, możnaby zastosować te słowa: P o d n i e ś c i e o c z y w a s z e i p a t r z c i e n a k r a j e, że są już białe do żniwa. Znamy wśród protestantów dusze świątobliwe, które dzień i noc się modlą i żyją w ustawicznej kontemplacyi, a znamy też takich, co dla skrupułów religijnych dostają pomieszania zmysłów, nawet odbierają sobie życie. Powszechnie odzywa się potrzeba spowiadania się. Propagandę uprawiają, i nie bez powodzenia, rozmaici sekciarze, metodyści, baptyści i armia zbawienia; ostatnia podjęła pracę wśród najniżej upadłych moralnie. Sądzimy, że i katolicyzm przy umiejętnej pracy miałby powodzenie. Przedsięwzięcie to zapewne wielkie i trudne, lecz dla Kościoła, zdobywającego tyle pogańskich krajów, wcale nie niemożliwe. Drogę do osiągnięcia tego celu wskazuje nam cały proces kulturalno-narodowej pracy w XIX wieku: wydawnictwa, publicystyka, słowo pisane i żywe, wpływ na młodzież uniwersytecką, na opinię ogólną i prawodawstwo — czyż to wszystko dlatego miałoby być niemożliwe, że zbyt wielkie?

Jesteśmy przekonani, że społeczeństwo miłości nadprzyrodzonej jedynie zdoła pogodzić waśnie, zagoić rany dzisiejszej Finlandyi. Nam należy dalej prowadzić dzieło przez pseudoreformacyę przerwane. Jeszcze oczekuje swej kanonizacyi błog. Hemming, którego relikwie tymczasem są własnością historycznego muzeum w Abo. Sami protestanci poniekąd ścielą nam drogę, restaurując kościoły i wydobywając z pod kurzu archiwalnego, zabytki katolickiej muzyki, które niebawem będą rozbrzmiewały w ich zborach. I na północy pod śniegiem i lodem wegetuje ziarno; trzeba mu tylko wiosennego słońca. A któż lepiej potrafi przystroić kult Niepokalanie Poczętej, niż Finlandya z błękitem

swych tysiącznych jezior i białością swych śniegów. Dowodem tego może jest powstanie związku w obronie czystości »Białej wstążki«, który za godło obrał Madonnę sykstyńską (!) z hasłem: Za Boga, rodzinę i ojczyznę. Woła do nas Finlandya dawna katolicka, dusze jej sprawiedliwych w niebie, woła i nowa, błąkająca się, schorzała; jak niegdyś macedończycy wołali na Pawła: *Transiens in Macedoniam, adiuva nos!*

Adolf Karling.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

De authentia loci, qui in evangelio secundum s. Ioannem inde a cap. VII v. 53 usque ad cap. VIII v. 11 legitur dissertatio critica — auctore *Al. Syski*. Varsaviae 1905.

Autor rozbiera kwestyę autentyczności znanej perykopy ewangelii św. Jana (VII, 53—VIII, 11) o jawnogrzesznicy. W wielu i to najstarszych uncyałach jak A, B, C, aż po w. 8 dostrzegamy brak tej perykopy. Tak samo brakuje jej w większej jeszcze liczbie minuskułów (przeważnie w ewangeliarzach), w kodeksach Itali a b f l q — i w wielu tłumaczeniach syryjskich i koptyjskich. Prawie żaden ze wschodnich Ojców greckich jej nie komentuje.

Trudności te natury historyczno-zewnętrznej rozważa autor na początku swej rozprawy. Jako świadectwo *pro* przytacza kodeks D, który zawiera zakwestyonowaną perykopę, a który w najnowszych czasach coraz więcej zyskuje na powadze w oczach krytyków (Westcott i Hort), jako zawierający najwierniejszy tekst w 2 w. najwięcej rozpowszechniony. Autor czuje się zupełnie zadowolonym świadectwem tego kodeksu na korzyść zakwestyonowanego ewangelii św. Jana miejsca — wynosząc powagę kodeksu D ponad kodeks synaicki i watykański.

Perykopę o jawnogrzesznicy znajdujemy nadto w kodeksach F G H K i wielu uncyałach począwszy od 9 w. Co do tradycyi powołuje się autor na św. Hieronima, który będąc krytykiem κατ' ἐξοχήν, umieścił mimo to perykopę tę w swem tłumaczeniu ewangelii św. Jana i za słowo Boże ją uznawał. Do wywodów szan. autora dodaćby

trzeba i to, że pisarz ten Kościoła wspomina (adv. Pelag. II, 17) o wielu i takich kodeksach greckich i łacińskich, co tę perykopę zawierają. Tak samo posiadają ją rękopisy Itali b c ff g, Wulgata, Syr.^{h} i etyopskie tłumaczenie, zaś w Konstytucyach apostolskich (II, 17) znajdujemy wyraźną o niej wzmiankę. *Argumentum ex silentio* nie zawsze ma swój krytyczny walor, jeżeli się zważy — jak autor podnosi — że z samych 30 tomów Origenesa *in Ioannem,* zostało tylko 9, a zresztą — dodajmy — musiałaby »krytyka« wykazać, że pisarz odnośny musiał koniecznie posługiwać się w swych wywodach zakwestyonowanem miejscem w danej ewangelii.

Główną część rozprawy ks. Syskiego wypełnia utarczka z protestancką krytyką tekstu ewangelii św. Jana, zwalczającą autentyczność wspomnianej perykopy na tle jej treści, stylu, charakteru, w jakim się Chrystus tam przedstawia, całego kontekstu i t. p.

Co do samego stylu perykopy zauważa autor rozprawy, że dla wielkiej ilości waryantów trudno rozpoznać tekst oryginalny, że zresztą mógł św. Jan z umysłu użyć niektórych niezwykłych sobie wyrażeń, bo się ich kontekst i charakter jego dogmatyczny domagał, a nadto — dodajmy — że św. Jan idąc za przykładem synoptyków w gotowej już i ustalonej stałym przepowiadania typem formie perykopę tę włączył w swą ewangelię.

Treść i pomieszczenie w kontekscie ewangelii św. Jana perykopy, przemawiają, zdaniem szan. autora, raczej za jej autentycznością, niż przeciw, jak to wywodzi negatywna krytyka protestancka. Okazuje się w niej bowiem messyański charakter Jezusa, który nie przyszedł potępiać ni sądzić, ale zbawiać, co było zginęło... Okazuje się nadto Boska Jego moc i wszechwiedza, co przenika najskrytsze nawet myśli Faryzeuszów i pisarzy zakonnych, a nadto pełne Boskiego majestatu i słodyczy zachowanie się Jezusa tak wobec Jego, jak i samej jawnogrzesznicy wrogów. Co do rzekomej obojętności Jezusa dla Zakonu — podnoszonej przez »krytykę« — odpowiada autor, że nie mógł lepiej i roztropniej postąpić sobie tu Zbawiciel. Czasy były tak zepsute, że wykonanie tego rodzaju postulatów zakonnych stało się illuzoryczne, trzebaby bowiem codzień kogoś kamienować... Nie miał też potrzeby Chrystus wiele sobie robić z zachowania się faryzeuszów i pisarzy, którzy tu nie przyszli z zapytaniem od żydowskiego senatu, ale tylko jako ludzie prywatni.

Nie bardzobyśmy się pisali w tym względzie na zapatrywanie ks. Syskiego, bo bardzo często *scribae et farisaei,* reprezentują w ewan-

geliach naczelną w narodzie władzę i sądowniczą powagę — natomiast zupełnie są trafne dalsze uwagi o trudnościach, w jakich znalazłby się Chrystus, gdyby wyraźnie był sprawę rozstrzygnął na korzyść Mojżeszowego prawa. Synedryum bowiem (jak świadczy sam Talmud) od 40 lat już nie posiadało mocy wydawania wyroków śmierci. Gdyby więc Chrystus oświadczył się za Zakonem, stałby się przyczyną tumultu wśród ludu i spowodowanej nim śmierci jawnogrzesznicy — a stąd wobec ludu okazałby się jako człowiek bez litości (zwłaszcza w owych czasach), zaś wobec Rzymian, jako gwałciciel prawa, podburzacz i siewca niepokojów.

Co do związku logicznego z kontekstem perykopa okazuje się prawie niezbędną. Jest ona wyjaśnieniem tak poprzedzających ją jak i następnych uwag o Faryzeuszach i Jezusie. Przedtem Faryzeusze narzucili się jako sędziowie uczniów Jezusowych i to bez troski o prawo (7, 39—51), a teraz znów broniąc wobec jawnogrzesznicy Mojżeszowego prawa, okazali się jako niegodni i niekompetentni z powodu swoich występków sędziowie. Jeżeli Chrystus mówi (8, 19): »wy według ciała sądzicie« i »ja zaś nikogo nie sądzę« — to oba te zdania w bezpośrednio poprzedzającem wydarzeniu znajdują rzeczowe objaśnienie i umotywowanie.

Wreszcie porusza rozprawa różne hipotezy tłumaczące tak znalezienie się rzeczonej perykopy w niektórych kodeksach, jako też jej brak w innych. Wielka jednak ilość sposobów tłumaczenia sobie tego faktu — zdaniem autora — dowodzi, że żaden, zwłaszcza z racyonalistycznych krytyków, ani Hotzmann, ani Hengstberger, ani Harnack i t. p. nie zdołali dostatecznie wytłumaczyć dlaczegoby i jakim sposobem niniejsza perykopa mogła być do tekstu wtrąconą.

Brak jej w niektórych kodeksach tłumaczy autor rozprawy sposobem św. Ambrożego i Augustyna (por. *Apol. David.* II, 1 — *de coni. adult.* II, 7), którzy w obawie o złą i dowolną egzegezę i możliwe stąd wynikające zgorszenie, widzą racyę taktyczną opuszczenia historyi jawnogrzesznicy w kodeksach, a przedewszystkiem w ewangeliarzach, jako przeznaczonych do publicznego czytania.

Cała rozprawa ks. Syskiego robi dodatnie wrażenie i wyjawia dostateczne oczytanie w odnośnym materyale krytycznym. Życzylibyśmy sobie mimo to nieco dokładniejszego uwzględnienia autorów niemieckich akatolickich a przedewszystkiem tych, którzy jak Hilgenfeld (*Einl.* str. 707) i Grimm wyraźnie oświadczają się za perykopą, wykazując jej ścisły logiczny związek w ewangelicznym kontekscie. Wolelibyśmy

również, żeby odpowiedź na trudności natury historyczno-zewnętrznej, znajdująca się przeważnie na końcu rozprawy uprzedzała krytykę tekstualną i tworzyła wraz z poruszonemi na początku rozprawy trudnościami jedną organiczną całość.

Mimo tych i niewielu stylistycznych usterek (np. Origines zam. Origenes) rozprawie nie brak jasności i siły argumentu, a nawet pewnego wobec »krytyki« dowcipu, co ją czyni w czytaniu miłą i zaleca zmysł krytyczny jej autora.

Ks. dr. Józef Karczmarczyk.

Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych. (1812—1838). *Kallenbach Józef.*

Na czele kilka refleksyi. W literaturze naszej, wciąż jeszcze trwa stan wrzenia, które zdaje się być wyrazem, a przynajmniej stroi się w pozory przemiany wartości, spowodowanej o wiele więcej wpływami obcymi, niż nieodzowną potrzebą wewnętrznego życia. Teraz, jak zawsze w podobnych momentach, tłum młodzieńczych geniuszów kroczy we wspaniałym i tryumfalnym pochodzie z ogłuszającą wrzawą satelitów i adherentów, bijących w »tam-tamy« na chwałę genialnych twórców. Najwięcej pogardy godna oczywiście praca i nauka: to są martwe prawdy — i bez nich wszelki geniusz, ba, nawet geniuszek łacno obejść się może. Skoro tedy ukaże się dzieło, będące owocem długoletnich trudów i znacznej erudycyi, może niezawodnie liczyć na to, że potraktują je urągliwie, a conajmniej lekceważąco. Krytyka też przestała u nas dawać miarę istotnej wartości dziełu naukowemu. Co prawda mnóstwo pojawia się artykułów, broszur, nawet książek o krytyce, o jej potrzebie, o jej braku — cóż, kiedy bardzo znaczna część reformatorów krytyki, nigdy nie miała wiele do czynienia z krytyką naukową. Co więcej, żadne teoryjki nie zmienią postaci rzeczy. Rozpędy indywidualizmów muszą przybrać charakter spokojniejszy, utracić nieco ze swego zaognienia, a wówczas rzecz sama niezawodnie zyska na głębi.

Było też w losach książki p. Kallenbacha, że musiała przejść przez *furculas caudina* nowego pokroju krytyki. Każda książka ma jak organizm ludzki swoją duchową fizyonomię i jest dość skomplikowanym produktem wysiłków umysłowości ludzkiej. Aby ją ocenić, trzeba bez niechęci i bez powziętej z góry stronniczej sympatyi wżyć się w pracę ducha, odbyć tę drogę, jaką odbył twórca książki — a wówczas zająć wobec spostrzeżeń i wniosków stanowisko samodzielne. Z góry

zadaję sobie, po przeczytaniu dzieła p. Kallenbacha o Krasińskim, pytanie: pomniejszył postać duchową wielkiego poety, czy nie pomniejszył? Po pierwsze można postać duchową artysty rozpatrywać syntetycznie, głównie na podstawie pism jego, prawie bez uwzględnienia wydarzeń życia, biorąc za miernik całe serye przesłanek estetyki psychologicznej — i ten sposób krytycznego dociekania, wymaga obok nauki, bystrej intuicyi, o ile ma odgadywać naprawdę duszę artysty, nie zaś snuć na kanwie jego myśli niezliczone arabeski własnych domysłów. Po wtóre można badanie oprzeć o realną podstawę życia, z którego szczegółowej analizy dadzą się wysnuć może nie tak błyskotliwe i efektowne, ale tem pewniejsze wnioski co do twórczości.

Z pozoru wydaje się, że krytyk, który lekceważąc tok życia, zasypuje nas potokiem wymownych domysłów i wymysłów niby filozoficznych, sięga nader głęboko w twórczego ducha artysty. Ale bardzo często kruchość i ułomność tego rodzaju krytyki, przejawia się łatwo i wcześnie. Szum frazesów nie zastąpi prawdy i gruntowności.

Z pozoru też wydaje się, że krytyk, który do skarbca duszy twórczej prowadzi czytelnika za śladami, jakie się znaczą na drodze jego ziemskiego żywota, nazbyt zajmuje się człowiekiem, a za mało duchowością i przez to zmniejsza wizyę olbrzymią, którą wypiastowaliśmy w swej duszy, porywani dziełami. Ale to istne złudzenie. Raz, że każdy duch wydaje się większym, niż ciało, boć już stwierdził to i Mickiewicz, gdy przez »Konrada« swego wołał, że »J ę z y k kłamie głosowi, a głos myślom kłamie«; powtóre zaś jest rzeczą i taktu krytycznego i powagi czy godności naukowej i miłości do artysty, którego życia szlaki badamy, aby sprawy nie banalizować, aby z pośród niezliczonej ilości drobnych życiowych wydarzeń wybrać tylko te, które wizerunku nie koszlawiąc, drogich rysów nie krzywiąc, najprościej zawiodą nas do skarbnicy twórczego ducha. Kwestya pomniejszania sprowadzi się zatem do kwestyi: czy prof. Kallenbach nie nadużył swojej dokładnej znajomości życia Krasińskiego? Czy nie zapełnił dwóch tomów dzieła sprawozdaniami z nieznaczących strzępów codziennego bytowania? Czy z niechęcią do portretu artysty nie czernił oblicza sadzą urojonych pretensyi? Na to stanowczo odpowiem: zgoła nie. Znam prawie całą literaturę o Krasińskim; po parę razy studyowałem dzieła Tarnowskiego, Twardowskiego, Antoniewicza, Tretiaka (o młodości poety), nie bez podziwu śledziłem potężne rozmiary, jakie temu poecie nadał w swem studyum Klaczko — więc oto teraz, po raz wtóry przeglądając książkę prof. Kallenbacha z czujnością, podnieconą pam-

fletem p. Feldmana o pomniejszaniu olbrzymów, zwracałem wciąż »oczy duszy« wstecz na rysunek postaci, jak mi ona wyłania się z kart dzieła i zupełnie rzetelnie stwierdzić mogę mieliznę oskarżeń pamfletu.

Pytam, czy dobrze byłby zrobił biograf, gdyby mając pod ręką taką masę nowego materyału, skrył go przed ogółem i podał same wyniki swych dociekań? Prof. Kallenbach w naczelnych rozdziałach roztacza widok rodziny i domu, młodego Zygmunta. Może te dwa rozdziałki za obszernie rzecz ujmują, może nie jest nieodzownem zwracanie się po komentarz do dziadów i ojców artysty; ta strona metody krytycznej Taine'a ujawniła słabe swe punkty. Już atoli w obrazie dziecka, wypełniły się i ożywiły rysy nowo znalezionym, czy też danym przez rodzinę materyałem. Wyjątki z listów Józefa Korzeniowskiego, relacye o filologicznej gorączce u młodego Zygmunta pod wychowawczym kierunkiem Chlebowskiego przedstawiają się pełniej, niż w studyum prof. Tretiaka. Toż samo da się powiedzieć o studyach uniwersyteckich. Zatarg koleżeński, znany dotąd z »Niedokończonego poematu« i »Pamiętników Koźmiana«, przybrał kształty całkowicie jasne, dzięki wszechstronnemu oświetleniu dokumentów pierwszorzędnej wagi, wydobytych z aktów uniwersytetu. Moment to nie tylko dla życia, ale i dla twórczości Krasińskiego bardzo doniosły, z niego bowiem wyrósł, zahartowany cierpieniem, potężny talent poety, który się długie lata karmił rozpaczliwą żądzą najpiękniejszej i najszlachetniejszej zemsty za pogardę, jakiej doznał »Epizod« po lekcyi Brodzińskiego, po raz pierwszy z aktów uniwersyteckich ogłoszony, jakoteż w Objaśnieniach i uzupełnieniach przytoczone protokóły, wprowadzają w tok zajścia znane już nazwisko Leona Łubieńskiego i zajmującą a konsekwentnie przez p. Kallenbacha w twórczości poety śledzoną hypotezę zemsty osobistej, jako czynnika niemałej wagi; sądzę jednak, że pragnienie ofiarnej służby dobru publicznemu górowało nad odwetem za zniewagę.

Z chwilą wyjazdu Zygmunta za granice kraju, materyał biograficzny rozrasta się olbrzymio. Przybywa nadzwyczaj obfita korespondencya poety, zrazu tylko z ojcem, później z przyjaciółmi. P. Kallenbach nazywa ją »kopalnią najcenniejszego do budowy dzieła kruszcu«. Rzec śmiało można — zeznaje — że nie byłoby tej książki, gdyby nie było owej kopalni. U Krasińskiego myśli, przerobione w korespondencyi, owym tyglu krytycznym, gdzie się paliły i ze wszelkich szumowin niby nieskazitelny brant oczyszczały — owe myśli literackie, estetyczne,

filozoficzne, narodowe, społeczne, przeobrażały się zwolna w wizye postaci bohaterskich, któremi napełniły się księgi poematów. Stąd wniosek, że po pomysły sięgnąć trzeba do listów i szukać Irydiona, Henryka, Masynissy czy Pankracego najpierw w korespondencyi. Prof. Kallenbach dokonywa tych mozolnych, często bystrych i subtelnych poszukiwań nadzwyczaj skrzętnie i skutecznie, wyławia w korespondencyi niezawodne ślady późniejszych kreacyi *in statu nascendi* na całe lata przed powstaniem dzieła, regestruje kształtowanie się i rozrost pierwotnego pomysłu, słowem dodaje bogatych wiele rysów do genezy dzieł poety. Kilka przykładów dla illustracyi tej strony pracy przytaczam.

Oto np. pierwszy ślad pomysłu »Irydiona«, zawdzięcza się temu przeczuciu w r. 1831, że jak Rzym Cezarów dziś, tak Rosya runie kiedyś w gruzy. Dalsza wieść już w liście do Reeve'a z 20 stycznia 1833 r.: »Napisałem coś, co podobne do czegoś, co tkwi we mnie t. j. do rozkładu i do kilku myśli dość głębokich. Tytuł jest dosyć dziwny: »Irydion Amfilochides«: jest to Grek w Rzymie — *et dulces moriens reminiscitur Argos*«...

W liście z 3 czerwca 1835 zwierza się Reeve'owi, że doszedł do końca »owego Irydiona Amfilochidesa, który po trzykroć darty, dziesięć razy przerwany, bądź to z powodu cierpień, bądź też z powodu namiętności, nie przestawał od trzech lat dręczyć mózgu, rosnąć tam wydobywać się częściowymi połogami«. Znowu list ów niepospolicie ważny, wyświetlający doskonale pomysł i jego rozwój powinienby być na wzór listów Słowackiego »do autora Irydiona«, pomieszczony na czele dramatu Krasińskiego.

Czem Masynissa? I tu już w 1833 roku spotykamy myśl krytyczną w liście do Reeve'a, wysnutą z rozważania porównawczego Fausta i Byrona. »Koniec Fausta jest mi dowodem, że Goethe był istotnie wielkim poetą, większym, niż sam Byron, bo rozważ »Manfreda«, »Kaina«, »Marino Falieri«, a zobaczysz, że wszędzie upadek wieńczy dzieło. Pod tym względem Byron, jest w poezyi tylko przybliżeniem wszechświata. Nie objął wszystkiego, a Goethe objął wszechświat, z r o z u m i a ł w a l k ę d o b r e g o z e z ł e m i kazał dobru tryumfować«. W rok potem pisze do Reeve'a: (»W starożytności prawdziwy szatan, który bez litości popycha do złego i każe popełniać zbrodnie, to nie Pluton, to Fatum, panujące nad wszystkiem.

Weź znowu Szatana. Gdzie widziałeś istotę, któraby ściślej rozumowała, wyszedłszy z fałszywej podstawy? któraby umiała lepiej

odegrać retora, obracać myślą, uzbroić się w zwątpienie, walczyć słowem zimnem, energicznem, używać teorematów, wywodów i wyników?« I oto znowu już po wyjściu »Irydiona«, odpierając zarzuty L. Ulrycha w liście do Gaszyńskiego (I, 111) wyjaśnia poeta ostatecznie swój pomysł. »Masynissa jest to pierwiastek wszechzłego, który ciągle przemienia się koniecznością samego stworzenia na dobre; są to ciemności na dzisiaj, które przestaną być ciemnościami jutro; jest to nic, to zero, niepojęte, okropne, straszne, szatańskie, dopóki go nie znamy, dopóki ono nas otacza tajemnicą nieskończoności, a które co chwila przetwarza się na coś, jak tylko coś powstaje, robi się światło, dźwięk, harmonia. Jest to słowem szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity, w mgłę się rozchodzący, mający jednak chwile swoje piekielne, zbrodnicze, złośliwe«.

W istocie ostatnia definicya Masynissy z r. 1836 jest rozwinięciem, udoskonaleniem, dokładnym wykładem pomysłu z 1834 roku. Z takich rozmyślań, z takich listowych dyskusyi poety z przyjaciółmi tworzyły się, uświadamiały i kształtowały głębokie jego kreacye poetyczne. Korespondencyą można krok za krokiem udowadniać, jak rozwijał się genialny pomysł czy to samej idei, czy też wcielających ją figur w »Nieboskiej«, »Psalmach«, »Przedświcie«: jak rośnie, pogłębia się, wypełnia kształtami »Niedokończony poemat«. Rzecz niezawodna, że o ile Mickiewicz cierpienia i męki własnej istoty przerabiał na poematy, o tyle Krasiński ze zbiorowej duszy narodu, czy ludzkości wydobywał materyał, który w głębiach swego ducha, ugniatał na posągowe twory poezyi. Że w dziele swem p. Kallenbach nie zaniedbał skorzystać ze skarbów korespondencyi, celem zupełnego wyświetlenia genezy głównych poematów do 1838 r., to uznać trzeba za istotną zasługę. Sądzę nawet, że owo śledzenie motywów wspólnych, lub pokrewnych pomiędzy dziełami późniejszemi, a wcześniejszemi, np. pomiędzy »Adamem Szaleńcem« a »Irydionem«, łącznie z wyzyskaniem listów poety w celu poznania genezy utworów, podnosi wartość dzieła, wszystkie rozdziały spaja w jednolitą budowę, dozwala w duchowym portrecie widzieć grunt trwały, na którym oparty duch ów rośnie wprawdzie i przetwarza się pod wpływami ruchliwych potoków czasu, ale nie zatraca wszystkich dawnych swych pierwiastków, jeno w swem dnie pozostaje nienaruszonym. Z takiej analizy, jaką prof. Kallenbach w swych książkach o Krasińskim stosuje, łacno uczymy się, jakie dawne znamiona powstały w utworach nowych, jakie natomiast weszły i skąd się wzięły; uczymy się także, jak umysł wzbogaca się sto-

pniami w miarę zachodzenia człowieka w lata życia i skąd czerpie źródło swego rozkwitu. Metoda analizy, stosowana do Krasińskiego, którego życie celuje wielkiem bogactwem szczegółów i rozmaitością, wymagała biegłości obserwacyjnej, umiejętności w konstruowaniu i pamięci w kombinowaniu znamion jednorodnych. Nie zawodziła ona nigdy i tym razem nie zawiodła. Postać bohatera dzieła występuje z tła dziejowego między r. 1820—30, jako niepospolita o własnej, odrębnej fizyonomii duchowej, wielce sympatyczna i dzielna. Dziwi mię, że prof. Kallenbach, taki wyborny znawca emigracyi, nie zaopatrzył drugiej części dzieła, historycznym obrazem emigracyjnej kultury, choćby w taki szkicowy sposób, jak uczynił to w rozdziale V t. I, charakteryzując Warszawę w latach 1820 - 30, głównie na podstawie studyum X. W. Kalinki p. t. »Królestwo Kongresowe« i »Związki tajne«. A jednak emigracya miała swoje własne życie, własne podniosłe aspiracye, własne ideały i własne środki. A jednak Krasiński duchem zrósł się po roku 1830 nie z krajem, gdzie wszelkie tchnienie ducha tłumiono, lecz z emigracyą, gdzie nie tylko żyła właściwa ojczyzna, niezłamana ciosem listopadowego powstania, lecz gdzie ze zdroju literatury i sztuki europejskiej można było czerpać łatwo i bezpośrednio. Szkoda niepowetowana, że prof. Kallenbach, onieśmielony zapewne krytycznymi wywodami dwóch swych poprzedników: Klaczki i Tarnowskiego, nie tylko nie pokusił się o samodzielne estetyczne rozpatrzenie arcydzieł Krasińskiego, lecz w niczem ani nie zmienił, ani pogłębił istniejących dotąd mniemań. Koncepcya dramatyczna »Nieboskiej« i »Irydiona« nie jest tak w zupełności prosta i jasna, jakby się zdawało. Technika dramatu, jako teorya, nie była Krasińskiemu obojętną. »Irydion« lub »Hr. Henryk«, jako dramatyczni bohaterowie z pewnością — da się to stwierdzić listami tyleż uwagi pochłaniali rozmysłowi poety, ile jako działacze społeczni. Tymczasem szanowny krytyk zbywa tę stronę twórczości pobieżnie, przez co powstaje łuka niepokojąca. Udział osobistego pierwiastku w bohaterskiej postaci Irydiona, teorya psychicznych przeobrażeń pod wpływem rozwoju akcyi u Hr. Henryka, harmonijność lub skrzywienia linii tragicznego konfliktu w pierwszym czy drugim dramacie. Styl dramatyczny, pewien uroczysty ton mowy, słownictwo, dekoracye archeologiczne, skrócenia w rysunku tłumów i postaci poszczególnych, sposób uzmysławiania sił duchowych, które wyrażają się w człowieku, jako popędy (dziewica, orzeł, głosy w »Nieboskiej«) prostujące jego ścieżki lub wiodące na manowce, — słowem, cały nieprzeliczony szereg środków artystycznych, po części wspólnych

u Krasińskiego ze środkami innych spółczesnych twórców, po części samodzielnych, nie doznaje uwzględnienia w dziele prof. Kallenbacha. I to byłby jedyny żal i jedyny zawód, jakiego doznałem studyując cenne dzieło prof. Kallenbacha. Poza tem przyznaję, że mi ono we wielu momentach dozwoliło dokładniej, jaśniej, głębiej poznać i oblicze i twórczość wielkiego poety. Obfite adnotacye i uzupełnienia nie poskąpiły dla niewiernych i sceptyków autentycznych dokumentów, styl dzieła przejrzysty, pełen swady i ujmującej prostoty sprawił, że książkę czyta się niemal jak powieść. Miłość i pietyzm dla poety, połączone z gruntowną wiedzą, wyrobioną metodą, filozoficznem ukształceniem, taktem i spokojem, jaki daje gruntowna nauka i pewność siebie, udzieliły badaczowi tej miary, która mu bez zawodu wskazywała, co się godziło powiedzieć, a czego mówić nie należało. Książka prof. Kallenbacha może śmiało stanąć obok studyum Tarnowskiego, nie okazując się wcale zbędną i mnóstwem nowych rysów uzupełniając je. Prawda, że doprowadza rzecz do r. 1838 zaledwie. Nie godzę się z szanownym autorem, jakoby rok ten stanowił ważną demarkacyjną linię w życiu Krasińskiego. Tu się kończy młodość, a zaczyna wiek dojrzały? To wogóle kwestya, czy Krasiński, wyszedłszy poza lata dziecinne, był kiedy młodym? Czy ktokolwiek czytając »Nieboską« myślał o tem, że to dzieło dwudziestoletniego umysłu? Nikt i nigdy. Jeśli wogóle można mówić o duchowej młodości Krasińskiego, to w każdym razie nie w 1838 r. Stąd asumpt do życzenia, aby autor dzieła, nie zrażony ostrem i zatrutem żądłem krytyki, która naoślep i bez wszelkiego hamulca radaby się miotać rzekomo w obronie urojonych głębin, doprowadził dzieło swe do końca, o ile mu na to pozwoli zwłaszcza ułatwiony dostęp do pierwszorzędnych a nieznanych materyałów.

Antoni Maxanowski.

Wspomnienia z Syberyi 1863—1869. *Ludwik Jastrzębiec Zielonka.* Spółka wydawnicza w Krakowie, 1906.

Wielkich krzywd, wielkich cierpień, wielkich nadaremnych wysiłków 1863 roku owoc jedyny — straszny ucisk kraju i okropna pielgrzymka do Irkucka, Nerczyńska, Toruhańska wśród świstu nahajek kozackich, przeszywających mroźne powietrze Sybiru, wśród brzęku kajdan, wrzynających się w ręce i nogi... A potem lata przymusowej pracy i gorszej od niej tęsknoty, niepewności o los swych ukochanych, bólów moralnych i fizycznych. I ułaskawienie, powrót, wygodniejszy

może trochę, ale przewlekający się miesiącami — by dopełnić miary udręczenia. Oto treść nowo wydanych pamiętników zesłańca. Opowiadanie bezpretensyonalne, proste, płynie wartkim prądem, wyraziście odbijają się w niem smutne twarze wielkich marzycieli — rewolucyonistów rosyjskich, jak Michajłow, Krasuski, sylwetki głupich i ograniczonych lub chytrych i podłych prześladowców — jenerał Woroncow, pijak Szostakow, renegat Jelski lub Zaborowski; z każdego faktu tchnie rozkład wielkiego państwa, które na bezgraniczne obszary Syberyi rzuciło garść wyrzutków społeczeństwa, jako przedstawicieli swej władzy, by strzegli równocześnie tysięcy najszlachetniejszych i tysięcy największych zbrodniarzy, pierwszym ostatnią wydzierając kopiejkę, żywiąc ich spleśniałym chlebem i przegniłem mięsem, drugim ułatwiając milionowe fałszerstwa pieniędzy, po wielkich więziennych fabrykach, pomagając im do nierządu i używania życia, czego i sobie nie żałowali. A z tych tysięcy szlachetnych, co za wolność swej matki-ziemi krew przelewali bez wahania, co z nadzieją rozwianą i rozdartem sercem, setki mil gnani w sybirskie etapy za przedwczesne porywy ochoczo szli cierpieć, niektóre sylwetki wyłaniają się z kart »wspomnień« uwieńczone aureolą męczeństwa lub w blaski czystej duszy i niezłomnego charakteru przybrane, jaśniejące promieńmi dobrego przykładu i korzystnego wpływu na towarzyszów niedoli, mniej odpornych na ślepego losu igraszki. Krótkość niniejszej notatki nie pozwala na szersze traktowanie drogiej każdemu polskiemu sercu treści, szarpiącej nieraz wszystkiemi strunami duszy... Każdy z nas, każda rodzina, każdy dom niemal, miał lub ma jeszcze kogoś blizkiego, kogoś drogiego, co te same bolesne przechodził koleje, co tak samo tęsknił i taksamo pokutował... To też trudno powstrzymać się od wybrania z pośród tych zacnych postaci Epsteinów, Wielhorskich, Paszkowskich tej, którą najserdeczniejszemi słowy wspomnienia otacza autor, którą stawia za wzór polskiego żołnierza i polskiego wygnańca, Ojca Szelesta, — i skreślenia kilku ogólnikowych bodaj rysów. To towarzysz niedoli autora, Ojcem Szelestem na Sybirze zwany, — był rodem z Wołynia i nosił nazwisko Białkowski. Gdy odgłos powstania Warszawy w 1830 roku odbił się aż za Bugiem, Białkowski, jeden z pierwszych, pędzi do Królestwa i zaciąga się do Krakusów, upraszając przedtem o pozwolenie udania się na Jasną Górę, gdzie na prośby swej ukochanej matki, której już więcej nie miał oglądać, czyni zakonne śluby żołnierza polskiego. Rok później schwytany w lasach łęczyckich z bronią w ręku, jako członek oddziału Artura Za-

wiszy. Wyrok: tysiąc pałek... na całe życie do wojska na Kaukaz... Przeżył to — i pałki, i ćwierć wieku jako szeregowy! W 1858 ułaskawiony, mając do wyboru stopień oficera albo wolność, tę ostatnią wybrał — nie na długo. Nadszedł pamiętny bólem, zgrozą i ofiarami rok 1863. Ojczyzna woła swych wiernych synów do broni. Białkowski jest jednym z pierwszych. Wierny uczynionemu ślubowi, z kosą w ręku staje w szeregu jako żołnierz polski, a dostojeństw nie żądny, krwią swoją dosługuje się stopnia porucznika. Ale przeznaczonem mu było po raz drugi przemierzyć nieskończone przestrzenie rosyjskiego państwa, po raz drugi idzie na wygnanie. Tam w katordze i już przedtem w czasie całego marszu, jednej z najokropniejszych mąk, jakie wyrafinowana dzikość wymyśliła dla tych, co odważnie myśleć chcieli, ostatni kawałek chleba od ust sobie odejmuje i wspiera chorych i zgnębionych, jest aniołem-opiekunem wygnańczej drużyny, świeci jej przykładem cichej, głębokiej rezygnacyi i pokornego, ufnego poddania się woli Bożej. Po latach, złamany wiekiem starzec wraca pieszo do ukochanej Ojczyzny i prawdziwie bohaterski żywot kończy anielską, spokojną śmiercią w szpitalu, bo nie chciał być nikomu ciężarem... A takich więcej tam było...

Nic nie zniża wysokiego poziomu etycznego pamiętników, bije z tych prostych, niewymuszonych słów niezłomny duch wiary w Boga i miłości Ojczyzny — Autorowi należy się wdzięczność prawdziwa za skreślenie ciężkiej doli — »ku pamięci potomnych, ku pokrzepieniu serc młodzieńczych«...

A. Ziemięcki.

Masonerya, jej początki, organizacya, ceremoniał, zasady i działanie. Napisał *J. S. Korczyński.* Przemyśl 1906, odbitka z *Echa przemyskiego*, stron 124.

Na Kongresie międzynarodowym dzieł katolickich zebranym w Paryżu r. 1900[1], uchwalono między innemi, »żeby we wszystkich krajach była publiczność uświadomioną, jak najdokładniej o organizacyi, duchu i zamiarach masoneryi, oraz o nazwiskach jej zwolenników, a to z powodu, że główna siła tej sekty tkwi wszędzie w tajemnicy, jaką się okrywa«. Życzeniu temu odpowiada książeczka dopiero co wymieniona, przynosząc ogromną usługę tym wszystkim, co nie mają czasu lub

[1] Cf. *Congrès International des Oeuvres catholiques de 1900*, (3 juin 10 juin). Section des oeuvres d'hommes p. 241 et 242.

sposobności przestudyować dwóch większych dzieł w tej materyi w języku polskim wydanych t. j. u Stanisława Załęskiego, »O Masonii w Polsce«, Kraków 1889, oraz »Historyę Masoneryi i innych towarzystw tajnych«, 2 wyd. Warszawa 1904. W sposób bardzo treściwy, utrzymujący nieustannie uwagę czytelnika, opowiada autor o sekcie, co małpując różne szczegóły z hierarchii i liturgii Kościoła chciałaby dążyć do jego zguby, co więcej, do zupełnej negacyi Boga, a chociaż w swych ustawach zgadza się z wszelką formą rządu i w wielu Państwach mu schlebia, mimo to, nie ustaje się mieszać do spraw politycznych, myśląc ciągle o swym ideale — republice demokratycznej. Znajomość zasad, celów urządzenia i działania masoneryi jest tem potrzebniejszą iż ta do wszystkich krajów, mających cywilizacyę europejską się wciska, bardzo często pod postacią instytucyi obojętnych, lub nawet mających cele pozornie chwalebne, a sposób jej działania jest rozmaity, niekiedy na pierwszy rzut oka w różnych krajach sobie przeciwny. Dość powiedzieć, że kiedy loże jedne odrzuciły wiarę w Boga i nieśmiertelność duszy, to inne, jak np. niemieckie i angielskie mówią o »Wielkim Budowniku świata«; zapewne też właśnie dlatego powiedziano na Kongresie paryskim o Br.·. angielskich, iż są większymi obłudnikami, niż inni. Czytając obraz rozwoju masoneryi dowiadujemy się, jak chętnie przyjmuje ona do siebie i panujących i nawet duchownych, prawda, że tych ostatnich w tym guście, jak np. Gabryel Podoski; w Brazylii masonerya weszła nawet do bractw i tak jest w modzie, iż Brazylijczycy nie widzą w tem nic złego, żeby ludzie mający opinię dobrych katolików, mieli nie należeć do masoneryi. Na ziemiach polskich, jest ona w zaborze rosyjskim i austryackim urzędownie niedozwoloną, mimo to znajduje sposoby, by zakazy te obejść. Autor w mowie będącej książeczki opowiada, że w »r. 1884, powstała loża w Warszawie, a przywódzcy sekty na zjeździe w Brukseli, dla ułatwienia propagandy w naszym narodzie »zacofanym« mieli się zgodzić by tej prapagandzie nadać zabarwienie patryotyczne«. W związku z tem byłaby wiadomość zawarta w aktach Kongresu paryskiego z r. 1900, gdzie czytamy, iż lat temu ośm przybył do Warszawy jakiś delegat lóż londyńskich, »by złożyć im sprawę o położeniu Br.·. w Warszawie i wygadał się przed kimś ciekawym, że w grodzie syrenim, egzystuje siedm lóż afiliowanych do londyńskich, cel ich jest polityczny: niezależność Polski, a prócz tego szerzenie ateizmu, członkowie rekrutują się z klasy wykształconej i wpływowej, adwokatów, lekarzy, publicystów oraz Żydów, tworzących

znaczną część członków i przedstawiających zasady socyalistyczne, jako środek zbawienia Polski«. Tu dodać wypada, że Związek, którego organem jest pismo, p. t. »Myśl niepodległa«, mimo swego wypierania się, ma te same cele, co i masonerya.

Autor naszej książeczki przytacza dalej twierdzenie jednego z dzienników, że we Lwowie jest loża, prawie wyłącznie z Żydów złożona, a mybyśmy dodali, że i w Krakowie przed kilku laty istniało, a może i dotąd istnieje, stowarzyszenie złożone przeważnie, jeśli nie wyłącznie z Żydów, które nam przypomina owe »Kränzchen« humanitarne w Cieszynie, Białej, Czerniowcach, Opawie, będące surrogatem masoneryi.

Wobec wzmożonej akcyi masonii, broszura ta bardzo na czasie.

M. B.

Z piśmiennictw obcych.

Der Menschensohn. Jesu Selbstzeugniss für seine messianische Würde. Eine biblisch-theologische Untersuchung von *Dr. Theol. Fritz Tillmann.* Repetent am Collegium Albertinum in Bonn. (Biblische Studien, Band XII. 1 & 2 Heft). Freiburg im Br. 1907. Herder. (VIII, 182 str.).

Czytającemu Ewangelię św. podpada mimowolnie pod uwagę, że Pan Jezus szczególnym sposobem upodobał sobie w nazwie »Syna człowieczego«. Tem to mianem posługuje się zarówno w poufnej rozmowie, jak w chwilach uroczystych i poważnych, owszem nawet w godzinie mającej przed Radą arcykapłańską rozstrzygnąć o jego życiu lub śmierci. Widoczna zatem, że Jezus w tym tytule znalazł najlepszy wyraz całej swej osobistości i właściwego swego powołania. »Syn człowieczy« — to nazwa przysługująca mu wyłącznie, nazwa, która bardziej może, niż inne słowo ewangeliczne, pozwala nam zajrzeć do głębi duszy Chrystusowej, do tajników jej własnej świadomości. Tą uwagą wstępną zaznacza autor dobitnie doniosłość swego studyum dla teologii biblijnej, a zarazem daje nam klucz do zrozumienia nieprzeliczonych prawie wysiłków celem rozwiązania problemu: w jakiem mianowicie znaczeniu i z jakiego powodu Jezus nazywał się »Synem człowieczym?«

We wstępie wprowadza nas autor sumarycznie w rozliczne za-

gadnienia biblijne, które łączą się z tłumaczeniem nazwy »Syna człowieczego«, tudzież wyłuszcza zasady i metodę, któremi się posługuje w swojem badaniu. Dają się one streścić w poglądzie katolickim na jednolity i organiczny związek, zachodzący między objawieniem Starego a Nowego Zakonu.

Rozdział pierwszy, obejmujący prawie trzecią część całego dzieła, podaje historyę problemu »Syna człowieczego«. Egzegeza patrystyczna wzięła za podstawę tłumaczenia wyraz grecki ὁ υἱος τοῦ ἀνθρώπου i powszechnie upatrywała w nim stwierdzenie człowieczeństwa Chrystusa Pana, jakkolwiek różniły się zdania Ojców co do tego, czy »Syn człowieczy« znaczy syn Adama, czy syn Maryi, czy wogóle człowiek. Niektórzy tylko Ojcowie Kościoła, mianowicie Tertullian, Euzebiusz i Epifaniusz, zwrócili uwagę na związek tego tytułu z proroctwem Daniela, nie myśląc jednak o mesyanicznem jego znaczeniu. Wielcy egzegeci XVI i XVII wieku obracają się w swoich komentarzach w granicach zakreślonych przez tradycyę; wszyscy oni albo wcale nie zważają na związek tej nazwy z proroctwem Daniela, albo nie korzystają należycie z tej analogii, w następstwie tego ograniczyli się wyłącznie do językowego tylko znaczenia (str. 21) tej nazwy. Dopiero od połowy minionego stulecia zrobiono krok dalej, szukając tłumaczenia tego tytułu w związku ze sposobem nauczania Zbawiciela, o ile ono musiało się przystosowywać do umysłowych i zewnętrznych warunków jego słuchaczy. Od tego czasu znajdywano w coraz ściślejszem pojmowaniu stosunku tej nazwy do proroctwa Daniela drogę, wiodącą do prawdziwego jej zrozumienia. W obozie protestanckich egzegetów »Syn człowieczy« doznawał w ciągu ostatniego stulecia najróżnorodniejszych wyjaśnień. Pominąwszy zdanie nielicznych protestantów, zaprzeczających historyczności tej nazwy w ustach Zbawiciela, jedni utożsamiają po prostu ten tytuł ze względu na jego treść z zaimkiem osobowym »ja«, inni upatrują w nim tylko tyle, ile zawiera w sobie słowo człowiek, czy to biorą je w znaczeniu niższem »zwykłego człowieka«, czy też w znaczeniu wyższem »człowieka idealnego«, czyli ideału ludzkości. W ostatnich dziesięciu latach zajmowano się problemem ze strony filozoficznej, sprowadzając ulubiony tytuł Zbawiciela do podstawy swej w języku aramajskim.

Jednakże wprost sobie przeciwne rezultaty wybitnych lingwistów świadczą wymownie, że wyłącznie na podstawie tej metody nie można się spodziewać rozwiązania, któreby miało cechy pewności. Najwięcej zwolenników jednak znalazło także u protestantów zapatrywanie, że

nazwa »Syna człowieczego« wypływa ze świadomości mesyańskiej Jezusa, oraz że jest tytułem Mesyasza. Sama już krytyka rzeczowa, jakiej autor poddaje te poglądy wraz z ich uzasadnieniami wskazuje, że mesyanistyczne pojmowanie tytułu Syna człowieczego w związku z proroctwem Daniela jest jedyną drogą do zadowalającego tłumaczenia.

Po tych referatach a raczej negatywnych wywodach autor przystępuje do pozytywnego rozpatrywania problemu. W trzech rozdziałach (II—IV) zamykają się badania lingwistyczne i egzegetyczno-krytyczne na tle tekstów Starego i Nowego Testamentu. Chrystus Pan niezawodnie posługiwał się językiem aramajskim, owszem tłumaczenie greckie, zapisane w Ewangeliach, jest tak dalece niezgodne z samorodnem sformułowaniem myśli greckiej, że wyraźnie nosi na sobie piętno semickiego pochodzenia. Na podstawie ewangelicznych tekstów dochodzi Tillmann do wniosku, że Pan Jezus nie używał wyrazu aramajskiego *barnaš*, oznaczającego człowieka wogóle, ale *barnaša*, wskazując tem samem na pewien określony podmiot, w szczególności na tego, który w widzeniu Daniela przychodzi »z obłoki niebieskimi jako syn człowieczy«. Wykazawszy z wielką bystrością w proroctwie Daniela zasadniczy punkt wyjścia dla tytułu »Syna człowieczego« w ustach Jezusa, autor egzegetycznie rozbiera odnośny tekst Daniela (7, 13) z mistrzowskiem uwzględnieniem szerokiego kontekstu. Symboliczne tłumaczenie »Syna człowieczego«, jako figury »ludu świętych Najwyższego« (por. Dan. 7, 18, 22, 27), nie wytrzymuje krytyki wobec samego już kontekstu: nadto nie tylko ewangelie, ale i zapatrywania Ojców Kościoła a nawet uczonych przedstawicieli żydowstwa przemawiają za egzegezą, która w przychodzącym, jako Syn człowieczy widzi osobowego Mesyasza. Wizya Daniela określa jeszcze bliżej istotę owej osobistości, będącej wprawdzie człowiekiem, ale nie wyłącznie człowiekiem. Przyjście jego na obłokach niebieskich według terminologii Pisma św. jest przymiotem samemu tylko Bogu właściwym. Jasno więc i niewątpliwie wypowiada proroctwo Daniela niebieską preegzystencyę Mesyasza, zstępującego na ziemię w postaci ludzkiej. Oczywiście u Daniela »Syn człowieczy« nie jest jeszcze tytułem Mesyasza, ale w proroctwie jego zawierają się charakterystyczne przymioty, będące punktem zaczepienia dla wytworzenia się na ich podstawie »tytułu mesyańskiego«. Potwierdzają to obrazowe opisy w późniejszej apokaliptycznej literaturze żydowskiej, zwłaszcza w księdze Menoch (rozdz. 36 – 72). Są one potężnym czynnikiem dla ustalenia tytułu »Syna człowieczego« z powodu częstego powtarzania

tej nazwy i wszechstronnego opisu jego osoby i działalności. Dalszy rozwój terminologiczny w księdze Henoch i przejście do ustalonego już tytułu w Ewangeliach są widoczne.

Dokładny rozbiór wszystkich odnośnych tekstów Nowego Testamentu i zestawienie zawartych w nich myśli prowadzi Tillmanna do rezultatu, że wyłącznie mesyanistyczny sens czyni zadość wszystkim tekstom i okolicznościom, w których znajdujemy wyraz Syna człowieczego. Egzegezę tych tekstów przeprowadza autor znakomicie, rzucając snop światła zwłaszcza na te miejsca ewangeliczne, które krytyka chciała uważać za niemesyanistyczne. Sprawdza się w istocie to, co autor mówi we wstępie dzieła, że ulubiony tytuł Zbawiciela zamyka w sobie najdobitniej charakterystyczne cechy Jezusa, całe zadanie jego życia i działalności. Prześlicznie wykazuje to ustęp o istocie, prawach i powołaniu Syna człowieczego, oraz wywody autora o cierpiącym i uwielbionym Synu człowieczym. Zasługują one na uwzględnienie w homiletycznych tłumaczeniach niedzielnych perykop, i zapewne przyjmą się one wnet powszechnie w literaturze homiletycznej.

Pozostaje jeszcze jedno pytanie do rozwiązania, pytanie o przyczynę, dla której Jezus nazwał się raczej Synem człowieczym w wyłuszczonem znaczeniu mesyanistycznem, aniżeli wprost Mesyaszem. Odpowiedź na to pytanie daje nam w rozdziale piątym historyczno-psychologiczne badanie nad tekstami na tle nadziei mesyanistycznych w łonie spółczesnego Jezusowi żydowstwa. Pedagogiczne względy z powodu wykrzywionej idei mesyanistycznej za czasów Chrystusa spowodowały obiór tego właśnie tytułu, który najbardziej się nadawał do odparcia wszelkich doczesnych i narodowościowo-politycznych dążności, przypisywanych mylnie Mesyaszowi. W Synu człowieczym Daniela najlepiej uwydatnia się duchowe i powszechne królestwo Mesyasza, mające swój początek i swą siłę wewnętrzną z wysokości, z których Syn człowieczy w obłokach zstępuje. Tytuł tèn, jak z jednej strony umożliwił Jezusowi objawienie odwiecznej swej egzystencyi w niebie i roli swej jako przyszłego sędziego świata, tak z drugiej strony dał mu sposobność do przepowiadania najgłębszego swego poniżenia, męki i śmierci, bez narażania swych słuchaczy na zbyt twardą próbę we wierze, na jaką musiałoby ich wystawić kompletne niezrozumienie cierpiącego i umierającego na krzyżu Mesyasza. Jeśli zważymy, że księga Daniela zarówno jak księga Henoch cieszyły się wielką naówczas popularnością, to łatwo nam będzie pojąć, że tytuł Syna człowieczego w ustach Jezusa mógł i powinien był wskazać Żydom na

godność mesyańską Zbawiciela. Natomiast kontrast między majestatem obrazu proroczego Daniela a konkretnym Nazarejczykiem w swej prostej i ubogiej postaci tłumaczy nam, że tytuł Syna człowieczego nie narzucał się Żydom z koniecznością, lecz zostawiał miejsce dla aktu wiary, jakim według Ewangelii jest uznanie Chrystusa za Mesyasza.

Ostatni rozdział ma nam wyjaśnić, dlaczego w listach św. Pawła, i wogóle w literaturze pozaewangelicznej Nowego Testamentu nie napotykamy już ulubionego tytułu Zbawiciela. Dr. Tillmann słusznie zauważa, że ten dla żydowskich słuchaczy obrany i zrozumiały tytuł musiał poza granicami żydowstwa w łonie królestwa Chrystusowego stracić swą właściwą wartość przy opowiadaniu Chrystusa. Nadto wskazuje autor na pewne ślady, mniej lub więcej wyraźne, które nas upewniają o tem, że św. Paweł musiał być obznajomionym z tytułem Syna człowieczego. Że zaś Syn człowieczy nie występuje już w późniejszej teologii żydowskiej, łatwo się tłumaczy przypuszczeniem, że przywłaszczenie sobie tego tytułu przez Jezusa czyniło go nieużytecznym dla celów żydowskich.

Obszerniejsze to sprawozdanie z książki d-ra Tillmanna niech świadczy o wielkiej jego doniosłości dla rozwiązania problemu »Syna człowieczego«. Jakkolwiek nie zabraknie i nadal zwolenników innych poglądów na tę kwestyę, to jednak każdy musi przyznać, że praca ta stanowi prawdziwy krok naprzód. Autor jej wykazał źródło i rozwój ulubionego tytułu Jezusa, zanalizował jego znaczenie, tudzież wykrył przyczynę, dla której Pan Jezus go sobie obrał. Wytłumaczył następnie jego prędkie zniknięcie w literaturze chrześcijańskiej i żydowskiej i nareszcie rozprawił się gruntownie i objektywnie z innemi zapatrywaniami. Przyłączamy się przeto do sądu pełnego uznania, jaki wydała o tej rozprawie zarówno akademia w Bonn, udzielająca na tej podstawie autorowi stopnia doktora teologii, jak wogóle krytyka katolicka, o ile dotąd rozpatrzyła to bardzo cenne studyum na polu biblijnej teologii, zresztą mało jeszcze uprawianej w obrębie katolickich uczonych. *Ks. Ernest Matzel.*

Die Jesuiten und die Friedensfrage von *Dr. Ludwig Steinberger.* Herder, Freiburg i. B. 1906. Str. 206, 8-ka.

Karl von Miltitz. 1490—1529. Von *Dr. Henrich Aug. Creutzberg.* Herder, Freiburg i. B. 1907. Str. 120, 8-ka.

Przedmiotem badań autora, jest udział Jezuitów w sprawach politycznych podczas ostatniej epoki t. zw. szwedzko-francuskiej wojny

trzydziestoletniej (1635—48/50). Wobec tego był zmuszony zdać sobie sprawę, jakie wogóle stanowisko Towarzystwo Jezusowe w tej rzeczy wówczas zajęło. Z wszystkiego, co autor tak w pierwszym rozdziale, jakoteż w ciągu pracy mówi, zdaje się wynikać, że wyniósł z badań nad instytutem to wrażenie, jak gdyby same władze prawodawcze zakonu w tej kwestyi nie miały jasnego pojęcia. Wina tej niejasności spada jednak na samego autora. Na str. 6, cytuje z dekretu 46 kongregacyi gen. VII deklaracyę sławnego generała Klaudyusza Aquavivy, gdzie tenże wyraźnie mówi, iż instytut zabrania członkom zakonu udziału w publicznych naradach i w przeprowadzaniu spraw politycznych, nie zaś tego wszystkiego, co się prowadzenia sumienia tyczy. Owego *praktischen Unwert* tej deklaracyi, o którym autor mówi, dopatrzeć się nie mogę, i autor sam gdyby nie był w środku zdania stanął, może także do innego przekonania byłby doszedł. Przepisy były jasne, tylko jak wszędzie tak i tu nie brakło takich, którzy je trochę wolniej tłumaczyli, jak praca wykazuje. Sama praca przedstawia nam Jezuitów czynnych w sprawie pokoju tak na polu literackiem, jakoteż w urzędzie spowiedników i radców duchownych książąt. Do pierwszych przedewszystkiem należą Ojcowie Laymann, Wangnerek i sławny poeta Jakób Balde, do drugich Ojcowie Lamormaini i Gaus na dworze wiedeńskim, Vervaux na dworze bawarskim Maxymiliana I i O. Biber na dworze elektora mogunckiego. Trudno wchodzić w szczegóły, zaznaczyć jednak trzeba, że bardzo sumiennie zastanawia się autor, szczególnie nad literackiemi pracami teologów jezuickich. Czuć zaś w ciągu całej pracy, że autor sympatyzuje z przedstawicielami łagodniejszej partyi, najdalej idącej w ustępstwach na korzyść innowierców, na której czele stoi z Jezuitów O. Vervaux, podczas gdy przeciwną stronę reprezentuje O. Wangnerek. Szczególnie temu ostatniemu przebaczyć nie może, że nie przychylił się na stronę oportunizmu politycznego, lecz twardo trzymał się zasad »średniowiecznych«, mimo że po jego stronie stał nuncyusz papieski Chigi, późniejszy papież Aleksander VII, kanclerz rzeszy i elektor moguncki Anzelm Kazimierz i nareszcie także papież Innocenty X, który, jak wiadomo, odrzucił artykuły pokoju monastersko-osnabrückskiego, tyczące się ustępstw dla protestantów, w bulli *Zelo Domus Dei* 26 listopada 1648. Można z autorem przyznać, że partya reakcyjna z Wangnerekiem na czele nieraz za uparcie i w niestosownych wyrazach broniła stanowiska swego, że jednak do daleko idących ustępstw skłonni

nie byli wobec nienasyconych protestantów, za złe im brać nie można, jak przyszłość pokazała; zresztą *melior est condicio possidentis.*

Pomimo tego trzeba autorowi przyznać, że starał się w kwestyi dość delikatnej natury, zachować sąd bezstronny i przedmiotowo rzecz przedstawić. Na końcu dodał autor kilka dokumentów z różnych archiwów tyczących się przedmiotu pracy, bardzo charakterystycznych dla różnych stronnictw.

Druga praca, która tak samo jak pierwsza należy do rzędu publikacyi, wydanych pod tytułem: *Studien und Darstellungen aus dem Gebiete der Geschichte* przez stowarzyszenie Görresa, jest monografia o znanym nuncyuszu Leona X do Niemiec, Karolu Miltitzu. Dotychczas było zdaniem, dość ogólnem nowszych historyków, szczególnie po ukazaniu się prac Müllera i Kalkoffa, że poselstwo Miltitza było podrzędnego znaczenia, zdanie, które także podziela Pastor w ostatniej pracy swojej o Leonie X (*Geschichte der Päpste* t. IV część I, str. 260). Autor jest innego zdania, albo raczej przychyla się ku zdaniu autorów dawniejszych, którzy i osobistości nuncyusza i sprawom jego większą wagę przypisują. I nie bez słuszności. Cała bowiem trudność obraca się około pytania, czy i o ile odnosiła się misya Miltitza do osoby samego Lutra. Sądzono do tego czasu, że pod tym względem żadnego polecenia niemiał, lecz działał z własnej inicyatywy, pobudzony próżnością swoją i chęcią zysku. Na te trudności odpowiada autor bardzo przekonywująco i rozprawia się szczególnie z Müllerem i Kalkoffem. Prawda Miltitz teologiem nie był i dlatego po teologicznych jego znajomościach kurya rzymska wiele sobie obiecywać nie mogła, ale był obrotnym człowiekiem, a jeżeli kto, to Leon X więcej obrotności ufał, aniżeli uczoności. Co do zależności Miltitza od kardynała-legata Kajetana, która stanowi jeden z głównych dowodów przeciwnego zdania, sądzi autor, że ona ograniczyła się na wręczeniu złotej róży Fryderykowi, saskiemu elektorowi. Choć zaś autor przyznaje, że misya Miltitza odnosiła się także do pozyskania samego Lutra, to jednak stanowczo zaprzecza temu, co Kalkoff twierdzi, jakoby Miltitz miał od kuryi zlecenie schwytania Lutra i odstawienia go do Rzymu. Sam Luter przeciwnego był przekonania.

Nie trzeba jednak z tego sądzić, że praca Creutzberga chce być rehabilitacyą Miltitza. Przyznaje i on, że wybór jego na nuncyusza do Niemiec w owych okolicznościach był bardzo nieszczęśliwy, bo był to człowiek bardzo małej moralnej wartości. Zresztą zgadza się także autor i na to, iż Miltitz pobudzony próżnością i prywatą nieraz przed-

siębrał kroki, które nie leżały w intencyi kuryi rzymskiej, a którymi i siebie i kuryę ośmieszał. Ten jasny, zdrowy i umiarkowany sąd autora przemawia bardzo za jego słusznością i sądzę, że praca jego gruntowna i spokojna od ogółu przychylnie przyjętą zostanie. Na końcu dołane są i do tej pracy niektóre dokumenty, z których szczególnie interesuje instrukcya Albrechta, elektora mogunckiego, dla Miltitza z roku 1521.

Ks. A. Starker.

Kipps by *H. G. Wells.* II vol. Tauchnitz ed. 1906.

Powieść to zupełnie niepodobna do poprzednich utworów Wellsa, bez nadzwyczajności, bez allegoryi, proste opowiadanie z życia, nakreślone na sposób Jerome'a K. Jerome. Pełno w niem sprytu i zmysłu spostrzegawczego, pełno komizmu i rzewności zarazem. Tylko, trzeba dobrze znać język angielski, aby módz to wszystko należycie ocenić, a nawet i wtedy, staje się czasem przed jakiemś wyrażeniem brukowem wzgardzonem przez układaczy słowników. Trzeba w takich razach zrezygnować i czytać dalej, bo warto.

Kipps to biedny, naiwny chłopiec, wychowany w należytej małomiejskiej ciemnocie, przez stryja i stryjenkę, którym zostawili go rodzice emigrując do Australii, skąd już nie mieli powrócić. Dla Kippsa w dzieciństwie raj przybiera dwa widome kształty: stryjowski sklep zabawek, gdzie mu grasować nie wolno i głośne zabawy uliczników, w których mu również brać udziału nie wolno, co oczywiście mieni być wielką krzywdą, większą jeszcze od dziwacznych sposobów, w jakich mu ciotka każe przy stole trzymać nóż i widelec, gdy przecież byłoby wygodniej chwycić je pełną garścią, a jeszcze naturalniej zostawić na stole i jeść palcami! Starzy strzegą Kippsa, jako »coś lepszego« — jego matka bowiem pochodziła z zamożnej rodziny i z miłości od swego ojca uciekła. Kipps jednak o tem nie wie, za nic »lepszego« się nie uważa i pokryjomu zawiązuje dozgonną przyjaźń z dziećmi ubogiego sąsiada Sidneyem i Anną. Jest to jedyne jego, bardzo wązkie okienko na Boży świat, a i to się z czasem zamyka, gdy stryj oddaje go jako subjekta do wielkiego bławatnego sklepu. Tu biedaczek przepędza kilka lat zaduszony moralnie stosami sztuk sukna i różnych wełnianych i bawełnianych wyrobów, których użytek dla niego ukryty — znanym jest tylko w owym tajemniczym, zewnętrznym świecie w jakim żyją ludzie kupujący. Niedzielne godziny swo-

body spędza u stryja, skąd znów niekiedy spotyka się z Anną już dorastającą dziewczyną. On sam też dorósł, choć nie wyrósł wysoko i tak w twarzy jak i umyśle zachował cechę dziecinną. W życiu jego wszakże poczynają zachodzić zmiany: 1) zapoznaje się z aktorem, prawdziwym aktorem z prawdziwego teatru i to takim, który sam pisze sztuki! Oczywiście nie ma za co ich wystawiać ani wykończać, ale samo zetknięcie z nim wprowadza Kippsa — czasem na całe dwie godziny! — w zupełnie nowy świat myśli i pojęć. 2) Zaczyna uczęszczać do niedzielnej szkoły rysunku, miasto bowiem zawierające sklep jego pryncypała jest również polem do akcyi społecznej. W tym wypadku »działaczką« jest piękna panna Walshingham udzielająca bezpłatnych kursów: Kippsowi wydaje się zeszłą z obłoków boginią. Anny od bardzo dawna nie widział i nie wie nawet co się z nią dzieje...

Ale to wszystko jeszcze nic. Pewnego poranku Kipps otrzymuje uwiadomienie o kolosalnym spadku po ojcu matki, który konając przebaczył jej pamięci i testament na korzyść jej potomstwa podpisał. Biedny zahukany subjekt staje nagle na czele 12.000 funtów sterl. dochodu! Koledzy sypią powinszowania, stryjostwo po długiem niedowierzaniu zbawienne rady, Kipps zaś kontent bo mógł na razie sprawić sobie upragnione *benjo* [1] i nowe ubranie, za co stryjenka przepowiada mu zaraz że wyjdzie na »dziady«. Kipps wszakże nie trwoni, tylko w oszołomieniu wielkiem nie może sobie dać rady ze swem stanowiskiem i obowiązkami bogatego człowieka. Miss Walshingham posłyszawszy o jego szczęściu zaprasza go do matki, która natychmiast bierze się do urządzenia małżeństwa pomiędzy córką, a młodym bogaczem. Kipps oczywiście daje się złapać, przyczem panna w gruncie poczciwa, wchodząc poważnie w rolę narzeczonej usiłuje go wychować, kierować nim między ludźmi, nauczyć go tysiąca najprostszych, a koniecznych rzeczy. Kipps wie dobrze, iż ich nie umie, więc kupuje sobie podręcznik zawierający wszelkie przepisy życia światowego, uczy go się na pamięć i dziwi, że mu w praktyce nie może wystarczyć. Wszyscy mu nadskakują, narzeczona jest dobra i serdeczna, a przecież nie jest szczęśliwym, bo czuje na każdym kroku swą niższość, swe upokorzenie. Poczciwego aktora jakoś mniej widuje; dał mu atoli pieniądze na popchnięcie dramatycznej karyery. Najgorszą męczarnią

[1] Popularny instrument muzyczny, zda się rodzaj gitary.

są zebrania i proszone wieczory, zwłaszcza te, na których odbywają się gry umysłowe, zagadki, szarady i t. p. Kipps zaczyna wzdychać za dawnem życiem, wspomina Annę, przy której nigdy nie czuł się poniżonym. I oto na jednym z owych wieczorów poznaje ją w postaci służącej roznoszącej herbatę. Tego mu już za wiele, po kilku dniach wahania, zabiera ją ze sobą i nieuprzedziwszy nikogo ucieka...

Stało się, Kipps i Anna pobrali się i zamieszkali w dużem mieszkaniu dużego domu ze służącą, która Annie mocno przeszkadza, bo wszystko sama robić przywykła. Nie mogli znaleźć mieszkania według swego gustu, więc Kipps zdecydował się na budowę własnego domu i zawojowany przez górnomownego architekta, wybrał z pomiędzy jego planów wielki, pretensyonalny gmach. Nad temi planami małżonkowie niemal się poswarzyli, bo Ana marzyła o domku wygodnym, a skromnym, wynikiem było, że żona płakała, a mąż wyszedł zadąsany, a gdy wrócił zaszła konieczność wzajemnych przeprosin. Nie mieli znajomych, nudzili się — słowem było im źle wśród bogactwa, tak jak małemu człowiekowi odzianemu w suknię zdjętą z olbrzyma. — I znów pewnego dnia zaszła niespodzianka: Kipps odebrał list od dawnej narzeczonej ostrzegający go, że jej brat, któremu Kipps był ongi powierzył swe sprawy pieniężne i nie odebrał ich mimo zerwania z siostrą — uciekł sprzeniewierzywszy większość jego funduszów. Zrazu cios był ciężki — zostać bez grosza, gdy się opływało w złoto jest bolesnem nawet gdy się tego złota nie umiało używać. Wkrótce jednak okazało się zrealizowawszy wszystko co pozostało, że będzie za co żyć skromnie i założyć małą księgarnię co jeszcze w sklepie bławatnym było Kipsa marzeniem. Wzięli się tedy do pracy swobodni już i weseli, a choć nieco później znaczna część fortuny wróciła i pieniądze pożyczone aktorowi-poecie niemałe przyniosły zyski, Kipps poprzysiągł sobie nie porzucać swojej księgarni, bo jak mówi Anna »pieniądze mogą znów przepaść, a sklep zostanie«.

Tezą autora, jak sam przyznaje, jest wykazanie o ile majątek, stanowisko i nawet związki, nie są w stanie uszczęśliwić człowieka mało rozwiniętego umysłowo, aby mógł z nich korzystać. Kipps miał w ręku wszystko, krom wykształcenia, krom wyrobienia, jakie daje nauka lub życie i dlatego czuł się jak dziecko wobec wielkiej skomplikowanej maszyny. Taka ciemnota zaś jest według Wellsa plagą, ciążącą nad conajniej połową mieszkańców Anglii — cóżby dopiero powiedział gdyby jął pod tym względem badać inne kraje.

T. Wodzicka.

Hilligenlei. Roman von *Gustav Frenssen.* Fünfundsechzigstes Tausend. Berlin, G. Grotsche Verlagsbuchhandlung. 1905. Str. 615.

Łzy cisną się do oczu przy końcu tej dziwnej książki, nie z żalu nad śmiercią głównego bohatera, ale nad samym autorem. A zarazem strach chwyta na myśl o mętnych źródłach, w jakich się od dzieciństwa dusza jego poiła, na myśl o mgłach, o obłokach dymu i pyłu, wśród których szukała światła. Frenssen, jak wiadomo, jest (czy też był) protestanckim pastorem, poznał zmurszałość czterowiekowego luterskiego gmachu i nauczywszy się »protestu« od swego mistrza, jął teraz protestować przeciw ustanowionemu przezeń Kościołowi. Pierwsi protestanci odrzucili księgi Ojców Kościoła zachowując Biblię; obecnie synowie ich odrzucają Biblię, widzą w niej mnóstwo historycznych i religijnych błędów, z Ewangelii robią bigos i przecząc bóstwu Chrystusa Pana, śpiewają o nim sentymentalne ballady, jako o »najpiękniejszym z ludzi«. Obecny utwór Frenssena zawiera opis duszy biednego chłopca uderzonego nazwą rodzinnego miasteczka — Hilligenlei, co znaczy *Heiliges Land* i szukającego dokoła, wprzód w żywym świecie, następnie w nauce, a wkońcu w sercu własnem a raczej własnych marzeniach tej »ziemi świętej«, tego królestwa Bożego. Próbuje być pastorem, ale ramy protestantyzmu go duszą, więc rzuca urząd i powraca w życie prywatne, wciąż szukający, wciąż zamyślony o rzeczach nadziemskich. Aż wkońcu znajduje wyjście ze swych powątpiewań i mrzonek i — za pobudką pięknej dziewczyny, w której od dzieciństwa się kocha — decyduje się oblec w ciało swe myśli. Powstaje z nich Żywot Chrystusa, któremu autor bardzo długi rozdział poświęca. Ale jakiż to Żywot — pożal się Boże! Jedno kłamstwo po drugiem, błąd na błędzie, niedorzeczność na niedorzeczności... Frenssen podaje przy końcu książki spis dzieł, które mu za źródła służyły; nie cytuje Renana a przecież zdaje się, jakoby jego bajka była streszczeniem romansu francuskiego pisarza. Z Ewangelią nie liczy się prawie wcale: twierdzi, że Pan Jezus był synem prostego rzemieślnika z nizkiego rodu, że był starszym bratem czworga rodzeństwa, że Najśw. Panna była pospolitą kobietą, która nigdy roli w życiu Jego nie grała; dalej, że dopiero przemowy Jana Chrzciciela zbudziły w Nim myśl o posłannictwie z góry i t. d., i t. d. — aż do śmierci na krzyżu, po której nigdy nie zmartwychwstał a uczniowie rozbiegli się w góry... Znać przytem, że opowiadając o dawnych dziejach, autor ma wciąż obecne czasy i swoją ojczyznę na myśli, bo P. Jezusa zwie uporczywie *der*

Held von Norden; w narodzie żydowskim widzi klerykałów, nacyonalistów, liberałów; widzi walkę Zbawiciela z istniejącym porządkiem kościelnym, zapomina się nawet tak dalece, iż pisze, że Jezus skasował »kosztowne świątynie, ceremonie, tłumy kapłanów, różańce, msze, ofiary i sakramenta, pielgrzymki i dalekie wędrówki do kościoła, wszystkie te strasznie ciężkie rzeczy, ciążące na ludzkości od tylu wieków«... Moralnym wynikiem całej historyjki jest, że trzeba kochać gorąco Boga a bliźniego jako siebie samego, kładąc jednak obok tej prawdy w usta Pana Jezusa dodatek: *Alles andere ist überflüssige, schädliche Menschenerfindung*...

Okroiwszy tak wiarę, odjąwszy człowiekowi jedyną nadzieję grzeszników, to jest Odkupienie, bo temu stanowczo zaprzecza — każe mu się radować. Radować z istnienia Boga, z doskonałości Zbawiciela (bo nie przestaje go nazywać *der Heiland*), z płomienności jego nauki, z ufności w miłosierdzie Boże i nadziei, »w lepszą przyszłość« ludzkości. O życiu pozagrobowem nie wspomina; może w nie wierzy, a może zostawia to każdemu do woli. Wydawca ogłaszając na ostatniej stronie zbiór kazań Frenssena cytuje charakterystyczne w nich zdanie. Dotąd mówiono wciąż: *Er ist gestorben!... Mensch—deine Sünde!*— gdy tymczasem należało powtarzać: *Er ist geboren!... Mensch — deine Freude!* Możnaby autorowi objaśnić, że jedno i drugie jest prawdą, i że Kościół katolicki śpiewa nie tylko »Gorzkie żale« ale i kolędy.

Najboleśniejszem jest to, że autor nie jest fanatykiem porwanym swą myślą; jego bohater przynajmniej przechodzi przed poddaniem się jej przez ciężkie walki duchowe. Zda mu się widzieć gromiącą go postać Lutra, którą zbywa pięknemi słówkami, to znów Goethego, z którym jeszcze lżej się załatwia. Ale gorzej jest z Panem Bogiem, bo tu w chwili wątpliwości w Jego przyzwolenie występuje wyraźny bunt; Kai Jans spowiada mu się a raczej chwali ze swego zamiaru. On to własnemi rękami zbuduje dla swego ludu (to jest dla Niemców) nowy gmach wiary, w którym będzie im wszystkim wesoło i dobrze, poczem dodaje: *Darum wage ich was ich wage... Und redest du dagegen — so höre ich nicht...*

Ktoś twierdził niedawno, że Frenssen całą swoją długą książkę napisał jedynie w celu, aby w niej ten nieszczęsny rozdział umieścić. Być może — ale to się nazywa zepsuć swoje dzieło. »Hilligenlei« mogło wybornie bez tej elukubracyi się obyć i gdyby jeszcze wytrącić parę rozmów na temat religii i parę ustępów erotycznie drażliwych, mieli-

byśmy rzecz ładną, podobnie jak w »Jörn Uhl« [1]. Widzimy w nim opis nadmorskiego, holsztyńskiego miasteczka ze wszystkiemi właściwościami, małostkowościami, rodzajem życia i charakterystyką mieszkańców. Czytając, zda się czuć świeży, słony powiew morza. Autor bierze od dzieciństwa kilka typów bardzo odrębnych i ręką mistrzowską skreślonych: jest prosty, rozumny, silny na duchu i ciele sternik a potem handlarz zbożem Pe Ontjes — najpiękniejsza osobistość z powieści, jest Tjark Dusenschön, od urodzenia *chevalier d'industrie* — zamydlający oczy całej miejskiej starszyźnie, jest owa starszyzna stekiem zaskorupiałych i zarozumiałych leniwców, jest Piet Boje, dzielny, ambitny i chciwy, jest wreszcie wieczny marzyciel Kai Jans, gorąca dusza w słabem ciele, dążący do »królestwa Bożego« oraz do socyalistycznych ideałów a umierający po części wskutek poświęcenia dla bliźnich a w gruncie z zawiedzionej miłości.

Już to trzeba przyznać, że co do tej ostatniej, etyka mieszkańców Hilligenlei jest dość nizkiego gatunku. Być może, iż tak jest w rzeczywistości; Frenssen zaś wykazuje tę stronę obrazu w sposób zmysłowy, bez słówka nagany. Scen takich jest cztery czy pięć w dużej książce. Daleko więcej miejsca zabierają opisy podróży morskich, życia majtków i t. p. — istotnie uderzające pięknością. Jaka szkoda raz jeszcze, iż wszystko to splamione kałem religijnych błędów! Jak smutnym również jest obraz społeczeństwa północnych Niemców, gdzie, jak twierdzi autor, »wszyscy dążący naprzód: robotnicy, marynarze, kupcy, uczeni, artyści, wszyscy, którym świeży powiew do uszu dochodzi, którzy są czerstwi i silni, odpadli od wiary kościelnej i stoją bez wiary, to jest bez podstawy w tem ciężkiem życiu człowieczem«. I to się w języku urzędowym śmie zwać »k r a j e m b o j a ź n i B o ż e j«! Smutno — ale między tem a nową ewangelią p. Frenssena wybór niełatwy.

[1] Autor stoi tu na odmiennych zasadach. O ile w poprzedniej powieści wystawił wyzwolenie się z posiadania roli, jako warunek swobody i uszlachetnienia człowieka, tak tu poruszając kwestyę agrarną, lituje się nad bezrolną ludnością miast, nad ludźmi, którzy zamieszkują »wyższe piętra«, bo im świat nawet tyle ziemi żałuje, żeby na niej stać mogli. Są to jednak może uwagi przelotne, nie dotykające głównej treści dzieła.

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Schillera polityczne i społeczne poglądy. *Dr. Józef Flach.* Kraków 1905.

W pracy pisanej na obchód 100-letniej rocznicy śmierci poety omawia autor genezę poglądów społecznych Schillera i samą ich treść. Poczęte pod wpływem wirtemberskiej *Pflanzenschuli,* od rewolucyjnego hasła »Zbójców« przechodzą wkońcu przez kwietyzm »pieśni o dzwonie«, przechodzi do najwyższej politycznej mądrości zawartej w przemowie króla w »Demetryuszu«.

W »Zbójcach« obaj wrodzy sobie bracia zgodni są w jednem, w krytyce i zwalczaniu istniejącego porządku społecznego. Rezultat tedy dramatu jest ujemny, krytyka, druzgotanie podstaw społecznych bez stworzenia czegoś pozytywnego, wskazania nowych dróg. Pod względem patryotycznym również zupełna próżnia.

»Fiesco«, to wytwór epoki przejściowej, ewolucyi pojęć Schillera. Jeszcze się one nie skrystalizowały. Ma to być *ein republikanisches Trauerspiel;* motyw jednak dramatyczny osnuty nie na konflikcie między republiką a monarchią, lecz na walce ambicyi z zaparciem się. Myśl zasadnicza, że władza winna być dobrą, taką, jak ją uosabia Doria, a zbrodnią jest zarówno swawola upostaciowana w Gianettinie, jak i ambicya wygórowana Fiesca.

Socyalny podkład w większym zakresie ma »Intryga i miłość«. Poeta oskarża w tym dramacie panującego i jego dwór o podłość, a wyższe stany o krzywdzenie niższych. Charakterystyczne jest przytem, że oskarżenie rzuca jeden z członków tego stanu wyższego, szlachcic i oficer, Ferdynand. Stąd wnosi autor, że Schiller nie walczy przeciw wyższym stanom wogóle, lecz przeciw starszemu ich, pełnemu przesądów kastowych pokoleniu.

Po »Intrydze« warunki życia poety wpływają na powściągnięcie porywów młodości. Pobyt w Mannheim, stosunki z Weimarem a przytem studya filozoficzne i przyjaźń z Körnerem usposabiają poetę przychylniej dla porządku społecznego, nastrajają go bardziej optymistycznie. Dowodem tego umiarkowanie poglądów pieśni *An die Freude.*

Wielki polityczny dramat »Don Carlos« jest wyidealizowaniem programu politycznego, *des aufgeklärten Absolutismus.* Reprezentant idei poety, markiz Posa, żąda od króla, będącego uosobieniem w wykonaniu zresztą łagodnem tyranii, by poddanym dać tylko *Gedankenfreiheit.* To jedyne żądanie, program społeczny i polityczny poety.

Następne utwory, poprzedzone głębszemi studyami historycznemi i filozoficznemi. a to »Pieśń o dzwonie« i »Wallenstein« dowodzą zmiany w ideach Schillera. W tych dwóch utworach daje poeta tryumf idei konserwatywnej i legitymistycznej. Tej przemiany pojęć dowodzą, a w każdym razie nie przeczą jej »Dziewica Orleańska« i »Marya Stuart«. A przytem zaczyna u Schillera dźwięczeć nuta patryotyczna, jak w wierszu *Zur Jahrhundertswende.*

W »Tellu« mamy apoteozę walki o wolność. Ale ta walka nie taka ostra; poeta jest w niej znacznie powściągliwszym. Niema tu tyle nienawiści tyrana, ile raczej miłości ojczy-

zny. Przytem ci szermierze wolności występują w obronie idei konserwatywnej swych praw odwiecznych i poręczonych dokumentami. Jedyny czyn o wątpliwym charakterze etycznym, zabójstwo Genlera, nie może iść na rachunek ogółu, lecz spada wyłącznie na karb jednostki, Tella.

Jakeśmy już podnieśli, ostatniem słowem w poglądach politycznych Schillera, jest fragment dramatu »Demetrius«. Nie szermierz wolności, jak Posa, nie rewolucyonista, jak Fiesco, nie reprezentant walki społecznej, jak Karol Moor, lecz panujący, król wypowiada słowa, będące szczytem mądrości politycznej Schillera. Radzi Dymitrowi zdobyć sobie serca poddanych, bo *dein bester Schirm ist deines Volkes Herz*. Panujący ma być ojcem poddanych, szanować ich obyczaj.

Schiller był tylko politycznym teoretykiem. W praktycznem życiu politycznem nie brał udziału. Stąd ulegał wpływom wypadków chwili, którym nie podlegają praktycy, znający i rozumiejący genezę i sprężyny wywołujące zdarzenia chwili.

W zapatrywaniach swych politycznych i społecznych jest Schiller dziecięciem wieku, w tem, co mówi i czego nie mówi. Charakterystyczne jest zupełne pominięcie kwestyi religijnych, wpływu religii na życie społeczne. To przemilczenie jest zrozumiałe w wieku oświecenia.

E.

O potrzebie i środkach do funduszu dla akcyi katolicko-społecznej. *Ks. dr. Adam Kopyciński.* Referat wygłoszony dnia 5 czerwca 1906 r. na kursie katolicko-społecznym we Lwowie. Lwów 1906.

Żyjemy obecnie w okresie kapitalizmu: złoto, martwy, krnszec. jest nie już bożyszczem wyjątkowych jednostek, skąpcami zwanych, ale podstawą niemal życia, główną sprężyną całej machiny społeczeństw, osią wszelkich czynów i akcyi. Wobec takiego stanu rzeczy mowy nawet niema, by przeprowadzić jakąkolwiek akcyę czy to społeczną, czy patryotyczną, czy naukową przedewszystkiem, nie mając odpowiednich środków pieniężnych. To też ks. Kopyciński, wygłaszając swój referat w chwili, rzec można, zmartwychwstania akcyi katolickiej, tej stronie medalu uwagi swoje poświęca. Stylem podniosłym, »ambonowym« niemal, może nawet jak na zwykły referat za górnolotnym, posługując się dość często cytatami z Pisma św., wykazuje autor konieczną potrzebę szerszej ofiarności publicznej, by akcyę katolicko-społeczną na pewnych postawić nogach. Obmyślił dokładnie systematyczny pobór składek, by cała sprawa nie zawisła od szczodrobliwości ofiarniejszych jednostek, co mogłoby być bardzo zawodnem. Tylko w całym tym wykazie ofiarodawców razi cokolwiek kilkanaście razy użyte słowo »powinni«, które po większej części w naszem społeczeństwie nie poparte doraźną egzekucyą przemija bez echa. Doświadczenie tych kilku miesięcy od wygłoszenia wspomnianego referatu, w których akcya katolicko-społeczna w Galicyi posuwa się coprawda naprzód, ale powoli, żółwim krokiem, osłabia ogromnie rzeczywistą wartość broszurki, zostawiając po niej wrażenie fajerwerku... Jeden to dowód więcej, że u nas planów i pomysłów mnóstwo, a tylko niema ich wykonania — czy z powodu braku odpowiednich ludzi dzielnych a energicznych, czy też to wina słabej wytrwałości polskiej — w to wchodzić nie będziemy. Sam plan naszkicowany bardzo mądrze, szkoda tylko, że referent nie

uwzględnił znanej ofiarności polskiej, która się rozprasza na mnóstwo instytucyi, nie zostawiając po sobie poważniejszych śladów, i nie zwrócił swej myśli w tamtą stronę, w celu usystemizowania tej ofiarności. Podobnie żądanie składek tak wysokich, jak 10 a nawet 20% od dochodowego podatku, wydaje nam się cokolwiek za wielkiem — chyba że autor trzyma się maksymy, by zawsze wyżej celować.

A. N. Z.

Rewolucya rosyjska i pokój europejski. Co się dzieje i co z tego będzie? *Ignotus Prawdzian Prawdzicki.* Kraków. Nakład i druk Anczyca i Sp. 1906.

Kombinacye polityczne, nieraz z wielką dozą prawdopodobieństwa przeprowadzone, mają tylko jedną wadę, że wobec poważnego rozwoju dyplomacyi w obecnych czasach pozostają niestety zawsze tylko... kombinacyami. Jakąś pewność, jakąś podstawę nadaje im dopiero nazwisko autora, zwłaszcza rozgłośne, znane; po pseudonimie spodziewać się tego nie można... Broszurka niniejsza, a pomijamy już tytuł »co się dzieje i co z tego będzie«, który mimowolnie nasuwa na myśl ową grę towarzyską »gdzie byli, co robili, co z tego wynikło i co świat na to powiedział«, stawia przed oczy jedną dość liczną rodzinę, z której tylko mama pozostawała w sali jadalnej, gdy się przy kolacyi rozmowa wszczęła o polityce: z pozostałych każda osoba w innym pokoju kolacyę kończyła..

Konkluzya całego artykułu: będzie wojna europejska z Rosyą. Kiedy i gdzie, mniejsza o to, zresztą to do przyszłości należy; fakt jest, że każde zdanie, począwszy od zebrania punktów analogicznych rewolucyi rosyjskiej i francuskiej i scharakteryzowania stosunku stronnictw rosyjskich do rządu, skończywszy na »zbrojnym pokoju« i obecnej konstelacyi europejskich mocarstw, wszystko do tej właśnie a nie innej zmierza konkluzyi. Każdemu wolno mieć swoje zdanie, nawet pod tym względem, że w ostateczności socyalno-demokratyczna międzynarodówka wojnę wypowie. Zresztą nie chcąc się wdawać w kwestye głębokiej polityki, powiedzmy z księciem poetów: wszystko to być może...

A. N. Z.

Bielany. *Stanisław Tomkowicz.* Kraków. Biblioteka krakowska.

Z polotem poetyckim i z prawdziwem zamiłowaniem opisuje autor jedną z najprzyjemniejszych miejscowości w okolicach Krakowa. Nie ograniczając się do suchego wyliczania zabytków sztuki, co po większej części trafia się w tego rodzaju dziełach, ale wyczerpując prawie wszystko, co o Bielanach powiedzieć można, daje nam autor pogląd na wartość krytyczną i historyczną klasztoru, pogląd, w którym odbija się jego subtelne poczucie piękna w sztuce, jego miłość ku rodzinnej ziemi i drogocennym jej pamiątkom, jego zapał wreszcie dla cudów wszechpotężnej przyrody i uznanie cichej a znojnej pracy ludzi, poświęconych duszą całą miłości Boga i bliźniego. Więc dowiadujemy się, że Bielany, »od początku przeznaczone niejako na przytułek zakonników«, różne w ciągu wieków przechodziły koleje. W najdawniejszych czasach — odkąd historyę ich znamy — były w rękach Norbertanek zwierzynieckich i zakonnic ze Staniątek, potem przez pewien czas w rękach prywatnych »doktora medycyny Jana Gromczicza też Moravusem zwa-

nego w 1433 r.« i w rodzinie Zarogowskich w drugiej połowie XV w.; Długosz w ostatnich latach swego życia toczy pertraktacye z Mikołajem Zarogowskim w celu ofiarowania tej góry, naówczas górą św. Stanisława zwanej, przybyłym z Francyi Kartuzom. Ci jednak szczęścia do polskiej ziemi nie mieli, bo już poprzednio przeszkody prawne nie dozwoliły Kazimierzowi Jagiellończykowi oddać im niedokończonego uniwersytetu kazimierzowskiego na Bawole w pobliżu Wolnicy i Bożego Ciała, a i teraz blizkim już pomyślnego wyniku zabiegom Długosza weszła w drogę śmierć jego. Dopiero przeszło wiek później marszałek nadworny koronny, Mikołaj z Podhajec Wolski, pan niezmiernie bogaty, wykształcony i zapalony podróżnik, naówczas właściciel Bielan, ufundował tam na spółkę z kasztelanem wojnickim, Sebastyanem Lubomirskim, pustelnię dla OO. Kamedułów jako ekspiacyę za nieprawnie, bo nie był kawalerem maltańskim, pobierane intraty z komandaryi poznańskiej. Pod jego okiem budował klasztor jeden ze zdolniejszych na swój czas architektów, Włoch, Andrzej Spezza, w umowie zaś spisanej 1618 r. wymienieni są nadto jako majstrowie wykonawcy Giorgio Balarino de Ostravia i Jan Kinkowski, kamieniarze. Facyatę ukończyli dwanaście lat później Jan Succatori, budowniczy królewski i Jan Lapicida.

Przeszedłszy już wiele krócej późniejsze losy klasztoru i wtrąciwszy parę epizodów, jeden z nich o pobożności i głębokiej pokorze fundatora klasztoru, Wolskiego, zwraca uwagę autor w następnym rozdziale, skromnie zatytułowanym »Okolica i dojazd«, w barwnych słowach na różne miejsca odznaczające się piękną przeszłością historyczną lub uroczem położeniem, mimo których biegnie droga z Krakowa do Bielan. Więc nie pomija i klasztoru zwierzynieckiego, niegdyś podobno siedziby Piotra Własta, pół legendarnego możnowładcy za Bolesława Krzywoustego, i kościółka św. Salwatora i św. Małgorzaty, i prześlicznego domku Zofii z Czartoryskich Zamoyskiej, zwanego »Lipkami«. Wspomniawszy o marmurowej kolumnie przed bramą klasztorną, wprowadza nas na dziedziniec i objaśnia dzieła sztuki, począwszy od fasady kościoła aż do ornatów, haftów drogocennych i t. d., nie opuszczając żadnego szczegółu, godnego zapamiętania.

Zakończenie, zbyt może daleko odchodzące od kierunku artystycznego książki, opowiada sposób życia OO. Kamedułów, a przejęty ich prostotą, ich umartwieniem, ich pobożnością i ustawiczną walką ze swemi skłonnościami ziemskiemi, woła autor z zapałem: »Świat nieraz nie rozumie powołania zakonnego, dziwi się zwłaszcza tym, którzy obierając życie pustelnicze, pełne umartwień, zaparcia się siebie, heroicznego oderwania się od wszystkiego, co ziemskie, wyrzeczenia się nawet godziwych uciech i pociech... A któż odgadnie ile w tych modlitwach i umartwieniu jest zadośćuczynienia za cudze winy, za moc złego, które dzieje się na świecie, ile ono złego odwrócić zdolne od ludzi, żyjących poza murami pustelni, od społeczeństwa i narodu!« Jak piękne słowa w ustach człowieka, nie związanego zakonnymi ślubami, nie przeznaczonego specyalnie wyższą wolą do obrony ignorowanych, a często i złośliwie spotwarzanych zakonników!

A. N. Z.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Dwie nowe polskie ligi

Ogromne kręgi w całym dzisiejszym świecie zatacza akcya obyczajowa. W każdym kraju można wskazać na setki związków, lig, stowarzyszeń organizujących się przeciw różnym formom zwyrodnienia, przeciw alkoholizmowi, rozpuście, karciarstwu i innym występkom. W miarę, jak fala etycznego zdziczenia podnosi się coraz wyżej, coraz częstsze i coraz liczniejsze są te związki. Czy w tym fakcie nie tkwi dowód, że narody chrześcijańskie są niezniszczalne? Istnieje wieczny drogowskaz w ludzkości, jakim jest chrystyanizm, i ten znużonych błąkaniem się po manowcach wiecznie naprowadza na prostą drogę. Że zaś związki takie powstają często poza chrystyanizmem, nawet z łona obozów wrogich chrystyanizmowi, to tylko dowodzi mimowiednego wpływu etyki chrześcijańskiej nawet na te oddalone od siebie środowiska. Inaczej faktu tego wyjaśnić nie można. Przecież pewne formy akcyi obyczajowej, zapoczątkowane przez masonię lub socyalizm, jeżeli już nie są wprost sprzeczne z ogólną dążnością tych kierunków, to w każdym razie nie znajdują w nich racyonalnego uzasadnienia.

U nas, częścią przez wpływy zagraniczne, częścią z rodzimej twórczości, powstała cała sieć analogicznych związków. Kiedyś wypadnie naszemu pismu bliżej przypatrzeć się całej tej akcyi.

Dziś notujemy powstanie nowego stowarzyszenia, pod nazwą: »Liga obyczajności społecznej«.

Ma ta liga zespolić w związek wszystkich ludzi dobrej a silnej woli. »Jednostki moralne — czytamy w odnośnym referacie — kojarząc się i łącząc, tworzą w łonie danego społeczeństwa moralną silnicę. Im potężniejsza ta w społeczeństwie silnica, tem ono jest odporniejsze przeciw złemu«.

Liga obyczajności społecznej ma na celu:

a) oddziaływanie na młodzież szkolną i robotniczą;

b) oddziaływanie na rodziców, opiekunów, wychowawców, nauczycieli i chlebodawców;

c) oddziaływanie na publiczną opinię.

Liga dzieli się na trzy główne oddziały:

Oddział pierwszy, złożony z przeważnej części z młodzieńców, podejmie pracę wśród młodzieży szkolnej, handlowej, rzemieślniczej i robotniczej. Popierać ma lub urządzać Kółka etyczne w szkołach i środowiskach pracy, odciągać młodzież od pijaństwa, kart, rozpusty; zachęcać do szlachetnych zadań i rozrywek.

Oddział drugi ma wspierać myśl rozumnego porozumiewania się rodziców i opiekunów z nauczycielami i chlebodawcami; urządzać odpowiednie wiece rodzicielskie, odczyty i pogadanki.

Oddział trzeci ma tępić publicystykę pornograficzną, tępić kuplerstwo i handel żywym towarem, wglądać w kwestyę mieszkań młodzieży szkolnej i robotniczej, zająć się sprawą przytulisk dla biednych dziewcząt i t. p.

Oto w krótkości program nowej Ligi, powstającej we Lwowie a zamierzającej rozszerzyć swe organizacye i wpływy na kraj cały. Pierwsza dyskusya, w sprawie tej Ligi, odbyła się już w czerwcu bieżącego roku w łonie wydziału Towarzystwa »Ochrony młodzieży«, przy współudziale delegatów innych stowarzyszeń, jak Związku rodzicielskiego, Związku katolickich towarzystw dobroczynnych, Towarzystwa pedagogicznego. Druga publiczna już dyskusya a zarazem realizacya stowarzyszenia odbyła się w ostatnich tygodniach, przy licznym współudziale publiczności. Gorąca żarliwość o podniesienie naszej obyczajności społecznej, jaka kieruje inicyatorami tej Ligi, liczny udział członków, jako też po-

parcie takich osobistości jak ks. arcybiskup Bilczewski, każą zwrócić na to stowarzyszenie uwagę i poprzeć je czynnie.

Równocześnie z wiadomością o powstaniu »Ligi obyczajności społecznej«, nadchodzi wieść o tworzeniu się nowej ligi, pod nazwą: »Polska Liga katolicka ku zwalczaniu herezyi i niedowiarstwa«. Cennym jest szczegół, że wieść o tem przychodzi z Królestwa, a więc z dzielnicy, w której grasuje maryawityzm i masońska liga wolnej myśli.

Ostatni już czas, aby dwu tym smutnym objawom przeciwstawić katolicką akcyę. Co do maryawityzmu, to niezaprzeczenie wielką odegrały rolę rekolekcye i misye ludowe; nie bez znaczenia też pozostały odnoszące się do tej sprawy publikacye. Mimo to dochodzi nas raz po razu wieść, że maryawityzm się rozszerza. Sprawa zatem wymaga czujności i nowych środków.

Natomiast prawie żadnej obrony nie widać przeciw drugiemu nieprzyjacielowi. Co dziesięć dni wychodzi zeszyt *Myśli niepodległej*, ziejący siarką przeciw wszystkiemu, co z Bogiem ma związek; prócz tego zaczynają zjawiać się w tym samym duchu popularne broszurki, przeznaczone dla ludu. Mamy pod ręką małą broszurkę Niemojewskiego pod tytułem: »Objaśnienie katechizmu«, gdzie w sposób katechizmowych pytań nicowany jest katechizm katolicki. Prawda, że cała ta produkcya jest pod względem naukowym i rzeczowym nad wszelki wyraz marną — nie zapominajmy jednak, że sfery, do których produkcya ta apeluje, są bezkrytyczne. Ze względu zatem na te sfery, należałoby jak najszybciej zorganizować obronę. Obrona taka powinnaby być zorganizowaną tam, gdzie dokonywa się atak, zatem w Warszawie, wogóle, w Królestwie. Gdyby tak powstało w Warszawie małe, ulotne pisemko, któreby pojawiało się stale, w kilka dni, po każdym zeszycie *Myśli niepodległej* i każdy taki zeszyt oświetlało należycie, — raz rzeczową dając odprawę, to znowu lekkim humorem illustrując nieprzebrane pokłady nonsensu — to w krótkim czasie musiałaby się zmienić sytuacya.

Oto jedno z praktycznych zadań, jakie miałaby przed sobą pomieniona Liga. Cały szereg ustępów programu tej Ligi, jaki mamy przed sobą, świadczy, że zadania te są odczuwane należycie.

Nie wiemy jeszcze, jakie konkretne formy ta Liga przybierze, kto za projektem jej stoi, dlatego też wstrzymujemy się od wydania całkowitej opinii. Jakiekolwiek zresztą będą dalsze losy tej ligi, pomienione zadania akcyi katolickiej w Królestwie powinny być jak najszybciej przez ludzi dobrej woli podjęte.

Biskupia stolica w Wilnie i w Poznaniu

Już niejeden fakt zarejestrowała prasa, dowodzący niezbicie, że tolerancya religijna w Rosyi ma równie platoniczne znaczenie, jak i konstytucya rosyjska. Mimo więc niewątpliwych ulg, patrzyło się sceptycznie na przyszłość swobód katolickich w tym kraju. A jednak — choć nie należeliśmy do optymistów, mimo to nie przeczuwaliśmy nigdy, żeby, w tak krótkim czasie po tolerancyjnym edykcie, spełnić się mogło podobnie krzyczące bezprawie, jakiem jest usunięcie księdza biskupa Roppa ze stolicy wileńskiej.

O nic innego nie poszło, jak tylko o to, że biskup wileński był gorliwym biskupem. Półurzędowa prasa rosyjska podała między innemi, jako przyczynę to, że biskup przez »polsko-katolicką« akcyę zagrażał stanowi posiadania prawosławia. O ile w ten stan posiadania prawosławia wchodzą machinacye »iście ruskich ludzi« i litwomanów, na razie nie wchodzimy — jakiekolwiek były zakulisowe historye, wystarczy stwierdzić, że tego rodzaju motywowanie jednym ruchem przekreśla cały tolerancyjny edykt. Czy samo istnienie katolicyzmu nie zagraża prawosławiu?

Fakt cały jest tak naoczny, że nie wymaga żadnych komentarzy. Stwierdźmy zatem tylko ponownie to, co już niejednokrotnie było stwierdzone, że mitra wileńska jest istotnie cierniową koroną. Biskup Ropp powiększa dzisiaj liczbę męczenników Kościoła polskiego.

Rząd rosyjski, w stosunku do Polaków, szedł zawsze ręka w rękę z rządem pruskim. Jakby symbol tego, schodzi się obecnie afera wileńska z taktyką pruską wobec opróżnionej stolicy poznańskiej. Półurzędowe pisma Watykanu odsłoniły niedawno przed światem zdumiewający wprost fakt, że po dziś dzień, a więc cały rok po śmierci arcybiskupa Stablewskiego, rząd pruski ża-

dnego nie przedsięwziął kroku, celem obsadzenia stolicy. Czy to nie są wprost drwiny z obowiązków należnych innemu wyznaniu?

Echa encykliki o modernizmie

Wypadnie nam wkrótce, w całym szeregu rozpraw, określić doniosłe znaczenie encykliki o modernizmie. Dziś chcemy tylko kilku rysami określić atmosferę, jaka naokoło encykliki się stworzyła.

Antykatolicka prasa, po pierwszym, bardzo głośnym alarmie, na całej linii przycichła. Poszło to najpierw stąd, że samym tym ludziom sprzykrzyła się już zużyta frazeologia o rzekomym rozbracie, jaki katolicyzm miał wziąć z postępem i z cywilizacyą — głównie zaś stąd, że nic nie rozumieją się na przedmiocie, o który właściwie w tej encyklice chodzi.

Poważna katolicka prasa dotychczas jeszcze nie zabrała głosu, zapowiedziała tylko obszerniejsze studya. Sama ważność przedmiotu wymaga pewnego czasu. Tu i ówdzie tylko, jak w *Civilta*, pojawił się przygodny artykuł, pozostający jednak w ogólnikach. Podobnie ogólnikowych urywków mnóstwo było całe w prasie codziennej. Charakterystycznem chyba w tej powodzi dziennikarskich fejletonów było to, że tu i ówdzie widziało się, jak hiperkonserwatyści pewnego autoramentu wyrównują z powodu encykliki swoje osobiste rachunki, w czem szli tak daleko, że ani spostrzegli się, jak na równi z antykatolicką prasą, wbrew słowom samej encykliki, stawiają twierdzenia o rozbracie katolicyzmu z postępem i z cywilizacyą.

Trzy tylko występy były donioślejszego znaczenia. Artykuł p. Charme w *Revue des deux mondes*, piśmie od Brunetière'a poniekąd katolickiem, był szczytem złośliwej finezyi i magistralnej pewności siebie, w sposób, co najmniej, nie licujący z taktem katolickiego pisarza. Było w tym artykule wszystko: i cześć dla Stolicy świętej i ironizująca Jej krytyka — potępienie pewnych rzeczy w modernizmie i branie modernistów w obronę. Jeżeli o tym występie wspominamy, to tylko dlatego, by dać dowód, że encyklika o modernizmie była potrzebną.

Podstawa, na jakiej p. Charme głównie się oparł, była ta, że

encyklika wyciąga z doktryny modernistów pewne konsekwencye, o jakich modernistom ani się śniło, że zatem w pewnej swojej części jest bezprzedmiotową. Tymczasem wypadek zrządził, że równocześnie z tym artykułem *Revue des deux mondes*, umieszczał angielski *Times* artykuł wodza modernistów, Tyrrela. Wobec wywodów Tyrrela cały sztuczny francuski elaborat Charme'a okazał się czczą fantasmagoryą. Tyrrel wprost podziwia dokładność, z jaką encyklika odtwarza doktryny modernizmu, burzy więc doszczętnie fundament, na którym oparł swoje wywody Charme.

Całe wystąpienie Tyrrela było aktem wielkiej niesubordynacyi. Pomijamy już to, że złamał publiczne solenne przyrzeczenie, jakie dał Stolicy świętej kilka dni przedtem, iż bez uprzedniej kościelnej cenzury nic z rzeczy teologicznych publikować nie będzie. W wywodach swoich obstaje przy doktrynie potępionej — a co do swojej przynależności do katolicyzmu łudzi się tem, że między jego doktryną a stanowiskiem encykliki stoi na przeszkodzie tylko scholastyka.

Oczekiwało się z wielkiem naprężeniem, co powiedzą *Annales de philosophie chrétienne*, miesięcznik, w którym głównie krzewiła się doktryna modernistyczna. W ostatnim zeszycie tego miesięcznika, redakcya zapewnia o swojej prawowierności. Do winy bardzo się nie poczuwa, dodaje jednak, że jeżeli były jakieś nieostrożne wyrażenia, to ich w przyszłości nie będzie.

Z Francyi

Wiadomo, że pierwszy peryod francuskiego kulturkampfu skończył się klęską rządu. Rok prawie mija, jak rząd zawiesił wojenne operacye. Nastała cisza, wzorowo przestrzegana przez strony obydwie — aż zbyt wzorowo przez stronę katolicką.

W ostatnich czasach rząd wyszedł znowu z rezerwy. Pierwszym krokiem było skasowanie kilkunastu kościołów, należących do towarzystw dobroczynnych. Obecnie, jak zapewnia prasa francuska, przygotowuje się rząd do kroku drugiego. Chce, mianowicie, cały inwentarz kościelny, mający jakąkolwiek wartość artystyczną, zabrać z zakrystyi i skarbców kościelnych i przenieść na stałe do muzeów publicznych.

Sprawa ta stoi w związku z faktem, o którym w ostatnich dniach pisała obszernie prasa całego świata, z faktem, że w szeregu kościołów francuskich dokonano kradzieży kosztownych dzieł sztuki, spieniężonych następnie za granicą. Zbyt świeżą w pamięci ogółu jest ta sprawa, ażeby trzeba obszerniej o niej pisać. Przypominamy tylko, że głównymi rzezimieszkami byli masoni, dodajemy nadto, że udział duchowieństwa w tej aferze, o jakim pisała urzędowa prasa francuska, okazuje się obecnie fikcyą. I na takiej podstawie chce oprzeć rząd nowy krok swojej akcyi? Czekajmy — a może wkrótce okaże się, że *is fecit, cui prodest.* W ostatnich latach widzieliśmy niejednokrotnie, że rząd francuski stać na bardziej jeszcze misterne sztuczki.

Z kroków tych zdaje się przeglądać przyszła taktyka republiki względem Kościoła. Z jednej strony widoczną jest dążność, aby za wszelką cenę nie dopuścić do męczeństwa, o którem wie się z historyi, iż zawsze wzmagało siły Kościoła — z drugiej zaś, zubożać i doprowadzać do ostatniej nędzy materyalnej duchowieństwo i związane z niem przedmioty kultu. Taktyka taka rozłożona jest oczywiście na szereg lat. Głód i nędza mają same zadławić Kościół francuski.

Patrząc na to wszystko z czysto ludzkiego punktu widzenia, możnaby dzielić pewne obawy. Już obecnie, po pierwszym rabunku dochodów kościelnych, grozi finansowa ruina. Przed rokiem zamieszczały francuskie dzienniki katolickie różne fantastyczne plany o miliardowych bankach wyznaniowych, o milionach dobrowolnych składek — dziś pokazuje się, że dobrowolne składki tak szczupłym płyną strumieniem, że nie można ich brać w poważną rachubę. Cóż dzisiejsze dogorywające społeczeństwo francuskie obchodzić mogą cele wyznaniowe? Myślano o centralnej kasie dla wszystkich dyecezyi francuskich. Kilka dni temu zjechało się pięciu dostojników Kościoła francuskiego, celem porozumienia się w sprawie tej kasy — rozjechali się jednak z tym rezultatem, iż stwierdzili, że niema co wkładać do kasy. Dyecezyi paryskiej, na którą, jako na najbogatszą, najbardziej liczono, zagraża już obecnie deficyt. Tak samo, jak nie udają się centralne kasy czy stowarzyszenia, nie udają się też partykularne Związki gminne.

Na 36.000 gmin francuskich udało się dotychczas tylko w jednej gminie założyć związek parafialny, złożony z ludzi świeckich, którzy swą pracą i pieniądzem mają popierać cele katolickie. Następstwa nie każą na siebie czekać. Już obecnie całe setki proboszczów muszą z wielkim uszczerbkiem dla pracy religijnej zarabiać na chleb codzienny pracą ręczną. Jedni hodują na sprzedaż króliki, pszczoły, ptaki, inni są kowalami, ślusarzami, krawcami, są i tacy, co pracują przy kaszcie zecerskiej lub trudnią się zegarmistrzowstwem. Pełno już dziś po sklepach i magazynach księży-agentów. Nawet imają się handełesostwa kupując i odsprzedając łachmany i rupiecie.

Można przeczuwać, że taki widok nie będzie zachęcał do powołań kapłańskich dzisiejszą zniewieściałą młodzież francuską. Zresztą niema budynków na seminarya, ani pieniędzy na utrzymanie alumnów. Jeżeli zaś sprawy tym trybem pójdą dalej, co będzie za lat kilkanaście?

Oto, na co rachuje rząd francuski! Na szczęście, człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Sądzimy nawet, że niema potrzeby w tym wypadku przywodzić na pamięć obietnicę Chrystusa co do nieśmiertelności Kościoła. Nie trzeba być wcale nieśmiertelnym, ażeby przeżyć strupieszały i rozpadający się z dniem każdym dzisiejszy rząd francuski.

Ks. Jan Pawelski

Przegląd muzyczny.

Nowe utwory fortepianowe I. J. Paderewskiego, Z. Stojowskiego i L. Różyckiego. — Pieśni L. Różyckiego.

Brak fachowego czasopisma muzycznego i bagatelizowanie spraw muzycznych polskich przez większość codziennej prasy jest powodem, że muzykalna publiczność nie darzy zbyt wielkiem zaufaniem naszych kompozytorów, protegując bardzo często obce szumowiny muzyczno-fabryczne, zabierające za wiele miejsca w księgarniach muzycznych. Często nawet meloman, chcący poznać nowsze utwory muzyczne polskie,

nie ma sposobności dowiedzenia się o istnieniu tychże; nakładcy polscy nie należą bynajmniej do skwapliwie popierających ojczystą sztukę i wolą wydawać tandetę, niż wartościowe i poważne utwory polskich kompozytorów, tłumacząc się brakiem zainteresowania ze strony publiczności. To też tacy kompozytorowie jak Paderewski, Stojowski, Melcer, Karłowicz, Opieński, Fitelberg, Różycki i Szymanowski, a więc najwybitniejsi z młodszych albo wydają swe utwory u obcych, co już samo przez się jest utrudnieniem dla polskiej publiczności, albo też wydają swe dzieła we własnym nakładzie, a to jest znowu powodem nieżyczliwości ze strony polskich księgarni. Jak wiadomo — smutny ten objaw datuje się już od czasów Chopina i mimo że wielokrotnie mieli nakładcy polscy sposobność do przekonania się, iż obcy wydawca nie wychodził źle na polskich kompozytorach, to jednak jakby na ironię przeczyli przysłowiu, że Polak dopiero po szkodzie bywa mądrym. Czy słyszał kto, aby polski nakładca wydał polską symfonię, kwartet, sonatę? Wystarczy stwierdzić, że najtańsze wydanie polskie dzieł Chopina jest droższe od najdroższego niemieckiego lub francuskiego. Oczywiście w Polsce, w kraju, w którym najmniej się wydaje na książki lub nuty, nikt dla patryotyzmu nie kupi droższego wydania dzieł Chopina, lecz tańsze (Petersa), pomagając niemieckiemu nakładcy do pogłębiania kieszeni. Wystarczy również popatrzeć na spis muzycznych wydawnictw polskich, aby skonstatować wrogą sztuce ojczystej ciasnotę handlarską naszych wydawców. A nasi muzycy nie są znowu tak rozbrajająco naiwni, aby mieli swoje talenty obracać na teren spekulacyjny polskich księgarzy; dlatego udają się do obcych, którzy umieją ocenić pracę i talent i stosownie do jego wielkości zapłacić honoraryum, a przedewszystkiem w przyzwoitej formie wydać kompozycye. Wszystkie też wartościowsze polskie utwory fortepianowe, kameralne, orkiestrowe i pieśni stale od dłuższego czasu ukazują się u zagranicznych nakładców. Za ciasnotę i obskurantyzm polskich nakładców pokutuje całe społeczeństwo muzykalne, które im bardziej popiera młodszych, wyżej wymienionych kompozytorów i im bardziej staje się stałym odbiorcą dzieł Chopina, tem bardziej musi popierać... obcych wydawców. Ileż w tem wszystkiem bolesnej ironii!!

Przejdźmy jednak do omówienia świeżo wydanych kompozycyi polskich!

P a d e r e w s k i dąży w ostatnich czasach do większych form muzycznych: usiłowanie stworzenia dramatu muzycznego w postaci »Manru« spełzło na razie na niczem. »Manru« bowiem jest tylko do-

brą operą, efektownie instrumentowaną i posiadającą szczegóły interesujące, powiązane jednak dość luźnie. Obecnie pracuje znakomity pianista nad symfonią. Poprzedziły ją sonata (op. 21) i waryacye fortepianowe (op. 23), wydane w Berlinie (ed. Bote & G. Bock). Większą wartość przedstawia sonata, daleko mniejszą waryacye. Sonat fortepianowych od czasów Chopina napisano u nas tak mało (kilka zaledwie), że każdą nową sonatę należy witać z radością, choćby nie dorównywała co do wartości sonatom Czajkowskiego, Griega, Dukasa, Skrjabina. Bałakirewa, Regera i innych koryfeuszów współczesnej muzyki. O sonacie Paderewskiego można bez najmniejszej wątpliwości powiedzieć, że u nas zajmuje pierwsze miejsce po Chopinowskich tak długo aż się ukaże znakomita sonata fortepianowa Karola Szymanowskiego; wydane wyjątki z sonaty A. Szeluty zawierają potężne momenty, ale w formie i opracowaniu są jeszcze niewyrobione, jakkolwiek zasługują na uwagę, ponieważ kompozytor usiłuje dawne składowe części sonaty, dawne »szablony« zastąpić cyklem form stworzonych przez Chopina (impromptu, nokturn i t. d.), odpowiednio je grupując. Jeżeli nie podzielam entuzyazmu kilku krytyków co do sonaty Paderewskiego, to dzieje się to z kilku powodów. Naprzód nie mogę się w niej dopatrzeć jednolitości stylu, bo jakkolwiek na ogół o bijących w oczy reminiscencyach niema mowy, to jednak z całego utworu nie przemawia do nas twórcza jednostka, świadoma swej indywidualnej odrębności. Paderewski już w dawniejszych utworach był dość eklektykiem, grawitującym wprawdzie ku Chopinowi, ale coraz bardziej skłaniającym się ku Lisztowi, Schumannowi, w ostatnich czasach zaś także ku »Młodej Francyi«. Nie jest dla mnie dość jasnem dlaczego Paderewski w andante z sonaty pisze na początku temat imitujący Beethovena, w następstwie zaś schodzi z piedestału (pseudo-) klasycyzmu, aby drugiemu tematowi nadać charakter dość operowy. Pierwszą część sonaty rozpoczyna z tak rapsodyczną turbulencyą, że rapsodye Liszta trwożliwie spoglądają na tę konkurencyę. Wogóle przyprawy wirtuozowskiej znajdziemy w pierwszej części nieco za wiele; znużeni obcym sonacie rapsodyzmem — wyobrażamy sobie kompromitacyę Liszta, gdyby napisał więcej niż jedną sonatę - i przyzwyczajeni do słuchania mniej efektownych, a więcej... treściwych sonat Beethovena, Chopina, Schuberta, Schumanna i Brahmsa, nie możemy powstrzymać się od uwagi, że można dziś różnie zapatrywać się na przyszłość sonaty, ale — sonata jest sonatą. Odjąwszy dziełu Paderewskiego, napisanemu z mistrzowską znajomością efektów iustrumentu i z wyzyskaniem technicznych

możliwości, następnie pominąwszy fugę, miejscami nużącą lecz przeprowadzającą z wielką umiejętnością tematyczne stopniowanie, straciłyby obydwie pierwsze części swój czysto muzyczny urok, okazałyby się tematycznie niedość bogatemi i niedość poważnemi, lub jak ktoś chce, głębokiemi, w czem nie pomogłaby im nawet harmonizacya podsłuchana u młodych francuskich kompozytorów, ale i u Chopina i Liszta, czego jednak nie można Paderewskiemu poczytać za błąd ani za braki, gdyż Paderewski nie jest ani Regerem, ani Debussym, aby miał dać absolutnie nowe wartości harmoniczne. W naszej muzyce Paderewski jest bardzo zasłużonym nowatorem harmonicznym, jakkolwiek w tym względzie nie rozporządza takiemi kopalniami harmonicznemi, jak młodsi *musici docti* (głównie Fitelberg, Karłowicz, Szeluta, Szymanowski i Różycki), Także na pewne »zboczenia« w strukturze wewnętrznej sonatowej nie można się obrażać; cóż bowiem dziś nie czynią kompozytorowie z sonatą? Ale Max Reger... Niestety »Waryacye« są również przesycone pastą wirtuozowską i efektami bardzo wątpliwej wartości, w wielu wypadkach posługują się tak banalnymi i niesmacznymi pomysłami i twardymi »masywnościami«, że gdyby nie przebajeczna fuga (lepsza od sonatowej), możnaby sądzić, że Paderewski uważa tłumy muzykalne za bożyszcze, któremu trzeba od czasu do czasu podać »ludowy kawior«. Znajdujemy w nich imitacyę cymbałowych efektów i po parysku perfumowane cząstki waryacyi, znajdziemy imitacye etiud Chopina i słowiański, dumkowy *genre*, jednem słowem— »przegląd muzyczny«. Fuga wynagradza nam te wątpliwej wartości cechy waryacyi, a choć to nie jest tak głęboka fuga jak brahmsowska lub regerowska, to jednak wysoko wznosi się ponad resztę utworu należącego do typowej *bessere Unterhaltungsmusik*. Że »waryacye« są obliczone na popis wyłącznie wirtuozowski, o tem świadczy nadmierność użycia technicznych trudności w stosunku do treści.

Po Zygmuncie Stojowskim, autorze miłej symfonii (op. 21), zawierającej przepyszne scherza, iskrzące się efektami instrumentacyjnymi i dowcipna faktura, spodziewaliśmy się nieco więcej, niż nam dały ostatnie jego kompozycye wydane w Lipsku u C. F. Petersa: op. 29, *Aus Sturm und Stille*, 6 utworów fortepianowych) i op. 23, Rapsodya na fortepian i orkiestrę. Musimy z pewnym zawodem stwierdzić, że więcej spodziewaliśmy się od Stojowskiego, znając jego sonatę skrzypcową i symfonię. Piętą Achillesową twórczości Stojowskiego jest ciągłe dążenie do t. zw. »dobrego tonu«, czyli konwencyonalnej salonowości, elegancyi, potrącającej często o banalność, o kaligrafię muzyczną. Większość

jego kompozycyi należy do *la musiquette* lub *la musique du five o'clock*, łączącej słodkawy odcień z kokieteryą rozgrymaszonego dziecka salonu, w którym rozmowa toczy się o modzie i sportach. Pod tym względem Stojowski wiele niedobrych cech przejął od swego nauczyciela Masseneta i od niektórych innych Francuzów *minorum gentium*. Nie należy tego rodzaju elegancyi mieszać z wytwornością muzyczną, z dystynkcyą języka muzycznego. Op. 29 Stojowskiego jest nieco lepszą edycyą znajdujących odbyt wszędzie elukubracyi fortepianowych Moritza Moszkowskiego, obliczonych na efekt, przed którym brzydzi się muzyk poważnie i głębiej myślący. Z niewiadomych powodów nagromadził Stojowski trudności techniczne w tych sześciu beztreściwych kawałkach, z których zwłaszcza nr. 3, 4, 5 i 6 są rozpaczliwemi pustkami psychologicznemi, błyszczącą biedą, wpraszającą się niedwuznacznie w protekcyę bezpretensyonalnego melomana. Rapsodya op. 23 na fortepian i orkiestrę nosi na partyturze dość poważny tytuł »s y m f o n i c z n e j rapsodyi«. Po przejrzeniu jej dochodzimy do przekonania, że w rzeczywistości n i g d z i e nie jest symfoniczną, pomimo że tu i ówdzie orkiestra ma swobodę ruchów, pomimo że czasem fortepian gra rolę orkiestrowego instrumentu. Symfoniczna w pełnem tego słowa znaczeniu nie jest dlatego, że niema w niej ani śladu tematycznego opracowania, przekształcania i snucia jednej myśli z drugiej, niema zatem wewnętrznych formalnych cech symfonizmu ani nieodzownej dziś polifonii. Jest to w rzeczywistości fantazya *al fresco* w wolnej formie, zbliżona do concertina w jednej części, rozpadającej się na luźnie ze sobą połączone ustępy. Rapsodya, a więc utwór na melodyach ludowych lub pseudo-ludowych oparty, nie ma oczywiście nigdy pretensyi do głębszych myśli; kompozycya tego rodzaju jest względnie dobrą, jeśli zawiera efektowne i miłe melodye, wzajemnie się kontrastujące co do rytmiki, tonacyi, a przedewszystkiem tych właściwości, które leżą bliżej powierzchni niż dna duszy. To samo da się powiedzieć i o utworze Stojowskiego; nie zawiera on ani nic interesującego w opracowaniu, ani nic nowego, posługuje się melodyami o tanecznych rytmach, instrumentowany jest tak, jakby kompozytor miał na myśli tylko zaspokojenie zmysłowo-wrażeniowych potrzeb słuchacza (przeciętnego) za pomocą kombinowania »najprzyjemniejszych« barw dźwiękowych (Massenet!). Jest to poniekąd kaligrafia muzyczna, która zawsze umie się podobać. Pierwsza strona »rapsodyi« zapowiada wcale pokaźny skład orkiestry; w rzeczywistości występują w dalszym ciągu tylko małe grupki, gdyż kilka instrumentów służy tylko do wzmocnie-

nia dynamicznego, nie posiadając udziału w kontrapunktycznej robocie, bardzo zresztą skromniutkiej. Całość jest obliczona na jak najszersze masy i na popisy dla eleganckich wirtuozów salonowych.

Zupełnie innego pokroju i typu kompozytorem jest Ludomir Różycki, artysta tworzący bez ubocznych celów, a więc szczery — w przeciwieństwie do komponujących wirtuozów, kładący nacisk nie na efektowną fakturę fortepianową, lecz na pomysłowe i czysto muzyczne opracowanie swych utworów, na to, co Niemcy nazywają *das Wesentliche* w przeciwieństwie do *effectvolles, virtuoses Beiwerk*. Nie dba o to, aby tematyczny materyał był ubrany w modne, eleganckie stroje, nie dba, aby na pewne mógł się podobać, nie unika takich szczegółów, któreby obudzały niepewność i niepokój w amatorze dlatego tylko, aby ich uniknąć. Wszystko co Różycki pisze, tchnie szczerością bezwzględną i pogardą dla konwenansów muzycznych. Dowodzą tego wydane świeżo: fantazya fortepianowa op. 11 i trzy utwory (»Legenda«, »Melancholia« i »Poemat«) op. 15 (Berlin, Albert Stahl i Warszawa, Gebethner i Wolff). Te cztery kompozycye noszą na sobie, podobnie jak dawniejsze (op. 1, 2, 3a i 3b, 4 i 6) cechę absolutnie indywidualną i nie można wskazać na jakiekolwiek reminiscencye, prócz tego, że niektóre formy (preludya, nokturny, impromptus i waryacye) są wzorowane na Chopinie, co wobec tego, że dawniejsi polscy kompozytorowie ignorowali je, jest raczej bardzo wielką zaletą. O Szymanowskim i Różyckim można w znacznie większej mierze, niż o Stojowskim i Paderewskim powiedzieć, że są prawdziwymi spadkobiercami ducha i ideałów Chopina, zaznaczyć jednak równocześnie, że w Rosyi wcześniej wywołał nasz mistrz znakomitych uczniów duchowych i naśladowców, niż u nas. Nie jest to kompliment dla naszej muzyki, ale też fakt niezbity; Moniuszko, dzięki swej ludowości absolutnej i popularności »Halki« i pieśni był bliższym, gdyż łatwiejszym wzorem do naśladowania. Oczywiście ani Różycki ani Szymanowski nie są naśladowcami Chopina, to bowiem równałoby się zastojowi. Obydwaj, a zwłaszcza Różycki, są uzbrojeni w wiedzę i technikę kompozytorską znacznie nowszą, niż Paderewski, Stojowski i inni starsi polscy muzycy, obydwaj rozporządzają nowożytną harmonizacyą, co wielce im pomaga w pogłębieniu myśli muzycznych; oczywiście niejeden szczegół harmoniczny, co więcej, ich pojęcie systemu harmonicznego, opierającego się poniekąd na Wagnerze, R. Straussie i M. Regerze, wywołuje zdziwienie u tych muzyków, którzy trzymają się poglądów Mendelssohna lub Schumanna, ale wystarczy dokładnie zanalizować ich dzieła,

aby przekonać się o żelaznej logice ich harmonizowania. Dalecy są od konserwatoryjnego purytanizmu, mając zaś wysubtelnioną kulturę słuchu, wiedzą, że to jest harmonicznie nienaganne co — dobrze brzmi, choćby się sprzeciwiało teoryi, zawsze się spaźniającej. Oczywiście nic łatwiejszego, jak narzekać na »dyssonansy« i »krwiożercze harmonie«, jeśli się patrzy na muzykę przez szkła harmonii Busslera, Richtera i innych handlarzy starożytności, dla których nawet Chopin jest zbyt »radykalnym« kompozytorem, a cóż dopiero Wagner i nowsi. Pojęcie tonalności, które Grieg, Reger, Debussy i inni znacznie rozszerzyli, jest dziś tak problematyczne, że nauczyć się czegoś można tylko na podstawie analizowania kompozycyi, a nie na podstawie podręczników [1]. U nas powszechnie w krytyce każdy utwór zawierający śmielsze modulacye lub niezdecydowaną tonacyę, albo nagromadzenie alteracyi z powodu chromatyki wywołuje niepokój, choć krytycy słuchając dzieł Wagnera powinni je spostrzedz. Tylko że Wagner ogromem swego znaczenia i geniuszu łagodzi zapędy pp. krytyków, którzy niedość mają słów ubolewania nad młodszymi kompozytorami polskimi z powodu ich zbytniej »postępowości«. Aby to zrozumieć, trzeba być nieco historykiem i znając rozwój teoryi przekonać się, że ci muzycy, którzy dziś są dla nas już bardzo »prymitywni«, uważani byli w swych czasach za »radykalistów«. Nie wynika z tego, abyśmy mieli twierdzić o Mozarcie, że jest przestarzałym kompozytorem, lub, że »trąci myszką«, jak sądzi recenzent *Kuryera Warszawskiego*.

»Fantazya« Różyckiego jest bardzo wartościowem dziełem. Kompozytor obdarzony silną inwencyą i niepotrzebujący uciekać się wskutek tego do bezpowrotnych pożyczek od melodyi ludowych, rozporządza jednym rzadkim darem; mianowicie każdy jego temat jest nie tylko oryginalny i świeży, ale także posiada plastyczny wyraz i zamyka w sobie treść i charakter tych idei, które Różycki chce muzycznie odzwierciedlić. Przytem wiele dodaje mu umiejętne i c e l o w e harmonizowanie tematu, przyczyniające się do spotęgowania jego nastrojowej treści. W »fantazyi« wiele znaczy kontrastowanie. Jest ona odzwierciedleniem walki z losem, obrazem zmagania się dwóch skłonności natury ludzkiej: do zwątpienia i rozpaczy i do wyzwolenia się ze szponów przeciwności, do życia świetlaną nadzieją wzniesienia się ponad myśli łamiące zdolności i energię czynów. To jest treścią »fantazyi«

[1] Wyjątek stanowi *Harmonielehre* L. Thuillego i R. Louisa (1906), o której będzie mowa innym razem.

Różyckiego, niemającej zresztą żadnego »programu«. Że jest to muzyka napisana krwią serdeczną i jakby podpatrzona z życia duszy, dowodzi wrażenie, jakie »fantazya« wywołuje, a zwłaszcza te jej części, które tchną prawdziwie dramatycznym charakterem, które odzwierciedlają walkę wewnętrzną, i te również części, które są wyrazem pierzchania tych Erynnii zwątpień przed myślą o lepszej przyszłości. Różycki obdarzył znowu polską muzykę bardzo wartościowem dziełem. Głębokiem liryzmem tchną trzy drobne utwory z op. 15. Są one nowym dowodem, jakiem bogactwem uczuć i nastrojów rozporządza Różycki, jak je umie plastycznie przetopić w muzykę, dając w opracowaniu skończenie artystyczną robotę, subtelne i przejmujące harmonie, pomysłowe, tematyczne przeprowadzenia, mimo swej swobody nieubłaganie logiczne, podobnie jak formalnie zupełnie nienaganne. Podnieść należy, że swą impresyonistyczną swobodę ujarzmił Różycki w bardzo piękną, wprost cyzelowaną formę, czego dawniejszym jego utworom często brakowało [1]. Różycki daje nam w swych trzech ostatnich utworach tak wielkie bogactwo melodyi oryginalnych i absolutnie świeżych, że tylko niewiele kompozycyi polskich dorówna mu pod tym względem. Co więcej — wbrew komponującym wirtuozom umie zachować, jako artysta z krwi i kości, stosunek między treścią a środkami, jakkolwiek z najprostszego motywu wiele jest w stanie zrobić. Najlepszą z tych trzech kompozycyi jest »poemat«, jakby nokturn bukoliczny wprowadzający nas w atmosferę wonnego ogrodu oświetlonego promieniami zachodzącego słońca. Ale i »Melancholia« i »Legenda« (choć w mniejszym stopniu), zwłaszcza ta pierwsza, poruszają nas do głębi. Pomimo, że ani co do melodyi, ani tem bardziej co do rytmiki nie korzysta Różycki z ludowych melodyi, to jednak każdy jego utwór jest na wskróś w charakterze słowiańskim, chopinowskim, ze swoim smutkiem i słodyczą łagodną, melancholią i temperamentem, często nieokiełznanym. Czego można i trzeba było od obcych się nauczyć — a u »swoich« niewiele skorzystał — tego Różycki się nauczył; resztę sobie zawdzięcza. Można tylko tyle dodać, że fortepianowe utwory Sibeliusa i wielu nawet znanych rosyjskich i skandynawskich kompozytorów stoją niżej, niż dzieła Różyckiego, którego główna twórczość leży na polu orkiestry i dramatu muzycznego.

Adolf Chybiński.

---

[1] Mimo to »Preludya« (op. 2) doczekały się obecnie, w rok po ukazaniu się, drugiego wydania poprawionego i opalcowanego.

Z nauk przyrodniczych.

Wrażliwość psów na barwy. — Włókna pajęcze. — Nitki kwarcowe. — Nowy galwanometr. — Prądy elektryczne serca ludzkiego.

Na pytanie, czy zwierzęta rozróżniają barwy, starano się już dosyć dawno znaleźć odpowiedź zapomocą licznych, a żmudnych doświadczeń. Badania te jednak dotychczas sprawy dostatecznie i jasno nie rozstrzygnęły. I nie dziw, dosyć bowiem przypomnieć sobie te liczne przeszkody z jakiemi walczyć trzeba, by rozstrzygnąć kwestyę widzenia barw u człowieka, by nabrać należytego wyobrażenia o trudnościach, jakie problem taki nastręczyć musi, gdy chodzi o zwierzę, a więc o istotę, która sama psychicznego swego stanu określić nie może. Mimo to fizyologowie, niezrażeni nieprzystępnością zadania, idąc krok za krokiem, do bardzo już znacznych, chociaż jeszcze nie ostatecznych doprowadzili rezultatów. W najnowszych czasopismach [1] znachodzimy dwie nowe relacye o dokonanych tego rodzaju doświadczeniach. Są to prace wykonane w laboratoryum fizyologicznem w Kazaniu, przez Samojloffa i Pheophilaktową, a także dawniejsze nieco, lecz mało dotychczas znane badania prof. Himstedta i Nagla.

Wiadomą jest rzeczą, że brak zdolności w rozeznawaniu barw nie łatwo jest wykryć u ludzi i to nawet u takich, którzy wcale nie mają zamiaru z nim się ukrywać, tak, że np. dopiero w najnowszych właściwie czasach przekonano się dowodnie, iż mniej więcej trzy procent mężczyzn jest obarczonych dziedziczną ślepotą barw. Przyczyną tego jest między innemi ta okoliczność, że dotknięci tego rodzaju częściową, lub całkowitą ślepotą, często pozornie kolory rozeznają, a mianowicie kierują się w tem, chociaż nieraz bezwiednie, jasnością mniejszą lub większą przedmiotów. Ludzie, którzy na barwy zupełnie nie są wrażliwi, widzą przedmioty mniej więcej tak, jak nam je przedstawia fotografia, to jest rozeznają ostro kontury i cienie, jedne przedmioty wydają się im jaśniejsze, inne ciemniejsze. Stąd gdy od najwcześniejszej młodości obijają się im ciągle o uszy wyrazy: czerwony, zielony, żółty i t. d., stosowane do pewnych przedmiotów, oni te nazwy kolorów odnoszą, wcale sobie nawet niezdając z tego sprawy, do pojęć odcieni, czyli natężenia światła, bo wyobrażenia

[1] *Zentralblatt für Physiologie* 1907, nr. 5, 7.

o barwach nie posiadają przecież wcale. Otóż podobne stosunki zachodzićby mogły i u zwierząt, przynajmniej u niektórych. W doświadczeniach więc tego rodzaju należy bacznie uważać, czy zwierzę rozróżnia barwy, czy też tylko stopnie jasności przedmiotów.

Zacząć trzeba przedewszystkiem od należytego wytresowania zwierzęcia, które ma służyć za przedmiot badania. Samojlof i Pheoph., użyli w tym celu trzech skrzynek, zupełnie ten sam kształt mających, z których jedna, zawierająca na dnie kawałek ciastka, przeznaczonego na nagrodę dla eksperymentującego psa, przykryta była papierowym krążkiem kolorowym, zaś dwie inne zupełnie takiemi samemi kółkami, wyciętemi z papieru szarego. Stosowano tu barwę szarą w pięćdziesięciu rozmaitych odcieniach, począwszy od białej, aż do czarnej. Gdyby więc pies w rozeznawaniu barwnych przedmiotów, w naszym przypadku papierowego kółka, kierował się nie kolorem, lecz jasnością, to z pomiędzy tych pięćdziesięciu szarych odcieni jeden lub drugi musiałby być koniecznie tak jasnym, jak kółko kolorowe, a więc musiałoby zwierzę ustawicznie popełniać w tym wypadku błędy.

Jako barwę doświadczalną obrano po różnych próbach kolor zielony. Tresowanie zwierzęcia postępowało zwolna. Zaczęto tę pracę z jedną tylko skrzynką, mianowicie przyuczono najpierw psa do tego, że skoro tylko wprowadzono go do pokoju, natychmiast musiał on zdjąć wieczko kolorowe z owej skrzynki, a w nagrodę zato mógł wziąć znajdujące się pod niem ciastko. Gdy następnie po pewnym czasie sztuczki tej dobrze już go wyuczono, umieszczono w pokoju nie jednę, lecz trzy, wymienione wyżej, skrzynki, zupełnie do siebie podobne, a różniące się tem tylko, że dwie z nich miały na wieczku kółka z papieru szarego, o średnicy 25 cm., a na trzeciej znajdowało się tej samej wielkości kółko zielone. Teraz zaczęto właściwą seryę doświadczeń. Jeżeli pies rzeczywiście jest na barwy wrażliwy, to wpuszczony do pokoju i postawiony przed temi trzema zupełnie identycznemi, a tylko barwą krążka na wieczku różniącemi się skrzynkami, zwrócić się powinien natychmiast do skrzynki z krążkiem zielonym, gdzie dawniej przywykł znajdować przygotowany dla siebie smakołyk.

Doświadczeń takich zaregestrowano wogóle aż 1173, z rezultatem takim, że już w ciągu badań musiano zmienić początkowe pytanie: »Czy pies rozróżnia barwy«, na inne, daleko mniej ogólne, mianowicie: »Czy psa przez liczne ćwiczenia można doprowadzić do tego, że rozróżnia barwy«. Pokazało się bowiem, że pies dosyć często się mylił i zwłaszcza z początku błędy te były liczniejsze, stąd nieraz

zamiast za wieko przykryte krążkiem zielonym, chwytał za wieko z nalepionym nań kółkiem szarem. I chociaż z biegiem doświadczeń zwierzę widocznie nabierało wprawy w rozróżnianiu koloru krążka, to przecież pomyłki te, zależne od stopnia jasności krążków szarych, były dosyć liczne, bo dochodziły przy niektórych numerach szarej seryi do 20%, 26%, a nawet przy jednej barwie szarej do 31% ilości doświadczeń z daną barwą dokonywanych.

Szczególne zainteresowanie wzbudzić muszą te doświadczenia, w których zmieniano kształt kolorowych papierów, umieszczanych na owych wieczkach, tak, że zamiast kółek dawano trójkąty, lub kwadraty, o wielkości mniej więcej pośredniej pomiędzy odpowiednią figurą wpisaną i opisaną na tem kole. Pokazało się tutaj, że ile razy papier kolorowy na wieczku skrzynki nie był krążkiem, lecz miał kształt trójkątny, lub kwadratowy, pies stale się mylił w wyszukiwaniu koloru zielonego. Z tego faktu wyciągają autorowie wniosek, że chociaż nauczył on się rozróżniać barwę zieloną, to przecież tej zdolności używać może tylko w pewnych, jemu wyłącznie znanych warunkach. Pies ten w pierwszej seryi doświadczeń rozróżniać kolor zielony uczył się na przedmiocie okrągłym, gdy zaś postawiono go przed sytuacyą zupełnie nową, gdy mianowicie zamiast zielonego krążka umieszczono zielony trójkąt lub kwadrat pomiędzy krążkami szarymi, nigdy nie chwytał za papier zielony, lecz za szary krążek, więc za przedmiot nie tej samej barwy, lecz tego samego kształtu, do którego przywykł.

Więcej efektowne, chociaż nie dające także ostatecznej odpowiedzi na nasze pytanie, są doświadczenia Nagla i Himstedta. Dwom tym znakomitym fizyologom udało się wytresować psa w ten sposób, że gdy z balkonu rzucono do ogrodu garść kul tej samej wielkości, lecz rozmaitego koloru i zawołano: »Such'! Rot!«, pies szybko powybierał wszystkie kule czerwone, chociaż leżały w trawie. Gdy między kulami czerwonemi znajdowały się różne odcienia, pies wybierał najpierw kolory jaskrawo czerwone, a potem dopiero ciemniejsze, po uporaniu się zaś z kulami czerwonemi, chwytał następnie, chociaż z pewnem wahaniem, za kule jasno pomarańczowe. Wystarczyło natomiast przy rzucaniu kul zawołać: »Such'! Verloren!«, by przemyślne zwierzę przyniosło wszystkie kule po kolei, bez względu na ich barwę. Później nauczył Himstedt tego samego psa wybierać kule koloru nie tylko czerwonego, lecz także niebieskiego i zielonego.

Rezultat z tych doświadczeń taki sam, jak z badań uczonych rosyjskich, o których mowa była wyżej: zwierzę mozolną tresurą wyuczono rozeznawać barwy, ale się ostatecznie nie przekonano, czy ono przedtem rozróżniać je umiało.

W warsztacie przyrody tkaczy jest wielu. Zwieszają się na nitkach ze siebie wysnutych gąsienice, owijają samice owadów w delikatne kokony jaja pojedyncze, lub całe ich paczki, przędą dosyć długie nici nawet niektóre gatunki ślimaków, lecz zawsze najdzielniejszym robotnikiem i najinteligentniejszym artystą w tej dziedzinie był i jest ów wróg rodzaju muszego, nieproszony tapicer naszych mieszkań, pająk. Ze swych kilku brodawek, umieszczonych na końcu odwłoku, a opatrzonych nieraz setkami maleńkich otworków, wypuszcza on w mniejszej lub większej ilości ciecz gęstą, lepką, która na powietrzu zaraz tężeje, tworząc znane nam dobrze włókienka. Z każdego otworku wychodzi w ten sposób pojedyncza, niezmiernie delikatna nitka. Mistrz skręca następnie w miarę potrzeby pewną liczbę nitek zapomocą osobnych pazurków nóg tylnych, w cieńsze lub grubsze powrósła. Taki z wielu, bo nieraz z setek nitek upleciony sznur, nazywamy nitką pajęczą i uważamy ją za uzmysłowienie i symbol czegoś niesłychanie subtelnego i delikatnego — i poniekąd słusznie. Wszak najgrubsza pajęczyna, o ile nie jest obsypana prochem i pyłem, cieńszą jest jeszcze od najdelikatniejszej nitki jedwabiu.

W Ameryce, gdzie wszystko oczywiście musi być olbrzymie, napotkał niedawno pewien przyrodnik (J. Benton) także stosunkowo olbrzymich rozmiarów nitkę pajęczyny, bo długą na dwa i pół metra, a średnica jej czyli grubość dochodziła miejscami do dziesiątej części milimetra. Korzystając z tak wyjątkowej sposobności, postanowił on zbadać dokładnie własności fizyczne pajęczyny.

Przedewszystkiem co do jej struktury pokazało się pod mikroskopem, że nitka owa składa się z kilkuset pojedynczych włókienek, tak cienkich, że średnica każdego z nich wynosiła około pięć tysięcznych części milimetra. Ciężar gatunkowy materyału, z którego pajęczyna usnuta, jest mniejszy prawie o połowę od ciężaru wody. Mimo to badania dalsze stwierdziły fakt ciekawy, że nitka pajęcza jest wytrzymalszą, silniejszą, niżby była nitka takiej samej grubości, zrobiona z drzewa. Występuje więc i tu tak dosyć powszechne zjawisko w przyrodzie, że twory bardzo małe są stosunkowo silniejsze, niż wielkie. Mrówka przewyższa siłę słoni i innych olbrzymów.

Przy tej sposobności przypomnieć można, że chociaż pojedyncze włókno pajęcze tak jest nikłe, że trzebaby dwieście takich włókienek jedno obok drugiego ułożyć, ażeby utworzyć pasek szeroki na jeden milimetr, to przecież ta jego cienkość nie jest czemś nadzwyczajnem i dziś umiemy wytwarzać sztucznie nitki daleko cieńsze, mianowicie z kwarcu lub platyny, a używa się ich do rozmaitych przyrządów fizycznych, zwłaszcza do bardzo czułych galwanometrów, to jest przyrządów, mających za zadanie wykrywać i mierzyć niezmiernie małe, bo bilionowe części ampera wynoszące elektryczne prądy.

Nitkę taką kwarcową robi się w ten sposób, że np. pręcik kwarcowy, trzymany w ręce, przyczepia się wolnym końcem do strzały spoczywającej na cięciwie silnie napiętego łuku i następnie przygrzewa się ten pręcik w części środkowej nad płomieniem gazu piorunującego, będącego mieszaniną wodoru i tlenu. Gdy sztabka pod działaniem tego niezmiernie gorącego, bo około cztery tysiące stopni wynoszącego żaru zacznie się topić, puszcza się nagle strzałę, która unosząc przymocowany do niej pręcik, wyciąga równocześnie część roztopioną kwarcu w długą i bardzo cienką nitkę, coraz to się zwężającą. Grubość otrzymanego w ten sposób włókienka dochodzić może do jednej tysięcznej części milimetra, a więc może być blisko pięć razy mniejszą od włókna nitki pajęczej. To też nitki takiej w zwykłych warunkach gołem okiem ujrzeć nie można, chyba przez uginanie się na niej jakiegoś bardzo silnego światła słonecznego, lub elektrycznego. Łatwo sobie wobec tego wyobrazić, jakiej cierpliwości, zręczności i wytrwałości potrzeba, by ją przylutowywać do pręcików większych metalowych, umieszczać odpowiednio w galwanometrze, a nawet według potrzeby napięcie jej zwiększać lub zmniejszać. A dodać trzeba, że nieraz na nitce, zaledwie trzy setne części milimetra wynoszącej, uczepia się i zawiesza całe pęczki małych magnesów, a w dodatku lusterko. Człowiek intelligencyą swoją potrafi więc nie tylko ujarzmiać siły przyrody, poskramiać i w niewolę zapędzać najsilniejsze olbrzymy świata zwierzęcego, lecz zdoła naśladować, a nawet przewyższać najsubtelniejsze i zdawałoby się niedościgłe swą delikatnością wytwory istot tak drobnych, jak pająki.

Mówiąc o nitkach kwarcowych, niepodobna pominąć nowego, niezmiernie ciekawego przyrządu, w którym właśnie taka znikająco cienka nitka kwarcowa lub platynowa główną gra rolę. Przed kilku mianowicie laty znany fizyolog, prof. Einthoven w Leyden, wynalazł

nowy, bardzo dowcipnie obmyślany, a w zastosowaniu wielkie rokujący nadzieje galwanometr, czyli przyrząd służący do mierzenia elektrycznych prądów. Instrument ten w zasadzie nie odstępuje właściwie od znanych już tego rodzaju przyrządów. Przeważna liczba używanych dzisiaj tak w technice, jakoteż i w badaniach naukowych galwanometrów, składa się z cewki, czyli zwoju izolowanego drutu, która wisi swobodnie w polu magnetycznem, wytworzonem przez bieguny silnego magnesu. Gdy przez taką cewkę przepuścimy prąd elektryczny, to ona na mocy znanych powszechnie praw fizycznych, wychyli się ze swego pierwotnego położenia, a to wychylenie będzie tem znaczniejsze, im silniejszy jest prąd przez nią przepływający.

Prąd tedy, który chcemy mierzyć, przeprowadzamy właśnie przez taką cewkę, a jej wychylenia, przy słabych prądach bardzo nieznaczne, obserwujemy w ten sposób, że do cewki przytwierdzamy małe lusterko, którego zboczenia, spowodowane przez prąd mierzony, badamy zapomocą umieszczonej zdala, np. o jakie dwa lub trzy metry, lunety.

W galwanometrze Einthovena zasada jest ta sama, tylko tu zamiast cewki, czyli zwoju drutów, używa się jednego tylko jedynego drucika, mianowicie albo takiej opisanej powyżej nitki kwarcowej, którą się chemicznie lekko posrebrza, aby przewodziła prąd elektryczny, albo też równie cienkiej nitki platynowej, otrzymanej metodą Wollastona. Polega ona na tem, że ciągnie się mechanicznie ile możności jak najcieńsze druty z platyny i srebra, następnie zaś zanurza się je do kwasu azotowego, który srebro rozpuszcza, a pozostawia tylko tę część drutu, która była z platyny. Galwanometr ten otrzymał nazwę galwanometru strunowego, bo w nim zamiast ruchomej cewki rozpięty jest jakby struna ów cienki drucik. Natomiast używa się tu bardzo silnego pola magnetycznego, wytworzonego przez potężne magnesy stałe, lub lepiej elektromagnesy, zasilane dużym prądem, pochodzącym z bateryi akumulatorów.

Prąd, który chcemy mierzyć, przepuszczamy przez rozpiętą między biegunami tego magnesu kwarcową lub platynową nitkę, która z tego powodu wychyla się mniej lub więcej ze swego pierwotnego położenia, stosownie do natężenia prądu, jaki przez nią przepuszczamy. Ruchu tej nitki jednak nie można oczywiście wprost, gołem okiem dostrzegać. Do tego służy mikroskop, umieszczony w wywierconym w biegunie elektromagnesu otworze, a posiadający w swym okularze podziałkę. Zapomocą tego mikroskopu albo wprost odczytujemy wychylenia nitki, albo też rzuca się sposobem projekcyjnym, przy uży-

ciu bardzo silnego światła łukowej lampy elektrycznej obraz nitki na ekran, przez co z łatwością pokazać można licznemu audytoryum najdelikatniejsze nawet zmiany prądu.

Pomiędzy wieloma zaletami tego nowego przyrządu jedna zwłaszcza czyni go wprost nieocenionym w badaniach naukowych, mianowicie łączy on w sobie dwie, w innych galwanometrach wykluczające się wzajemnie własności: wielką czułość, bo dorównującą najczulszym dotychczas znanym instrumentom, a przytem obojętność całkowitą na wszelkie boczne wpływy elektryczne i magnetyczne, tak, że mogą tuż koło niego przepływać bardzo silne prądy z maszyn elektromagnetycznych, a nitka nic na to nie reaguje, gdy tymczasem inne galwanometry o znacznie mniejszej nawet czułości, niepokoją się już prądami z odległości o kilkaset nawet metrów od nich przepływającymi.

Einthovenowi, który z zawodu nie jest właściwie fizykiem, lecz fizyologiem, chodziło tu o skonstruowanie przyrządu, zapomocą którego możnaby badać lepiej niż dotyczas zjawiska elektryczne w organizmie zwierzęcym, a przedewszystkiem prądy elektryczne, powstałe w sercu. Zapewne mało komu z czytelników znany jest fakt, że serce nasze, kurcząc się i rozkurczając, wytwarza ciągle prądy elektryczne, które rozchodzą się po organizmie naszym, aż do ostatnich jego kończyn. Zjawisko to, o którem jeszcze kiedyś obszerniej pomówić przyjdzie, wykryto już dawniej, najpierw u zwierząt, mianowicie u klasycznego w pracowniach fizyologicznych objektu eksperymentalnego, żaby, a następnie i u ludzi. Jednak dopiero z pomocą galwanometru strunowego można je łatwo i dokładnie badać. W tym celu dwa punkty ciała człowieka, np. rękę prawą i lewą, łączy się zapomocą dobrych przewodników elektryczności z nitką galwanometru, która, jak to na ekranie doskonale widać, wychyla się szybko i rytmicznie za każdem uderzeniem serca. Wychylenia te już przy odległości jednego metra ekranu od mikroskopu, wynoszą u człowieka około jeden centymetr, zaś gdy doprowadzamy do nitki prąd pochodzący bezpośrednio z serca żaby, mianowicie w ten sposób, że końce przewodników, odchodzących od nitki galwanometru, przytykamy wprost do serca wyjętego z piersi żaby, to wychylenia te są znacznie większe. Nawiasowo dodać tu trzeba, że doświadczenie można wykonać po uprzedniem zabiciu żaby i po wyjęciu serca z jej ciała — bo takie serce żabie jeszcze kilka godzin zupełnie silne wykonywa skurcze, czyli, jak pospolicie się wyrażamy, bije.

Ruch nitki, wywołany prądami elektrycznymi serca, przedstawia się na ekranie jako szybkie drganie, jakby szarpniętej gwałtownie struny. To też ażeby dokładniej zbadać jego charakter, a więc także i cechy zmian prądu elektrycznego serca, bada się ten ruch zapomocą metody fotograficznej. W tym celu rzucamy obraz nitki nie na ekran, lecz na płytę fotograficzną, poruszającą się szybko, a jednostajnie przed mikroskopem. Obraz nitki nakreśli więc na płycie linię krzywą, która nam przedstawi wiernie właściwości prądów elektrycznych serca.

Metodę tę zastosował prof. Einthoven także i do badania prądów serc ludzi chorych, połączywszy swą pracownię drutami z kliniką, odległą o niespełna dwa kilometry. Dokładne badania pokazały, że w ten sposób można będzie stawiać dyagnozy w niektórych przypadkach chorób sercowych. Otwiera się tu więc nowe pole do dalszych badań i odkryć tak dla fizyologa, jakoteż i dla patologa. Przedewszystkiem jednak oczekuje świat uczony wyświetlenia owych niezmiernie ciekawych, a mimo kilkudziesięcio-letnich prac i dociekań, tak dotychczas ciemnych zjawisk elektrycznych w organizmie żyjącym.

Ks. F. Hortyński.

Polemika.

W numerze wrześniowym *Przeglądu Powszechnego* zamieścił pan Chybiński krytykę rozprawki mojej p. t. »Muzyka w Polsce«. Zakończył ją p. Ch. zdaniem, które zmusza mnie do zajęcia obronnego stanowiska. Nie mając pretensyi, aby moja młodzieńcza praca, która dorywczo wyróść musiała na jałowym gruncie, mogła mieć wartość rozpraw innych autorów zamieszczonych w »Polsce«, których doświadczenie i materyały, jakie mieli do dyspozycyi, są w stosunku do moich danych tak nieskończenie bogatsze — mam prawo wymagać, aby szan. recenzent i tamte i moją d o k ł a d n i e przeczytał, a wtedy łatwy do rzucenia sąd końcowy złagodnieje w swej ostrości. Przeważna część zarzutów p. Chybińskiego wynikła z u m y ś l n e g o p r z e k r ę c e n i a moich zdań; gdyby wszystkie one były słuszne, okazałoby się, że wszedłem bez ubrania na bal; na szczęście tak nie jest; to co wykażę udowodni, że dyktowała p. Ch. nie chęć bezstronnego ocenienia mojej pracy, tylko — co z żalem zaznaczam — zła wola. Zaczynam od najbliższej mi kwestyi.

... »Gomółka mógł pisać jedynie w formie prostej, niezłożonej pieśni czterogłosowej, na wzór włoskich *frottoli* lub *villanelli*« — w tych słowach bynajmniej nie porównuję psalmów G. z *frottolą* ani *villanellą;* tekst pieśni nie ma nic wspólnego z ich stylem muzycznym, a o stylu *frottoli* może się p. Ch. dowiedzieć z II tomu *Vierteljahrschrift für Musikwissenschaft.* Nie wiem natomiast czy p. Ch. zna psalmy Gomółki, ale dana mi rada, abym »prostotę techniki wielogłosowej, właściwej Gomółce«, porównywał z *laudi spirituali,* mówi mi, że p. Ch. nie zna skromnego Gomółki, bo jego psalmy są na wskroś homofoniczne; tem samem »technika wielogłosowa« przypisana G. jest niepotrzebnym a mozolnym wynalazkiem p. Ch. Jeśli p. Ch. mniema, że rozśpiewano psalmy Gomółki bez śladu i z trzech pozostałych egzemplarzy wyprowadza jego popularność, w takim razie Zieleński musiał być popularniejszym, bo zaledwie jeden egzemplarz jego *Offertoryów* zachował się, inne pewnie »rozśpiewano bez śladu«.... Zapowiedziana praca moja o G. przeszła przez elembik prof. Adlera i Jagiča w Wiedniu i dała mi patent doktorski; czy autorytet p. Ch. chce tamtych poprawiać?!

Trochę nieuważnie czytał p. Ch. ustęp o Zieleńskim. To, co p. Ch. pisze o muzyce Zieleńskiego, jako poprawienie moich uwag o niej, jest naprawdę nadto śmiałe. Jak zaś wyglądają moje *lapsusy calami,* niech wykażą własne moje słowa i przekręcenie ich dokonane przez p. Ch. Ja piszę: ... »kompozycye Zieleńskiego, które dla Polski stanowią to, co dla Zachodu sto lat wcześniej napisany *Choralis Constantinus* Henryka Izaaka. Pan Ch. utrzymuje, że kłamstwem są słowa moje od a do zet, bo *Choralis Constantinus* wydany został w r. 1550 i nazywał się *Chorale Constantinum.* Pan Ch. wprawną ręką wertuje *Musik-Lexikon* Riemanna i tam znalazł *chorale,* ale na wcale poważnem wydawnictwie, bo *Denkmäler d. Tonkunst in Oesterreich* widnieje napis *Choralis Constantinus.* Niema tu ani dyablika, ani *lapsus calami* nie zakradł się, a porównanie nie jest przypadkowem; gdyby ktoś wartość ołtarza maryackiego w Krakowie jako dzieła sztuki porównał z wartością np. ołtarza z Gent, tem samem nie mówi jeszcze, że Stwosz musiał być malarzem. Zdaje mi się przeto, że mogąc w tytulaturze wielkiego dzieła polegać na obranej przez wymienione wydawnictwo nazwie i odnosząc napisanie go na ostatnie lata życia Izaaka, który umarł około r. 1517, nie popełniłem żadnego bezwiednego błędu. Pisząc, że kompozycye Zieleńskiego »noszą silne cechy ówczesnej muzyki weneckiej« i, że »autor ich nie ogranicza się do

samych tylko głosów ludzkich, lecz używa instrumentów muzycznych«, powiedziałem o nich prawie to samo, czego żąda ode mnie p. Ch. Nie wspomniałem o »generał-basie«, bo go u Zieleńskiego niema; Zieleńskiego znam, bom go opracował dla wyd. *Denkm. d. Tonkunst in Oest.* Nie zapomniałem jednak o materyale tonalnym Z., a ten jest na wskroś średniowieczny.

Bardzo ciężki zarzut czyni mi p. Ch., że pozwoliłem sobie na »śmiały lecz wygodny skok przez przestrzeń 167 lat, od roku 1611 do 1778. Widocznie przeoczył p. Ch. treściwe wzmianki o teatrze Władysława IV i Sasów. Na dowód, że muzyka w tym długim przeciągu czasu upadła u nas, niech posłuży fakt, że ani jeden poważny druk muzyczny nie ukazał się u nas w tym okresie. Tego, który z pomroki dziejowej najbardziej się wyłania, Gorczyckiego, wymieniłem, jakkolwiek i tego kompozytora p. Ch. w pierwszej swojej recenzyi o broszurze mojej »przeoczył«. Wymienić Jakóba Polaka, zanim jeszcze »dalsze poszukiwania doprowadzą p. Opieńskiego do obfitszych rezultatów«, byłoby tak samo bezpodstawne, jak dana mi przez p. Ch. rada; *Quellen-Lexikon* R. Eitnera wymienia tylko jedną tabulaturę Fuhrmanna z r. 1615, w której i tak niepewne, czy *branle* i fantazya są utworami jednego kompozytora, więc Jakóba. Opieński wie tylko o tej jednej tabulaturze (*Bibl. Warsz.* 1906, t. I, z. 3), p. Ch., aż o trzech mówi i wspomina o »prześlicznych utworach« Jakóba, których ... sam nie zna. Niepomiernie dziwi mnie również, jak może żądać p. Ch. wymienienia S. Sarzyńskiego, kiedy pierwszą wogóle notatkę, jaka o nim pojawiła się, zamieścił p. Poliński w *Kuryerze Warszawskim* w czasie, kiedy praca moja oddana była do druku; czy p. Ch. w ten sposób formuje n a u k o w e zarzuty? Niemniej dziwi mnie, że p. Ch. tak dokładnie oceniający moją pracę, zapomniał o istnieniu Marcina Mielczewskiego, którego nie wymieniłem, który jednak od Jakóba Polaka bardziej na to zasługiwał. (Zwyczajem p. Ch. nadmienię, że najbliższa praca moja przyniesie obfitsze o nim wiadomości). Cofnijmy się wstecz; o Mikołaju z Radomia pisze Sowiński, któremu nie można odmówić wielu zupełnie pewnych wiadomości, że w Bibl. Świdzińskich »znajduje się manuskrypt jego traktatu o muzyce«; p. Ch. śmiało maże ten dowód; zresztą jednak nikt nie ogłaszał prac o Mikołaju. — Podobizna »Bogurodzicy« zamieszczona w I tomie »Polski«, co p. Ch. znający dokładnie całą publikacyę, mógł był zauważyć. — Gdyby Leopolita i Szamotulski pisali w podwójnych chórach, decydującym byłby w takim razie wpływ Willaerta, ponieważ jednak inklinowali całym ciężarem ku

Niderlandom, wpływ na nich stamtąd śmiało można nazwać przemożnym. Jeśliby p. Ch. oceniał część pracy p. St. Tomkowicza na podstawie dzieła »Sto lat malarstwa polskiego« hr. Mycielskiego, to doszedłby do rezultatów zupełnie odmiennych od założenia pracy. Niech i mnie przed innymi warunkami usprawiedliwi założenie pracy, która miała dać jedynie przegląd najważniejszych wypadków, nie chciała być i nie mogła wyczerpującą, co wykluczała wyznaczona przez redakcyę ilość arkuszy druku (2 z 25 illustr.). Życiorys Chopina, nie tak bardzo powszechnie znany, jak utrzymuje p. Ch., jest nieproporcyonalnie długi, ale on jeden ostał się przed skreśleniami, jakim uległy wszystkie inne ustępy, w których zamierzałem podać rozwój pojęć muzycznych w Polsce zarówno w wiekach dawniejszych, jak i ostatnich. Ponieważ p. Ch. informacyę tę zignorował, kiedy mu jej prywatnie udzieliłem, powtarzam ją tu, dla wiadomości czytelnika. Krytyka p. Ch. w $^{8}/_{10}$ oparta na złej woli, co zdaje mi się wykazałem, była krytyką Beckmessera, ale nie sumiennego człowieka oddanego nauce. — W dalszą polemikę, choćby p. Chybiński i dalej używał specyalnej swojej metody przekręcania — nie wdaję się.

Dr. Zdzisław Jachimecki.

Odprawa panu Jachimeckiemu.

»Fortiter in re, suaviter in modo«.

W myśl powyższej maksymy chcę dać odpowiedź panu J., który nie mogąc rzeczowo i naukowo reagować na moją spokojnie i rzeczowo napisaną krytykę jego elaboratu, chwyta się zarzutów fałszowania przezemnie jego słów, co mu jednak taksamo pomoże, jak owemu tonącemu brzytwa. Co więcej — gotów jestem być publicznie napiętnowanym, jak fałszerz cytat p. Jachimeckiego, jeśli mi ktokolwiek słusznie ten sam zarzut uczyni, porównując mą krytykę (»Przegląd« z września b. r.) z jego rozprawką p. t. »Muzyka w Polsce«. Będąc w swem sumieniu zupełnie spokojnym przechodzę do zbicia jego pretensyi.

1) Co do Gomółki: Kto pisze, że G. pisał psalmy »na wzór włoskich *frottoli* i *vilanelli*«, ten oczywiście nie tylko porównuje pierwsze z drugiemi, lecz także wskazuje na wzory, według których G. pisał swe psalmy. Tak myśli każdy logicznie rozumujący człowiek. Dlatego na nic nie zda się sofizmat pana J., jakoby w jego słowach nie

było zawartego porównania, jak najdalej idącego. Supponuje mi p. J., że twierdzę jakoby G. posługiwał się polyfonią względnie wielogłosowością w kontrapunktycznem tego słowa znaczeniu, gdy tymczasem G. używał komofonicznej techniki. Przyzna mój oponent, że kto pisze na więcej niż dwa głosy, ten pisze wielogłosowo. Rzecz inna, że wielogłosowość homofoniczna jest czemś »nieco« innem niż kontrapunktyzm połączony z imitacyami, kanonami i t. p. Niechże więc p. J. nie liczy na to, że nikt z czytelników nie zrozumie mnie i nie pozna się na jego podstępie. Wskazując na wzory, które mógł G. naśladować wymieniłem także »*canzonette spirituale*«; lecz p. J. pozwolił sobie na podstęp i milczkiem je w swej odpowiedzi pominął wymieniając tylko »*laudi spirituali*«.

2) Co do Zieleńskiego: Nie jeden, ale trzy egzemplarze jego »*Offertoriów*« i »*Communiones*« dochowały się (Kraków, Wrocław, Poznań). Twierdzi p. J., że u Zieleńskiego niema »generałbasu« i że zna jego kompozycye. Ja zaś bardzo stanowczo upieram przy tem, że p. J. nie ma żadnego wyobrażenia o Zieleńskim, na co przeprowadzam dowód z pomocą... samegoż Zieleńskiego. Niema u Zieleńskiego basu cyfrowanego, gdyż wówczas, t. j. na początku XVII wieku nie cyfrowano generałbasu tak starannie, jak później, ale jest t. zw. »*basso continuo*«, »*basso sequente*«, »*basso generale*«, »*partitura pro organo*«, odnośnie do czego pisze Zieleński w »*Index Communionum*« (prócz księgi głosowej dla tenoru II i basu II) przed 25—27 i 28—32 »*communio*« następującą uwagę: »*organarius vero non ex proprio tono, sed octava inferius ab illis* i t. d.« oraz »*si quis autem velit adornare adhibeantur duo violina, ut Itali vocant, quae tangantur simpliciter & Bassus cum fagoto etiam simpliciter*«. Inaczej mówiąc: a) głos basowy z fagotem lub organem (»*octava inferius*«) wykonywały głos zwany »*basso sequente*«, »*basso generale*«, b) sam styl Zieleńskiego, »*stile concertato*« wskazuje na to, że »*basso continuo*« musi być integralną częścią tych kompozycyi. Zdaje się, że »generałbas« jest dla p. Jachimeckiego »*terra incognita*«, a owe zasłanianie się, że opracował dla »*Denkmäler d. Tonkunst in Oesterreich*« strachem na wróble, ale zarazem wymownym dowodem, że p. J. nie zna wcale Zieleńskiego. Już z samego powiedzenia, że »materyał tonalny« (utrudnienie zagadki dla laika czytającego »odpowiedź« pana Jachimeckiego) dowodzi jeszcze bardziej radykalnie, że mój oponent nawet nie jest należycie przygotowany do opracowania dzieł Zieleńskiego, bo pominąwszy już że wyrażenie »materyał tonalny« jest wy-

krętnym frazesem, p. J. powinien wiedzieć, że pisanie podwójnych chórów z towarzyszeniem instrumentalnem, jakoteż monodyi z tymże towarzyszeniem jest oznaką »*practicae modernae*«, a nie średniowiecza.

3) Co do »Chorale constantin*um*« nazwy »*choralis* constantinus«, użyli wydawcy tego dzieła H. Isaaca (z r. 1555), pp. Bezecny i Rabl (»*Denkm. d. T. i. Oe.*« V, 1); nigdy ona w pierwszym przypadku nie zachodzi u samego Isaaca. Nie tylko Riemann (cf. »*Handbuch der Musikgeschichte*« II, 1, str. 279), ale i prof. Kroyer nazywa to dzieło »chorale constantin*um*«, ponieważ wyraz »*choralis*« nic nie oznacza, o ile niema obok niego wyrazu »*liber*«; zdanie tych uczonych jest dla mnie cenniejsze niż pp. Bezecnego i Rabla.

4) Co do Jakóba Polaka: p. J. wie tylko o jednej tabulaturze lutnianej t. j. Fuhrmanna z r. 1615, w której są utwory Jakóba P. i cytuje na dowód mający mnie uśmiercić, aż *Quellenlexikon* Eitnera. Znów chwyta za ... brzytwę, gdyż w tym leksykonie znajdzie p. J. wyraźnie stwierdzenie, iż — tak jak w swej krytyce napisałem — w trzech tabulaturach znajdują się utwory J. Polaka: w »*Thesaurus*« Besarda (1609, 9 utworów), w »*Delitiae*« Hovego (1612, 4 utw.) i w Fuhrmanie. Oto kryteryum postępowania p. Jachimeckiego! Niech też p. J. nie supponuje, że nie znam dzieł J. Polaka, wszak on na to dowodu nie ma najmniejszego! Ale trzy tabulatury posiada biblioteka monachijska, w której od kilku lat pracuję i znam je dobrze.

5) Co do Mikołaja z Radomia: gdy p. J. pozna lepiej polską muzykę z niej samej, a nie z Sowińskiego, wtedy przekona się, że Sowiński obfituje w stosy fałszów, z których jednym jest twierdzenie, że Mikołaj z R. napisał traktat muzyczny. Mianowicie do rękopisu z kompozycyami tego mistrza jest przyszyty traktat treści historycznej, który naiwny Sowiński wziął za... traktat muzyczny Mikołaja z Radomia.

6) Inne uwagi: nie czyniłem p. J. zarzutów, że nie podał w swej pracy nawet nazwiska S. Szarzyńskiego, skoro tylko ubocznie wspomniałem, że Sz. był jednym z tych kompozytorów XVII wieku, którzy poszli dalej śladami Zieleńskiego. Niech więc p. J. nie przeinacza fakta w sposób tendencyjny. — Co do tej podobizny »Bogurodzicy«, to podtrzymuję mój zarzut, t. j., że jej w broszurce p. J. niema; gdyż o niej, a nie o całem wydawnictwie »Polski w obrazach« pisałem; nic zaś łatwiejszego, jak zamiast obojętnej

mu podobizny pieśni czeskiej użyć kliszy z »Bogurodzicy« w odbitce.

Nakoniec muszę p. Jachimeckiemu dać małą lekcyę z historyi muzyki. Przez szkołę wenecką nie rozumiemy wyłącznie pisania na dwa chóry, ani też Willaert nie pisał wyłącznie na dwa chóry; styl jednak Willaerta jest bardzo widocznym zwłaszcza u Szamotulskiego, pomimo, że tenże nie pisał dwuchórowych utworów.

Nie porównywałem też rozprawki p. Jachimeckiego z wybitnemi dziełami, gdyż na tyle znowu złośliwym nie jestem, zaznaczyłem tylko że jego praca nie dorównywa tym, które są zawarte w »Polsce«. Niech i w tym względzie nie przeinacza oponent prawdy.

Nazywa mnie p. J. »Beckmesserem« (znana postać ze »Śpiewaków norymberskich«) dlatego, że sumiennie i rzeczowo napisałem krytykę jego elaboratu. Czy mam przypomnieć panu J. jego wycieczki śmieszne i ultraśmiałe przeciw niektórym dziedzinom umiejętności muzycznych?

Resztę pozostawiam czytelnikowi.

Adolf Chybiński.

Druk ukończono 2 listopada 1907 r.

BOŻE NARODZENIE.

„PRZYSZLI, ZNALEŹLI DZIECIĄTKO W ŻŁOBIE".

Zamarzłą i milczącą, śnieżną, pustą dalą
Nakrytą mrokiem mroźnej, miesięcznej srężogi,
Przez którą słabo, nikłe gwiazdy się krysztalą,
Za sobą ślad znacząca, przed sobą bez drogi
Idę, a oczy moje spojrzeć się nie ważą.
Gdzie spojrzą, tam z miesięcznej powstaje srężogi
Sfinks i pyta milczącą nieruchomą twarzą,
Cień olbrzymi kładnący, idącym, pod nogi.
A gdzieś przez puste pola, przez śnieżne rozłogi
Po gwiazdach nikłych w sinej zatopionych dali,
Przez sypki kryształ mroźnej miesięcznej srężogi
Dźwięczy i płacze rzewnie i słodyczą dzwoni:
»Przyszli znaleźli Dzieciątko w żłobie«...
. . . . . .
Na ręku matki uśpione oddycha
Dzieciątko Boże i poddanych czeka,
W progu stajenki została się pycha,
Mądrość i troska: tułactwo człowieka.

Niech patrzą sfinksy w ośnieżone pola
I z pustką sobie rzucają zagadki!
Przed nami słodka przykuła niewola
Boga, do kolan człowieczych, swej matki.

Do stopek mu się garnie łkająca tęsknota,
Grzech, troska i zwątpienie łzami w przeszłość płyną,
A przez serca prostego otworzone wrota
Wchodzi Bóg, Pan i Władca zrodzony Dzieciną!

ŚWIĘTEJ NOCY.

O błogo ty sławiona! o nocy jedyna,
W której stanął na wieki Święty: Bóg — Dziecina.

Błogosławione głębie chłodne i milczące,
Przez które wykreślone ścieżynek tysiące.

Błogosławione fletni rzewliwe kolędy,
Drżące, a rosy pełne, niosące się tędy.

Błogosławione, wzięte na fletnie pastusze
I niesione w twą głębię, biedne ludzkie dusze.

Błogosławione gwiazdy, które łzy ich piły,
O które skrzydła pieśni pastuszej trąciły.

Błogosławiony szafir twój, święta skarbnico
W którym się brylantowe gwoździe gwiaździe świecą.

O stokroć ty szczęśliwa i błogosławiona
Któraś jest nad klejnotem wszechświatów zamkniona.

Błogosławion nad wszystko jest on kwiat różany
Swiatłości niebios pełen, w łzach ziemi skąpany.

O rosy! gorzkie rosy, łez człowieczych rosy!
O kolend rozpierzchnione, roztęsknione głosy.

O pragnień i utęsknień rozpierzchniona rzeszo!
Niech wszystkie płacz utulą, niech się wszystkie śpieszą,

Azali nie ten On jest, którego wam trzeba?
Jaśniejący kwiat cudu, wdzięk i uśmiech nieba?

O przeszłości prorockiej tęskne pożądanie!
O przyszłości idącej wieczne powracanie!

O rosy! bujne rosy, łez dziękczynnych rosy!
O miłości! o szczęścia rozśpiewane głosy.

Tu, w tej stajence lichej, w żłóbeczku, na sianie
Tu wasz Pan jest, tu cel wasz, tu wasze kochanie!

Błogosławiona nocy! nocy szafirowa!
Błogosław klejnot, który skarbnica twa chowa!

A U NAS.

I.

A u nas w tej porze
W wilijnym wieczorze
Milczącą bezbrzeżą
Pól dale się śnieżą,
A niebiosów brzeg
Schyla się na śnieg.

Przed nasz stary dwór
Idzie chłopiąt chór:
Za gwiazdą, za złotą,
Z rozmachem, z ochotą,
Jak zdawna bywało
Dzieciątku z pochwałą.
Hej kolenda! kolenda!

Idą między chaty,
Przez słupy poświaty,
Przez modrawe cienie,
I śniegów milczenie.

Idą zmarzłą drogą,
Snieg skrzypi pod nogą.
Hej kolenda! kolenda!

A z wysoka tam
Od niebieskich bram,
Gdzie gwiazdeczki wiszą,
Kryształową ciszą
Patrzą się światełka
Na ziemskie jasełka.
Hej kolenda! kolenda!

II.

A u nas w tej porze,
Po wilii wieczorze,
Milczącą bezbrzeżą
Pól dale się śnieżą,
A niebiosów brzeg
Schyla się na śnieg.

Wpośród śniegów gdzieś
Zagubiona wieś.
Od pól się nasuwa na nią całun biały,
Mórz śnieżnych wezbrane spiętrzają się wały.
Ze strzechą słomianą pod śniegiem schyloną
W modrych, śnieżnych cieniach, chaty nizkie toną.

W chatach nocką tą
Pacholątka śpią.
W snach złotych podzwania kolenda zaczęta,
Na szopkę »cudności« patrzą się oczęta,
Po usteczkach świeżych, uśmiech błądzi świeży,
A pokój w serduszku, jak w kolebce leży.

Na niebie srebrzystem, szeroko rozpiętem
Zgubione w powietrzu cichem, mrozem ściętem,
Nad pustką, śmiertelnem zimnem umorzoną,
Płynnem złotem nalane, złote gwiazdy płoną.

III.

Po nocy — długiej nocy — wśród śnieżnych bezdroży,
Chwałą wezbrany światła, powstaje dzień boży.
Na krańcach horyzontu olbrzymie, stojące,
Mocne i życia pełne, płomieniste słońce.
Po stepach mrozem zjętych, umarłą krainą
Brylantów idą ognie, łuny mocy płyną!

W ranek radosny owy, w dzień Bożego Święta,
Na słońce otworzyły oczy pacholęta:
O zamrożone! w cuda wyrzeźbione szyby!
Oto gwiazdek rój zbiegł się tu wczorajszych niby,
A on, z krainy Bożej znane palmy święte,
W krysztale brylantowym przecudownie rżnięte.
To chyba aniołowie ową świętą nocą
Rzeźbili szyby w oknach, że ci tak migocą!
A ów blask, co z nich bije i ogniste złoto,
Że aż oczy zamrużyć, takie blaski miotą!
Ponoć i świętych w niebie nie lśni tak odzienie!
To chyba Dziecię Jezus śle nam w pozdrowienie
Te gwiazdki i te palmy i łuny te oto!
Po śniegach ognie płyną i aż w okna biją
Słońce ponad wczorajszą powstało wilią
Hej kolenda! kolenda!

Po nocy — długiej nocy — wśród śnieżnych bezdroży,
Światła wezbrany chwałą, powstaje dzień Boży.

Wigilio oczekiwań, wigilio skupienia,
Tęskniąca pod milczącą tajemnicą cienia,
Której świecą gwiazd nikłych dalekie świetlenia!

O wstający nad wilią, na potopie zorzy,
Dniu jasny, płomienny, świąteczny, Dniu Boży!

Krystyna Saryusz Zaleska.

KONFERENCYA HAGSKA.

I.

Tyle pisało się o hagskiej konferencyi, że zbytecznem byłoby powtarzać szczegółowo przygotowania, przebieg obrad, uchwały — o tem wszystkiem donosiły dzienniki aż ze zbytnią dokładnością. I to wiadomo, że gdy po skończonej konferencyi zestawiono bilans jej dorobku, to jednogłośnie niemal cała opinia publiczna uznała, że zawiódł on najskromniejsze nadzieje.

Zapewne — jest w tem wiele słuszności.

Jeśli się wspomni na obietnice, jakie czynił prof. Martens podczas swych podróży po dworach europejskich, jeśli się zważy, że wszystkie wielkie instytucye, mające za cel szerzenie idei pokojowych, były prawie pewne, iż ta konferencya przeprowadzi powszechny i obowiązkowy sąd polubowny, stale powtarzające się zjazdy, a poczyni w kwestyi ogólnego rozbrojenia pierwsze przynajmniej kroki, jeżeli ta konferencya otwierała się pod egidą silnego poparcia Ameryki, Anglii i Rosyi — to rzeczywiście, wyniki jej nie spełniły nadziei upragnionych przez przyjaciół idei pokojowej.

Takiego przekonania trzeba było nabrać choćby tylko pod wpływem wszystkich okoliczności i warunków, jakie towarzyszyły zwołaniu drugiej hagskiej konferencyi.

Wśród niepokojów w północnej Afryce, wśród wielkiego napięcia stosunków i zbrojeń angielsko-niemieckich, ta sama Anglia rozsyła do mocarstw zaproszenia na konferencyę pokojową. Wszyst-

kie państwa zbroją się, ale równocześnie przyjmują zaproszenie — choć czasem z góry zastrzegają sobie pewne ograniczenia co do obrad tego rodzaju, któreby może im były »niewygodne«, czyniąc to naturalnie bardzo dyskretnie, w formie »ewentualnego wstrzymania się od dyskusyi« względem tych przedłożeń, które »nie prowadziłyby do praktycznego wyniku«.

Wreszcie wysłały rządy swych reprezentantów do Hagi — ale ci reprezentanci to nieraz ludzie bez odpowiedniej kwalifikacyi — są oni tylko statystami, kierowanymi z odległej stolicy ręką ministra spraw zagranicznych, a konferencya pokojowa zamienia się na ćwiczenie w dyplomatycznem prowadzeniu długich obrad i dobieraniu takich słów, któreby nie nakładały żadnego zobowiązania i nie pozwalały równocześnie odgadnąć właściwego stanowiska rzeczy. Zdaje się, że sami przedstawiciele państw najmniej wierzą w urzeczywistnienie pokojowych dążności — czasem nawet trudno im było udawać, że w nie wierzą. Przygniatająca atmosfera, nudne obrady, duszne oczekiwanie na informacye swego dworu, od czasu do czasu zgrzyt, przypominający szczęk wojennego oręża — oto wrażenie, jakie się odnosiło z toku obrad.

U końca obrad sam przewodniczący konferencyi Nelidow zrozumiał, że trzeba bronić ją przed zarzutem, »iż nic nie uczyniła dla postępu pokoju«. »Atmosfera solidarności moralnej, panująca na konferencyi, wystarcza na oczyszczenie jej z zarzutu, iż nie uczyniła nic dla postępu pokoju!« Ale ta »atmosfera solidarności«, to dla opinii publicznej tylko frazes. Ta opinia uznać może za wynik realny to tylko, co widoczne, a tymczasem tu widocznym jest tylko pałac pokoju, stawiany kosztem milionów franków przez filantropijnego Amerykanina. Sarkazm ten opinii idzie jeszcze dalej. Wskazuje on na wzrost... budżetu na cele wojskowe! W latach 1870 (przed wojną francusko-niemiecką) wydawały państwa europejskie na wojsko $2^1/_2$ miliardów koron; w latach 1880 4 miliardy; w latach 1890 6 miliardów; obecnie 8 miliardów.

Oto liczby, rosnące razem ze wzrostem ruchu pokojowego.

Szczegóły obrad spotykają się z podobną krytyką. Pierwszy warunek pokoju, rozbrojenie, odrzucono na konferencyi *a limine* —

sądów rozjemczych nie zaprowadzono — a tych kilka deklaracyi, regulujących parę kwestyi wojennych, trudno brać ze stanowiska pokoju poważnie, gdyż one raczej o wojnie, niż o pokoju traktują. Wogóle cała ta konferencya tylko wojnę ułatwia, gdyż wojna, jak każde narzędzie w ręku człowieka, im więcej jest uproszczoną i uregulowaną, tem też łatwiejszą w zastosowaniu, tem częstszą w użyciu. Zresztą, kto się z takiemi teoryami liczy? Z pierwszej konferencyi hagskiej w r. 1898 dziennikarze niemal wprost jechali na pole walki w Transwalu. A w parę lat potem, gdy wybuchła wojna japońska, o pokojowem usposobieniu narodów cywilizowanych świadczą konfiskaty prywatnych okrętów kupieckich i straszne miny wodne, od których ginie kilkadziesiąt neutralnych okrętów...

Kończy się druga pokojowa konferencya: jakie »pokojowe« wojny ona przyniesie? Przyszłość zakryta przed oczyma ludzkiemi, ale smutnieby ona wyglądała, gdybyśmy chcieli o niej wnioskować na podstawie analogii z pierwszą konferencyą hagską.

Weselszym objawem obecnego ruchu pacyfikacyjnego mogłoby być to wrażenie, że same państwa dają obecnie inicyatywę do tego tak wysoce kulturalnego dzieła, jak zażegnanie wojen. W r. 1898 Rosya, obecnie Anglia. Więc brzmią peany dla kultury XX wieku, dla szlachetności pełnej odwagi, co nie waha się w czasach największych zbrojeń rzucić hasła »pokój na ziemi«.

Ale może ostygnie ten zapał w idealizowaniu tego objawu nowoczesnej kultury, i jeśli zaglądniemy bliżej w stosunki finansowe tych państw, te szlachetne dążenia okażą się czczym frazesem i przykrywką najgrubszego egoizmu. Bo nie o dobro ludzkości chodziło Rosyi w r. 1898, a o ratowanie własnych finansów, które wtedy groziły ruiną. Przyznawał się do tego sam Murawiew, zwołując pierwszą konferencyę (nota z dnia 24 sierpnia 1898): »Ciężary wzrastają, gospodarstwo podkopane, kapitał w sposób nieproduktywny zużyty, kultura, postęp nauki, wszystko staje się utrudnione i w swym rozwoju zagrożone. Ekonomiczne przesilenie powstaje... jeżeli taki stan dalej trwać będzie, musi dojść do katastrofy«.

Nie o uszczęśliwienie ludzkości chodzi też obecnie i Anglii —

polityka dzisiejsza nie zna tak szlachetnych celów. Anglii chodzi o dobro własnej kieszeni. Nie, jakoby finanse jej groziły ruiną, ale Anglia forsuje swoje finanse na uzbrojenie floty w dwa razy szybszem tempie niż Niemcy. A czy długo jeszcze będzie trwało to mocowanie się z Niemcami? Kiedyś musi się ono zakończyć. Więc przezorny Brytyjczyk woli zawczasu zapobiedz wszelkim możliwie nieprzychylnym sobie ewentualnościom.

Tak więc konferencya pokojowa stoi odarta nawet z szaty tej, jaką jej nadawał wygląd humanitarnego czynu.

A tymczasem jakby finałem tej misyi pokojowej w Hadze i przygrywką pokojowej przyszłości jest wiadomość, że »pokojowo« usposobiony Roosevelt wysyła flotę na Ocean Spokojny.

Na głos Anglii, wyrzeczony z naciskiem, aby »państwa zaczęły poważne studya nad kwestyą rozbrojenia«, Niemcy, — które już dawno pierwsze miejsce chcą zajmować w tych pracach — studyują, gotują plany... i budują coraz to nowe okręty bojowe! W odpowiedzi na to, Anglia, przeciw każdemu nowemu okrętowi niemieckiemu stawia po dwa nowe okręty — i warsztaty nad zatoką lyońską nie próżnują, i Adryatykowi przychodzi dźwigać coraz zwiększającą się flotę — i Hiszpania »reorganizować« chce marynarkę. Słowem, we wszystkich dokach wre coraz zawzięciej ruch, nie mówiąc nic o lepszych armatach, o nowej służbie samochodowej, aeronautycznej i t. d., o reorganizacyi armii lądowej we wszystkich państwach, — o zwiększaniu siły wojennej nawet w najneutralniejszej Szwajcaryi.

Zaiste, jeśliby takie objawy miały stale towarzyszyć konferencyom »pokojowym«, to ziemia pokoju nie zazna.

II.

Miasto Haga uwidoczniła swe zapatrywania na działalność konferencyi, w obrazie, jaki zdobił salę podczas bankietu ku czci delegatów. Delegatów przedstawia tu siewca, co pełną troski i niepewności ręką rzuca w ziemię nasienie, a pod obrazem napis: *Viris illustribus de pace bene merentibus.*

Może to najtrafniejsze scharakteryzowanie działalności konferencyi.

Zazwyczaj stawia się konferencyi ten zarzut: że nie zainicyowała nawet pokoju i rozbrojenia. Ale czy nie żąda się od niej od razu za wiele? Pytać należy, jaki cel miała ta konferencya i wedle tego dopiero można mierzyć jej działalność. Bo konferencya nie jest jakąś samodzielną instytucyą, w sobie zamkniętą, którąby miała dokonać jakiejś sprawy, lecz jest ona dziełem, trwającem szeregi lat. Z zamknięciem konferencyi nie skończyła się praca pacyfikacyjna, ale tylko jeden jej etap.

Celem tych konferencyi jest dzisiejszej społeczności o tak skomplikowanych interesach międzynarodowych, dać silniejszą organizacyę prawa międzynarodowego, które względnie tkwi jeszcze wciąż w zaczątkach dopiero. I tu właśnie największy błąd się popełnia, gdy spostrzegłszy, że konferencya nie posunęła namacalnie naprzód rzeczywistego pokoju, zarzucamy jej, iż nic nie zrobiła. Tymczasem nie tyle trzeba pytać, jakie uchwały realnego znaczenia ta konferencya przyniosła, jak raczej patrzeć, czy była krokiem naprzód w całokształcie ruchu pokojowego.

A na to pytanie odpowiedzieć trzeba, że tak. Pierwsza konferencya była próbą raczej — druga wyraża życzenie kontynuowania dzieła, zamienienia się w stałą instytucyę. A nie jest to życzeniem grupy idealistów-agitatorów lub dyletantów, ale reprezentantów 45 mocarstw, których każde słowo było echem zapatrywań swojego rządu.

Już sam fakt, że nie osoby prywatne, ale rządy zwołały obie konferencye, jest rzeczą znamienną, bo oto same mocarstwa, jakiekolwiek byłyby ich tajne pobudki, szukają środków, aby wszystkim narodom zapewnić stały pokój, a postępującym ciągle naprzód zbrojeniom raz przecież koniec położyć. Zupełnie niema nic do rzeczy pytanie, »czy to możebne? Czy kiedyś wreszcie wojny będą znane tylko z historyi?« Ruch pokojowy pragnie tylko takich wyników, jakie się da osiągnąć ludzkiemi siłami: dla dobroczynności jest wystarczającym celem umniejszyć nędzę, choć sama nędza zawsze pozostać musi; dla prawników, dać możliwe zapewnienie spokoju obywatelom państwa a nie wyrugować występek; dla medycyny, wynaleźć jak najkorzystniejsze dla zdrowia

warunki, a nie wyrugować całkowicie śmierć lub chorobę z pośród ludzi.

Cały też ruch pokojowy, o ile jest trzeźwo pojęty, nie zdradza tendencyi, aby raz na zawsze usunąć z ziemi wojnę — ale celem jego jest uczynić wojnę jak najrzadszem zjawiskiem, a sam pokój zbudować na silniejszych, niż dotąd, podstawach — na podstawach i zasadach, któreby nie tak łatwo można było naruszyć. Z tego, że dziś nie są jeszcze widoczne linie tego budynku, nie wypływa, by pracę taką można nazwać utopią. Wszystkie dzieła ludzkie mają swoje stadya rozwoju, które przebyć muszą, zanim się należycie rozwiną, zanim zdołają zaznaczyć swą działalność na zewnątrz. A im dzieło trudniejsze, im większych rozmiarów ma dosięgnąć, tem dłużej musi się rozwijać, bo tem większym ulega zmianom i nie może postępować w jednakowem zawsze tempie.

To samo widzimy i w całym ruchu pacyfikacyjnym. Właściwie trzebaby powiedzieć, że zaczątki dzieła pacyfikacyjnego są stare jak świat. Przebłyski tych zapatrywań dadzą się odnaleźć i w starożytności, i u klasycznych narodów. Naturalnie, że przedstawiały się one w formie odpowiedniej do ówczesnej kultury, więc np., że oblegający obleganemu miastu nie odetną wody, że po zdobyciu miasta nie zburzą go do szczętu, i nie posypią ruin solą, aby nawet trawa na tem miejscu nie rosła i t. p.

Chrześcijaństwo przynosi znaczny postęp w tym kierunku, i rzuca na ziemię hasło prawdziwego pokoju, stosownie do polecenia danego mu przez Zbawiciela, by »pokój na ziemi« krzewić. Nieokiełznane chuci jeszcze zbytnio barbarzyńskich osobników jarzmi Kościół nakazaniem pokoju, z pobudek czysto religijnych *(Treuga Dei)*, a wiadomo, że te w zastosowaniu okazały się skuteczniejszemi, niż przemoc państwowa brutalnej siły. Pod wpływem też chrześcijaństwa powstaje w wiekach średnich myśl założenia jednej wielkiej monarchii chrześcijańskiej, za pomocą której możnaby ziścić ów wielki cel idealny, *pax super terram*.

Ta myśl była celem Wielkich Karolów i Ottonów, a nawet tych cesarzy, którzy z papiestwem ustawicznie walczyli rzekomo o pierwszeństwo w spełnianiu posłannictwa pokoju.

Z upadkiem wpływu papiestwa upadają i te dążności, aż

dopiero Juliusz II wskrzesza tę myśl zjednoczenia, którego pierwszym stopniem miałoby być zjednoczenie rozbitej Italii, a drugim wyparcie muzułmanów z Europy. Niestety, wnet z powodu rozruchów religijnych szesnastego wieku Kościół musiał o innych sprawach myśleć, a Europa stała się niezdolną sięgnąć po tak szczytne ideały, jak pokój ludzkości.

Myśl ta jednak nie opuszczała nigdy znakomitszych umysłów. Mniejsza o to, że u wielu była ona objawem najwyższego samolubstwa, mniejsza o to, że postępowa kultura chce ją gwałtem wydrzeć chrześcijaństwu, podobnie jak przywłaszczyła sobie myśl zjednoczenia Italii, pielęgnowaną na łonie papieży od Juliusza II począwszy aż do Piusa IX, mniejsza choćby o to nawet, że obecnie delegata papieskiego wyklucza z konferencyi hagskiej. Bądź co bądź myśl ta rozwijała się. Dopiero jednak na początku XIX stulecia w Ameryce i Europie zaczynają powstawać pierwsze stowarzyszenia celem popierania tych idei i wpajania odpowiednich zapatrywań w szerokie warstwy ludności. W połowie XIX wieku zbiera się już pierwszy kongres pokojowy w Londynie.

Kongresy coraz częstsze, agitacya coraz większa, coraz jaśniej krystalizuje się ich zadanie, i pomału też praca ta wydaje odpowiednie skutki. I tak od wojny krymskiej wchodzi w stałe użycie pośrednictwo, ułatwiające nawiązanie pokoju, wchodzą w zastosowanie coraz częstsze konwencye, celem zaprowadzenia niektórych złagodzeń wojennych okropności.

Wielkim postępem dla tego ruchu jest r. 1888. Wtedy to pod wpływem Ameryki przenosi się ruch pokojowy do parlamentów i zaczyna silniej jeszcze oddziaływać na politykę. Powstają t. zw. unie międzyparlamentarne, które mają skupiać członków parlamentarnych ze wszystkich krajów i państw bez wyjątku, celem pracy nad krzewieniem przekonania, że konieczną jest rzeczą, by wszelkie nieporozumienia międzynarodowe załatwiano odtąd za pomocą sądów rozjemczych. Biuro w Bernie pośredniczy w tej propagandzie, mając równocześnie obowiązek starania się o pokojowe załatwianie wszelkich nieporozumień między mocarstwami wybuchłych.

Przekonania krzewione dotychczas, rozszerzają się. Instytut Nobla w Chrystyanii i drugi założony przez księcia Monaco, praca naukowa i kapitały Blocha, wszystko to środki potężne, nie mogące pozostać bez wpływu.

Te ostatnie instytucye działają w zakresie wyłącznie naukowym: na opinię publiczną o wiele silniejszy skutek wywiera agitacya, prowadzona przez prasę. Ciężar dzisiejszego militaryzmu wzrasta w nieskończoność i przygniata dzisiaj społeczeństwa, więc tem chętniej łączą się one w dążeniach pokojowych. Pod ten ruch podsuwają zwykle i socyaliści swą antimilitarną agitacyę, — niesłusznem jednak byłoby łączyć ze sobą te dwa prądy. Socyaliści bowiem wychodzą częściowo i ze zasady przeciążena budżetu państwowego, właściwie zaś celem ich, aby państwo pozbawić siły, prawie jedynej jaka mu jeszcze pozostała, jako ostoja przeciw przewrotowym zapędom. Tymczasem cel ruchu pacyfikacyjnego dalej sięga. Przyczyną właściwą zbrojeń, a w konsekwencyi i wojny jest ta olbrzymia różnica, jaka zachodzi między potrzebą międzynarodowego bezpieczeństwa, a niepewnością, czy to bezpieczeństwo będzie się stale posiadać. A gdy prawo międzynarodowe nie daje należytej rękojmi, więc mocarstwa szukają tego zapewnienia we własnej sile, w zbrojeniu się. Jednem słowem, za cały ciężar militarny spada wina na brak stosownej organizacyi międzynarodowej. Otóż ruch pokojowy pragnie właśnie stworzyć taką organizacyę, któraby umożliwiła państwom załatwianie wspólnych spraw, łagodzenie wszelkich różnic, jakie raz po raz zachodzić muszą. A im więcej wzrośnie w całem społeczeństwie przekonanie o potrzebie pokojowego załatwiania spraw międzynarodowych, tem bardziej zmniejszy się potrzeba wojennej gotowości, celem zbrojnego przeprowadzania słusznych wymagań. Tem bardziej, że pozostaje jeszcze inna instytucya, sądów rozjemczych.

Jakby ona wyglądała? Związek St. Zjednoczonych, lub cesarstwa Niemieckiego, daje pewne »fantazma« tylko tej organizacyi, o jakiej marzą pacyfikatorzy naszego wieku. Tu załatwia się cały szereg spraw na drodze polubownej, wspólne interesa łączą najróżnorodniejsze narody. O szczegółach trudno na razie mówić, bo zresztą nie o szczegóły tu chodzi, ale o zasadę, aby

mocarstwa uznały, że będzie dla nich taka organizacya międzynarodowa możliwą i korzystną. Gdy się zgodzą na zasadę, wtedy będzie można mówić o zakresie działania tej organizacyi, o wszystkich jej szczegółach. Naturalnie, że początkowo ten zakres działania będzie bardzo małym, tak, jak cały ten pomysł w bardzo drobnych szczegółach zaczął się realizować.

Początek dała wojna o niepodległość Ameryki, a raczej pokój paryski, zawarty między Anglią, a Ameryką (koloniami amerykańskiemi) po ukończeniu wojny, w r. 1783. Wiele spornych punktów jakie powstały z powodu zastosowania tego układu pokojowego, rozstrzygnęły oba te państwa drogą pokojową. Odtąd wzrasta liczba ugodowo załatwionych nieporozumień. Początkowo w warunkach pokoju zawartego po wojnie, zastrzegają sobie państwa, późniejsze załatwienie układów w niektórych materyach. Później występują już propozycye między dwoma państwami, że wszelkie nieporozumienia w ściśle ograniczonych sprawach będą załatwiać za wspólnem porozumieniem; krokiem naprzód jest myśl obowiązkowego rozstrzygania spornych kwestyi niektórych tylko na drodze polubownej; w tym celu konferencya hagska oddaje do dyspozycyi państw stały trybunał rozjemczy, któryby rozstrzygał wszystkie sporne kwestye, na żądanie mocarstw. Wiele państw — znowu Ameryka daje przykład — zawiera między sobą układy, że wszystkie kwestye muszą być roztrząsane tylko na sądach polubownych, wyrzucają wojnę z zakresu stosunków parlamentarnych międzynarodowych. W Europie Niderlandy i Portugalia w r. 1894, a Anglia i Francya zawarła taki podobny układ w r. 1903, mocą którego na pięć lat oddają hagskiemu trybunałowi do roztrząsania wszelkie ewentualne nieporozumienia, z wyjątkiem wypadków, w którychby zagrożoną była niepodległość krajów. W latach następnych, Dania i Niderlandy, Dania i Włochy zgodziły się oddać wszystkie swe sprawy najprzód trybunałowi hagskiemu do roztrząśnięcia. Dotychczas liczba wszystkich tych układów dochodzi do przeszło 70.

Układy te i czynność trybunału rozjemczego nie jest fikcyjna, dowodem znany z czasów wojny japońskiej fakt z rybakami w Hull, dowodem na to statystyka, wykazująca, że istnienie takiego stałego trybunału ułatwia polubowne załatwienie spraw.

Obecnie o 100 % więcej spraw załatwia się drogą polubowną, niż przed stu laty.

Oto stanowisko, z którego zdaniem naszem, należy patrzeć na konferencyę hagską. Cel, ku któremu ona dąży jest wysokim i stromym szczytem, nic zatem dziwnego, że zdąża powoli i chwiejnie.

Z tego stanowiska rzeczy oceniając, należy przypisać doniosłą wagę wynikom i tej konferencyi. Oto niektóre z nich:

Konferencya żąda formalnego wypowiedzenia wojny, zawiadomienia o niej innych państw, domaga się całego szeregu formalności, które utrudniają, przeciągają wybuch wojny, czyniąc do ostatniej chwili możliwem pokojowe załatwienie sprawy. Uchwałami o kontrabandzie, o krajach neutralnych i ich prawach, dała konferencya i państwa wyraz przekonaniu dotąd nieznanemu, że interesa państw niewalczących, neutralnych, są wyższe niż stron wojujących; również, że nie strona wojująca ma odtąd decydować o kontrabandzie, ale musi się poddać pod sąd innych państw. Największym może rezultatem jest stworzenie nowej instytucyi, sądów polubownych dla więźniów wojennych. Instytucya ta jest pod względem prawnym o tyle ważną, że jest ona zapoczątkowaniem rzeczywistego międzynarodowego trybunału, który ma moc i prawo rozstrzygania sporów z obowiązkiem zastosowania się do tych uchwał. Również dochodzenie w sprawie zwrotu długów państwowych, oddaje konferencya sądom.

Nadto wyraża konferencya swoje zapatrywania co do sądów polubownych wogóle, zachęcając państwa do roztrząsania tych kwestyi.

Nie wielki krok, ale niezaprzeczenie jest to krok naprzód.

Jaką drogą pójdzie w przyszłości idea pokojowa? Jest najpierw jasnem, że tak szeroko rozwinięty ruch, tak piekącą potrzebą ludzkości wywołany, ustać nie może. Jest też jasnem, że ewolucya tej idei postępować będzie zwolna. Jest też możliwem, że zabłąka się po drodze na manowce. Jest zaś pewnem, że jak tyle innych ruchów, jak obecny ruch społeczny, znajdzie wreszcie i ta idea pełne swoje rozwiązanie w idei chrześcijańskiej.

Ks. K. Konopka.

MOMENT PRZEŁOMOWY W AUSTRYI.

Od przedostatniego wiecu katolików w Austryi minęły dwa lata. Zdając wówczas w tem piśmie sprawę z tego wiecu, nie przeczuwaliśmy, że wiec ten będzie zawiązkiem tak intenzywnej akcyi, tylu rozlicznych dzieł, takiej ogromnej siły, jakim następnie w rzeczywistości się okazał.

Wiele ze strumieni tej akcyi katolickiej płynęło i przedtem, ale z wyjątkiem jednego naczelnego strumienia płynęły leniwo, płynęły wszystkie rozbieżnie; dopiero po tym wiecu, zasilone w nowe źródła poczęły się w tych dwu latach rozszerzać, poczęły się jednoczyć, aż wreszcie złączyły się w jedną ogromną rzekę, rzekę rwistą i falującą życiem, dzięki wartkiemu prądowi naczelnego strumienia.

Te dwa lata będą bezsprzecznie w dziejach Austryi zapisane, jako lata odrodzenia katolicyzmu, jako karta renesansu społeczno-religijnego. Pewne zdarzenia, jak ogromny wzrost politycznych stronnictw katolickich, jak ścisłe zjednoczenie polityczne stronnictwa katolicko-konserwatywnego z stronnictwem chrześcijańsko-społecznem, z czego powstała najpotężniejsza partya w parlamencie, wywierająca decydujący wpływ na całe państwo, zdarzenia takie są faktami notorycznymi. Ale jest jeszcze cały szereg objawów, i to na wszystkich prawie polach publicznego życia, które z całym impetem zdążają ku ostatecznej swej ewolucyi, ale jeszcze w nią nie weszły, i stąd dla dalej stojących są mniej widoczne. Prosty rzut oka na cyfry, z historyą tych objawów zwią-

zanych, odsłania imponującą siłę. Aż wierzyć się nie chce, by to wszystko dziać się mogło w Austryi, w tym dotychczas typowym kraju bezczynności i ospalstwa. Że zaś żaden inny kierunek w tem państwie nie może obecnie mierzyć się z potęgą i znaczeniem tego kierunku i na dłuższą metę rzeczy biorąc wcale się nie zanosi, by w przyszłości mógł się zmierzyć — że nadto tak żywotny i tak zaawansowany kierunek, nieprzepartą koleją rzeczy, prędzej czy później, stać się musi wyłącznym panem całej sytuacyi publicznego życia na wszystkich jego polach, — przeto dwa te lata nie można nazwać inaczej, jak momentem przełomowym w Austryi.

Była obecnie chwila, skupiająca w jednem ognisku wszystkie ważniejsze przejawy tego momentu i stąd ułatwiająca niezmiernie ich obserwacyę i ocenę. Był nią wiec katolicki, odbywający się w ostatnich dniach, w drugiej połowie listopada, we Wiedniu.

Wiec sam, jako wiec, wypadł świetnie, ale nie najświetniej. Nie, jakby brakowało większej liczby uczestników, bo tych były masy całe, tysiące, liczniejsze niż na którymkolwiek z poprzednich wieców austryackich. Nie brakowało także między uczestnikami i wybitnych osobistości, owszem, co krok na jakąś wybitność natknąć się musiało. Zapadły także bardzo doniosłe uchwały. Ale brakowało dwu rzeczy, które o zewnętrznej świetności wiecu istotnie decydują: najpierw, z wyjątkiem kilku, nie było na ogół wybitnych mów, a potem, nie było w programie jakiejś nowej, dalej idącej inicyatywy, jakiejś świeższej wybitniejszej idei. Idee wszystkie i plany były znane już z wiecu poprzedniego; na tym wiecu oglądało się tylko ich dalszy ciąg.

Z drugiej jednak strony przyznać należy, że właśnie w tym dalszym ciągu, w tem przeciągnięciu się na ten wiec pomyślnego urzeczywistnienia planów poprzedniego wiecu i powodzeń dwu ostatnich lat, leżało szczególne znaczenie tego wiecu i świetność swojego rodzaju. Co na każdem kroku odczuwało się, jako charakterystyczne znamię, to była siła, potęga, zwycięska pewność siebie, płynąca z rzetelnych sukcesów dotychczasowej pracy i niezłomne przedsiębranie na przyszłość dalszej pracy w tymsamym kierunku.

Taką siłą, nadającą szczególne znamię wiecowi, było najpierw

dominujące znaczenie stronnictwa chrześcijańsko-społecznego. 96 posłów stronnictwa, prezydyum izby posłów i dwa ministerstwa w jego ręku, rada miejska Wiednia z burmistrzem na czele, wszystkie ważniejsze pozycye w krajach niemieckich w Austryi, zajęte przez to stronnictwo, to wszystko nakazuje respekt. To też było widocznem, że w przeciwieństwie do minionych wieców, wiecem tym zajmowała się cała opinia publiczna. Prasa przeciwnych obozów poświęcala dużo więcej miejsca temu wiecowi, niż poprzednim, a mniej nieprzejednana prasa stosowała nawet do wiecu petycye politycznej natury. Najlepiej o tem znaczeniu wiecu na zewnątrz świadczy epizod z mową Luegera o odzyskaniu uniwersytetów, którego echo daleko poza szranki wiecu wybiegło.

Dla stronnictwa chrześcijańsko-społecznego miał ten wiec nawzajem bardzo doniosłe znaczenie. Zjednoczenie polityczne, które między obu stronnictwami chrześcijańskiemi nastąpiło poprzednio, tu na wiecu otrzymało pieczęć ideową. Ludzie i związki obu stronnictw złączyli się tu w nierozerwalnej jedności jako jeden obóz, już nie tylko dla praktycznych celów politycznych, ale z głębi przekonania, na mocy wspólnych zasad i dążności. Nie bez znaczenia też były dla ludzi obu dawnych stronnictw, takie objawy, jak wzajemna i życzliwa wymiana myśli i uczuć, jak widok wzmożonej wskutek zjednoczenia siły lub poczucie korzyści płynące z wzajemnego uzupełniania się temperamentu i rzutkości chrześcijańsko-społecznych z tradycyjnymi przymiotami konserwatystów, — te i tym podobne względy miały swoją wielką wagę. To też między uchwałami wiecu była i ta, by to zjednoczenie było stałem i zmieniło się w jedność, i to nie tylko w polityce, ale wszędzie. Ta uchwała jest ogromnie doniosłą i świadczy nadzwyczajnie dodatnio o wysokim ideowym poziomie konserwatywnych sfer austryackich. Jak wszędzie tak i w Austryi konserwatywne sfery katolickie trzymały się przez dłuższy czas zdala od ruchu katolicko-społecznego, upatrywały w nim nawet grawitacyę ku socyalizmowi. Ewolucya zatem obecna przekonań ogromna i w następstwach swoich pierwszorzędnej wagi. Znika w katolicyzmie austryackim wewnętrzny rozłam, następuje wzmożenie sił

i możność tem intenzywniejszej akcyi przeciw wspólnemu wrogowi.

To był pierwszy sukces i objaw tego wiecu. Na wszystkich zgromadzeniach, we wszystkich obradach, u każdego z uczestników, widoczną była przedziwna jednomyślność w szczerem i energicznem dążeniu do przywrócenia chrześcijańskiego porządku społecznego we wszystkich dziedzinach życia. Żadnych pod tym względem u nikogo nie było restrykcyi, jak to pod pewnym względem miało jeszcze miejsce na przedostatnim wiecu. Wszystkie załamywania się, wszystkie odcienia znikły, nie zostawiając po sobie żadnej rysy, żadnego rozłamu, żadnej połowiczności. Na widowni wiecu był tylko jeden typ, typ konsekwentnego katolika, który musi przywrócić Królestwo Boże na ziemi. I ten charakter tego typu, bynajmniej nie płynął z naiwnego optymizmu, nie liczącego się ze stosunkami, lub z frazeologii, która nie troszczy się o urzeczywistnienie słów. Ci ludzie mają zbyt wybitną indywidualność i zbyt zasłużoną na tem polu przeszłość, by można ich nie brać na seryo. I tu miejsce na obserwacyę, do której szczególniejszą przywiązujemy wagę. O powodzeniu i pomyślnej przyszłości jakiejś akcyi czy kierunku decyduje głównie dzielność kierujących jednostek: I to katolicyzm austryacki posiada dziś w wysokim stopniu. Na wiecu widziało się cały szereg ludzi wybitnych, wyrastających nad powszednią wiarę, z różnych klas społecznych i stanowisk, pracujących w różnych kierunkach i stopniach katolickiej akcyi, począwszy od wodza naczelnego tej akcyi, zbyt znanego jako niezwykła indywidualność w świecie całym, a skończywszy na lokalnych kierownikach związków robotniczych, szkolnych czy prasowych. Widok tak obfitej liczby tak dobranych jednostek sprawiał niezapomniane wrażenie. Musiało się uznać z podziwem, że nagromadził się tu olbrzymi kapitał inicyatywy, energii, talentu, doświadczenia, — co od tego ważniejsze, gorącej miłości wiary i entuzyazmu dla katolickiej sprawy, a co najważniejsze, niezmordowanej pracy, ofiar, zasług i obfitych plonów na polu tej sprawy. Dotychczas na czele katolicyzmu społecznego w świecie stali katolicy cesarstwa niemieckiego. Dziś, trzeba stwierdzić, że katolicy Austryi bynajmniej im nie ustępują.

Tę żywotność i owocność katolicyzmu w Austryi, wykazywał wiec na każdem polu. Weźmy taką doniosłą dla pracy i opinii publicznej sprawę, jak kwestya prasy. Właściwa akcya w tym zakresie zaczęła się dopiero przed dwoma laty; na przedostatnim wiecu założono związek prasowy, tak zwany *Piusverein,* którego celem jest rugowanie złej prasy a wspomaganie dobrej. Głównym środkiem do tego celu są związki, które mają w tym duchu rozwijać agitacyę i zbierać fundusze. Przyznajemy się chętnie, że przy zakładaniu tego związku żywiliśmy pewne wątpliwości w jego powodzenie. Tymczasem rzeczywistość przeszła nawet oczekiwania optymistów. W tych dwu latach powstało siedm centralnych związków dyecezyalnych i dwa krajowe, obejmujące łącznie 302 grup lokalnych, z ogólną liczbą 75.000 członków. Zebrany w tym czasie składkowy fundusz wynosi 366.015 koron. Zgromadzeń agitacyjnych było czterysta. Z zebranego funduszu otrzymały zasiłki dwa organy centralne *Reichspost* i *Vaterland,* cały szereg pism prowincyonalnych, założono nadto biuro prasowe, które w 20 miesiącach rozesłało koło miliona agitacyjnych druków i informacyjnych komunikatów. Że cała ta akcya wydała już dziś znaczne rezultaty, świadczy stosunek liczebny codziennej prasy wiedeńskiej. Stosunek ten jeszcze korzystny dla liberalnej i bezbarwnej prasy, z dniem każdym wskazuje na znaczne wzmaganie się nakładu prasy katolickiej, konserwatywnej i antysemickiej, a po przeciwnej stronie na znaczną zniżkę. Tak potężna do niedawna *Neue Freie Presse* spadła obecnie do nakładu 45.000 egzemplarzy. Na zmiany te wpłynęło przyczyn więcej, swoją jednak cząstkę ma w tem i *Piusverein.*

Te cyfry coś mówią. Ale, ażeby osiągnąć takie rezultaty, przypominamy raz jeszcze, trzeba takich ludzi, jacy tam są. I tak w *Piusvereinie,* prócz inicyatora tego związku, Jezuity ks. Kolba, ciężar całej akcyi dźwigali na swoich barkach głównie dwaj ludzie, hr. Walterskirchen i dr. Hagenauer. Obaj oddali cały swój czas na agitacyę w tej sprawie tak, iż prawie bez przesady powiedzieć można, że tylko w krótkich przerwach, między jednem zgromadzeniem a drugiem, wracali na chwilę do domu. Z powodu tych trudów dr. Hagenauer obecnie ciężko zaniemógł.

Rozwój *Piusvereinu* przeszedł już próbę ogniową i wszedł w to stadyum, gdzie dzień każdy przynosi postępy. Agitacya prowadzona jest dalej z wielkiem powodzeniem; sam wiec był dobrem miejscem agitacyjnem dla świetnej mowy ks. Kolba. W związku z *Piusvereinem* stoi sprawa organizacyi katolickich dziennikarzy, która to organizacya na tym wiecu przyszła do skutku. Dowód to, jak daleko postąpiła już w Austryi specyalizacya katolickiego ruchu społecznego. Z tego względu pouczające są odnośne rezolucye wiecu:

»I. Szósty ogólny wiec katolicki wita z radością założenie organizacyi katolickich dziennikarzy, jako spełnienie wielokrotnie wypowiadanego życzenia naszych katolickich wieców, i oświadcza się za jak najdalej idącem wspieraniem tej organizacyi, która między innemi postawiła sobie za cel: 1) uregulować kwestyę społecznego bytu katolickich dziennikarzy; 2) prowadzić dalsze kształcenie się katolickich dziennikarzy zapomocą instrukcyjnych kursów, przez udzielanie stypendyów na podróże i t. d.

»II. Szósty ogólny wiec katolicki wyraża Związkowi Piusa serdeczną podziękę za urządzenie biura prasowego, które w krótkim czasie zdobyło już sobie wielkie zasługi względem naszej prasy i dla całego naszego katolickiego ruchu — i łączy z tem prośbę, by Związek Piusa łącznie z organizacyą dziennikarzy przystąpił do dalszego rozwoju biura prasowego i stworzył przy temże biurze zawodową szkołę dziennikarską«.

Oto dalszy etap katolickiej kwestyi prasowej.

Sprawa organizacyi katolickich, w różnych swoich formach, postąpiła w Austryi już tak daleko, że tom cały poświęciby jej trzeba. Sam spis sumaryczny związków chrześcijańskich Wiednia tworzy sporą broszurę. Ze szczególniej trafnem omówieniem swojem na wiecu spotkała się katolicka organizacya chłopów, która w Austryi Wyższej i Niższej, w Styryi, Salzburgu, Tyrolu i Vorarlbergu stanowi dzisiaj potęgę, tak wymowną przy ostatnich wyborach — i niezwykle rozszerzona już dzisiaj organizacya katolickich robotników. Cyfry tej ostatniej organizacyi mówią same za siebie. I tak grup organizacyjnych tej organizacyi liczy Austrya Niższa 392 (przed 2 laty 239), Austrya Wyższa 118 (przed 2 laty 80),

Salzburg 41 (przed 2 laty 36), niemiecki Tyrol 95 (przed 2 laty 65), Vorarlberg 23 (przed 2 laty 18), Styrya 107 (przed 2 laty 98).

Głównem dążeniem wiecu było skupianie organizacyi lokalnych w związki centralne, tam, gdzie takich związków jeszcze niema. W tym duchu nastąpiło zjednoczenie licznych organizacyi młodzieży robotniczej w jeden karny obóz, ściśle w duchu chrześcijańsko-społecznym urządzony, jako taki obserwowany z niepokojem przez prasę socyalistyczną a przez uczestników wiecu katolickiego witany z entuzyazmem, jako zapowiedź zwycięskiej przyszłości w walce z socyalizmem. Równie doniosłe znaczenie należy przyznać założonej na tym wiecu państwowej organizacyi kobiet. Może najlepiej na obradach tej organizacyi można było obserwować, jak sojusz sfer konserwatywno-katolickich ze sferami chrześcijańsko-społecznemi jest szczery. Kobiety różnego stanu i zawodu, urzędniczki, nauczycielki, panie z najwyższych sfer, łączyły się bez zastrzeżeń w jedno zwarte ognisko ruchu kobiecego, opartego na zasadach chrześcijańskich. Z uznaniem o chrześcijańskim ruchu kobiecym w Galicyi mówił w czasie tych obrad ks. arcybiskup Teodorowicz.

Zainicyowana na przedostatnim wiecu centralna organizacya, dla całej akcyi katolicko-społecznej w Austryi, postąpiła o tyle naprzód, że, jak zapewniano, posiada już licznych mężów zaufania po miastach i wsiach. Zasługą tej organizacyi jest zbiorowy protest chrześcijańskiej ludności Austryi przeciw zamierzonej ustawie rozwodowej. Gdy zwolennicy tej ustawy zdołali zebrać ledwo 70.000 podpisów, przeciw ustawie protestowało przeszło cztery miliony ludności.

Przejdźmy do sprawy szkolnej, która również na wiecu tym święciła tryumfy. Echo tego tryumfu rozbija się po dziś dzień w parlamencie, po uniwersytetach, na publicznych zgromadzeniach, w prasie. Żydowsko-liberalny obóz Austryi, który z zapartym oddechem śledził przebieg wiecu, tu na tym najważniejszym punkcie uczuł się śmiertelnie ugodzonym. Z tego dotychczas obozu szły hasła i szła akcya »wolnej szkoły«, akcya fanatycznie stronnicza i antyreligijna. Nagle zmieniają się role. Wobec wzrostu potęgi obozu katolickiego, akcya antyreligijnej »wolnej szkoły«

przycicha, natomiast na pierwszy plan wychodzi akcya katolicka i rzuca hasło odzyskania szkół. Wobec takiego stanowiska akcyi katolickiej, obóz antykatolicki musi, jeżeli nie chce być uważanym przez opinię publiczną za nieistniejący, wytężyć wszystkie siły i uderzyć na alarm. W tem leży psychologiczny moment całego konfliktu — a nie w obronie wolności nauki. Wolności nauki katolicki światopogląd wcale nie krępuje, jak z drugiej strony antykatolicki kierunek wcale jej nie daje. Apriorystyczne gnębienie poglądu katolickiego i ludzi ten pogląd wyznających, nie tylko, że nic wspólnego z nauką nie ma, ale właśnie jest krępowaniem wolności nauki. Jeżeli kto w tych stosunkach jest obrońcą wolności nauki, to właśnie katolicyzm. Nie o wolność zatem nauki tu chodzi, ale o walkę dwu obozów, walkę, która na niejednem polu już w Austryi się rozegrała i niejednokrotnie jeszcze rozgrywać się będzie. Związanie z tą sprawą nazwiska Luegera było tylko manewrem politycznym, ażeby rzucić nazwisko, które do żywego cały obóz antykatolicki podnosi. Lueger okolicznościowo tylko w jowialnym dyskursie rzucił zdanie w tej sprawie, i to zdanie, które zlekka tylko dotykało właściwej kwestyi. Zdanie to nie byłoby nawet zwróciło uwagi przeciwników, gdyby za niem nie stały właściwe obrady i uchwały wiecu. Oto one:

»Zjazd katolicki uznaje wychowanie i naukę w naszych szkołach średnich na zasadach ściśle religijnych i patryotycznych, za najważniejszy warunek prawdziwego rozwoju społeczeństwa i państwa. Powodem i źródłem wzrastającej nienawiści religii w przeważnej części naszej młodzieży akademickiej, są przedewszystkiem obojętność i karygodna opieszałość w wychowaniu w szkołach średnich.

»Zjazd wzywa z całym naciskiem ministeryum oświaty, aby poparło religijne, obyczajowe i patryotyczne wychowanie młodzieży w szkołach średnich wspólnie z władzami kościelnemi i aby przy pomocy wszystkich stojących mu do dyspozycyi środków wszelkie w tym względzie karciło zaniedbania.

»Zjazd wypowiada żywe swe oburzenie, że wielu niewierzących profesorów nadużywa wolności nauczania w ten sposób, że swe przekonania i zapatrywania, stojące niejednokrotnie w prze-

ciwieństwie do prawd wiary, miesza do wykładu i na serca młodzieży wpływa w duchu wrogim dla religii, państwa i społeczeństwa.

»Zjazd protestuje energicznie przeciw systematycznemu krzywdzeniu katolicko usposobionych profesorów na uniwersytetach, co się objawia przez przydzielanie im małych kolegiów, a nieraz przy współudziale narodowo-sfanatyzowanej młodzieży. System nieprzyjazny dla religii, panujący na naszych wszechnicach, należy z całą siłą zwalczać i zjazd w rychłem utworzeniu wolnego uniwersytetu, opartego na czysto katolickich podstawach, widzi ważny środek zapobiegawczy.

»Zjazd wita rozwój katolickich korporacyi studenckich, potępia dzikie i tchórzowskie ataki studentów »wolnomyślnych« i wzywa ministeryum oświaty z całą stanowczością do energicznego przeprowadzenia na naszych uniwersytetach prawdziwej akademickiej wolności i pełnego uprawnienia, do którego katoliccy profesorowie i studenci mają pełne prawo«.

Sam energiczny ton uchwał świadczy, że stoją za niemi ludzie, czujący się na siłach. I te siły doprawdy są, i to nie tylko w kierunkach, o jakich mówiliśmy powyżej — ale w zakresie szkolnej akcyi i organizacyi. Sam widok obrad w odnośnych związkach przekonywał o tem. A jaka siła w związkach samych? Związek katolicki nauczycieli, który na tym wiecu rozszerzył się w państwowy związek, liczy w samej Austryi Niższej cztery tysiące członków. Drugi związek, związek szkolny, którego celem jest stworzenie warunków do powstania szkoły wyznaniowej, posiada o wiele potężniejszą organizacyę. A akcya, jaką rozwija, jest wprost zdumiewającą. Rocznie urządza przeszło tysiąc zgromadzeń po całej Austryi, a w ostatnim roku założył 1509 swoich grup parafialnych. W samym Wiedniu liczy obecnie 73 grup. Jeżeli rezultaty tej akcyi nie wyszły jeszcze w pełni na widownię publiczną, to niechybnie wyjdą wkrótce. I bodajby wyszły jak najprędzej. Zupełnie podzielamy wywód, jaki przeprowadzał na wiecu jeden z referentów, że główną przyczyną dzisiejszej powszechnej niemoralności i bezreligijności jest obecna sekularyzowana szkoła. Mało tu pomoże przedmiot religii, choćby najlepiej

prowadzony. Żeby w młodym umyśle mógł się nawiązać zarodek religijnych przekonań, religia musi mu się przedstawić jako podstawa całego życia, a więc w zakresie szkolnym, jako podkład wszystkich przedmiotów, z religią się stykających, a zarazem jako szczere przekonanie wszystkich nauczycieli. Tymczasem dzisiejsza szkoła, spychając religię do roli jednego z przedmiotów, bezwiednie ale tem silniej ryje w umyśle młodzieży odczucie religii jako partykularnego wykładu, który poza obowiązkowemi godzinami nie ma nic wspólnego z innymi przedmiotami, a tem mniej z życiem całem. Później, po skończeniu szkoły, jak zapomina się o tylu innych przedmiotach, tak samo zapomina się i o religii i o związanej z nią moralności.

Koronę tej akcyi szkolnej ma na celu związek uniwersytecki, dążący do założenia katolickiego uniwersytetu w Salcburgu. Silną atrakcyą obrad tego związku jest jego prezes, kardynał Katschtaler, czcigodny starzec, który tej idei całe życie oddał. I dziś widzi już znaczny plon. Dzisiaj Związek ma za sobą cały szereg wykładów i kursów, sporadycznie urządzanych w Salcburgu, posiada obfite zbiory naukowe, bibliotekę liczącą 30.000 tomów, nadto 3 miliony koron funduszu. Jest zamiar, by już w przyszłej jesieni otworzyć jeden, może dwa fakultety. W tej mierze wydaje nam się uzasadnione zdanie tych, którzy nie godzą się na ten pośpiech.

Liczny udział w wiecu brała katolicka młodzież akademicka; co krok nasuwał się na oczy burszowski kaszkiet. Potężnemu zastępowi tej młodzieży można było przypatrzeć się dokładnie na uroczystym komersie akademickim, urządzonym na cześć wiecu. I tu ten sam duch, co na całym wiecu, panował. Jeżeli o tym komersie szczególniej wspominamy, to dlatego, by przytoczyć w całości przemowę, jaką miał minister Gessmann do akademików. Oddaje ona doskonale cały nastrój i kierunek i wiecu i dzisiejszego katolicyzmu w Austryi, i z tego względu, jako typowa, zasługuje na przytoczenie. Przemowa brzmiała:

»Kochani druhowie! Stoimy obecnie w momencie przełomowym dziejów naszej ojczyzny. Wielu z was może jeszcze dziś dzieli wrażenie, że jesteśmy uciskani, deptani, z niejednej pozycyi

wyrzuceni, że nie dzieje nam się słuszność. Przez dziesiątki lat przyjmowaliśmy tę sytuacyę, ale nigdy dobrowolnie nie zgodziliśmy się na nią. Aż oto obecnie przychodzi, jak sądzę, moment, w którym, oparci o własną siłę i dzielność, udowodnimy i udowodnić musimy, że dopuszczanie się na nas bezprawia musi mieć swój kres. (Burzliwe oklaski).

»Usiłowano przedstawić nas, jako mniej wartościowych, jako reakcyjnych wrogów postępu, jako obcych wszelkiej nowoczesnej myśli. Ale właśnie rozwój naszego stronnictwa udowodnił, że to wszystko mija się z prawdą. Stronnictwo, które każdym nerwem tkwi w ludzie, jest zarazem nowoczesnem i stoi na gruncie chrześcijańskiego światopoglądu, który umie pogodzić przeszłość z przyszłością. Wy, przezacni przyjaciele, intelligencya narodu, wy jesteście powołani, być kiedyś jego przywódcami i ująć w ręce losy państwa. Z podniosłem uczuciem patrzę na was. Jest rzeczą oczywistą, że walka, którą dalej prowadzić będziemy, jest nieskończenie ciężką. Jesteśmy dopiero u jej początku a chcemy wytrwać w niej nieustraszenie do końca. Na wielu skroniach naszych ścieli się już szron siwizny — i być może, że obiecaną ziemię tylko z oddali dojrzymy. Wytężymy jednak wszystkie siły, ażebyście wy młodzi weszli do tej ziemi z tryumfem. Do tego jednak potrzeba natężenia wszystkich sił, przyłożenia się całego człowieka — i w tym duchu proszę was, byście pojęli zadanie waszego życia. Nie straćcie nigdy z oczu waszych ideałów i w walce życia nie przepomnijcie nigdy waszej młodości. Każdy z was powinien stać się w przyszłości prorokiem, powinien działać bez oglądania się na względy ludzkie — a w tem wszystkiem życzę wam, moi przyjaciele, więcej poczucia swej siły. My nie jesteśmy mniej wartościowym materyałem, my zarazem nie chcemy żadnych przywilejów, my chcemy tylko równych praw. Całość publicznego życia nie da się już dzisiaj na części rozdzielić; polityka, religijne kwestye i ekonomia łączą się ze sobą w najściślejszym związku. Czujmy się zatem na każdem polu publicznego życia zjednoczeni, a o przyszłość możemy się nie bać. Wyszliśmy już z czasów, w których wielu patrzyło w przyszłość beznadziejnie. Przez cierpliwość i wytrwałość udało

nam się to osiągnąć, na co patrzymy dziś nie z dumą, z pewnem jednak zadowoleniem. (Oklaski). Kiedy myślą obejmuję okres mojej publicznej działalności, lat już przeszło trzydzieści, mimo wszystkich przykrych wspomnień, nie mogę oprzeć się uczuciu radości, że te trudy nie stały się daremne i ofiary nie były bezowocne. A więc pracujcie z nami a przyszłość musi do nas należeć. W tym duchu wznoszę zdrowie katolickiej młodzieży akademickiej — ona kiedyś odegra, ona musi odegrać pierwszą rolę przy nowym rozwoju naszej ojczyzny«.

Nie potrzebujemy mówić, że z końcem mowy sala zamieniła się w burzę entuzyazmu.

Oto jest ten duch, z jakim obecnie katolicy austryaccy pracują we wszystkich kierunkach. Razem z wiecem obradowało równocześnie dwadzieścia różnorodnych związków — wszędzie, o ile udało nam się tu i tam zaglądnąć, tensam duch panował. Czy w literacko naukowem stowarzyszeniu Leonowem, czy w apologetycznym związku św. Bonifacego, czy w korporacyach dobroczynnych lub czysto religijnych, czy w zawodowych związkach.

Smutno było, kiedy to natężone życie katolickie, wszystkie jego objawy i związane z niemi cyfry, przyszło porównać ze stanem katolicyzmu u nas. W tem zestawieniu wydał się nasz katolicyzm bardzo nikły, niejasny, lękliwy — prawie że nieistniejący w atmosferze społecznej. Wysiłków, by stan ten zmienić, nie brakowało i u nas, lecz jakiż ich wynik?

Ale z tego zestawienia płynęła i otucha. Przed niedawnym jeszcze czasem nie było lepiej i w Austryi, i tam niejeden wysiłek przemijał na pozór bezowocnie. Na pozór — bo żadna praca i żaden wysiłek nie mogą bez skutku pozostać. Te trudy i zabiegi wydały kilku dzielnych ludzi, którzy następnie słabe zaczątki rozwinęli w potężne dzieło. Gdyby nie Lueger, nie byłoby dzisiaj tej potęgi katolicyzmu austryackiego — ale i prawdopodobnie nie byłoby katolickiego Luegera bez uprzednich prac i trudów.

W tem też nazwisku streszcza się dzisiaj siła Austryi i nowy jej okres.

Ks. J. Pawelski.

POD AKROPOLEM I NA AKROPOLU.

Powitanie Athen. — Wczorajszy wieczór w Patras. — Historya, jakich wiele. — O dzisiejszych Grekach. — Resinato. — Koleją z Patras. — Zatoka Koryncka. — Ajgion. — Zagłada miasta Helike. — Ojczyzna Lysippa i Pausiasa. — Enkaustyka. — Przekop Koryncki. — Strabo o Krommionie. — Megaris. — Skały Skirońskie w naturze i w mitach. — Miasto Megara. — Lykabettos i Akropolis. — Geografia Attyki i położenie Athen. — Plan miasta. — Kapnikarea i Panagia Gorgòpiko. — Charakter Athen. — Fijołki i Athenki. — Typy ludności. — Kafeniony, fustanelle i różańce. — Co Grecy mówią o swoim królu. — »Lustros!« — Kultura nowogrecka wobec Antyku. — Jego duchowe i ekonomiczne znaczenie dla narodu. — *Quis sustinebit?*. — Akropol z mojego okna. — Brama Beulejska i wejście pod górę. — Nike Apteros i Propylaje. — Widok poprzez kolumnadę na góry i morze. — Parthenon, kolory marmurów i nieba. — Muzyka kolumn. — Godzina szczęścia. — Erechthejon. — Rozmowy dziewcząt kamiennych.

Atheny, 16 marca.

Athene boską stopą depcąc ziemskie wzgórza,
Nad miastem swojem staje, gdzie srebrne oliwy
Z wiatrem wieczornym gwarzą w swej zieleni siwej
I winnicami górskie stroją się podnóża.

Promienny wóz Heliosa w morzu się zanurza
I różowi bogini szyszak złotogrzywy
I w tarczy jej spiżowej nieci blask łyskliwy
I siny cień jej włóczni po ziemi wydłuża.

Świetlany wzrok Atheny skrami dumy tryska:
W jej gród, co się białością kolumn opromienia
I w zórz purpurze świątyń marmurami błyska,

Po tysiącach lat przyjdą ludzkie pokolenia,
Przez łzy poglądać będą na święte zwaliska
I Piękności w nich boskiej szukać — i natchnienia.

Wzruszony, pełen tęsknoty i oczekiwania, stanąłem tu dzisiaj po południu. Naprzemian wzbierały we mnie nadzieje i niepokoje, czy odnajdę wyśnioną w marzeniach, sercem umiłowaną tę piękność klasyczną, której pragnienie z tak daleka tutaj mnie przygnało? Czy wielka, dawna Grecya, zaklęta w ruiny świątyń i rzeźb odłamy, wskrześnie i stanie przedemną? Czy zdołam ją wywołać, a wywoławszy pojmę i uchwycę?

Wysiadszy z wagonu, w pierwszej chwili miałem ochotę zostawić wszystko i biedz na Akropol. Wstrzymało mnie słońce mdłe i znacznie już obniżone. Oglądać szczątki tych wspaniałości dorywczo, w niepełnem świetle, zmęczony podróżą? Lepiej zaczekać do jutra. Wynalazłem sobie tedy mały, schludny, słoneczny pokoik w jednym z hoteli na ulicy Stadionu, bardzo wysoko — co prawda — lecz za to z drzwi balkonowych i z terasy mam widok na Akropol, wzgórza Pnyxu i południową część miasta. Rozpakowałem się, wykąpałem, poczem ostatek dnia przeznaczyłem na rozejrzenie się w Athenach.

Teraz, późnym wieczorem siadam do zapisków podróżnych. Nie pominę wrażenia, które na mnie wywarł wieczór w Patras u p. Zygmunta Mineyki. Miałem doń list i pozdrowienie z Krakowa. Nie trudno mi go było znaleźć, bo tam wiedzą wszyscy, gdzie mieszka stary Μινείκος i jego syn, ἴατρος Στανισλάος.

W tym polsko-greckim domu doznałem serdecznego przyjęcia. Krępy, krzepki staruszek powitał mnie jak najbliższego krewniaka. Słowiańskie siwe oczy zaszły mu łzami, uściskał mnie i zaczął śpiewnym, litewskim akcentem:

— Polak u nas, panie, to i w domu wielkie święto. Za językiem stęskniłem się; żona Greczynka, dzieci po polsku nauczyć nie mogłem, bo jako inżynier kolejowy zawsze jestem w rozjazdach. Ale oni Polskę kochają i znają. Żona z synem była w kraju, w Warszawie i u nas na Litwie. Ja nie mogę: po 63 roku skompromitowany. Dwie córki wydałem za Polaków tu, w Grecyi; zięciowie po polsku je nauczą...

Na ścianach sztychy z obrazów Matejki, herby polskie, książę Józef i Kościuszko, a nadewszystko w całym domu i w duszy gospodarza jakieś tchnienie ojczyzny: ktoby nie wiedział, tenby

w naszym klimacie prędko się psuje. Zobaczy pan wszędzie po lasach drzewa szpilkowe z pasami kory zdartej do wysokości dwóch metrów. Żywicę zbierają i jedno jej oko wlewają do stu ok wina. W Athenach i wogóle na północy silniej wino resinują niż u nas w Peloponnezie.

Wywody o korzyściach dodawania żywicy do wina niezbyt mnie przekonywały: za każdym łykiem czułem ostry, garbnikowy posmak po winie zresztą wybornem, tak, że pić mogłem jedynie pół na pół z wodą.

Przypomniało mi to, że przecie i klasyczni Grecy nie pijali wina inaczej, jak do połowy z wodą; kto używał samego, za pijaka uchodził. Win cięższych niż obecnie, Grecya chyba wówczas nie rodziła; obecne zaś wino greckie nieresinowane, a do połowy roztworzone wodą, jest mdłą, cieniutką lurą. Więc kto wie, czy może i w starożytności nie resinowano wina? Powodem mogła być, tak samo jak teraz, większa trwałość napitku, przechowywanego wówczas w bukłakach skórzanych i w glinianych kadziach. Takie przypuszczenie tłumaczyłoby, skąd się bierze piniowa szyszka na bakchicznym tyrsosie. A jednak trudnoby je było podtrzymać, bo w żadnym pisarzu klasycznym nie pomnę wzmianki o winie zaprawianem żywicą.

Późnym wieczorem, żegnany przez wszystkich najserdeczniej, poszedłem do hotelu. Młody, bardzo miły doktor Stanisław Mineyko po bramę mnie odprowadził.

Dziś rano przed 7-mą wyjechałem z Patras koleją. Z wczorajszego towarzystwa na statku podróżuje ze mną tylko p. B. niemiecki dyrektor gimnazyalny. Wykształcony bardzo, z literaturą, zwłaszcza klasyczną, dokładnie obeznany, starożytnej Grecyi zapalony wielbiciel, a przytem w obejściu nader miły i prosty, jest mi pożądanym towarzyszem.

Ranek nieco chłodny, lecz pogoda słoneczna. Droga żelazna biegnie ciągle wzdłuż morza. Kopuła niebios na szczycie ma barwę głębokiego lazuru, dołem przechodzi w jasny błękit i wspiera się po tamtej stronie zatoki Korynckiej na pasmie gór, ponad któremi panuje Tafiasos, dzisiaj zwany Klokowa. Na płowych stokach czernieją smugi lasów, schodzące w dół aż ku morzu; na

szczytach leżą wielkie czapy śniegu; zrazu myślałem, że to zwały gęstych, białych obłoków. Morze w dali szafirowe, bliżej mieni się w pawie kolory, u brzegu zaś, tuż pod oknami wagonu błyszczy przeźroczystą jakby szklaną zielenią.

Po godzinie stajemy w Wosticy, dawnym Ajgionie, który był głównem miastem Achai. Tu, w gaju zwanym Homarion, odbywały się zebrania plemion achajskich. Aratos, poeta późny aleksandryjskiej epoki życia tutaj dokonał. Jego poemat o zjawiskach niebieskich, *Foenomena*, przełożył Jan Kochanowski. Nieco dalej, za ujściem rzeki Selinus leżała nad samym brzegiem Helike, według podań założona przez Iona, słynna świątynia Posejdona Helikoniosa. W r. 373 przed Chr. podczas okropnego trzęsienia ziemi całe miasto w jedną noc bez śladu zapadło się w morze. Pausanias przypisuje zagładę Heliki gniewowi Posejdona, za to, że zbiegów i przestępców szukających w świątyni ochrony, mieszkańcy wywlekali i na śmierć wydawali. Zniszczeniu także uległo miasto sąsiednie Bura, lecz odbudowało się później. Teraz nieopodal Wosticy są jeszcze jego zwaliska.

Patrząc na ciche, lekko pomarszczone wody szmaragdowej zatoki Korynckiej, trudno wierzyć, że kiedyś pochłonęła całe miasto z mieszkańcami, gmachami, świątyniami. Wygląda to na baśń straszną i dziwaczną. A jednak tam, na dnie gdzieś, może sterczą podwodne zwaliska, po kolumnadach zawalonych snują się ryby morskie i potworne głowonogi, a słone fale żrą i gryzą marmur potrzaskanych płaskorzeźb...

Długo jeszcze zajmowaliśmy się losami Heliki, patrząc na czarodziejską grę nurtów morskich, które tymczasem rozlewały się coraz to szerzej. Północne wybrzeże oddalało się i bladło, aż wkońcu zniknęło nam z oczu. Rozkoszowałem się widokiem nieprzejrzanych, słońcem wyzłoconych odmętów, gdy towarzysz mój zwrócił mi uwagę na czarne obeliski cyprysów, których gaje melancholijny urok nadają okolicy miasteczka Xylokastro. Bujny to kraj. Godzinami jedziemy przez winnice. Z czerwonawej ziemi rzędami sterczą dziwnie powykręcane, bezlistne jeszcze winorośle. Na zimę zakopane były w gruncie prawie całe, teraz widać ludzi, którzy je dobywają na wierzch, a ziemię pomiędzy niemi zgarniają

w naszym klimacie prędko się psuje. Zobaczy pan wszędzie po lasach drzewa szpilkowe z pasami kory zdartej do wysokości dwóch metrów. Żywicę zbierają i jedno jej oko wlewają do stu ok wina. W Athenach i wogóle na północy silniej wino resinują niż u nas w Peloponnezie.

Wywody o korzyściach dodawania żywicy do wina niezbyt mnie przekonywały: za każdym łykiem czułem ostry, garbnikowy posmak po winie zresztą wybornem, tak, że pić mogłem jedynie pół na pół z wodą.

Przypomniało mi to, że przecie i klasyczni Grecy nie pijali wina inaczej, jak do połowy z wodą; kto używał samego, za pijaka uchodził. Win cięższych niż obecnie, Grecya chyba wówczas nie rodziła; obecne zaś wino greckie nieresinowane, a do połowy roztworzone wodą, jest mdłą, cieniutką lurą. Więc kto wie, czy może i w starożytności nie resinowano wina? Powodem mogła być, tak samo jak teraz, większa trwałość napitku, przechowywanego wówczas w bukłakach skórzanych i w glinianych kadziach. Takie przypuszczenie tłumaczyłoby, skąd się bierze piniowa szyszka na bakchicznym tyrsosie. A jednak trudnoby je było podtrzymać, bo w żadnym pisarzu klasycznym nie pomnę wzmianki o winie zaprawianem żywicą.

Późnym wieczorem, żegnany przez wszystkich najserdeczniej, poszedłem do hotelu. Młody, bardzo miły doktor Stanisław Mineyko po bramę mnie odprowadził.

Dziś rano przed 7-mą wyjechałem z Patras koleją. Z wczorajszego towarzystwa na statku podróżuje ze mną tylko p. B. niemiecki dyrektor gimnazyalny. Wykształcony bardzo, z literaturą, zwłaszcza klasyczną, dokładnie obeznany, starożytnej Grecyi zapalony wielbiciel, a przytem w obejściu nader miły i prosty, jest mi pożądanym towarzyszem.

Ranek nieco chłodny, lecz pogoda słoneczna. Droga żelazna biegnie ciągle wzdłuż morza. Kopuła niebios na szczycie ma barwę głębokiego lazuru, dołem przechodzi w jasny błękit i wspiera się po tamtej stronie zatoki Korynckiej na pasmie gór, ponad któremi panuje Tafiasos, dzisiaj zwany Klokowa. Na płowych stokach czernieją smugi lasów, schodzące w dół aż ku morzu; na

szczytach leżą wielkie czapy śniegu; zrazu myślałem, że to zwały gęstych, białych obłoków. Morze w dali szafirowe, bliżej mieni się w pawie kolory, u brzegu zaś, tuż pod oknami wagonu błyszczy przeźroczystą jakby szklaną zielenią.

Po godzinie stajemy w Wosticy, dawnym Ajgionie, który był głównem miastem Achai. Tu, w gaju zwanym Homarion, odbywały się zebrania plemion achajskich. Aratos, poeta późny aleksandryjskiej epoki życia tutaj dokonał. Jego poemat o zjawiskach niebieskich, *Foenomena*, przełożył Jan Kochanowski. Nieco dalej, za ujściem rzeki Selinus leżała nad samym brzegiem Helike, według podań założona przez Iona, słynna świątynia Posejdona Helikoniosa. W r. 373 przed Chr. podczas okropnego trzęsienia ziemi całe miasto w jedną noc bez śladu zapadło się w morze. Pausanias przypisuje zagładę Heliki gniewowi Posejdona, za to, że zbiegów i przestępców szukających w świątyni ochrony, mieszkańcy wywlekali i na śmierć wydawali. Zniszczeniu także uległo miasto sąsiednie Bura, lecz odbudowało się później. Teraz nieopodal Wosticy są jeszcze jego zwaliska.

Patrząc na ciche, lekko pomarszczone wody szmaragdowej zatoki Korynckiej, trudno wierzyć, że kiedyś pochłonęła całe miasto z mieszkańcami, gmachami, świątyniami. Wygląda to na baśń straszną i dziwaczną. A jednak tam, na dnie gdzieś, może sterczą podwodne zwaliska, po kolumnadach zawalonych snują się ryby morskie i potworne głowonogi, a słone fale żrą i gryzą marmur potrzaskanych płaskorzeźb...

Długo jeszcze zajmowaliśmy się losami Heliki, patrząc na czarodziejską grę nurtów morskich, które tymczasem rozlewały się coraz to szerzej. Północne wybrzeże oddalało się i bladło, aż wkońcu zniknęło nam z oczu. Rozkoszowałem się widokiem nieprzejrzanych, słońcem wyzłoconych odmętów, gdy towarzysz mój zwrócił mi uwagę na czarne obeliski cyprysów, których gaje melancholijny urok nadają okolicy miasteczka Xylokastro. Bujny to kraj. Godzinami jedziemy przez winnice. Z czerwonawej ziemi rzędami sterczą dziwnie powykręcane, bezlistne jeszcze winorośle. Na zimę zakopane były w gruncie prawie całe, teraz widać ludzi, którzy je dobywają na wierzch, a ziemię pomiędzy niemi zgarniają

w kopczyki. Z winogron tych robią słynne korynckie rodzynki. Gdzieniegdzie srebrzą się szare oliwy, do wierzb naszych tak podobne; czasem, jak śnieżna piana, zabielą się kwitnące sady. Pociąg przelatuje co chwila przez mosty, pod którymi z szumem walą się do morza górskie strumienie, wezbrane wiosennemi wodami. Największa z tych rzek, to starożytny Asopos.

— Nad jego brzegami, w tamtej stronie — mówi towarzysz mój, wskazując ku północy — leżą ruiny Sykionu. Pierwotnie miasto nazywało się Ajgialeja. Sykion odegrał niemałą rolę w kulturze greckiej. Miał kopalnie miedzi w dolinie Asopu i słynął wyrobami kruszcowymi, osobliwie zaś odlewaniem spiżowych posągów i to już pod koniec VI w.

— Wszak lanie spiżu pochodziło z Azyi? — zapytałem.

— Niezawodnie; Grecy na wyspie Samos już w VII wieku nauczyli się tej sztuki. Lecz w Helladzie właściwej pierwszy Sykion doprowadził ją do doskonałości.

— Teraz pojmuję dlaczego stąd właśnie pochodził Lysippos, taki mistrz w bronzie. Aleksander posągi swoje wyłącznie jemu robić pozwolił w spiżu, a w marmurze Pyrgotelesowi, podobnie jak malować dawał się jedynie Apellesowi. I przed Lysippem kwitła w Sykionie szkoła rzeźbiarzy w bronzie, taki Kanachos...

— A malarstwo? — przerwał dyrektor.

— W malarstwie odznaczył się później Sykończyk Pausias, który był wynalazcą nowej techniki, enkaustycznej — dodałem.

— Na czem właściwie polega enkaustyka? — zapytał dyrektor. — Wiem, że to malowanie farbami woskowemi, ale tych używano już dawniej, rozprowadzając je pendzlem.

— W enkaustyce — odpowiedziałem — nakłada się farby woskowe płaskiem dłótkiem i przechodzi się po nich rozpalonym rylcem, wskutek czego zyskują na głębokości barw i na blasku, a także i na trwałości.

Stanęliśmy w Kolombozi, skąd widać było potężny Akrokorynt w całym majestacie. Pod nim na wyżynie leżał niegdyś Korynt, ale napróżno wypatrywaliśmy ruin miasta — nie dojrzeć

ich z pociągu. Pocieszam się myślą, że po drodze do Olympii zwiedzę je dokładnie. Pomiędzy Kolombozi a Nowym Koryntem było Lechajon, port Koryntyan, teraz po nim ani śladu.

Za nowym Koryntem jest niewielki cmentarz, od którego w głąb Isthmu ciągnie się słynny mur zamykający niegdyś międzymorze od końca do końca. Szczątki z niego sterczą jeszcze gdzieniegdzie. Kolej przecina go i po żelaznym, wielkim moście przelatuje przez kanał Koryncki. Czekaliśmy na tę chwilę, by się przypatrzeć wielkiemu dziełu nowożytnej techniki. Niemal prostopadłe dwa brzegi, głębokie na kilkadziesiąt metrów, pomiędzy nimi płynie dołem jakby rzeka długa i prosta, której oba końce uchodzą do dwóch mórz. Istotnie zdumiewający widok!

Niebawem ukazuje się zatoka Sarońska czyli Ajgińska. Jedziemy ciągle wzdłuż jej brzegów. Gdzie teraz osada Hagios Theodoros, było starożytne Krommion. Mit opowiada o straszliwej samurze krommiońskiej, co ludzi pożerała, póki Thezeusz nie uwolnił kraju od tej plagi.

— Pamięta pan, co Strabo pisze o Krommionie? — zapytał mój towarzysz. — Widział on tu słup graniczny, prastary, na którym z jednej strony był napis: »To jest Peloponnez, a nie Jonia«; a na drugiej: »To jest Jonia, nie Peloponnez«.

— Wszak prawda, że cały ten piękny kraj, to już Megaris dawna? Wydzierali ją sobie kolejno Koryntyanie i Atheńczycy. Niezależna przez jakiś czas, miała i ona swój okres potęgi, zakładała kolonie nad Bosforem, jak Byzantion, nad Pontem Euxyńskim, w Sycylii... Wtedy Salamina chwilowo należała do Megary.

— Salamina... to przecie ją tam widzimy w dali — przerwał mój towarzysz, ukazując wyniosłe wzgórza, sterczące ponad morzem; ja brałem je dotąd za wybrzeże przeciwne!

Z mapy doszliśmy, że to istotnie przesławna wyspa. Ostro wyrzeźbione jej kontury w południowem słońcu rysowały się coraz dobitniej.

— Bitwa rozegrała się z tamtej strony wyspy, na wodach oblewających attyckie wybrzeże. Nie pojedziemy tamtędy, bo

kolej począwszy od Elusis w głąb lądu się zwraca. Lecz pokażę panu za to co innego: przejeżdżamy teraz popod skały Skirońskie.

To mówiąc dyrektor począł wyglądać na przeciwną stronę, a ja poszedłem za jego przykładem. Przed nami tuż wystrzelały ku niebu strome, pogruchotane i podarte ściany skał olbrzymich. W ich szczerbach i rozpadlinach czepiały się korzeniami pochyłe drzewa i splątane zarośla, których ciemna zieleń odbijała od żółtawych głazów. Miejscami od samego szczytu zbiegały w dół głębokie rozpadliny, któremi sączyła się woda. Dzika groza tych skał i czeluści odbiła się w podaniach starożytnych. Tu czatował na przechodniów okrutny olbrzym, Skiron, a kogo pochwycił, strącał w morze, kędy pod brzegiem ciałami ludzkiemi żerował potworny żółw. I znowu Thezeusz ateński zgładził tego dziewięsiła, zepchnąwszy go w odmęty.

Do najwyższej z tych skał i najstromszej przywiązany jest inny mit, jeszcze może piękniejszy. Kiedy Semele thebańska, córa Kadmosowa powiła Zeusowi Dyonysosa, w obawie przed zazdrością Hery oddała boskie dziecię na wychowanie swej siostrze, Ino, królowej Orchomenu, żonie Athamasa. Mściwa Hera spuściła obłęd na króla za to, że śmiał do swego domu przyjąć syna Semeli. Szalony Athamas na żonę i własnego syna Melikerta się rzucił. Uciekała tedy Ino z dziecięciem swem na ręku, a gdy Athamas nie ustawał w pogoni, rzuciła się z Melikertesem ze skał Skirońskich w morze. Odtąd oboje doznawali czci jako bóstwa morskie, ratując rozbitków: ona, pod imieniem Leukothei, on pod nazwą Palajmona. Ciało Melikerta wyrzuciły fale aż pod Koryntem, gdzie go pogrzebano, a z gonitw odprawionych przy tym pogrzebie miały powstać igrzyska isthmijskie.

Wpośród pól i gajów oliwnych bieli się na wzgórzu miasto Megara. Dwie akropole posiadało niegdyś, Alkathoo i Karię, a nadto i port Nisaję. W ósmym roku wojny peloponneskiej, gdy Megarejczycy od Sparty przerzucili się na stronę Athen, połączyli Atheńczycy ten port warowny z miastem dwoma obronnymi murami, na wzór pejrejskich a Nisaję wojskiem swem obsadzili. Z portową twierdzą łączyła się mostem warownia na przybrzeżnej wysepce Minoi. Wybiwszy się z pod przewagi Athen,

Megara zburzyła owe mury, lecz Fokion odbudował je znowu. Zakwitła tu w V w. filozoficzna szkoła Euklidesa. Rozżalony o śmierć mistrza swego Sokratesa, Platon Atheny opuścił i przebywał czas jakiś między megarejskimi filozofami, którzy nań swój wpływ poniekąd wywarli. Nie miała jednak Megara dobrego mniemania u ludów helleńskich. Mieszkańcy jej za lud niegodziwy uchodzili, jak w średniowiecznej Italii Genueńczycy. Może na charakter ich oddziałało i to, że nigdy nie mieli spokoju, narażeni na ustawiczne pochody wojsk przeróżnych. Ale choć przewrotność Megarejczyków poszła w przysłowie u innych narodów, to niemniej cała Grecya oddawała sprawiedliwość sławnej tutejszej cebuli; dziś licha mieścina i tem nawet nie słynie.

I znowu wielkie imię: Eleusis. Kiedyindziej zajmowałyby mnie z pewnością wspomnienia tajnych uroczystości eleusyjskich, ale teraz... teraz Atheny ukażą się może lada chwila, może za garbami pagórków zarysuje się na tle nieba gdzieś w dali dumna Akropolis!...

— Obaj nie możemy się jej doczekać, wyzieramy gorączkowo to jednem oknem to drugiem.

— Jest! Widać ją! — woła mój towarzysz.

Nie zapomnę przykrego wrażenia: więc ów ostry, wysoki stożek o wązkim szczycie, na którym bieleje niewielka jakaś budowla, to ma być Akropol atheński? Gdzież pomieścić tam się mogły te wszystkie gmachy i świątynie?

Myliliśmy się: to Lykabettos. Akropol widnieje odeń na prawo; barczyste i strome wzgórze skalne, z szerokiem czołem w dyademie kolumnad, przez które świeci błękit nieba. Tak, to ona, ta góra na świecie jedyna, szczyt najwyższej piękności, do jakiej wzbił się duch ludzki.

Patrzę... patrzę i obraz atheńskiego grodu zaszklił mi się w oczach łzami...

* * *

Nazwa kraju, Attyka — ἡ Ἀττική, pierwotnie Ἀκτική, — pochodzi od wyrazu ἀκτή, oznaczającego wybrzeże morskie. Spojrzyjmy na mapę: Attyka, to wydłużony trójkąt. Wierzchołek jego,

skierowany ku południowi tworzy przylądek Sunion. Ku północy, szeroką podstawą trójkąt attycki wiąże się z Bojotią, na granicy tej rozsiadły się dwa łańcuchy górskie: w zachodnio-północnem narożu Kithajron, we wschodnio-północnem Parnet (dziś Ozea). Kithajron dziki, poszarpany uchodził w starożytności za główną siedzibę bogiń kary, Eumenid, w thebańskiem podaniu rodzice wysadzają tam Ojdipa nowonarodzonego. Najwyższym szczytem Kithajronu jest Elateos (1413 m.). Parnet miejscami dosięga także 1400 m. Inne pasma gór, przecinających Attykę nie dochodzą już tej wysokości. Na zachodzie jedne z nich, zwane górami Ikaryjskiemi, zbiegają z Kithajronu, rozgraniczają Attykę od Megarydy i dochodzą aż do zatoki Eleusyjskiej i nawprost północnych wybrzeży wyspy Salaminy bodą morze dwoma skalistymi przylądkami, które starożytni zwali Κέρατα, czyli Rogi. Równolegle niemal do gór Ikaryjskich ciągnie się z północy na południe pasmo wzgórz t. zw. Ajgaleos, opadający ku morzu nieopodal Pejrajskiego portu. I znowu równoległa do tamtych linia górska idzie od przylądka Kawuras, dawniej Zoster, ku północy: to Hymettos wonny tymiankiem i sławny miodami. W jego przedłużeniu, na południe od Parnesu dźwiga się na 1110 m. Brylettos, od sąsiedniej gminy Pentele, Pentelikonem zwykle nazywany, bogaty w kopalnie białego marmuru. Ku południowemu wierzchołkowi attyckiego trójkąta są wreszcie góry Laurionskie, obfite niegdyś w rudę srebrną; ich najdalszym wyskokiem w morze jest Kap Kolonas, starożytny Sunion. Na tym wapiennym kośćcu skalnym potworzyły się w przeddziejowych epokach trzy rodzajne równiny: w zachodnio-południowym kącie Eleusyjska, istne spichrze dawnej Attyki, położone nad zatoką Salamińską, pomiędzy górami Ikaryjskiemi a pasmem Ajgaleosa; środkowa między tym ostatnim z jednej strony, a Hymettem i Pentelikonem z drugiej; południowo-wschodnia, zwana Śródziemiem, czyli Mesogają, między Hymettem a Laurionem. Geologowie tłumaczą powstanie tych równin współdziałaniem dwóch równocześnie czynników: jednym było morze, którego namuły wypełniały stopniowo zatoki i wgłębienia w kamiennym szkielecie lądu, drugim — wpływ całych pokładów ziemi, znoszonych z gór wodami wiosennemi.

Atheny rozsiadły się na środkowej równinie, która niegdyś nosiła miano Kekropejskiej. Słabo nawadnia ją Kefisos, niewielka rzeka wypływająca w Pentelikonie; zabrawszy strumienie z Parnasu przepływa ona w zachodnio-północnej stronie miasta i do morza wpada obok starego portu Faleronu. Mniejszy potok Ilissos ma źródła w Hymecie, bierze w siebie z prawej wody małego strumyka Eridanu i okrążywszy miasto od południa, gubi się w równinie. Od wschodu granicę dawnych Athen zakreślał Lykabettos, od zachodu, wzgórki Pnyxu i Musajonu tak, iż pagór Akropoli z przyległemi skałami Arejopagu leżał prawie w pośrodku miasta. Dzisiejsze, rozleglejsze od starego, przesunęło się znacznie na północ i wschód ku Lykabettowi, podczas gdy okolica, kędy leżała starożytna dzielnica Limnai, na południe od góry zamkowej, jest obecnie pustkowiem.

Atheny mają charakter zupełnie nowoczesny; mieszkańców liczą do 130.000, bez Pejrajosa, który jest odrębnem miastem handlowo-przemysłowem. Najlepszą miarą szybkiego rozwoju stolicy może być przyrost ludności, która potroiła się w przeciągu niespełna pół wieku. Najdawniejsze dzielnice, zamieszkane przez uboższą warstwę, pobudowały się wzdłuż północnych stoków Akropolu, gdzie niegdyś była część najprzedniejsza starożytnego miasta. To też wpośród krzywych i ciasnych zaułków ostały się tam szczątki dawnych Athen i to przeważnie z późnej, grecko-rzymskiej doby lub średniowiecza. Jako północną granicę tych dzielnic przyjąćby można prostą, długą ulicę Hermesa, która przecina miasto ze wschodu na zachód. Rozszerza się ona w połowie, tworząc miejsce dla bardzo charakterystycznej cerkiewki byzantyńskiej podobno z IX w., zwanej *Kapnikarea*. Stamtąd warto zboczyć o kilkadziesiąt kroków na niewielki placyk, na którym obok nowej, okazałej katedry stoi *Panagia Gorgòpiko*, czyli dawna katedra. Maleńka ona, tak, iż rozmiarami przypomina kościółek św. Wojciecha na krakowskim rynku, a ma być najdawniejszą świątynią chrześcijańską na ziemi greckiej, bo datuje na pewne z początków IX stulecia. Zbudowana jest z odłamków klasycznych i byzantyńskich: fryzy, kapitele, szczątki architrawu

z głowami byków, okruchy różnych płaskorzeźb stanowią istne muzeum w ściany odwiecznego kościółka wmurowane.

Wschodni koniec ulicy Hermesa wychodzi na Plac Konstytucyi, zwanej tutaj krótko *Syntagma.* Przeciwną stronę placu zamyka pałac królewski, rozległy, brzydki gmach wśród prześlicznych ogrodów.

Od Akropolu ku północy, krzyżując się z ulicą Hermesa pod kątem prostym, biegną równolegle dwie główne arterye kupieckiego ruchu, wielkie ulice Atheny i Ajola. Pierwsza z nich mija gwarne hale targowe i teatr miejski, poczem uchodzi na Plac Zgody, *Omonia;* druga, przedłużona pod nazwą ulicy Patisii prowadzi dalej na północ ku Szkole Politechnicznej i Muzeum Narodowemu. Do Placu Omonii, którego środek zajmuje piękny, okrągły trawnik wysadzony palmami, zbiegają się ze wszech stron główne ulice Athen. Połączenie między Omonią a Placem Konstytucyi stanowi szeroka, prosta ulica Stadyonu, skierowana ku południowemu wschodowi. Równolegle do niej ciągną się dwie najwspanialsze ulice, Uniwersytecka i Akademicka. Wszystkie bez wyjątku wzniesione tutaj budynki publiczne i zakłady naukowe silą się na styl klasyczny nawet z pewnem powodzeniem; doryckie i jońskie kolumnady z białego marmuru, fryzy, tryglify, metopy wiernością naśladownictwa wzruszają wprawdzie, lecz narażone są na zabójcze porównanie z wielkimi pierwowzorami — cóż jednak było począć? Inne style sprawiałyby w Athenach wrażenie czegoś obcego.

Miasto bardzo miłe i ładne na ogół. W znaczniejszych dzielnicach wiele domów ma cały front wyłożony marmurem pentelickim; kogo nie było stać na to, przynajmniej odrzwia, obramienia okien i ozdoby dał marmurowe, ściany zaś dostroił malując je na biało. Dzięki temu ważniejsze ulice mają pogodny, świąteczny jakiś nastrój. Kwiatów tutaj wszędzie w bród, przekupnie na ulicach mają ich kosze całe na przedaż, osobliwie mnóstwo prześlicznych fijołków. Przypomniał mi się na ten widok Arystofanes, który w uniesieniu nad miastem rodzinnem, wołał:

Wieńcem fijołków strojne, słoneczne, bez ceny!
O, Hellady przedmurze, wy nasze Ateny!

W tutejszym ulicznym ruchu szczególnie uderza niestosunkowo mała ilość kobiet. Athenka, jak mi tłumaczono, zdaje się pod wpływem obyczaju wschodniego, więcej przesiaduje w domu, niż kobiety w innych miastach europejskich; nawet dziewcząt służących, które gdzieindziej biegają za sprawunkami, tutaj spostrzedz można niewiele, natomiast pełno sklepowych podrostków i chłopaków, którzy najczęściej z gołą głową i przepasani fartuchem odnoszą dostawy do domów. Jak wszędzie na południu, gdzie wieczór jest porą obiadową, dochodzi tu ruch do szczytu w godzinach przedwieczornych. Na chodnikach oświetlonych wystawami sklepowemi czyni się rojno i gwarno, a przepełnione omnibusy rozjeżdżają się we wszystkich kierunkach. Wówczas można wśród licznego tłumu widzieć i kobiety pod ramię z mężem lub ojcem wracające z krótkiej przedobiedniej przechadzki. Ale zarówno wśród kobiet jak mężczyzn upatrywałem daremnie śladów klasycznego typu. Nie brak wprawdzie urody, ale to piękność innego zgoła rodzaju, niehelleńska. Ostre, niezbyt umiarowe rysy, profile wydatne, cienko zakreślone, płeć oliwkowośniada przy włosach czarnych jak heban, oczy zwykle przepyszne, wielkie, ciemne, świecące wilgotnym jakimś blaskiem z pod rzęs długich i jedwabistych. Niemniej często można spotkać najczystsze okazy rasy słowiańskiej, postaci białej cery, siwookie i płowowłose. Jeśli w Athenach zdarza się kiedy typ, do klasycznego zbliżony, to rozeznać go można jeszcze najłatwiej u zupełnie młodych ludzi lub chłopców dojrzewających z wyrobionymi już a jeszcze niezgrubiałymi rysami; spotkałem paru takich, którzy mieli twarze dziwnie przypominające efebów rzeźby starożytnej. W takiej stolicy jak Atheny, dokąd ludność napływa z całej Grecyi, oczywiście nie można mówić o typie miejscowym.

Niemało też uwija się obcych przybyszów z wszech krańców Europy zwłaszcza teraz w porze wiosennej; tych jednak zwykle łatwo można poznać. Przeważną część ich stanowią Anglicy i Amerykanie: szczupli, rośli, starannie wygoleni, odziani w charakterystyczne ubrania, obszerne i workowate, przesuwają się po ulicach z właściwą sobie niedbałą swobodą chodu i ruchów, krok w krok włócząc nieodstępny przyrząd fotograficzny.

Grekom najlepiej można się przypatrzyć w kawiarniach. W ulicznem życiu Athen odgrywają *kafeniony* znaczną rolę. Najwięcej ich dokoła Placu Zgody. W dzień słoneczny, roi się tam przy stolikach wysuniętych na ulicę do połowy chodnika; wieczorami wre wewnątrz, jak w ulu, szczególnie w przedobiednim czasie. Tu stwierdza się dobitniej, niż gdziekolwiek demokratyczne usposobienie Greka: dostatni mieszczanin lub oficer, nie krzywi się bynajmniej, że obok przy sąsiednim stoliku zasiędą przy kubku *mastichy* ubodzy rzemieślnicy. Palą wszyscy. Na stolikach zamiast zapałek stoją naczyńka z rozżarzonymi węgielkami drzewnymi; starsi zwłaszcza ciągną tureckie narghile. Kawę piją tylko czarną i to przyrządzoną na wschodni sposób, t. j. gotowaną z fusami i cukrem w małych blaszaneczkach, które z próżną filiżanką podają na stół gościowi. Nieopodal odemnie rozsiadło się w rogu kafenionu dwóch starych Greczynów ubranych w strój narodowy: króciutki czarny kubrak nakształt kamizelki z szerokiemi rękawami rozprutymi jak wyloty kontusza, wychylają się z nich białe, buchaste rękawy koszuli; spodnie krótkie i obcisłe, od kolan czarne kamasze sukienne. Spodnie zakryte są zupełnie *fustanellą:* jest to niby spódniczka sięgająca do kolan, uszyta z białego, jak najcieńszego płótna, i zaprasowana w drobne, regularne fałdy, tak rzęsiste, iż na sutą fustanellę wychodzi kilkanaśnie metrów płótna. Piękny to strój, zgrabny i bogaty, a dla Greków uświęcony wspomnieniami walk o niepodległość.

Obaj staruszkowie czarną kawę popijają w milczeniu, jeden ciągnie przytem narghile, drugi przebiera szybko ziarnka dużego różańca; zauważyłem, iż w kawiarni, bawi się w ten sposób kilku innych mężczyzn: nic nie mają wspólnego różańce te z nabożeństwem, służą po prostu za rozrywkę palców. Przy niektórych stolikach odchodzi gra w szachy, gdzieniegdzie toczą się zażarte dysputy polityczne, wielu zagłębia się w dziennikach wieczornych. Politykomania ma być podobno cechą Atheńczyka, i wogóle dzisiejszych Greków. Poprzez kłęby dymu widnieją na honorowych ścianach rozwieszone portrety króla i królowej, następcy tronu i jego żony. Tak jest w każdym publicznym lokalu. Możnaby z tego wnosić o wielkiej popularności panującego

domu. Słyszałem jednak od Greków zdania bardzo różne o królu Jerzym. Jedni zarzucają mu zupełną bierność i obojętność. Gdyby umiał chcieć mógłby wszystkiego dokonać, bo naród ufa mu, ceniąc w nim nieskazitelny charakter. Ale król ma być umysłem wcale nieprzedsiębiorczym. Nie zapomniano mu także i ostatniej wojny przegranej; słyszałem i zarzut, iż nie zrósł się dotąd z narodem ani on, ani jego rodzina, że niemiecki język i obyczaj panuje poniekąd jeszcze i dzisiaj w królewskim domu, a sam Jerzy I nie wyrzekł się dawnej wiary ewangelickiej, pomimo, że królowa, córka cara Aleksandra III, i dzieci, są wyznania wschodniego. Przeciwko temu wszystkiemu odpowiadają drudzy, że król ma ręce związane i choćby pragnął, do niczego mieszać się nie może, aby nie dać wciągnąć korony w zaciekłe spory stronnicze. Wojna wybuchła wbrew jego woli, musiał się w nią wdać pod naciskiem opinii publicznej, która teraz wini jego, zamiast sama siebie! Spotkałem się i ze stanowczem zaprzeczeniem, jakoby nie czuł się Grekiem, albo nie przestrzegał u siebie narodowych obyczajów, a że przywiązany do swojej religii, to mu raczej za dobre poczytać należy. Na to godzą się wszyscy bez różnicy zdań, że konstytucyi trzyma się wiernie i sam siebie uważa za pierwszego sługę państwa. Na gmachach rządowych wyczytałem napis charakterystyczny...

— »Niech żyje naród i król!« Taki porządek tych wyrazów niedwuznacznie określa stanowisko panującego wobec narodu i nawzajem.

Wychodzę na obiad z *kafenionu*. — »*Lustros!!*« woła tuż koło mnie we drzwiach na ulicę, cienki jakiś głosik. To chłopak czyszczący obuwie, który wymownymi ruchami stara się nakłonić mnie, bym postawił nogę na drewnianej skrzyneczce, poczem z widocznym zapałem bierze się do szczotek. Jest to miły i ładny malec trzynastoletni z filuterną miną. W rozmowie, która idzie jak z kamienia dowiaduję się, że mu na imię Jani, że jest sierotą bez ojca i matki, że zarabia dziennie zaledwie na życie, dużo mniej niż drachmę; wkońcu powiada, że przed tą kawiarnią stoi zawsze i prosi, bym sobie stale u niego dawał czyścić trzewiki. *Lustrosy*, bo tak zowią tutaj owych pucobutów — dzielą

się na dwie kategorye: jedni, z nieprzenośną, ciężką skrzynką przez dzień cały siedzą na jednym posterunku, to ludzie dorośli, w pełni sił, którzy powinniby jąć się jakiej cięższej pracy; drudzy, to prawie dzieciaki, jak się dowiedziałem przeważnie sieroty, zarabiają na chleb, uwijając się z małą skrzyneczką zwieszoną na pasku. Zwykle po kilku trzyma się stale jednej ulicy, w pogotowiu do wszelkich usług i posyłek. O ich uczciwości rozpowiadał mi właśnie w Patras p. Mineyko. Ci chłopcy są wesołością atheńskich ulic, bo mimo biedy nie opuszcza ich nigdy wyborny humor. Świegotliwi i ruchliwi, jak wróble, dokazują, czubią się, gonią i śmieją, choć nieraz bywa im głodno i chłodno. Nie rosną przy tem dziko, bo codzień najregularniej chodzą do wieczornej szkoły, a niekiedy wybijają się i wyżej: opowiadano mi, że jeden z najznaczniejszych bankierów tutejszych, za młodu był biednym lustrosem.

Owe szkoły wieczorne dowodzą dbałości o publiczną oświatę. Jej stopniowy rozwój, zbliża powoli najszersze warstwy ludu do tradycyi klasycznych, które stały się dla Grecyi wykształconej podstawą potężną jej narodowego istnienia. Helleński antyk na tej ziemi nie tylko ma tę orzeźwiającą moc, jak wszędzie i zawsze, lecz tutaj staje się krom tego źródłem narodowego pierwiastku, w którem duch grecki zmywa z siebie tureckie i słowiańskie naleciałości. Nie idzie tutaj oczywiście o pedantyczne archaizowanie, ale raczej, o kulturalne podźwignięcie ludu greckiego, o takie Odrodzenie helleńskie, jakiem dla Italii było Rinascimento. Celowo i świadomie zastosowano wszelkie środki, by lud zaciekawić do starożytności, zaznajomić go z nią, nawet spoufalić. Na każdym kroku zauważyć to można, począwszy od codziennych drobiazgów życia: pieniądze papierowe i pocztowe marki ozdobione postaciami bóstw greckich oswajają ludność z pojęciami mitologicznemi; nazwy przeważnej części ulic ateńskich przypominają imiona wielkich mężów starożytności; donioślejsze w skutkach, a w istocie swej bardziej zasadnicze jest wskrzeszanie prastarych nazw geograficznych w całym kraju. Najistotniejsze jednak znaczenie ma przeprowadzona szeroko w gimnazyach nauka starożytnego języka i czytanie klasycznych pisarzy, tak aby każdy

wykształcony Grek mógł się nimi karmić w dalszem życiu, skutkiem czego wśród intelligencyi, objawia się zupełnie naturalne dążenie ku coraz większemu przypodabnianiu się nowogreckiego języka literackiego do mowy wielkich praojców. Literacki język przenika zaś poprzez ludowe szkoły, czasopisma i książki do warstw najniższych. Na tem tle zrozumiałą staje się przyczyna owych studenckich rozruchów, które wybuchły przeciwko wprowadzeniu do kościoła Biblii tłumaczonej na język nowogrecki, przekład bowiem taki przecinałby jedną z najżywotniejszych nici wiążących lud z antykiem. Niemałą rolę w zbliżeniu się nowej Grecyi do starożytości ma, jak słyszałem — odgrywać teatr miejski w Athenach, wystawiający kilkanaście razy do roku dzieła tragików klasycznych. Obiecywałem sobie, że nie opuszczę ani jednego przedstawienia, lecz niestety zjechała teraz na dwumiesięczną gościnę jakaś opera francuska.

Ale w duchu odrodzenia helleńskiego najsilniej działają na lud same zabytki starożytności. Po pierwsze: w kraju górzystym i ubogim przysparzają robotnikowi olbrzymich korzyści pieniężnych. Wielkie wykopaliska, jak Mikeny, Tiryns, Olimpia, Delfy, Epidauros, dokonane zostały kosztem zagranicznych milionów, które wpłynęły do rąk tysięcy robotników; lecz na tem nie koniec, bo w Grecyi ciągle się kopie i kopać jeszcze się będzie przez długie dziesiątki lat. A te krocie tysięcy, które corocznie przywożą do kraju podróżni z całego cywilizowanego świata! Byt ogromnego mnóstwa ludzi opiera się przecie wyłącznie na tej podstawie. Rząd grecki ponosi także znaczne wydatki na podtrzymywanie i strzeżenie zabytków. Musiała zatem starożytność i w oczach najprostszego człowieka nabrać szczególniejszej wartości, choćby tylko ze względu na samo niesłychane znaczenie jej ekonomiczne dla całego społeczeństwa. Po wtóre nie mógł bez wpływu na wyobrażenia ludu pozostać ten zapał i zachwyt, ta cześć i miłość u warstw oświeceńszych greckich i u podróżnych dla każdego szczątka sztuki czy cywilizacyi klasycznej. Udzielają się te uczucia z biegiem czasu i tłumom ludowym — jak mnie na statku zapewniał dr. K. — zwłaszcza, iż dostęp do wykopalisk i muzeów jest w całej Grecyi bezpłatny. Jakiejżeby trzeba tępoty i dzikości,

by nie zadrgnąć na widok piękności i wielkości antyku; więc i lud grecki już dziś nie patrzy nań obojętnie.

Dzięki tedy klasycznemu dziedzictwu, Grecya teraźniejsza, budzi się do nowego życia duchowego. Wszelako to dziedzictwo jest zarazem i ciężkiem brzemieniem, jak dla syna sławne imię genialnego ojca. Wszystko, co naród grecki wytwarza i wytwarzać będzie w dziedzinie sztuki, poezyi, wiedzy i kultury, w jego własnych oczach i w oczach Europy, narażone jest na porównanie ze starożytnością. Któraż z nowoczesnych cywilizacyi, choćby najświetniejsza, mogłaby na wszystkich polach zwycięsko wytrzymać takie porównanie. Nasuwa się ono tutaj mimowoli na każdym kroku z oczywistą krzywdą i ujmą teraźniejszej Grecyi, która miałaby prawo powiedzieć na to: *Domine, quis sustinebit?*

Atheny, niedziela 17 marca.

Ich atme kaum, mit zittert, stockt das Wort,
Es ist ein Traum — verschwunden Tag und Ort.
»Faust«. Cz. II, akt 3.

Obudziłem się wcześnie. Powiew ranny, wpadając przez otwarte drzwi terasy, muskał firanki z białego muślinu. Niebo promieniało pogodą. Siadłem w łóżku: ponad balustradą terasy widać miasto, a dalej na jasnych niebiosach odcina się Akropol uwieńczony koroną przejrzystych kolumnad. Oczu długo nie mogłem odjąć od tego widoku, wkońcu zacząłem się zbierać, lecz Akropol przeszkadzał mi ciągle; źrenice bezwiednie uciekają same ku niemu, czepiają się jego stoków, błąkają się po dalekich jego zarysach. Spieszno mi, chciałbym tam już być, ale w ten sposób nigdy się chyba nie wybiorę. Musiałem zasunąć firanki.

*

Idąc pod górę, minąłem domki wązkich uliczek i stanąłem u stóp Akropolu. O kilkadziesiąt kroków przedemną wzbija się stroma ściana skalna; w jej podartych czeluściach i załomach leżą głębokie cienie. Wzdłuż jej górnej krawędzi wyrastają potężne, prastare zręby kamiennych murów.

Ścieżka biegnąca jej podnóżem, łączy się dalej z drogą jezdną, co krętym szlakiem wśród agaw i młodych akacyi wspina się od zachodu, jedynym dostępnym stokiem góry.

Na końcu drogi, u wstępu na gród stoi t. z. Brama Beulejska, sklecona z marmurów starożytnych i wciśnięta między dwa krępe, czworoboczne bastiony, podobno już z frankońskiej doby.

Wszedłem. Od progu wznosiło się przedemną zbocze litej skały; przeciąg trzech tysięcy lat powyżłabiał ją najdziwaczniej rękoma ludzkiemi, kując w niej podproża schodów, równając ją pod cokoły posągów, ryjąc ją w zagadkowe jakieś wgłębienia i występy. Gdzieniegdzie zalegało ją rumowisko marmurowych okruchów i zwalone kręgi kolumn, co tocząc się z góry, zatrzymały się w biegu na spadzistości. W górze, już na tle błękitu rozpościera się majestatyczna jakaś ruina, świecąca pożółkłą białością kolumnad, które teraz nic już nie mają do dźwigania, krom turkusowego stropu niebios. To Propylaje.

W bok od nich, wysoko, na płaskim szczycie ogromej czworogrannej baszty ciosowej stoi cudna świątyńka Niké Apteros;

patrząc na nią z dołu, rzekłbyś, iż to jakaś bezcenna, misterna szkatułka z alabastru, kolumenkami z kości słoniowej strojna, w których — nie wiedzieć, lekkiego wdzięku, czy więcej poważnej prostoty.

Nie prędko ruszyłem z pod progu Beulejskiej bramy; pierwsze wrażenie tych wspaniałości olśniewa i do miejsca przykuwa.

Jak mogło wyglądać w pełni przepychu to wnijście na święty grojec Pallady, skoro teraz jeszcze, spustoszone i sponiewierane zmusza do podziwu; którędyto po zboczu tem skalnem ku Propylajom wiodła główna droga panathenajskich orszaków?

Te schody, które prowadzą tam dzisiaj, wzdłuż baszty noszącej świątyńkę, w pochrystusowych ułożono czasach z marmurów jakiejś klasycznej budowy.

Pomału nimi wciąż idę pod górę, bo krok za krokiem widok się odmienia...

kolumny, które nawzajem się kryły, wychodzą teraz jedne z poza drugich, jakby sunęły rytmicznym pochodem...

żłobienia na nich grają harmonijnie pasmami świateł i pasmami cienia.

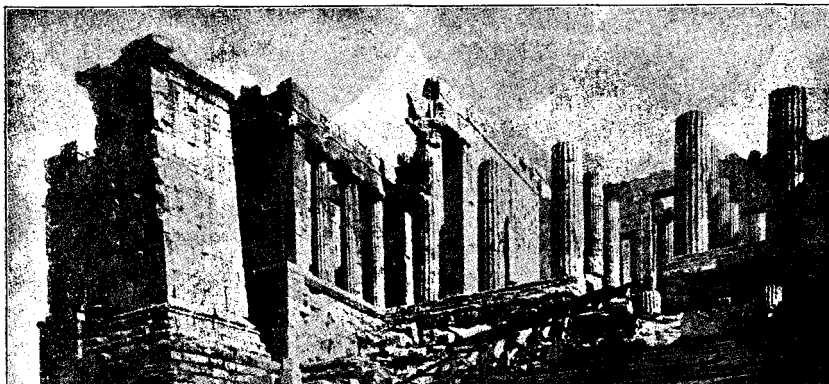

Za kolumnadą marmurowa ściana
W niebios jasności promiennej skąpana
Drzwi swych na błękit otwiera kilkoro
Przeze drzwi słońce rzuca blasków ławę,
A głazy na się blask i błękit biorą.

Ta kolumnada i za nią ta ściana,
Te jej marmury białe i złotawe
Wydały mi się jako morska piana,
Która stężała tam, na skalnym szczycie
I otworzyła tryumfalne wrota,
Aby uczynić przejście Afrodicie,
Gdy się wynurzy promienna i złota
Z głębiny słonej...

I zdały mi się, jak zjaw napowietrzny
Z mgieł wymarzony...
I zdały mi się, jako skamieniała
Pieśń o Piękności zaziemskiej, przedwiecznej,
Pieśń, która kiedyś i gdzieś mi dźwięczała,
A potem zmilkła przedśmiertelnym słuchem...

I zdało mi się, że to jest widzenie
Wyśnione i nieuchwytne,
Co za dotknięciem, za wiatru podmuchem,
Zmąci się, zgaśnie, uleci w przestrzenie
I w niebo wsiąknie błękitne.

Lecz kiedym wstąpił na najwyższy schód
I gdy kolumny dotknąłem rękoma,
Dziw mnie ogarnął, że trwa — nieruchoma,
Nie rozpryskuje się w słoneczny pył
I stoi wciąż, jak wprzód...

Więc to nie zjawa pierzchliwa, znikoma,
Nie czary sennych złud,

Jeno wykuty z marmurowych brył
Świetlany, biały cud!
. . . . . .

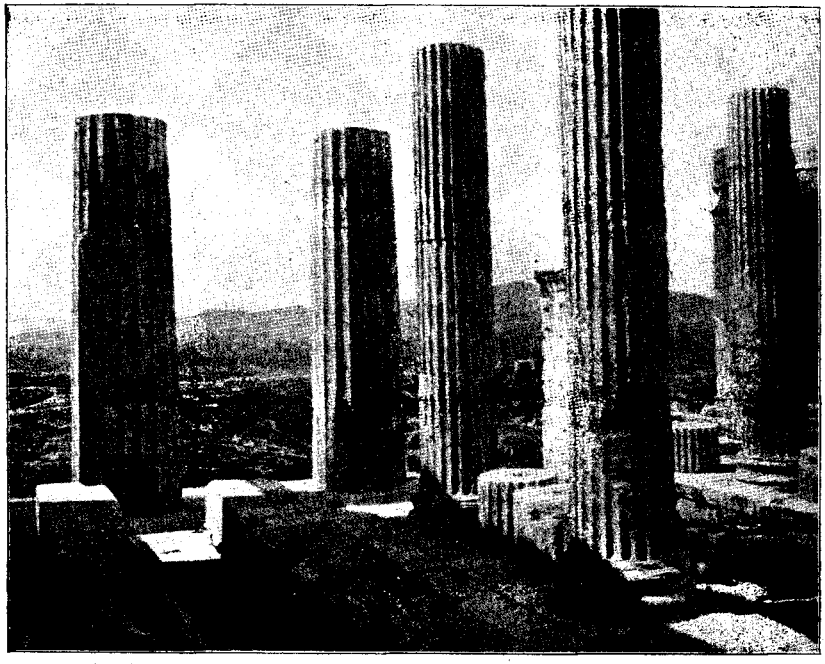

I obróciłem oczy poza siebie
Na te bezmierne, promieniste dale,
Kędy na cichem, turkusowem niebie
Stoją gór pasma, sine jąk opale,
A między niemi, na morskiej zatoce
Słońce odbite łyska i migoce.

Choć piękne były bladych gór zarysy
I blaskiem drżące fal morskich zwierciadło
I zadumane na wzgórzach cyprysy —
Lecz najpiękniejsze słońce, które kładło
Pod moje stopy na marmurów płyty:
To cień kolumny, to szlak złotolity.

Od morza powiał wiatr i przez lazury
Obłok się lekki niósł, jeden jedyny,
I płynął niebem cichy, srebrnopióry,
A jam już myślał, że od Salaminy
Nike, zwycięska jak ongi, nadlata
Powracająca z przed wieków, z za świata.

A przyleciawszy do swojej świątyni,
Od ramion loty odepnie łabędzie
I gniazdo sobie w ruinach uczyni,
I znów na grojcu Atheny osiędzie,
Zwaliskom onym — jak niegdyś — odźwierna,
I jako niegdyś Bezskrzydła i wierna.

A może zagrzmi w trąbę swą miedzianą,
Aż gruzy zadrgną, gdy w nie dźwięk uderzy,

Dźwigną się mury, kolumny powstaną
I salamiński wskrześnie huf rycerzy
I mistrze srebną oliwką wieńczeni...
— W krąg cisza... Obłok stopniał gdzieś w przestrzeni...

Więcem zawrócił i wszedł w Propylaje,
Skąd marmurowych złomów cmętarzyska
Już widne oczom; a z gruzów powstaje
Żałosny smutek i za serce ściska,
Jakgdyby pod tą rumowisk mogiłą
Piękność i Szczęście pogrzebane było.
. . . . . .

Minąłem biały próg — a potem niewiem sam,
Czym wstąpił w baśni kraj, czy w rajskich sfer zaświaty...
Na szafirowem tle, jak morze, jak bławaty,
W gloryi słońca lśnił Atheny złoty chram.

Ogromnych kolumn pnie, jak marmurowy bór
Stanęły w długi rząd, podniosły harde czoła
Niby Tytanów tłum, co dzierżą straż dokoła,
Niby zamienion w głaz tragedyi śpiewny chór.

Po każdej z kolumn tych, jak szat klasycznych fałd,
Spływają cienie w dół i świateł jasne pręgi
Podobne strunom arf... I w jeden hymn potęgi
Muzycznym rytmem gra, świątyni cudny kształt.

Na duszę padł mi czar i jestem jako w snach,
Świat mi się cały zda znikomy i daleki —
W bezkresną czasu dal, mkną za wiekami wieki,
Przedemną jeno wciąż pod słońcem trwa ten gmach...

I wiem, że Szczęście jest — pierś pełną szczęścia mam
I oczy pełne łez i w sercu drżę z tęsknoty:
Złoty — jak miodu plastr, jak pszenne łany — złoty,
W gloryi słońca lśni Atheny święty chram.

. . . . . .

I otom nagle w czarów tych godzinie,
Zobaczył z głazu wykute dziewczęta;
Na marmurowej stały podwalinie.

Szata ich długa i na piersiach wzdęta,
Gibką im kibić opływa i pieści
I do nóg pada, u bioder podpięta.

W niemej zadumie ten orszak niewieści,
Na świat pogląda dziewiczo i dumnie —
Jam się w nich cichej domyślił boleści,

Choć oczu smętnych nie zwróciły ku mnie.
Każda, w milczeniu — podniesioną głową
Dźwiga dach, smukłej podobna kolumnie.

Wtem, jedna jęła zawodzić echowo,
Jako szemrzące na ruinach trawy
I w ciszy każde rozbrzmiewało słowo,
Niby jęk łzawy:

I KORA.
Tęskni serce, świat umarły wspomina...

CHÓR
O, wspomina boleśnie.

I KORA
Płyną wieki, za godziną godzina...

CHÓR
I żyjemy, jak we śnie...

II KORA

I stoimy, dziewcząt białych drużyna

CHÓR

I czekamy bezkreśnie,

II KORA

Czy się gmachów tych nie dźwignie ruina...

CHÓR

Nie dźwignie się, nie wskrześnie...!

III KORA

Próżno czekamy, o siostry moje,
Próżno czekamy.
W zwaliskach leżą świątyń podwoje;
Na kolumn złamy
Zielone wrzosy, blade powoje
Wieńcem się kładą...
O siostry moje — próżno czekamy!

CHÓR

Hellado! Gdzie jesteś? Hellado!

IV KORA

Na skroniach bezsennych dźwigamy to brzemię
Przez lat tysiące...
Mnie głaz ten przygniata i gnębi i gnie mię,
Obalę go, strącę
I na co trwać dłużej? Wymarło już plemię
Pięknością żyjące
I nam czas, o siostry i nam czas pod ziemię.

CHÓR

Pod ziemię, za tobą, Hellado!

V KORA

Czemu się słońca promienny wóz
Toczy po niebios obszarze?
Któż mu to każe?

CHÓR

Nieubłagany Mus!

V KORA

Dlaczego słowik w gęstwinie łóz
Wywodzi żałosne łkania?
Cóż go nakłania?

CHÓR

Nieubłagany Mus!

V KORA

Choć wokół wszystko runęło w gruz,
Dźwigam te stropy wytrwale —
Czy zmienią żale
Nieubłagany Mus?!

VI KORA

Przeklęta bądź Dolo, przeklęta!
Gdy ziemi oblicze się zmienia,
Gdy padły już w proch pokolenia,
Gdy światu jest Piękność odjęta —
Nas byt wziął kamienny w swe pęta
I skazał na mękę istnienia!

CHÓR

Przeklęta bądź, Dolo, przeklęta!
Żeś dała nam w piersi z kamienia
To serce, co tęskni, pamięta...

Lucyan Rydel.

JEDEN Z PLANÓW ODBUDOWANIA POLSKI.

(Dokończenie).

»Jeżeli kiedy przyjdzie do tej ostateczności, niech Wasza Cesarska Mość rozkaże skonfiskować moje majątki a mnie samego rozstrzelać, mniejsza o to, bylebyś, Najjaśniejszy Panie, oddał mi sprawiedliwość, że byłem zawsze *un galant homme*, zawsze prawdę mówiłem Waszej Cesarskiej Mości i nigdy Go nie zwodziłem...«

Czartoryskiemu nie zabrakło odwagi wypowiedzieć te słowa do Aleksandra w styczniu 1810 r., jak w 21 lat potem nie wahał się podpisać detronizacyi Mikołaja I, rzucił fortunę na pastwę konfiskaty. Nie miał jednak odwagi w r. 1831 objawić głośno, publicznie, tych dwóch słów, które powiedział szeptem po podpisaniu aktu: »Zgubiliście Polskę!« Może podobna rozterka uczuć i sądu trapiła go już w r. 1810, gdy pisał ów memoryał przeciwko utworzeniu Wielkiego Księstwa, i stwierdzał sucho, że już minęła pora urzeczywistnienia jego »idei«; wszak sam przyznawał, że nie godzi się stargać tej »drogocennej nitki«, na której może wypadnie jeszcze kiedyś przytwierdzić kotwicę ocalenia, jeżeli Aleksander wyjdzie obronną ręką z krytycznej sytuacyi. W papierach, w listach ks. Adama niema żadnego śladu, żeby »uwierzył w Napoleona«. Zdobył przecież niedawno europejski rozgłos, jako nieprzejednany przeciwnik »Bonapartego«; był — jak sobie wyobrażali francuscy dyplomaci — »złym duchem« Aleksandra; upadł jako ofiara antynapoleońskiej jego polityki. I w r. 1810 daleko było Czartoryskiemu do nawrócenia; potęga Napoleona

imponowała mu wprawdzie więcej, niż przed pięcioma laty, nie dostrzegał w niej jednak przystani, do której sprawa polska bezpiecznie mogła zawinąć. Mimo to, gdy przybliżał się moment wyboru: z Rosyą czy przeciw Rosyi — powietrze petersburskie zaciężyło mu nie do zniesienia, rwał się do Puław, do »nicości« w Puławach, byle imienia »familii« nie wiązać z Rosyą; bądź co bądź, obóz patryotyczny, w znacznej, przygniatającej większości wyczekiwał zbawienia od Napoleona. Ks. Adam wyjechał z Petersburga pod koniec czerwca 1810 r. Nigdy tam już nie wrócił, gdzie przeszła mu cała młodość, gdzie zapracował na imię europejskie i dał poznać się światu więcej, niż którykolwiek z książąt Czartoryskich, niż ks. August i ks. Michał.

Rezerwa ks. Adama nie ochłodziła bynajmniej Aleksandra w jego zamysłach względem Wielkiego Księstwa Litewskiego; przeciwnie silniejszego dała mu bodźca. Wszak ojciec ks. Adama miał tytuł feldmarszałka austryackiego, zażywał po wszystkie czasy wielkiej wziętości u wiedeńskiego dworu. Kiedy syn jego uciekał z Petersburga, po ślubie Napoleona z arcyksiężniczką, pchnęło to sprawę Wielkiego Księstwa na realniejszą drogę, niż gdyby zajął miejsce w nowej Radzie Państwa i z entuzyazmem wziął się do dzieła. Idea Niemcewicza, odbudowanie Polski pod tymczasową firmą Wielkiego Księstwa, ze stolicą na razie w Wilnie, którą w przyszłości przeniesie się do Warszawy: to plan, w którym i Aleksander i nieodstępny wówczas jego powiernik, niedoszły reformator Rosyi, Sperański, widzieli zgodnie, według słów Sperańskiego, »nie tylko korzyść, ale bezwzględną konieczność« — *nie tokmo pa widam polzy no pa sowierszennoj nieobchodimosti:* aby ubiedz Napoleona i dom Hàbsburski. Tylko Sperański trwał w tem zapatrywaniu aż do swego upadku; car-Hamlet to przystępował do dzieła, to trapił się myślami, czy ks. Adam nie miał słuszności: czy nie za późno? Oddzieli od imperyum polskie gubernie, utworzy z nich Wielkie Księstwo — kto wie czy nie... *pour l'Empereur d'Autriche?* Polska napoleońska i Litwa Romanowów nie staną przeciw sobie; Litwa, wyposażona odrębnym bytem politycznym, z żołnierzem narodowym, uzbrojonym przez cara, przymknie do Polski napoleońskiej, jeżeli zięć Franciszka

do Księstwa Warszawskiego wcieli Galicyę, jeżeli skleci takie królestwo i stryja żony ogłosi polskim królem. Może z tem czeka tylko na wykonanie planów Aleksandra; jeśli za Niemnem będzie nie Rosya, lecz Wielkie Księstwo Litewskie, Habsburg w polskiej koronie przyjdzie do gotowego. A na te wątpliwości, na ich spotęgowanie, hamujące monarchę w wykonaniu zamiarów względem Wielkiego Księstwa, wpłynęła zgubnie rezerwa ks. Adama. Jakże wierzyć Litwinom? Sam Czartoryski odradzał. U hamletowskich natur nieraz to samo, co je pcha do działania, rozbudza wątpliwości i wstrzymuje od czynu...

»Przekonać się, ile można, dowodnie, jakie są rzeczywiście plany Napoleona w sprawie odbudowania Polski; ulepszyć nadzór dyplomatyczny w Wiedniu i w Paryżu — to rada Sperańskiego. W tej myśli, równocześnie ze ślubem Napoleona, wyprawiono do Wiednia zręcznego dyplomatę, dobrze obeznanego z Polską i z Polskiemi sprawami, Dawida Alopeusa[1]. Miał przedewszystkiem sondować teren na dworze austryackim, rozciągnąć nad nim »dyplomatyczny nadzór«, lepiej, niźli to umiał rosyjski ambasador; w miarę możności, miał polecenie spróbować więcej torować drogę do tajemnego porozumienia z Rosyą, wzbudzić u dworu wiedeńskiego nadzieje, że Aleksander gotów Austryi dopomódz do odzyskania utraconej pozycyi nad Adryatykiem, we Włoszech i nad Renem, nawet do rozsądnego podziału interesów na półwyspie Bałkańskim, z obopólną korzyścią, w razie rozbioru Turcyi. Byle Austrya zrezygnowała z kompensat za Karpatami; byle wiedeński dwór dał rękojmię, że Rosyi w Polsce nie wejdzie w drogę; byle lojalnie uznał, że kwestya polska wchodzi wyłącznie w sferę rosyjskich interesów: Rosya gotowa do wszelkich ustępstw, do gorliwego poparcia Austryi na każdem polu, do zapewnienia, że w kwestyi wschodniej, przy likwidacyi otto-

[1] Alopeus mianowany był posłem rosyjskim w Neapolu, w Wiedniu zaś zatrzymał się »po drodze«. Gdyby akcya nie udała się lub gdyby wykryła się przed Napoleonem, Aleksander mógł się jej wyprzeć i zrzucić odpowiedzialność na Alopeusa, jakoby działał na własną rękę. Rzeczywiście po powrocie Metternicha, odwołano Alopeusa; niedoszły poseł przy neapolitańskim dworze nie dojechał do Neapolu.

mańskiego państwa, Austrya nie tylko żadnej nie dozna ujmy, ale przeciwnie zdobędzie nowe, trwałe podstawy rozwoju i znaczenia. Misya Alopeusa przyniosła zrazu obfitsze plony, niż po niej spodziewano się w Petersburgu. Metternich, twórca zbliżenia Austryi z Napoleonem, pracował w Paryżu nad utrwaleniem dokonanego dzieła, istotnie nie bez pewnego zezowania w kierunku kwestyi polskiej; w jego nieobecności, zabiegi Alopeusa znalazły tyle wdzięcznego gruntu w wiedeńskiej kamaryli, że teść Napoleona skłaniał się coraz bardziej do sekretnego układu z Rosyą. Tak było we wrześniu 1810 r. Ale Metternich, ostrzeżony o tem niebezpieczeństwie, wrócił z Paryża i jednem cięciem zniszczył misterną przędzę całej tej dworsko-dyplomatycznej intrygi; październikowe raporty z Wiednia do Petersburga stwierdziły bezgraniczną zależność Austryi od Francyi, zarysowały przed wzrokiem Aleksandra jeszcze wyraźniej widmo Habsburskiej kandydatury na tron wskrzeszonej Polski. Tymczasem bowiem, na nowe nalegania rosyjskiej dyplomacyi o zatwierdzenie styczniowego traktatu, Napoleon stracił cierpliwość. Zawsze był gotów ratyfikować traktat z proponowaną zmianą stylizacyi; na upór Aleksandra co do redakcyi pierwszego artykułu: *Le Royaume de Pologne ne sera jamais rétabli* — dał po raz pierwszy ostrą odpowiedź, która na zawsze pogrzebała ów traktat. Ambasador rosyjski poparł swe nalegania drażliwemi reklamacyami, w sprawie niepokojących pogłosek o planach odbudowania Polski, z zapytaniem, co znaczy świeżo wydana broszura Kołłątaja i t. p., i t. p. *Que prétend la Russie par un tel langage? Veut-elle la guerre? Pourquoi ces plaintes continuelles? Pourquoi ces soupçons injurieux? La Russie veut-elle me préparer à sa défection? Je serai en guerre avec elle le jour où elle fera la paix avec l'Angleterre.* Taką piorunującą notę otrzymał Coulaincourt w odpowiedzi na reklamacye rosyjskiego kolegi. Złagodził ton instrukcyi, komunikując treść jej petersburskiemu gabinetowi, musiał jednak w jej duchu uczynić przedstawienia. »Nie mogą na mnie się skarżyć — pisał Napoleon. — Nie chcę odbudowania Polski; nie chcę moich przeznaczeń zakończyć w polskich piaskach. *Je me dois à la France et à ses intérêts, et je ne prendrai pas les armes à*

moins qu'on ne m'y force, pour des intérêts étrangers à mes peuples... Ale nie mogę się zobowiązać, że chwycę za broń przeciw niewinnym ludziom, którzy mi nie zrobili nigdy nic złego, służyli mi zawsze dobrze, okazywali mi dobrą wolę i wiele poświęcenia. W ich własnym interesie i w interesie Rosyi upominam ich ciągle, żeby spokojnie się zachowali, wytrwali w posłuszeństwie, *mais je ne me déclarerai pas leur ennemi*; nie powiem Francuzom: idźcie przelewać krew, aby Polska została pod jarzmem Rosyi...«

Nigdy może Napoleon nie określił tak szczerze swojego stanowiska; Car jednak widział w tem oświadczeniu zapowiedź odbudowania Polski austryackiemi rękoma. Szczególny traf podniecił jego podejrzliwość. W lipcu zerwały się rokowania o zatwierdzenie styczniowego traktatu; wkrótce, 21 sierpnia, obrano następcą szwedzkiego tronu — francuskiego marszałka. Napoleona gniewał ten niepotrzebny awans jego jenerała; Aleksander nie wierzył. Arcyksiążę na polskim, Bernadotte na szwedzkim tronie, na czele bitnych, odwiecznych wrogów, którym przed dwoma laty Rosya wydarła trzecią część Szwecyi: to nic innego, jak koalicya przednich straży Napoleona — spisek na zgubę Rosyi. Jesień 1810 roku stawiała ten horoskop na zachmurzonym widnokręgu utrapień znękanego monarchy, któremu wzmagające się wrzenie w petersburskich salonach szarpało chore nerwy. *Cette époque est une des plus délicates que j'aie eu à passer ici* — pisał Coulaincourt o jesieni 1810 roku. Dziwił się nawet pogodzie Aleksandra; »najprzebieglejszy z Greków« grał dobrze trudną rolę. Za to tem jaśniej rysowały się w jego myśli dwa śmiałe, pokrewne plany, dla zniszczenia urojonego zamachu na całość Rosyi, którego zdradziecki zamiar podsuwał sprzymierzeńcowi: dwa Wielkie Księstwa, Finlandzkie i Litewskie — ten sam na obie strony środek zjednania dwóch posterunków Napoleona, Szwedów, Polaków. Na zewnątrz trwał dalej sojusz, lecz obaj sprzymierzeńcy oswajali się coraz więcej z koniecznością zerwania. I Napoleon godził się zwolna z myślą o tej ostateczności: drażniony podejrzeniem, skargami Aleksandra brał je za wstępne kroki do zwrotu w stronę Anglii. Przed wyjazdem Metternicha

z Paryża, rzekł do niego otwarcie: *Le jour où je me verrai forcé de faire la guerre à la Russie, j'aurai un allié puissant dans un roi de Pologne...*

Z końcem roku 1810 wojna wisiała na włosku. Napoleon wcielił do Francyi miasta hanzeatyckie i księstwo oldenburskie, terytoryum dynastyi, spokrewnionej z rosyjskim domem panującym. Zniewolił go do tych kroków system kontynentalny, jedyny środek zgnębienia Anglii, zniweczenia jej handlu, zmuszenia do pokoju. Tymczasem Aleksander ogłosił pamiętny ukaz z 31 grudnia 1810; czynił nim niebezpieczny wyłom w systemie kontynentalnym, krzyżując wszystkie widoki sprzymierzeńca, wbrew wyraźnym zobowiązaniom tylżyckiego traktatu. Na tle tej sytuacyi obydwa plany, finlandzki i litewski, poszły w odwłokę; groza blizkiego starcia domagała się innych, energiczniejszych środków [1].

[1] Znana ta i należycie już wyjaśniona faza planów Aleksandra I w sprawie odbudowania Polski, opracowana była niedawno w dziełach Vandala i Dubrowina; materyał do jej historyi zawarty jest w korespondencyi Czartoryskiego z Aleksandrem, którą Mazade ogłosił w r. 1887. Dość tu zatem przypomnieć główne momenta tej korespondencyi: list Aleksandra z 6 stycznia n. st., odpowiedź Czartoryskiego z 30 stycznia n. st., list Aleksandra z 12 lutego n. st., wreszcie sprawozdanie Czartoryskiego z kroków, przedsięwziętych w Warszawie, d. d. Puławy 12 marca 1811 r., nie zamieszczone w publikacyi Mazade'a, i w streszczeniu jedynie, z niektórymi wyjątkami przytoczone w pracy Dubrowina (Русская старина, 1902, III, 461), według oryginału w Archiwum własnej kancelaryi J. C. Mości w Petersburgu. Ważny ten dokument znamy w całości z brulionu Czartoryskiego. Doniosłość jego polega na tem, że właśnie to sprawozdanie Czartoryskiego o pobycie w Warszawie zniewoliło Aleksandra ostatecznie do zaniechania zamierzonej akcyi zaczepnej. Czartoryski pisze: *Sire, Je me disposais déjà à rendre compte à V. M. I. de mon séjour à Varsovie, lorsque j'ai reçu la lettre qu'Elle a daigné m'écrire en date du 31 janvier... Depuis la reception de cette dernière lettre, il m'en coûte encore davantage de ne pouvoir dès à présent annoncer à V. M. I. des résultats qui répondent complètement à Son attente. Je ne trouve rien à changer ni à retracter dans le contenu de ma lettre précédente...* (z 30 stycznia, Mazade II, 255—270). Wynika stąd, że Czartoryski odbył powierzoną sobie misyę w Warszawie przed otrzymaniem listu cesarza z 12 lutego, który zawierał dopiero jasno sformułowany program odbudowania Polski, że zatem działał w Warszawie pod wrażeniem pierwszego listu (z 6 stycznia), gdzie nie było tak pozytywnych i dokładnie określonych zobowiązań. W dość dokładnem zresztą streszczeniu Dubrowina opuszczono kilka ważnych ustępów, które powyżej uwydatniamy.

Nie pora klecić »ołtarz przeciwko ołtarzowi«, Wielkie Księstwo Litewskie, gdy wojna wybuchnie lada chwila. Aleksander, rwąc się do wojny, powziął myśl bezzwłocznego wskrzeszenia Polski, w nadziei, że przez to na swoją stronę przęciągnie Księstwo Warszawskie, a przez odstępstwo Polski porwie za sobą Niemców. Przez chwilę »los Europy był w ręku 50.000 żołnierzy Księstwa« — temi słowami określa Vandal przelotne położenie w pierwszych miesiącach 1811 r. To był bowiem warunek, nieodzowny warunek zaczepnej akcyi Aleksandra. *Tant que je ne puis être sûr de la coopération des Polonais, je suis décidé à ne pas commencer la guerre avec la France* — pisał do Czartoryskiego 12 lutego. Ofiarował odbudowanie Polski w przedrozbiorowych granicach, z przyłączeniem Galicyi, za którą chciał dać Austryi część Wołoszczyzny; z konstytucyą i z wojskiem polskiem. Żądał jednak rękojmi, pewnych i niezawodnych, że Księstwo stanie przy nim i pójdzie z nim niezwłocznie przeciw Napoleonowi. Plan śmiały, może nawet awanturniczy; to pewne, że Aleksander tym razem szczerze i bez ubocznych myśli zmierzał do wykonania takiego planu; że misya, jaką w Warszawie powierzył Czartoryskiemu, nie była obliczona na bałamucenie Polaków. Jest. na to dowód w krokach dyplomatycznych, jakie współcześnie rozpoczął w Wiedniu, proponując zawczasu cesyą Galicyi za kompensaty na półwyspie bałkańskim. Czy kto inny niż ks. Adam byłby potrafił wywiązać się z takiej misyi? Nikomu chyba nie udałoby się rozniecić w Księstwie zarzewia powszechnego pożaru, w którym miał spłonąć gmach Napoleońskiej potęgi, tlejący zwolna na przeciwległym końcu, w Hiszpanii. Mimo rozgoryczenia, jakie wzrastało w Księstwie, mimo nęcących pokus, honor żołnierza, którego »Bonaparte uczył zwyciężać« — wojskowy honor byłby się oparł wszelkim przynętom politycznej rachuby, póki Napoleon nie zdeptał ostatniej iskry nadziei i wiary w Francyą. To pewne jednak, że ks. Adam, w usposobieniu, w jakiem pół roku temu wyjechał z Petersburga, odstępca własnej »idei«, był nieszczególnym orędownikiem zamysłów Aleksandra, złym wykonawcą ślizkiej roboty; jeśli wręcz nie odmówił, to tylko z przezorności, żeby do reszty Aleksandra nie zrażać. Donosząc cesarzowi, że w żadnym razie

nie może liczyć na Warszawiaków, dodaje szczerze, naiwnie niemal: *Les choses changeraient du tout à tout, si Napoléon venait à mourir; comme le charme tient à sa personne, il cesserait avec lui.* To skłaniało go głównie do utrzymania wątłej, rwącej się »nitki« stosunków z Aleksandrem, choć równocześnie prosił o dymisyą, twierdząc, że w danym razie mógłby nierównie więcej na coś się przydać, jeśli nie będzie zajmować w Rosyi urzędowej pozycyi. Po takiem *dictum acerbum* Aleksander nie mógł zbudować się frazesami, jakoby w Księstwie istniało jak najlepsze dla niego usposobienie — nawet żal, że zaniechał przed laty planów odbudowania Polski, gdy była po temu pora. W ówczesnem położeniu naiwną chyba wydała mu się rada Czartoryskiego, może nawet złośliwą, żeby próbował porozumienia z Napoleonem, żeby mu proponował odbudowanie Polski w wieczystej unii z Rosyą, pod naciskiem pogróżki, że inaczej zerwie przymierze, zniszczy system kontynentalny. Jeśli zamiast »pewności« współdziałania wojsk Księstwa przeciw Napoleonowi, za cenę wskrzeszenia Polski, obiecywał powolny rozwój sympatyi dla osobistych zalet Aleksandra, *d'un germe qui pourrait se développer*, z czasem, w pomyślnych okolicznościach — dziwnym wydał się cesarzowi apel, zachęcający do wykonania planu w razie wybuchu wojny. *Dans le cas que Votre Majesté jugeât à propos de rompre avec la France ou qu'Elle fût forcée à se défendre, dès que la guerre commencera, il paraîtrait convenable de procéder à l'exécution du plan de Votre Majesté Imperiale et de proclamer la Pologne sous les conditions les plus attrayantes, dans le moment qui, vu les circonstances d'alors, sera jugé le plus propice, et nommément aussitôt que la marche des troupes russes Vous aurait mis en possession du Duché et de la ville de Varsovie...* Innemi słowy: jeśli Księstwo Warszawskie nie zdoła oprzeć się sile rosyjskiego oręża, jeśli Napoleon je opuści, jak w r. 1809 — wówczas niech Aleksander ogłosi wskrzeszenie Polski pod swojem berłem.

Tak pisał Czartoryski po powrocie z Warszawy, gdzie miał wybadać teren dla zamierzonej akcyi Aleksandra, po rozmowach z ks. Józefem i z warszawskimi mężami stanu, 12 marca 1811. List ten doszedł do Petersburga równocześnie mniej więcej z listem

Napoleona, datowanym 28 lutego, który z Paryża przywiózł Czerniszew, adjutant Aleksandra, na zwiady tam wysłany przed paru miesiącami. Serdeczny, sentymentalny niemal list »sprzymierzeńca«, z akcentami jakoby zawiedzionej miłości, z czułymi wyrzutami i wyrazem nadziei, że sojusz Francyi z Rosyą przetrwa próbę zbytecznych nieporozumień: ten list Napoleona ułatwił Aleksandrowi przełknięcie gorżkiej, choć ocukrzonej pigułki z Puław. Widział, że wojna nie wybuchnie na wiosnę, jeśli sam nie rozpocznie zaczepnej akcyi; po liście Czartoryskiego pożegnał się z jej zamiarem. Równocześnie nadeszły z Paryża propozycye w sprawie konwencyi handlowej z Francyą, dla złagodzenia następstw ukazu z 31 grudnia; był to też w każdym razie znak, że Napoleon radby co najmniej odwlec nieuniknione starcie. Znów więc wróciła pora zająć się projektami obydwu Wielkich Księstw, Finlandzkiego i Litewskiego. Odkąd z wiosną r. 1811 położenie o tyle się rozjaśniło, że Aleksander zaniechał zaczepnej akcyi, a mógł liczyć na pokój do przyszłej wiosny, dość było znowu niezbędnego czasu, żeby oba projekta przywieść do skutku. Wśród uzbrojeń, nieustających po jednej i drugiej stronie, organizacya kresów rosyjskiego Imperium, na północy i na zachodzie, mogła Rosyi dostarczyć najskuteczniejszej broni w rozprawie z Napoleonem.

Czas naglił jednak. Z rozpogodzeniem widnokręgu od strony Francyi, chmurzyło się od Wiednia. Właśnie na gruncie polskiej kwestyi naprężenie stosunków między dworem wiedeńskim, a petersburskim ostrą przybrało postać, pod działaniem rosnącej podejrzliwości, bez istotnej podstawy. Metternich, pomny zamysłów Aleksandra przed austerlicką kampanią, podejrzywał go teraz, że niespodzianie rzuci się na Galicyę, jak w r. 1805 gotował zamach na polskie prowincye Prus. Wiedeńska kamaryla zawsze przychylna porozumieniu z Rosyą, miała niebezpiecznego wroga w arcyksięciu Karolu, a już od roku 1809 wietrzono w nim kandydata do polskiej korony. Dzielny, rycerski zwycięzca z pod Aspern, przejednany zupełnie ze zwycięzcą z pod Wagram, był niezłomnym filarem przymierza z Napoleonem: próżno starano się związać znakomitego wodza z dworem rosyjskim przez plan

małżeństwa z siostrą carowej Elżbiety. Był to właśnie ów moment, kiedy Sperański radził podwoić czujność rosyjskiej dyplomacyi w Wiedniu; Wielkie Księstwo Litewskie miało stać się atutem w grze z Habsburgami o tron Piastów i Jagiellonów, antenatów zwycięzcy z pod Wagram. Nie chybiła wreszcie wrażenia w takich okolicznościach zmiana opinii ks. Adama o autonomii Litwy. W tym samym liście z 12 marca, który rozwiał marzenie cara, co do postawy Księstwa w starciu z Napoleonem, Czartoryski, jakby powracał na stanowisko z r. 1806/7, nie szczędził mu zachęty w sprawie autonomicznej organizacyi »polskich gubernii«, wbrew opinii, jaką był wypowiedział w kwietniu przeszłego roku. »Jeśli Wasza Cesarska Mość nie rozpocznie zaczepnych kroków, wartoby teraz korzystać z czasu i, że tak się wyrażę, pokokietować nie tylko z mieszkańcami polskich gubernii, ale szczególnie z Księstwem Warszawskiem *(se mettre en coquetterie)*. Już tu rozeszła się wieść o łaskawem przyjęciu, jakiego litewscy obywatele doznali u Waszej Cesarskiej Mości, a to nie pozostanie bez wpływu na cały nastrój umysłów w Księstwie. Silne wrażenie sprawia tu zwłaszcza wszystko, co tyczy się pomyślnego położenia polskich gubernii i narodowej ich samoistności«. Taki zwrot w ocenieniu tego samego planu, który ks. Adam przed rokiem nazwał niewczesnym »półśrodkiem«, był, bądź co bądź, godzien uwagi, jako echo opinii poważnych, wpływowych warszawskich kół.

Co prawda z taką zmianą opinii w większej harmonii byłby powrót ks. Adama do Petersburga, niż prośba o dymisyę i — niewczesny projekt podróży do Szwajcaryi w towarzystwie siostry. *L'avenir est si incertain et les événements ont un cours si précipité que je ne saurais pas ne désirer ma démission; cette formalité ne changera rien à mes rapports et à mon devouement pour Votre Majesté Impériale, et pourra ou me sauver des cruels embarras ou me rendre plus capable d'être utile à Votre cause*... Ten frazes nie mógł Aleksandrowi zastąpić jedynego człowieka, bez którego trudno było się obejść na wiosnę roku 1811, jeśli myślał na seryo przystąpić do zamierzonego dzieła. Słusznie ostrzegał go Czartoryski, żeby unikał współpra-

cownictwa ludzi, którzy nie mają miru w polskiem społeczeństwie: w tym samym liście, w którym tak natarczywie prosił o dymisyę, ostrzegał zwłaszcza i — słusznie — przed Michałem Ogińskim. Powodzenie zamierzonego dzieła zależało niezmiernie od reputacyi człowieka czy liczniejszego grona, któreby w owej chwili stanęło przy Aleksandrze, dając swoją przeszłością i charakterem pewną rękojmię, że to nie nowe wydanie Targowicy. Taką rękojmią było nazwisko Czartoryskich, po Sejmie Czteroletnim, po powstaniu Kościuszki. Pomylić się mógł każdy; na pamięci Augusta, Michała Czartoryskich nie ciężyło nic więcej oprócz omyłki, w opinii pokolenia Wielkiego Sejmu. Gdy ks. Adam z pomocą Niemcewicza starał się skupić Litwę przy Aleksandrze, stronnicy Napoleona gotowali powstanie, ale nie śmieli miotać zarzutów, że działa w służbie cara, dla rang, orderów, dla interesu; jego nazwisko i osobiste zasługi w wileńskiej kuratoryi były tarczą tej akcyi wobec takich podejrzeń. Brakło tej tarczy po pięciu latach; to samo mogło już sprawie szkodzić. Niechby jeszcze podjął ją taki epigon Targowicy, senator czy kamerjunkier, byłaby to robota *pour l'Empereur des Français;* zamiast zjednać, pozyskać Litwę i Wołyń, odwróciłaby serca w stronę Napoleona. Aleksander czuł to instynktem, choć mało znał stosunki w polskich guberniach. Nie mógł pozbyć się obaw, że Litwa »wszystko przyjmie, z niczego nie skwituje« — jak powiedziano po pięćdziesięciu latach. Potrzebował człowieka, któremu sam mógł ufać a liczyć na jego wziętość w kraju. O Ilińskim, Stroynowskim, Worcellu, rosyjskich senatorach kreacyi Pawła I, nigdy — zdaje się — nie pomyślał. Opuszczony przez księcia Adama, w ubiegłym roku zwierzył się z swych zamiarów czwartemu senatorowi, Seweryнowi Potockiemu[1]: nazwisko i pozycya Potockich a także pewien

[1] Seweryn Potocki, syn Józefa, krajczego w. kor., należał również do nielicznego grona rosyjskich senatorów Polaków. W początkach rządów Aleksandra I zdobył sobie pewien rozgłos energiczną opozycyą w Senacie przeciw ukazowi z 5/17 grudnia o 12-letniej służbie unter-oficerów szlacheckiego pochodzenia, którzy nie dosłużyli się ober-oficerskiego stopnia. Seweryn Potocki wytknął w tym ukazie naruszenie zasadniczych praw rosyjskiej szlachty i pociągnął za sobą większość Senatu. Rzecz nabrała większego znaczenia na tle ówczesnej podziemnej walki o prawa Senatu, który tem zazdrośniej

rozgłos, jakiego pan Seweryn nabył w Senacie, w kołach stołecznej oligarchii służbowej, wszystko to wyróżniało go między Polakami, zbliżonymi do dworu. W listopadzie 1810 r., gdy książę Adam zakopał się w Puławach, zdegradowany na dobrowolną »nicość«, jeden z tajnych ajentów Napoleona donosił do Paryża że dwaj bracia Potoccy, Jan i Seweryn, opracowują z polecenia cesarza projekt autonomicznej organizacyi ziem polskich pod rosyjskim zaborem: *C'est le rétablissement du Royaume de Pologne avec son indépendance, ses privilèges, mais uni à l'Empire de Russie à perpetuité, comme l'Italie l'est momentanément à la France.* Może ktoś jednak ostrzegł Aleksandra, że Seweryn Potocki nie będzie dobrą firmą dla tego przedsięwzięcia: po wznowieniu projektu, z wiosną r. 1811, nic już o nim nie słychać; raz tylko, w jednym raporcie Sperańskiego, napotyka się wzmiankę, że Potocki ułożył listę wpływowych osobistości, które należało powołać do narad nad projektem.

Mimo przestróg ks. Adama, Aleksander znalazł nareszcie w Michale Kleofasie Ogińskim nieodzownego męża zaufania. Był to także senator, ale świeżej kreacyi, dopiero w ubiegłym roku,

---

gotów był strzedz swoich przywilejów, im wyraźniej młody monarcha zmierzał do ich ukrócenia, widząc w Senacie jedną z głównych zapór zamierzonej reformy. Dierżawin doniósł cesarzowi, że cały Senat stanął przeciw niemu: Aleksander pobladł, usłyszawszy to doniesienie. Jakkolwiek wniosek Seweryna Potockiego, który dał początek tej akcyi, odwołuje się do »ducha nowego panowania, *jedinstwiennawo w wiekach*«, sama akcya skierowana była raczej przeciw planom Aleksandra, była wyrazem wrogich jego reformom dążności Senatu, a wobec tego mogła wyrobić Potockiemu pozycyę w kołach służbowej oligarchii. Minister Zawadowski wyraża się o Sewerynie Potockim, wspominając o tym epizodzie: *graf S. P., jeszcze nie obrusiewszij* — »jeszcze wówczas nie zrusyfikowany«. Historya dwóch synów krajczego koronnego stanowi rzeczywiście charakterystyczny przyczynek do ówczesnego rozdziału opinii politycznych w obrębie tej samej rodziny. Syn Seweryna, Leon hr. Potocki, związany ściśle z dworem rosyjskim, upatrzony chwilowo w r. 1820, wobec projektowanych naówczas zmian, na ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego, ożenił się z Rosyanką, hr. Gołowinówną. Brat Seweryna zaś, Jan, protoplasta łańcuckiej i krzeszowickiej linii, niepospolity badacz starożytności słowiańskich, trzymał się zdala od życia publicznego (um. 1815), a synowie jego byli oficerami napoleońskimi. Por. Шильдеръ, Имп. Александръ Первый, II, 100 nn.

po odjeździe Czartoryskiego, zaszczycony godnością tajnego radcy i senatora, może już nie bez myśli, że w braku kogoś lepszego wypełni po nim próżnię. W każdym razie Ogiński miał po temu poniekąd więcej warunków od Potockiego lub innych dworskich figur z epoki Pawła: szczycił się aureolą prześladowania, niegdyś poseł czteroletniego sejmu do Hollandyi i Anglii, był czynny w kościuszkowskiem powstaniu, Katarzyna skonfiskowała mu olbrzymi majątek; emigrant, ajent dyplomatyczny polskiej emigracyi w Stambule, organizator legionów na Wołoszczyźnie, miał za Pawła wzbroniony powrót do kraju, doczekał się amnestyi dopiero pod Aleksandrem. I jego imię wprawdzie związało się z Targowicą; od niej otrzymał wielkie podskarbstwo litewskie. Było to już coś więcej, niż prosty akces do konfederacyi, którym tylu nieposzlakowanych patryotów ratowało się w r. 1793; coś, co może w rok potem pchnęło go do czynnego udziału w powstaniu, nie tyle — jak twierdzono — z zapału i przekonania, co ze strachu przed losem hetmana Kossakowskiego. Bądź co bądź jednak konfiskata kolosalnej fortuny i pięcioletnia tułaczka po upadku powstania, starły od dawna piętno Targowicy z pamięci podskarbiego: piętno o tyle lżejsze, że poddał mu się niechętnie, dla ratowania majątku od sekwestru, na który już w rok potem nie było żadnej rady — po stłumieniu powstaniu. Za powrotem z wygnania odzyskał cząstkę utraconej fortuny; była to »łaska«, »wspaniałomyślność« cesarza Aleksandra. Szczerze podobno i zgodnie z prawdą — co nie zawsze da się powiedzieć o jego pamiętnikach — twierdzi, że pragnął tylko spokoju, w dali od gwaru publicznego życia, z którego wyniósł tyle bolesnych wspomnień. Miał wówczas, w r. 1802, 37 lat; właśnie rozwiódł się z żoną, zaczynał nowe życie powtórnem ożenieniem z nadobną, młodą Włoszką; tęsknił do używania sporej fortuny, jaka mu pozostała, dzięki cesarskiej łasce, choć nie bardzo starczyła na zbytki wielkiego pana o gustach jednoczących stare tradycye litewskiego magnata z wykwintnemi nawyknieniami pobytu za granicą. Inteligentny, bystry sybaryta, zapalony meloman, urządził ponad możność wspaniałą rezydencyę w Zieleńcach, jedno z tych wielkich ognisk gnuśnego używania na Litwie pierwszych lat Ale-

ksandra, od których po całym kraju — wraz z promieniami wyższej kultury, z bladem wspomnieniem dawnych tradycyi — rozchodziło się przejednanie z nieubłaganym losem. Na Litwie żył spokojnie, nie nękali go wierzyciele z dawniejszych czasów, bo nie mogli dokuczać, mając jedynie regres do nowych właścicieli rozszarpanej fortuny; za to, nie mógł się pokazywać zrazu w pruskim zaborze, później w Księstwie Warszawskiem, z powodu nierozwikłanych interesów z epoki przedrozbiorowej. To potęgowało w nim jeszcze wstręt prawego Litwina do Kodeksu Napoleona. Był zresztą osobistym nieprzyjacielem »obywatela Bonapartego« z r. 1796; nowe życie, niezgorsze, zawdzięczał Aleksandrowi. Nie bez talentów i dobrej woli — charakter, jakich wiele, zwłaszcza u ludzi z czasów Stanisława Augusta.

Ogiński przybył do Petersburga 19 kwietnia 1811 r., po dłuższym, kilkomiesięcznym pobycie w Paryżu. W parę dni po przyjeździe, 22-go był zaproszony na obiad do cesarza i miał z nim konferencyę, która się przeciągnęła do półtrzeciej godziny. Trudno przypuścić, żeby nie wiedział o jakichś planach cesarza w sprawie autonomicznej organizacyi polskich gubernii. Pogłoski o tych zamiarach Aleksandra krążyły już od paru miesięcy w Warszawie i w Paryżu; Czartoryskiemu nawet donoszono z Paryża, że Ogiński odzywał się tam nieostrożnie o tym przedmiocie. Gdy więc sam cesarz zaczął rozmowę o kwestyi polskiej, Ogiński mógł przypuszczać, że trafi w myśl monarchy, jeśli poruszy projekt odrębnej organizacyi Litwy i ziem zabranych, jak gdyby nic nie wiedział o planach Aleksandra. I cesarz odgadł, co pana podskarbiego ośmieliło do przedstawienia tego projektu: *Je suis très charmé que nos idées se roncontrent; il y a déjà six mois que je m'occupe d'un travail qui est dans le sens de celui que vous me proposez...* Przed pożegnaniem prosił go o spisanie wypowiedzianych uwag, ręcząc za sekret; *il m'assura que cette démarche ne pourra me compromettre* — pisze w pamiętnikach Ogiński — *car il conserverait dans son cabinet tous les renseignements que je lui donnerais.*

Nie wspomina czy Aleksander nawzajem domagał się dyskrecyi. Może nie, może spuścił się pod tym względem na jego

takt i roztropność. Niedawno przecież doszedł cesarza list ks. Adama z radą, żeby nie zaniedbywał »kokietowania« nie tylko z Polakami rosyjskiego zaboru, ale szczególnie z opinią Księstwa, niezmiernie czułą na wszystko, co dzieje się za Niemnem, co tam się przygotowuje. Zbyt ścisła tajemnica nie była zatem wcale w widokach Aleksandra. Ogiński wtajemniczył od razu dwóch młodych przyjaciół z Litwy, Lubeckiego i Kazimierza Platera, i pozyskał w nich dzielnych współpracowników; obydwaj już od grudnia bawili w Petersburgu, Lubecki jako delegat grodzieńskiego obywatelstwa [1], Plater, »młodszy brat Xawerego«, jak sam stale nazywa się w swoich listach, pomagał mu w interesach. Zwolna rozszerzało się kółko »wtajemniczonych«. Najwięcej wstrzemięźliwości zachowano wobec senatorów Polaków, Ilińskiego, Worcella, mniej podobno do dwóch braci Stroynowskich, biskupa i Podkomorzego. Wszelka robota z współudziałem tych dygnitarzy, odznaczonych carskiemi łaskami, przybrałaby pewien przysmak, który mógł jej zaszkodzić w kraju. Łatwiej otwierały się

[1] W ówczesnem położeniu sam fakt wysłania deputacyi do cesarza nie był bez pewnego znaczenia politycznego, jakkolwiek cel jej tyczył się niemal wyłącznie ekonomicznych interesów gubernii. W Rosyi była to rzecz zupełnie niepraktykowana; na Litwie zaś krok taki w r. 1810 nie był pozbawiony politycznego zabarwienia, ponieważ łączył się z wiernopoddańczym hołdem względem monarchy, gdy szlachta litewska wystawiona była na podejrzenie (co do znacznej części uzasadnione), że wyczekuje z upragnieniem wojny, aby połączyć się z Napoleonem. Pierwszy krok uczyniła szlachta wileńskiej gubernii, za tym przykładem poszła grodzieńska. Ciężki poród grodzieńskiej deputacyi świadczy wyraźnie o wątpliwościach politycznej natury, wobec których niewiele brakowało, żeby uchwała o wysłaniu deputacyi pozostała niewykonana. Szlachta grodzieńska, wyjednawszy sobie wprzód pozwolenie z Petersburga, uchwaliła na zgromadzeniu 13/25 sierpnia wysłać deputacyę do cesarza, a na członków deputacyi wybrała koniuszego litewskiego Grabowskiego, pułkownika Antoniego Lachnickiego i Rdułtowskiego. Grabowski jednak nie przyjął wyboru, czy też po pewnym namyśle uchylił się od tej funkcyi, wobec czego po 3 miesiącach obrano, na jego miejsce, pierwszym delegatem Lubeckiego, wówczas powiatowego grodzieńskiego marszałka. Nie bez znaczenia zapewne była przeszkoda, jaką delegacya napotkała na samym wstępie. Jenerał-gubernator wileński, Rimskij-Korsakow, nie chciał dać jej pozwolenia na wyjazd do Petersburga, póki w tym przedmiocie nie otrzyma wyraźnej wskazówki, »ponieważ już tyle czasu minęło od danego poprzednio (zasadniczego) pozwolenia«. Fakt to bardzo charakterystyczny: w ówczesnej

serca i usta przed Polakami, którzy z Litwy, z Wołynia przyjeżdżali do Petersburga; w ich liczbie był pułkownik Stefan Grabowski, mężny wódz litewskiego powstania w r. 1794, więzień stanu za Katarzyny — później w r. 1812 jenerał Napoleońskiej armii, wreszcie minister sekretarz stanu po kongresie wiedeńskim. Dwaj młodzi Lubomirscy weszli do tego kółka, Konstanty i Kazimierz; w każdym razie Kazimierz Lubomirski należał do najbliżej wtajemniczonych, Lubeckiego rówieśnik i serdeczny przyjaciel, bystry, gorący, młody człowiek wielkich nadziei, które niebawem przedwczesna śmierć zniweczyła. Jemu powierzył nawet cesarz w lecie 1811 tajną misyę do Szwecyi i do Londynu; dowód wyjątkowego zaufania w momencie, gdy na zewnątrz trwał jeszcze nienaruszony sojusz z Napoleonem, a on sam go wystawiał na ostateczną próbę, żądając od sprzymierzeńca zastosowania morderczych środków przeciw angielskiemu handlowi. »Z Anglią« czy »przeciw Anglii« — car musiał wybrać, jąć się jednego z dwojga, jak Polakom przyszło wybierać między dwoma hasłami: »z Rosyą« czy »przeciw Rosyi«.

Młody Lubecki nie wahał się w tym wyborze. Był Stanisława Niemcewicza uczniem; pod jego kierunkiem stawiał pierwsze kroki w zawodzie obywatelskim. Niemcewicz, pierwsza powaga

---

sytuacyi, co było pożądanem w sierpniu, mogło być zupełnie niedogodne w grudniu. Wobec tego — czytamy w sprawozdaniu Lubeckiego — »zdawało się być pierwszemu członkowi delegacyi potrzebnem, dla dogodzenia życzeniu współobywateli z winną dla zwierzchności uległością, odprawić się w charakterze partykularnej osoby do stolicy. Poszedł za tym przykładem JW. Rdułtowski, przeciwnie JW. Lachnicki rozumiał być powinnością swoją w Grodnie rezolucyi oczekiwać rządowej ...« W Petersburgu Lubecki i Rdułtowski zastali pomyślną rezolucyę ministra policyi. Po kilku tygodniach jednak Rdułtowski — czy nie pod naciskiem opinii pewnej części obywatelstwa? — »prosił Najjaśniejszego Pana o powtórzenie pozwolenia raz danego, aby się Delegowani na niepotrzebne nie wystawiali wydatki i w tym zamiarze uzyskał wolność powrócenia do domu«. W ten sposób Lubecki został sam w Petersburgu (Arch. szcz. A/3). Widać zatem, że »pozwolenie«, które Lubecki i Rdułtowski zastali w Petersburgu, nie wzbraniało Delegacyi przyjazdu, zawierało jednak oryginalną radę, »aby się delegowani na niepotrzebne nie wystawiali wydatki«. Taka rada mogła być albo osobistym pomysłem ministra policyi, Bekleszewa, albo też może wynikła z chwilowej sytuacyi w listopadzie i w grudniu 1810 r.

w grodzieńskich stronach, wykierował go na delegata gubernii do monarchy, teraz torował młodemu księciu drogę do pierwszego urzędu na szlacheckich wyborach. Przed pięciu laty, gdy na Litwie Niemcewicz z ks. Adamem podnieśli hasło »z Rosyą«, 28-letni uczeń Niemcewicza nie mógł jeszcze w tej akcyi odegrać ważnej roli, stanął jednak w szeregu zwolenników »idei ks. Adama« i pozostał jej wiernym do końca życia. Między szeregowcami był niezawodnie najtęższą głową; stąd szybki postęp, niezwykły, jak na młodego, z obcych stron przybyłego obywatela, po szczeblach urzędniczej hierarhii z wyborów, pod skrzydłem takiej powagi, jak Niemcewicz. W gronie współpracowników Michała Ogińskiego nikt mu nie dorównywał bystrością, żelazną pracą, rozległemi wiadomościami, zwłaszcza na polu ekonomicznych stosunków Rosyi; w Petersburgu zawstydzał niemi ministrów i senatorów. Gdyby nie młody wiek Lubeckiego, mimo skromnej pozycyi, z mitrą książęcą, byłby w nim niezawodnie materyał na wypełnienie próżni, jaką po sobie zostawił ks. Adam; młodszy, Drucki-Lubecki nie Czartoryski, miał za sobą niezwykły zasób energii, niezłomność przekonania i odwagę cywilną [1].

St. Smolka.

[1] Rzecz niniejsza jest rozdziałem z dzieła, mającego wkrótce pojawić się w druku. *Redakcya.*

NA ZMARTWYCHWSTANIE!

JACKOWI MALCZEWSKIEMU

W DOWÓD CZCI.

Znam te godziny posępne, bez końca,
Kiedy jesienna w duszy słota szlocha,
Kiedy wichura jęczy zawodząca
I ginie wszystko to, co człowiek kocha,
Liście i kwiaty śmierć swą dłonią strąca
I pozostawia z nich popiołów trocha
I wokrąg martwe roztacza pustynie,
Gdzie się nie rodzi nic i nic nie ginie.

Ach! czuję jeszcze ramiona niemocy,
Które mnie brały w swe sploty okropne,
Próżnom się zrywał wśród bezsennych nocy
Ku krajom jasnym, których już nie dopnę,
Darmo me serce patrzało pomocy
Do umiłowań ogromnych pochopne —
Dzień wstawał szepcąc mi złowróżbne wieści,
Nie obiecywał nic okrom boleści.

Kochałem prawość — a prawych nie było.
Kochałem czystość — spotykałem błoto.
Kochałem życie — stałem nad mogiłą!
I przerażony byłem jej niemotą —

Wszystko twarzami padało przed siłą
I uwielbiało zbójców pod Golgotą,
Rozdrapywało Chrystusowe rany
I Syn Człowieczy był znów krzyżowany.

Szatan rachunku opętał im serca,
Miłość wygnały chytrość i obłuda
I bohatera miejsce wziął oszczerca
I za wysiłkiem wciąż goniła nuda
I pożądania ten uczuć morderca
Niewinnych, lepszych pozabijał cuda,
Wszystkie porywy, wielkie i gorące,
Że śnili, lecz się nie zrywali w słońce...

Życie ich było, jak chwila przedzgonna
Majaczeń syta i zwidzeń i smętu,
Wszelka chęć tutaj daremna i płonna,
Bo śmierć się zbliża, zniszczy ją do szczętu.
Przed okiem łąka pogodna i wonna,
Próżno k'niej dążysz wśród myśli zamętu,
Nie dla cię baśni wzruszeń i zachwytu,
Umierasz z nudy, pustki i przesytu.

Złote melodye grało mi dziecinie
Kiedyś w błękitach zadumane słońce,
Oczekiwałem rychło na mnie skinie
I w swoje państwo weźmie czarujące;
I było ze mną szczęście w tej godzinie
I była wiosna i kwiatów tysiące,
Jam się śmiał do nich uśmiechem wiośnianym,
Naonczas dziecko rozmawiało z Panem.

I rozmawiało szczerze i serdecznie —
Pan opowiadał o swoich niebiosach,
Kędy jest zawsze wiośniano, słonecznie,
Kędy tak błogo igrać w sianokosach

Z kwiatem się bawić, który żyje wiecznie,
Za motylami uganiać po wrzosach
Pośród anielskich szeptów i rozgwarów
I z leśnych krynic spijać wodę czarów.

A ja mówiłem: »weź mnie, dobry Panie,
W krainę chwały twojej, twego słońca,
Kędy cudowne rozbrzmiewa się granie
I kędy radość, wesele bez końca,
Bo tutaj bardzo często słyszę łkanie,
Bo tutaj ciągle boleść serce trąca
I ciągle widzę zapłakane oczy,
Weźmij mnie z sobą, Panie, w kraj uroczy«.

A Pan mi odrzekł: »rośnij dziecię lube,
Niech tchnienia moich ziem hodują ciebie,
Ty masz rozdzierać cienie nocy grube
I opowiadać ludziom o mem niebie,
Rośnij mi, dziecię, na miłości chlubę,
Niechaj pieśń moja wieczna cię kolebie,
Rządź się rozumem i uczuciem wzniosłem
I bądź do ludzi płomiennym mym posłem.

»Oto masz palić wśród ciemności jutrznie
I słać masz duszom wiosenne powiewy,
Choćby cię katów srogie bodły włócznie
I świat cię ranił swoich nieszczęść gniewy,
Ty masz gromadzić jasne swoje ucznie
I natchnąć wszystkich ich moimi śpiewy,
Wszelkich tajemnic rozplątać zawiłość —
Niech cię prowadzi nieskończona miłość!«

I długo, długo rozmawiałem z Panem
I było dobrze mi, radośnie, błogo;
Ptaszęca harfa leciała nad łanem,
Za nią myśl biegła lazurową drogą,

Byłem, jak anioł skrzydłami odziany,
Zesłany z niebios światowym rozłogom,
Abym wśród ziemskiej nocy i boleści
Śnił o niebiosach tęczowe powieści.

O! matko moja — niech tu nazwę ciebie,
W tych pieśniach serca, których pełen jestem,
Bo tyś sprawiła, że duszę kolebie
Wieczność, że skrzydeł anielskich szelestem
Płynę po ziemi, zasłuchany w niebie
I, żem naznaczon czynów świętych chrzestem
Mam iść na światy z piosnki serdecznemi
I ludzi czynić aniołami ziemi.

Tobie zawdzięczam, żem w jasność olśnięty
Jako te pola w zachwyceniu ranka,
A tak głęboki, jak nieb firmamenty
A tak słoneczny, jak pierwsza kochanka
Czystemu chłopcu, na życia odmęty
Dobroć mnie wiedzie, ta Boża posłanka,
Ją wraz z miłością, wiarą z twego lica
W kolebce moja wypiła tęsknica.

U twoich uczuć cudownego zdroja
Ach! i jam także miał dzieciństwo sielskie,
O! czuję mocno, święta matko moja,
Żem wziął od ciebie wzloty me anielskie
I, że od ciebie złota ducha zbroja
I, że od ciebie pieśni marzycielskie,
Żeś mi swą dała dumę i pokorę
I serce czułe, do poświęceń skore.

Tyś zlała w duszę rajskie zachwycenia,
Pogody pełną modlitwę dziecinną,
Która je wiodła wśród szału cierpienia
I zachowała czystą i niewinną;

Bądź pochwalona przez moje natchnienia,
Oto ci niosę dzisiaj cześć powinną
Za jasność, czystość i szlachetność twoją,
Za me królestwa, które tobą stoją.

I szedłem w życie z wejrzeniem dziecięcem
I szedłem w życie, z piosnką czułą, prostą,
A życie było gorzej, niż zwierzęcem,
Raniło duszę, wiecznych smutków chłostą
I byłem bólów cichym, łzawym jeńcem,
Brogi wznosiłem cierniskom i ostom,
Bo zboże dojść nie mogło pośród chłodu
I miałem lata okrutnego głodu.

Wiecie, co duszy głód, o bracia mili?
Bodajbyście go nigdy nie zaznali,
Bo on wam drogę ku błękitom zmyli
I wśród pustkowia staniecie struchlali,
Próżno się wasza myśl i stopa sili,
Daremnie słońce lśni w obłoków fali,
Ono nie dla was, ach! nie dla was płonie,
Przecz wyciągacie k'niemu swoje dłonie?

Nikt nie rozumiał łez na twarzy dziecka
I nikt przyczyny ich w sercu nie czytał,
Zionęła jadem czeluść zła, zdradziecka,
Orkan przepsutych czuć nad nią skowytał.
Piosenki moje zgłuszyła pieśń świecka,
Pieśń chutnych orgij, dzień po dniu zakwitał
I pocałunki kładł na moje wargi —
A w sercu nic nie było, okrom skargi.

Znacie samotność? o nie tę samotność,
Która z czujących ludzi mędrce tworzy,
Lecz tę, na jaką skazała przewrotność
One marzące o westchnieniach zorzy,

Które swą straszną widzą bezpowrotność
W krainy życia, w milczenia obroży
Zmuszone pędzić są dnie nieszczęśliwe,
Przy życiu jeszcze a wżdy już nieżywe.

Bo nic ukochać nie mieli tu zgoła
Pośród żywota nędzy i zgnilizny,
Widząc zużyciem poplamione czoła
I łęg dusz martwy — taki niegdyś żyzny,
Na którym nic się urodzić nie zdoła,
Albowiem siewcy niepomni ojczyzny
I Bożych plonów bezduszni i mali
Na opoczysty grunt ziarno rzucali.

Tą samotnością ja byłem rażony,
Bom wierzył w święte pieśni królowanie
Zrodzonej z Ducha, miłością natchnionej
A uszy biło szydne chichotanie
Rozpusty, która w moc swą wzięła dzwony
Wieszczego szału, skaziła ich granie
I zostawiła im jedyne dźwięki
Łkania rozpaczne, skowyty i jęki.

I nakazali udawanie pieśni
I uczynili ją kramem błyskotek
I tajemniczo rzekli: kłamstwo wskrześnij,
Bądź sforą wszystkich tego świata plotek,
Zmetafizycznij się i rozbezkreśnij
I daj dzieciakom mnóstwo swych łakotek,
By do przesytu niemi się obżarli
I z przejedzenia tak jako wy marli.

»Nazwij głupotą wszystką czystość, świętość,
Od rzeszy ludzkiej odgródź się koturnem,
Uwielbiaj głośno swego »ja« nadętość
I bądź jak Jowisz gromowłada chmurnym,

Wygnaj precz szczerość, ukochaj dróg krętość —
A wtedy życie twoje nazwą górnem,
Wszehisteryczki, podlotki, młokosy
I sława twoja urośnie w niebiosy.

»Rozpętaj wiatry, będziesz zbierał burze
I zakrólujesz jako duch zniszczenia,
U nóg twych padną wszystkie ziemi róże
I hymn twój wzniesiesz ponad pokolenia;
Dawne przesądy pokryły już kurze,
Nowa epoka dziś się wypromienia,
Która już twojej woli nie przygniata,
Otoś nadczłowiek i bóg tego świata.

»Miłość to przesąd a więc precz ją wyżeń,
Niema dotkliwszych jako jej kajdany,
Unikaj wszelkich ku pospólstwu zbliżeń,
Bo twój majestat będzie tem zmazany,
Ukochaj siebie, bo klątwa poniżeń
Nad tym, co z ludem sercem jest zbratany,
Wielbij obłędne twego mózgu szały,
Bardziej, niż Pythia bądź niezrozumiały.

»A dostojeństwo królewskiej purpury
Wymaga tego od ciebie, mój luby,
Byś jak najdalej odszedł od natury,
W miejskich kloakach szukał swojej chluby,
W knajpach, kawiarniach są twoje lazury
I słońca twoje, w nich szukaj swej zguby,
Niech ci otworem staną lupanary,
Żywot twój zgoła już nie będzie szary.

»Chcesz poznać siłę? Otóż powiem jeszcze,
O! królu szychu, bądź formy tyranem,
Twe szały, takoż wydzieliny wieszcze
Układaj kształtem dziwnym i nieznanym

A wzbudzisz w świecie nowych wzruszeń dreszcze
I będziesz nowych objawień tumanem
I zakrólujesz nad duszy pustkowiem,
Słysz! a nakoniec to jeszcze ci powiem:

»Abyś nie poniósł żadnej w życiu klęski
Bądź zawsze grzeczny, zimny, obojętny,
Nie trudź się nikim a będziesz zwycięski,
Zwyciężać bowiem zwykł człowiek wykrętny,
Pomnij, byś zawsze był twardy i męski,
Nie daj nic drugim, dla siebie bądź skrzętny,
Kochaj się w sobie, pogardzaj bliźniemi,
Będziesz mądrością i solą tej ziemi.

Marły me blade kwiatuszki pierwiośne:
Wszystkie me ciche, niewinne piosenki,
Stało się życie moje tak żałośne,
Jak pogrzebowych hymnów czarne jęki
I wszystko zdało mi się bezlitośne,
Nikt nie wyciągnął przyjacielskiej ręki,
Próżno czekałem otuchy promienia,
Dnie moje biegły pośród przerażenia.

Szalony lęk mnie przycisnął do ziemi,
Na piersi całym zwalił się ciężarem —
A ja skrzydłami do lotów zdolnemi
Miasto ulatać światowym bezmiarem,
Z oczyma krwawą łzą napełnionemi,
Z duszą płonącą cierpienia pożarem,
Byłem, jak harfa cudowna, rozbita,
Z której już pieśni anioł nie wykwita.

Był czas, żem stanął już nad swoją trumną
I w otchłań grobu wpatrzyłem się ciemną,
Mówiłem: »śmierci, jak tyś jest rozumną,
Kiedy swą kosą zaświecisz w noc ciemną

Ludzkiej rozpaczy, zgraję nieszczęść szumną
Za morza pędzisz — ach! bądź wiecznie ze mną;
Śmierci, tak zimna a taka litosna,
Jak najcudniejsza w życiu mojem wiosna.

»Daj mi położyć na głuchem twem łonie
Głowę, strasznemi burzami targaną,
Gładź macierzyńską pieszczotą me skronie
I zapłacz, matko, nad krwawiącą raną,
Którą odniosłem po tamtej twej stronie
Nazwanej życiem — niechaj nie powstaną
Chęci już żadne we mnie, ni piękności,
Kołysz mnie na twój sen, Matko miłości«.

A ponad ziemią biegły wiosny, lata,
Jesienie we łzach, bólem ścięte zimy,
Przed okiem mojem stała więzień krata,
Widziałem przez nią zgliszcz marzeń mych dymy —
Często sny nowe ścina topór kata
A serce sprawia, że nowe sny śnimy,
Choć wiemy, że są też na śmierć skazane
I dawną tylko rozogniają ranę.

Pamiętam dobrze szukania obłędne
Wśród czyhających ciemności dokoła,
Które szeptały, że wszystko jest względne
I niema żadnej trwałej prawdy zgoła.
Ach! czuję jeszcze, jak od myśli więdnę
I próchnem zwątpień staję się z anioła,
Szlakiem nowego dążę bohaterstwa
Ze stałych uczuć i myśli bluźnierstwa.

Lecz przebacz Panie! tak mi było biedno,
Cierpiałem srodze, syty łez, rozpaczy

Pragnąłem duszę bratnią mieć, choć jedną,
A żywot miałem samotny, tułaczy,
Lecz w państwie Twojem zorze łask nie bledną
I Twoja miłość winy me przebaczy,
Bom był samotny, bom cierpiał męczarnie
I, żem choć w błędach kochał Ciebie żarnie.

A za to także Chrystusie mój biały,
Żem trudy bólu niósł dla Twej miłości,
Żem owionięty tchnieniem Twojej chwały
Zmuszony byłem kroczyć wśród ciemności,
Które zgnilizną wstrętną swą buchały,
Jadem swym moje oplułу jasności
I wątłe dziecko zdusiły śpiewanie,
Ty mi przebaczysz biały Chryste Panie!

Za to, że serce w ciągłej było wojnie
I, żem nie zmazał stóp swych w ziemskim brudzie,
Żem życie pędził i trudno i znojnie,
Że braćmi dla mnie byli wszyscy ludzie,
Żem z grobu mego marzył powstać zbrojnie
I przeciw kłamstwu ruszyć i obłudzie
Za to okrutne w duchu szamotanie,
Ty mi przebaczysz biały Chryste Panie!

Ty mi przebaczysz za to także Chryste,
Żem żył wśród nędzy i błota i sromu,
Że nieba były ponademną dżdżyste,
Z których, co chwila wypadał krzyk gromu,
Żem czucie mimo to zachował czyste,
Uszedłem cały z strasznego pogromu
I wierzę w święte ducha zmartwychwstanie,
Ty mi przebaczysz biały Chryste Panie!

I przyszła do mnie wiosna uśmiechnięta,
Dłońmi objęła mi zbolałą głowę

I swoje dobre skłoniła oczęta
Ku mojej twarzy; rosy brylantowe
Skrzą się na trawach i dusza ocknięta
Ze snów bolesnych idzie w życie nowe,
Idzie promienna wiosennymi wdzięki,
Ciemność rozjaśniać i utulać jęki.

Niesie pierwiosnki, fiołki, stokrocie,
Niezapominki, storczyki i dzwonki
Lilie i róże — idzie w ranka złocie,
A za nią ciągną słowiki skowronki,
Niesie barw, dźwięków i zapachów krocie
Na twoje biedne serce człecze łąki,
Boże wesele i boże uśmiechy
Zanosi dzisiaj popod twoje strzechy.

Przyjmij ją dobrze tę wysłankę Pana
I swe gościnne otwórz jej ramiona
Niech ziemskim błotem każda myśl zmazana
I każde czucie dzisiaj w tobie skona,
Niechaj niewinność powróci wygnana,
By wiecznie mieszkać wśród Twojego łona,
Byś trwało odtąd w wiekuistej wiośnie
I, jako boży kwiat, kwitło miłośnie.

Niechaj na rajskich fletniach Ci zagrają
Wdzięczne melodye: zachwyty, wzruszenia,
I niech się Twoje ziemice rozmają
I żywot młody niech się rozzielenia,
Który ku świetnym idzie urodzajom...
Mając moc w sobie Bożego natchnienia,
Spiekocie, burzom i gradom oporną
Dla zła przedumną, dla dobra pokorną.

Chrystusa dzisiaj witam Cię imieniem,
Który na duszy mojej wszedł pokoje

Miłości wniebowziętem rozmodleniem
Na święte Ducha wyzywam Cię boje,
Które Ci będą z klęsk Twych wyzwoleniem
I szczęśliwości odchylać podwoje
Na kraj, gdzie słońce nigdy nie zapada
I, gdzie kwiatuszków nie kosi śmierć blada.

Dziś tworzę hufiec płomiennych rycerzy,
Który Chrystusów ma umocnić państwa
I w walkę ruszy, bo kocha i wierzy,
Że niema tutaj milszego poddaństwa,
Nad dobrą wolę — i na srom uderzy,
Podnosząc sztandar świeckiego kapłaństwa
Jak jutrznia nowa martwym światom spłynie,
Rozmiłowany w twardym serca czynie.

Oto godzina bije zmartwychwstania,
Słyszeli ją duchy wszyscy i narody,
Z zagrobowego wracajcie wygnania
Na żywot wieczny wesela, pogody,
Oto się jutrznia z pośród mgieł wyłania
I ku niebiosom złote błyszczą wschody,
Wstępujcie na nie i ku słońcu dążcie
Miłością ziemię z błękitami zwiążcie!

W kurzawę padnie wszelka ziemi siła,
A nad nią ducha moc zatryumfuje
I będzie odtąd światem tym rządziła,
Z obmierzłych kajdan wszystkich was rozkuje,
Jawą się stanie, to, co dusza śniła,
Zgnieceni będą wszyscy światła zbóje
I świat ten będzie, jako boża łąka,
Nad którą leci śpiew prawdy skowronka.

Oto wam wieszczę niebiosa na ziemi,
Ale niech żywot wasz kłamstwem pogardzi,

W uczuciach waszych z mądrości wyszłemi
Pomnijcie zawsze, być niezłomnie twardzi,
Niech samolubstwa jędzę tu oniemi
Miłość bliźniego, nią macie być hardzi
I nieugięci na żadne ustępstwa,
Życie wam będzie pochodem zwycięstwa.

Miecz nieście przeciw złotemu bogactwu,
Które się w marnym blasku ziemskim kocha,
A duszę swoją oddaje robactwu,
Na które plemię ludzkie wiecznie szlocha,
Walkę wydajcie jego świętokradztwu,
Sprawiającemu, że człowiecza socha
Tak płytko orze w opoczystym gruncie.
Rycerze! szykiem naprzód k'niemu suńcie!

O! bo najgorsze są ziemi zwierzęta,
Te kochające swe nikczemne cielsko,
Na wieki pamięć ich będzie przeklęta
I tak wydarte będą, jako zielsko
Z pośrodka łanu, gdzie pszenica święta
Urasta duchom na strawę anielską,
Gdy dziewki zniosą dożynkowe wieńce,
Ogień zatraci one potępieńce.

Albowiem nie tak wielki jest ten zbrodzień,
Który dla głodu kęs chleba ukradnie,
Taki jest jeszcze zlitowania godzien;
Bo on już często swem sercem nie władnie,
Do tego czynu zmuszacie go codzień
Wy, którzy światem rządzicie wszechwładnie
I wy przyczyną wszystkich tutaj zbrodni
I przebaczenia dlatego niegodni.

Niech miłość wszystkich pojedna i zbrata,
W owczarni Bożej niech będzie pasterką,

Niechaj już nędzy nie będzie wśród świata
I dusz rozbitych straszną poniewierką,
Niech życie cierni na skroni nie wgniata
Ciągłą uczucia i myśli rozterką,
Niechaj się wszelka już myśl rozpogodzi —
O! bracia moi, bądźcie wiecznie młodzi!

I niewinności zachowajcie piękno,
Miejcie wejrzenie pogodne ócz dzieci,
A ono sprawi, że groty klęsk zmiękną
I zło was do swej nie ułowi sieci,
Żadnych orkanów duchy się nie zlękną,
Bo przecie słońce za chmurami świeci,
Orkany zmilkną, chmury się rozpłyną,
A te wejrzenia wasze nie przeminą...

O! pamiętajcie być duchami młodzi,
Bo młodość czysta — to szczęście tej ziemi,
Wszystkie tu dźwięki w jeden akord godzi
I bucha pieśńmi na światy twórczemi
I pośród wieków klątewnej powodzi,
Zakwita orkan ogniami bożemi
I z zbałwanionych mętów wypromienia
Cudowną wyspę ducha wyzwolenia.

Wolność wawrzynnym wieńcem was obdarzy,
Już nie będziecie brzękać kajdanami
I nie będziecie szli już wśród cmentarzy
I nie oszuka was nic, nic nie zmami,
Poznania łaska będzie biła z twarzy
Niewidzianymi jeszcze tu świtami —
Pójdzie wiosenny wasz huf krasnolicy,
Z wzrokiem utkwionym w rozblask tajemnicy.

Z coraz liczniejszym zastępem pójdziecie
Winy wypleniać, by nie było kary

I rozpowiadać Chrystusa po świecie,
Żołnierstwo zbierać pod Jego sztandary,
By nie szalały już ziemią zamiecie,
By nie niszczyły plonów już pożary,
By nie płynęły skargi i przekleństwa,
By życie orgią nie było męczeństwa.

Zjawi się wówczas wpośród was królowa
Wśród rozwalonych przez was kłamstwa grodów,
U stóp jej zorza błyszczy jutrzenkowa,
A od niej tają resztki serca lodów,
Usta jej szepcą zmartwychwstania słowa —
Polsko! Ty pierwsza ujrzysz ją z narodów;
Boś pierwsza ku Niej wzniosła swe ramiona
I pierwsza dla Niej byłaś umęczona.

Więc k'tobie przyjdzie Królowa Miłości
I rzeknie: »córko prowadź mnie ku ludom,
Już wygładzone są wsze nierówności
I zwiastowane jest zwycięstwo trudom,
A pognębienie wszelkiej nieprawości.
Rozwarłam na świat wrota Bożym cudom,
Idzie ich zastęp tutaj za mną biały,
Umacniać w duszach państwo Bożej chwały«.

Kiedyś zasiędziem złote wyzwoleńce
Ziemi anioły, przy Chrystusów stole,
W weselu Bożem, o rannej jutrzence,
Która nagrodzić przyjdzie dobrą wolę,
Swych najkraśniejszych róż przyniesie wieńce,
By je rozdawać w tem rycerskiem kole
Za troski, trudy, męczarnie i znoje
Tym, którzy dla Cię Chryste szli na boje.

Kazimierz Woyczyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Sprawozdania Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce. Tom VII, zeszyt IV, szpalt 135 i CXLIX z 138 figurami w tekście, nakładem Akademii Umiejętności, Kraków 1905.

Ostatni zeszyt siódmego tomu monumentalnago wydawnictwa naszej Akademii przynosi nauce historyi sztuki plon świeży i obfity. Dla czytelników, którzy je rzadko mają w rękach, potrzebnem będzie objaśnienie, że składa się ono z dwóch części. Pierwsza, o paginacyi arabskiej zawiera rozprawy, przedstawiające określoną całość. Druga, oznaczona liczbami rzymskiemi mieści sprawozdania z posiedzeń i komunikaty członków Komisyi, a nieraz zajmującą między nimi wymianę zapatrywań, która wielce się przyczynia do pogłębienia wiadomości o naszych zabytkach. Stąd też część druga bywa czasami ciekawszą od pierwszej, a z rokiem każdym staje się obszerniejszą. Kto wie, czy kiedyś »Sprawozdania« nie będą wychodziły w jednolitej szacie obecnej części drugiej, gdyż wiele rozpraw dałoby się pomieścić w skróconej postaci, jako komunikaty, a dla innych, mających ogólniejsze znaczenie, mógłby co roku być dostępnym jeden tom »Rozpraw« Akademii Umiejętności. Taka przypuszczalna zmiana byłaby może dla całości wydawnictwa korzystną nie tylko pod względem formy, lecz przedewszystkiem, o ile mi się zdaje, pod względem przejrzystości i łatwości korzystania z wydanych materyałów. Zauważyć często bowiem można w pracach nowożytnych autorów w ogólności wiele rzeczy niepotrzebnie wtrąconych *ad maiorem auctoris gloriam*, które pod okrywką wielkiej erudycyi, cytat i porównań, wykazać mają to, co w paru słowach

komunikatu powiedziećby się dało. Jest to metoda naukowa wprowadzona przez Schnaasego, polegająca na ogólno-kulturalnych dygressyach, niekiedy jednostronnych, lub naciągniętych do każdorazowej potrzeby autora, którą Dohme tak trafnie nazywa *Hintergrund-Stimmung*. Często nawet ma ona znaczenie ornamentu po prostu, bez którego obejśćby się można zupełnie. Cały balast odrzucony, ulżyłby do tego stopnia publikacyi, że zamiast spoczywać na półkach księgarni i bibliotek, stanowićby mogła istotną potrzebę i ozdobę każdego kulturalnego domu polskiego. Ci natomiast, którzy nie obawiają się wielkiej metody »nastrojowej« i rozwinięcia całego aparatu rozprawowej uczoności, w odnośnym tomie »Rozpraw« czerpaliby jej pełną garścią, dla pożytku własnego, a może i swoich następnie czytelników. Rozprawy z działu historyi sztuki są bowiem prawie wyłącznie czytywane przez piszących; w poważniejszych peryodycznych pismach naszych nie znajdujemy o nich wiadomości lub recenzyi, a tem mniej o całości wydawnictwa. Jest to więc *terra incognita* dla szerszego grona czytającego społeczeństwa polskiego.

Pragnąc temu w drobnej cząstce zaradzić, przedstawię, co nam dał czwarty zeszyt, VII tomu »Sprawozdań. Na wstępie dowiadujemy się o kościołach i cmentarzach warownych w Polsce z rozprawy, na którą się złożyły materyały zebrane przez p. Grzegorza Worobjewa o kościele i cmentarzu warownym w Kleczkowie i praca d-ra Jana Zubrzyckiego o warownym kościele w Bóbrce koło Lwowa, ujęte w całość i znakomicie objaśnione przez prof. Maryana Sokołowskiego. Przyszły im ponad to w pomoc doskonałe zdjęcia fortyfikacyi Kleczkowa przez p. Szyszkę-Bohusza, zamieszczone w »Uzupełnieniach i Poprawkach« niniejszego tomu. Cecha fortyfikacyjna pozostaje w związku z samą nazwą kościoła, pochodzącą od καστέλιον, czyli *castellum*. Dania i sąsiednie kraje północne są wymownym tego przykładem. Nasze dawne kościoły również były warowne, a służyły im do tego przedewszystkiem wieże, mury obronne i konstrukcye drewniane, rozwijające się obok kosztownego budownictwa murowanego. Ślady owej »inkastelacyi« należą u nas do rzadkości wskutek nietrwałości materyałów. Częściej zamiast obronności samego kościoła znajdujemy okolne mury z wieżami, lub warowne cmentarze kościelne, które służyły za schronienie mieszkańcom okolicznym. Kleczkowo w gub. Łomżyńskiej dochowało ceglano-gotycki kościół o śladach obronności; cmentarz okala mur fortyfikacyjny z 5-ma niegdyś wieżami, z których jedna, dawniej brama, pozostała. Urządzenie muru ze strzel-

nicami, a niegdyś z blankami u szczytu i galeryami drewnianemi, zwanemi oblankami, zarówno jak owa brama ze śladami dawnej zasuwy czyli brony, są ważnymi dokumentami naszego budownictwa kościelno-warownego z XV w. W Bóbrce koło Lwowa jest kościół z pierwszej połowy XVII w., o budowie obronnej, ujętej w zwięzły system strzelnic rozmieszczonych w trzech kondygnacyach. Jedna z nich nad sklepieniem nawy i prezbiteryum, druga na wzniesionych łącznych emporach, tworzących jakby nawy boczne, trzecia zaś pod niemi w szeregu dolnym, który musiał również mieć strzelnice. Przy omawianiu tych zabytków poruszono potrzebę zbadania kościoła w Brochowie koło Czerwińska o zachowanej inkastelacyi, jeszcze nieopracowanej przez historyka sztuki. (Z ubocznego źródła ponadto dowiaduję się, że warowny kościół dochował się w Serocku, co wymaga sprawdzenia). Rozprawa niniejsza posuwa dalej badania Łuszczkiewicza nad warownymi kościołami romańskimi, a następnie niedokończone niestety prace ś. p. Kazimierza Mokłowskiego nad drewnianą obronnością kościołów.

Tegoż właśnie autora jest z kolei artykuł, dotyczący cerkwi Ławry w Ławrowie na Rusi halickiej, zbudowanej około 1300 r. Trzy jej absydy i sklepienia odznaczają się połączeniem form bizantyjskich z przejściowemi między romanizmem, a gotycyzmem. Badania jasno przeprowadzone przez p. Mokłowskiego uzupełnia ustęp prof. M. Sokołowskiego p. t.: »Uwagi nad architekturą cerkwi w Ławrowie«. Wykazuje on przedewszystkiem, że plan cerkwi ławrowskiej o trzech absydach koniczynowo rozmieszczonych powtarza się w bukowińskich, moldo-wołoskich, a nawet serbskich cerkwiach w połączeniu z elementami gotycyzmu. Pochodzi on z najdawniejszych epok architektury kościelnej, a w sztuce bizantyjskiej od XIII w. utrzymał się wyłącznie na górze Athos. Pod tym więc wpływem powstała omawiana cerkiew, a zachodni typ form romańskich tu zaznaczony przypisać należy wykonaniu budowy przez rzemieślników zachodnich. Jest to znakomitem uzupełnieniem dotychczasowych badań budownictwa na Rusi halickiej, łączącego cechy zachodnie ze specyalnym typem bizantyjskiej architektury. Wywarło ono szeroki wpływ na kraje ościenne. Cerkwie suzdalskie są tego dowodem, co starali się wykazać rosyjscy uczeni, jak Tołstoj i Kondakow, Hruszewski, a w ostatnich latach Bereżkow. Badania ich znajdą tutaj wyjaśnienie wielu kwestyi zasadniczych, a rozprawa powyższa, pod wspólnym tytułem: »Do dziejów architektury cerkiewnej na Rusi Czerwonej« powinnaby mieć zasłużony rozgłos poza granicami naszego kraju.

Trzecią z rzędu jest praca d-ra Feliksa Kopery, p. t. »Miniatury rękopisów polskiego pochodzenia w bibliotece publicznej w Petersburgu, wiek XV—XVI«, dalszy ciąg pracy zamieszczonej w I, II i III zeszycie tego samego tomu »Sprawozdań«. Ograniczę się więc tu wyłącznie na zaznaczeniu, że znajdujemy w niej opis cennych rękopisów: *Glossa in decretale Gregorii IX* z biblioteki Erazma Ciołka w pięknej oprawie z herbami biskupa, w dwóch tomach. »Mszał Erazma Ciołka« o wielu miniaturach znacznej wartości, naturalistycznie traktowanych z niezwykłą obserwacyą przyrody. Wykonane są przez różnych miniaturzystów prawdopodobnie w Polsce. Na kartach obu tych rękopisów widnieją herby »Sulima« biskupa Erazma Ciołka. »Graduale kościoła św. Katarzyny w Krakowie«, pisane przez brata Jana Augustyanina r. 1528, zdobią miniatury monogramisty A. P. przypominających rękopis krakowski Seteszy poprzednio przez autora opisywany. »Graduał brata Macieja Żnina« z r. 1620 odznacza się inicyałami śmiało wyrysowanemi, o barwnej i żywej ornamentacyi typu swojskiego.

Następny autor, zgasły niedawno temu Hieronim Łopaciński pozostawił nam ważną pracę p. t. »Wiadomości o marmurach w Polsce, z rękopisów oraz dzieł dawnych i nowszych«. Jest to wyłącznie zestawienie źródeł dotyczących naszych marmurołomów, chronologicznie ułożone. Są nimi: list Jana Firleja z 1599 r. do Zygmunta III, o restauracyi zamku krakowskiego, dochowany w odpisie w bibliotece d-ra Lasockiego w Nałęczowie i drukowane w XVIII wieku dzieła przyrodniczej przeważnie treści: Gabryela Rzączyńskiego, ks. Wojciecha Bystrzonowskiego, ks. Benedykta Chmielowskiego, Stanisława Duńczewskiego, ks. Krzysztofa Kluka, ks. Remigiusza Ładowskiego, Stanisława Staszica i Niemca Franciszka Józefa Jekla. Wiadomości o marmurach znajdują się również w niewydanym dotąd dyaryuszu podróży Jana Rostworowskiego z r. 1813 i w licznych drukowanych pracach XIX w.: Ambrożego Grabowskiego, H. Łabęckiego, F. M. Sobieszczańskiego, Niemcewicza, J. Czerwińskiego, Korzona, Wincentego Choroszewskiego, Stanisława Polaczka i innych. Bardzo pożyteczna praca śp. prof. Łopacińskiego posuwa dalej poznanie sprawy naszych marmurów krajowych, które od połowy XVI wieku weszły w użytek, a przedewszystkiem w XVII wieku takiego doznały rozgłosu, iż je do Wrocławia i do Wiednia nawet sprowadzano, a w Polsce w powszechnem były zastosowaniu na całej przestrzeni kraju. Nieszczęścia końca XVIII wieku położyły kres naszym marmurołomom, z których obecnie zaledwo ślady pozostały. Sprawa bliższego poznania tego przedmiotu była

w ostatnich latach w różnych pracach poruszoną już przedtem przez prof. M. Sokołowskiego, p. Juliana Pagaczewskiego i przezemnie. Odsyłając więc czytelników do obszerniejszego sprawozdania o pracy prof. Łopacińskiego, które zamieściłem w »Bibliotece warszawskiej« (wrzesień 1907), zaznaczę tutaj, że przynosi ona wiele nowego światła, a tym, co się przedmiotem zajmują, wskazuje drogi do poszukiwań i dalszych odkryć.

Dział rozpraw tego zeszytu kończy: »Przyczynek do dziejów restauracyi katedry lwowskiej w XVIII wieku« przez Ferdynanda Bostla. Katedra lwowska jest dawną gotycką budową halową, sięgającą wieku XIV. Na niej w XVIII stuleciu dokonano restauracyi modernizującej w duchu neoklasycznym. Stanowi to na mniejszą skalę analogię z katedrą wileńską. Prof. Bostel opowiada nam dzieje tej restauracyi na podstawie odnalezionych regestrów, uzupełnia i sprostowuje wielokrotnie monografię Maurycego hr. Dzieduszyckiego p. t. »Kościół katedralny lwowski«. Restauracya trwała lat piętnaście (1765—1780) pod kierunkiem architekta Piotra Polejowskiego. Funduszów dostarczyły dary, legaty, sprzedaż ołtarzy alabastrowych dawnych, pomników marmurowych i przetopienie sreber. Zniszczono tą drogą mnóstwo zabytków. Następnie zniesiono kaplice, z wyjątkiem kaplicy Boimów, wnętrze ogołocono, pogłębiono, aby na gruzach znów tworzyć wedle mody współczesnej. Poznajemy wiele nazwisk rzemieślników Polaków. Byli to przeważnie »mozaiści« wykonujący *stucco lustro* na sposób włoski, rzeźbiarze, snycerze, sztukatorzy, a wreszcie malarze i pozłotnicy. O artystach właściwych niema wzmianki. Pracę kończy excerpt z księgi wydatków, mający wartość znaczną dla przyszłych badaczów.

Część drugą zeszytu rozpoczyna skład komisyi w 1901 roku. Po nim zamieszczono kolejno sprawozdania z posiedzeń odbytych w ciągu tego roku. Przegląd ich, choćby pobieżny, jest bardzo uciążliwy. Dlatego ograniczyć się trzeba na podniesieniu nowych wiadomości, które one przynoszą.

Architekturę w Polsce szeroko tu omawiano, p. Wawrzeniecki donosi o drewnianym kościele w Boguszycach pod m. Rawą, o ciekawej dekoracyi malowanej i szczątkach tryptyków, a następnie o kościele w Jeruzalu pod Rawą, gdzie dochowały się charakterystyczne obrazy wotywne z 1653 r. X. Kozicki podaje kilka wiadomości o budowlach kościelnych w Przeworsku i o zamku w Kórniku z 1426 r. P. Lepszy na podstawie fotografii nadesłanych przez p. Janowskiego, omawia ruiny zamku w Liwie, niegdyś książąt mazowieckich, obecnie

w ruinach. Mieściło się tam w wieży Archiwum ziemi liwskiej. P. Łopaciński nadesłał drobne notatki, dotyczące Krosna i Odrzykonia. W kościele farnym w Krośnie odkrył on opis konsekracyi kościoła w r. 1512 wśród różnych sprzętów zaniedbanych. W Odrzykoniu zaś zauważył kamienną tarczę z herbem Pilawa, odnoszącym się do Klemensa z Moskorzewa, jednego z pierwszych właścicieli zamku za czasów Władysława Jagiełły. Ważnym i rzeczowo napisanym jest obszerny referat p. Mokłowskiego o domach podcieniowych drewnianych w Polsce. Stanowią one przejście od budownictwa wiejskiego do miejskiego i wpłynęły, zdaniem autora, na budownictwo murowane XVI w. u nas. Polska attyka renesansowa powstała wedle niego z dawnych podcieni. Dr. Czołowski podał opis zamku w Laszkach murowanych na podstawie inwentarza z r. 1748. Składał się on z części starszej z XVI wieku, zwanej Tarłówką i późniejszej, dobudowanej przez Mniszchów w XVII w. Wewnętrzne jego urządzenie i zaopatrzenie było nadzwyczaj okazałe i kosztowne. Od chwili przeniesienia rezydencyi Mniszchów do Wiśniowca, zamek popadł w ruinę i dziś szczątki drobne z niego pozostały. Z drugiego referatu tegoż autora dowiadujemy się o nieznanych dotąd szczegółach z przeszłości zamku w Podhorcach, na podstawie aktów i inwentarzy licytacyjnych z 1782—1786 r.

Do działu rzeźby należą referaty drobne przeważnie. Ks. Kozicki wspomina o grobowcach kościoła parafialnego w Przeworsku. Prof. Sokołowski *ex re* wotów Tomickiego, omawianych w pracy d-ra Kieszkowskiego, podaje ciekawe wiadomości o florenckich wotach woskowych, wykazując stosunki Tomickiego z Florencyą. P. Łoziński przedłożył zdjęcie statuetki alabastrowej Matki Boskiej w kościele OO. Dominikanów we Lwowie, zwanej Jackową. Nad kwestyą starożytności tej pracy dyskutowano zarówno we Lwowie, jak i na posiedzeniach krakowskich, dochodząc do tego samego wniosku, po obszernych i różnorodnych wywodach, że pochodzi z połowy XIV wieku. Korzystając z poruszenia tej kwestyi p. Pagaczewski zestawił figury, przedstawiające N. Maryę Pannę Jackową w katedrze przemyskiej i w klasztorze dominikańskim w Krakowie, do czego przybyła jeszcze alabastrowa Madonna z Torunia. Cały ten ustęp jest dowodem, jak korzystnie wpłynąć może ciało zbiorowe na pogłębienie badań nad zabytkami krajowymi. P. Muczkowski zwrócił uwagę na posągi Matki Boskiej w kościele św. Barbary w Krakowie *(Pietà)* z początku XVI wieku i w klasztorze OO. Augustyanów tamże, a oprócz tego na figurę z XV w. w kościele Bożego Ciała w Krakowie, przedstawiającą

św. Barbarę. Jednym z ważniejszych komunikatów tego działu jest rzecz p. Lepszego o nagrobku dziewczynki Katarzyny Pileckiej z połowy XVI w. Zapewne jest to dzieło Jana Michałowicza z Urzędowa, wyobraża zaś nagie dziecko wsparte na trupiej czaszce. Piękna ta rzeźba przypomina płytę nagrobkową Rafała Macieja Ocieskiego w krużgankach Dominikanów w Krakowie, przypuszczalnie pracę Jana Maryi Padovana. Prof. Sokołowski dodaje, że w kościele parafialnym w Fulsztynie jest taki sam nagrobek, jak w Pilicy, Krzysztofa Herburta, zmarłego dzieckiem 1558 r. W Łomży zaś podobny pomnik Jana Modliszowskiego zmarłego 1588. Nareszcie w Żydaczowie jest pokrewny nagrobek dzieci Daniłowiczów z 1580 r. P. Puszet donosi o zabytkach powiatu myślenickiego, w którego drewnianych kościołach napotkał na różne tryptyki zajmujące, skrzynię późno-gotycką, a w Drogini, na zbiór woskowych figurek z XVIII w. Najciekawszem dziełem jest tamże »Pietà« z pierwszej połowy XV w. Wykonana ze stiuku, dawniej była polichromowana. Prof. Mycielski mówi o grobowcach kobylnickich we wsi Kobylniki pod Płockiem, należących do najpiękniejszej epoki odrodzenia, dłuta Hieronima Canavesiego z Medyolanu, osiadłego w Krakowie. Znamy prace tego artysty w katedrze w Poznaniu i w kościele w Szamotułach. P. Cercha dotknął sprawy marmurów krajowych w komunikatach o zachowanych pracach Jacka Zielawskiego w kościele OO. Kamedułów na Bielanach i OO. Bernardynów w Krakowie, a oprócz tego podał szczegóły odnoszące się do pomnika Jana III w katedrze na Wawelu.

Malarstwo nie pozostało w naszym zeszycie odłogiem. P. Łopaciński dostarczył ważnych wiadomości o Tokarskim na podstawie nowych źródeł, przeważnie własnoręcznych listów Stanisława Augusta. Jedną z ciekawszych jest sprawa obrazów katedry w Łucku, wykonanych dla biskupa Adama Naruszewicza w malarni królewskiej, pod kierunkiem Tokarskiego. Jest oprócz tego nominacya artysty na inspektora Łazienek, a następnie czysto pruskie odpowiedzi Fryderyka Wilhelma III, odmawiające pomocy *au Tokarski à Varsovie* w tonie niegrzecznym, a ortografii nieświetnej. Prof. Mycielski w streszczeniu czytał drugą część swojej pracy p. t. »Lucas Vorstermann i dwaj polscy panowie (1640—1646)«, w której opowiada stosunki ks. Bogusława Radziwiłła ze sławnym rytownikiem i dzieje jego ryciny portretowej z 1640 r., oraz wyjaśnia w zupełności rycinę Krzysztofa Opalińskiego, wojewody poznańskiego, rytowaną przez tegoż artystę w Antwerpii 1645 r., z okazyi poselstwa Opalińskiego do Paryża, gdzie po-

ślubił w imieniu Władysława IV królowę Maryę Ludwikę Gonzagę. Referent odnalazł oryginalny do niej rysunek, będący w jego posiadaniu i przypisuje go uczniowi Rubensa Abrahamowi van Diepenbecke. Wielką zasługą prof. Mycielskiego jest podjęcie robót daleko idących nad stosunkami Polski z artystami flandryjskimi i holenderskimi XVII w. W ostatnich czasach należą one do najlepszych prac naszej Akademii i rzucają nowe światło na ogólno-europejskie studya do tej wielkiej epoki, a przedewszystkiem na stosunek Rubensa z naszym królem, nieraz uzupełniając i sprostowując badania znakomitych uczonych Maxa Roosesa i d-ra Hofstede de Groot'a. Do znacznie wcześniejszej epoki odnosi się referat d-ra Łozińskiego o obrazie cechowym lwowskim, znajdującym się w przedsionku klasztoru OO. Dominikanów we Lwowie. Ciekawy ten zabytek przedstawia Matkę Boską Różańcową, okrywającą swym płaszczem Zygmunta Augusta i papieża z orszakiem; pod tą grupą zaś klęczącą rodzinę fundatora. Dr. Batowski wraz z prof. Antoniewiczem omawiają obraz »Ukrzyżowanie« z r. 1535 oznaczony monogramem W. K., odnosząc go do Wolfganga Krodla ze szkoły Kranachowskiej. Prof. Antoniewicz w sprawie rycin Polakom dedykowanych przedstawił rycinę włoską, dedykowaną przez Albergatiego Stanisławowi Augustowi, a następnie omawiał stosunki Daniela Chodowieckiego z Polską, którym zamierza większą pracę poświęcić i okazał trzy ważne dokumenty, mianowicie genealogię domu Chodowieckich od połowy XVI w. do roku 1688, autobiografię Jana Syreniusza Chodowieckiego, sławnego uczonego, z 1693 r. i drzewo genealogiczne rodziny Chodowieckich, rysowane i objaśnione przez samego rytownika. P. Julian Pagaczewski podał wiadomość o obrazie z XVI w. w kaplicy św. Michała w kościele OO. Kamedułów na Bielanach, przedstawiającym Chrystusa między dwoma aniołami. Liryzm, blady koloryt i typy, odnoszą ten obraz do szkoły szwabsko-bawarskiej. Tenże autor zwrócił uwagę na obraz przedstawiający św. Rodzinę, o pewnych wpływach włoskich późnego odrodzenia. Znajduje się on na krużgangach w klasztorze OO. Franciszkanów w Krakowie. Dział ten zamyka rzecz p. Puszeta o odkrytym obrazie Madonny z kościoła w Trzemeśni, który jest repliką Madonny odrzykońskiej w muzeum ks. Czartoryskich. Oba zaś są kopią czeskiej Madonny Zbrasławskiej z XIV w. Daje to powód do obszernego omówienia przez prof. Sokołowskiego starożytnych obrazów Matki Boskiej wogóle, z czego najpierw dowiadujemy się, że madonnom włoskim z epoki *ducento* czy *trecento* służyły za wzór madonny bizantyjskie, a prze-

dewszystkiem t. zw. *Odigitria*, malowana przez św Łukasza, którą cesarzowa Eudoksya, żona Teodozyusza II, w piątym wieku miała przywieźć z Jerozolimy do Bizancyum i umieścić w kościółku τῶν ὁδηγῶν. Typ ten wytworzył się w rzeczywistości w VI—VII w. Madonna trzyma dziecko na lewem ramieniu, a dziecko w lewej rączce ma zwój pergaminu; prawą błogosławi. Do tego rodzaju należy nasza Madonna Częstochowska z pewnemi zmianami, np. zamiast pergaminu jest książka. Wszystkie madonny włoskie XIII i XIV w. są wierne tej kompozycyi tak co do układu, jak i co do stroju. Wkrótce jednak zaczynają się różne modyfikacye, dziecko przenosi się na prawe ramię, a zamiast ubrania ma obnażone piersi i nogi, lub przejrzystą sukienkę, a to zapowiada rodzajowe i z życia wzięte formy tego przedstawienia we włoskiem *quattrocento*. Bardzo też często zamiast pergaminu dzieciątko Boże bawi się ptaszkiem, co jest właściwością nie tylko Florencyi i Sieny, ale i Włoch północnych. Do tej właśnie kategoryi należy Madonna Zbrasławska i dwie jej nasze omawiane kopie. Jest to więc tradycyjna madonna włoska, jednakowoż nie pozbawiona pewnych czesko-niemieckich właściwości w stroju, kolorycie, traktowaniu rąk i ornamentacyi o charakterze północnym. Obszerna notatka prof. Sokołowskiego wiąże się z kwestyą źródeł i początków nie tylko malarstwa czeskiego, ale i naszego na przejściu z XIV—XV wieku. Nie powinna pozostać obcą naszym czytelnikom, a zwłaszcza tym, co się zajmują starożytnymi polskimi obrazami N. Maryi Panny w tak wielu naszych miejscowościach słynącymi od wieków.

Parę słów jeszcze o artykułach poświęconych przemysłowi artystycznemu w omawianej publikacyi. Skarbiec katedry płockiej zawiera piękny obraz srebrny w ramach hebanowych, wytwornej roboty augsburskiej początka XVII w., opisany przez p. Bersohna z poprawkami p. Lepszego. W Nieszawie nad Wisłą jest lawaterz z misą, arcydzieło Jana Caraglii, nadwornego złotnika Zygmunta Augusta, jak nam doniósł p. Józef Zieliński. O inwentarzach skarbca w kościele w Żółkwi z lat 1669—1687 mówił dr. Witold Rubczyński. Z wileńskiej zaś katedry przedstawił w fotograficznych zdjęciach kielich z XV wieku prześlicznej roboty krakowskiej i figurki srebrne św. Kazimierza i św. Stanisława, p. Szutinas, objaśnił tekstem prof. Sokołowski. Unikatem w swoim rodzaju jest kadzielnica w Zielonkach pod Krakowem z 1624 r. opisana przez p. Tomkowicza, a zachowująca w epoce barokowej tradycye gotycyzmu, dowodzące żywotności tego stylu u nas, i to zwłaszcza w przemyśle artystycznym. Kafle z XV w. znalezione w Oświęci-

miu o ciekawych przedstawieniach i herbach, dały pole do obszernych wywodów heraldycznych prof. Piekosińskiemu, a następnie p. Chmielowi. Wreszcie panna d'Abancourt zamieściła ciekawy komunikat o drewnianym, zdobnym orłem i godłem cechowem, notatniku krawieckim z roku 1497 i wogóle o tabliczkach tego rodzaju, pociągniętych woskiem, a służących do zapisywania. Rzecz skrzętnie przygotowana, z opracowaniem źródłowem, nadająca się może więcej do rozpraw, niż do sprawozdań z posiedzeń. Tożsamo powiedzieć należy o pracy d-ra Kieszkowskiego p. t. »Przyczynek do kulturalnej działalności Piotra Tomickiego«. Przynosi ona wiele nowych wiadomości, zaczerpniętych z archiwum ks. Czartoryskich. Dowiadujemy się, jak Tomicki, zaraz po ingresie na biskupstwo krakowskie w 1524 r., rozpoczyna budowę kaplicy, przebudowanej z kaplicy dawnej pod wezwaniem Trzech Króli, lub św. Tomasza kantuaryjskiego. Berecci robotą kieruje, a biskup wszędzie czyni kosztowne zamówienia, zajmuje się przytem wykończeniem wieży wikaryskiej, albo dzwonowej. Skończywszy budowę kaplicy, stawia w niej własny grobowiec, dłuta wielkiego Padovana. Bronzową kratę, wiodącą do przybytku zamawia u norymberskich Vischerów, a oprócz tego powierza Padovanowi wykonanie z czerwonego marmuru węgierskiego cyboryum do katedry, o którego losach nie mamy więcej wiadomości. Oprócz tego, z polecenia biskupa, robią się witraże i stalle w kaplicy, powiment z czerwonego marmuru strygońskiego, paramenta i aparaty niezmiernej wartości, a zawsze wykonują te prace najlepsi i najsławniejsi artyści. Widzimy, jak poczucie doskonałości było wrodzonem temu wytwornemu humaniście. Nadzwyczaj sumienną i zajmującą pracę d-ra Kieszkowskiego uzupełniają szczegóły o napisie na grobowcu i korespondencyi biskupa w tym względzie ze swym siostrzeńcem Andrzejem Krzyckim, a również o wotach złożonych w Częstochowie, kościele Świętokrzyskim na Łysej Górze, u grobu św. Stanisława i w miejscu jego urodzenia w Szczepanowie. Były to, zwyczajem florenckim, woskowe podobizny fundatora, którym obszerną notatkę objaśniającą poświęcił prof. Sokołowski, o czem na innem miejscu już wspominałem. Testament pozostawiony, dopełnia obrazu wspaniałomyślności zgasłego biskupa, nieodrodnego syna Złotego Wieku. Katedrze, kosztowne przybory, bibliotece kapitulnej, pergaminowe kodeksy, swej kaplicy, tkaniny cenne i liczne srebra leguje; następnie zaś hojnie obdarza inne kościoły, krewnych i przyjaciół. Dr. Kieszkowski ze smakiem i umiejętnością umiał nam

odtworzyć postać dominującą tego wielkiego czciciela sztuk i nauk popierając swe wywody obszernym materyałem źródłowym.

»Oto co nam przynosi ostatni zeszyt siódmego tomu »Sprawozdań Komisyi« do badania historyi sztuki w Polsce. Takie prace, jakie poznaliśmy o warownych kościołach, o architekturze cerkiewnej na Rusi czerwonej, o miniaturach, marmurach w Polsce; komunikaty o domach podcieniowych, o Tomickim, grobowcach kobylnickich, lub Pileckiej, opatrzone wybornemi rycinami, stawiają tę publikacyę na równi z najnowszemi pracami zagranicy, a Komisyi naszej zaszczyt prawdziwy przynoszą. Komunikaty zaś o Vorstermanie, Madonnie Zbrasławskiej, Chodowieckim i wotach florenckich w całej pełni wkraczają w ogólno-europejską dziedzinę historyi sztuki. To sprawozdanie z jednego tylko zeszytu wydawnictwa da wyobrażenie czytelnikowi o naukowej doniosłości całego tomu, wychodzącego corocznie niemałym nakładem Akademii. Od wieków średnich, aż do czasów nowożytnych obejmują te badania uczonych ze wszystkich naszych dzielnic, całokształt dziejów sztuki w Polsce na całym niemal obszarze kraju. Siedm ukończonych tomów, to ważny etap na polu nauki, to spuścizna, jaką pozostawi dotychczasowa działalność Komisyi przyszłym pokoleniom. Z niej kiedyś wykwitnie nowa i wielka umiejętność a będzie nią historya r o z w o j u sztuki w Polsce, na owych gruntownych studyach analitycznych oparta.

Dr. Emmanuel Swieykowski.

Compendium privilegiorum Regularium praesertim Ordinis Fratrum Minorum. Concinnavit *P. Venantius Łyszczarczyk O. F. M.*, Iuris canonici Doctor et Lector generalis. Leopoli 1906. (8-vo, XVI, 254.

Przed innemi tego rodzaju dziełami, jak np. van Ethen'a *Comp. priv. Reg.* (Romae 1900), niniejsze chlubnie się odznacza systematycznym podziałem obfitej materyi, ścisłością i gruntownością w przedstawieniu przedmiotu i sumiennem podaniem źródeł, z których autor czerpał. Przy znacznej ilości zakonów i udzielonych im w różnych czasach przywilejów zaiste nie łatwo zestawić te przywileje i uzasadnić zarazem, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę okoliczność, że w czasie kilkuwiekowym niejeden przywilej zakonny został zniesionym lub zmodyfikowanym, a wobec ustawicznie zmieniających się stosunków co do istnienia lub rozciągłości pewnych przywilejów koniecznie powstać musiały wątpliwości i spory. Opierając się na najpewniejszych źródłach i uwzględniając szeroko najnowsze ustawy i rozporządzenia Sto-

licy św., jako też nowoczesną literaturę kościelno-prawniczą, autor wcale dobrze się wywiązał ze swego trudnego zadania, tak, iż zakonnicy zarówno, jak i inni duchowni znajdą w dziełku ks. Łyszczarczyka poradnik, na którym w swoich wątpliwościach śmiało polegać mogą.

Pozwolimy sobie tylko na niektóre braki zwrócić uwagę. Do str. 57, 6, c) dodaćby należało rozporządzenie S. R. C. z dn. 19 styczn. 1906 (por. *Acta S. Sedis* vol. XXXIX, p. 51); str. 75, 2. kara chłosty zdaje się nam przestarzałą; str. 84, II. zdanie Kazenbergera, za którem autor idzie, jest stanowczo za rygorystyczne; str. 177 w myśl rozp. S. R. C. (*D. auth.* n. 3731 ad 1) Msza cicha o Najśw. Sercu Pana Jezusa ma te same przywileje, co śpiewana.

Ks. Jan Roth.

O akcie wiary ze stanowiska nowożytnej psychologii. *Ks. dr. Jan Ciemniewski.* Poznań 1907. Str. 62.

Wniknąć w psychikę nowożytnego człowieka, pochwycić owe subtelne, nawpół tylko uświadomione czy odczute momenta, które mu utrudniają akt wiary, rozprószyć nieporozumienia, wskazać nowe drogi w podawaniu ludziom odwiecznej prawdy — temat zaiste piękny i głęboko aktualny. O trudności tego przedmiotu rozbiły się już wprawdzie dziesiątki i setki wysiłków, lecz oczywiście tem bardziej zasługuje na pochwałę każda nowa próba w tym kierunku podjęta. W rozprawce ks. d-ra Ciemniewskiego zasługuje na pochwałę nie tylko próba. Włożył on w swą pracę to, co jest jednym z najgłówniejszych czynników w praktycznem rozwiązaniu tej kwestyi, włożył dużo zapału i siły własnego przekonania. Włożył i myśl jedną bardzo prawdziwą, a całej rozprawy mniej więcej przewodnią: wiara nie może i nie powinna się kończyć na akcie rozumu uznającego za prawdę to, co Bóg objawił, ona powinna przechodzić w życie i w tem życiu rodzić nie tylko zewnętrzny formalizm religijny, ale głęboki, wewnętrzny związek duszy z Bogiem i Chrystusem, by życie całe przesiąkło duchem Bożym i zasadami Ewangelii. Niech Kościół przez usta i czyny sług swoich podaje wiarę w ten sposób bardziej żywotny i ciepły — niech ze strony nowoczesnego człowieka przystąpi dobra a pokorna wola, posłuszna głosowi Bożemu, tam, gdzie On jakoby pierwotnem objawieniem przemawia— w głębi sumienia, a konflikt wiary i myśli współczesnej zaniknie.

Lecz właśnie dlatego, że ta myśl jest cenną i pożyteczną, pozwolę sobie wystąpić w jej obronie przeciw krzywdzie, którą jej sam autor wyrządza. Dlaczego tak jest — nie pojmuję; błędy bowiem,

które ks. dr. Ciemniewski w pracę swoją wplata, myśli jego nie tylko nie wspomagają ale ją paczą — jednakowoż jest faktem, że w swej teoryi wiary rozszedł się w niejednym punkcie, nie już z tem lub owem mniemaniem teologicznem, ale wprost z nauką Kościoła. Poprzeć ten zarzut tekstami soborów, określeniami papieży, byłaby to rzecz łatwa bardzo, ale niewdzięczna. Ograniczę się przeto do krótkiego zestawienia ważniejszych błędów.

I tak — nie można twierdzić, że w kwestyi wiary »wykluczone są ścisłe albo rozumowe dowody«, że te »dowody są z konieczności płytkie i powierzchowne, bo dowodzą rzeczy, których dowieść nie można«, że »dziedzina wiary tam się zaczyna, gdzie dowody nie dopisują i zawodzą«, str. 7 i 40. Nie można twierdzić, że »istota Boga i losy nasze w wieczności, są to rzeczy dla rozumu niedostępne«; że »wszelka argumentacya w tych kwestyach zawodzi«, że »tych pytań nie rozwiązała żadna filozofia«, str, 7 i 8. Oba twierdzenia bowiem obalają podstawy wiary, bo chcąc wierzyć rozumnie, muszę wpierw wiedzieć, że Bóg jest i że to a to objawił. Rzekomy dowód niemożliwości poznania Boga: »natura Boża stoi poza kategoryami czasu i przestrzeni, które warunkują rozumowe poznanie człowieka«, str. 10 — nic nie udowadnia. Człowiek bowiem nie jest bynajniej »w poznawaniu swojem zamknięty w ciasnem kółku przyrody i ograniczony do jej granic«, str. 10, ale rozumowaniem za pomocą zasady przyczynowości przechodzi »granice przyrody« i dosięga jej Stwórcy. Co prawda jest to jedna racya więcej, że z nauki katolickiej nie mogą »być zupełnie usunięte wszelkie abstrakcye«, str. 51, choćby były »niezgodne z psychiką nowożytnego człowieka«. Z podobnych względów nie zgodzi się na to żaden teolog, że »aby przyjąć cud trzeba już wierzyć«, str. 14, gdyż rozumowe poznanie cudu znów jest dopiero drogą do wiary, bo cud jest kryteryum rzeczywistości faktu objawienia. Błędem jest, że »objawienie jest koniecznie potrzebnem, jako niezbędne uzupełnienie wrodzonej nam potrzeby poznania Boga«, str. 10, że stąd »konieczną, niezbędną jest i wiara«, str. 8 — oboje bowiem jest wcale nie ściśle potrzebnym darem wolnej woli Bożej. Chybioną jest polemika z definicyą wiary, jako »uznania za prawdę tego, co Bóg objawił a Kościół do wierzenia podaje«, str. 22 i nn., wiara bowiem w sensie ścisłym o ile jest aktem (autor często miesza akt i cnotę, czyli jak niedokładnie mówi »stan« wiary) jest istotnie tem i niczem więcej. Twierdzić, że »życie w Bogu i dla Boga, kosztowanie i smakowanie duchowe Jego Boskich doskonałości, zatapianie się w Nim i zapominanie dla

Niego o sobie« i t. d., są to nie owoce wiary, oczywiście najpożądańsze, ale »części składowe aktu wiary«, str. 22 i passim — znaczy popadać w inny gruby błąd, pomieszanie wiary jako takiej z miłością i łaską poświęcającą, które składają się na wiarę »żywą«, błąd niejednokrotnie już potępiony. Szkoda, że tyle razy i w różnych formach powraca doń autor w ciągu swej pracy. Str. 23, 24, 28, 29, 49 i t. d. Restrykcya dana np. na str. 28 zgoła nie wystarcza. Pomijam już z umysłu i niedokładnie przedstawiony stosunek woli i rozumu czy to w genezie czy w samym akcie wiary i bardzo niedostateczne uwzględnienie funkcyi Kościoła w sprawie wiary i błędne zacieśnienie zakresu kościelnego nauczycielstwa na str. 61 i cały szereg podobnych usterek, pomyłek, niejasności, w które niestety obfituje cała rozprawka. Jednego wszakże pominąć nie mogę. Że autor, jak każdy katolik wierzy i w wieczność kar piekielnych i w zadośćczyniącą śmierć Chrystusa na krzyżu i w wyłączność zbawienia w Kościele katolickim pojętym jako dusza i ciało — w to ani na chwilę nie wątpię. Czemuż jednak ściąga na siebie wszystkie pozory zgody na przeciwne tym prawdom błędy? Czemu — bez wyjaśnienia, bez odpowiedzi, którą dać tak łatwo, wymienia te prawdy katolickie wśród innych, często bezsensowych zarzutów, rzekomo z duszy współczesnej wyjętych, utrudniających tej duszy wiarę w Boga?

C'est un livre à refaire, kończył nieraz Brunetière swoje recenzye. Nie mogę i w tym wypadku powiedzieć inaczej. Autor na str. 6 sam przeczuwa potrzebę zmian w poglądach; mogę tu tylko dodać: potrzeba zmian gruntownych. Szkoda, by piękna i dobra myśl utonąć miała w pyle błędnych i obcych sobie naleciałości i stąd uledz pod ostrzem krytyki aż nadto zasłużonej. I nie wystarczy powoływać się na zdanie: lepiej pisać jakkolwiek, niż ulegać martwocie. Kogo tak, jak autora stać na to, by pisał teologicznie i filozoficznie bez zarzutu, ten powinien mieć sobie za obowiązek względem prawdy, której chce służyć, w dzisiejszym strasznym zamęcie pojęć u wielu nawet katolików, podobne temu zagadnienia rozwiązywać jasno i zawsze na podstawie katolickiej nauki. Do tego zaś potrzeba między innymi i pewniejszych przewodników niż Bureau lub Semeria i większego szacunku dla scholastyki, świeżo tak zaleconej i wreszcie, po trochu zachowania starej zasady *nonum prematur in annum.* Do planów reformy przystępuje autor za żwawo. Zdania jak np.: »literaturę kościelną nie dość oczyścić, trzeba ją wręcz przerobić... przerobić *ab ovo;* nawet wypróbowane i niezawodzące dotąd systemy nauczania nie mogą dziś

pozostać bez zmiany« i t. d., str. 5, 51, 52. — Takie zdania, choć szkody nie przynoszą sprawie, bo szczęściem są niewykonalne — autorowi zaszczytu też nie przynoszą a niejednej głowie zaszkodzą.

Ks. Jan Rostworowski.

Z piśmiennictw obcych.

Geschichte des deutschen Volkes von XIII Jahrhundert bis zum Ausgang des Mittelalters. *Emil Michael S. J.* III tom: Deutsche Wissenschaft und deutsche Mystik während des XIII Jahrhundert. Erste bis dritte Auflage. (8-ka, str. 473).

W pierwszych dniach lipca r. 1904 piszący stał w wązkim krużganku wielkiego konwiktu jezuickiego w Innsbrucku i pukał do celi głośnego dziś w Niemczech autora pracy, o której mówić będziemy. Przyjął mnie serdecznie i z wielką życzliwością, cięty katolicki historyk. Postać krępa, o czarnych włosach, zarumienionej twarzy, bystrych przenikliwych oczach, znamionowała z góry temperament, bystrość i ciętość. Dr. Michael jest prawdziwem *enfant terrible* dla cechowych historyków liberalno-protestanckiego autoramentu. Napisał kilka ciętych krytyk historycznych, w których nie przepuścił nawet takim powagom, jak Ranke. Kiedy więc zaczynał wydawać pierwsze tomy swej historyi XIII wieku, z których zdał sprawę przed kilku laty piszący w niniejszem piśmie, dzieło benedyktyńskiej iście pracy, ale że o barwie katolickiej, więc rzucono się nań ze strony liberalnych członków cechu historycznego, posiadających rzekomo monopol umiejętności, z prawdziwą furyą teutońską i nie pozostawiono na nim suchej nitki. Wśród recenzentów jego dzieła szczególniej profesor uniwersytetu wiedeńskiego, Redlich, w namiętnej recenzyi umieszczonej w *Mitteilungen des Instituts für österreichische Geschichtsforschung* (20, 313—325), usiłował znicować pracę prof. Michaela.

W ślad za Redlichem poszedł i monachijski recenzent dr. Kempf w *Historisches Jahrbuch der Görres-Gesellschaft.* W sposób oględniejszy niemniej przeto nieżyczliwy starał się recenzent wykazać braki i błędy insbruckiego Jezuity w kreśleniu stosunków XIII wieku. Ale obaj znaleźli należytą naukową odprawę u autora. Dobitnem świadectwem w całej tej polemice jest opinia historyka tej miary jak dr. Ludwik Pastor. Tenże wchodził w skład redakcyi historycznego rocznika Towarzystwa Görresowego i zażądał, jako członek tej redakcyi, umieszczenia następującej uwagi do recenzyi Kempfa: »Recenzyę d-ra Kempfa odnoszącą się do Michaela *Geschichte des deutschen Volkes* uważam,

w przeciwieństwie od reszty członków redakcyi, za naukowo bezpodstawną i niesprawiedliwą. Gdyby prof. Kempf nie chciał tej krytyki sprostować, wtedy osobiście uzasadnię moje stanowisko odmienne«. Ponieważ redakcya monachijskiego Rocznika historycznego tej uwagi Pastora nie uwzględniła, wystąpił tenże ze składu redakcyi. Odtąd dla monopolistów umiejętności historycznej o barwie liberalno-prusko-protestanckiej prof. Michael jest tak samo wyklęty jak Janssen, Pastor, a ostatnimi czasy O. Denifle.

Oto leży przed nami trzeci tom jego cennego dzieła, zawierający obraz niemieckiej umiejętności i niemieckiej mistyki w ciągu XIII wieku. Ciekawy to świat, niesłychanie pouczający; autora zaś można porównać z ewangelicznym człowiekiem, który ze swego skarbca wydobywa nowe i stare rzeczy, lecz zawsze ciekawe, zawsze interesujące, zamierzchłe czasy średniowieczne.

Z bogatej treści przedstawimy tu czytelnikowi choćby kilka najbardziej interesujących szczegółów z owego czasu. A więc w XIII wieku pisano przedewszystkiem na tabliczkach woskowych, na pergaminie sporządzonym oczywiście nie, jak powszechnie mniemano, ze skór oślich, lecz jagnięcych i cielęcych. Fabryk pergaminu w Niemczech było sporo, że wymienimy tylko Ratysbonę, Kolonię, Gent, Erfurt, Wiedeń. W XIII wieku wchodzi w użycie także i nasz papier, nieznany jeszcze ludom świata klasycznego. Wynalazcami papieru są Chińczycy a za pośrednictwem Arabów wyrób tegoż przedostał się na Zachód. Pierwsza papiernia arabska znajdowała się w Samarkandzie i przerabiała płaty konopne na papier. Druga była w Bagdadzie. Długi czas było mniemanie, jakoby papier arabski był sporządzany z bawełny, natomiast papier lniany był pochodzenia francuskiego lub niemieckiego. Przyczyną tej błędnej opinii była nazwa miasta Bambice w północnej Syryi, głośnego ogniska przemysłowego za czasów kalifatu, skąd eksportowano między innemi także papier bambicyjski. Ponieważ jednak *bambax* lub *bombix* oznaczało w średniowiecznej gwarze także bawełnę, zatem bambicyjski t. j. arabski papier identyfikowano z papierem bawełnianym, jakiego nigdy w średnich wiekach nie było. Przez Arabów sztuka wyrabiania papieru przeniosła się do Hiszpanii w XI wieku, niewiele później do Italii i Francyi. We Włoszech weszły w użycie znaki wodne dla wykazania pochodzenia papieru. W Niemczech pierwsze papierowe dokumenty sięgają początku XIII wieku, lecz są pochodzenia włoskiego lub francuskiego. Papierni bowiem w XIII w. w Niemczech jeszcze niema. Pisano często ołówkiem, głównie jednak gęsiem piórem i atramentem, sporządzonym z galasu, witryolu, gumy i wina. Rożek służył przeważnie jako kałamarz.

Sztuka pisania należała do najbardziej cenionych kunsztów średniowiecznych, chociaż nie należała do przyjemnych. Zakonne zwłaszcza skryby skarżą się bardzo często na trud, z jakim do-

konali dzieła. Często czytamy w rękopisach wynurzenia z powodu radości z wykończonego dzieła, np.:

Qui librum scripsit,
Multum sudavit et alsit.
Propitietur ei Deus et pia virgo Maria. Amen.

albo:

O wie fro ich was (war)
Do ich schrip Deo gratias.
Ach, ach, ich was fro,
Do ich schreip finito libro.

Bardzo często czytamy: »Niech pisarzowi za pióro daną będzie niebieska korona«. Pisanie uchodziło w wiekach średnich za rzecz zbożną i Bogu miłą. W St. Gallen sala służąca do przepisywania ksiąg t. zw. *scriptorium*, miała napis: »Błogosław, o Panie, te izby do pisania, twych sług i wszystkich, którzy w nich przebywają, aby Boską naukę, którą czytać lub pisać będą w duchu pojęli a w czynie wykonali«. Przeważna część pisarzy klasztornych są anonimami. Rzadko spotykamy się z nazwą pisarza takiego, jak np. Othloh u św. Emerana w Ratysbonie w XI wieku, który, prócz głównych dzieł przez siebie napisanych, odpisał 19 mszałów, 3 ewangelie, 2 lekcyonaryusze z perykopami, 2 dzieła św. Augustyna, 4 książki z matutinami, a nadto jeszcze psałterz. W XIII wieku głośnym jest między innymi zakonnik ze Schleyeru, który 30 coś rękopisów wykończył. Niekiedy można było wykazać, że kopistą był inny, niż którego nazwę podano. Tak Chunrad, kanonik z Voran, polecił scholarowi z Friesach biblię przepisać za pieniądze. Za to scholar z grzeczności podpisał: »Napisana przez czcigodnego Konrada«. Szczególnie wielką rolę w przepisywaniu odgrywały zakony żebracze Dominikanów i Franciszkanów. W takim klasztorze fuldajskim zajętych było 40-tu mnichów współcześnie przepisywaniem. W Hirsau zajętych było odpisywaniem 12-tu. Przepisywaniem dzieł zajmowały się także i zakonnice. Taka eremitka Diemut w bawarskim klasztorze Wessobrunn miała 40 dzieł w wielkiej objętości prześlicznem pismem skopiować. Przepisywanie książek było dla wielu klasztorów źródłem utrzymania. Wspomniana Diemut z Wessobrunnu otrzymała dla klasztoru swego za przepisywanie Pisma św. w dwóch tomach posiadłość ziemską w Bawaryi, Peissenberg. Klasztor pasawski otrzymał za biblię w trzech tomach i mszał ofiarowany Leopoldowi III, margrabiemu austryackiemu, prawo, że okręty klasztorne z towarami, przywożonymi rok rocznie z Oryentu, były uwolnione w czasie przejazdu przez austryackie dzierżawy od cła. Obok zakonników istnieli zawodowi skrybowie, duchowni świeccy, nie cieszący się koniecznie dobrą reputacyą. Chodziło im przedewszystkiem o zysk, a szczególnie o dobry napitek. O wykonanie ścisłe nie bardzo się troszczyli. Cały szereg drobnych

wierszyków, znaleziony na rękopisach, świadczy o tem pragnieniu u średniowiecznych wiersiołków. Np.:

Explicit, expliceat,
Bibere (ludere) scriptor eat.
Walde male scripsi,
Quia valde bene bipsi.

Ponieważ pisanie było zwykłem zatrudnieniem księży i duchownych, dlatego zwano później każdego pisarza klerykiem, po niemiecku *pfaff*, choć *pfaff* niekoniecznie musiał być duchownym. Czas, w jakim dokonywano przepisywania dzieł był oczywiście różnym. Biblię np., którą rozpoczęto w roku 1220, wykończono w pięciu kwartałach. Piękną kopię Nowego Testamentu na 278 kartach w wielkim foliamencie wykonano w ciągu sześciu miesięcy. Ponieważ przy przepisywaniu zdarzały się błędy, dlatego po skończeniu dzieła odbywała się dokładna i ścisła korekta.

Średniowieczni pisarze byli, jak wiadomo, bardzo wprawnymi w podrabianiu różnych dokumentów. Szczególniej klasztory bogate są w falsyfikaty, z reguły fabrykowane w tym celu, ażeby uzasadnić rzeczywiste prawa, dla których brakło autentycznych dokumentów. Tak np. w klasztorze w Einsiedeln zaginął był dokument papieża Leona VI z roku 964, dotyczący poświęcenia anielskiego w świętej kaplicy einsiedleńskiej. Na podstawie rocznikowskich zapisek i tradycyi klasztornej, na wzór innych dokumentów skomponowano w kształcie bulli dokument, który w XIV w. kazano potwierdzić biskupowi kostnickiemu. Na gruncie śląsko-polskim szczególnie klasztor lubuski, przez niemieckiego mnicha osadzony, był kuźnią takich falsyfikatów, nie mówiąc już o słynnych falsyfikatach krzyżackich. Przeciwko fałszerstwu szukano środków zaradczych: zwłaszcza papież Innocenty III wystąpił przeciwko fałszerzom bull papieskich, zagrażając im klątwą.

Ponieważ książki były rzadkością w średnich wiekach, nie dziw, że starano się o wypożyczenie ich z klasztoru do klasztoru, z kapituły do kapituły. Szczególniej studenci na uniwersytetach przywozili z Włoch i Paryża wiele rękopisów do Niemiec. Jakkolwiek statuta uniwersyteckie głosiły, że bez zezwolenia władz uniwersyteckich nie wolno zabierać rękopisów do domu, mimo to zakazy te obchodzono i ukradkiem przemycano książki z miast uniwersyteckich. W każdym razie już w XIII wieku istniał także w Niemczech handel książkowy. Taki biskup Homer z Ripen zakupił dla swego kościoła za 60 grzywien książek. Szczególnie pochopnymi do sprzedaży byli oczywiście studenci, którzy już w średnich wiekach znali »Szpitalki«. Już w XIII w. pisarze uczeni skarżą się, że studenci ratysbońscy u Żydów w knajpach zastawiają swe dekretalia. Wobec tego wydawano nawet osobne przepisy; np. w Wiedniu, że scholarom grającym po gospodach w kości nie wolno więcej przegrywać, jak posiada pieniędzy

a nie wolno mu brać ani szat ani książek. Ogółem biorąc można otaksować cenę zwykłego foliamentu na 500 K. naszej waluty. Za biblię otrzymywano 16 grzywien. Jaka to była wartość świadczy najlepiej dokument z r. 1312, według którego klasztor Wasserler za 5 grzywien srebra nabył następujące nieruchomości: pół łanu, dwie dziedziny, las, ćwierć łanu, dwór i jeszcze dwa lasy. Książki odgrywają wskutek tego jako precyoza w gospodarstwie pieniężnem, jako zastaw wielką rolę. Klasztor św. Emmeriama w Ratysbonie znajdując się w kłopotach pieniężnych, dał książki swe na zastaw, a ażeby je napowrót wykupić musiał sprzedać przenośny ołtarz złoty wagi 67 grzywien. Książki były drogocennym przedmiotem, dlatego strzeżono ich, jak oka w głowie. »Klasztor bez biblii — mawiano — jest jakby twierdza bez zbrojowni«. Dlatego to papież Innocenty XIV wzywa w bulli swej z roku 1246 wszystkich opatów, przeorów i zakonników całego świata katolickiego, ażeby zakonowi krzyżackiemu przez darowiznę książek przychodzili w pomoc.

Prócz książek religijnych w wysokiej cenie były przedewszystkiem klasyczni autorowie, książki prawne, Zwierciadło saskie, książki historyczne, a zwłaszcza Żywoty świętych. Z dzieł filozoficznych cieszył się szczególniej Arystoteles wziętością. W Pasawie liczyła biblioteka katedralna, jedna z najgłośniejszych w Niemczech, 226 tomów. Biskup passawski, Otto z Lensdorfu, posiadając bibliotekę prywatną ze 151 tomów złożoną, zdobył sobie rozgłośną sławę w Niemczech. Biblioteka często znajdowała się w zakrystyi wraz z najkosztowniejszymi sprzętami kościelnymi. Przy wielkich bibliotekach posiadano katalogi biblioteczne.

Często dokonywano donacyi i zapisów na rzecz bibliotek klasztornych. Lękano się szczególniej kradzieży lub nieoddania książek, dlatego przy końcu drogocennych książek często czytamy: »Kto tę książkę ukradnie, niech nie widzi Chrystusa«, lub: »Kto ją ukradnie niech idzie na krzyż«. Już w średnich wiekach znano rewersy biblioteczne. Biblioteka i archiwum biblioteczne miało tę samą nazwę: *armarium, sacrarium, sanctuarium.* Jeżeli zakrystya nie dawała dostatecznego bezpieczeństwa, przechowywano książki w silnie obwarowanej wieży kościelnej, gdzie się obok rękopisów, aktów i dokumentów kościelnych znajdowały bardzo często dyplomy szlacheckie szlachty i miast okolicznych.

Twórcą i założycielem okcydentalnej teologii chrześcijańskiej jest św. Augustyn; założycielem scholastyki św. Anzelm z Canterbury. Różnica pomiędzy scholastyką a patrystyką polega na tem, że u scholastyków przy objaśnianiu treści wiary więcej kładło się nacisk na spekulacyę rozumową, podczas gdy patrystyka więcej się opierała na tradycyi i Piśmie św. Aż do pierwszej połowy XIII w. teologowie scholastyczni głównie opierali się na platonizmie św. Augustyna; w XIII wieku występuje na pierwszy plan Arystote-

les. Logiczne dzieła Arystotelesa były już znane w XII wieku w Niemczech. Inne dzieła jego o fizyce, metafizyce i etyce dopiero w XIII wieku za pośrednictwem Syryjczyków, Arabów i Żydów rozpowszechniały się na Zachodzie. Tym, który chrześcijańskiemu światu po raz pierwszy cały filozoficzny system wielkiego Arystotelesa otworzył i zużytkował jego skarby wiedzy do celów scholastycznych był Albert Wielki, obok Tomasza z Akwinu, największy filozof XIII wieku.

Ogrom jego pracy naukowej uwydatniają najnowsze wydania jego dzieł, obejmujące 38 tomów. Dla nas specyalnie o tyle jest Albert Wielki ważny, gdyż według najnowszych badań przypisują mu autorstwo Bogu-Rodzicy. Zasługa jego w dziedzinie filozofii polega na tem, że dotąd znajomość Arystotelesa rozpowszechniali uczeni arabscy, zwłaszcza Aweroes i wyzyskiwali ją przeciwko chrześcijańskiej religii. Aweroes był panteistą i już w średnich wiekach był apostołem indyferentyzmu religijnego. Pisma jego uczeni żydowscy przetłumaczyli na hebrajskie i rozpowszechniali w społeczeństwie chrześcijańskiem. Dość wspomnieć, że taki niedowiarek jak cesarz Fryderyk II był wielbicielem averoizmu. Otóż Albert Wielki wyzyskał dzieła Arystotelesa dla celów chrześcijańskich a temsamem wyrugował niebezpieczną propagandę arabsko-żydowską. Wobec olbrzymiego znaczenia Alberta Wielkiego inni jego uczniowie niemieccy nie zdobyli większego rozgłosu, aczkolwiek, czy to wśród Dominikanów, czy Franciszkanów, czy Cystersów niemieckich nie brak gorących zwolenników nowej filozofii.

Uzupełnieniem scholastyki jest mistyka, która zapomocą kontemplacyi chce i usiłuje połączyć węzłem miłości ducha z Bogiem. Rozróżnia się dwa rodzaje mistyki: spekulatywną czyli umiejętną i praktyczną. Twórcą spekulatywnej mistyki jest twórca okcydentalnej teologii św. Augustyn. Głównie jednak pogłębienia i rozpowszechnienia doznała mistyka z rozwojem scholastyki w XII wieku. Na rozwój mistyki podziałał zwłaszcza św. Bernard przez swój komentarz do Pieśni nad Pieśniami. W ciągu XIII wieku w Niemczech najgłośniejszym przedstawicielem spekulatywnej mistyki jest Dawid z Augsburga. W różnych pismach swoich przedstawia on, iż celem mistyki jest wyrobienie duchowego człowieka. Prawdziwie duchowym człowiekiem jest ten, którego duch jest całkiem do Boga wzniesiony i pełny Boga i którego ciało jest poddane panowaniu ducha we wszystkiem, co jest Bożego. Duchowy człowiek stara się z Chrystusem wedrzeć na wyżyny Taboru i stąd oglądać chwałę swego Boga. Przedewszystkiem do złączenia z Bogiem wiedzie nas miłość. Trzy stopnie miłości rozróżnia Dawid: pierwszy stopień posiadają ci, którzy unikają ciężkich grzechów, drugi ci, którzy nie tylko starają się wypełnić przykazania, ale gorliwie popierają wszystko

to, co jest Boże; do tej klasy zalicza Dawid zakonników przestrzegających ściśle rady ewangeliczne. Trzeci stopień miłości przypada tym w udziale, którzy płoną od żądzy posiadania Boga. Tak życzy sobie apostoł być rozwiązanym i żyć z Chrystusem. U takich ludzi życie jest cierpieniem, albo raczej pełne wstrętu tego świata; śmierć nawet, męczeństwo jest przedmiotem gorącego pragnienia. Jedyną pociechę w rozłące od swego Ukochanego znajduje dusza w nawracaniu grzeszników i w postępowaniu w dobrem. Rozłąka z Bogiem staje się tylko przez to znośną, gdy widzą, że ich wygnanie z prawdziwej ojczyzny innym ludziom korzyść niesie i że jeżeli później przybędą do Oblubieńca, więcej ludzi z sobą przyprowadzą.

Dawid przestrzega również przed powszechnemi w XIII w. proroctwami o przyjściu Antychrysta, o znakach sądu ostatecznego, o upadku zakonów, o prześladowaniu Kościoła. Takiemi sprawami się zajmować nie jest rzeczą rozumnych chrześcijan, albowiem Chrystus Pan zakazał apostołom takich dociekań mówiąc: »Nie jest waszą rzeczą znać czasy i chwile, które Ojciec ustanowił«.

Równie wybitne miejsce w mistyce zajmuje Albert Wielki. Wygłosił na końcu swego żywota istny śpiew łabędzi o tem, że jedno dla człowieka jest tylko potrzebnem, to jest: Boga kochać z całego serca. Zdaniem Alberta, celem filozofii jest poznanie; chrześcijańska kontemplacya nie zadawalnia się poznaniem, ona postępuje dalej aż do miłości. Najwznioślejszym ideałem i równocześnie najgodniejszym przedmiotem naszej miłości jest Jezus Chrystus. Miłość upodabnia człowieka z ukochanym, a więc miłość Boga robi duszę Bogu podobną. Zatem jedno tylko jest potrzebnem. Ta sama nuta brzmi w całym szeregu mistycznych traktatów i poematów.

Trzynasty wiek jednakże nie tylko zadawalniał doktryną mistyczną, ale i pod względem praktyki życia mistycznego nie ma prawie sobie równego. Mistyczne wylewy św. Bernarda znalazły zastosowanie w tysiącach pobożnych dusz, zwłaszcza dusz zakonnych. Szczególniej w Niderlandach praktyczna mistyka w pierwszej połowie XIII wieku szerokie znalazła zastosowanie. Źródła współczesne piszą np. o takiej Maryi z Oiquies w Brabancyi, która zaślubiona w młodości jakiemuś pobożnemu mężowi Janowi, nakłoniła go do rozdania mienia pomiędzy ubogich, do dziewiczego życia w małżeństwie i do pielęgnowania trędowatych. Z porady swego spowiednika wstąpiła do zakonu w Oiquies, gdzie oddała się najstraszliwszej ascezie. Często nie jadła i 11 dni, a nawet przez 35 dni powstrzymywała się od wszelkiego pokarmu, przytem nie czuła ubytku sił cielesnych. Aby się umartwić odrzynała kawałek swego ciała i chowała w ziemię. Gdy w swej ostatniej chorobie 40 dni cierpiała największe katusze, pragnęła tylko,

aby cierpienia jej na nowo się rozpoczęły. Często wpadała w ekstazę, przenikała serca ludzkie, odczytywała wszystkie grzechy u ludzi. Chrystus pojawiał się jej w rozmaitych postaciach. Przy wielkiej nienawiści do grzechu miała wielkie współczucie dla grzeszników. Jeszcze więcej cudaczną była współczesna jej Krystyna od św. Frönda, zwana cudowną, w dyecezyi leodyjskiej. W 17-tym roku życia umarła. Jednakże podczas egzekwii kościelnych wstaje nagle z trumny, szybko wdrapuje się aż do sufitu i tam nieruchoma pozostaje aż do końca nabożeństwa. Opowiadała, że aniołowie duszę jej naprzód zaprowadzili do czyśca, potem do piekła, wreszcie wkońcu do raju. Krystyna czując wstręt do odoru ludzi uciekała w puszcze, na cmentarze, na wieże kościelne, na drzewa; często stała prosto jak świeca na kołku od płota i śpiewała psalmy. Ludzie przekonani, że jest opętana, wiązali ją, jednakże szybko odwiązywała więzy i nawet przez grube mury uciekała. Po raz drugi umarła w klasztorze w St. Frond, a ożywszy, umarła trzeci i ostatni raz. Oto fantastyczny obraz chorobliwej niewiasty, skreślony przez bardzo naiwnego pisarza średniowiecznego Tomasza z Chautimprè. Podobne wizerunki ekscentryczno-histerycznych niewiast kreślą nam inne źródła XIII w. Tak Chrystyna z Stomwelu, żyjąca u Beginek kolońskich, popadała często w ekstazę trwającą po ośm dni. W 15-tym roku życia miała otrzymać 5 znaków ran Chrystusowych i znaki korony cierniowej. Z temi niebiańskiemi łaskami połączone były najcięższe pokusy. Najpierw dręczyła ją pokusa samobójstwa, potem pokusa niewiary, dalej wszelkie jedzenie zamieniało się jej w postać brudnych zwierząt, tak, że nie mogła przyjmować pożywienia. Zakonnice Beginy w Kolonii uważały Chrystynę za obłąkaną, tak, że wrócić musiała do domu. Piszą o strasznej poniewierce, jakiej doznała ze strony szatana, który ją ciskał po ulicach, ranił po nogach i t. d. Najciekawsze ze wszystkiego jest, że z końcem 46 roku życia przeszła straszne krwawe upławy, które zakończyły wszystkie jej bóle i pokusy. Chrystyna uchodzi za świętą, chociaż kanoniczny proces nigdy tego nie zatwierdził. Podobne, choć nie tak cudaczne rzeczy podają o szeregu zakonnic; o takiej Elżbiecie z Neustadt w Schwarzwaldzie, która wśród wielkich cierpień zachowała zawsze wielką równowagę, głęboką miłość do Boga i miewała częste objawienia. Najgłośniejszą ze wszystkich mistycznych wielbicielek Chrystusa jest św. Mechtylda w klasztorze w Helfta. Była to kobieta o wielkiej czystości serca, głębokiem filozoficznem wykształceniu; znała dobrze dzieła Alberta Wielkiego i Tomasza z Akwinu. Odznaczała się niesłychaną cierpliwością w wielkich cierpieniach ciała. Ostatnie trzy lata przed śmiercią były ustawicznem męczeństwem z powodu wielkich cierpień, mimo to uczuwała stan największej błogości wskutek wewnętrznych pocieszeń Boskich. Równie głośną była św. Gertruda z Turyngii, za-

konnica w tym samym klasztorze w Helftà. W 25-tym roku życia miała pierwszą wizyę. Aczkolwiek św. Gertruda coraz wyżej wzbija się na wyżyny mistycznego życia, mimo to jest wrażliwą na wpływy otoczenia, okazując głębokie współczucie wszystkiemu, co cierpi; czy to była zakonnica, czy to były kłopoty klasztornych włodarzy, czy to były cierpienia ptaków lub zwierząt. Stosunek swój do Boskiego Zbawiciela opisuje ona dźwiękami Pieśni nad Pieśniami. Nie można nic delikatniejszego, nic bardziej czułego pomyśleć sobie, jak owe wylewy najczystszej Bożej miłości, połączonej z wzruszającą pokorą.

Wszystkie te objawy mistycznego, nadnaturalnego i nienaturalnego życia wymagają surowej krytyki i taką krytykę wykonuje przedewszystkiem Kościół. Charakterystycznem pod tym względem jest orzeczenie papieża Benedykta XIV, który głosi, iż badacz jest uprawnionym nawet objawienia przez Stolicę Apostolską aprobowane krytycznie badać, z tem naturalnie zastrzeżeniem, że umiejętne badanie odbywa się bez lekceważenia duchownej władzy. Jeżeli takie roztropne badanie doprowadzi do wyniku, iż aprobowane objawienie nie wytrzymało próby krytyki, wtedy jest całkiem w porządku odstąpić od sądu kongregacyi rytów. Wobec tego całkiem słusznie autor krytycznie zachowuje się nawet wobec objawień tak świętych osób, jaką była św. Gertruda lub św. Mechtylda. Wiele z tych wizyi kłaść należy na karb chorobliwej histeryi lub rozstrojów nerwowych. Tem większy sceptycyzm jest wskazany wobec szeregu wizyonerek, najniewątpliwiej histerycznych. Mimo to, czyż można przejść z pogardą nad tymi chorobliwymi objawami rozprzężonych nerwów, jeżeli stwierdzić musimy, że pomimo tych przeszkód krwawymi szlaki zbolałego systemu nerwowego szły duchy ludzkie krzyżową drogą w sfery ideałów, w sfery miłości Bożej i bliźniego? Męczeństwo, czy ono jest rzeczywistem, czy urojonem jest równie bolesnem; zasługę zaś wszelkiego krzyża oceni sprawiedliwie Ten, który cierpienie uczynił kolebką dobra i szczęścia.

W ten sposob zapatrywał się Kościół na chorobliwe objawy ludzi prawdziwie Bogu oddanych, w ten sposób zapatruje się autor. I my musimy mu przyznać racyę, tem bardziej w chwili obecnej, gdzie rozprzężenie nerwów sprowadza tyle strasznych objawów, dlatego tylko, że nie miłość Boga, nie miłość bliźniego ale potworny egoizm i zwierzęcość są pobudkami nerwowych anomalii w życiu jednostek czy społeczeństw.

W ustępie o studyach biblijnych i znajomości biblijnej podnosi autor trafnie, że scholastyka usiłowała treść objawienia za pomocą filozoficznej spekulacyi uprzystępnić i dlatego to przedstawiciele jej musieli się z natury rzeczy starać o wszechstronne objaśnienie właśnie Pisma świętego. Z początku XIII w. pochodzi dzisiejszy podział Pisma św. na rozdziały, dokonany przez prof.

teologii w Paryżu Langetona, arbs. kantuaryńskiego. W Niemczech wśród egzegetów Pisma św. pierwsze miejsce zajmuje obok innych znowu Albert Wielki. Jest głęboko zakorzeniony przesąd, kolportowany przez protestanckich uczonych, jakoby w średnich wiekach Pismo św. ukryte było pod ławką. Całkiem słusznie jeden ze znawców średnich wieków Holzhey podnosi [1], iż jest historycznym faktem, że cały religijny rozwój średniowiecza dokonał się pod wpływem biblii i że chrześcijańskie narody tego czasu z całą siłą przekonania dążyły do tego, ażeby postulaty Pisma św. w czyn wprowadzić. Średniowieczne chrześcijaństwo, ogółem biorąc, tylko jedną książkę odczytało, a tą była biblia. Około tego środka roztaczało się całe koło ich wiedzy i ich dążności. Wobec tego nie dziw, że Pismo św. było w średnich wiekach bardzo często na język niemiecki tłumaczone, a co więcej, w poetycznej szacie popularyzowane. Po Heliandzie i Kristach IX w. mamy w XIII w. szereg poematów na tle biblijnem, że wymienimy tylko poemat *Kreuziger*, historyę Męki Pańskiej, ułożoną przez kapłana z zakonu Joannitów z Frankensteinu w Polsce, t. j. dzisiejszym Śląsku. Dla wielu dzisiejszych dziejopisarzy jest kamieniem zgorszenia zakaz wydawany przez Kościół, odnoszący się do czytania biblii w języku ojczystym. Zakazy te miejscami się pojawiające, miały swoje uzasadnienie w walce z herezyą Waldensów i Albigensów. Wobec tego zrozumiałym jest nakaz jednego z legatów papieskich w dyecezyi leodyjskiej, by wszystkie książki religijne, w języku niemieckim lub francuskim napisane, były poddane cenzurze biskupiej. Chodziło tu o ochronienie wiernych przed wpływami kacerskimi. Mimo to jednak nigdzie w XIII w. czytanie Pisma św. nie było powszechnie zakazane. Ogólny zakaz dotyczący czytania Pisma św. w języku ojczystym wydał dopiero papież Pius IV w r. 1564, ograniczając lekturę Pisma św. do tych, którym ono szkody wyrządzić nie może.

W ustępie piątym traktującym o moralnej pastoralnej i naukach prawniczych jest wiele szczegółów interesujących ludzi fachowych, mniej może ogół czytelników. Tyle tylko należałoby podnieść, że moralna w XIII w. w Niemczech stoi na gruncie prawdziwego chrystyanizmu, i że błędnem jest twierdzenie protestantów, jakoby moraliści średniowieczni byli mężami z bystrością logiczną i psychologiczną, jednakże bez wytrawnego sądu moralnego, jakoby byli ludźmi zadawalniającymi się formalistyką zewnętrzną. Ze zdania te są niezgodne z prawdą, tego dowodem między innemi świadectwo Bertolda z Regensburga, który ostrymi wyrazy piętnuje formalistyczną bigoteryę i domaga się prawdzi-

[1] *Die Inspiration der hl. Schrift in der Anschauung des Mittelalters.* München 1895, str. III.

wej cnoty i pobożności, polegającej na zwalczaniu grzechu i uszlachetnianiu się człowieka. Co do nauk prawniczych, to w XIII w. uprawiano w Niemczech prawo rzymskie, kanoniczne i niemieckie. Już w XIII w. potępiano rabulistykę uczonych prawników i z tych to czasów pochodzi znane w Niemczech przysłowie: *Juristen die sind alle Unchristen.* Już w XIII w. rozumiano, że prawo rzymskie oddziaływa niekorzystnie na stosunki panów do ich poddanych, wzorując się na stosunkach panów rzymskich do niewolników. Daleko więcej wolne od pogańskich wpływów prawa rzymskiego było prawo kanoniczne i daleko bardziej odpowiadało niemieckim stosunkom prawnym.

I tem się tłumaczy, dlaczego przepisy prawa kanonicznego w Niemczech przeszły do niemieckich dzieł prawniczych. Jedną z najważniejszych kwestyi w średnich wiekach był stosunek władzy świeckiej do duchownej. Cesarius z Heisterbach twierdzi, że dwa miecze przedłożone przez Piotra Panu oznaczają podwójną władzę: jeden miecz jest duchowny przez Pana papieżowi przekazany, drugi jest świecki, cesarzowi przez Boga dany. Tym podwójnym mieczem rządzony jest Kościół Chrystusowy i broniony. Takimi poglądami rozpoczyna się między innymi najgłośniejszy kodeks prawa niemieckiego, t. zw. Zwierciadło saskie. Nie brakło jednak już wtedy przedstawicieli twierdzenia, jakoby prawdziwym cesarzem był papież. Twierdzenie to o wyższości władzy duchownej nad świecką powstało dopiero w ciągu walki na śmierć i życie między papiestwem a cesarstwem, za Grzegorza IX i Innocentego IV i Fryderyka II w Niemczech. Wtedy to zagrożeni przez chytrego cesarza papieże znaleźli dowody o supremacyi Kościoła w rzekomej darowiznie Konstantyna. Z tem wszystkiem najwięksi papieże, a nawet Grzegorz IX i Innocenty IV, uznawali tylko pośrednią władzę papieża nad rzeczami świeckiemi. Gdy w r. 1202 Wilhelm z Montpellier z Langwedocyi prosił Innocentego III, by zechciał legitymować jego dzieci nieprawego łoża, celem zabezpieczenia im spadku, wtedy Innocenty III prośbę tę odrzucił, jako nie należącą do kompetencyi duchownej. Sam Innocenty IV twierdzi, że świeckie sprawy i duchowne są odrębne i mają odrębnych sędziów. Innocenty IV w jednem z najważniejszych dekretalii wspomina, że rzeczą papiestwa nie jest sądzić o jakiemś lennie, lecz rozstrzygać o grzechu. Wobec tego Innocenty IV tam, gdzie występuje jako człowiek wiedzy i nauczyciel prawa, bynajmniej nie jest zwolennikiem supremacyi papiestwa nad cesarstwem. Innocenty IV jest, zdaje się, pierwszym, który wynalazł niesłychanie trafną terminologię władzy pośredniej i bezpośredniej i tylko w polemice przeciwko cesarzowi Fryderykowi II dał się porwać do orzeczeń, które z teoretycznymi jego poglądami o władzy stały w sprzeczności.

Co do studyów starożytnych klasyków to wiek, w którym

scholastyka występuje na pierwszy plan, z natury rzeczy musiał zaniedbać studya humanistyczne, pielęgnowane zwłaszcza w XI i w XII wieku. Ludziom XIII wieku chodziło głównie o rzecz samą, mniej o formę, dlatego ta praca ulega zaniedbaniu. Wśród starożytnych klasyków wielką popularnością cieszy się przedewszystkiem Wirgili. Pogański poeta zawdzięcza swą wziętość głównie tej okoliczności, że na podstawie czwartej eklogi *Ultima Cumaei iam carminis aetas:* i. t. d. przypuszczano, iż wspomniane w niej dziecię, mające rozpocząć nową epokę, jest Zbawicielem. W XIII w. Wirgili uchodził za chrześcijańskiego proroka i stał się przedmiotem najciekawszych podań, co oczywiście pozostało nie bez wpływu na dantejską poezyę. Także i Owidyusz z jego Metamorfozami był pilnie studyowany; mniej Horacyusz. Wziętością się cieszy Lukan; Tereucyusz wychodzi w XIII w. z użycia. Czytanym bywa Juvenal, Statius, Klaudianus Persius. Homer był znany w łacińskiej przeróbce. Wojna trojańska głównie była znana w łacińskiej poezyi: Dictys i Dares. Cycero wychodzi także w XIII w. z użycia, natomiast ceniony jest Seneka, Józef Flawiusz, Sweton i Justyn. Rzadko wspominani są Cezar, Kornelius Nepos, a zwłaszcza Tacyt. Z przekąsem mówi się o łacinie średniowiecznej. Łacina w średnich wiekach była językiem żyjącym i dzieliła losy każdego języka żyjącego. Nadto chrześcijaństwo wprowadza całą masę nowych idei w świat, dla których brakło wyrazów w języku starej Romy. Dlatego trzeba było nowe wyrazy wynajdywać. Wielki wpływ na język scholastyków wywierały studya Arystotelesa, dlatego też język średniowieczny nie mógł być językiem klasycznym. Najlepiej łacinę średniowieczną charakteryzuje filozof Paulsen, który w swej *Geschichte des gelehrten Unterrichts* I, 40—47 mówi: »Jeżeli mówić po barbarzyńsku, znaczy inaczej mówić niżeli Rzymianie mówili w czasach Cicerona, wtedy łacina średniowieczna jest bez kwestyi barbarzyńska, tak samo, jak język francuski i język włoski. Jeżeli jednak pod mówieniem barbarzyńskiem rozumiemy nie to przypadkowe odstąpienie od języka cicerońskiego, lecz ogólnie, mówienie nieodpowiednie do treści, bez poczucia językowego, posługujące się frazesami, tu i owdzie połapanymi i bezmyślnymi, tedy zarzut mowy barbarzyńskiej daleko więcej przystoi humanistom, niż średniowiecznym filozofom i teologom. Niebrak jednak i w XIII w. utworów, które wysoce klasyczny posiadają koloryt i na szerokich humanistycznych studyach są oparte. Takim klasycznym poetą, odznaczającym się niesłychaną czystością języka łacińskiego i odczuciem formy i wyrażenia klasycznego był Punter, głośny autor »Liguryna«, sławiącego czyny wielkiego Barbarosy.

W historyografii XIII wieku widzimy upadek. Dziejopisarstwem zajmują się wtedy głównie zakony żebracze. Zadaniem ich głównem było nawracanie ludzi zapomocą kazań. Do tego nada-

wało się przytaczanie historycznych przykładów i zajmujących dykteryjek. Względy na prawdę opowiadania schodziły na drugi plan. Chodziło głównie o *fabula docet*, o obrok duchowny, o wyszukanie nadzwyczajności lub cudowności. Jeżeli w poprzednich stuleciach skłonność do dziwaczności, była połączona z pewną naiwnością, tedy członkowie żebraczych zakonów, którzy ku zbudowaniu pisali historyę powszechną, nie posiadali zdolności krytycznej wobec przekazanych im bajek. Z drugiej strony umieli oni znakomicie wyzyskać legendarne podanie do moralnych celów. Wskutek ogromnej popularności zakonów żebraczych, przez nich podane w dziełach historycznych czy w kazaniach bajki rozpowszechniły się w ówczesnem społeczeństwie. Już w XIII w. ze sfer kościelnych podnoszono słuszne skargi przeciwko bezkrytyczności kaznodziei, przeciw ich wierze w nieudowodnione cuda, fałszywe relikwie. Występowali przeciwko temu, taki Dawid z Augsburga, Albert Wielki i inni. Nadto trzeba i to uwzględnić, że scholastyka Arystotelesowa w XIII w. wszystkie umysły tak dalece zajęła, że najtęższe siły z małymi wyjątkami oddawały się spekulacyi. Dlatego też zabrakło talentów w dziedzinie historycznej. W XIII w. wreszcie, upada rzymsko-niemieckie cesarstwo, wobec tego brak dziejopisom szerszego jednolitego horyzontu. Jedną z najgłośniejszych historyi powszechnych tych czasów była historya Marcina z Opawy, zwanego Polakiem, mianowanego nawet w r. 1278 arcybiskupem gnieźnieńskim. Cały świat ówczesny był zdziwiony mądrością Marcina. Za jego życia powstały dwa nowe wydania jego dzieła. A jednak ta historya Marcina jest prawdziwym stekiem wszelkiego rodzaju baśni średniowiecznych. Najcudaczniejsze i najpotworniejsze bajki całego średniowiecza znalazły tu uwzględnienie. Tutaj mamy bajkę o chrzcie Konstantyna Wielkiego przez papieża Sylwestra, tutaj także głośną bajkę o Joannie papieżycy. Czy jednak dzisiejsze czasy mają prawo łamać laskę nad łatwowiernym średniowiecznym wiekiem, te czasy, które codziennie ulegają suggestyi najbardziej wyrafinowanych fałszerstw dziennikarskich i pseudo-naukowej literatury?

Wobec scholastyki i nauk teologicznych, inne gałęzie wiedzy, z natury rzeczy ustępowały na drugi plan. Pod względem astronomii stały one na stanowisku arystotelesowem lub ptolemeuszowem, t. j. hołdowały systemowi geocentrycznemu. Taki Bertold z Regensburga przedstawia sobie świat w kształcie jaja: niebo jest jakoby skorupą jaja, powietrze białkiem, ziemia żółtkiem. Wulkaniczne wybuchy tłumaczą sobie zapaleniem palnych materyałów znajdujących się w podziemnych warstwach. Wiatry są wyziewami ziemi i znajdują się w jaskiniach i szczelinach zamknięte jakoby w więzieniu, szukając ujścia uderzają o sklepienia skorupy ziemskiej i wywołują trzęsienia ziemi. Trzynasty wiek

jest zato w dziedzinie geografii wielkiej doniosłości. Franciszkanie Joan z Pianu de Carpine i Wilhelm Rubruok, dotarłszy do wnętrza Azyi do stolicy chanów mongolskich rozszerzyli horyzont geograficzny w kierunku wschodnim znacznie dalej niż świat starożytny. Także i podróże do Ziemi św. i opisy tychże przyczyniły się niemało do rozszerzenia znajomości geografii wśród społeczeństwa chrześcijańskiego XIII wieku. Kartografia XIII wieku opiera się o kartografię starożytną. Głośne są zwłaszcza mapy w kształcie litery T. Przestawiają one wschód u góry i na nim mapę Azyi, na lewo na dole, jest mapa Europy, a na prawo pod poprzeczną litery T wizerunek Afryki. Takie mapy całego świata z XIII w. przechowuje dziś klasztor einsiedleński. Głośna tabela Pentingera należąca do najdroższych skarbów wiedeńskiej biblioteki cesarskiej, nie pochodzi jednakże z XIII w. i aczkolwiek jest niemieckiego pochodzenia jest naśladownictwem mapy rzymskiej z IV w. po Chrystusie. Z map XIII w. jest szczególnie głośną t. zw. Ebstorfska mapa z brunszwickiego klasztoru Ebstorfu. Zajmuje przestrzeń 13 m^2 i przedstawia całą zamieszkałą ziemię w kształcie koła. Tak, jak na T-mapach, Azya zajmuje połowę górną, Europa z Afryką, dolną. U góry promienieje głowa Zbawiciela przedstawionego jako Pana świata, który wszystko przenika, Sycylia znajdująca się w samym środku przedstawiona jest w formie serca i przedstawia zdaje się Serce Zbawiciela. Z największą troskliwością wykonane są oczywiście Niemcy, zwłaszcza otoczenie Lüneburga. I mapa ebstorfska jest wierną kopią rzymskiej mapy świata. Charakterystyczne są umieszczone na niej wizerunki rozmaitych zwierząt, mieszkających w pojedyńczych krajach.

Zoologia stanowiła naprawdę piętę Achillesową naukowości średniowiecznej, taka w niej panowała bajeczność, tyle przesądów. Wyrazem najjaskrawszym tej bajeczności, jest znana w średnich wiekach książka o zwierzętach pod nazwą: »Fizyologus«. Pochodzi ona prawdopodobnie z Aleksandryi i była rozpowszechniona na całym Wschodzie. Ten Fizyologus rozpowszechnił cudaczne wierzenia o jednorożcach, o smokach, o gryfach, owe bajeczne dykteryjki o lwach i t. p. jak o tem świadczy między innemi grubo zapożyczająca się z Fizyologusa, kronika naszego Mistrza Wincentego. Obok tych bajecznych książek zoologicznych nie brak i pierwszych naukowych opracowań z zakresu zoologii. Pierwszą naukową rzecz o sokołach napisał, lub kazał napisać głośny cesarz Fryderyk II. W średnich wiekach, lubowano się nie tylko w sokołach; ale wogóle w zwierzętach i w zwierzyńcach wielkich panów, znaleźć można było już i w XIII w. różne zagraniczne zwierzęta, jak słonie, wielbłądy, lwy i inne. Także i botanika była uprawiana. Szczególniej rośliny lecznicze uprawiano w klasztornych ogrodach. Ogrody te, zwłaszcza Cystersów,

przyczyniły się głównie do rozpowszechnienia w przeważnej części naszych ogrodowizn i naszych drzew owocowych. Szczególniej około botaniki zasłużył się Albert Wielki, opierając się na Arystotelesie. Niestety Albert Wielki, nie ma naśladowcy. Jest powszechne mniemanie, jakoby kompas odkrył był żeglarz Flavio Gioja z Amalfi. Z tem wszystkiem, jest udowodnionym faktem, iż igła magnetyczna już w XIII w. znaną była angielskiej, francuskiej, niemieckiej i włoskiej literaturze! Albert Wielki kilkakrotnie mówi o magnesie i o użyciu jego przez żeglarzy, a najnowsze badania wykazują, że dla oryentacyi, przy budowie kościołów już iryjscy misyonarze posługiwali się kompasem. Co do prochu, to jest on wynalazkiem niezawodnie chińskim, a Grek Markus daje chemiczną analizę prochu chińskiego. Roger Bacon opisuje o eksplodującej masie, której żadne wojsko i żadne miasto nie może się oprzeć. Albert Wielki również znał receptę masy eksplodującej Marka Grekusa. Ciekawem jest, co w XIII w. pisze Roger Bacon o możliwości budowania wielkich okrętów, które bez wioseł szybciej się mogą poruszać, niż okręty z wiosłami, dalej o budowaniu wozów, które bez pomocy zwierząt, mogą się poruszać z wielką szybkością. Na innych miejscach mówi on o aparacie do nurkowania i o możliwości maszyny do latania. Optyka znalazła w Witelionie, być może naszym Ciołku, wedle O. Michaela, prawdopodobnie pochodzenia turyńskiego, znakomitego przedstawiciela. Niesłychanie ważną rolę w dziedzinie matematyki i arytmetyki odgrywa Jordanus Nemorarius, prawdopodobnie drugi jenerał zakonu dominikańskiego. On między innemi wprowadził na Zachód użycie indyjsko-arabskich liczb i tego systemu rachunkowego, jakim się po dziś dzień świat posługuje. Poprzednio używano liczb rzymskich.

Co do medycyny, to długi czas ogniskiem jej było Salerno, założone przez arabskich lekarzy. W szkole salernitańskiej studyowano szczególnie Hippokratesa, Talena, Arystotelesa i arabskiego Avicenne. Z zakresu medycyny średniowiecznej, podaje nam wiele szczegółów encyklopedysta XIII w. Wincenty z Beauvais. Dominikanin ten, szeroko się rozwodzi nad hygieną. Jako główny środek dla dyagnozy chorób, podaje puls i badanie moczu. Przedewszystkiem w medycynie panuje zasada, żeby klin klinem wybić; *contraria contraris*, chociaż i *similia similibus*, nie było lekceważone. Oczywiście leczenie średniowieczne niejednokrotnie wydaje się nam śmiesznem i cudacznem. O anatomię i chirurgię nie wiele dbano, a jednak, że ich nie lekceważono, tego dowodem przepisy cesarza Fryderyka II odnoszące się do medycyny, wedle których nie wolno było praktykować, jako chirurgom, nikomu, kto przynajmniej rok chirurgii nie studyował, a zwłaszcza nie nauczył się sztuki krajania ludzkich ciał po szkołach. Kto nie

zna anatomii, ten jest — zdaniem cesarza — dla operacyi niezdolny. Równą sławą, co Salerno cieszyło się i Montpellier w zakresie nauk lekarskich. Kościół przedewszystkiem zakazywał zajmować się medycyną zakonnikom, a Honoryusz III, wogóle zakazał zajmować się leczeniem wszystkim duchownym. Mimo to, jednakże w XIII w. słyszymy o całym szeregu lekarzy zakonnych i duchownych, tembardziej, że duchowne rozporządzenia zakazywały chrześcijanom szukania porady u żydowskich lekarzy. Obok duchownych mamy wielu lekarzy świeckich, znanych pod nazwą fizyków. Każde wybitniejsze miasto niemieckie, ma swego fizyka. Wedle dekretu Gracyana lekarze stoją wyżej od prawników i adwokatów, którzy za swoją pracę każą sobie formalnie płacić, podczas gdy lekarz nie sprzedaje zdrowia, tak samo, jak nauczyciel swej umiejętności. Dlatego też dawane mu wynagrodzenie zwie się »daremnie«, zapłatą. W sztuce lekarskiej odgrywają także rolę niewiasty. W poemacie XIII w. Tristanie, królowa Isolda jest zręczną bardzo lekarką; tak samo i w innych poematach kobiety jako lekarki ran, ważną odgrywają rolę. Są też one i w życiu jako lekarki często wspominane. Wśród profesorów medycyny w szkole salernitańskiej znajdowały się także ich żony i córki. Także i w Niemczech niejedna zakonnica, że wymienimy tylko św. Hildegardę z Bingen, głośną była ze sztuki lekarskiej. Woda i kąpiel odgrywały w pielęgnowaniu zdrowia w XIII w. daleko większą rolę niż dziś. Znane już były w XIII wieku termy akwizgrańskie, badeńskie i inne. Charakterystycznem zwłaszcza dla XIII w. jest jeszcze dziś w chłopskich chatach, popularne puszczanie krwi. Często gęsto słyszymy o cudacznych wprost kuracyach. Ażeby rzekomą truciznę z żołądka księcia Alberta austryackiego wydostać, powieszono go za nogi; pozostał wprawdzie przy życiu, ale stracił przytem oko. Było to w r. 1295. Rzecz ciekawa jednak, że jeszcze w r. 1408, król Zygmunt Luksemburski, takiej samej poddał się kuracyi z porady wiedeńskiego lekarza. Był to, zdaniem biografa królewskiego, gburowaty Szwab, ale bardzo dobry lekarz. Oczywiście fuszerka, dalej zabobon i znachorstwo odgrywały na polu medycyny w XIII w. wielką rolę. Szczególniej kamienie miały posiadać czarodziejską siłę; miały one pomagać do snu, do mądrości, do zwycięstwa. Początki alchemii w Niemczech i poszukiwania za kamieniem mądrości już w XIII w. mają miejsce.

Oto w ogólnych zarysach treść z benedyktyńską iście pilnością i skrupulatnością skreślonego obrazu niemieckiej umiejętności w XIII wieku.

A cokolwiek krytyka pracy Michaela wytknąć słusznie może, lub niesłusznie usiłuje, faktem pozostanie, iż książka ta, stała się jedną z najpoczytniejszych książek naukowych w Niemczech, i że

całe pokolenia będą z niej czerpały wiedzę, o stosunkach XIII wieku, że żaden uczony badacz, tych wieków choćby przeciwnego obozu nie przejdzie do porządku dziennego nad benedyktyńską pracą O. Michaela, czy to się cechowym historykom prusko-protestancko-liberalnego autoramentu podobać będzie, czy nie.

Dr. K. Szkaradek-Krotoski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Archiwa w Sanoku, Jaśliskach, Króliku Wołoskim, Hłomczy, Ładzinie i Klimkówce. *Antoni Borzemski.* Sanok 1908.

W zbiorze tym ogłasza wydawca szereg dokumentów z archiwów wspomnianych miejscowości, odnoszących się przedewszystkiem do ustroju i prawa miejskiego, ustroju cechów i stosunków pańszczyźnianych. Dodaje przytem swe objaśnienia ogłoszonych dokumentów.

Najobfitszy materyał znalazł w archiwum miejskiem w Sanoku. Znajduje się tam 18 oryginalnych przywilejów pergaminowych, 3 oryginalne przywileje papierowe, 7 t. zw. oblat t. j. wierzytelnych odpisów dokumentów, wciągniętych do akt grodzkich, 7 kopii oblat i 5 innych dokumentów. Jak wnosi wydawca ze spisów, zaginęła znaczna część przywilejów, te zaś, które miał w ręku, znajdują się w stanie zniszczenia.

Dokumenty te i przywileje normują następujące sprawy:

Przywileje Kazimierza W., Zygmunta Augusta i Zygmunta III nadają, względnie potwierdzają miastu rządzenie się prawem magdeburskiem, a zatem własne sądownictwo. Miasto miało wolność od myta królewskiego, prawo składu, prawo wagi, targi tygodniowe i doroczne jarmarki, ostatecznie w liczbie czterech. Z ogłoszonych dokumentów poznajemy rozmiar posiadłości miejskich. Mieszczanie wolni byli od podwód, mogli używać pewnych pastwisk i lasów królewskich, mieli połów ryb w Sanie. Miasto miało prawo propinacyi.

Obowiązani byli płacić pewne daniny i dawać robociznę.

Do Żydów odnosi się jeden dokument z r. 1676. Wreszcie znajdujemy zezwolenie królewskie z r. 1510 na budowę wodociągów przez miasto.

Archiwum cechowe w Sanoku jest bardzo szczupłe; znajduje się w niem 5 przywilejów królewskich, jeden biskupa Jana Karnkowskiego z r. 1530 i księgi cechowe cechu kuśnierskiego i krawieckiego.

Archiwum kościoła rzym.-katolickiego zawiera: dokładny opis kościoła w Sanoku i Trepczy, sporządzony w czasie wizytacyi przez biskupa Sierakowskiego z r. 1742, i spis powinności poddanych. Drugi akt obejmuje spis posiadłości i praw kościoła w Sanoku. Poza tem znajdują się w archiwum pisma i rachunki odnoszące się do budowy kościoła w drugiej połowie XIX wieku.

Zasobniejsze jest archiwum probostwa grecko-katolickiego w Sanoku, gdzie znajdują się i akty odnoszące się do probostwa w Dąbrówce.

Archiwum OO. Franciszkanów jest bardzo zasobne, a przytem uporządkowane.

Archiwum w Jaśliskach zawiera 10 przywilejów pergaminowych, jeden papierowy, 5 ksiąg pisanych i kilkadziesiąt aktów pisanych treści prawnej. Odnoszą się do praw targowych, składowych, poboru opłat, znajduje się między nimi kilka ksiąg radzieckich.

Dokumenty z archiwów innych miejscowości wyliczonych na wstępie, odnoszą się wyłącznie do stosunków poddańczych.

W opisie i ogłoszeniu przywilejów i innych dokumentów trzymał się wydawca metody użytej w wydawnictwie aktów grodzkich i ziemskich we Lwowie, uwzględniając przytem metodę prof. d-ra Balzera w pracy »Przyczynki do historyi źródeł prawa polskiego«.

Dr. A. B.

Zamek krakowski. Przewodnik do zwiedzania. *Dr. Klemens Bąkowski* Kraków 1906.

Gdy po ewakuacyi zamku na Wawelu przez wojsko stał się on przystępny dla publiczności, okazała się niezbędna potrzeba przewodnika, któryby zawierał wskazówki i pouczenia historyczne dla niefachowej publiczności. Potrzebie tej odpowiada praca d-ra Bąkowskiego. Pierwsze dwa rozdziały zawierają historyę Wawelu, powstanie jego budowli, przetwarzania ich i usuwania ich części, jak np. kościołów, o których wzmiankują nieliczne w tym kierunku historyczne źródła. Wiadomości dotychczasowe są bardzo skąpe; nie można na podstawie danych, które dotąd nauka ma do rozporządzenia, odtworzyć dokładnej historyi królewskiego wzgórza, przedstawić sobie przeobrażeń, jakim w ciągu wieków ulegały budowle pokrywające Wawel. Autor wyraża słusznie nadzieję, że uprzystępnienie zamku przez jego opróżnienie ułatwia badania archeologiczne jego przeszłości, a studya, prowadzone przez Komitet restauracyjny posuną naprzód znajomość jego historyi i dostarczą materyału do odtworzenia poszczególnych faz jego rozwoju.

Dwa tedy pierwsze rozdziały przedstawiają nam, choć w skąpych zarysach, obraz zamku, jakim był w przeszłości. Rozdział trzeci przenosi nas w teraźniejszość; zawiera właściwy przewodnik. Na podstawie załączonych planów poszczególnych pięter prowadzi nas autor po krużgankach, sieniach i izbach dawnej siedziby królewskiej i po okalających ją stokach wzgórza wawelskiego.

B.

Arcydzieła obcych i polskich pisarzy. »Słowo o pułku Igora«. Przekład Augusta Bielowskiego. Z objaśnieniami i wstępem Bohdana Łepkiego. Brody 1906.

Mamy przed sobą 47 tom wydawnictwa celniejszych dzieł obcych i polskich, prowadzonego przez księgarnię Feliksa Westa. Wydawnictwo to obok przystępnej ceny ma tę ważniejszą jeszcze zaletę, że w przeciwieństwie do innych tanich wydawnictw stara się o opracowania poszczególnych dzieł przez siły naukowe fachowe. Każde dzieło wychodzi zaopatrzone potrzebnemi uwagami literackiemi i rzeczowemi, które pogłębiają u czytelników znajomość samego dzieła i jego autora.

Tom 47 zawiera »Słowo o pułku Igora«. Z czterech znanych polskich przekładów wybrał wydawca najlepszy Augusta Bielowskiego. Traktat ten najlepszy z istniejących nie jest

jednak bezwzględnie dobry. Dlatego p. Łepki podaje tekst prozą tłumaczony przez siebie z oryginału. W obszernym wstępie podaje wydawca treść poematu, charakter jego, elementa składowe, miejsce w literaturze, formę i budowę, charakterystykę osób. Kilku słowy omawia p. Łepki osobę autora, zresztą z nazwiska i życia nieznaną; wiadomości opierają się tylko na przypuszczeniach. Wreszcie mówi wydawca o odkryciu tego poematu w roku 1797 przez hr. Musina-Puszkina i rozwoju badań nad nim. Wydawca pamiętał również o zaopatrzeniu dzieła w potrzebne językowe i historyczne wyjaśnienia.

I.

Historya masoneryi i innych towarzystw tajnych. *Feliksa Eger.*

Dzieło to ma za cel zapoznać polski ogół z historyą w pierwszej linii wolnomularstwa, a przytem pobieżnie dotyka innych towarzystw tajnych, zostających w związku z masonią. Opiera się głównie na pracy N. Deschamps'a *Les sociétés secreètes et la société ou Philosophie de l'histoire contemporaine,* uzupełnionej przez Janeta, i na dziełach Saint-Albina, Saint-André'go, Ottona Beurena, O. Abta, na pismach masońskich i na pracy zbiorowej *Die Freimaurerei Oesterreich-Ungarns.*

Pierwszy rozdział kreśli organizacyę wolnomularstwa. Opowiada nam autorka o podziale na masonię symboliczną i wyższą, stopniach, lożach, łączności ich między sobą, obrządkach, rytuale i t. p.

Sporne są zawiązki wolnomularstwa. Wielu szuka początków w tajemnicach pogańskich. Inni wywodzą je od herezyi gnostyków, manichejczyków, albigensów, socynianów lub najczęściej od templaryuszów.

Początek masoneryi wiąże się z organizacyą murarzy pracujących około katedry strassburskiej, poświęconej św. Janowi. Z masoneryi wypłynęła sekta Braci Rose-Croix, a z nich wyszli illuminaci.

Masoneryę zorganizowaną spotykamy w XVIII wieku. Występuje ona do walki z Kościołem, a mając w swem łonie ludzi stojących na wysokich stanowiskach, rozwija wybitną działalność. Niema wypadku politycznego, w którymby nie można dopatrzeć ręki wolnomularzy. Wypędzenie Jezuitów z Portugalii, kasata tego zakonu, rewolucya francuska, dzieje Napoleona I i III, zjednoczenie Włoch, Niemiec, zabór Krymu, rewolucya belgijska; to wszystko główniejsze skutki działalności i wpływu masoneryi. Pozbywają się niewygodnych im panujących, jak cesarza Leopolda, Gustawa III szwedzkiego, prezydenta Garcii Moreny. Dla celów politycznych lubi masonerya zmieniać godła i działać przez inne towarzystwa, jak np. karbonaryuszów.

W Polsce masonerya nie zapuściła głębszych korzeni. Były loże i organizacye, lecz przeważnie nie było tam celów głębszych tylko znamiona powierzchowne obrzędów, wpływ panującej mody. Natomiast tworzyły się w Polsce, szczególnie w czasie od lat 1815—1830, towarzystwa tajne, nie mające związku z wolnomularstwem, jak np. wileńscy filareci i filomaci.

W tych kilku słowach mają czytelnicy przedstawiony szkic obszernego a treścią wysoce zajmującego dzieła. Oparte na gruntownych pracach poprzedników i materyałach z pierwszej ręki stwierdza nam ono, że masonerya nie jest tylko wymysłem, że istnieje i rozwija działalność zgubną w skutkach; podkopuje byt

głównych podstaw społeczeństwa: religii i poszanowania dla władzy.

Dzieła o przedmiotach takich jak dzieje i organizacya wolnomularstwa spełniają podwójną usługę. Pierwsza, to podniesienie wiedzy, wzbogacenie skarbnicy jej nowymi szczegółami. Lecz nie w tem ich kardynalna zasługa. Wolnomularstwo działa z ukrycia i starannie zasłania swe organizacye, swe cele i środki: nie wiemy, skąd i przeciw komu lub czemu podniesie cios. Dać poznać tego ukrytego nieprzyjaciela, przedstawić nam drogi, któremi chodzi, środki, jakimi się posługuje, to czyn obywatelski a może nawet i heroiczny. Dla Polaków dzieło to tem cenniejsze, że prócz pracy ks. Załęskiego, zakreślonej na ciaśniejszy zakres, nie mamy w tym przedmiocie obszerniejszego dzieła.

A. B.

Lehrbuch der Philosophie auf aristotelisch - scholastischer Grundlage. Von *Alfons Lehmen S. J.* Vierter (Schluss-) Band: Moralphilosophie. Freiburg. Herder. 1906. 8-ka, str. XX u. 334.

Podręcznik filozofii scholastycznej przez ks. Lehmena T. J. obecnie został ukończonym. Czwarty i ostatni tom zajmuje się filozofią moralną czyli etyką. Materyał opracował autor na wzór znanych dzieł Kathreina, Meyera, Stöckla i Gutberleta. Podział jest mniej więcej ten sam, jak w wymienionych dziełach, treść zaś nosi na sobie cechy indywidualne, oryginalne. Widać, że autor posiada swój przedmiot gruntownie, skoro potrafi z nadzwyczajną jasnością a jednak jędrną krótkością przedstawić trudne zagadnienia. Obdarza nas książka jednolitym poglądem na świat, opartym na niewzruszonych zasadach prawd rozumowych i przez to uzdalnia czytelnika do wyrobienia sobie pewnego sądu moralnego o najrozmaitszych zagadnieniach praktycznego życia. Przeznaczonem jest to dzieło dla szerszych warstw intelligentnych jako podręcznik do prywatnego studyum, jakkolwiek może ono wybornie także służyć za podkład szkolnych wykładów. Pytania i odpowiedzi na zarzuty, które możnaby przeciwstawić wywodom autora, w sposób przystępny i naukowy zarazem uwzględnione zostały według doniosłości i trudności danego problemu.

Możnaby dziełu czynić zarzut, że niektóre kwestye zostały zbyt krótko przedstawione, a nawet zgoła pominięte, jak np. kwestya kobieca, która jednak powinna mieć miejsce w filozofii moralnej, lub ustęp o obowiązkach poddanych względem państwa, który zwyczajnie jest zaniedbanym w dziełach etycznych, gdyż leży poza obrębem utartego szematu »obowiązków względem Boga, siebie i bliźnich«. Autor chciał w zarysie tylko przedstawić całokształt filozofii moralnej i budzić w czytelnikach chęć do dalszego, obszerniejszego studyum. Wobec tego jednak było wskazanem, aby na czele poszczególnych ustępów wymieniono odnośną literaturę, zwłaszcza celniejsze monografie, których przecież nie brak w danej dziedzinie. Tymczasem autor odsyła jedynie do ogólnych dzieł Kathreina, Meyera, Gutberleta i Stöckla i innych, a raz tylko do monografii Hubera p. t. *Die Hemmnisse der menschlichen Willensfreiheit.*

Dla szerszych warstw książka ks. Lehmena, pisana w języku niemieckim, ma mniej więcej tę samą wartość, jaką powszechnie przyznaje się łacińskiemu podręcznikowi filozofii moralnej ks. Kathreina. *M.*

Psychologia rationalis sive philosophia de anima humana in usum scholarum. Auctore *Bernardo Boedder S. I.* Editio tertia aucta et emendata. Friburgi. Herder 1906. (Str. XX, 476).

Psychologia ks. Boeddera należy do najlepszych podręczników szkolnych, według metody scholastycznej opracowanych. Autor uwzględnił skrzętnie nowszą literaturę filozoficzną, zwłaszcza w zakresie psychologii doświadczalnej i fizyologii. Wielce pomocną była mu pod tym względem znajomość filozofii angielskiej. Szczególniejszą staranność widać w udoskonaleniu scholastycznej teoryi poznania. Filozofia asocyacyi oraz teorya parallelizmu psycho-fizycznego zostały w nowem wydaniu krótko wyłożone i krytykowane. Jasność układu, przejrzystość stylu i ścisłość w dowodzeniu stanowią o wartości także nowego wydania tej wogóle przychylnie przez krytykę przyjętej książki.

M.

Slovenská reč a jej miesto w rodine slovanských jazykov. Práca *d-ra Sama Czambela.* 1 oddelenie. Osnovy a iný materiál rečový.

Praca to ledwo zaczęta, a już zdolna żywo zaciekawić słowiańskiego czytelnika. Cały tom o kilkudziesięciu arkuszach druku stanowi dopiero początek pracy o języku słowackim, bo zawiera ledwo pogląd na dzieje narodowe i zbiór przeróżnych rodzajów mowy słowackiej, chwyconych żywcem z ust kilkudziesięciu Słowaków. Tych zręcznie zagadywał autor i skłonił, żeby opowiadali każdy po swojemu jakąś przygodę, klechdę ludową albo którąś z bajek wiejskich, podawanych z ust do ust z dawnych pokoleń. W dalszych tomach czytelnik ma znaleźć naukowy rozbiór bogatej osnowy, zebranej w tomie dotąd wydanym.

Coś w rodzaju naszego Kolberga autor zamierzył dokonać dla swoich rodaków. A pracę albo miał trudniejszą przedmiotowo, niż Kolbergowa, albo sumienniej chce ją wykonać. Kolberg nie uwzględniał przeróżnych dźwięków, które wychodzą z ust ludu naszego, kiedy ten używa mowy ostatecznie polskiej, ale w swoich narzeczach zaściankowych. Wtedy słyszymy i czyste i pochylone a, e, o, a nosowe nie tylko powyższe głoski, ale nawet u a czasem coś jakby i czy y. Otóż na te wszystkie odmiany dźwięków samogłoskowych pisarz słowacki szuka pisowni, aby odtworzyć znakami drukarskimi całą gamę tonów, w jakich przeróżne okolice mówią po słowacku. Znajdujemy w tym tomie także ludową mowę Słowian, rozsypanych między Słowakami, więc górali polskich i ruskich. Co do polskich przykładów gwary góralskiej wytknąć tu trzeba, że autor albo nie dopilnował korekty, albo nie wszędzie odróżnił piętna gwarowe od wymowy czysto osobistej jakiegoś górala, który zamiast »chciał« powie i »chcioł« i »kcioł« i »fcioł« i »fcion«. Takich osobistych objawów złej wymowy raz po raz zmienianej, nie zdoła żaden językoznawca użyć z pożytkiem dla prac naukowych. Raczej przypuścić tu można złą korektę i mimo tego braku oczekiwać niecierpliwie dalszego ciągu pracy niezwykle ciekawej.

K. C.

Itinerant daughters by *Dorothea Gerard.* I vol. 1907. Tauchnitz ed.

Znana i sympatyczna autorka podała nam tym razem wesołą humoreskę nie pozbawioną głębszego zna-

czenia. Oto dowcipny lekarz widząc seryę panienek znudzonych aż do anemii pożyciem w domu rodzicielskim, organizuje dla nich kuracyę *sui generis*. Notabene dzieje się to w kole bliższych i dalszych znajomych. Otóż rodzice poszczególnych panienek zamieniają córki na trzy miesiące: każda z »pacyentek« ma powyższy okres czasu przepędzić kolejno w każdym z rodzinnych domów swoich koleżanek. Ma się rozumieć, że wkrótce każda poznawszy ujemne strony innych rodzin, wraca z entuzyazmem do swojej. Możnaby zarzucić autorce, że przedstawiła po trosze galeryę dziwaków; w każdym domu bowiem ludzie chorują na jakąś manię: w jednym polowanie, w drugim gra *golfu*, w trzecim wir światowy i t. p. W życiu zaś mało spotyka się takich wyłączności i rzadko kiedy wszyscy, krom jednej, członkowie rodziny łączą się w jednej namiętności z takim zapałem. Bardzo dobrem jest opisanie panny pracującej »społecznie« i udzielającej pod tym względem poważnych nauk starszej damie, która życie swoje spędziła w pełnieniu wśród otaczającego ludu uczynków miłosiernych. Takich młodych nauczycielek pracy społecznej mamy dziś na tuziny albo i na kopy: każda dwunastoletnia dziewczynka już się rwie do nauczania... co prawdę mówiąc zabawniejszem jest od uczenia się samej wyznaczonych lekcyi... W powieści pani Gerard pełno jest zabawnych lub ładnych szczegółów, jak np. epizod ze ślepą dziewczyną, która zamiast płakać nad swoim losem, staje się wesołą a czynną opatrznością swojej rodziny.

T. W.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Przyczynek do dziejów encykliki o modernizmie

Nie trudno było przewidzieć, że encyklika o modernizmie, wykazująca z taką bystrością i logiką grasujące dziś błędy, nie wszędzie spotka się z uznaniem i w szeregach samych katolików znajdzie wrogów.

Jednym z takich głównych przeciwników encykliki papieskiej, to wódz angielskich modernistów Tyrrell, człowiek wielkiej nauki, większej jeszcze ambicyi i, jak to z jego występów wynika, zdaje się, osłabionej wiary. Łamiąc dane słowo, że bez aprobaty kościelnej nie będzie drukował żadnych prac, ogłosił w angielskim *Times*'ie odpowiedź na encyklikę, za którą popadł w klątwę kościelną; ta znowu, jak można sądzić z jego zachowania się, nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia. Ekskomuniką uczuło się dotknięte grono zwolenników Tyrrella i ono też umieściło również w *Times*'ie deklaracyę podpisaną przez jednego z profesorów uniwersytetu oksfordzkiego; chcąc w tej deklaracyi wyzyskać encyklikę przeciwko papieżowi, starali się angielscy moderniści z perfidyą i ze złą wiarą wykazać, że encyklika papieska konsekwentnie potępić musi i potępia zmarłego kardynała Newmanna, słusznie bowiem przypuścić mogli, że taki szczegół oburzy szerokie masy katolików angielskich, wśród których imię Newmanna jest niesłychanie popularne. Owszem z deklaracyi a więcej jeszcze z jej komenta-

rzy, ogłoszonych po różnych pismach, można było wyciągnąć wniosek, że angielscy katolicy skłaniają się i skłonić muszą do schizmy. Tę niegodną taktykę wyświetlił natychmiast *Osservatore Romano,* który zaprzeczył faktowi, jakoby dzieła Newmanna były potępione, zbił poszczególne twierdzenia autorów deklaracyi i częściowo wykazał różnicę między Newmannem a modernistami. Schizmy angielscy katolicy dziś się nie lękają i *Times* ogłosił już z katolickiego obozu pochodzącą, takie zapatrywanie zbijającą odpowiedź. Wystąpienie Tyrrella i jego zwolenników jest tylko nowym jeszcze dowodem, jak bardzo encyklika była na czasie.

Bardziej skomplikowanym jest występ włoskich modernistów. Kilku bezimiennych autorów ogłosiło protest przeciwko encyklice, rodzaj antyencykliki. Opinia dopatrywała się jakiś czas autorów w szeregu grupujących się koło *Rinnovamento* księży; jeden z redaktorów, Alfieri, tej wiadomości zaprzeczył. Przypuszczano także, że głównym, jeżeli nie autorem, to przynajmniej inspiratorem odpowiedzi, był znany włoski działacz, ks. Murri. Było to przypuszczenie nieuzasadnione, gdyż ks. Murri głosił inne polityczne i socyalne poglądy a w *Giornale d'Italia* publicznie oświadczył, że choć niektóre zapatrywania protestu podziela, nie brał jednak żadnego udziału w jego redagowaniu. Autorami antyencykliki ma być sześciu rzymskich księży i ci pewno nie spodziewali się następstw swego chybionego kroku. Papież zakazał pod grzechem ciężkim czytania, sprzedawania lub przechowywania rzeczonej odpowiedzi; rzucił nadto sobie osobiście zarezerwowaną ekskomunikę na autorów i współpracowników antyencykliki, przypominając równocześnie, że podpadną pod inne jeszcze kary kościelne, gdyby sprawowali jakiekolwiek czynności urzędu kapłańskiego, odprawiali np. mszę św. Pozostaje więc tylko wóz albo przewóz.

Że Pius X nie myśli stanąć wpół drogi, wykazuje ogłoszone 21 listopada *motu proprio,* poczynające się od słów *Praestantia Scripturae Sacrae.* Dzieli się ono na dwie części. Pierwsza zajmuje się założoną przez Leona XIII w r. 1902 komisyą biblijną, której zadaniem decydować i rozstrzygać sporne kwestye egzegetyczne. Komisya biblijna odpowiedziała godnie swemu zadaniu, jej decyzye zostawiały szerokie pole badaniom naukowym, tego

jednak było za mało dla niektórych egzegetów czy teologów, gonią-cych za każdą nowością dnia. Wobec tego Ojciec św. nakazuje w sumieniu posłuszeństwo decyzyom komisyi biblijnej tak prze-szłym jako i przyszłym i przypomina, że ciężko grzeszyłby ten, ktoby słowem lub pismem decyzye komisyi zwalczał.

Druga część przywodzi na pamięć ostatni syllabus i ostatnią encyklikę, potwierdza oba dokumenty w całej rozciągłości i rzuca klątwę na wykraczających czyli zdania przeciwne głoszących. Biskupom i przełożonym klasztorów poleca papież czuwać nad profesorami młodzieży duchownej i usuwać tych, którzy są albo już zarażeni błędami modernistów, albo gonią za nieuzasadnionemi nowościami lub okazują się mniej skłonnymi do poddania się przepisom Stolicy Apostolskiej. Kleryków nie wolno dopuszczać do wyższych święceń, jeżeli do potępionych zdań skłaniać się będą. Biskupi też, o ile to leży w ich mocy, mają się starać o usunięcie z rąk młodzieży i z katolickich księgarni pism i książek, duchem modernizmu przejętych.

Kilka jaśniejszych chwil we Francyi

W przedmowie do książki »Od szatana do Boga«, gdzie anarchista i ateusz, poeta Adolf Retté, opisuje proces swego nawrócenia, wypowiedział Franciszek Coppée zdanie, że w dzisiejszej zawierusze religijnej ma Francya jedną przynajmniej pociechę: stanowczy powrót do wiary ludzi wybitnych wiedzą czy talentem. O ile tego faktu nie wolno przeceniać, nie wolno jego znaczenia także milczeniem pomijać, bo słusznem jest chyba twierdzenie, że o przyszłości katolicyzmu wypada, mówiąc po ludzku, sądzić nie tak z usposobienia względem niego szerokich, nieoświeconych i niewykształconych mas, jak raczej ze stanowiska, jakie względem niego zajmują sfery intelligentne, na które bądź co bądź w pewnych warunkach ogół spoglądać i według których kierować się będzie. Pod tym względem Francya budzi uzasadnione nadzieje.

Do niedawna uważano jedynie teologię niemiecką za stojącą na wysokości czasu i zadania; dzisiaj, przyznał to sam Ehrhard, że teologia francuska nie tylko dorównywa niemieckiej, ale najczęściej ją przewyższa. Wpływ uczonych teologów francuskich

oddziałał i na świeckich, którzy w swym gronie posiadają licznych głośnych uczonych i zarazem gorących katolików. Wystarczy tu zwrócić uwagę na jedyny chyba w świecie fakt, że sławna kollekcya *Les Saints*, ma za autorów w wielkiej części ludzi świeckich, między nimi wyróżniających się profesorów uniwersyteckich; a i to chyba jest dla dzisiejszych stosunków znamiennem, że na niesłychanie ważne stanowisko dożywotniego sekretarza Akademii Umiejętności, które przedtem zajmował materyalista Berthelot, powołała Francya jednego z większych swoich uczonych, profesora katolickiego uniwersytetu w Paryżu, de Lapparent.

Wpływowi katolicyzmu ulegli także wybitni literaci, jak Brunetière, który jeszcze na długo przed swem nawróceniem w katolicyzmie widział pewną ostoję i tamę przeciwko destrukcyjnym ideom i myśl tę propagował; uległ mu sceptyczny Bourget, broniący dziś w swych powieściach katolickiego światopoglądu, uległ Huysmans, Coppée, Jammes, Retté, René Bazin, uległ mu nawet Verlaine a w ostatnich tygodniach i Sully-Prudhomme, wszystko ludzie wybijający się z tłumu; nie wspominamy tu już o dziesiątkach innych. Fakt, że intelligentna Francya interesuje się dziś żywo kwestyą religijną, czego dowodem rozliczne wydawnictwa w sprawie katolicyzmu, da się sprowadzić częściowo przynajmniej do tego samego czynnika.

Uczeni i literaci stojący jeszcze poza katolicyzmem, wyrażają się o nim jednak z uszanowaniem i z sympatyą, i choć sami nie wierzą, widzą w nim jedyny ratunek. Prawda! liczba tych wszystkich nie jest jeszcze zbyt wielką, ale to w każdym razie duchy przodownicze i kierujące. Promienie wschodzącego słońca, jak trafnie w tej kwestyi wyraziła się *Kölnische Volkszeitung*, oświecają wpierw zawsze wysokie szczyty, a z nich dopiero spływają w niziny; wolno się spodziewać, że to zjawisko znajdzie swoje zastosowanie i w moralnem odrodzeniu Francyi.

Z działalności niemieckiej ligi antypojedynkowej

Wywołany głośną swego czasu sprawą Tacoliego ruch antypojedynkowy zatacza coraz szersze koła. W Hiszpanii sam król stanął na czele agitacyi i takie tym krokiem lidze nadał znaczenie, że jeżeli rzecz w tem samem tempie

pójdzie dalej, pojedynek w Hiszpanii w krótkim już czasie należeć będzie do przeszłości; w Belgii władze wojskowe zaprowadziły honorowe sądy rozjemcze; Anglia od pięćdziesięciu lat zniosła pojedynek w armii, a nawet w Austryi, gdzie stosunki szczególniej były nieosobliwe i ruchowi nieprzychylne, mogą, według orzeczenia ministeryum, oficerzy nie stojący w czynnej służbie i oficerzy rezerwy przystępować do ligi.

Ruch rozszerzył się i na Niemcy, gdzie liga założona w r. 1902 w Kassel liczy obecnie 3000 członków, między nimi 200 profesorów uniwersytetów, 300 sędziów i prokuratorów, tyluż lekarzy i 33 oficerów pozasłużbowych. Na kilkadziesiąt milionów ludności może się ta liczba wydawać dość nieznaczną, pamiętać jednak trzeba, że liga liczy mnóstwo zwolenników w tych kołach, które dla pewnych przyczyn do samej ligi nie przystępują, tak np. w korporacyach studenckich w Niemczech znajduje się do 20.000 członków pojedynek w zasadzie potępiających. A o to w Niemczech na razie przedewszystkiem chodzi, bo jak na ostatniem walnem zgromadzeniu ligi w Monachium 13 października jeden z mowców orzekł, liga nie żąda od swych członków obietnicy, że nigdy i w żadnych warunkach pojedynku nie przyjmą — wymaga tylko zasadniczego potępienia pojedynku.

Środkami niemieckiej ligi w walce przeciw pojedynkowi, są: uświadamianie przez broszury, walne zgromadzenia, zakładanie związków lokalnych a przedewszystkiem starania o skuteczniejszą obronę czci osobistej. Ten ostatni punkt, jak zresztą wszędzie, jest najważniejszy. Dąży więc liga do ustanowienia honorowych sądów rozjemczych, dających jednak gwarancyę, że potrafią skutecznie bronić czci i do usunięcia spraw honorowych z pod kompetencyi sądów przysięgłych, które w tym przedewszystkiem względzie zadaniu swemu nie ze wszystkiem odpowiadają; liga stara się wreszcie o ustawowe powiększenie kar za obrazę czci i o połączenie kary pieniężnej z karą więzienną.

Ważny krok na tej drodze uczyniono przez założenie studenckich honorowych sądów rozjemczych, które istnieją np. w Hanowerze i Darmstacie i o dodatniej swej działalności już mówić mogą.

Ostatnie wybory w Belgii

Dwudziestego października odbyły się częściowe wybory w 2618 gminach belgijskich. Wbrew wszelkim przepowiedniom liberalnych i socyalistycznych gazet, katolicy odnieśli nowe zwycięstwo, tem ważniejsze, że stronnictwa liberalne i socyalistyczne utworzyły tak zwany kartel, mający na celu zwalczanie katolików, odwet za wybory r. 1906 i przygotowanie wyborów do parlamentu w roku przyszłym. Kartel odebrał kilka gmin katolikom, mimo to prawica utrzymała się wogóle na wszystkich swoich pozycyach, nawet najbardziej zagrożonych i namiętnie przez liberalno-socyalistyczny sojusz obrabianych, a równocześnie zdobyła nowe stanowiska. W Tournai np. liberalne stronnictwo rządziło niepodzielnie od lat trzydziestu, w Diest od pięćdziesięciu, dziewięciu, w Laecken uważało się za niezwyciężone, i z tych swoich centr zostało wyparte. »Wybory, pisze liberalna *Etoile belge*, nie odpowiedziały naszym oczekiwaniom. Ich wynik jest dla nas ujemny, a stronnictwa opozycyjne muszą na nowo wziąć się do pracy, aby przygotować odwet«.

Partya katolicka wyszła więc z walki zwycięską i wzmocnioną. Ale też nie zasypiała sprawy, dając przykład jak trzeba działać i dowód, ile przy celowej agitacyi można osiągnąć. Liczne zgromadzenia, gazety, afisze, wykrywanie nadużyć wyborczych a przedewszystkiem niepojęte wprost wysiłki młodzieży, grupującej się około stowarzyszenia *Jeunes Gardes* i jedność, która z wyjątkiem Liège, wszędzie łączyła katolików, przygotowywały i przygotowały zwycięstwo.

Stronnictwo liberalne, w tem zgadzają się wszyscy, wskutek sojuszu z socyalistami osłabia coraz więcej swoje znaczenie. Wbrew wszelkiej rozumnej polityce trzyma się ono hasła: »raczej z szatanem, aniżeli z katolikami«, i zapomniało zupełnie o testamencie swojego niegdyś wodza, Frère-Orbana: »głównym obowiązkiem partyi liberalnej jest zwalczać stronnictwo socyalistyczne i nie dopuszczać jego zwolenników do naszych zgromadzeń wyborczych. W tej sprawie stronnictwo liberalne, jeżeli nie chce zadać kłamu swym pierwszym zasadom, nie może zająć innego stanowiska. Jeżeli to jednak dla ubezpieczenia zwodniczych szans

wyborczych uczyni, wywoła w duszach niepokój, rozłam i zwątpienie«.

Były to słowa trzeźwe i przewidziały przyszłość. Przez sojusz z socyalistami stronnictwo liberalne zyskało mało, wiele straciło, tak wiele, że socyalistyczny deputowany Anseele odważył się powiedzieć do liberałów: »albo pójdziecie za czerwonym sztandarem, albo zginiecie z powierzchni ziemi«, a liberalny Janson stawił wcale niewesołą prognozę na przyszłość: »dla liberalizmu jedyny ratunek leży tylko w zwrocie na lewo«.

Jak na razie rzeczy stoją, w krótkim już czasie dwa tylko stronnictwa zajmą w Belgii wybitniejsze stanowisko: socyaliści i katolicy. Jeżeli jednak wszystko nie myli, nowy a silny wzrost idei religijnych, intelligentna agitacya, pełna poświęcenia i zaparcia się praca socyalna, silna dyscyplina i nienaruszona jedność, łącząca szeregi katolickie, każą się spodziewać, że długo jeszcze w Belgii powiewać będzie sztandar katolicki.

Z powodu wyborów do gmin w Anglii

Dla liberalnego rządu w Anglii nadchodzą także niekoniecznie przyjemne chwile. Prasa konserwatywna zarzuca rządowi i stronnictwu liberalnemu łączenie się z socyalistami a opiera się na mowie Lloyd-Georgesa, który wbrew opinii publicznej w socyalistach widział i widzi ludzi pokojowych i prawowiernych. Taki pogląd nie bardzo się ogółowi podobał i rządowi zwolenników jednać nie mógł.

To też nie zadziwi, że wybory do rad gminnych, które z wyjątkiem Londynu, odbyły się w całej Anglii, skończyły się dotkliwą porażką stronnictwa liberalnego i socyalistycznego. Z wyborów w stu siedemdziesięciu trzech okręgach wypadło sto czterdzieści pięć na korzyść konserwatystów, dwadzieścia trzy na korzyść liberałów a pięć na korzyść robotników. W Est-Ham, niezdobytej, jak się zdawało, twierdzy socyalizmu, przeszli kandydaci unionistyczni ogromną większością, tak samo w południowym Bristolu, choć w parlamencie reprezentuje go socyalista; Lancashire, dotychczas gniazdo liberałów, odwrócił się od nich.

Prasa unionistyczna przypisuje na ogół to wprost nieocze-

kiwane zwycięstwo walce przeciw socyalizmowi; nie brak jednak i głosów stwierdzających, że naród ma już dosyć liberalizmu.

Prasa liberalna, chcąc ratować sytuacyę, przyznaje wprawdzie, jak to uczynił np. *Daily Chronicle*, że »reakcya« odniosła walne zwycięstwo, pociesza się jednak tem, że wybory do rad gminnych nie są wyborami do parlamentu. Tonący brzytwy się chwyta, zwykle to jednak mało pomaga; na razie tyle przynajmniej jest pewnem, że dla liberalnego stronnictwa w Anglii nie bardzo różowo przedstawia się przyszłość.

Wybory do rady gminnej w Rzymie

Bardzo za to źle wypadły wybory do rady gminnej w Rzymie; zwyciężył tu blok radykalny a jego lista, obejmująca sześćdziesięciu czterech członków, przeszła w całości. Bezpośrednią przyczyną klęski było złożenie broni ze strony umiarkowanych z powodu teroru, jakiego się blok dopuszczał. Duchownych w lokalach wyborczych znieważano, motłoch przeszkadzał deputowanym nie należącym do bloku, w spełnianiu ich powinności, nawet posiedzenia w sali ratuszowej były widownią karczemnych burd. Dopuszczano się wszędzie fałszów wyborczych.

Jak jednak coś podobnego było możliwem? Na to pytanie odpowiedział jeden z katolickich radnych, członek *Unione Romana*. Ogół wyborców chciał mieć nowych radnych i wzdrygał się oddać swe głosy na ludzi, zasiadających w radzie od dwudziestu i więcej lat. Tego nie zrozumiała *Unione Romana*, zrozumiał jednak blok i wystąpił z nowemi nazwiskami. Tym sposobem doszło do tego, że katoliccy radni, którzy przedtem skupiali na siebie po dwanaście i więcej tysięcy głosów, obecnie doszli zaledwie do sześciu tysięcy a na nieznanych dotąd kandydatów bloku oddano głosów po czternaście i więcej tysięcy. Ten błąd popełniony ze strony *Unione Romana*, zemścił się tem więcej, że program bloku i stronnictw umiarkowanych, pominąwszy jedynie kwestyę a raczej stanowisko religijne, niczem się prawie nie różni, a ogół wyborców o programie antyreligijnym nie chce nic słyszeć.

W najbliższych dniach mają się odbyć wybory prezydenta

miasta. Dużo pojawia się kandydatów, jeżeli jednak gazetom wierzyć można, największe widoki powodzenia ma Żyd, dawny wielki mistrz loży włoskiej, Nathan. To także chyba ironia losu, ale zrozumiała, gdy się zważy, że dziś w radzie rzymskiej zasiadają osobniki o takiej wartości moralnej, jak np. Podrecca, wydawca pornograficznego *Asino*, lub redaktor socyalistycznego *Avanti*.

Blok swoją drogą zaczął już pracować. Rozpisano w Rzymie konkurs dla nauczycielek szkół średnich i ludowych i nie dopuszczono żadnej nauczycielki, która wykładała w jakimkolwiek zakładzie religijnym, choć świadectwa dawały jej pierwszeństwo.

Takie trzy fakta, jak wybory w Belgii, Anglii i Rzymie, dużo mówią, jeszcze więcej dają do myślenia a już najwięcej chyba zawierają w sobie nauki.

Ruskie stronnictwo katolickie

Z szczerą radością powitać należy podany przez gazety fakt tworzenia się nowego stronnictwa ruskokatolickiego, do którego zawiązania przyczyniła się w znacznej mierze *Niwa*. O ile z pism poznać można, przyczyną, przynajmniej pośrednią, zawiązującego się stronnictwa była »kłamliwa, złośliwa i awanturnicza polityka« partyi ukraińskiej *(Russkij Selanin)*. Zaprzeczyć bowiem nie można, że od całego szeregu lat różne stronnictwa ruskie uważały za swój cel i swoje zadanie walkę przeciwko religii, Kościołowi i klerowi; dążyły do odchrześcijanienia całej Rusi, wywoływały rozdwojenie we własnych szeregach, wzywały do wzajemnej nienawiści, szerzyły niezgodę między klerem a ludem i starały się klerowi odebrać wszelki wpływ na masy ludowe. Jaką bronią w tej walce się posługiwały, o tem wszyscy aż za dobrze wiemy. To też nie dziw, że ta polityka dokuczyła do żywego roztropnym i poważnym elementom narodu ruskiego a przedewszystkiem klerowi i była między innemi przyczyną, że Metropolita nie pozwolił na utworzenie *Kółka ukraińskiego* w seminaryum i zakazał prenumerowania *Diła* znanego z namiętnych swych wystąpień przeciwko encyklice o modernizmie i z szerzenia nieufności do Rzymu. Niejako więc obowiązkiem samoobrony było przystąpić do zawiązania stronnictwa,

opartego na zasadach katolickich i pragnąć tylko wypada, żeby się spełniło twierdzenie a raczéj życzenie *Ruskiego Sełanina:* »rozumie się samo przez się, że za duchowieństwem pójdzie naród, dotąd wierzący w ogromnej większości a menerzy karkołomnej polityki ukraińskiej pozostaną wodzami bez armii«.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z nowin historycznych.

Pierwotny grób św. Cyryla.

Jednym z najciekawszych Kościołów w Rzymie jest bazylika św. Klemensa, kościół, który i dla świata słowiańskiego szczególne ma znaczenie. Dziś istniejąca bazylika została wystawiona przez papieża Paschalisa II (1099—1118). Jest ona jedyną w całym Rzymie, która aż do naszych czasów zachowała w całości dość dokładnie wewnętrzne urządzenie dawniejszych bazylik [1]. Przez wielkie, wspaniałe atrium ze studnią *(cantharus),* wchodzimy do wnętrza, zakończonego trzema absydami. Przed ołtarzem, pokrytym baldachinem, rozłożył się chór niższego kleru i śpiewaków *(schola cantorum),* marmurową balustradą otoczony. Po jednym i drugim jego boku przechowały się także ambony, z których śpiewano ewangelię i epistołę.

Ale niejeden szczegół tej bazyliki sięga czasów dawniejszych, aniżeli wieku XI. Skąd się one wzięły?

Gdy na tysiącletnią rocznicę św. apostołów słowiańskich Cyryla i Metodego rozpoczęto przygotowania, wyłoniła się także myśl poszukiwania zwłok i grobu św. Cyryla. Wiedziano, że w Rzymie i to w lutym 869 roku umarł i w kościele św. Klemensa pochowany został. Zaczęto więc kopać pod bazyliką św. Klemensa. Kierował temi robotami, które umożliwiły hojne zapomogi ówczesnego arcybiskupa ołomunieckiego kardynała Fürstenberga, uczony irlandzki Dominikanin, Mulooly, a wynikiem tych robót było wprawdzie nie znalezienie zwłok św. Cyryla, ale odkrycie starej bazyliki św. Klemensa w r. 1858. Przy wybudowaniu nowej bazyliki, starą, pochodzącą z połowy IV wieku, częścią zniesiono, częścią zasypano, aby nad nią wystawić dzisiejszy

[1] Grisar: *Geschichte Roms und der Päpste im Mittelalter,* tom I, str. 164 n. 152.

kościół. Cenniejsze szczegóły, jak kolumny, balustradę marmurową chóru ze starej bazyliki zużytkowano przy wystawieniu nowej. Według starych tradycyi jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że dawniejszy, dziś dolny kościół był wystawiony obok domu mieszkalnego św. męczennika papieża Klemensa. Znaleziono także oratoryum, trochę niżej położone ale połączone z kościołem dolnym, które widocznie należało do owego mieszkalnego domu. Stwierdzają to przypuszczenie resztki budowy tamże znalezione i fundamenty domu, które jeszcze z czasów rzeczypospolitej rzymskiej, a więc z czasów przedchrześcijańskich pochodzą. Jako ciekawość dodać należy, że za owem oratoryum odkryto także grotę Mithrasa, z posągiem tego bożka i ławkami kamiennemi dokoła, świątynię więc tego kultu, który paraliżować miał szerzenie się religii chrześcijańskiej. Przedstawia się zatem cała bazylika św. Klemensa jako potężny palimpsest, na którym różne i to bardzo odległe epoki wyryły głoski swych dziejów.

Ale wróćmy do dolnej bazyliki św. papieża, bo ona drogocenne w sobie kryje skarby. Na ścianach odkrytej bazyliki znajduje się cały szereg uszkodzonych wprawdzie ale jeszcze wyraźnych obrazów. Archeologowie, a na czele ich O. Mulooly [1] i sławny de Rossi [2] starali się wyjaśnić ich treść i znaczenie. O. Mulooly spowodował nawet reprodukcye tych fresków przez kopistę Ewinga, które na nieszczęście stały się punktem wyjścia wszystkich dotychczasowych badań nad tym przedmiotem. Mówię na nieszczęście, bo Ewing bardzo dowolnie sobie postąpił i wszystkich w błąd wprowadził.

W nowszych czasach przypatrzył się malowidłom samym lepiej i krytyczniej sławny dziś archeolog msgr. Józef Wilpert i spostrzegł, że ze starych i drogocennych zabytków całkiem co innego wyczytać należy. Odkrycie to swoje ogłosił 1906 r. po czesku, w pracy dedykowanej obecnemu arcybiskupowi ołomunieckiemu Franciszkowi Sal. Bauerowi pod tytułem: *Malby v dřevní basilice svatého Klimenta* [3]. Praca ta interesuje nas szczególnie dlatego, że niejako przez nią odżył wielki apostoł Słowian św. Cyryl.

Dwa szczególnie obrazy zwracają na się naszą uwagę. W przed-

---

[1] Mulooly O. P.: *Saint Clement, pope and martyr and his basilica in Rome.* 2 ed. Rome 1873 (pierwsze wydanie 1869).

[2] De Rossi: *Bullet. archeol. crist.* 1863 i 1870, str. 129 sqq: *I monumenti scoperti sotto la basilica di S. Clemente studiati nella loro successione statigrafica e cronologica.*

[3] 1906. Kroměříž. Tiskem Jindřicha Slováka.

sionku *(narthex)* dolnej bazyliki znajduje się obraz, na którym dotychczas widziano Chrystusa w środku, po bokach jego stojących dwóch aniołów Michała i Gabryela, obok nich z jednej strony św. Andrzeja, z drugiej św. Klemensa, u stóp Chrystusa zaś klęczących św. Cyryla i św. Metodego. Zdawało się więc, że mamy przed sobą obraz wotywny, choć już de Rossi (*Bulletino* 1864, str. 39) z napisu pod nim umieszczonego sądził, że obraz ten za nagrobek uważać należy, i to tych dwóch u stóp Chrystusa klęczących osób. Napis wspomniany jest bardzo zniszczony, ale z tego, co zostało mógł Wilpert najprzód udowodnić, że mamy przed sobą nagrobek tylko jednej osoby, bo można wyraźnie przeczytać słowa *peccatori requiem aeternam. Amen*, »grzesznikowi spokój wieczny. Amen.«

Kto jest tym, którego tu pochowano? Da nam klucz do rozwiązania zagadki najprzód obraz. Przedstawia on po prostu sąd szczegółowy po śmierci. Chrystus siedzący (nie stojący, jak Ewing na swojej reprodukcyi podaje), sądzi osobę stojącą (nie klęczącą) po lewej jego ręce, na którą uwaga innych osób jest zwrócona i za którą się szczególnie stojący przy niej archanioł Gabryel i św. Klemens papież ujmują. Tą osobą to św. Cyryl, jako kapłan z tonzurą i ubrany w ornat mszalny *(planeta)*, z twarzą intelligentną i wychudłą filozofa-mnicha. Na ręku trzyma księgę drogimi kamieniami wysadzaną. Za nim jako za Grekiem oręduje św. Andrzej, a szczególnie św. Klemens, którego zwłoki przeniósł do Rzymu. Postać naprzeciw św. Cyryla stojąca, to św. brat jego Metody, nie jako obecny sądowi owemu, lecz pokornie jakby w modlitwie pochylony, na ręku trzymając kielich na znak, że mszę św. ofiaruje za brata swego. Był on w r. 869 już od kilku miesięcy księdzem obrządku rzymskiego, stąd na obrazie ma tonzurę i jest bez brody, podczas gdy św. Cyryl jako filozof-mnich brodę nosi. Trudno już wątpić, że mamy przed sobą p i e r w o t n y n a g r o b e k ś w. C y r y l a. Do wysokości trumny, marmurowej (0·85 m) jest ściana bez tynku zostawiona, bo była trumną zakryta; nad nią znajdował się wzwyż opisany obraz z napisem pod nim umieszczonym; obraz z jednej i drugiej strony objęty jest dwiema kolumnami, na których znajdował się trójkątny tympanon albo może i czworoboczne połączenie z pierwszą częścią napisu.

Co ten napis zawiera albo raczej zawierał? — bo z górnego nic nie zostało i tylko z dolnego domyśleć się jego trzeba? Będąc z obrazu przekonanym, że mamy tu przed sobą nagrobek pierwotny samego św. Cyryla, msgr. Wilpert zabrał się do rekonstrukcyi dolnego napisu.

Jest to pięciowiersz, którego prawa strona a więc końcowa lepiej zachowana aniżeli lewa, z której tylko pozostały ślady początkowej litery pierwszych czterech wierszy R, D, E, E. Ponieważ z nagrobkiem mamy do czynienia a pierwszy wiersz kończy się słowami: *iustus iudex,* nie było według początkowej litery R wątpliwości, że mamy tu przed sobą koniec słów św. Pawła (II Tim. 4, 7, 8): *Reddet mihi in illa die Dominus, iustus iudex,* »Odda mi w on dzień Pan sprawiedliwy sędzia.« Pierwsza część tych słów: *Bonum certamen certavi, cursum consummavi, fidem servavi. In reliquo reposita est mihi corona iustitiae, quam* (dobrym bojem potykałem się, biegum dokonał, wiarem zachował. Na ostatek odłożona jest mi korona sprawiedliwości, którą), musiała więc kończyć górną część napisu, który znikł zupełnie. Zgadza się to dziwnie ze słowami, któremi panońska legenda opisuje ostatnie chwile św. Cyryla, bo i ona cytuje część z wyż przytoczonych słów Pisma św. i dodaje jakby z aluzyą do obrazu opisanego: »Po dniach wielu filozóf (Cyryl) na sąd się wybierając, rzekł Metodyuszowi« — jakby pisarz nagrobek miał przed sobą.

Dla czterech wierszy następnych napisu Wilpert na podstawie śladów pozostałych i z analogii współczesnych nagrobków taką podaje rekonstrukcyę:

D[eus hominum reperator benignus] ac [rector pre]ces nostras
e[xaudi, ut Cyrillus {tua miseratio / in tuo nomi}ne sanctorum tuorum soci
e[tate laetetur. Per Iesum Christu]m Dominum nostrum, qui venturus est
[iterum. Lector dic: Deus da Cyrill]o peccatori requiem aeternam. Amen.

Boże ludzi odkupicielu łaskawy i rządco prośby nasze
wysłuchaj, aby Cyryl {z łaski Twojej / w Twojem imieniu} świętych Twoich towarzystwem się cieszył. Przez Jezusa Chrystusa Pana naszego, który przyjść ma znowu. Czytelniku zmów: Boże daj Cyrylowi grzesznikowi spokój wieczny. Amen.

Słowa w łacińskim tekscie w nawias ujęte oznaczają litery, których prawie albo wcale dzisiaj już śladu niema. Stąd łatwo poznać, że co do pojedynczych słów Wilpert pomylić się mógł, sądzi jednak, że co do treści samej wątpliwości być nie może.

Na podstawie tego rekonstruowanego tekstu Wilpert do jeszcze ciekawszego dochodzi wniosku. Twierdzi albowiem, że nikt inny, tylko św. Cyryl sam tekst tego napisu zestawił, bo trudno przypuścić, żeby kto inny, jak on sam umieścił nazwę grzesznika *(peccatori).* Wykonawcą ostatniej tej woli jest brat jego św. Metodyusz, obraz albowiem pochodzi z końca IX wieku. Dlatego też obraz niejako za jego inspi-

Przegląd muzyczny.

Pieśni Henryka Opieńskiego i Ludomira Różyckiego. — Ogólne uwagi o muzyce a orkiestrze. — Utwory orkiestrowe M. Karłowicza

Henryk Opieński był pierwszym u nas kompozytorem, który w swych pieśniach (op. 5 i op. 8) zbliżył się do typu współczesnej pieśni, będącej dokładną analizą i interpretacyą muzyczną poematu, tekstu, uwzględniając nie tylko prozodyę, ale i wewnętrzną budowę tekstu; inaczej mówiąc: gdy w dawnej pieśni wiersz kończący się rymem był granicą rozciągłości melodyi i często wskutek tego przerywano gramatyczne zdanie, a więc sens i treść, tekst naginając do formy muzycznej, w nowej pieśni muzyk zawiera z poetą związek niczem nierozerwanej łączności i wierności, będąc zdania, że muzyka powinna być przedmiotem a nie pozorem pieśni. Oczywiście nie jest to pretekstem do amorfii muzycznej, do burzenia formy, gdyż jakkolwiek ta ostatnia często jest zależna od budowy wiersza (tekstu), to jednak pieśni np. Liszta, H. Wolfa, R. Straussa, M. Schillingsa, M. Regera, Sindinga, G. Fauré'go i t. d. dowodzą, że muzyk jest tem głębiej myślącym i tem więcej umiejącym artystą im bardziej jest w stanie obydwa wymagania ze sobą pogodzić. W nowej pieśni niema mowy o t. zw. akompaniamencie, będącym dawniej tylko markowaniem rytmu i harmonii (pojętej abstrakcyjnie a nie wyprowadzonej z charakteru poematu, nie celowej); część instrumentalna, »towarzysząca«, nabiera wskutek zmiany stosunku muzyka do poety znaczenia równego, a często większego, niż część wokalna, recytująca tekst w wolnym, melodyjnym stylu, jako jeden z kontrapunktycznych głosów. Partya instrumentalna jest psychologicznym czynnikiem i wyrazicielem nastrojowego tła, będącego odbiciem takiejże treści poematu.

Zaznaczywszy w najogólniejszych liniach różnice między dawną a nową pieśnią, przechodzimy do omówienia ostatnio wydanych dwóch pieśni H. Opieńskiego op. 9 (»Icibas« do słów Sully-Prudhomme'a w przekładzie B. Ostrowskiej i »Prelud. V« do słów Tetmajera). Opieński jest jednym z niewielu, a może jedynym polskim pieśniarzem okazującym wielką wrażliwość na nastroje w przyrodzie. Po przestudyowaniu jego pieśni od razu czujemy, że mamy do czynienia z urodzonym pieśniarzem, dla którego czujemy tem większą sympatyę, że nie grzeszy hyperprodukcyą i nie szuka popularności. To też każda jego pieśń ma przedewszystkiem tę zaletę, że jest bezwzględnie szczerą.

Niedawno ktoś twierdził, że Opieński »zatrzymuje się przy każdym efekcie harmonicznym«. Błędne to mniemanie; wprawdzie Opieński harmonizuje wytwornie i komunałów nie znosi, nie czyni jednak tego dla efektu, lecz tam gdzie pewnej modulacyi wymaga nieraz jedno słowo tekstu, najsubtelniejsza zmiana nastroju. Najlepszym dowodem jest, że w jednej i tej samej pieśni obok najprostszych harmonii spotykamy bardziej »skomplikowane« (dla tych, którzy mają mały zakres pojęć harmonicznych). Pieśni Opieńskiego są po największej części romantycznemi, małymi pastelowymi pejsażykami, bardzo nastrojowymi i szczerze poetycznymi. Nastrojowy obraz z przyrody służy mu często za kanwę, na której wytworny artysta snuje jedwabną nić swych uczuć, dobierając subtelnych i łagodnych, nigdy jaskrawych barw. Są to pieśni, w których kompozytor przysięga dozgonną wierność poecie. Opieński nie jest talentem imponującym, ani pretensyonalnym; za to unika wszelkich banalności i umie rozróżnić elegancyę od dystynkcyi — zawsze umie zachować miarę artystyczną. Nie będąc zwolennikiem pieśni, w której albo tekst albo muzyka zajmuje podrzędne stanowisko, łączy ze sobą dwie zalety: utrzymuje pieśń w tonie — mówiąc językiem malarskim — a równocześnie szczegółowo analizuje muzycznie i wyczerpuje tekst dbając jednakże o dobrą formę. Wyrażanie się muzyczne Opieńskiego jest jasne i proste, w przeciwieństwie do wielu obcych (zwłaszcza niemieckich) pieśni, w których kompozytor wyładowuje magazyny wiedzy na wyrażenie bardzo nieraz nieskomplikowanych uczuć. Prozodya wszędzie jest nienaganną.

Ludomir Różycki wydał dotychczas 12 pieśni w dwóch zeszytach (op. 9 i op. 14), do słów Micińskiego, Heinego, Ibsena i Nietzschego. O pieśniach Różyckiego możnaby powtórzyć to samo, co powiedzieliśmy o jego utworach fortepianowych. O ile op. 9 zdradzał pewne wątpliwości co do formy i prozodyi, o tyle op. 14 jest nie tylko dowodem opanowania tych warunków technicznych; indywidualność Różyckiego pozostała ta sama wraz z innymi wielkimi przymiotami kompozytora: z wielką i silną inwencyą i bogactwem harmonicznych szczegółów. Każda pieśń, każdy utwór tego ogromnie utalentowanego kompozytora jest nową wycieczką w mniej lub więcej nieznane u nas krainy harmonii. Każdą pieśń umie Różycki utrzymać w tonie i nastroju, odpowiadającym tekstowi. Nie jest on zdecydowanym zwolennikiem najnowszej »programowej« pieśni, gdyż wszędzie zachowuje jednolitość charakteru, podobnie jak to czyni np. w Niemczech

Max Reger; gdzie jednak wymaga tekst, aby muzyk był w ciągłem porozumieniu z poetą, tam i Różycki robi wyjątki (np. w pieśni p. t. »Bezpowrotnie« do słów Ibsena). W sześciu pieśniach op. 14 znajdziemy całą skalę charakterystycznych różnic w wyrazie muzycznym: od figlarnej wesołości (»Wenecya« do słów Nietzschego), od pogodnego liryzmu (»Agnes«, słowa Ibsena, »Piosnka dziewczyny« słowa Nietzschego) do głębokiego, serdecznego smutku i tęsknoty (»Bezpowrotnie«, »Tęsknota« do słów Heinego); nastrój fantastyczny i poezya egzotyzmu panuje w pieśni »Łabędź« (słowa Ibsena), może najlepszej w tym zeszycie. Mogą się niepodobać śmiałe harmonie, może komuś koloryt tych pieśni wydawać się zbyt silnym; plastyki i wyrazu nikt im nie odmówi. Różycki nie umie się wyrażać z dwuznacznym konwencyonalizmem — to jego zaleta i dar niepospolity. Jego pieśni należą do najlepszych, jakie nie tylko w ostatnich czasach u nas napisano.

Orkiestra zajmuje w historyi muzyki XIX wieku stanowisko pierwszorzędne. Rozwój techniki kompozytorskiej wynikającej z natury tego potężnego wszechinstrumentu od śmierci Haydna (1809) aż do czasów dzisiejszych, do epokowej partytury »Salome« Ryszarda Straussa (1905), a więc rozwój, który dokonał się zaledwie w przeciągu niespełna 100 lat, jest czemś tak fenomenalnem i jedynem w swym rodzaju w dziejach muzyki, że nie da się bynajmniej porównać z żadnem stadyum rozwoju muzyki wokalnej, co najwyżej z XVI w. W dziełach Beethovena, Berlioza, Wagnera i Ryszarda Straussa można zamknąć pojęcie instrumentalizmu ostatnich stu lat. Niema tu niestety miejsca na to, aby dając obraz prometejsko-tytanicznych ewolucyi orkiestry w tej epoce szukać w naszej muzyce ich odblasku. A jednak, aby uświadomić sobie epokowe znaczenie tak wielkich kompozytorów naszych, jak Karłowicz, Fitelberg, Różycki i Szymanowski, na których wartości nie poznano lub nie chciano poznać się u nas, musimy przynajmniej szkicowo uczynić to, nie kryjąc się bynajmniej z przekonaniem, że ogólnie panujące w prasie i publiczności sądy nie mogą nas wcale krępować, ponieważ obydwa czynniki opinii nie objawiły zmysłu krytycznego, opartego na zdawaniu sobie sprawy z rozwoju muzyki w ostatnich czasach, na porównywaniu tego, co się odbywa na polu muzyki u nas i u obcych, na wykształceniu muzycznem. Tysiączne przyczyny składają się na to, że uświadomienie muzyczne prasy i ogółu, które może nastąpić tylko przy racyonalnej publicznej pedagogii muzycznej, nie prędko nastąpi. Do niedawna orkiestrowe utwory polskie

nie różniły się w zasadzie niczem od orkiestry »klasycznej«, t. j. używanej przez klasyków i Mendelssohna (por. utwory Żeleńskiego, symfonie i uwertury Noskowskiego i t. d.). Pod wpływem Wagnera zaczęli kompozytorowie wzbogacać skromny zasób pojęć o orkiestrze, w czem odznaczyli się Melcer, Stojowski i Paderewski, a w nieznacznej części także Noskowski (»Step«, »Z życia«). Nie opanowawszy potężnego żywiołu, jakim jest orkiestra w ostatnich dramatach wagnerowskich lub w symfoniach Czajkowskiego, a nawet w Berliozie lub Saint-Saënsie, zostawili trudne zadanie do spełnienia młodszym. Ci — a mam na myśli Karłowicza i innych — nie mogli się zadowolić wzorami ojczystymi, gdyż poza Polską działy się rzeczy, o jakich u nas nie miano do niedawna z powodu braku orkiestry symfonicznej wyobrażenia; udoskonalano aparat polifonii orkiestrowej, co zresztą jest zgoła czemś innem, niż zręczne instrumentowanie, którego u nas nie brakło (Stojowski, Melcer, Paderewski, Noskowski). Gdyby nasi najmłodsi kompozytorowie trzymali się tego, co słyszeli w kraju, skazaliby się na podobny los, jaki był i jest udziałem starszych: t. j. tworzyliby z myślą o powodzeniu w kraju, o przystosowaniu się do gustów mało kulturalnej muzykalnej publiczności i na zrezygnowanie z dążenia ku doskonaleniu się i z dążenia do rzeczywiście wzniosłych ideałów artystycznych. Nauczywszy się w kraju, czego nauczyć się było można, przestudyowali te arcydzieła nowszej muzyki, których w kraju nie słyszeli lub nie mieli sposobności poznać podczas studyów (w Warszawie przeważnie). Udali się więc do obcych, aby wyzbyć się nie charakteru polskiego, lecz zaściankowości. Trzeba również i na to zważać, że brak środków wykonawczych przyczynił się wielce do tego, że kompozytorowie polscy po prostu bali się tworzyć utwory na orkiestrę, nie zawsze mogąc liczyć na wykonanie i powtórzenie swych dzieł. Orkiestry zaś operowe albo rzadko albo wcale nie zajmowały się urządzaniem symfonicznych koncertów, wyrabiając w publiczności jednostronne zamiłowanie do opery. Z orkiestrami zaś amatorskiemi lub wojskowemi niepodobna wykonać trudniejszych utworów symfonicznych, jakie powstały od czasów Berlioza. Wykonywanie symfonii Beethovena należy jeszcze teraz w Krakowie i Lwowie do rzadkości, a gdzież Haydn, Mozart, Schubert, Berlioz, Liszt, Wagner, Czajkowski, C. Franck, Rimskij-Korsakow, R. Strauss i t. d.? Jednorazowe wykonanie dzieła nie wystarczy, a przecież klasycy powinni być podstawą wykształcenia publiczności! Wskutek tego dyletantyzm w krytyce powoduje konfuzyę pojęć. Wystarczy, aby jakiś młodszy kompozytor na-

pisał utwór na zwiększoną orkiestrę, aby go ochrzczono wagneryaninem, dlatego, że u nas z nowszych kompozytorów stosunkowo najwięcej jest znanym Wagner; ale słuchacze »patetycznej symfonii« Czajkowskiego nie dopatrują się tak widocznych u rosyjskiego kompozytora wpływów Wagnera, gdyż zasłaniają im oczy — tu i owdzie wprowadzone motywy ludowe rosyjskie. To samo dotyczy w innej mierze dzieł R. Straussa, Sibeliusa, Rimskiego-Korsakowa i tych kilku nowszych kompozytorów, granych czasem (rzadko zresztą!) w Krakowie lub Lwowie. Aby jednak wydać sąd przedmiotowy, na to trzeba mieć możność dokładnego poznania całej współczesnej muzyki. Przedmiot oceniany sam dla siebie, nie zaś w zestawieniu z całem otoczeniem bliższem i dalszem, jest źle, bo jednostronnie ocenianym. Tak dotychczas oceniano utwory orkiestrowe Mieczysława Karłowicza, Grzegorza Fitelberga i Ludomira Różyckiego, nie szczędząc im wprost dziwacznych »nagan« i uwag, tak również jednostronnie wynoszono pod niebiosa kompozycye innych, starszych kompozytorów, gdyż nie miano sposobności do czynienia porównań z dziełami innemi, a przedewszystkiem choćby z utworami symfonicznymi Czechów i Rosyan. Lokalny patryotyzm rzadko przynosi pożytek; u nas przyniósł szkody. Młodsi kompozytorowie zrezygnowali z natychmiastowego powodzenia (zwykle zewnętrznego), zrezygnowali z popularności tworząc bez ubocznych celów, poza sztuką zazwyczaj leżących. Filharmonia warszawska, założona przed kilku laty, mogła przyczynić się do rozkwitu muzyki symfonicznej polskiej, mogła popierać polskich kompozytorów. Niestety, brak artystycznego dyrektora, brak kierunku uniemożliwiły pracę nad sztuką ojczystą. Żydowski bankier stojący na jej czele, proteguje wszelkich kompozytorów, kapelmistrzów i wirtuozów, tylko nie polskich. Najczęściej przychodzi do słowa p. Noskowski, w czem niema nic dziwnego, gdyż dyryguje pewną częścią koncertów. Rzecz osobliwa, że w centrum muzycznem polskiem muzyka polska otrzymuje jeden policzek za drugim. Wystarczy przypatrzeć się na programy niemieckich lub francuskich koncertów, aby z zazdrością skonstatować, że obydwa te narody popierają swych muzyków ze wszystkich sił. U nas... inaczej. Dzieją się nawet tak smutne objawy zawiści i uporu, że polskie kompozycye są naprzód grane u obcych i przez obcych zdobywają uznanie nawet Niemców, lecz Filharmonia warszawska ignoruje je. Posiadamy tak wybitnych kapelmistrzów, jak H. Opieński, G. Fitelberg, M. Karłowicz i t. d., żaden jednak z nich nie zajmuje stanowiska godnego swemu uzdolnieniu, natomiast bardzo przeciętni muzycy

niemieccy i włoscy, nie mający żadnej sławy, zajmują w Warszawie w Filharmonii i operze pierwsze stanowiska, wszystko zaś dyrekcya tych instytucyi czyni, aby upokorzyć polskich artystów, choć uznanych i ocenionych przez obcych. Wobec takich danych nie może być mowy o organizacyi życia muzycznego, o celowym i jednolitym kierunku.

Przejdźmy do kompozycyi orkiestrowych Mieczysława Karłowicza, do wydanej obecnie partytury jego poematu symfonicznego p. t. »Powracające fale« (op. 9)[1]. Karłowicz komponuje stosunkowo bardzo mało, ale same dzieła większego rozmiaru: symfonie i poematy symfoniczne, koncert skrzypcowy, uwertury, suita. W pierwszych kompozycyach Karłowicza, jednego z najwybitniejszych polskich symfonistów, jest widocznym wpływ Czajkowskiego i Wagnera, dwóch mistrzów, którzy wogóle największe wrażenie wywarli na młodych polskich kompozytorów. Nie należy jednak, jak to dotychczas czyniono, wiecznie wietrzyć u Karłowicza za Wagnerem i Czajkowskim. Przedewszystkiem indywidualność Karłowicza jest tego pokroju, że mimowoli potrąca o pewne cechy indywidualności rosyjskiego mistrza: to ten rzewny, melancholijny, pełen nieutulonego smutku ton, tak słowiański, pomimo, że Karłowicz nigdy nie posługuje się motywami ludowymi. Jakże mało jasnych, pogodnych chwil w twórczem życiu Karłowicza! Jeśli nie smutek nurtuje jego zbolałą duszę, to najwyżej widać dążność do wyzwolenia, do wzniosłością owianego spokoju, do wzniesienia się ponad wszelkie dolegliwości i jałowe banalności bytowania. Wtedy sama myśl jest czynem, rzeczywistością: oto Karłowicz jako »artysta myślący«, jako twórca poetycznych refleksyi, dążący do omijania wytartych przez nadużycie dróg. A choć jest refleksywnym twórcą, to jednak sam fakt, że refleksye są albo wynikiem albo samemże doznaniem pewnych wstrząsających procesów psychicznych, wystarcza, aby Karłowicza nie mieszać pomiędzy »filozofów muzycznych«, przemieniających »wartości« przy pomocy kontrafagotu i czterech par kotłów. Stąd szczerość jest cnotą Karłowicza, jakkolwiek nie ta szczerość, na którą każdy naiwny człowiek zdobyć się może — szczerość widziana przez pryzmat wysokiej artystycznej kultury. Ta właśnie wielka intelligencya i kultura, której brak np. Noskowskiemu,

[1] Partytura i głosy orkiestrowe wydał Schlesinger w Berlinie. Utwór ten był wykonywany dwukrotnie w Warszawie i Wiedniu pod dyrekcyą kompozytora; powstał w r. 1904.

pomimo jego wielkiego talentu, naraziła Karłowicza na zarzut zdecydowanego wagneryzmu, i to z tej prostej przyczyny, że Karłowicz więcej umie i lepiej instrumentuje, niż wszyscy starsi kompozytorowie salwujący się niejednokrotnie uwzględnieniem żądań najszerszych mas, czego ani Karłowicz, ani Fitelberg, ani Różycki nie czynią. Jak wyżej powiedziałem — wystarczy więcej umieć, unikać folkloru muzycznego i być wybornym instrumentatorem, aby narazić się pp. recenzentom na zarzut, że się jest wagneryaninem. Że Karłowicz bardzo wiele zawdzięcza Czajkowskiemu, Wagnerowi i Ryszardowi Straussowi, podobnie, jak Fitelberg, to nie ulega wątpliwości, ale którychże to p o l s k i c h kompozytorów miał obrać za wzór chcąc tworzyć w y ł ą c z n i e n a o r k i e s t r ę? Gdzież p o l s k i Berlioz i Wagner, albo Czajkowski? W którem dziele orkiestrowem polskiem jest przeprowadzone ściśle pojęcie p o l i f o n i i o r k i e s t r o w e j? Wzoru w kraju nie mógł znaleźć Karłowicz, a dla lokalnego patryotyzmu nie mógł powiedzieć sobie, że więcej ponad to, co się u nas powszechnie wie i umie, nie powinien umieć. Miał do wyboru: albo zrobić z siebie ofiarę i zadowolić się łatwem powodzeniem, czyniąc ze sztuki *panem et circenses*, albo zejść z tłumnie uczęszczanych gościńców i otoczyć się wałem szczytnych dążeń, przez które nie przedostałby się żaden kompromis, uważający sztukę za zabawę, lub za pokarm zwany »kawiorem ludowym«. Dlatego jeszcze wiele czasu upłynie, nim Karłowicz będzie należycie oceniony i znany z samych kompozycyi. Zasługą zaś niemal już historycznego znaczenia jest: 1) wprowadzenie do polskiej literatury muzycznej formy poematu symfonicznego — »Step« bowiem Noskowskiego jest mimo nazwy uwerturą, 2) użycie po raz pierwszy orkiestry Ryszarda Straussa [1], co jest może jeszcze większą historyczną zasługą. Rzec można, że Karłowicz przez swe »Powracające fale« rozpoczął nową erę w dziejach orkiestrowej muzyki polskiej, erę polifonii. Bo choć tu i ówdzie zdarzały się w polskich symfonicznych utworach fugi (»Tatry« Żeleńskiego), choć usiłowano czasem kontrapunktyzować temat lub przeprowadzać imitacye, to jednak czyniono to zazwyczaj raczej dla kontrapunktu jako takiego a nie używano polifonii jako środka do celu. O tematycznej robocie, o przekształce-

[1] Skład orkiestry »Powracających fal« jest ten sam, co w »Śmierci i wyzwoleniu« Ryszarda Straussa: kwintet smyczkowy. 3 flety (III mały), 2 oboje, rożek angielski, 2 klarnety w A, basklarnet w B, 2 fagoty, kontrafagot, 4 waltornie, 3 trąbki w F, 2 puzony tenorowe, 1 puzon basowy, tuba, 2 pary kotłów, triangel, wielki bęben i zele (piatti).

niu tematów celem charakterystycznego i plastycznego odzwierciedlenia pomysłów, o rozwijaniu materyału tematycznego nie było mowy. Po prostu nie miano odwagi, nie chciano narazić się na niezrozumienie u nas niedostatecznie przygotowanych. Nie opanowawszy tych środków, które dał Berlioz i Wagner, nie można było puścić się na szerokie fale i głębokie odmęty nowożytnej orkiestry. Jest tu więc pewnego rodzaju cywilna odwaga Karłowicza, Fitelberga, Różyckiego, Szymanowskiego, ks. Wł. Lubomirskiego i innych (mniej jednak) znanych kompozytorów, że zerwali z przeszłością dla dobra sztuki ojczystej. Karłowiczowi jednak należy się palma pierwszeństwa. W istocie, czytając partyturę jego potężnego poematu symfonicznego, widzimy wszystkie te zalety, jakie rzadko spotykaliśmy w dawniejszych utworach orkiestrowych polskich. Staranność opracowania polifonicznego doprowadza Karłowicz do ostatecznych granic — w jego kompozycyi żadna nuta nie jest ani zbyteczną ani brakującą, wszystko jest w logicznym związku zależności od siebie, nic nie idzie samopas. Jest to poczucie formy, która wolna jest wprawdzie od pedanteryi konserwatoryjnej, właściwej komponującym nauczycielom teoryi, ale też wszędzie wykazuje związek ideowej przyczynowości, ciągłość myśli, logikę artystyczną i twórczą, która Karłowiczowi nakazuje powściągać zbyt swobodny lot fantazyi, a wyrażać się ściśle i unikać rozwlekłości deformującej dzieło sztuki. Wskutek tego panuje u Karłowicza doskonała harmonia między formą i treścią, treścią i środkami wypowiadania się. Autokrytycyzm jest u tego wielkiego artysty tak znaczny, jak tylko u niewielu współczesnych kompozytorów widzieć go możemy. Unika banalności, a jednak jest tak prostym w wypowiadaniu się; unika w instrumentacyi efektów zewnętrznych i gardzi wszelką pirotechniką instrumentacyjną — a jednak tyle pięknych i świeżych barw zdobi jego partyturę. Karłowicz, mistrz instrumentacyi, mógłby olśniewać kolorystycznymi, silnie działającymi efektami, ale jako głęboko myślący artysta unika wszelkich zewnętrznych objawów swej techniki fenomenalnej: zachowuje miarę artystyczną — i to go czyni tak bardzo wyjątkowym u nas kompozytorem, przebywającym w sferze tylko wielkiej sztuki. Kunsztowne opracowanie tematyczne pierwszej jakości jest właściwem każdemu jego dziełu. Pan Poliński w swej »Historyi muzyki polskiej« (str. 253) utrzymuje, że w utworach Karłowicza jest więcej dobrej roboty, aniżeli natchnienia szczerego«. Jest to uwaga zaprawiona sprawą osobistą, na co dostarczę dowodów w razie gdyby p. Poliński chciał przeczyć. Mniejsza jednak

o to! Cenniejszem jest zdanie krytyki niemieckiej, nieco fachowszej i gruntowniejszej, niż recenzent *Kuryera Warszawskiego*. Gdy najnowszy utwór Karłowicza p. t.: »Trzy odwieczne pieśni« (trylogia symfoniczna), był wykonany w Berlinie w marcu b. r. pod dyrekcyą Grzegorza Fitelberga przez słynną Filharmonię berlińską, prasa muzyczna berlińska mimo iż znała narodowość kompozytora i mimo że przez Berlin wszystko co najlepsze przechodzi przez salę koncertową, to jednak stwierdziła u Karłowicza szczerość i głębię natchnienia. Krytyk polski nie widzi tego, gdyż widzieć nie chce. Nie wiem, co ma na myśli, czy pięknie ufryzowane melodye (których u Karłowicza niema), czy wpadające w ucho bez trudu komunały melodyjne, czy też to, że Karłowicz nie eksploatuje na wsi nieznanych ogółowi melodyi ludowych, aby je uznać za swoje lub imitować je? Jeśli jednak rozchodzi się o głębokość, szlachetność, plastyczność i tematyczną treściwość inwencyi, to wszystko znajdziemy u Karłowicza. Wreszcie wypada mi zwrócić uwagę na to, że »Powracające fale«, to nie illustracya np. przypływu lub odpływu morza. To odradzające się w twórcy wspomnienia młodych lat, mające go wyrwać ze zwątpienia i walczące z niem. Już zdają się mieć przewagę, gdy los rozstrzyga na korzyść smutku, opanowującego duszę artysty, który jednak w »Trzech odwiecznych pieśniach« wznosi się ponad to, aby w refleksyi i kontemplacyi znaleźć swą indywidualność, siebie samego. Wykonanie »Powracających fal« wymaga orkiestry wirtuozowskiej, t. j. takiej, którąby była złożona z artystów, nie rzemieślników muzycznych, i którąby trudności partytury umiała pokryć a nie wysuwać je na plan pierwszy.

Adolf Chybiński.

Z nowych wydawnictw.

Literatura naukowa nasza nie posiada do tego czasu dzieła, któreby napisane oryginalnie po polsku, przedstawiało w obszerniejszym wykładzie cały dziejowy rozwój myśli filozoficznej europejskiej od jej początków w Grecyi, aż do czasów obecnych. Wyszło wprawdzie w ostatnich latach trzydziestu, parę tłumaczeń podręczników przeważnie niemieckich, nie mogą one jednak wystarczyć dla naszych potrzeb. Żaden z tych tłumaczonych podręczników nie obejmuje naprawdę całości dziejów filozofii europejskiej. Pisane przeważnie ze stanowiska dla nas obcego, nie odpowiadają one wymaganiom dzisiejszej metody,

czasów najnowszych, albo wcale nie uwzględniają, albo też uwzględniają w bardzo ciasnym tylko zakresie. Co zaś dla nas jest najważniejsze, nie wciągają w tok przedstawienia dziejów myśli polskiej.

Wyszedł w 1894 r. nakładem księgarni Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie pierwszy tom: »Dziejów filozofii w zarysie« profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego d-ra Maurycego Straszewskiego, obejmujący wstęp do dziejów filozofii i dzieje filozofii na Wschodzie. Od czasu jednak wyjścia tego tomu minęło już lat blizko trzynaście, a księgarnia nakładowa nie przystąpiła do wydania dalszych dwóch tomów. Inny nakładca do tego czasu również się nie znalazł.

Tymczasem brak takiego dzieła daje się z roku na rok coraz dotkliwiej uczuwać. Zarówno młodzież uniwersytecka, jak nauczyciele różnych szkół średnich i wyższych, jak wreszcie szerokie zastępy naszej intelligencyi interesują się w coraz wyższym stopniu zagadnieniami filozoficznemi, nie mają po prostu skąd zaczerpnąć znajomości rozwoju myśli europejskiej, a nieraz nie wiedzą w jaki sposób i z czego zaznajamiać się z obecnym stanem zagadnień tak z blizka obchodzących każdy umysł poważniejszy.

Profesor Straszewski mając dwa dalsze tomy swoich dziejów filozofii prawie gotowe, wykładał ich treść parokrotnie w ciągu ostatnich lat dziesięciu, czynił to zaś w taki sposób, iż wykładając w dwóch po sobie następujących kursach tego samego roku szkolnego po pięć godzin tygodniowo, obejmował całość od VII-go wieku przed Chr., aż do chwili obecnej.

Młodzież Uniwersytetu Jagiellońskiego dowiedziała się, że kurs taki już się więcej nie powtórzy, prelegent bowiem ma zamiar w najbliższych latach ustąpić z zajmowanej przez siebie katedry. Wobec tego zrodziło się w gronie młodzieży Uniwersytetu Jagiellońskiego, grupującej się około Stowarzyszenia naukowego pod firmą: »Koło filozoficzne Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego«, pragnienie, aby wykłady te utrwalić w postaci dzieła, tak bardzo w czasach dzisiejszych nam potrzebnego.

Utworzył się więc Komitet wydawniczy młodzieży, który po zapewnieniu sobie odpowiedniego funduszu, postanowił już z początkiem roku szkolnego 1907/8 przystąpić do wydawania »Dziejów filozofii europejskiej« prof. Straszewskiego, a to nakładem Koła filozoficznego Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Druk dzieła będzie postępował w miarę posuwających się naprzód wykładów, tak, że druk tomu pierwszego ukończy się razem z rokiem szkolnym 1907/8, a więc w lipcu

1908, poczem zaraz w jesieni 1908 rozpocznie się druk tomu drugiego, całość zaś w dwóch tomach obejmująca mniej więcej 90 arkuszy druku, znajdzie się na półkach księgarskich w jesieni roku 1909.

Z tych dwóch tomów tom pierwszy obejmie na arkuszach około 40 według podziału prof. Straszewskiego, pierwsze trzy epoki dziejów filozofii europejskiej, a mianowicie: 1) filozofię grecką; 2) czasy cesarstwa rzymskiego i wędrówek ludów, aż do początków IX-go wieku po Chr. i 3) wieki średnie, aż do upadku scholastyki.

Tom drugi obejmie na arkuszach około 50, dalszę dwie epoki t. j. 4) dzieje filozofii nowożytnej od czasów Odrodzenia, aż do Kanta i rewolucyi francuskiej; 5) od Kanta i rewolucyi, aż do chwili obecnej.

Całość dzieła natchnioną będzie tym samym duchem, co i wykłady prof. Straszewskiego. Do pewnego stopnia nowem będzie w niem przedstawienie rozwoju myśli filozoficznej na szerokiem tle kultury, tudzież w ścisłym związku z rozwojem nauk, a szczególnie nauk przyrodniczych, całkiem zaś nowem będzie uwzględnienie twórczości filozoficznej wszystkich narodów europejskich i Ameryki, aż do czasów najnowszych i wciągnięcie w ogólny tok dziejów dorobku myśli polskiej wraz z odpowiedniem uwydatnieniem jej powszechno-dziejowego znaczenia[1].

---

[1] Co do warunków księgarskich, przytaczamy z odezwy Komitetu następujący ustęp:

Cena pierwszego tomu »Dziejów filozofii europejskiej« wyniesie w handlu księgarskim od jesieni roku 1908, 11 (jedenaście) koron, albo 5·50 (pięć i pół) rubla; drugiego zaś tomu od jesieni 1909, 14 (czternaście) koron albo rubli 7 (siedem), oba tomy razem po wyjściu będą kosztowały koron 25, albo rubli 12·50.

Pragnąc jednak nabycie dzieła tak pożytecznego umożliwić najszerszym kołom, postanowił Komitet wydawniczy przyjmować już teraz zamówienia, zarówno na każdy tom z osobna, jak i na całe dzieło, a to po cenie znacznie niższej od późniejszej ceny księgarskiej. I tak:

Tom pierwszy zamówiony wprost u komitetu wydawniczego, ale tylko najpóźniej do końca roku 1907 będzie kosztował 7 koron (3 rub. 50 kop.).

Tom drugi zamówiony najpóźniej do końca roku 1908 będzie kosztował 10 koron (5 rubli) razem więc oba tomy koron 17, czyli o 8 koron mniej od późniejszej ceny księgarskiej.

Po takich samych cenach zniżonych będą mogli zamawiać i nabywać dzieło prof. Straszewskiego także prenumeratorowie Przeglądu filozoficznego w Warszawie.

Zapraszamy więc już teraz wszystkich pragnących zakupić dzieło prof. Straszewskiego po cenie zniżonej, aby je zamawiali możliwie najwcześniej u Komitetu wydawniczego (Kraków ul. św. Anny 12, Biuro koła filozoficznego U. U. J.), albo w redakcyi Przeglądu filozoficznego w Warszawie.

Najważniejsze czasopisma niemieckie zajmowały się już nową niemiecką encyklopedyą Herdera opartą na katolickim światopoglądzie, a wszystkie poważne głosy wyrażają się o niej li tylko pochlebnie. Herdera leksykon jest dziełem na wskroś nowoczesnem. Zachowując średnicę pomiędzy wielkiemi encyklopedyami 17—20 tomowemi, a mniejszemi 2—3 tomowemi, nie chce niczego opuścić, co tamte podają, byle to były przedmioty na wzmiankę zasługujące. Lecz w rozmiarach ośmiu tomów jest to bez uszczerbku dla wszechstronności tylko możebne przy największej ścisłości wyrażenia, co tak redakcyę jak i współpracowników nie mało kosztuje trudu. Opracowanie całego dzieła oparto na planie w najdrobniejszych szczegółach starannie naprzód ułożonym. Przy jednostajnie pewnym i konsekwentnym podziale materyału ma każdy wyraz należyte mu objaśnienie. Przytem jest w ciasne rozmiary ujęta treść często bogatsza niż gdzieindziej w rozwlekłych rozprawach. Z podziwienia godną dokładnością i znajomością rzeczy opracowane są we wszystkich dziedzinach najnowsze zapatrywania, najważniejsze typowe poglądy.

Jak niezmiernie trudnem zadaniem jest w dziele dla szerokich warstw przeznaczonem przedstawić dla ogółu zrozumiale głębokie zagadnienia i kwestye nauk spekulatywnych — teologii i filozofii — łatwo osądzić mogą znawcy tych przedmiotów. Co z tych przedmiotów w niniejszem dziele zawarte, dostatecznie już świadczy o jego użyteczności. To samo można powiedzieć o artykułach z historyi powszechnej i literatury jako też sztuk pięknych. Synchroniczne traktaty z dziejów kościelnych i literatury wszechświatowej są tak wyborne, iż się podobnych w równej zupełności i równie praktycznym układzie może nigdzie nie znajdzie. Niemniej uznania należy się krytycznym artykułom biograficznym z najróżniejszych dziedzin.

I na polu tak ważnych obecnie kwestyi z ekonomii społecznej, nauki prawa i państwowości jest Herdera leksykon zaufania godnym przewodnikiem, oraz wyczerpującym podręcznikiem polityki socyalnej.

W najobszerniejszej mierze uwzględnione są postępy w technice i naukach przyrodniczych, aż do najnowszych czasów. Artykuły geograficzne uzupełniają rozprawy o rozwoju dziejowym, o stosunkach politycznych, gospodarczych i religijnych, o sztuce, języku i literaturze, przez co otrzymujemy pouczający obraz odnośnych krajów i ludów.

Co się tyczy rycin i dodatków, śmiało twierdzić można, że wybór artykułów w ten sposób odznaczonych odpowiada zupełnie potrzebom nowoczesnego czytelnika. Wydane dotąd sześć tomów zawierają razem nie mniej niż 2500 obrazów w tekście z najróżniejszych dziedzin wiedzy. Pomiędzy dodatkami zasługują na szczególną uwagę tak zwane dodatki tekstu (Textbeilagen) dla większej przejrzystości wyróżnione z bieżącego tekstu, które w ścisłej formie podają niezmierną obfitość materyału. Mapy geograficzne, pomiędzy niemi plany większych miast, jako też takie, które dają pogląd na rozwój historyczny, stosunki kościelne, gęstość zaludnienia, klimat, rasy, nawet statystykę kryminalną, zastępują zupełnie atlas. Odwrotne strony map zapełnione są tablicami statystycznemi. Właściwe tablice, wykonane często w kolorowym druku, są celowi odpowiadające i dogodnie umieszczone. Przedewszystkiem uwzględnione tu są w najszerszych rozmiarach technika i nauki przyrodnicze. Sztuki piękne i przemysł artystyczny mają pokaźną liczbę tablic, które w starannie dobranych obrazach uwydatniają działalność artysty, jakieś mistrzowskie dzieło sztuki, charakter pewnego rodzaju stylu, kierunek lub epokę sztuki, działalność całego narodu na polu sztuki i t. p. I w tym względzie znakomicie wykonany druk trzykolorowy najlepiej się nadaje, jak wszędzie, gdzie o kolory chodzi, np. w tablicach obejmujących bandery, heraldykę, korony, ubiory liturgiczne i inne [1].

[1] Całe dzieło w oprawie kosztuje 100 marek. Adres: Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau.

Druk ukończono [illegible]nia 1907 r.

DWA OSTATNIE WYPADKI W POLSCE.

I.

Zaszły w Polsce w dniach ostatnich dwa wypadki, jeden od drugiego odmienny zakresem i znaczeniem. Nie łączy ich nic innego, jak tylko wspólność czasu, w którym spełniły się. Doszukiwać się między nimi wspólności idei byłoby sztucznością.

Ale łączą się one w uczuciu narodu. Jeden i drugi wywołał bolesne echo w Polsce całej: śmierć narodowego poety i nowy pruski zamach na polskość. W tem uczuciu narodowem łączą się te dwa wypadki, jako dwie trumny: obok trumny ze szczątkami człowieka staje trumna, którą wróg przygotował na nasz byt narodowy.

Bynajmniej nie myślimy tego porównania przeciągać. Jeżeli jednak trumna poety mówi o twórczości, której szczególnem znamieniem jest niezniszczalność duchowej siły narodowej, a więc ostatnie słowo odpowiedzi na zamach pruski, wolno pofolgować uczuciu i dwu tym wypadkom, przynajmniej o ile pod tym społecznym względem się łączą, pod jednym nagłówkiem poświęcić chwil kilka.

Czy na nowy ten zamach pruskiego rządu pozostaje jeszcze inna odpowiedź, jak powyżej wskazana? Nie wiemy. Już od lat dziesiątek posłowie nasi w Berlinie przytaczali w obronie narodu wszystko, co przytoczyć się dało, wskazywali na obietnice królów pruskich i poręczone nam prawa, apelowali do konstytucyjnego równouprawnienia, do najprostszych wskazań cywilizacyi i do

głosu ludzkości, wzywali na pomoc poczucie prawa przyrodzonego i kodeks sprawiedliwości — wszystko daremno. Na podstawie dzisiejszej rzeczywistości dziejowej nie było im trudno udowodnić, że rzucone przez rząd hasło »niebezpieczeństwa polskiego« jest w obecnych warunkach fikcyą, że nikt dziś bardziej, niż polskie społeczeństwo, nie pragnie pokojowego rozwoju.

Na to wszystko rząd pruski odpowiadał tylko coraz to nowem gwałceniem praw, już nie obywatelom państwa, ale ludziom należnych. Któż zliczy ten szereg niesprawiedliwości, począwszy od założenia i gospodarki komisyi kolonizacyjnej, aż do nieludzkich dręczeń w sądach, w szkole, w administracyi, których dwa typowe z ostatnich lat objawy, Września i wóz Drzymały, poszły w świat i poruszyły opinię całej kuli ziemskiej.

I niema końca bezprawiu. Oto nowe dwa projekty ustaw, z których jeden zamierza udaremnić Polakom możność porozumienia się na zgromadzeniach w ojczystym języku, a drugi chce dać państwu władzę wywłaszczenia polskiego właściciela z posiadanej ziemi. Dzieło, którego nie mógł dokonać pieniądz, ma uwieńczyć bagnet.

Sąd o tym nowym zamachu wydała już opinia całego świata. Nazwano zamach barbarzyństwem i zdziczeniem.

Ale z opinią taką dzisiejsze Prusy już się nie liczą, prawdopodobnie też nie będą się liczyły z kłopotliwem położeniem swego sojusznika, Austryi. Wszystkie dane zdają się wskazywać, że projekty staną się ustawą; owszem rząd pruski daje do zrozumienia, że w zanadrzu ma już dalsze plany. Wobec tych dalszych planów, los taki czy inny przedłożeń obecnych nie jest dla naszej sprawy decydującym — decydującem jest to, że nie zanosi się wcale na zmianę kursu antypolskiego.

Jest w tem wszystkiem zapiekła zaciekłość ograniczonych ludzi, i to zaciekłość, która przesłania już wzrok bielmem zaślepienia. Bo czyż nie jest zaślepieniem to coraz ryzykowniejsze pogrążanie się w przepaść bezprawia. Gdy lat temu kilka dziesiątek zaczynał się okres antypolskiej walki, Windhorst przemawiający w parlamencie w obronie Polaków, rzucił na końcu mowy, jako najsilniejszy atut przeciw rządowemu wnioskowi,

przepowiednię, że na tej drodze zajdzie rząd wreszcie do ustawy wywłaszczającej. I czuł w ówczesnem otoczeniu tyle jeszcze moralnego zdrowia, że mógł dodać, iż wobec tak potwornej konsekwencyi zadrżeć musi w najgłębszej swojej istności natura ludzka. Dzisiejsze stronnictwa rządowe Prus już tego drżenia moralnego nie odczuwają; jedni tylko konserwatyści żywią obawę, aby ustawa nie obróciła się przeciw nim w przyszłości.

I obawy takie nie są płonne; zbrodnia mści się na tym, który ją popełnia. W innem państwie, jak w Anglii, cofnięcie się w połowie drogi jest możliwe — ale w Niemczech, w kraju fanatycznych teoretyków, gdzie teorya o wszechwładzy państwa doszła w filozoficznych systemach do pełnego swego wyrazu, takie samobójcze zwrócenie miecza przeciw swoim w tej czy w innej formie, wydaje się nieuniknionem. Zbyteczną rzeczą byłoby bawić się w przepowiednie, na jakiej drodze stać się to może, pouczającem jest jednak, gdy się wskaże, że jedna z takich możliwych dróg już się zaczęła znaczyć. Wiadomo, że Bismarck po ukończeniu walk na zewnątrz, wypowiedział wojnę wewnętrzną trzem odłamom obywateli: Polakom, katolikom i socyalistom, Z ustąpieniem Bismarcka przyszła era pokojowa; kulturkampf, przez Bismarcka już zawieszony, ustąpił do tyla, że katolickie centrum było przez dłuższy czas stronnictwem rządowem; prawa wyjątkowe przeciw socyalistom ustały; zdawało się nawet, że dla Polaków zaczyna świtać jaśniejsza doba. Ten ostatni pokój został wkrótce zerwany. Ale już i katolikom i socyalistom rzucił rząd w zeszłym roku wezwanie do walki. Było to na razie tylko hasło wyborcze — mnożą się jednak oznaki, że, o ile o katolików chodzi, rząd waha się, czy nie pójść za przykładem ościennej Francyi. Są więc już w pogotowiu nowi heloci. Zresztą, choćby ich na razie nie było, państwo w kierunku bezprawia rozpędzone, stworzyć ich sobie musi. Nacisk z góry wywołuje zawsze reakcyę z dołu. Bezwzględny absolutyzm rzuca zawsze w społeczeństwo ferment, stwarza armię niezadowolonych i wpycha tysiące w objęcia stronnictw przewrotowych. A dużo gorszem jest to, że w społeczeństwie takiem zaczyna zanikać szybko poczucie najistotniejszych zasad moralnych. Moralność jest ogromnie delikatnem jestestwem;

podcięta w tak zasadniczym postulacie prawa przyrodzonego, jak prawo własności, osłabioną jest zarazem w całym szeregu pokrewnych zasad, wykolejona w jednym momencie wywołuje ostre zaburzenia w dziesięciu innych. *Iustitia est regnorum fundamentum,* więc rozsypują się tu fundamenty państwa.

Przed kilku laty podobne wywody wydawały się wielu ideologią. Dość długo w sferze stosunków państwowych panoszyła się bezkarnie samowola, depcąca wskazania moralne, ażeby nie mogła przyćmić się w umysłach idea dziejowej Nemezis. Ale dziś po świeżej katastrofie Rosyi, katastrofie przedłużającej się w daleką przyszłość przez chroniczną anarchię, dziś ten sceptycyzm niema podstawy. Tem bardziej zaś byłby bezpodstawnym w naszym wypadku, że już ta Nemezis zaczęła zwracać się ku Niemcom, przez całkowitą ich izolacyę w polityce zewnętrznej. Ta izolacya ma o wiele głębsze źródło aniżeli to zdaje się tym publicystom, którzy upatrują w niej chwilowy manewr Anglii w obronie swego handlu i w obronie marokańskich interesów Francyi. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, ażeby dojrzeć w tej izolacyi głębszy przejaw. Jest to pierwsze stadyum pomsty dziejowej. Każda zwyrodniała namiętność niesie swoją zagładę w tem, że rośnie. Zachłanna zaborczość Prus, zainicyowana przez Fryderyka Wielkiego, kontynuowana przez Bismarcka, spotęgowała się dziś do tego stopnia, że niebezpieczeństwo jej zaczyna rozumieć cały świat. Zagrożony jest byt Austryi i Holandyi, zagrożone są interesy Anglii i Francyi, nawet na pewne skrawki Rosyi, jak na gubernie po Wisłę, ostrzy się apetyt Prus. To plany dzisiejsze a jakie będą jutro? Niema bowiem mowy, ażeby państwo, które czuje w sobie taką ekspansywną potęgę, i w którem wyrobiła się taka skłonność zaborcza, mogło z tej drogi zejść. W miarę zaś postępów po tej pochyłej drodze, róść musi odpowiednio odporność Europy i przyjść musi dzień ostatecznej rozprawy. Dzień ten dla naszej sprawy nie może być bez znaczenia. Pesymistom naszym, łamiącym już dziś ręce, możemy ich przysłowię: »Nim słońce zejdzie« równem prawem zastosować do słońca pruskiego nad dzielnicą polską. Chwila jest zbyt ciężka, by można ręce zakładać, tem bardziej jednak nie można ich łamać. W obecnym stanie uspo-

sobień sprawa polska łączy się ze sprawą całego świata i już dziś każde echo prześladowań poznańskich wyzyskiwane jest jako hasło agitacyi antyniemieckiej w świecie.

To zewnątrz. Wnętrze państwa już toczy od dawna robak, najpotężniejsza w świecie — mimo ostatniej klęski wyborczej — partya socyalistyczna. Dodajmy, że jeżeli rozwój dążności i kierunków antyspołecznych przybrał dziś w całym świecie przyspieszone tempo, to o wiele szybszym będzie w tak podatnych warunkach, jakie od szeregu lat stwarza rząd pruski.

Pełniej jeszcze to zaślepienie występuje na jaw, jeżeli zważy się bezcelowość podobnej polityki. Historya aż nadto pouczające składa tu dowody. W erze chrześcijańskiej, jeżeli udawała się częściowo asymilacya, to tylko na drodze pokojowej; całkowita asymilacya miała tylko miejsce u plemion, nierozwiniętych jeszcze w kulturalne społeczeństwo. Nie było jednak ani jednego wypadku, aby kulturalny naród chrześcijański dał się gwałtem wynarodowić. Najwymyślniejsze prześladowania, i to nieraz kilkuwiekowe, zadawały ciężkie rany gnębionemu społeczeństwu, w rezultacie ostatecznym jednak potęgowały tylko siłę odporną. Wymownym jest tu przykład Irlandyi, gnębionej kilka wieków przez Anglię. Z całą energią, z niezmożoną konsekwencyą, wprawiła Anglia w ruch cały aparat środków prześladowczych. Był i ucisk religijny i językowy, były kontrybucye pieniężne, zamykanie szkół, były i ekonomiczne prawa wyjątkowe. A wynik? Irlandya nie przestała być narodem odrębnym a stała się narodem Anglii wrogim. Co do szczegółowych następstw, wolimy przytoczyć cudze słowa: »Udało się Anglii język irlandzki wyrugować, ale mówiące po angielsku usta niemniej złorzeczą Anglii; i dziś powstają znowu uczelnie, pisma i koła literackie wznawiające stary język Erynu: żywa narodowość wskrzesza swój zamarły już język. Udało się kraj zubożyć, większą własność ziemską przeprowadzić w ręce angielskie, ale stworzono straszny pauperyzm i kwestyę agrarną, z której dziś Anglia radaby miliardami się wykupić. Udało się wyprzeć z ojczyzny całe tłumy synów Irlandyi; ale ta emigracya uniosła za morza niezatartą pamięć doznanych krzywd i solidarność z ojczyzną. Emigracya ta stała się potęgą groźną dla Anglii: dziś składa

pieniądze na agitacyę w Irlandyi, jutro zaś może uchwycić ster rządu w Ameryce. Prześladowaniem religijnem nie udało się wprowadzić anglikanizmu, ale udało się aż nadto zwichnąć katolickie uczucia i sumienia, zaszczepić w nich śmiertelną nienawiść, zdemoralizować ludność, otworzyć wrota wszystkim występkom, i to w tym kraju, który był wyspą świętych. Kiedy przerażeni Anglicy zarzucali stronnictwu narodowemu w Irlandyi, parnelistom, że budząc ideę narodową, wywołali zbrodnicze zamachy fenianów, odparli ci słusznie, że idei narodowej nie potrzebowali budzić, gdyż ona w Irlandyi nigdy nie zamarła, że zaś z niej wyrodził się taki potwór, to temu winni ci, co ją uciskali i uciskiem wywołali nienawiść, graniczącą z szałem, i demoralizacyę dochodzącą do nieodróżniania zbrodni od poświęcenia«.

Oto nauka historyi. Pouczona nią Anglia cofnęła się już dawno ze zbrodniczej drogi i usiłuje błąd naprawić, przyczem niejedno jeszcze następstwo będzie musiała ciężką ofiarą okupić. Gnębiona zaś narodowość wyszła zwycięzko i z dniem każdym coraz bardziej w swoje prawa wraca.

O ileż zaś w lepszem położeniu od Irlandyi jest narodowość polska, gdzie jednej gnębionej dzielnicy mogą przyjść z pomocą Polacy dwu innych państw, i to z pomocą, w razie szczęśliwych konjunktur politycznych, bardzo skuteczną. Na tę pomoc z zewnątrz zżymały się już Prusy nieraz — ale bez racyi — bo jest ona mimowolnym odruchem uprawnionego instynktu samozachowawczego i jest nawet obowiązkiem sumienia.

Jeżeli jakiego następstwa zbrodniczej polityki Prus obawialibyśmy się, to tylko popchnięcia spokojnej, zbożnej ludności polskiej na drogę szału i demoralizacyi, pod władzę socyalizmu i anarchii. Rany zadane mogą być ciężkie, ale rany śmiertelnej, zniknięcia polskości w zaborze pruskim, nie obawiamy się. Choćby tylko chłop polski został i to chłop zgermanizowany, już tosamo, jak dowodzi górny Ślązk, byłoby wystarczającym zadatkiem przyszłego odrodzenia narodowego.

Swiętość przyrodzonego prawa, szlachetność natury ludzkiej, godność narodowego ducha, są to czynniki, które pozostawione same sobie, nie unicestwiają rozpędu brutalnej siły, tak, jak

morskiej burzy nie unicestwia sterczącą z morza skała. Koniec jednak zawsze jest taki, że znużone fale wracają w swoje łożysko a niezmożona skała wieści zwycięztwo. Na tem polega zwycięzka nieśmiertelność chrystyanizmu i wszystkiego, co znaczy się stygmatem bożego pochodzenia.

II.

Jaką zaś otuchą w ciężkiej obecnej chwili, napełnić musi ten widok niezmożonej siły, niezniszczalnej potęgi narodowego ducha, jaki przedstawia obecnie społeczeństwo polskie. Faktem jest, stwierdzonym przez wrogą nam nawet opinię niemiecką, że postępy germanizacyi, stosunkowo do wkładów, są wcale nieproporcyonalne, że znacznem natomiast jest ożywienie kwestyi polskiej w opinii całego świata, znaczniejszem jeszcze ożywienie poczucia narodowego w społeczności polskiej, a wprost już imponującem jest wzmożenie się siły duchowej i ekonomicznej w gnębionej dzielnicy. Sam wrogi rząd przed tą siłą musiał publicznie uchylić czoło.

Ta siła narodowa szczególniej imponująco przedstawia się, przynajmniej w pewnych kierunkach, w dzielnicy zaboru pruskiego. Niemniej jednak stwierdzić ją dziś trzeba, zwłaszcza pod innymi względami, i w dwu innych dzielnicach. Niektórzy nawet nazywają obecną chwilę polskim renesansem. Istotnie — kiedy porówna się szereg ostatnich lat z szeregiem lat poprzednich, kiedy po poprzednich latach przygnębiającej ciszy wsłucha się w ten rozgłośny gwar, obejmie się okiem ten niezwykły ruch, jaki dziś na każdem prawie polu zapanował, na polu nauki, sztuki, oświaty ludowej, polityki i wogóle narodowej pracy, kiedy widzi się, jak wzmaga się zmysł assocyacyjny, jak wzmagają się wysiłki na polu społecznem, ekonomicznem — a więc na tym terenie, do którego natura polska zdawała się być tak niedostosowaną — a to wszystko z jakiemś dziwnem natężeniem sił i z wielką otuchą w przyszłość — to nic łatwiejszego, jak żeby ta idea polskiego renesansu powstała w umyśle. Nie chcemy temsamem idealizować wszystkiego, ani przeoczać rozbujania licznych ujemnych stron,

które jak cień za światłem idą zawsze za rozwojem życia, i o tyle są również dowodem tego rozwoju.

Ażeby ocenić należycie znaczenie takiego momentu rozwojowego, wspomnijmy choćby tylko na tę beznadziejność położenia politycznego, jaka była przed nim i jaka trwa nadal. Jest w tym renesansie narodowym pewna wyższość nad wszystkie otaczające warunki, nad taką potęgę, jaką przedstawiają wrogie nam mocarstwa, zakute od stóp do głowy w żelazo, jest nawet wyższość nad możliwość dojścia do odbudowania ojczyzny. Jest to siła, niezależna od agitacyi i porywających haseł, wyższa nad rozpacze i nadzieje, siła, która jest, bo być musi. I w tem tkwi jej niezniszczalność.

Raz słabsza, drugi raz tęższa, czasem przyćmiona całkowicie, wraca ta siła na widownię zawsze. Wspomnijmy tylko na ten stan umysłów w Polsce, jaki przed obecną dobą rozwojową panował. Był to na ogół dalszy ciąg tego przygnębienia, jakie owładnęło krajem całym po ostatnim nieudanym wysiłku orężnym. Rzeczywistość ówczesna była tak straszna, otworzyła się taka przepaść między ideałem narodu, a tą rzeczywistością, że długi czas brak było siły duchowej na celowe zdanie sobie sprawy z położenia. Zwolna zaczynały dzielniejsze jednostki obmyślać program pracy codziennej, dostosowany do realnych warunków, życie samo pchało do uprawiania ugoru na wielorakim zagonie. Ale było nad tym ugorem smutno, szaro, przyćmiła się gwiazda narodowego ducha. Poezya ówczesna to wierne zwierciadło chwili, straciła wszelkie pokrewieństwo z narodową poezyą wielkiej epoki. Była w niej wytworna cyzelatura słowa, niepowszednia refleksya filozoficzna lub urocze odczuwanie przyrody, ale lot wielki nad całym narodem minął, jak się zdawało, bezpowrotnie. Potem było jeszcze gorzej. Potem, pominąwszy liczne wyjątki, jęła się ta poezya zamieniać w przybytek egoizmu, zwątpień, niewiary, najbardziej nawet poziome instynkty znalazły w niej swój wyraz. Odczuwana powszechnie potrzeba jej odnowienia, nowego jej kierunku, przyniosła jeszcze gorszą zmianę. Ogłoszono histerye »nagiej duszy« za przewodnie hasło.

I oto, w takiej chwili, najniespodzianiej zjawia się wielki

lot narodowego natchnienia, świeży powiew rodzimego szczytu, który rozwiewa wyziewy i stwarza nową, czerstwą, atmosferę.

To twórczość Wyspiańskiego.

Kiedy w niniejszym społecznym wywodzie, jako jeden z przykładów odrodzenia narodowego i niezniszczalności narodowej siły, wybijamy twórczość poetycką, to czynimy to głównie dla zbiegu dwu ostatnich wypadków w Polsce, ale zarazem i nie bez głębszej racyi. Poezya, najpierw, najwyraźniej odbija w sobie ducha narodu i tem samem siłę tego ducha wskazuje. Przedewszystkiem jednak mamy tu na oku społeczno-narodowe znaczenie poezyi, które w każdem społeczeństwie jest doniosłe, a jest niem szczególniej u nas. W okresie wielkiej romantycznej twórczości poezya była wszechwładną panią narodu, strofy swoje narzucała nawet politykom jako kanony racyi stanu. Niezaprzeczenie, jest w tem poddawaniu się społeczeństwa pod rządy poezyi wiele okazyi do złudzeń, jest i spora doza sentymentalności i niezdrowej estetomanii — nie godzi się jednak zapominać, że w społeczeństwie, pozbawionem państwowej siły, wystawionem na łup brutalnej przemocy innych państw, mają szczególniejszą misyę do spełnienia ideowe czynniki, a w ich rzędzie i poezya. Czyż nie jest to szczególniejszym przywilejem poezyi, że ma ona moc orzeźwić narodowe poczucie z omdlenia, napełnić otuchą i zagrzać do czynu.

W szczególniejszy sposób, z tem znaczeniem poezyi pokrywa się istotne znaczenie twórczości Wyspiańskiego. Potężnym rzutem gorącego natchnienia odsłoniła ta twórczość na nowo olbrzymi widnokrąg ojczyzny, i to zarówno dla dzisiejszej poetyckiej szkoły, jak i dla duszy społeczeństwa.

Świeżem jest w pamięci to ogromne wrażenie, jakie wywołał poemat o złotym rogu. Zapomniana, nieprzeczuwana już nawet, pieśń narodowa odezwała się nagle dźwiękiem donośnym, głębokim, tak dojmującym, że drzemiący w najtajniejszej, u wielu do mogiły już podobnej, skrytce duch narodowy podniósł się z cmentarnej ciszy i zstąpił na widownię życia. Była ta pieśń bolesna, nabrzmiała i obolała smutkiem dni dzisiejszych, był to gniew i sarkazm na przemożny wpływ chochoła, który gnuśnem powrósłem skrępował narodowego ducha i coraz mroczniejszą obez-

władniał go niemocą — ale była to zarazem i pieśń wyzwolenia, grzmiąca pobudka złotego rogu, na której głos spotężniał się duch i rosła jasna miłość ojczyzny. Któż zapomni o tej scenie »Wesela«, w której najtajniejsze marzenie zaczyna przyoblekać się w postać rzeczywistą, w jasnowidzenie przyszłości, jasnowidzenie przelśnione blaskiem tego umiłowania, które przez zamęt czy zamilknięcie wszystkich drgnięć duszy przedostaje się tylko w urwanych dźwiękach na usta.

Ta miłość, wyrażona tak typowym zwrotem poety: »Polska to wielka rzecz«, przejawia się w licznym szeregu utworów, w najróżniejszych tonach i przemianach uczuć i myśli. Możnaby prawie powiedzieć, że cała olbrzymia skala tonów naszej wielkiej poezyi powtórzyła się, z odpowiednią zmianą do dnia dzisiejszego, w tej jednej twórczości. Jest w niej i entuzyazm i tęsknota, szarpiąca trzewia boleść i ufność w Opatrzność, są i fałszywe zgrzyty, jest i rozpęd ku historyozoficznym syntezom, równie mglistym i utopijnym, jak niejedne w romantycznej poezyi. Jest w niej miłość Polski dzisiejszej i obowiązków względem niej, ale jest także, wbrew hasła »Wyzwolenia«, i miłość Polski przeszłej, przejawiająca się tak dobitnie w szeregu utworów malarskich i poetyckich, z tą przeszłością związanych.

Z tych cegiełek i z innych licznych rodzimych pierwiastków powstaje niezwykły przybytek narodowej twórczości, narodowej w najwłaściwszem tego słowa znaczeniu. Weźmy jakiekolwiek określenie poezyi narodowej, weźmy, naprzykład, to określenie, jakie dał Ujejski:

Pieśń polska, niepodległa, ta co jeno wierzy
W Boga, w ducha narodu i w jego rycerzy.

Wiara w ducha narodu i w czynną miłość jego synów, zapełnia wszystkie kartki poety, ze sprawą Polski związane, nawet te, które brzmią krwawym wyrzutem. Jest to ta sama wiara w niezniszczalność narodowej siły, która, pół wieku temu, ożywiała naszych wielkich poetów. Pół wieku ciężkich przejść, czarnej nocy bez jednego promienia ludzkiej nadziei, na tej, odbijającej się w poezyi, wierze społeczeństwa nie zostawiło najmniejszej skazy.

A wiara w Boga?

Czyż nie przedstawia jej Archanioł Wernyhory, lub Matka Boża pisząca skrypt na wawelskim tronie. Któż inny zsyła złoty róg przez Wernyhorę, jak nie »Jasny Bóg«. Podobnych przykładów żywej religijnej wiary możnaby przytoczyć szereg cały. I znowu jest to ta sama wiara, która ożywiała naszych wielkich twórców, i która była i jest główną dźwignią moralnej siły narodu. I nie jest to wiara religijna mglista, dająca podstawić się pod każdą religię — jest to wiara religii katolickiej. Typowem jej znamieniem jest właśnie ta cześć, jaką poeta żywi ku Najświętszej Pannie. Ta cześć niejednokrotnie znaczy się w jego utworach a najdoskonalszym jej wyrazem jest modlitwa wież maryackich. Scenę tę, w chaosie innych scen »Akropolisu» zarzuconą, przez krytykę i przez społeczeństwo dotychczas nie zauważoną, warto wydobyć na światło dzienne:

Od wieży wyższej maryjackiej:

CHÓR

Przejasną świecisz gloryją,
promienna gwiazdolica,
w łunach twoja wieżyca.

Od wieży niższej maryjackiej; dzwon:

Maryjo!

Od wieży wyższej maryjackiej:

CHÓR

Gwiazdy Cię wieńcem kryją;
stajesz promienna w świetle
na gwiazd iskrzącej mietle.

Od wieży niższej maryjackiej; dzwon:

Maryjo!

Od wieży wyższej maryjackiej:

CHÓR

Tęcze Ciebie owiją
zanim zapłoną jutrznie.
Ty weźmiesz w piersi włócznie.

Od wieży niższej maryjackiej; dzwon:

Maryjo!

Od wieży wyższej maryjackiej:

CHÓR

Biała czysta lilijo,
o przenajświętsza Panno,
zaświeć gwiazdę poranną.

Od wieży niższej maryjackiej; dzwon:

Maryjo!

Z wieży wyższej maryjackiej, hejnał:

Hej aż po skłon
nad kwietną ruń, na pole
skrzydlaty leć sokole,
skrzydła zatocz w półkole,
nad śpiące bramy polatuj.

Pani z gwiazdą na czole,
w błękitów drogiem odzieniu,
na złocistym wieży pierścieniu,
na złocistej u wieży koronie
przystanęła gdzie grają.
Chorągwie na przestrzeni
iskrzą łuną promieni.
Pani tuli gołębie przy łonie;
Anioły ma w orszaku.
Hej polatuj, złocisty ptaku,
hej polatuj, za tobą śpiewają.
Hej ponad las,
na pole, błonie, na błoń,
na kwietną, kwiecistą darń
ptaku przemocny fruń
na strojną ruń
i wołaj zagrodnikowi
i wołaj zagrodnice
niech sierpy ostrzą na świt.

Pani cała w promieniach
nastąpiła na rogi-księżyce.

Zdaniem naszem, jest to najpiękniejszy pomnik Najświętszej Panny w literaturze polskiej.

Tą wiarę religijną poety przyćmiewały chwilami uprzedzenia i opinie dzisiejszego dnia. Próbowała to wyzyskać stronnicza agitacya. Sam jednak poeta, jak świadczą ostatnie jego utwory, nie mówimy już o dowodach z życia, okazał się i tu duchem wyższym i z tego kryzysu wyszedł zwycięzko.

Kiedy przedstawiamy siłę narodowego ducha, ze wszystkimi narodowymi czynnikami, jako istotę znaczenia poety chcemy przez to wskazać, że główna jego rola spoczywa w utworach, związanych ze sprawą narodową, że nadto tę rolę odgrywa natchnione, we wszystkich szczegółach rodzime uczucie. Nie chcemy jednak temsamem odmawiać znaczenia innym przymiotom, z twórczością tą złączonym. Wchodzi tu i potęga słowa, która, przy całej masie gruzu stylowego, tworzy strony pierwszej piękności — i olbrzymia inwencya, która stwarza nową technikę, nowe formy i nowe symbole, często zawiłe, nieraz jednak jasne, a zawsze niezwykłe — wchodzi także i ognisty temperament, który jak huragan, niesie chmurę kurzu przed sobą, ale zarazem i potężne tchnienia szczytów. Są to wszystko formalne strony twórczości, które, wskutek swego niezrównoważenia, zamknęły duszę tej twórczości w jakiś niewykończony, może raczej otłuczony, odłam wielkiego posągu, w jakiś tors belwederski.

Z latami znikną zapewne przesadne uprzedzenia i przesadne entuzyazmy, otaczające poetę za życia. Nie zniknie jednak nigdy jego istotne znaczenie, jako tego, który potężnem natchnieniem cuci i rzeźwi narodowego ducha i świadczy o jego niezmożonej sile. W noc dzisiejszej ciężkiej chwili i w dalsze długie narodowe noce będą jak pochodnia świeciły te jego słowa, które ku Polsce, przez usta symbolicznej postaci, kieruje:

Przejdziecie jeszcze niejedną nędzę,
i niejedną przebolicie próbę.

A jeżeli lichego serca ludzie
w was samych gotują wam zgubę, —
ja ich powołam — i jak plewy zmiotę!
I w ziarnach tu — na dnie — prz ıowam cnotę!
Za czas znów wrócę — i jeszcze ızy wiele
przyjdę — Wiosna, z gwiazdą na czele.
I żywot dam — tlejący w zgliszcz popiele.

Ks. J. Pawelski.

POCHÓD I COFANIE SIĘ SOCYALIZMU.

Socyalizm zawdzięcza swe zdobycze polityczne nader dogodnemu połączeniu utopijności teoretycznej z oportunizmem w praktyce. W teoryi żąda on reform tak daleko idących, tak radykalnej przemiany naszego ustroju, że śmiało może zwalczać wszystko, co istnieje i kreślić obrazy świetnej przyszłej szczęśliwości, gdy w miejsce naszej organizacyi wejdzie już socyalistyczna. Zupełnie zadowoleni należą do bardzo nielicznych wyjątków, każdy prawie odczuwa pewne braki, pragnąłby zmiany w tym czy owym kierunku; socyalizm może liczyć na wszystkich tych niezadowolonych, bo każdemu z nich może przyznać słuszność, każdemu przyobiecać upragnioną reformę.

Równocześnie w akcyi praktycznej okazał socyalizm istotnie nadzwyczajną zręczność. Po pierwszych nieudałych próbach rewolucyi orężnej, zwrócił się z całą siłą ku walce politycznej, opierając swą organizacyę na dwóch najsilniejszych podstawach wszelkiego ugrupowania politycznego, na ciągle podsycanym, aż do nienawiści doprowadzonym antagonizmie do innych stronnictw lub poglądów, jako też na nader ścisłej karności wewnętrznej.

Każdy pozytywny program polityczny łączy niewątpliwie pewną liczbę jednostek, lecz zarazem odtrąca znaczną ich ilość. Trudno, ażeby co do wszystkich żądań i postulatów, szczególniej gdy przy układaniu programu liczono się z możliwością jego przeprowadzenia, panowała powszechna zgoda; dla jednych będzie ich za mało, dla drugich za dużo; jednym nie podobają się

pewne punkty, inni znowu zwalczają ten program dlatego, że nie zamieszczono w nim tego, co oni uważają za wskazane lub konieczne. Wynikiem tej różnorodności zdań będzie, że liczne koła oświadczą się przeciw podobnej organizacyi. Każdy wprawdzie będzie ją zwalczał z innych powodów, wszyscy jednak połączą się we wspólny do niej antagonizm.

Wyobraźmy sobie jednak, że program polityczny ma charakter czysto negatywny, że zamiast mówić, co zamyślamy zbudować, ograniczamy się do zaznaczenia tego, co chcemy obalić. W tym wypadku łączy się od razu wszystkich, którzy choć w części są ze sobą zgodni, bo każdy uważa swoje przystąpienie do takiego stronnictwa za prowizoryczne. Przejdzie on do innego, skoro tylko jego własnym życzeniom stanie się zadość, a jego pragnieniem jest uchylenie tej lub owej instytucyi czy ustawy. Tymczasem, aż do chwili takiego częściowego zwycięstwa, idzie on razem z innymi, powiększa zastęp stronnictwa i wzmaga jego siły.

Socyalizm wybrał właśnie taką metodę. Nie można powiedzieć, ażeby było to zasługą jego kierowników politycznych, gdyż już w naukowej literaturze socyalistycznej występuje wyraźnie ta sama tendencya. Cały wpływ Marxa na szerokie sfery polega w gruncie rzeczy na tem, że jego doktryna jest czysto krytyczna. Z wielką siłą, nieraz z ogromną przesadą podnosi on niedomagania i niesprawiedliwości naszego porządku społecznego, a nie wdając się bynajmniej w dokładniejszy opis zmian, które projektuje, w ogólnikowych tylko słowach zapewnia, że kolektywizm zaradzi wszystkiemu. Stąd też na wszystkie zarzuty przeciw ustrojowi, któryby się oparł na zasadach marxizmu, można odpowiedzieć, że inna była myśl jego twórcy, część krytyczna za to działa na umysły i szerzy niechęć do naszej organizacyi społecznej. Tę samą metodę, wypróbowaną już w polemice literackiej, zastosował socyalizm w agitacyi politycznej: potępiać wszystko i wszystkich, ażeby w ten sposób, przez samo wyeliminowanie wszystkich innych kierunków, zjednywać socyalizmowi stronników.

Drugą, równie potężną dźwignią socyalizmu było zużytkowanie dla siebie dyscypliny fabrycznej. Najwięksi przeciwnicy

uznają doskonałość organizacyi socyalistycznej, niezwykłą karność w jej szeregach i zdumiewającą nieraz sprężystość. Nie zmniejszając zasługi tych, którzy na tem polu pracowali na rzecz socyalizmu, należy jednak podnieść, że tę swoją wyższość zawdzięcza socyalizm przedewszystkiem psychicznemu nastrojowi kół, z których składają się główne jego siły. Socyalizm rozpoczął swe działanie w sferach robotniczych i dziś jeszcze liczba jego zwolenników w innych wartwach społecznych jest stosunkowo nieznaczna. Dzisiejsze wielkie przedsiębiorstwa, zatrudniające setki i tysiące ludzi, muszą opierać się na bardzo ścisłej i karnej organizacyi, inaczej bowiem podział pracy, przy którym wszyscy nawzajem sobie pomagają i wszyscy od siebie są zależni, byłby niemożliwy. Stąd też robotnicy są włożeni do karnego i solidarnego działania już samym rodzajem swej pracy, socyalizm więc nie potrzebował już kształcić ich w tym kierunku. Inne stronnictwa, organizując się, muszą przedewszystkiem wpajać zasadę solidarności, podporządkowania własnego zdania pod wolę większości czy kierowników, muszą, jednem słowem, wprowadzać karność i przekonywać swych zwolenników o jej użyteczności i konieczności. Praca ta jest tem trudniejsza, im różnorodniejszy jest skład danej partyi i im swobodniejsi są jej członkowie w swem życiu codziennem. To też aż nazbyt często widzimy w tej lub owej partyi, że część jej wyłamuje się, idzie na własną rękę, bo postępowanie innych nie wydaje się jej właściwem. Po prostu brak tu jeszcze dostatecznego wykształcenia polityczno-społecznego, brak zrozumienia, że rozbicie na drobne grupy czy jednostki uniemożliwia wszelką akcyę publiczną. Wykorzenienie tych odśrodkowych zapędów jest bardzo trudne, gdyż każdy prawie przywykł do rządzenia się własną tylko wolą i samodzielnego rozstrzygania wszystkich wątpliwości. Socyaliści są pod tym względem w znacznie korzystniejszem położeniu. Warstwy robotnicze, zajęte w cudzych gospodarstwach, przynoszą już stamtąd poczucie karności, tak, że organizacya socyalistyczna posiada od samego początku sprężystość, która w innych stronnictwach przychodzi znacznie później, dopiero jako wynik głębszego zrozumienia potrzeb politycznych.

W ten sposób socyalizm mógł imponować swemi zwycię-

stwami wyborczemi od chwili, gdy wystąpił na scenę polityczną. Około silnie zorganizowanych i karnych szeregów robotniczych skupiały się żywioły niezadowolone i te liczne jednostki, których nastrój psychiczny jest zawsze opozycyjny. Wszystkie te czynniki łączyła niechęć do obecnego stanu, a socyalizm umiał z wielkim artyzmem uderzać w tę strunę. Lecz w samem tem powodzeniu kryły się pierwiastki dla socyalizmu bardzo groźne. Z pomiędzy tych tysięcy, które głosowały na kandydatów socyalistycznych, jedna część była związana z socyalizmem tylko negatywnym, gwałtownie opozycyjnym charakterem. W tej grupie ciągłe fluktuacye były nieuniknione, bo każda reforma zaspakajała życzenia pewnej liczby dotąd niezadowolonych, a innych znowu, tej nowości niechętnych, uprowadzała w szeregi opozycyi. Odpadali jedni, a przybywali drudzy, socyalizm więc, jeżeli nie mógł liczyć na te sfery indywidualnie, był jednak pewny, że ilościowo — a o to głównie chodzi — stosunki w nich nie ulegną zbyt wielkiej przemianie. Natomiast główne siły socyalizmu, zorganizowani robotnicy, szli z tym kierunkiem dlatego, że spodziewali się w razie zwycięstwa, wielkich dla siebie pozytywnych korzyści. Jak długo reprezentanci socyalizmu w parlamencie stanowili małą tylko garstkę, można było odłożyć na przyszłość spełnienie tych obietnic, których nie szczędzono w czasach agitacyi. Gdy jednak siły parlamentarne się wzmogły, gdy posłowie socyalistyczni weszli do ciał ustawodawczych w wielkich ilościach, wtedy w kołach istotnych ich zwolenników zaczęto wyczekiwać praktycznych rezultatów ich działalności. Jasną jest rzeczą, że o ile te nadzieje zawiodły, u dołu musiała wzbudzić się niechęć i zniechęcenie i to tem większe, im znaczniejsze były przyrzeczenia, im świetniejsze było zwycięstwo wyborcze.

Tymczasem partya socyalistyczna nie mogła przynieść z parlamentu swoim wyborcom żadnych zdobyczy. Nie mogła właśnie z tych przyczyn, które zapewniły jej tak korzystne warunki wyborcze. Niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy jest główną dźwignią jej potęgi, popełniłaby więc samobójstwo polityczne, gdyby pracowała szczerze nad usunięciem przyczyn tych niechęci. Pozytywna, reformatorska działalność, choćby w duchu postulatów

socyalistycznych, musiałaby podkopać wpływ całego kierunku, bo pewną część, dotąd nieprzejednanych pogodziłaby z panującymi stosunkami, przesunęłaby z obozu socyalistycznego w szeregi przeciwników. To niebezpieczeństwo musiało zadecydować o taktyce posłów socyalistycznych.

Stosowana w tym celu metoda była dosyć prosta. Wprawdzie nie można było wystąpić otwarcie przeciwko reformom, lecz osięgano ten sam rezultat pośrednio, zwalczając je jako niedostateczne i stawiając żądania, w danych stosunkach niemożliwe do spełnienia. Reprezentanci socyalizmu zasypywali parlament wnioskami, idącymi tak daleko, że o ich uchwaleniu nawet nikt nie myślał, a równocześnie, trzymając się zasady »wszystko albo nic« i prowadząc bezwzględną opozycyę, zwalczali wszystkie projekty pośrednie. W ten sposób pracując pozornie dla polepszenia stosunków społecznych, w istocie rzeczy utrudniali wszelki postęp na tem polu.

Ta taktyka, na krótką metę bardzo korzystna, bo utrzymująca i potęgująca niezadowolenie w szerokich sferach, musiała jednak z czasem okazać się szkodliwą. Prędzej czy później musiało zbudzić się przeświadczenie, że socyalizm, który prowadzi walkę dla walki, jest na terenie parlamentarnym bezpłodny, że wybór posłów socyalistycznych do ciał ustawodawczych nie zapewnia odpowiedniej opieki tym, którzy ich wysłali.

Wszystkie te czynniki złożyły się na ten ciekawy i na pierwszy rzut oka trudny do wyjaśnienia kontrast pomiędzy wielkim sukcesem politycznym socyalizmu w zachodnich krajach austryackich, a jego klęskami w państwach, w których dotąd był on znacznie potężniejszy. W rzeczywistości można bardzo łatwo wytłumaczyć tę pozorną sprzeczność, która w istocie rzeczy polega tylko na tem, że tamte państwa doszły już do dalszego niż Austrya stopnia ewolucyi w politycznej akcyi socyalizmu.

Przedewszystkiem uderzający był rezultat wyborów w Niemczech w styczniu bieżącego roku. Socyaliści weszli do parlamentu z połową tylko tych sił, które mieli w ubiegłej kadencyi i to mimo że się spodziewali znacznego powiększenia swych posłów, dzięki agitacyi, którą rozwinęli z powodu drożyzny środków żyw-

ności. Późniejsze próby, zmierzające do zmniejszenia wrażenia klęski, a opierające się na twierdzeniu, że liczba głosów socyalistycznych podniosła się o dwieście tysięcy w porównaniu z wyborami z r. 1903, nie mogły być skuteczne. Rozwój przemysłu, handlu i górnictwa w Niemczech, a nawet ogólny wzrost ludności jest tak znaczny, że i ten przyrost jest właściwie upadkiem, t. zn. że nawet z pomiędzy warstw robotniczych mniejsza stosunkowo liczba wyborców oświadczyła się za socyalizmem. A już o atrakcyi, którą dawniej wywierał na inne sfery ludności, niema nawet mowy; przyrost głosów w innych stronnictwach był bez porównania znaczniejszy.

Muszę cokolwiek dokładniej omówić powody tej przemiany, bo ona wskazuje w pewnej mierze także na drogę, po której pójdzie prawdopodobnie rozwój stosunków w Austryi, a zarazem przyczynia się do rozjaśnienia czynników, które oddziałały przy wyborach w Galicyi.

Dzisiejszy socyalizm polityczny jest wytworem niemieckim i należy przyznać, że Niemcy przedstawiały dla niego zawsze najodpowiedniejsze pole działania. Nadzwyczaj szybki rozwój handlu i przemysłu w ostatnich kilkudziesięciu latach powiększył w olbrzymi sposób różnice materyalne, a tem samem i antagonizmy społeczne; korzystne stosunki, w których rozwijało się gospodarstwo narodowe, pozwalały na wywalczenie dla robotników lepszych warunków pracy zapomocą organizacyi zawodowych i dobrze przygotowanych strejków; w wielkim stylu przeprowadzone reformy społeczne wydawały się niejednym zdobyczą ruchu socyalistycznego; wkońcu ludność, stojąca na wysokim stopniu cywilizacyi, o charakterze wytrwałym i spokojnym, nie ulegająca tak łatwo porywom temperamentu, mogła dostarczyć na długie lata wiernych zwolenników stronnictwu opozycyjnemu. Gdzie wykształcenie polityczne nie jest dość głębokie, albo też gdzie nastrój psychiczny ludności jest sangwiniczny, gdzie przechodzi się od razu od różowego optymizmu do zupełnego zniechęcenia, tam wyborcy spodziewają się i żądają natychmiastowego spełnienia swych postulatów. Zawiedzeni w swych nadziejach, opuszczają tłumnie stronnictwo, które, ich zdaniem, okazało się nieudolne

i przechodzą do innego obozu. W Niemczech jest inaczej. Wyborcy zrozumieli, że w polityce trzeba długo pracować, ażeby coś uzyskać, a ta świadomość szczególniej dla socyalizmu była bardzo cenna, bo stronnictwo socyalnej demokracyi, właśnie dlatego, że żądania jego były bardzo daleko idące, tem dłużej musiało czekać na ich urzeczywistnienie.

To też kredyt, udzielony przez wyborców niemieckich socyalizmowi był bardzo długi. Od czasu wprowadzenia powszechnego głosowania, aż do obecnego roku, więc przez lat czterdzieści liczba głosów i posłów socyalistycznych rosła szybko, a bezustannie. Mimo to jednak, taktyka, stanowisko i rezultaty działalności socyalistów w parlamencie nie zmieniały się. Tak wtedy, gdy ich było paru, jak i pod koniec, gdy już stanowili prawie piątą część izby, nie zdołali, nie umieli lub nie chcieli uzyskać nic pozytywnego. Wkońcu więc wyczerpała się cierpliwość wyborców, a raczej doświadczenie pouczyło ich, że poszli drogą, która nie może doprowadzić do celu. Uznawali, że mała garstka nie może nic zrobić, lecz sądzili — i słusznie — że wielki zastęp ośmdziesięciu posłów nie powinien już używać parlamentu jedynie w celach agitacyjnych, że inne już są jego obowiązki.

Opinia ta była właśnie powodem ostatniej klęski socyalizmu. Nie wzbudzili jej przeciwnicy tej doktryny swoją agitacyą lecz powstała samorodnie, jako naturalny wynik racyonalnego rozumowania, w kołach dla socyalizmu najpewniejszych, w szeregach robotników zorganizowanych. Dowodem tego jest fakt, że pierwsze objawy niechęci i niezadowolenia z politycznego kierownictwa partyi socyalno-demokratycznej wystąpiły na wiele miesięcy przed wyborami w stowarzyszeniach zawodowych, czysto socyalistycznych. Niemieckie związki zawodowe, które objęły miliony robotników, jakkolwiek utworzone i prowadzone przez socyalistów, stały się jednak groźne dla ich polityki. Pracując na gruncie pozytywnym, dążąc do zdobyczy realnych, zastanawiając się przed każdem postanowieniem nad prawdopodobieństwem zwycięstwa, jednem słowem kierowane rozumnie, związki te przyniosły robotnikom znaczne polepszenie bytu. Socyalizm polityczny korzystał z tego niewątpliwie, bo mógł się powołać na te korzyści, jako na

swoją zasługę, nie widział jednak, że ta sprzeczność między jego parlamentarną negacyą a pozytywną pracą stowarzyszeń musi otworzyć oczy robotnikom na bezpłodność polityki socyalistycznej. W pracy realnej wykształcił się ich zmysł krytyczny, a porównanie osiągniętych rezultatów, drobnych, ale ciągłych zmian na lepsze, które razem wzięte podniosły bardzo znacznie dobrobyt robotnika — z daleko idącemi wprawdzie, ale równie odległemi jak przed trzydziestu laty obietnicami posłów socyalistycznych, nie przemawiało bynajmniej na korzyść polityki kolektywistycznej. Gdy więc kierownicy partyi zaczęli dążyć do bezrobocia ogólnego, ażeby w ten sposób wywrzeć nacisk polityczny, gdy robotnicy mieli okupić walkę, której cel był dla nich niezbyt ponętny, a zwycięstwo wątpliwe, bardzo ciężkiemi ofiarami materyalnemi, wtedy związki zawodowe zwróciły się przeciw politykom i stanowczo oświadczyły się przeciw strejkowi. Pierwszy ten objaw złamania bezwzględnej dotąd solidarności organizacyi politycznej i zawodowej, który wystąpił na rok przed wyborami, był właściwie pierwszym ale i najpewniejszym dowodem, że socyalizm polityczny w Niemczech wyczerpał już zupełnie kredyt, którego udzielili mu jego zwolennicy. Klęska wyborcza była już tylko naturalną konsekwencyą tej radykalnie zmienionej sytuacyi; socyalistyczni kandydaci przepadali, bo wyborcy stracili wiarę w korzystne rezultaty przyszłej ich działalności.

Zupełnie taki sam odpływ prądu socyalistycznego dostrzegamy również we Francyi i we Włoszech. Bardzo stanowczy ton, z jakim obecny rząd francuski zwrócił się tylokrotnie przeciw socyalizmowi, jest niewątpliwie w przeważnej części wywołany przeświadczeniem, że siła tego stronnictwa staje się już coraz mniej groźna. A wprost śmieszny wszelkim brakiem umotywowania i przygotowania wniosek Jaurèsa, ażeby w paru tygodniach upaństwowić winnice francuskie dowodzi, że przywódcy socyalistyczni tracą już równowagę i za każdą cenę chcieliby przynajmniej w części odzyskać dawniejszy wpływ i popularność.

W Austryi natomiast siła polityczna socyalizmu podniosła się bardzo znacznie. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że tutaj stosunki są zupełnie inne, niż w tamtych państwach, kiedy wła-

śnie w czasie, gdy na zachodzie stwierdza się wszędzie upadek socyalizmu, w krajach austryackich dochodzi on od razu do potęgi, równej najświetniejszym zwycięstwom, odniesionym dawniej w Niemczech, a więc w samem centrum politycznego socyalizmu. W rzeczywistości nie powinno to nikogo zadziwić, a tem mniej wzbudzić przeświadczenia, że mamy do czynienia z jakimś żywiołowym, wszechpotężnym prądem społecznym. Przeciwnie, rozwój socyalizmu tu i na zachodzie jest zupełnie jednakowy, tylko o tyle dla stronnictwa socyalnej-demokracyi mniej korzystny, że ludność w krajach zastąpionych w Radzie państwa jest politycznie mniej wyrobiona, mniej cierpliwa i wyrozumiała. Właściwości te, które w wielu innych wypadkach są wadami, w stosunku do socyalizmu przedstawiają się jako dodatnie przymioty, bo tem prędzej sprowadzą otrzeźwienie i nieufność do jego propagandy. Socyalizm w państwie austryackiem nie miał dotąd odpowiedniego pola do zaznaczenia swego wpływu i okazania swych zdolności politycznych. Stając po raz pierwszy do wyborów powszechnych, nie mógł spotkać się, tak jak w Niemczech, z zarzutem bezpłodności swego działania, bo jasną było rzeczą, że garstka socyalistycznych posłów w poprzedniej Izbie nie mogła przeprowadzić swego programu. Stąd też socyaliści mogli śmiało wystąpić przed wyborcami z twierdzeniem, że dopiero teraz, gdy przez powszechne głosowanie wejdą w większej ilości, będą mogli uiścić się ze swych zobowiązań. Po prostu chcąc zrozumieć wybory w Przedlitawii, należy je porównać z pierwszymi wyborami do parlamentu niemieckiego, gdy socyalizm wzrastał z ogromną szybkością, właśnie dlatego, że mógł się powoływać na liczebną słabość swoich zastępców.

W Niemczech trzeba było przeszło lat czterdziestu, ażeby szerokie sfery przestały tak bezwzględnie iść za socyalizmem, w Austryi zmiana nastąpi prawdopodobnie znacznie prędzej. Składają się na to przedewszystkiem dwa czynniki: nastrój psychiczny ludności i rodzaj agitacyi socyalistycznej. Doświadczenie uczy, że nawet w krajach koronnych, pod względem politycznym najwyżej stojących, stronnictwa muszą się liczyć z niezwyczajną niecierpliwością swych zwolenników. Przeważna część wyborców domaga

się bezzwłocznej realizacyi programu, nie rozumiejąc lub nie chcąc zrozumieć, że zdobycze polityczne osiąga się tylko powoli. Zdawałoby się niemal, że ludność nie zdaje sobie nieraz sprawy z całej techniki politycznej, że nie widzi zupełnie żadnych trudności, że, jej zdaniem, wystarczy zażądać, ażeby zaraz otrzymać. W żadnem może państwie stronnictwa polityczne nie przechodzą w tak krótkim czasie od najwyższego rozwoju do zupełnego niemal upadku, jak w krajach austryackich, dowodem tego historya Staro- i Młodoczechów, liberalnych Włochów i Słoweńców, a przedewszystkiem wszystkich stronnictw niemieckich z wyjątkiem chrześcijańsko-społecznego. Socyalizm jest tem więcej na to niebezpieczeństwo narażony, że jego program jest tak utopijny, tak mało praktyczny, że spełnienie choćby drobnej tylko części jest nadzwyczajnie trudne, jeżeli nie wprost niemożliwe. Inne stronnictwa przeprowadziły w każdym razie przynajmniej część swoich postulatów, a mimo to upadły, bo osiągnięty rezultat był za szczupły w stosunku do przejętych zobowiązań i poczynionych obietnic — cóż dopiero sądzić o socyalizmie, który w obietnicach idzie bez porównania dalej od innych, a uzyskać może tylko bardzo niewiele. A ponieważ zniechęcenie szerzy się tem bardziej, im większy jest rozdźwięk pomiędzy obietnicami a ich realizacyą, więc od socyalizmu ludność może się odwrócić jeszcze prędzej niż od innych partyi. Niebezpieczeństwo to potęguje jeszcze charakter agitacyi socyalistycznej. Wobec małej w gruncie rzeczy liczby prawdziwych wyznawców tego kierunku, musi socyalizm szukać poparcia w szerokich sferach, które wcale nie myślą o głównych zasadach doktryny socyalistycznej, lecz występują z szeregiem żądań, mniej lub więcej uzasadnionych i praktycznych, jakoteż z pewną sumą niechęci nie tyle może do panujących stosunków, ile do osób i grup społecznych, które wysunęły się na czoło życia publicznego. Socyalizm nie tylko przyjmuje wszystkie te życzenia i obiecuje ich spełnienie, lecz stara się nawet obudzić nowe, znacznie dalej idące, ażeby w ten sposób tem silniej spoić ze sobą zainteresowane jednostki. Kwestya możliwości wypełnienia wszystkich tych obietnic i istotnej ich użyteczności dla społeczeństwa jest obojętną; agitacya obiecuje wszystko bez żadnego ograniczenia

a zarazem stara się wszystkich przeciwników politycznych przedstawić w jak najgorszem świetle. Za granicą socyalizm agituje stawiając pewną liczbę postulatów natury ogólnej, a walka przeciw osobom dotyka głównie ich postępowania w sprawach publicznych; w krajach austryackich schlebia się najczęściej wszystkim żądaniom, bez względu na ich doniosłość, uzasadnienie i zdolność realizacyi, a przeciw innym wysuwa się zarzuty zaczerpnięte z ich życia prywatnego. Wszystko to daje na razie wielkie rezultaty, bo każdy znajdując w socyaliźmie potwierdzenie swych własnych życzeń i poglądów i bezwzględne potępienie tych, którzy są mu antypatyczni, łączy się z jego szeregami — później jednak tem większy dotyka go zawód, gdy się przekona, że agitacya przedwyborcza obiecywała rzeczy, o których wybrani zupełnie nie myślą. To też nie ogranicza się do opuszczenia obozu socyalistycznego, lecz staje się jego wrogiem, bo nie tylko nic nie zyskał, lecz przekonał się, że wyzyskano tylko jego łatwowierność, że użyto go za narzędzie, później odrzucone, gdy już był niepotrzebny.

Stosunki galicyjskie potwierdzają te przypuszczenia i wskazują drogę, po której pójdzie dalsza ewolucya socyalizmu w Austryi. W Galicyi niema prawie zupełnie właściwego socyalizmu; wszystkie te głosy, które padły na kandydatów socyalistycznych, zdobyto w przeważającej liczbie agitacyą, prowadzoną w sposób, nakreślony już poprzednio. Jeżeli jednak agitacya wogóle w Austryi jest znacznie więcej demagogiczna i pozbawiona realnego programu niż w Niemczech, to w Galicyi socyalizm doprowadził ten kierunek jeszcze bez porównania dalej niż w innych krajach koronnych. Prawda, że stało się to z konieczności, bo około swego istotnego programu nie zgromadziłby ani dziesiątej części tych głosów, którymi szczycił się po wyborach z r. 1897 i 1900. Nie mówiąc już o nacisku i teroryzowaniu wyborców, socyalizm u nas nie cofał się przed żadną obietnicą, choćby najbardziej nieprawdopodobną, przed żadnym zarzutem, choćby najmniej prawdziwym. Znaczny więc odłam ludności poszedł za jego wskazówkami i liczył na spełnienie przynajmniej pewnej części tych przyrzeczeń. Gdy jednak okazało się, że socyalizm nie przyniósł swym

wyborcom żadnych pozytywnych zdobyczy, wybory tegoroczne przyniosły mu klęskę na całej linii. Upadek socyalizmu u nas nie jest wynikiem jakiejś wyjątkowej zręczności czy doskonałej organizacyi innych stronnictw, lecz po prostu naturalnym odruchem tych warstw społecznych, które zawiedziono w ich oczekiwaniach. Wszędzie niemal podczas wyborów występowali gwałtownie przeciw socyalizmowi najgorętsi dawniejsi jego zwolennicy, zaznaczając wyraźnie, że zmienili swe stanowisko dlatego, że wprowadzono ich w błąd obietnicami, których potem nikt nie umiał, czy nie chciał dotrzymać. To też można powiedzieć, że socyalizm u nas podkopał się sam, własną działalnością, że ta sama broń, która zapewniła mu na razie zwycięstwo, zwróciła się obecnie przeciw niemu i zadała mu klęskę. A Galicya wyprzedziła w tym rozwoju inne kraje koronne, bo wyprzedziła je już poprzednio w nieprzebierającej w środkach agitacyi; była ona u nas gwałtowniejszą, więc i tem prędzej musiało przyjść otrzeźwienie. W Niemczech socyalizm mógł liczyć na półwiekową prawie cierpliwość, u nas wystarczało lat siedem, ażeby ją wyczerpać, w Austryi z pewnością zobaczymy niebawem to samo.

Ostatecznie więc ewolucya w potędze politycznej socyalizmu stwierdza ponownie, że w życiu publicznem podobnie jak i prywatnem można osiągnąć chwilowo wielkie rezultaty przy pomocy najrozmaitszych środków, lecz trwałe korzyści i zaufanie zdobywa się jedynie etycznem postępowaniem i prawdziwie użyteczną pracą. Akcya oparta tylko na negacyi i schlebianiu namiętnościom jest niewątpliwie łatwiejsza i na razie daje może na pozór świetniejsze wyniki, ale swym twórcom nie pozwala utrzymać się dłużej na stanowisku, do którego doszli, bo przybyli tam z taką ilością przejętych zobowiązań i poczynionych przyrzeczeń, że pod naciskiem tego ciężaru muszą spadać ku dołowi. Socyalizm doszedł w taki właśnie sposób do szczytu swego rozwoju; musiał więc przyjść czas odpływu i teraz właśnie przeżywamy okres jego politycznego upadku. Nie przychodzi on oczywiście wszędzie w tej samej chwili, bo nie wszędzie jeszcze socyalizm dosięgnął ostatecznej granicy swego wzrostu, nie wszędzie wyczerpał zaufanie, którem darzą go niezadowoleni, wyczekując od niego pomocy. Lecz wszędzie

pochód jego naprzód i cofanie się wypływa z tych samych przyczyn, tam więc, gdzie jeszcze dziś tego nie widać, zobaczymy wkrótce, jak socyalizm przejdzie w stadyum, które dziś już wystąpiło w tylu krajach, w stadyum cofania się. A wszelki kierunek skrajny, zwracający się przeciw wszystkiemu, co istnieje, może utrzymać się tylko ciągłem postępowaniem naprzód. Odwrót raz rozpoczęty prowadzi siłą rzeczy do zupełnego upadku. To też i socyalizm może odsunąć to niebezpieczeństwo tylko tem usilniejszem jednaniem sobie stronników, t. zn. tem większą szczodrobliwością w obietnicach, tem gwałtowniejszymi atakami na wszystko i wszystkich, którzy nie stoją w jego szeregach. I na tem właśnie polega ta Nemezis dziejowa, która rozpoczęła go ścigać. Chwieje się on pod naciskiem własnych błędów, a chcąc się bronić, musi je powiększać i pomnażać, musi więc sam działać przeciwko sobie, musi sam się podkopywać, pracować na swój własny upadek.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Twórcze siły społeczne i kulturalne chrystyanizmu. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* . . .	1 225
Jedno z niębezpieczeństw w Królestwie. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego*	30
Juliusz II. Fragment dramatyczny. Przez *Stanisława Wyspiańskiego*	39
Finlandya a katolicyzm. Przez *Adolfa Karlinga* .	50 243
Wobec ruchu rozwodowego. Refleksye o istocie małżeństwa. (Dok.) Przez *ks. St. Adamskiego T. J.* .	65
Twórczość Bossueta i Fenelona. (Dok.) Przez *M. Paciorkiewicza*	86
Genueńczyk w Poznaniu. Przez *Franciszka Morawskiego*	161
Jeden z planów odbudowania Polski. Przez *Stanisława Smolkę.*	189 377
»Od szatana do Boga«. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.*	209
Dwa ostatnie wypadki w Polsce. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*
Boże narodzenie. Przez *Krystynę Sarynsz-Zaleską.*	321
Konferencya hagska. Przez *ks. K. Konopkę T. J.* .	326
Moment przełomowy w Austryi. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	336
Pod Akropolem i na Akropolu. Przez *Lucyana Rydla*	348
Na zmartwychwstanie. Przez *Kazimierza Woyczyńskiego*	394

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Powrót Odysa. Stanisław Wyspiański. *(W. Nawratil)* 104

Pamiątki i wspomnienia z sanockiej ziemi. Trzecieski Jan. Zesz. I, część 1. *(Ks. Wład. Rejowicz T. J.)* 114

Kazania i Pprzemowy pasterskie do ludu wiejskiego. Ks. Biskupa Karola Józefa Fischera, sufrag. przemyskiego. Tom IV. *(Ks. Henryk Haduch T. J.)* 114

Źródła niektórych komedyi Franciszka Zabłockiego. Dr. Ludwik Bernacki. *(St. Dobrzycki)* 117

De authentia loci, qui in evangelio secundum s. Ioannem inde a cap. VII v. 53 usque ad cap. VIII v. 11 legitur dissertatio critica — auctore Al. Syski. *(Ks. dr. Józef Karczmarczyk)* 262

Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812—1838). Kallenbach Józef. *(Antoni Mazanowski)* 265

Wspomnienia z Syberyi 1863 –1869. Ludwik Jastrzębiec Zielonka. *(A. Ziemięcki)* 271

Masonerya, jej początki, organizacya, ceremoniał, zasady i działanie. Napisał J. S. Korczyński. *(M. B.)* 273

Sprawozdania Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce. Tom VII, zeszyt IV. *(Dr. Emmanuel Swieykowski)* 409

Compendium privilegiorum Regularium praesertim Ordinis Fratrum Minorum. Concinnavit P. Venantius Łyszczarczyk O. F. M., Iuris canonici Doctor et Lector generalis. *(Ks. Jan Roth T. J.)* 419

O akcie wiary ze stanowiska nowożytnej psychologii. Ks. dr. Jan Ciemniewski. *(Ks. Jan Rosłworowski T. J.)* 420

Z piśmiennictw obcych.

Geschichte des Kollegium Germanicum Hungaricum in Rom. Von Kardinal Andreas Steinhuber S. J. *(Ks. A. Starker T. J.)* . . . 120

Z nowszych powieści angielskich. *(Teresa Wodzicka)* 125

Les Désenchantées. Roman des Harems Turcs contemporains. Pierre Loti. *(T. Wodzicka)* 133

Der Menschensohn. Jesu Selbstzeugniss für seine messianische Würde. Eine biblisch-theologische Untersuchung von Dr. Theol. Fritz Tillmann. *(Ks. Ernest Matzel T. J.)* 275

Die Jesuiten und die Friedensfrage von Dr. Ludwig Steinberger.— Karl von Miltitz. 1490—1529. Von Dr. Heinrich Ang. Creutzberg *(Ks. A. Starker T. J.)* 279

Kipps by H. G. Wells. *(T. Wodzicka)* 282

Hilligenlei. Roman von Gustav Frenssen. *(T. Wodzicka)* 285

Geschichte des deutschen Volkes von XIII Jahrhundert bis zum Ausgang des Mittelalters. Emil Michael S. J. III tom; Deutsche Wissenschaft und deutsche Mystik während des XIII Jahrhundert. *(Dr. K. Szkaradek-Krotoski)* 423

Zapiski bibliograficzne.

Str.

Novum Testamentum graece et latine cura Friderici Brandscheid. *(M.)* . . . 136

Cursus brevis philosophiae. Auctore Gustavo Pécsi. Volumen I. Logica metaphisica. *(M.)* . . . 137

Carycia Maja, Marya. 31 nauk na misiać maj ułożyw świaszcz. Julian Dzerowicz. *(J. U. T. J.)* . . . 137

Cechy rękodzielnicze w Krakowie. Dr. Kaz. Wład. Kumaniecki. *(A. N. Z.)* . . . 138

Kościół św. Idziego w Krakowie. Zygmunt Hendel i Feliks Kopera. *(N. Z.)* . . . 139

Nauka instrumentacyi. Przez Ebenezera Prouta. Spolszczył Gustaw Roguski. *(A. Ch.)* . . . 139

Kirchenmusikalisches Jahrbuch. Zwangzigster Jahrgang. *(A. Ch.)* 140

O grużlicy. Prof. dr. Stan. Domański. *(A. N.)* . . . 140

Posłaniec Noworoczny Apostolstwa Serca Jezusowego. 1908. *(H.)* . . . 141

Schillera polityczne i społeczne poglądy. Dr. Józef Flach. *(E.)* 288

O potrzebie i środkach do funduszu dla akcyi katolicko-społecznej. Ks. dr. Adam Kopyciński. *(A. N. Z.)* . . . 289

Rewolucya rosyjska i pokój europejski. Co się dzieje i co z tego będzie. Ignotus Prawdzian Prawdzicki. *(A. N. Z.)* . . . 290

Bielany. Stanisław Tomkowicz. *(A. N. Z.)* . . . 290

Archiwa w Sanoku, Jaśliskach, Króliku Wołoskim, Hłomczy, Ładzinie i Klimkówce. Antoni Borzemski. *(Dr. A. B.)* . . . 439

Zamek krakowski. Przewodnik do zwiedzania. Dr. Klemens Bąkowski. *(B.)* . . . 440

Arcydzieła obcych i polskich pisarzy. »Słowo o pułku Igora«. Przekład Augusta Bielowskiego. Z objaśnieniami i wstępem Bohdana Łepkiego. *(I.)* . . . 440

Historya masoneryi i innych towarzystw tajnych. Feliksa Eger. *(A. B.)* . . . 441

Lehrbuch der Philosophie auf aristotelisch-scholastischer Grundlage. Von Alfons Lehmen S. I. Vierter (Schluss-) Band: Moralphilosophie. *(M.)* . . . 442

Psychologia rationalis sive philosophia de anima humana in usum scholarum. Auctore Bernardo Boedder S. I. Editio tertia aucta et emendata. *(M.)* . . . 443

Slovenská reč a jej miesto w rodine slovanských jazykov. Práca d-ra Sama Czambela. I oddelenie. Osnovy a iný materiál rečovy. *(K. C.)* . . . 443

Itinerant daughters by Dorothea Gerard. I vol. *(T. W.)* . . . 443

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: List pasterski arcybiskupa warszawskiego. — Z różnych stron i tematów. — Z praskiego kongresu »wolnej

Str.

myśli«. — Nowa encyklika. — Z kursów społecznych w Przemyślu. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 142

Ze świata akcyi społecznej. Przez *Maryę Harsdorf.* 152

Ze stosunków polsko-słoweńskich. Przez *X.* 157

LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Dwie nowe polskie ligi. — Biskupia stolica w Wilnie i w Poznaniu. — Echa encykliki o modernizmie. — Z Francyi. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.* 292

Przegląd muzyczny. Nowe utwory fortepianowe I. J. Paderewskiego, Z. Stojowskiego i L. Różyckiego. — Pieśni L. Różyckiego. Przez *Adolfa Chybińskiego* 299

Z nauk przyrodniczych. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 307

Polemika. Przez *d-ra Zdzisława Jachimeckiego* 314

Odprawa panu Jachimeckiemu. Przez *Adolfa Chybińskiego* 317

GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła: Przyczynek do dziejów encykliki o modernizmie. — Kilka jaśniejszych chwil we Francyi. — Z działalności niemieckiej ligi antypojedynkowej. — Ostatnie wybory w Belgii. — Z powodu wyborów do gmin w Anglii. — Wybory do rady gminnej w Rzymie. — Ruskie stronnictwo katolickie. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 445

Z nowin historycznych. Pierwotny grób św. Cyryla. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 454

Przegląd muzyczny. Pieśni H. Opieńskiego i L. Różyckiego. — Ogólne uwagi o muzyce a orkiestrze. — Utwory orkiestrowe M. Karłowicza. Przez *Adolfa Chybińskiego* 460

Z nowych wydawnictw 468

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.